

VLADIMIR
NABOKOV

Lolita



KOLEKCJA GAZETY WYBORCZEJ

VLADIMIR NABOKOV

LOLITA

PRZEKŁAD:
MICHAŁ KŁOBUKOWSKI

KOLEKCJA GAZETY WYBORCZEJ

Kolekcja Gazety Wyborczej

2

LOLITA

Vladimir Nabokov

Tytuł oryginału: *Lolita*

Tłumaczenie z oryginału: *Michał Kłobukowski*

© 1955 by Vladimir Nabokov.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part. This edition published by arrangement with the Estate of Vladimir Nabokov.

© for this edition by Mediasat Poland/ International Rights Organization (I.R.O.) KFT

© for the Polish translation by Michał Kłobukowski

ISBN 83-89651-51-3

LCCN PS3527 .A15 L6165 2004

Mediasat Poland Sp. z o.o.

ul. Mikołajska 26

31-027 Kraków

Skład i łamanie:

MAGRAF, s.c, Bydgoszcz

Printed in EU

by CPI Group

Przedmowa

„Lolita, albo wyznania owdowiałego europida” - pod takim podwójnym tytułem otrzymał niżej podpisany dziwne stronicie, które poprzedza niniejsza nota. „Humbert Humbert”, ich autor, zmarł w areszcie na zakrzepicę tętnicy wieńcowej szesnastego listopada 1952 roku, kilka dni przed planowanym początkiem procesu. Jego adwokat, a mój bliski przyjaciel i krewny, wielce szanowny Clarence Choate Clark, obecnie członek palestry Obwodu Columbii, prosząc mnie o zredagowanie rękopisu, powodował się klauzulą z testamentu klienta, upoważniającą mego znakomitego kuzyna, aby wedle uznania pokierował wszelkimi działaniami, jakich będzie wymagało przygotowanie *Lolity* do druku. Na decyzji pana Clarka zaważyć mógł fakt, iż wybrany przezeń redaktor otrzymał niedawno Nagrodę Polinga za skromne dziełko (*Czy zmysły są zmysłne?*), w którym omawia pewne chorobliwe stany i perwersje.

Żaden z nas nie przewidział, że zadanie moje okaże się tak proste. Poprawiłem oczywiste solecyzmy i starannie usunąłem kilka detali, które mimo wysiłków samego „H.H.” uparcie wyłaniały się z tekstu niby drogowskazy i kamienie nagrobne (demaskując w ten sposób pewne miejsca i osoby, których tożsamość należało raczej zataić, kierując się dobrym smakiem, i oszczędzić z litości), lecz pominawszy owe ingerencje, przedstawiam ten niezwykle pamiętnik w postaci nienaruszonej. Dziwaczny pseudonim autora jest jego własnym wynalazkiem; maskę tę - spod której zdaje się pałać hipnotyczne spojrzenie dwojga oczu - trzeba było oczywiście zostawić bez zmian, zgodnie z życzeniem tego,

kto ją nosił. Tylko rym łączy nazwisko „Haze” z prawdziwym nazwiskiem bohaterki, lecz jej imię zbyt organicznie splecione jest z najbardziej wewnętrzną tkanką książki, aby można je było zmienić; nie ma też (jak czytelnik sam się przekona) żadnej po temu praktycznej potrzeby. Osoby dociekliwe znajdują wzmianki o zbrodni „H.H.” w gazetach codziennych z września i października 1952 roku; jej przyczyna i cel pozostałyby zupełną zagadką, gdyby niniejszemu pamiętnikowi nie pozwolono trafić w krąg światła lampy na moim biurku.

Na użytek staroświeckich czytelników, którzy śledząc losy „prawdziwych” ludzi, pragną przekroczyć ramy tej „z życia wziętej” opowieści, przytoczyć można szereg szczegółów uzyskanych od pana „Windmullera” z „Ramsdale”, on sam woli jednak się nie ujawniać, w obawie, że „długi cień tej żalostnej i odrażającej historii” padłby na społeczność, której członkiem pan „Windmuller” z dumą się mieni. Jego córka „Louise” jest obecnie na drugim roku college’u. „Mona Dahl” studiuje w Paryżu. „Rita” wyszła niedawno za właściciela hotelu na Florydzie. Pani „Richardowa F. Schiller” zmarła w połogu, urodziwszy martwą dziewczynkę, w dniu Bożego Narodzenia 1952 roku, w Gray Star, osadzie położonej w najdalej na północny zachód wysuniętym zakątku kraju. „Vivian Darkbloom” napisała biografie zatytułowaną *Mój Kuku*, która wkrótce ma się ukazać, a pewni krytycy na podstawie maszynopisu uznali tę książkę za jej najlepszą. Dozorcy odnośnych cmentarzy meldują, że żaden z duchów nie straszy.

Jeśli potraktować ją po prostu jako powieść, *Lolita* mówi o sytuacjach i emocjach, które pozostałyby dla czytelnika irytująco niejasne, gdyby ich opisy pozbawiono koloru, stosując trywialne uniki. Prawdą jest, że w całym dziele nie pojawia się ani jedno nieprzyzwoite słowo; krzepki filister, którego współcześnie obowiązujące konwencje nauczyły

przyjmować bez zastrzeżeń obfitość czteroliterowego słownictwa w banalnej powieści, będzie wręcz zaszokowany zupełnym jego brakiem w tej książce. Gdyby jednak Wydawca dla spokoju ducha piszącego te słowa paradoksalnego świętoszka spróbował rozcieńczyć lub pominąć sceny, które pewien typ umysłowości może określić mianem „afrodyzjakalnych” (warto w tym kontekście przypomnieć doniosłe orzeczenie, jakie szóstego grudnia 1933 roku wydał sędzia John M. Woolsey w kwestii innej, znacznie mniej powściągliwej książki), należałoby zupełnie zrezygnować z publikacji *Lolity*, ponieważ te właśnie sceny, które ktoś mógłby nieroztropnie potępić jako samoistne byty zmysłowe, odgrywają jak najściślej funkcjonalną rolę w rozwoju tragicznej opowieści, nieugięcie zdążającej ku czemuś, czemu trudno nie przyznać rangi apoteozy moralnej. Cynik powie może, iż te same uroszczenia zgłasza komercyjna pornografia; człowiek światły odparuje ów zarzut, twierdząc, że płomienne wyznanie „H.H.” to po prostu burza w probówce; że w Ameryce co najmniej dwanaście procent dorosłych mężczyzn - a zdaniem doktor Blanche Schwarzmanna (przekaz ustny) jest to i tak ocena ostrożna - rokrocznie w ten lub inny sposób delektuje się osobliwymi doznaniem, które „H.H.” opisuje z taką rozpaczą; że gdyby nasz obłąkany pamiętnikarz skorzystał owego fatalnego lata 1947 z usług kompetentnego psychopatologa, nie doszłoby do katastrofy; lecz nie doszłoby też wtedy do powstania tej książki.

Należy wybaczyć niniejszemu komentatorowi, iż powtarza to, co nieraz już podkreślał w swych własnych Książkach i wykładach, a mianowicie, że przymiotnik „obraźliwy” często bywa po prostu synonimem „niezwykłego”; że wielkie dzieło sztuki zawsze oczywiście jest oryginalne, a zatem z samej swej natury winno sprawiać odbiorcy mniej lub bardziej szokującą niespodziankę. Nie mam zamiaru gloryfikować „H.H.”. Jest on niewątpliwie okropny i nik-

czemny, świeci przykładem moralnego trądu, łączy w sobie drapieżność z żartobliwością w sposób świadczący być może o najgłębszej udručie, lecz bynajmniej nie budzący sympatii. Jest słoniowato kapryśny. Jego mimochodem wtrącanie poglądy o ludziach i pejzażach tego kraju często bywają groteskowe. Tętniąca w jego wyznaniach rozpaczliwa uczuciowość nie obmywa go z grzechów diabolicznej przebiegłości. Jest nienormalny. Nie jest dżentelmenem. Jakże jednak magicznie potrafią jego rozśpiewane skrzypce wyczarować tkliwość i współczucie dla Lolity, które sprawiają, że jesteśmy pod urokiem książki, choć zarazem brzydzimy się autorem!

Lolita jako opis przypadku klinicznego niewątpliwie stanie się klasyczną pozycją w środowisku psychiatrów. Jako dzieło sztuki wznosi się ona ponad swój aspekt pokutny; a jeszcze ważniejsze dla nas od jej naukowego znaczenia i wartości literackiej jest etyczne oddziaływanie tej książki na poważnego czytelnika; w tym przejmującym studium osobistym kryje się bowiem ogólniejsza nauka; niesforne dziecko, samolubna matka, dyszący szalenciec - są oni czymś więcej aniżeli żywo zarysowanymi postaciami z jednej w swoim rodzaju historii: przestrzegają nas przed pewnymi niebezpiecznymi prądami; wskazują, gdzie czai się zło. Pod wpływem *Lolity* my wszyscy - rodzice, opiekunowie społeczni, pedagodzy - winniśmy z jeszcze większą czujnością i wyobraźnią przyłożyć się do pracy, jaką jest wychowywanie pokolenia lepszych ludzi w bezpieczniejszym świecie.

Widworth, Mass.
5 sierpnia 1955

doktor John Ray junior

Część pierwsza

1

Lolito, światłości mojego życia, ogniu moich łądźwi. Grzechu mój, moja duszo. Lo-li-to: koniuszek języka robi trzy kroki po podniebieniu, przy trzecim stuka w zęby. Lo. Li. To.

Na imię miała Lo, po prostu Lo, z samego rana, i metr czterdzieści siedem w jednej skarpetce. W spodniach była Lolą. W szkole - Dolly. W rubrykach - Dolores. Lecz w moich ramionach zawsze była Lolitą.

Czy miała poprzedniczkę? Tak, owszem. Mogłoby w ogóle nie być żadnej Lolity, gdybym przed nią pewnego lata nie pokochał innej dziewczuszki-jaskółki. W nadmorskim księstwie. Ach, kiedyż? O tyle mniej więcej lat przed narodzeniem Lolity, ile sam wtedy miałem. Na mordercę zawsze można liczyć, że błysnie kunsztowną prozą.

Panie sędziny, panowie sędziowie, dowodem rzeczowym numer jeden jest coś, co w serafinach, oszukanych, prostych, wzniosłoskrzydłych serafinach budziło zawiść. Spójrzcie na ten cierniowy splot.

2

Urodziłem się w roku 1910 w Paryżu. Mój ojciec, człowiek łagodny i niefrasobliwy, był istnym koktajlem genów: obywatelem szwajcarskim pochodzenia francusko-austriackiego, z kroplą Dunaju w żyłach. Zaraz puszcze w koło serię ślicznych pocztówek o modrym połysku. Ojciec miał lu-

ksusowy hotel na Riwierze. Jego z kolei ojciec i obaj dziadkowie handlowali - jeden winem, drugi drogimi kamieniami, trzeci jedwabiem. W wieku lat trzydziestu ożenił się z młodą Angielką, córką alpinisty Jerome'a Dunna, wnuczką dwóch proboszczów z hrabstwa Dorset, którzy byli znawcami mało zbadanych dziedzin - jeden paleopedologii, drugi harf eolskich. Moja nader fotogeniczna matka zginęła w jakimś kuriozalnym wypadku (piknik, piorun), kiedy miałem trzy lata, i prócz wygrzanego zakamarka w najbardziej mrocznej przeszłości nic z niej nie ocalało w dziuplach i kotlinach pamięci, nad którymi, jeśli ścierpicie jeszcze mój styl (piszę to pod ścisłą obserwacją), zaszło słońce mojego niemowlęstwa: wiecie przecież, jak wonne okruszki dnia zawisają wraz z muszkami przy rozkwitłym żywopłocie, jak nagle wdziera się między nie wędrowiec, u stóp wzgórza, latem o zmierzchu; puszyste ciepło, złote muszki.

Starsza siostra matki, Sybil, którą poślubił, a następnie zaniedbał kuzyn ojca, była w mojej najbliższej rodzinie kimś w rodzaju darmowej guwernantki i gosposi. Mówiono mi potem, że kochała się w moim ojcu, on zaś z lekkim sercem wykorzystał to w pewien deszczowy dzień i zapomniał, nim niebo się przejaśniło. Ogromnie ją lubiłem, pomimo surowości - jakże zgubnej - niektórych jej zasad. Chciała chyba, żebym wyrósł z biegiem lat na lepszego wdowca niż mój ojciec. Ciotka Sybil miała lazururowe oczy w różowych obwódkach i woskową cerę. Pisała wiersze. Była politycko przesądna. Twierdziła, że umrze tuż po moich szesnastych urodzinach, i rzeczywiście umarła. Jej mąż, przedsiębiorczy domokrażca od perfum, większość czasu spędzał w Ameryce, gdzie też w końcu założył własną firmę i nabył nieruchomość.

Rosłem więc - szczęśliwe zdrowe dziecię w promiennym świetle książek z obrazkami, czystego piasku, drzew pomarańczowych, przyjaznych psów, morskich widoków i us-

miechniętych twarzy. Wspaniały hotel „Mirana” kręcił się wokół mnie niby prywatny kosmos, uniwersum o białych ścianach zawarte w tym większym, niebieskim kosmosie, który pałał na zewnątrz. Wszyscy - od pomywacza w fartuchu aż do potentata we flanelach - lubili mnie, wszyscy rozpieszczali. Starszawe Amerykanki podpierając się laseczkami, kłoniły się nade mną niczym wieże z Pizy. Zrujnowane księżniczki rosyjskie kupowały mi kosztowne bonbony, choć nie miały czym zapłacić memu ojcu. On zaś, *mon cher petit papa*, zabierał mnie na wycieczki łódką lub rowerami, uczył pływać, nurkować, jeździć na nartach wodnych, czytał mi *Don Kichota* i *Nędzników*, a ja uwielbiałem go, szanowałem i cieszyłem się, ilekroć zdarzało mi się podsłuchać, jak służba roztrząsa przymioty rozmaitych jego przyjaciółek, tych pięknych i dobrych istot, które otaczały mnie taką uwagą i czule gruchając, łały drogocenne łzy nad moim radosnym pólsieroctwem.

Uczęszczałem do angielskiej szkoły oddalonej o parę kilometrów od domu; grałem w rakiety i w pięciorniaka, miałem same dobre stopnie i świetne stosunki zarówno z kolegami, jak i z nauczycielami. Jedyne zdarzenia niewątpliwie seksualnej natury, jakie pamiętam sprzed trzynastych urodzin (czyli z czasów, kiedy jeszcze nie znałem mojej małej Annabel), to poważna, przyzwoita i czysto teoretyczna rozmowa o niespodziankach wieku pokwitania, przeprowadzona w szkolnym ogrodzie różanym z małym Amerykaninem, synem słynnej podówczas aktorki filmowej, którą chłopiec ten nieczęsto widywał w świecie trójwymiarowym, oraz szereg interesujących reakcji mojego organizmu na widok pewnych fotografii, w barwach od perłowej do umbry, z nieskończeniem miękkimi szczelinami, ilustrujących przepyszne dzieło Pichona *La Beauté Humaine*, które wykradłem z biblioteki hotelowej, spod góry roczników pisma „Graphics” w marmurkowej oprawie. Nieco

później ojciec swoim uroczo dobrotliwym tonem przekazał mi całą wiedzę o seksie, jakiej jego zdaniem potrzebowałem, tuż zanim posłał mnie jesienią roku 1923 do liceum w Lyonie (gdzie spędziliśmy potem trzy kolejne zimy); niestety, latem tego samego roku zwiedzał Włochy w towarzystwie madame de R. i jej córki, a ja nie miałem komu się poskarżyć, kogo się poradzić.

3

Annabel pochodziła, tak jak piszący te słowa, z mieszanej rodziny: w jej przypadku pół angielskiej, pół holenderskiej. Twarz jej pamiętam dziś znacznie mniej wyraźnie niż parę lat temu, zanim poznałem Lolitę. Istnieją dwa typy pamięci wzrokowej: jeden polega na umiejętnym odtwarzaniu obrazu w laboratorium umysłu, z otwartymi oczami (i ukazuje mi Annabel poprzez takie ogólniki, jak „skóra barwy miodu”, „szczupłe ręce”, „włosy szatynki ostrzyżone na pazia”, „długie rzęsy”, „duże czerwone usta”); typ drugi pozwala natychmiast wywołać na ciemnym podbiciu zamkniętych powiek obiektywną, absolutnie optyczną replikę ukochanej twarzy, widemko w naturalnych kolorach (i tak właśnie widzę Lolitę).

Opisując Annabel, narzucę sobie zatem ściśle ograniczenia i powiem tylko, że było to prześliczne dziecko, o kilka miesięcy młodsze ode mnie. Jej rodzice od dawna przyjaźnili się z moją ciotką, sztywną jak i oni. Wynajmowali willę w pobliżu hotelu „Mirana”. Łysy pan Leigh, cały w brązach, i tłusta, upudrowana pani Leigh (Vanessa, z domu van Ness). Jakież budzili we mnie wstręt! My dwoje początkowo rozmawialiśmy o sprawach marginalnych. Annabel raz po raz nabierała w dłoń drobnego piasku i unosząc rękę, przesiewała go przez palce. Pod względem umysłowym byliśmy uformowani tak jak wszystkie inteligentne dzieci,

które w naszych czasach i sferach stały u progu lat nastu, raczej więc nie należy dopatrywać się zbyt wiele indywidualnego geniuszu w tym, że interesowała nas mnogość zamieszkanymi światów, wyczynowy tenis, nieskończoność, solipsyzm i temu podobne. Miętkość i kruchość młodziutkich zwierzątek sprawiała nam ten sam dotkliwy ból. Annabel chciała zostać pielęgniarką w jakimś głodującym azjatyckim kraju; ja chciałem zostać sławnym szpiegiem.

Natychmiast, obłudnie, niezdarnie, bezwstydnie, boleśnie zakochaliśmy się w sobie; należy dodać, że i beznadziejnie, bo tę frenetyczną żądzę posiadania dałoby się ukoić jedynie wtedy, gdybyśmy dosłownie wessali i wchłonęli nawzajem każdą cząstkę swych dusz i ciał; a tymczasem nie mogliśmy nawet się sparzyć, po czemu dzieci uliczne bez trudu znalazłyby sposobność. Raz tylko spotkaliśmy się nocą w jej ogrodzie (później opowiem o tym szerzej) i po tej jednej szalonej próbie nie puszczano nas w miejsca bardziej ustronne niż zatłoczona część plaży, gdzie pozostawaliśmy poza zasięgiem słuchu, lecz nie wzroku starszych. Na miękkim piasku, o kilka metrów od nich, przez cały ranek leżeliśmy skamieniały w paroksyzmie pożądania, wykorzystując każdą błogosławioną fałdkę czasoprzestrzeni, aby się dotykać: jej dłoń, na wpół ukryta w piachu, pełzała ku mnie, smukłe smagłe palce kroczyły lunatycznie, coraz bliższe; potem opalizujące kolano rozpoczynało długą, ostrożną podróż; czasem przypadkowy szaniec wzniesiony rękami młodszych dzieci dość nas zasłaniał, żebyśmy mogli się musnąć słonymi ustami; te niepełne zespolenia tak rozdrażniały nasze młode, zdrowe i niedoświadczone ciała, że nawet zimna błękitna woda, pod którą dalej wczepialiśmy się w siebie, nie przynosiła ulgi.

Wśród skarbów, jakie pogubiłem w trakcie swych dorosłych peregrynacji, było pewne zdjęcie zrobione przez moją ciotkę: Annabel, jej rodzice i stateczny, starszawy, kulawy

pan, niejaki doktor Cooper, który owego lata zalecał się do ciotki, siedzą wokół stolika na ulicy przed kawiarnią.

Annabel wyszła nie najlepiej, przyłapana, gdy pochyła się nad porcją *chocolat glacé*, więc tylko szczupłe nagie ramiona i przedziałek we włosach można rozpoznać (jeśli dokładnie pamiętam tę fotkę) w słonecznym zmgławieniu, z którym zlewa się jej utracony urok; za to ja, nieco odsunięty od reszty obecnych, zostałem uchwycony z poniekąd dramatyczną ostrością: chmurny chłopiec o krzaczastych brwiach, w ciemnej koszuli sportowej i starannie skrojonych białych szortach, siedzi z nogą założoną na nogę, profilem do obiektywu, i patrzy gdzieś poza kadr. Zdjęcie to zrobiono w dniu kończącym owo fatalne lato, a zaledwie kilka minut później po raz drugi i ostatni spróbowaliśmy przechytrzyć los. Pod najbliższym pretekstem (była to nasza jedyna szansa i nic poza tym właściwie już się nie liczyło) wymknęliśmy się z kawiarni na plażę, znaleźli odludny spłacheć piasku i odbyli w fiołkowym cieniu czerwonych skał, tworzących coś na kształt jaskini, krótki seans zachłannych pieszczoł, mając za świadka tylko czyjeś zgubione ciemne okulary. Klęczałem, gotów osiąść moje ukochanie, gdy dwaj brodaczy pływacy, morski starzec i jego brat, wyszli na ład, rubasznymi okrzykami dodając mi animuszu, a po czterech miesiącach Annabel zmarła w Korfu na tyfus.

4

Raz po raz kartkuję te nieszczęsne wspominki i zadaję sobie pytanie, czy to właśnie wtedy, w migotaniu tego odległego lata, moje życie naznaczyła pierwsza rysa; a może nieumiarkowane pożądanie, jakim pałałem do tamtego dziecka, było jedynie wstępnym symptomem wrodzonej mi predylekcji? Ilekroć próbuję analizować własne apetyty, motywy, czyny i tym podobne, dostaję się we władzę swe-

go rodzaju retrospektywnej fantazji, która umysłowi analitycznemu podsuwa niewyczerpane alternatywy i każdą wyobrażoną ścieżkę rozwidła i rozszczepia bez końca w obłądnie zawikłanym krajobrazie mojej przeszłości. Jestem jednak przekonany, że w pewien magiczny, wręcz opatrnościowy sposób Lolicie dała początek Annabel.

Wiem też, że szok wywołany jej śmiercią utrwalił we mnie pozostałą po tamtym koszmarnym lecie frustrację, która potem przez całą zimną młodość udaremniała mi wszelkie romanse. Duch i ciało stopiły się w nas w sposób doskonały, niepojęty dla dzisiejszej młodzieży - konkretnej, topornej, o szablonowych umysłach. Długo po śmierci Annabel czułem, że jej myśli szybują wśród moich. Na długo przed pierwszym spotkaniem mieszały się te same sny. Porównaliśmy dane. Odkryliśmy dziwne zbieżności. W tym samym czerwcu tego samego roku (1919) zabłąkany kanarek wleciał przez okno do naszych domów w dwóch odległych od siebie krajach. O, Lolito, gdybyś to ty tak mnie kochała!

Na zakończenie opowieści o stadium „Annabel” zacho- wałem relację z naszej pierwszej daremnej schadzki. Pewnego wieczoru moja ukochana zdołała zmylić jadowitą czu- jność rodziców. W nerwowym, smukłolistnym zagajniku mimozy za ich willą przycupnęliśmy na zrujnowanym kamiennym murku. Poprzez mrok i wrażliwe drzewa widzie- liśmy arabeski rozświetlonych okien: podretuszowane pig- mentami czulej pamięci ukazują mi się dziś jako karty do gry, pewnie dlatego, że partia brydża zaprzętała wówczas uwagę wroga. Annabel dygotała i wzdrygała się, gdy cało- wałem kącik jej rozchylonych ust i gorący płatek ucha. Nad nami między sylwetkami długich i wąskich liści blade lśniło parę gwiazd; wibrujące niebo wydawało się równie nagie, jak ona pod cienką sukienką. Widziałem jej twarz na niebie, dziwnie wyraźną, jakby emanowała swą własną lek-

ką poświęcała. Nogi, te piękne, żywe nogi trzymała nieco rozstawione, a kiedy moja dłoń znalazła to, czego szukała, na dziecięcej twarzy pojawił się marzycielski, niesamowity wyraz na poły rozkoszy, na poły bólu. Siedziała trochę wyżej niż ja, ilekroć więc w swej samotnej ekstazie pragnęła mnie pocałować, schylała głowę sennym, miękkim, omdlewającym ruchem, nieomal żalobnym, gołymi kolanami chwytała mój nadgarstek i ścisnęła, aby wnet znów go Puścić; drżące usta wykrzywione goryczą jakiegoś sekretnego eliksiru z sykiem zaczerpywały tchu, sunąc ku mej twarzy. Próbowała ukoić miłosny ból, zrazu szorstko trąc suchymi wargami o moje wargi; potem miła moja z nerwowym szastaniem włosów odsuwała się, a po chwali znów przybliżała mrocznie, karmiąc mnie swymi otwartymi ustami, gdy ja z hojnością gotową wszystko złożyć w ofierze - serce, gardło, trzewia - dawałem jej piastować w niezręcznej piastce berło mej namiętności.

Pamiętam aromat pudru, który pewnie ukradła hiszpańskiej pokojówce swojej matki: słodkawy, gminny, piżmowy. Zmieszał się z jej własną herbatnikową wonią i moje zmysły wezbrały nagle po brzegi; raptowne poruszenie w pobliskim krzaku powstrzymało ich wylew - a gdyśmy się rozłączyli i z obolałymi żyłami skupili uwagę na sprawcy (był to zapewne myszkujący kot), od strony domu odezwała się jej matka, która wołała ją ze wznoszącą się w głosie nutą historii - i oto doktor Cooper ociężale przykuśtykał do ogrodu. Lecz ten zagajnik mimozy, mgielka gwiazd, ciarki, płomień, rosa i ból pozostały ze mną, a dziewczuszka o nadmorskich członkach i żarliwym języku nawiedzała mnie od tamtej pory - aż po dwudziestu czterech latach wyrwałem się spod jej uroku, ucieleśniwszy ją w innej.

Dni mej młodości, gdy tak je wspominam, zdają się ulla-tywać monotonnym tumanem bladych strzępków, jak te poranne śnieżyce zużytego papieru toaletowego, które obserwuje pasażer pociągu, kiedy wirują w ślad za wagonem widokowym. W swoich higienicznych stosunkach z kobietami byłem praktyczny, ironiczny i prędki. Podczas studiów w Londynie i Paryżu zadawałem się sprzedajnymi niewiastami. Studiowałem pilnie i intensywnie, choć niezbyt owocnie. Początkowo zamierzałem zdobyć dyplom psychiatri, wzorem wielu niespełnionych talentów; okazałem się jednak nawet jak na to nie dość spełniony; osobliwe wy-czerpanie, tak mnie to nęka, panie doktorze, nagle się wdało; przeniosłem się więc na anglistykę, po której tylu sfrustrowanych poetów zostaje nauczycielami w tweedach i z fajką w zębach. Paryż odpowiadał mi. Dyskutowałem o sowieckich filmach z wygnańcami. Przesiadywałem z sodomitami w *Deux Magots*. Publikowałem pokrętne eseje w niepoczytnych czasopismach. Układałem pastisze:

...Fräulein von Kulp
może odwrócić się, na drzwiach dłoń kładąc;
Nie pójdę za nią. Za Freską też nie. Ani za tamtą
Mewą w trop.

Mój artykuł pod tytułem *Motyw proustowski w liście Keatsa do Benjaminia Baileya* rozbawił sześciu czy siedmiu uczonych, którzy go przeczytali. Podjąłem pracę nad dziełem *Histoire abrégée de la poésie anglaise* na zamówienie znakomitego wydawcy, potem zaś zacząłem gromadzić materiały do podręcznika literatury francuskiej dla anglojęzycznych studentów (zamieszczając w celach porównawczych przykłady zaczerpnięte z angielskich pisarzy), który

miał mnie zaprzętać przez całe lata czterdzieste - a ostatni tom był już prawie gotów do druku, gdy zostałem aresztowany.

Znalazłem pracę: uczyłem angielskiego grupę dorosłych w Auteil. Potem na kilka zim zatrudniła mnie szkoła dla chłopców. Niekiedy robiłem użytek ze znajomości wśród kuratorów i psychologów, żeby odwiedzać z nimi rozmaite instytucje - sierocińce i domy poprawcze - w których na blade pokwitające dziewczęta o sklejonych rzęsach można było gapić się z bezkarnością nieomal równą tej, jaka bywa nam dana w snach.

Chciałbym teraz przedstawić następującą tezę. Otóż między dziewiątym a czternastym rokiem życia zdarzają się dziewczeczki, które pewnym urzeczonym wędrowcom, dwakroć lub wielokroć starszym niż one, zdradzają swą prawdziwą naturę, nie ludzką, lecz nimfią (czyli demoniczną); tym to stworzeniom wybranym proponuję nadać miano „nimfetek”.

Czytelnik zauważy, że posługuję się kategoriami czasowymi zamiast przestrzennych. Pragnąłbym wręcz, żeby w liczbach „dziewięć” i „czternaście” ujrzał on brzegi - lustrzane plaże i różane skały - zaklętej wyspy, którą nawiedzają moje nimfетки, a otacza bezmierne, mgliste morze. Czy w tym przedziale wiekowym wszystkie dziewczynki są nimfетkami? Rozumie się, że nie. W przeciwnym razie my, ludzie wtajemniczeni, samotni podróżni, nimfoleptycy, dawno już popadlibyśmy w obłąd. Uroda też nie jest żadnym kryterium; wulgarność, a przynajmniej to, co dana społeczność określa tym słowem, niekoniecznie odbiera im pewne tajemnicze cechy, nieziemską grację, zwiewny, wykrętny, rozdzierający, podstępny wdzięk, który wyróżnia nimfетkę spośród rówieśnic, nieporównanie mocniej zakorzenionych w przestrzennym świecie zjawisk synchronicznych aniżeli na ulotnej wyspie zaczarowanego czasu,

gdzie Lolita bawi się z podobnymi sobie istotkami. W omawianej grupie wiekowej zachodzi zdumiewająca dysproporcja między znikomą liczbą nimfetek właściwych a mrowiem przejściowo pospolitych albo po prostu miłych czy też „ślicznych”, może nawet „słodkich” i ładnych, zwyczajnych, pulchnawych, bezkształtnych, zimnoskórych, do głębi ludzkich dziewczątek z wydatnymi brzuszka i mysimi ogonkami, dziewczątek, z których czasem wyrastają wielkie piękności (weźmy chociażby te brzydkie klusiałka w czarnych pończochach i białych czepkach, nagłe przeobrażone w oszałamiająco piękne gwiazdy ekranu). Jeśli normalnemu mężczyźnie wręczymy zdjęcie grupy uczennic bądź skautek i poprosimy, aby wskazał najładniejszą, bynajmniej nie jest oczywiste, że wybierze właśnie nimfetkę. Tylko artysta i szaleniec, nieskończenie melancholijna istota z bańką gorącej trucizny w łędźwiach i arcylubieżnym ogniem nieustannie płonącym w subtelnym kręgosłupie (jakoż człowiek taki musi płaszczyć się i kryć!), natychmiast dostrzeże pewne nienazwane znamiona - cokolwiek koci zarys kości policzkowej, smukłość członków pokrytych Puszkiem oraz inne rysy, których rozpacz, wstyd i tkliwe łyż skatalogować mi nie pozwalają - i wyśledzi wśród zdrowych dziątek zabójczą demonisję; oto stoi w ich gronie, nierozpoznana przez nie i sama nieświadoma swej fantastycznej mocy.

Co więcej, skoro element czasu odgrywa tu tak magiczną rolę, nie powinno dziwić badacza, że istnieć musi przepaść lat - co najmniej dziesięciu, powiedziałbym, zazwyczaj trzydziestu lub czterdziestu, a w kilku znanych przypadkach aż dziewięćdziesięciu - między dziewczeczką a mężczyzną, aby mógł on znaleźć się pod urokiem nimfетки. Jest to kwestia ustawienia ogniskowych, kwestia pewnego dystansu, który oko wewnętrzne pragnie pokonać, pewnego też kontrastu, który umysł postrzega z westchnieniem perwer-

syjnej rozkoszy. Kiedy byłem chłopczykiem, a ona dziewczką, w mojej malej Annabel nie widziałem nimfetki; byłem jej równy - faunik z tej samej zaklętej wyspy czasu; lecz dziś, we wrześniu 1952 roku, po dwudziestu dziewięciu latach, wydaje mi się, że rozpoznałem w niej pierwszego w moim życiu elfa, zgubnego zwiastuna. Kochaliśmy się miłością przedwczesną, pełną tej zajadłości, co tak często łączy życie dorosłym. Byłem chłopcem krzepkim, więc ocalałem; ale trucizna trafiła już do rany i rana ta pozostała od-tąd otwarta, ja zaś zorientowałem się niebawem, że dojrzewam pośród cywilizacji, która wprawdzie pozwala dwudziestopięcioletniemu mężczyźnie zalecać się do szesnastoletniej dziewczyny - lecz od dwunastolatki mu wara.

Nic więc dziwnego, że moje dorosłe życie w okresie europejskim było monstrialnie rozdwojone. Na pozór utrzymywałem tak zwane normalne stosunki z pewną liczbą ziemianek obdarzonych dyniami lub gruszkami zamiast piersi, od wewnątrz trawił mnie jednak piekielny ogień chuci wymierzonej w każdą przechodzącą nimfetkę, której jako prawomyślny strachajło zacząć nie śmiałem. Żeńskie egzemplarze rodzaju ludzkiego, które wolno mi było posiadać, stanowiły zaledwie środek uśmierający. Jestem skłonny uwierzyć, że z naturalnej rozpusty czerpałem mniej więcej takie doznania, jakie czerpią normalni rośli samcy, gdy współżyją ze swymi normalnymi roślami samkami w banalnym rytmie, który wstrząsa światem. Sęk w tym, że owym jegomościom nigdy nawet nie zaświtał - a mnie owszem - promyk nieporównanie bardziej dojmującej błogości. Najmniej klarowny z moich snów polucyjnych olśniewał tysiącokrotnie silniej niż całe cudzołóstwo, jakie mógłby sobie wyobrazić najbardziej męski geniusz literacki lub największym talentem obdarzony impotent. Żyłem w rozszczepionym świecie, świadom istnienia nie jednej, lecz dwóch płci odmiennych od mojej własnej; anatom obie określiłby jako

żeńskie. Lecz dla mnie, widziane przez pryzmat zmysłów, „różniły się niczym żagiel i żagiew”. Wszystko to dopiero teraz racjonalizuję. W wieku lat dwudziestu czy trzydziestu paru nie miałem tak jasnego wglądu we własną udrękę. Ciało doskonale wiedziało, czego pragnie, ale umysł odrzucał wszelkie jego błagania. Miotalem się między wstydem i strachem a brawurowym optymizmem. Dławiły mnie rozmaite tabu. Psychoanalicy mamili pseudowyzwoleniami pseudopopędów. To, że w miłosne rozedrganie wprawiają mnie jedynie siostry mojej Annabel, jej dwórki i rękodajne, wydawało mi się czasem zapowiedzią szaleństwa. Kiedy indziej mówiłem sobie, że wszystko jest kwestią podejścia i nic to złego, gdy małe dziewczynki przyprawiają człowieka o zawrót głowy. Niech mi wolno będzie przypomnieć czytelnikowi, że w Anglii na mocy *Ustawy o Dzieciach i Młodych Osobach* z roku 1933 termin „nieletnia” oznacza „dziewczynkę, która skończyła osiem, lecz nie czternaście lat” (potem, czyli od roku czternastego do siedemnastego, prawo określa ją mianem „młodej osoby”). Natomiast w Massachusetts w USA „dziecko wykolejone” to formalnie rzecz biorąc jednostka „między siódmym a siedemnastym rokiem życia” (która w dodatku ma stały kontakt z ludźmi podłymi lub zdemoralizowanymi). Hugh Broughton, kontrowersyjny pisarz z czasów Jakuba I, udowodnił, że Rahab została ladacznicą w wieku lat dziesięciu. Wszystko to jest ogromnie ciekawe i zaryzykuję domysł, że czytelnik już widzi, jak w nagłym paroksyzmie toczę pianę z ust; nic z tych rzeczy, wcale się nie pienie; gram sobie w pchełki lubymi myślątkami, i tyle. A oto kolejne obrazki. Oto Wergiliusz, co jedną nutą umiał nimfetkę wysławić, lecz zapewne wołał chłopięce *perineum*. Oto dwie spośród małych córek króla Echnatona i królowej Nefretete znad Nilu (tej parze monarchów w sumie uległo się ich sześć), przybrane tylko zwojami naszyjników z błyszczą-

cych paciorków, wygodnie ułożone na poduszkach, po trzech tysiącach lat wciąż nietknięte, dziewice o szczenięcio miękkich, brunatnych ciałkach, przystrzyżonych włosach i podłużnych hebanowych oczach. Oto dziesięcioletnie oblubienice, którym w świątyniach klasycznej nauki kazano dosiadać *fascinum*, owej męskości rzeźbionej ze słoniowego kła. Małżeństwo i wspólne pożycie przed okresem pokwitania nadal są dość powszechne w pewnych prowincjach Indii Wschodnich. Osiemdziesięcioletni starcy z plemienia Lepcha kopulują z ośmioletnimi dziewczynkami i nikomu to nie wadzi. Wszak Dante oszalał dla swojej Beatrycze, kiedy miała dziewięć lat, roziskrzona dziewczeczka, umalowana i urocza, cała w klejnotach, w purpurowej sukni, i to w roku 1274, we Florencji, podczas prywatnej biesiady w miłym miesiącu maju. A gdy z kolei Petrarca oszalał dla swej Laurki, była ona jasnowłosą nimfetką lat zaledwie dwunastu i biegła wśród podmuchów wiatru, w obłoku pyłków kwiatnych i kurzu - kwiat w locie, na pięknej równinie ujranej ze wzgórz Vaucluse.

Bądźmy wszelako porządni i cywilizowani. Humbert Humbert bardzo się starał być grzeczny. Starał się szczerze i prawdziwie. Darząc najwyższym szacunkiem zwykłe dzieci, tak czyste i kruche, pod żadnym pozorem nie Naraziłyby na szwank ich niewinności, gdyby istniało choćby najmniejsze ryzyko awantury. Jakże jednak łomotało mu serce, ilekroć w ciżbie niewiniątek dostrzegł demoniczną dziecinę, *enfant charmante et fourbe*, zamglony wzrok, czerwone usta, dziesięć lat więzienia, jeżeli dasz jej choćby poznać, że na nią patrzysz. Tak więc mijało życie. Humbert był w pełni zdolny do stosunku z Ewą, lecz tęsknił za Lith. Pączkowanie piersi stanowi wczesny etap (10,7 roku) w sekwencji zmian somatycznych towarzyszących pokwitaniu. Następnym dostrzegalnym objawem dojrzewania to pierw-

szy porost włosów łonowych o wyraźnej pigmentacji (11,2 roku). Mam w swojej miseczce pchełek po brzegi.

Rozbity statek. Atol. Sam na sam z dygoczącym dzieckiem pasażera, który utonął. Kochanie, to tylko taka zabawa! Ach, cudowne były moje urojone przygody, gdy siadywałem na twardej ławce w parku, udając, że pochłania mnie drżąca książka. Nimfetki swobodnie igrały wokół cichego naukowca, jakby był z dawna znajomym posągiem lub plamą cieni i lśnień starego drzewa. Pewnego razu idealna pięknotka w sukience w szkocką kratę narobiła brzęku, stawiając ciężkozbrojną stopę obok na ławce, żeby wbić we mnie smukły nagi łokieć i mocniej dopiąć pasek wrotki, ja zaś stopniałem w słońcu, z książką zamiast figowego listka, gdy kasztanowe kędziory opadły kaskadą na jej otarte kolano, a cień liści, który z nią dzieliłem, zapulsował i rozplynął się po świetlistej kończynie tuż przy moim kameleonim policzku. Kiedy indziej zawisła nade mną w metrze rudowłosa uczennica, a rdzawe objawienie spod jej pachy weszło mi w krew na długie tygodnie. Mógłbym wymienić mnóstwo takich jednostronnych romansów w miniaturze. Niektóre kończyły się w zawiesistym aromacie piekła. Zdarzało mi się na przykład ujrzeć z balkonu oświetlone okno naprzeciwko, w którym domniemana nimfetka rozbierała się przed uczynnym lustrem. W ten sposób izolowana i oddalona, wizja ta nabierała szczególnie przenikliwego czaru, czym prędzej więc gnałem ku samotnemu spełnieniu. Wtem jednak - nagle i diabolicznie - delikatny deseń wielbionej nagości przeobrażał się pod lampą we wstrętne, gołe ramię mężczyzny, który w samej bieliźnie czytał przy otwartym oknie gazetę w gorącą, parną, beznadziejną letnią noc.

Skakanka, klasy. Ta starucha w czerni, co usiadła przy mnie na ławce, na moim szafocie rozkoszy (jakaś nimfetka akurat macała pode mną, szukając zgubionej szklanej kul-

ki), i spytała, czy brzuch mnie boli, bezczelna wiedźma. Ach, zostawcie mnie samego w moim parku pokwitań, w mszystym ogrodzie. Niech się bawią wokół mnie bez końca. Niech nigdy nie dorosną.

6

A propos: często zastanawiałem się, co też wyrosło z tych nimfetek? Czyżby w naszym świecie z kutego żelaza, w tej kratownicy przyczyn i skutków, potajemny dreszcz, który im skradłem, mógł pozostać bez wpływu na ich przyszłość? Posiadłem dziewczeczkę - a ona nic o tym nie wiedziała. No, dobrze. Ale czy później na niej się to nie odbiło? Czy jakoś nie wypaczyłem kolei losów małej, uwikławszy jej wizerunek w swoje wyuzdanie? Och, było to dla mnie - i jest po dziś dzień - podniecią do głębokiej, straszliwej zadumy.

W końcu jednak się dowiedziałem, jak wyglądają nimfетки o chudych ramionkach, prześliczne do szaleństwa, kiedy już dorosną. W szare wiosenne popołudnie szedłem, pamiętam, ruchliwą ulicą gdzieś koło Madeleine. Niska, szczupła dziewczyna minęła mnie żwawym, żywym krokiem, stukając wysokimi obcasami, oboje równocześnie spojrzeliśmy za siebie, przystanąła, a ja podszedłem i zacząłem ją. Ledwie mi sięgała do włosów na piersi, miała okrągłą buzię z dołeczkami - typ częsty u francuskich dziewcząt; podobały mi się jej długie rzęsy i obcisła, prosta w kroju sukienka - perłowszare etui dla młodego ciała, które zachowało jeszcze - i to właśnie było owo nimfie echo, chłód zachwytu, nagły zryw w moich łądźwiach - pewną dziecięcość, wciąż obecną w profesjonalnym *frétillement* jej fertycznego kuperka. Gdy spytałem o cenę, odparła natychmiast, z Melodijną, srebrzystą precyzją (ptak, istny ptak!):

- Cent.

Próbowałem się targować, ale zauważyła okropną, samotną tęsknotę w moich spuszczonej oczach, zwróconych hen, w dół, na jej wypukłe czoło i lilipuci kapelutek (dookoła wstążka, bukietek), więc strzepnąwszy rzesami, powiedziała:

- *Tant pis* - i zrobiła taki ruch, jakby chciała odejść. Kto wie, czy zaledwie trzy lata wcześniej nie widziałem, jak wraca ze szkoły! Ta wizja rozstrzygnęła sprawę. Dziewczyna poprowadziła mnie po tradycyjnie stromych schodach, dzwonek tradycyjnie przetarł szlak przed *monsieur*, który mógł przecież nie mieć ochoty na spotkanie z innym *monsieur* w trakcie żałobnej wspinaczki do nędznego pokoiku: łóżko, bidet - ot i cały wystrój. Zgodnie z tradycją od razu poprosiła o swój *petit cadeau*, ja zaś zgodnie z tradycją spytałem, jak jej na imię (Monique) i ile ma lat (osiemnaście). Dość dobrze już znałem banalny obyczaj ulicznicy. *Dix-huit* - odpowiadają wszystkie skrupulatnym świergotem, nutą nieodwołalną i melancholijnie kłamliwą, czasem i po dzień się raz dziennie, biedactwa. Lecz w przypadku Monique nie było cienia wątpliwości, że raczej dodaje sobie niż odejmuje rok czy dwa. Wydedukowałem to z wielu detali jej zwięzłego, schludnego, interesująco niedojrzałego ciała. W fascynująco szybkim tempie zrzuciła ubranie i stała przez chwilę, częściowo spowita podszarzałym tiulem firanki, zastygła jak stalagmit, z infantylną przyjemnością słuchając katarynki, której dźwięki wzbijały się z dławiącego się kurzem podwórka. Kiedy obejrzałem jej drobne dłonie i głośno zwróciłem uwagę, że ma brudne paznokcie, odparła, naiwnie marszcząc brwi:

- *Oui, ce n'est pas bien* - i podeszła do umywalki, ale powiedziałem, że mi to nie przeszkadza, nie przeszkadza ani trochę. Z krótko przyciętymi włosami szatynki, szarymi rozświetlonymi oczami i bladą cerą wyglądała absolutnie

uroczo. W biodrach nie była szersza niż kucający chłopiec; ba! - nie waham się wyznać (i w gruncie rzeczy właśnie dlatego z wdzięcznością mitrzęę aż tyle czasu z małą Monique w tiulowszarej izdebce pamięci), że spośród osiemdziesięciu paru *grues*, którym kazałem się zoperować, tylko przy niej poczułem ukłucie prawdziwej rozkoszy.

- *Il était malin, celui qui a inventé ce truc-là* - oświadczyła przyjaźnie i z tym samym eleganckim pośpiechem wskoczyła w ubranie.

Kiedy poprosiłem o drugą, bardziej wyrafinowaną randkę - wieczorem tego samego dnia - obiecała spotkać się ze mną o dziewiątej w kawiarni na rogu, przysięgając, że w całym swoim młodym życiu nikomu jeszcze nie splątała figła, który określa się wyrażeniem *poser un lapin*. Wróciliśmy do znanego mi już pokoju, a ja nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie powiedzieć, jaka jest ładna, na co odparła skromnie:

- *Tu es bien gentil de dire ça.*

Widząc zaś to, co sam także dostrzegłem w lustrze, w którym odbijał się nasz mały eden - otóż widząc, że wargi wykrzywia mi upiorny szczękościsk roztkliwienia, sumien- na mała Monique (tak, w dzieciństwie na pewno była nim-fetką!) spytała, czy powinna zetrzeć z ust warstwę czer-wieni *avant qu'on se couche*, bo może mam zamiar ją poca-łować. Oczywiście miałem zamiar. Nigdy przedtem z żadną młodą damą aż tak nie popuściłem sobie wodzy, a ostatni obraz długorzęsej Monique, jaki wyniosłem z owej nocy, zabarwiony jest wesołością, która z rzadka tylko towarzy-szy epizodom mojego upokarzającego, plugawego, mało-mównego życia erotycznego. Wydawała się ogromnie rada z pięćdziesięciu franków premii, które jej dałem, kiedy szparko wyszła w noc, w kwietniową mżawkę, a Humbert ciężko kroczył jej wąskim tropem. Przystanąwszy przed ja-kąś witryną, oświadczyła z wielką werwą:

- *Je vais m'acheter des bas!* - i obym nigdy nie zapomniał chwili, gdy z jej dzieciennych paryskich ust wyprysło owo „*bas*” wymówione z apetytem, który nieomal zmienił „a” w krótkie, jędrne, wybuchowe „o”, jak w słowie „*bot*”.

Nazajutrz kwadrans na trzecią po południu przyjąłem ją u siebie, lecz tym razem poszło gorzej, tak jakby przez noc stała się mniej dziewczęca, bardziej kobieca. Zaraziłem się od niej przeziębieniem, odwołałem więc czwartą randkę, bez żalu przerywając emocjonalny serial, który miał wszelkie szanse obarczyć mnie balastem rozdzierających rojeń i wreszcie wyczerpać się w drętwym rozczarowaniu. Niech zatem szczwana, szczupła Monique pozostanie tym, kim była zaledwie przez parę minut: występna nimfetką prześwitującą spod skóry rzeczowej młodej kurewki.

Nasza krótka znajomość nasunęła mi rozumowanie, które czytelnikowi znającemu się na rzeczy wydać się może całkiem oczywiste. Ogłoszenie ze sprośnego czasopisma zawiodło mnie w pewien mężny dzień do biura niejakiej *mademoiselle* Edith, ta zaś na początek zaproponowała, że- bym sobie dobrał bratnią duszę ze zbioru dość oficjalnych fotografii umieszczonych w dość zbrukanym albumie (*Regardez-moi cette belle brune!*). Kiedy odepchnąłem album i odważyłem się wyjawić swe zbrodnicze życzenie, zrobiła minę, jakby chciała pokazać mi drzwi; gdy jednak spytała, na jaki wydatek jestem przygotowany, zgodziła się skontaktować mnie z osobą *qui pourrait arranger la chose*. Nazajutrz wulgarnie umalowana astmatyczka, gadatliwa i cuchnąca czosnkiem, z nieomal komediowym akcentem prowansalskim i z czarnym wąsikiem nad fioletową wargą, zaprowadziła mnie do własnego, jak odgadłem, domostwa, stuliła tłuste palce prawej ręki i rozgłośnię ucałowawszy ich czubki na znak, że jej towar to prawdziwe delicje, istny pączus róży, teatralnym gestem odsunęła kotarę, odsłaniając tę część pokoju, w której najwidoczniej sypiała liczna

i niewybredna rodzina. Nie było tam nikogo prócz monstrualnie pulchnej, odrażająco pospolitej dziewczynki lat co najmniej piętnastu, brunetki o niezdrowej cerze i grubych warkoczach z czerwonymi kokardami, która siedziała na krześle, od niechcienia kołysząc łysą lalkę. Kiedy pokręciłem głową i spróbowałem się wykaraskać z potrzasku, kobieta wśród potoków słów zaczęła ściągać szarobury wełniany sweter z torsu młodej olbrzymki; widząc jednak, że niezłomnie trwam w zamiarze odejścia, zażądała *son argent*. Otworzyły się drzwi w głębi pokoju i dwaj mężczyźni, którzy dotąd jedli w kuchni kolację, przyłączyli się do sprzeczki. Byli niekształtni, z gołymi szyjami, bardzo smagli, a jeden nosił ciemne okulary. Za plecami mężczyzny kryło się dwoje dzieci, mały chłopiec i umorusany, krzywonogi berbeć. Zgodnie z arogancką logiką zmory sennej rozsierzona rajfurka oświadczyła, wskazując osobnika w ciemnych okularach, że pracował on dawniej w policji, *lui*, więc lepiej, żebym zrobił, jak mi radzą. Podeszedłem do Marie - to bowiem gwiazdziste imię nosiła - która tymczasem po cichu przetaszczyła swój ciężki zad na taboret przy kuchennym stole i znów zajęła się poniechaną na chwilę zupą, a berbeć złapał lalkę. Nagły przyptyw litości nadał wymiar dramatu mojemu idiotycznemu gestowi, gdy wciskałem banknot w jej obojętną dłoń. Przekazała mój dar byłemu detektywowi, po czym łaskawie pozwolono mi odejść.

7

Nie wiem, czy album stręczycielki nie był przypadkiem kolejnym ogniwem pewnego łańcuszka; faktem jest, że wkrótce potem dla własnego bezpieczeństwa postanowiłem się ożenić. Pomyślałem, że regularny tryb życia, domowe obiady, rozmaite małżeńskie konwencje, rutynowa profila-

kyka sypialnianych zajęć oraz, kto wie, prawdopodobny w końcu rozkwit pewnych wartości moralnych, pewnych duchowych namiastek, może mi pomóc - jeśli nawet nie całkiem wyzbyć się upadających i niebezpiecznych pragnień, to przynajmniej łagodnie trzymać je na wodzy. Dzięki odrobinie pieniędzy, która trafiła mi się po śmierci ojca (nie wielkiego - „Miranę” sprzedano na długo przedtem), a także uderzającej, choć nieco brutalnej urodzie, mogłem z całym spokojem rozpocząć zabiegi. Po gruntownym namyśle wybór mój padł na córkę pewnego polskiego lekarza: trafił chciał, że pocziwiec ten leczył mnie z zawrotów głowy i z tachykardii. Grywaliśmy w szachy: jego córka przyglądała mi się zza sztalug i wszczepiała pożyczone ode mnie oczy bądź knykie w kubistyczny szmelc, który utalentowane panienki malowały podówczas zamiast jaśminów i jagniąt. Pozwolę sobie powtórzyć z cichą emfazą: byłem i mimo *tous mes malheurs* pozostałem wyjątkowo przystojnym mężczyzną; powolnym w ruchach, wysokim, o puszystych ciemnych włosach i posepnym, lecz tym bardziej przez to uwodzicielskim wyrazie twarzy. Wyjątkowa męskość często przejawia się w cenzuralnych rysach podmiotu jako swego rodzaju ponure przekrwienie - symptom tego, co musi on ukrywać. Tak też było i ze mną.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, niestety, że jednym pstryknięciem palców mogę zdobyć każdą dorosłą kobietę, która mi się spodoba; przywykłem nawet nie zwracać na nie zbytnej uwagi, póki same nie dojrzeją i ociekając sokiem, nie runą na me zimne łono. Gdybym niczym jakiś *français moyen* gustował w efektownych damach, wśród wielu oszalałych piękności, których chucie chłostały mą chmurną skałę, bez trudu znalazłbym stworzenia dużo bardziej fascynujące niż Waleria. O moim wyborze przesądziły jednak inne względy, a ich sedno stanowił, co zrozumiałem poniewczasie, żałosny kompromis. W sumie dowo-

dzi to, jak strasznym głupcem był zawsze nieszczęsny Humbert w sprawach seksu.

8

Choć mówiłem sobie, że pragnę tylko czyjejs kojącej obecności, sławetnego *pot-au-feu*, żywej atrapiczy, naprawdę w Walerii pociągały mnie jej pozy małej dziewczynki. Przybierała je nie dlatego, że czegoś się o mnie domyślała; taki po prostu miała styl - a ja połknąłem haczyk. W rzeczywistości co najmniej dobiegała trzydziestki (nigdy nie udało mi się ustalić, ile dokładnie ma lat, bo nawet jej paszport łgał), a cnotę zapodziała w okolicznościach, które zmieniały się zależnie od nastroju, w jakim snuła swe reminiscencje. Ja zaś wykazałem się naiwnością spotykaną tylko u zбочeńców. Waleria była puszysta i swawolna, ubierała się *à la gamine*, szczerze odsłaniała gładkie nogi, umiała czernią aksamitnego pantofelka podkreślić biel nagiego podbicia, wydymała usteczka, pokazywała dołeczki, hasała, furkotała tyrolskimi spódniczkami i potrząsała krótkimi kędziorami blond w najbardziej uroczy i oklepany sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Po niedługiej ceremonii w *mairie* zawiozłem ją do świeżo wynajętego mieszkania i zanim jej dotknąłem, kazałem włożyć - ku lekkiemu jej zaskoczeniu - zwykłą dziewczęcą koszulę nocną, którą zdołałem zwędzić z bieliźniarki pewnego sierocińca. Noc poślubna sprawiła mi niejaką przyjemność i jeszcze przed wschodem słońca doprowadziłem idiotkę do zupełnej hysterii. Ale rzeczywistość wkrótce upomniała się o swoje prawa. Spod tlenionych loków wyrzwały melaniczne korzenie; puch na golonym goleniu zeszczeniiał; ruchliwe, wilgotne usta, choćbym nie wiedzieć jak napychał je miłością, zdradzały haniebne podobieństwo do swojego odpowiednika z drogocennego portretu jej ropu-

chowatej a nieżyjącej już mamuni; i oto niebawem zamiast bladej dziewczyneczki z rysztoka Humbert Humbert miał na karku rosłe, pękate, krótkonogie, piersiaste i właściwie bezmózgie babsko.

Ten stan rzeczy trwał od roku 1935 do 1939. Walerii to tylko trzeba oddać, że z natury była miłkliwa, co – przyznam - napawało dziwną zacisznością nasze ciasne, obskurne mieszkanko: dwa pokoje, w jednym oknie mgławcy pejzaż, w drugim ceglany mur, tycia kuchenczka, wanna w kształcie buta, w której czułem się jak Marat, tyle że żadna dziewczyna nie pochylała nade mną białej szyi, iżby mnie dźgnąć. Spędziliśmy sporo miłych wieczorów, ona pograżona w „Paris-Soir”, ja zapracowany przy chwiejnym stoliku. Chadzaliśmy do kina, na wyścigi kolarskie i mecze bokerskie. Po jej zleżale ciało sięgałem bardzo rzadko, wyłącznie w chwilach wielkiej niecierpliwości i rozpacz. Sklepiarz z przeciwka miał córeczkę, której cień doprowadzał mnie do szaleństwa; lecz dzięki Walerii znajdowałem przecież legalne wyjścia z tego nieprawdopodobnego impasu. Co do gotowania, porozumieliśmy się bez słów, że likwidujemy *pot-au-feu*, i odtąd przeważnie jadaliśmy w zatłoczonym lokalu na rue Bonaparte, gdzie obrusy poplamione były winem i często słyszało się cudzoziemski szwargot. Tuż obok pewien marszand wystawił w zagraconej witrynie wspaniałą, przepyszną, zielono-czerwonozłoto-granatową, pradawną amerykańską rycinę - lokomotywa z giganty czynym kominem, wielkimi barokowymi latarniami i ogromnym zderzakiem w kształcie pionowego rusztu ciągnęła wagony koloru lilaróż przez burzliwą noc na prerii, wtryskując obfitość czarnego, iskrami inkrustowanego dymu w mroczne futra chmur.

Które w końcu pękły. Latem roku 1939 *mon oncle d'Amérique* zmarł, zapisując mi kilka tysięcy dolarów rocznego dochodu, pod warunkiem, że zamieszkać w Stanach

i okazać nieco zainteresowania jego firmą. Perspektywa ta nadzwyczaj mi odpowiadała. Czułem, że pora na jakieś przetasowanie w moim życiu. Poza tym mole zdążyły już wygryźć pierwsze dziurki w pluszu małżeńskich pieleszy. Od paru tygodni raz po raz stwierdzałem, że moja tłusta Waleria jest jakby nie ta sama; zrobiła się dziwnie niespokojna; chwilami zdradzała nawet coś w rodzaju irytacji, zupełnie niepasującej do stereotypu, który miała przecież uosabiać. Kiedy oznajmiłem, że wkrótce popłyniemy do Nowego Jorku, zmartwiło ją to i skonfundowało. W sprawie jej papierów wynikły jakieś marudne komplikacje. Paszport nansenowski, a raczej nonsensowny, stawiał przed nią bariery, które nie wiedzieć czemu nawet udział w solidnym obywatelstwie szwajcarskim męża nie bardzo mógł przełamać; uznałem więc, że właśnie konieczność stania w kolejce do *préfecture* oraz inne formalności wtrącają ją w taką apatię, chociaż cierpliwie opisywałem jej Amerykę, krainę różanych dzieciątek i olbrzymich drzew, gdzie żyć nam się będzie dużo lepiej niż w drętwym, dumnym Paryżu.

Pewnego ranka wychodziliśmy z gmachu jakiegoś urzędu, Waleria miała już papiery w prawie pełnym porządku i telepała się obok mnie jak kaczka, gdy wtem zaczęła energicznie kręcić upudloną głową, nie mówiąc ani słowa. Odczekawszy chwilę, spytałem, czy ma wrażenie, że coś jej w środku uwięzło. Odparła (tłumacząc jej francuską kwestię, która sama była zapewne przekładem jakiegoś słowiańskiego banału):

- W moim życiu jest inny mężczyzna.

Otóż takich słów żaden mąż rad nie słucha. Przyznam, że mnie oszołomiły. Pobić ją na ulicy, natychmiast i na miejscu, jak szczery prostak, było niepodobieństwem. Lata potajemnych cierpień nauczyły mnie nadludzkiego wprost opanowania. Wsadziłem ją więc do taksówki, która już od pewnego czasu zachęcająco sunęła przy samym krawęż-

niku, i w tym względnym odosobnieniu spokojnie zaproponowałem, żeby szerzej skomentowała swój wariacki komunikat. Dławiła mnie narastająca furia - nie żebym szczególnie przepadał za madame Humbert, tą komiczną postacią, ale kwestie związków legalnych na równi z nielegalnymi ja tylko miałem prawo rozstrzygać, a tymczasem Waleria, żona z komedii rodem, bezczelnie przymierzała się do tego, aby wedle własnego widzimisię zadecydować o moich wygodach i losie. Tonem nieznoszącym sprzeciwu spytałem o nazwisko jej kochanka. Ponowiłem pytanie; dalej jednak bredziła niczym w burlesce, rozprawiając o tym, jaka była ze mną nieszczęśliwa, i zapowiadając rychły rozwód.

- *Mais qui est-ce?!* - krzyknąłem wreszcie, waląc ją kułakiem w kolano; nawet się nie skrzywiła, tylko spojrzała na mnie tak, jakby odpowiedź była zbyt prosta, aby dało się zawrzeć ją w słowach, po czym zdawkowo wzruszyła ramionami i wskazała karczysko taksówkarza. Ten zahamował przed jakąś kafejką i przedstawił się. Nie pamiętam jego groteskowego nazwiska, lecz mimo upływu lat wciąż dość wyraźnie widzę krępego Rosjanina, eks-pułkownika Białej Gwardii z krzaczastym wąsem, ostrzyżonego na jeża; tysiące takich typów parały się wtedy w Paryżu tą kreatywną pracą. Usiedliśmy przy stoliku; żołnierz cara zamówił wino; Waleria obłożyła sobie kolano mokrą serwetką i mówiła dalej - ale raczej we mnie niż do mnie; lała w tę czcigodną czasę potoki słów, o jakich zasób nigdy jej nie podejrzewałem. Co pewien czas strzelała salwą słowiańszczyzny w swojego flegmatycznego kochanka. Sytuacja była absurdalna, zwłaszcza odkąd taks-pułkownik z uśmiechem posiadacza przerwał Walerii i jał roztaczać przede mną własne poglądy i plany. Ostrożną, okropnie akcentowaną francuszczyzną naszkicował świat miłości i pracy, w który zamierzał wkroczyć ręka w rękę z Waleria, swoją dziecin-ką-żoną. Ona tymczasem zaczęła się upiększać, siedząc

między nami, szminkowała usta złożone w ciup, rolowała podbródek w trzy fałdy, żeby skubnąć palcami dekolt bluzki i tak dalej, on zaś mówił o niej jak o nieobecnej, a zarazem jak o małej podopiecznej, którą mądry mentor dla jej własnego dobra niniejszym oddaje pod kuratelę jeszcze mądrzejszemu; a choć moja bezsilna wściekłość mogła przejaśkrawić i zniekształcić pewne wrażenia, przysięgłbym, że wręcz radził się mnie w takich sprawach, jak jej dieta, miesiączeni, garderoba i książki, które przeczytała lub przeczytać powinna.

- Myślę - powiedział - że spodoba jej się *Jean Christophe*?

O, nie lada był z pana Taksowicza uczony.

Położyłem kres temu bełkotowi, proponując, żeby Waleria natychmiast spakowała swój niewielki majątek, na co trywialny pułkownik rycersko zaofiarował się znieść jej bagaż do taksówki. Z powrotem wchodząc w rolę, którą pełnił z tytułu swego zawodu, zawiózł Humbertów do ich rezydencji, przez całą zaś drogę Waleria gadała, a Humbert Groźny naradzał się z Humbertem Małym, czy Humbert Humbert powinien zabić ją, czy raczej jej kochanka, czy też oboje, a może jednak nikogo. Pamiętam, jak kiedyś trzymałem w ręku pistolet kolegi ze studiów, w czasach (chyba jeszcze o nich nie wspominałem, ale mniejsza z tym), gdy bawiłem się myślą, żeby nacieszyć się jego siostrzyczką, prawie ażurową nimfetką z czarną wstążką we włosach, i palnąć sobie w łeb. Otóż jadąc taksówką, zastanawiałem się, czy Waleczkę (bo tak na nią mówił pułkownik) naprawdę warto zastrzelić, udusić lub utopić. Miała bardzo delikatne nogi, postanowiłem więc zadowolić się tym, że zadam jej straszliwy ból, skoro tylko zostaniemy sami.

Ale nie zostaliśmy. Waleczka - której z oczu chlusnęły tymczasem strugi łez podbarwionych błockiem z tęczowego makijażu - zaczęła mimo to pakować kufer, dwie walizki i rozlatujące się pudło, a choć w wyobraźni wkładałem

trapersy i z rozbiegu kopałem ją w zad, nie mogłem, rzecz jasna, ziszczyć tych rojeń, bo przeklęty pułkownik stale krążył w pobliżu. Nie powiem, że zachowywał się bezczelnie, nic podobnego; wręcz przeciwnie, popisywał się - na marginesie tych teatraliów, w które byłem uwikłany - dyskretną, spotykaną tylko w starym świecie uprzejmością: każdy swój ruch okraszał całą gamą źle akcentowanych przeprosin (*j'ai demande pardon* - proszę o wybaczenie - *est-ce que j'ai puis* - czy wolno mi - i tak dalej), a gdy Waleczka zamasztyłym gestem ściągała ze sznurka nad wanną różowe majtki, taktownie się odwrócił; wydawało się jednak, że jest wszędzie naraz, *le gredin*, że wtapiając się całą swą postacią w anatomię mieszkania, czyta w moim fotelu moją gazetę, a równocześnie rozplątuje zasupłany sznurek, skręca papierosa, liczy łyżeczki, idzie do łazienki, pomaga swojej cizi zawinąć elektryczny wiatrak, który dostała od ojca, i wreszcie wynosi jej bagaż na ulicę. Siedziałem z założonymi rękami, z jednym biodrem na parapecie, umierając z nienawiści i nudy. W końcu oboje opuścili roztrzęsione mieszkanie - wibracja drzwi, które za nimi zatrzasnąłem, wciąż jeszcze dźwięczała mi w każdym nerwie, nędzna namiastka ciosu grzbietem dłoni, jaki zgodnie z regułami kina powinienem był wymierzyć Waleczce prosto w kość Policzkową. Niezręcznie grając swoją rolę, popędziłem do łazienki, żeby sprawdzić, czy zabrali moją wodę kolońską - import z Anglii; nie, nie zabrali; spostrzegłem za to z dreszczem dzikiego obrzydzenia, że były Radca Dworu dokładnie opróżniwszy pęcherz, nie spuścił wody. Ta dostojna sadzawka cudzoziemskiej uryny, w której pomału rozmiękał napęczniały, zbrązowiały niedopałek, wydała mi się koroną zniewagą, zacząłem więc jak szalony rozglądać się za orężem. W istocie, przypuszczam, poczciwy pułkownik (Maksimowicz! jego nazwisko raptem drynda się na powierzchni pamięci), jak oni wszyscy bardzo przestrzegający

form, powodował się tylko prostą uprzejmością rosyjskiego mieszczanina (być może zaprawioną orientem), gdy przystojną ciszą maskował swą prywatną potrzebę, żeby nie podkreślać niewielkich rozmiarów domostwa gospodarza, splukując grubiańską kaskadą własną ostrożną strużkę. Nie przyszło mi to jednak do głowy, kiedy jęcząc z wściekłości, przetrząsałem kuchnię w poszukiwaniu czegoś lepszego niż miotła. W końcu zaniechałem tych plądrowań i wypadłem na ulicę z bohaterskim postanowieniem, że rzucę się nań z gołymi pięściami; pomimo wrodzonego wigoru pięściarz ze mnie jest żaden, podczas gdy niski, lecz barczysty Maksimowicz wyglądał jak odlany z surowego żelaza. Pustka panująca na ulicy, na której jedynym śladem po mojej żonie był lśniący guzik ze sztucznego tworzywa, przez trzy zbędne lata przechowywany w pękniętym pudełku i wreszcie upuszczony w błoto, oszczędziła mi zapewne krwotoku z nosa. Ale mniejsza o to. Z czasem doczekałem się małej pomsty. Pewien mieszkaniec Pasadeny powiedział mi, że pani Maksimowicz, z domu Zborowska, zmarła podczas porodu około roku 1945; ona i jej mąż dotarli jakoś do Kalifornii, gdzie za znakomitym wynagrodzeniem wykorzystano ich w rocznym eksperymencie wybitnego etnologa amerykańskiego. Przedmiotem jego badań było to, jak ludzie różnych ras znoszą dietę złożoną wyłącznie z bananów i daktyli, jeśli stale zachowują pozycję czworonożną. Mój informator, lekarz z zawodu, przysięgał, że widział na własne oczy spasioną Waleczkę i jej pułkownika, szpakowatego już i też nieźle korpulentnego, gdy oboje sumiennie łązili na czworakach po zamiecionej do czysta podłodze jasno oświetlonych pokoiów (w jednym owoce, w drugim woda, w trzecim maty i tak dalej) w towarzystwie paru innych zaciężnych czworonogów, których wybrano z ubogich i bezradnych grup społecznych. Szukałem wyników tego doświadczenia w „Przeglądzie Antropologicznym”, ale chyba

ich jeszcze nie opublikowano. Tego rodzaju owoce nauki potrzebują oczywiście czasu, aby dojrzeć. Mam nadzieję, że zilustrowane zostaną dobrymi fotografiami, kiedy wreszcie ukażą się drukiem, choć nie jest zbyt prawdopodobne, iż w bibliotece więziennej znajdzie się miejsce dla tak uczonych dzieł. Ta, na którą pomimo wszelkich dobrodziejstw mego adwokata jestem ostatnio skazany, stanowi niezły przykład bzdurnego eklektyzmu, rządzącego wyбором książek dla więziennych bibliotek. Mają tu oczywiście *Biblię*, a także Dickensa (przedpotopowe wydanie, Nowy Jork, nakład G. W. Dillinghama, MDCCCLXXXVII); jest też *Encyklopedia dla dzieci* (z paroma ładnymi fotkami słóńcowłosych skautek w szortach) i *Morderstwo nastąpi...* Agaty Christie; lecz trafiły tu i takie migotliwe bagatele, jak *Włóczęga po włoszech* Percy'ego Elphinstone'a, autora *Wenecji ponownie odwiedzonej*, Boston, 1868, i stosunkowo świeże (1946) *Kto jest kim w światłach rampy* – leksykon aktorów, producentów i dramaturgów z fotosami statycznych scen. Gdy wczoraj wieczorem przeglądałem ów tom, nagrodził mnie jeden z tych olśniewających zbiegów okoliczności, których nie cierpią logicy, a uwielbiają poeci. Przepisuję prawie całą stronę:

Pym, Roland. Ur. Lundy, Massachusetts, 1922. Rzemiosła scenicznego uczył się w Teatrze Elsynorskim w Derby, Nowy Jork. Debiutował w „Jutrzence”. Spośród licznych jego ról wymienić należy filmy: *Dwie przecznicę stąd*, *Dziewczyne ubraną na zielono*, *Poplątanych mężów*, *Dziwną salamandrę*, *Na włosku*, *Johna ślicznego*, *Śniłaś mi się*.

Quilty, Clare, dramaturg amerykański. Ur. Ocean City, New Jersey, 1911. Studiował na Uniwersytecie Columbia. Pracował w handlu, lecz potem zajął się dramatisarstwem. Autor *Małej nimfy*, *Pani, która pokochała*

pioruny (we współpracy z Vivian Darkbloom), *Mrocznego wieku*, *Dziwnej salamandry*, *Ojcowskiej miłości* i innych. Na uwagę zasługują jego liczne sztuki dla dzieci. *Mała nimfa* (1940) przejechała 23 000 km i miała 280 przedstawień podczas zimowego tournée, zanim w końcu trafiła do Nowego Jorku. Hobby: szybkie samochody, fotografia, zwierzęta-pupile.

Quine, Dolores. Ur. 1882 w Dayton, Ohio. Studiowała na wydziale aktorskim Akademii Amerykańskiej. Pierwszy występ w Ottawie, 1900. Nowojorski debiut w *Nigdy nie rozmawiaj z nieznanymi* (1904). Od tamtej pory zgrała się w [następuje lista około trzydziestu sztuk].

Widok imienia mej najdroższej, nawet jeśli przyłgnęło do jakiejś starej jędzowatej aktorzy, jeszcze i dziś sprawia, że kolebię się w bezsilnym bólu! Może i ona miała szansę zostać aktorką. Ur. 1935. Zagrała (widzę, że w poprzednim akapicie omsknęło mi się pióro, ale proszę cię, Clarence, nie poprawiaj tego lapsusu) w *Zamordowanym dramaturgu*. Quine pawian. Skulkowany Quilty. O, Lolito moja, już tylko słowa mam do zabawy!

9

Sprawa rozwodowa opóźniła moją podróż, więc mroczny tuman kolejnej wojny światowej spadł na całą planetę, nim spędziwszy zimę w Portugalii, między spleenem a zapaleniem płuc, dotarłem wreszcie do Stanów. W Nowym Jorku skwapliwie przyjąłem ofiarowaną przez los synekurę, polegającą głównie na wymyślaniu i opracowywaniu reklam perfum. Odpowiadała mi dorywczność i pseudoliterackość tej pracy, której poświęcałem się, ilekroć nie miałem akurat nic lepszego do roboty. Równocześnie pewien założony w tych wojennych latach nowojorski uniwersytet nalegał, że-

bym dokończył swoją historię porównawczą literatury francuskiej dla studentów anglojęzycznych. Tom pierwszy pochłonął kilka lat i rzadko zdarzało mi się wtedy pracować mniej niż piętnaście godzin dziennie. Gdy dziś wspominam tamten okres, widzę, jak precyzyjnie dzieli się on na rozległą strefę światła i wąski cień: światło bije z kojących studiów w zamczystych bibliotekach, cień zaś rzucają moje żrące żądze i bezsenności, o których dość już się naopowiadałem. Czytelnik zdążył mnie trochę poznać, łatwo więc sobie wyobrazi, jak w kurzu i skwarze usiłowałem choćby zerknąć na nimfetki (zawsze dalekie, niestety), bawiące się w Central Parku, i jak odstręczał mnie blichtr ociekających dezodorantami kobiet pracujących, które nieustannie mi podsyłał znajomy lowelas z pewnego biura. Pomińmy to wszystko. Straszliwe załamanie wtrąciło mnie na rok z górą do zakładu zamkniętego; potem podjąłem pracę - aby wkrótce znów poddać się hospitalizacji.

Dziarski żywot pod gołym niebem zdawał się obiecywać niejaką ulgę. Jeden z moich ulubionych lekarzy, czarujący cynik z brunatną bródką, miał brata, i ten właśnie brat zamierzał poprowadzić ekspedycję w arktyczne rejony Kanady. Dokooptowano mnie do niej jako „rejestratora reakcji psychicznych”. Na zmianę z dwoma młodymi botanikami i pewnym starym stolarzem korzystałem niekiedy (lecz bez większych sukcesów) z łask jednej z naszych specjalistek od żywienia, doktor Anity Johnson - którą niebawem odwołano, o czym miło mi donieść. O celu ekspedycji pojęcie miałem nikłe. Po liczbie meteorologów w jej składzie można by sądzić, że szukamy miejsca (gdzieś na Wyspie Księcia Walii, jak rozumiem), gdzie ma swe leże wędrowny i chybotliwy biegun północny. Jedna grupa wspólnie z Kanadyjczykami założyła stację meteorologiczną na Cyplu Pierre'a w Cieśninie Melville'a. Inny równie zbłąkany zespół zbierał plankton. Trzeci tropił tuberkulozę w tundrze.

Kamerzysta Bert - chwiejny osobnik, w pewnym okresie przydzielony wraz ze mną do całej masy przyziemnych prac (on także miał jakieś kłopoty natury psychicznej) – twierdził, że grube ryby z naszego pionu, ci prawdziwi szefowie, których nigdy nie widzimy, zajmują się głównie badaniem wpływu poprawy klimatu na futra lisów polarnych.

Mieszkaliśmy w chatkach z drewnianych prefabrykatów w granitowym, prekambryjskim świetle. Wyposażenie mieliśmy znakomite - „Reader’s Digest”, mikser do lodów, chemiczne wychodki, papierowe czapki na Gwiazdkę. Stan mego zdrowia ogromnie się poprawił, mimo - a może właśnie z powodu - nieprawdopodobnej nijakości i nudy otoczenia. Wśród tak zgnębionej flory, jak wierzba krzewiasta i wszelakie mchy, przewiany na wylot i zapewne oczyszczony podmuchami świszczącej wichury, siedząc na głazie pod bezgranicznie przejrzystym niebem (przez którego warstwy nic istotnego jednakowoż nie było widać), czułem się dziwnie wyniesiony ponad własne ja. Żadne pokusy nie doprowadzały mnie do obłędu. Pulchne i lśniące dziewczuszki eskimoskie o rybim odorze, ohydnych kruczych włosach i twarzach świnek morskich budziły we mnie jeszcze mniej pragnień niż doktor Johnson. W okolicach podbiegunowych nimfetki nie występują.

Pozostawiając lepszym od siebie analizowanie osadów glacialnych, lodowych grobli, drumli i kremli, przez pewien czas usiłowałem notować to, co naiwnie uważałem za „reakcje” (zauważyłem na przykład, że gdy słońce świeci o północy, sny bywają na ogół wybitnie kolorowe, a kolega kamerzysta potwierdził to spostrzeżenie). Miałem też za zadanie ankietować rozmaitych swych towarzyszy w takich istotnych kwestiach, jak nostalgia, strach przed nieznanymi zwierzętami, zachcianki kulinarne, zmazy nocne, hobby, ulubione programy radiowe, zmiany światopoglądu i tym

podobne. Wszystkim tak te pytania zalazły za skórę, że wkrótce rzuciłem całe przedsięwzięcie i dopiero pod koniec swoich dwudziestu miesięcy mroźnych robót (jak je żartem określił jeden z botaników) sporządziłem najzupełniej fałszywy, lecz pełen werwy raport, który znajdzie czytelnik w „Roczniku Psychofizyki Dorosłych” 1945 lub 1946, a także w numerze „Wypraw Arktycznych”, poświęconym tej akurata ekspedycji; w rzeczywistości wcale nie interesowała się ona miedzią z Wyspy Wiktorii ani niczym podobnym, jak się później dowiedziałem od swojego dobrotliwego doktora; jej prawdziwy cel był bowiem z tych, o których mówi się „cicho, sza”, dodam więc tylko, że na czymkolwiek polegał, chwalebnie go osiągnięto.

Czytelnik z żalem się dowie, że wkrótce po powrocie do cywilizacji stoczyłem kolejną walkę z obłędem (jeśli na to okrutne miano zasługuje melancholia i nieznośna udręka). Zupełne wyleczenie zawdzięczam odkryciu, którego dokonałem podczas tej akurata - nader kosztownej - kuracji w zakładzie. Znalazłem mianowicie niewyczerpane źródło zdrowej radości, gdy nauczyłem się igrzać z psychiatrami: sprytnie wodzić ich na manowce, nigdy nie zdradzając, że znam wszystkie kruczki tej profesji; wymyślać zawiłe sny, klasyczne okazy gatunku (po których wysłuchaniu ci wyłudzaczce cudzych złud sami zaczynają śnić i budzą się z krzykiem); mamić ich wyssanymi z palca „scenami archetypów”; i ani na mgnienie nie odsłaniać przed nimi istoty swego dylematu seksualnego. Przekupiwszy pielęgniarkę, zyskałem dostęp do akt i z dziką uciechą napotkałem w swej karcie choroby takie określenia, jak „utajony homoseksualizm” i „zupełna impotencja”. Zabawa była przednia, a jej wyniki - w moim przypadku - tak posilne, że zostałem tam jeszcze na miesiąc, choć zdążyłem już całkiem wydobrzeć (sypiałem doskonale i jadłem jak uczennica). Potem przedłużyłem pobyt o kolejny tydzień, dla samej przyjemności

starcia się z nowo przybyłym tuzem, zabłąkaną na obczyźnie (i niewątpliwie obłąkaną) znakomitością, słynącą z tego, że szczególnie zręcznie wpaja pacjentom przekonanie, jakoby byli niegdyś świadkami własnego poczęcia.

10

Wypisawszy się ze szpitala, jałem rozglądać się za jakimś miejscem w Nowej Anglii, na wsi lub w sennym miasteczku (szpalery więzów, biały kościół), gdzie mógłbym spędzić pracowite lato uczonego, czerpiąc z zapisków zgromadzonych w szczelnie wypchanym pudle i kąpiąc się w pobliskim jeziorze. Odżyło we mnie zainteresowanie pracą, czyli trudami badacza; swoje drugie zajęcie - aktywne dogłądanie pozgonnych aromatów stryja - ograniczyłem tymczasem do minimum.

Jeden z dawnych pracowników nieboszczyka, latorośl świetnego rodu, zaproponował mi kilkumiesięczny pobyt u swoich zubożałych kuzynów - u emeryta McCoo i jego żony - którzy chcieli wynająć piętro swego domu, gdzie do niedawna dyskretnie rezydowała pewna ciotka, obecnie już nieżyjąca. Dodał, że państwo McCoo mają dwie córki, jedną w wieku niemowlęcym, drugą dwunastoletnią, i piękny ogród nieopodal pięknego jeziora, na co odparłem, że to istny ideał.

Nawiąawszy z nimi korespondencję, uspokoilem ich, że jestem wystarczająco udomowiony, po czym spędziłem w pociągu noc pełną fantazji, wyobrażając sobie z najdrobniejszymi szczegółami, jak będę ową tajemniczą nimfetkę uczył mówić po francusku i pieścił po humbertyjsku. Nikt mnie nie oczekiwał na lalczynej stacyjce, na której wysiadłem ze swą nową i kosztowną walizką, i nikt nie podniósł słuchawki; lecz po pewnym czasie w jedynym hotelu zielonoróżowego miasteczka Ramsdale pojawił się półprzytom-

ny McCoo w mokrym ubraniu, z nowiną, że właśnie spalił mu się dom - być może za sprawą równoczesnej pożogi, która przez całą noc szalała w mych żyłach. Reszta rodziny, jak twierdził, uciekła na jego farmę, zabierając samochód, ale przyjaciółka żony, niejaka pani Haze, znakomita - choć sądząc po nazwisku, nieco mglista osoba - gotowa jest gościć mnie u siebie na Lawn Street 342. Jej sąsiadka z przeciwka pożyczyła państwu McCoo limuzynę, cudownie staromodny pojazd o czworokątnym dachu, powożony przez pogodnego Murzyna. Ponieważ znikł jedyny powód mego przyjazdu, plan ten wydał mi się absurdalny. Owszem, jego dom trzeba będzie odbudować od fundamentów, no i co z tego? Czyżby go wystarczająco nie ubezpieczył? Byłem zły, zawiedziony i znudzony, lecz jako uprzejmy Europejczyk nie mogłem nie dać się wysłać pogrzebowym autem na Lawn Street, gdyż czułem, że jeśli odmówię, McCoo uknuje jeszcze bardziej kunsztowną intrygę, byle mnie się pozbyć. Patrzyłem, jak zmyka, a mój szofer kręcił głową, chichocząc z cicha. *En route* przysięgłem sobie, że w żadnym razie i pod żadnym pozorem nie zostanę w Ramsdale, ale jeszcze tego samego dnia polecę na Bermudy, Bahamy czy Baniałuki. Perspektywy błogostanów na plażach w technicolorze już od dawna pluskały mi w kręgosłupie, a kuzyn pana McCoo w rzeczy samej dość raptownie zmienił koryto tego strumyczka swą życzliwą, lecz idiotyczną, jak się okazało, propozycją.

Skoro mowa o raptownych zwrotach: mało brakowało, a bylibyśmy przejechali podmiejskiego psa (jednego z tych utrapieńców, co czatują na samochody), kiedy skręcaliśmy w Lawn Street. Za zakrętem ukazało się domostwo pani Haze, biały koszmarek z drewna, stary i zapuszczony, raczej szary niż biały - typ domu, w którym zamiast prysznicca wisi nad wanną gumowy wąż nakładany na kran. Dałem szoferowi napiwek, z nadzieją, że natychmiast odjedzie, a

ja niepostrzeżenie zawrócę do hotelu po walizkę; przeszedł jednak tylko na drugą stronę ulicy, bo jakaś starsza pani wołała go z werandy. Cóż było robić? Zadzwoiłem do drzwi.

Czarna służąca wpuściła mnie - i zostawiła na wycieracze, a sama pognąła z powrotem do kuchni, gdzie paliło się coś, co palić się nie powinno.

Przedpokój prócz całego grona dzwonków zdobiło białokie drewniane ni to, ni owo komercyjnie meksykańskiego pochodzenia, tudzież banalne ukochanie skabotyniałych mieszczuchów: *Arleżjanka* van Gogha. Na prawo przez uchylone drzwi zobaczyłem wycinek salonu (zwanego w tym kraju „pokojem życia”), w którym w rogu stała szafka z paroma innymi okazami meksykańskiej tandety, a pod ścianą prążkowana kanapa. Na końcu przedpokoju były schody i gdy ocierając czoło (dopiero teraz poczułem, jaki upał panuje na dworze), gapilem się w braku lepszego obiektu na szarą ze starości piłkę tenisową leżącą na dębowej komodzie, z ich podestu dobiegł kontralt pani Haze, która przechylając się przez poręcz, melodyjnie spytała:

- Czy to monsieur Humbert? - Pytanie to uzupełniła prosząca z góry szczypta popiołu z papierosa. Wkrótce sama Gospodyni - sandały, spodnie bordo, żółta jedwabna bluzka, cokolwiek kwadratowa twarz, w tej kolejności - zesłała po schodach, strzepując popiół palcem wskazującym.

Lepiej chyba od razu ją opisać, niż odkładać to na później. Biedaczka była grubo po trzydziestce, miała błyszczące czoło, wyskubane brwi i dosyć prostą, ale niebrzydłą twarz w typie, który można określić jako słaby roztwór Marleny Dietrich. Przyklepując metalicznie brązowy kok, zaprowadziła mnie do salonu, gdzie chwilę porozmawialiśmy o pożarze u państwa McCoo i o tym, jaki to przywilej mieszkać w Ramsdale. Jej bardzo szeroko osadzone, morskzielone oczy miały ten dziwny zwyczaj, żeby pętać po ca-

łym rozmówcy, starannie unikając jego oczu. Nie uśmiechała się, tylko pytająco unosiła brew; w trakcie rozmowy raz po raz dźwigała się wężowym ruchem i robiła konwulsyjne wypady w stronę trzech popielniczek i pobliskiego kominka (w którym leżał brązowy ogryzek jabłka); potem znów osuwała się na kanapę, podwijając nogę pod siebie. Było jasne, że jest jedną z kobiet, których polerowane słowa dać mogą obraz klubu książki, klubu brydżowego lub jakiegokolwiek równie morderczo konwencjonalnej rzeczy, lecz nigdy ich własnych dusz; kobiet całkowicie pozbawionych poczucia humoru; kobiet, które w głębi serca ani trochę nie interesują się żadnym z kilkunastu możliwych tematów salonowej konwersacji, ale skrupulatnie przestrzegają zasad jej prowadzenia, reguł rozmowy, przez której słoneczny celofan wyraźnie prześwitują niezbyt apetyczne frustracje. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że jeśli jakimś szalonym trafem u niej zamieszkać, zacznę wobec mnie metodyczne podchody, wiodące do tego, co zapewne od początku miała na widoku, przyjmując lokatora, a ja znowu dam się uwikłać w jedną z tych nudnych miłostek, których mechanizm znałem już na pamięć.

Lecz zamieszkanie u niej w ogóle nie wchodziło w rachubę. Nie czułbym się dobrze w domu, gdzie na każdym krześle poniewierają się wyszmelcowane czasopisma, a umeblowanie jest horrendalną hybrydą: z jednej strony komedia tak zwanego „nowoczesnego funkcjonalizmu”, z drugiej tragedia zramolałych foteli na biegunach i krzywicznych lamp podłogowych z półeczkami u dołu i trupami żarówek u góry. Zaprowadzono mnie na piętro, ze schodów w lewo - do „mojego” pokoju. Obejrzałem go przez mgłę nieugiętej odrazy, jaką doń z miejsca powziąłem; dostrzegłem jednak nad „swoim” łóżkiem „Sonatę kreutzerowską” René Prineta. Ze też śmiała nazwać tę służbówkę „prawie pracownią”! Wyośmy się stąd natychmiast, rzekłem sobie

z całą mocą, udając, że zastanawiam się nad absurdalnie – i złowieszczo - niską sumą, której melancholijna gospodyni żądała za wikt i łóżko.

Wywieziona ze Starego Świata uprzejmość nie pozwoliła mi jednak przerwać tej mordęgi. Przeszliśmy przez podest na prawą stronę domu (gdzie „ja i Lo mamy swoje pokoje” - „Lo” to pewnie służąca) i tam już lokator lowelas ledwie ukrył dreszcz, który nim wstrząsnął, gdy on, mężczyzna wielce wybredny, ujrzał w prapremierowej odsonie jedyną łazienkę, małeńki prostokąt między podestem a pokojem „Lo”, z rządkiem jakichś mokrych akcesoriów obwisłych nad niewonną wanną (na dnie czyjś włos legł znakiem zapytania); nie brakowało też z góry spodziewanych splotów gumowej zmii ani jej suplementu, czyli różowawej podusi skromnie skrywającej klapę sedesu.

- Widzę, że jest pan pod niezbyt korzystnym wrażeniem - rzekła pani domu, przelotnie kładąc dłoń na mym rękawie: łączyła w sobie spokojną bezpośredniość - przerost tak zwanego, jeśli się nie mylę, „rezonu” - z nieśmiałością i smutkiem, które sprawiały, że jej pełen dystansu dobór słów wydawał się równie afektowany jak intonacja nauczyciela „wymowy”.

- Nie jest to schludny dom, przyznaję - ciągnęło nieodwołalnie skazane już przez los biedactwo - ale zapewniam (patrząc na moje usta), że będzie tu panu wygodnie, bardzo wygodnie, doprawdy. Zechce pan obejrzeć ogród - dodała nieco pogodniej, z poniekąd zniewalającym podrzutem w głosie.

Z ociąganiem wróciłem za nią na parter; przeszliśmy przez kuchnię z wejściem w głębi przedpokoju, po prawej stronie domu - gdzie mieściła się także jadalnia i salon (pod „moim” pokojem, po lewej, był tylko garaż). W kuchni służąca Murzynka - pulchna, dość jeszcze młoda - zdjęta z

klamki drzwi prowadzących na werandę za domem swoją dużą, lśniąca, czarną torbę i powiedziała:

- Pójdę już, pani Haze.

- Dobrze, Louise - z westchnieniem odparła gospodyni. – Rozliczymy się w piątek.

Przez spiżarkę przeszliśmy do jadalni, równoległej do salonu, który wcześniej podziwialiśmy. Zauważyłem na podłodze białą skarpetkę. Pani Haze stęknęła z dezaprobatą, schyliła się, nie przystając ani na chwilę, podniosła skarpetkę i wrzuciła ją do szafy w ścianie obok spiżarki. Dokonałmy pobieżnych oględzin mahoniowego stołu ze stojącą pośrodku misą na owoce, pustą, jeśli nie liczyć pestki po śliwce, lśniącej świeżością. Namacałem w kieszeni rozkład jazdy i wyłowilem go ukradkiem, żeby przy pierwszej okazji poszukać w nim dla siebie pociągu. Szedłem jeszcze za panią Haze przez jadalnię, gdy na dalszym planie buchnęła nagle zieleń.

- Piazza - śpiewnie oznajmiła przewodniczka i oto bez najmniejszego ostrzeżenia niebieska fala morska wezbrała mi pod sercem, bo z maty ułożonej w sadzawce słońca, półnaga, na klęczkach, na kolanach rozkołysana, moja miłość z Riwiery przyglądała mi się sponad ciemnych okularów.

Było to to samo dziecko - te same wątłe ramionka barwy miodu, ten sam jedwabisty, nagi, gibki grzbiet, ta sama buźka kasztanowych włosów. Czarna chustka w grochy związana wokół piersi skrywała przed moimi ślepiami podstarzałego małpizona, lecz nie przed wzrokiem młodej pamięci, niedojrzałe sutki, które pieściłem pewnego nieśmiertelnego dnia. Rozpoznałem nawet, niczym niańka z baśni o księżniczce (zaginionej, porwanej, odnalezionej w cygańskich łachmanach, spod których jej nagość uśmiechała się do króla i do królewskiej sfory), maleńkie brunatne znamię na jej boku. Z rozkosznym zdumieniem (król płacze z radości, grzmią fanfary, niańka pijana) znowu ujrzałem prze-

śliczny wklęsły brzuch - miejsce, gdzie moje usta zabawiły chwilę w podróży na południe; i chłopięce biodra, z których scałowałem ząbkowany odcisk gumki szortów - w ten ostatni, obłądny, nieśmiertelny dzień za „Roches Roses”. Dwadzieścia pięć lat przeżytych od tamtej pory zbiegło się w jeden kołaczący punkt i znikło.

Jest mi nadzwyczaj trudno opisać z należytą wyrazistością ten błysk, dreszcz, wstrząs, który stał się mym udziałem w chwili namiętnego rozpoznania. Przez tę rozstłonecznioną sekundę, gdy przemknąwszy spojrzeniem po klęczącej dziecinie (mruwała sponad srogich ciemnych okularów – mały *Herr Doktor*, co miał mnie uleczyć z bólów wszelkich), mijałem ją w przebraniu dorosłego (dorodna, urodna porcja filmowej męskości), próżnia mej duszy zdażyła wessać każdy detal jej promiennego piękna i porównać je z rysami zmarłej oblubienicy. Oczywiście wkrótce potem ta *nouvelle*, ta Lolita, moja Lolita, zupełnie zaćmiła pierwotny wzór. Chcę jedynie podkreślić, że odkryłem ją, kierowany nieuchronnym wpływem przeżyć z „nadmorskiego księstwa”, z męczeńskiej przeszłości. Wszystko, co dzieliło te dwa zdarzenia, było tylko szukaniem po omacku, serią potknięć, fałszywą namiastką szczęścia. Wszystko zaś, co miały one wspólne, czyniło z nich jedno zdarzenie.

Nie mam jednak złudzeń. Moi sędziowie uznają te słowa za błazenadę wariata, darzącego szkaradnym upodobaniem *le fruit vert. Au fond, ça m'est bien égal*. Wiem tylko, że kiedy Haze i ja schodziliśmy po schodkach do ogrodu, który czekał z zapartym tchem, kolana miałem jak odbicia kolan w falującej wodzie, usta jak piasek, a...

- To była moja Lo - powiedziała Haze - a to są moje lilie.

- Tak - odparłem. - Tak. Są piękne, piękne, piękne!

Drugi dowód rzeczowy to kieszonkowy notes oprawiony w czarną imitację skóry, ze złotą liczbą roku - 1947 – wytłoczoną *en escalier* w lewym górnym rogu. Mówię o tym gustownym wyrobie firmy Blanco & Co z miasta Blancton w Massachusetts, jakby właśnie leżał przede mną. W rzeczywistości uległ zniszczeniu przed pięcioma laty, my zaś badamy (dzięki fotograficznej pamięci) tylko jego krótkotrwałą materializację, nieopierzone feniksiątko.

Pamiętam ten tekst tak dokładnie, ponieważ napisałem go właściwie dwa razy. Najpierw każdy punkt naszkicowałem ołówkiem (często wycierając gumką i poprawiając) na kartach tak zwanego przez handlowców „bloku”. Następnie wszystko przekopiowałem, z oczywistymi skrótami, swoją najbardziej mikroskopijną i sataniczną kaligrafią do wspomnianego przed chwilą czarnego notesiku.

W New Hampshire - ale nie w Karolinach - trzydziesty maja jest na mocy prawa dniem postu. Właśnie tego dnia z powodu epidemii „grypy brzusznej” (cokolwiek ten termin oznacza) Ramsdale zmuszone było zamknąć wszystkie szkoły aż do końca lata. Czytelnik może sprawdzić komunikaty o pogodzie w „Ramsdale Journal” z roku 1947. Kilka dni wcześniej wprowadziłem się do domu Haze, a dzienniczek, którego treść zamierzam teraz wyrecytować (tak jak szpieg odtwarza z pamięci wiadomość, gdy już połknął kartkę), obejmuje prawie cały czerwiec.

Czwartek. Bardzo ciepło. Z dogodnego punktu obserwacyjnego (okno łazienki) zobaczyłem, że w jabłkowiezielnym świetle za domem Dolores zdejmuje pranie ze sznurka. Bez pośpiechu wyszedłem. Miała na sobie koszulę w kratę, dzinsy i tenisówki. Każdy jej ruch wśród słonecznych cętek targał najtajniejszą, najczulszą struną mego nieszczęsnego ciała. Po chwili usiadła przy mnie na dolnym

schodku werandy i podnosząc kamyczki spomiędzy stóp - kamyczki, mój Boże, a potem wykrzywiony jak warga w opryskliwym grymasie kawałek szkła z butelki po mleku - zaczęła nimi rzucać w jakąś puszkę. Brzęk. Drugi raz ci się nie uda - nie trafisz - toż to męka - już drugi raz. Brzęk. Cudowna skóra - och, jaka cudowna: delikatna i opalona, bez najmniejszej skazy. Melba powoduje trądzik. Oleista substancja zwana łojem wzmacnia mieszki włosowe, lecz w nadmiarze wywołuje podrażnienie, które toruje drogę infekcji. Ale nimfetki nie miewają trądziku, chociaż opychają się tłustościami. Boże, co za męka, ten jedwabisty poblask nad jej skronią, który stopniowo przechodzi w połyskliwy brąz włosów. I kosteczka drgająca z boku przypudrowanej kurzem pęcinki. „Mała McCoo? Ginny McCoo? O, jest potworna. I wredna. I kulawa. O mało nie umarła na polio”. Brzęk. Lśniący ornament puchu na przedramieniu. Kiedy wstała, żeby zanieść pranie do domu, miałem okazję wielbić z oddali spłowiałe siedzenie podwiniętych dżinsów. Z trawnika wykwitła niczym sfingowany przez fakira fikus łaskawa pani Haze, a z nią aparat lustrzanka, i po chwili heliotropicznych ceregieli - smutne oczy wzwyż, rade oczy w dół - śmiała zrobić mi zdjęcie, gdy siedziałem na schodkach, mrugając w słońcu, Humbert le Bel.

Piątek. Widziałem, jak idzie dokądś z ciemnowłosą dziewczynką imieniem Rose. Czemu jej chód - a przecież to dziecko, powtarzam, to jeszcze dziecko! - tak mnie haniebnie podnieca? Zanalizujmy. Stopy stawia trochę jakby palcami do wewnątrz. Od kolan w dół lekki luz, goleń - chciałoby się powiedzieć - merda, póki mała nie stanie całym ciężarem na ziemi. Ciut, ciut powłóczy nogami. Bardzo niedorośla, niezmiernie rozwiązała. Humberta Humberta niezmiernie też wzrusza jej slangowy ton i szorstki, wysoki głos. Później słyszałem, jak przez płot bombarduje Rose jakimś prostackimi bzdurami. Jej nosowy zaśpiew przenikał

mnie narastającym rytmem. Pauza. „Muszę już lecieć, dzi-
dziu”.

Sobota. (Początek skorygowany, być może). Wiem, szaleństwem jest prowadzić ten dziennik, ale czerpię z niego dziwną podniecie; a zresztą tylko kochająca żona potrafiłaby odcyfrować tak mikroskopijne literki. Niechaj więc wyznam z łkaniem, że moja L. opalała się dziś na tak zwanej piazzy, lecz jej matka i jakaś inna kobieta przez cały czas kręciły się w pobliżu. Mogłem oczywiście usiąść w fotelu na biegunach i udawać, że czytam. Ale na wszelki wypadek trzymałem się z daleka, w obawie, że przez to straszliwe, wariackie, groteskowe i żalosne drżenie, które mnie poraziło, nie uda mi się przekonująco nonszalanckie *entrée*.

Niedziela. Trwa fałda upałów; od początku tygodnia Favonius nadzwyczaj nam sprzyja. Tym razem zająłem strategiczną pozycję w fotelu na piazzy, z opasłą gazetą i nową fajką, z a n i m pojawiła się L. Ku mojemu gorzkiemu rozczarowaniu przyszła z matką, obie w dwuczęściowych kostiumach kąpielowych, nowiutkich jak fajka, którą paliłem. Moja miła, moja jedyna stanęła przy mnie na chwilę - chciała stronę z rozrywką - a pachniała prawie identycznie jak tamta, ta z Riwiery, ale mocniej; z ostrzejszymi odcieniami (był to aromat tak skworny, że moja męskość od razu zaczęła się wiercić), lecz szybko wyrwała mi upragniony dodatek, ruszyła ku macie i położyła się obok swej mamy o kształtach foki. Moje cudo leżało na brzuchu, pokazując mi - pokazując tysiącowi oczu, które wytrzeszczała moja wielooka krew - lekko wystające łopatki, puszek w żlebie grzbietu, prężne obrzmienia wąskich pośladków opiętych czernią i księstwo udzielne ud uczennicy. Siódmoklasistka po cichu delektowała się zielono-czerwono-niebieskimi komiksami. Bardziej uroczej nimfetki nie wymyśliłby sam zielono-czerwono-niebieski Priap. Gdy na nią patrzyłem, suchousty, przez pryzmatyczne warstwy światła, koncentrując

swą chuć i lekko się huśtając pod gazetą, czułem, że sam ten widok przy należytych skupieniu może wystarczyć, abym natychmiast żebraczym sposobem zaspokoił żądze; lecz tak jak drapieżnik woli zdobycz w ruchu od nieruchomej, tak i ja zamierzałem zsynchronizować swe smętne spełnienie z tym czy owym spośród dziewczęcych gestów, które czasem wykonywała, nie przerywając lektury – usiłowała na przykład podrapać się w środek pleców i przy okazji odślaniała grawiurowaną pachę - wtem jednak wszystko popsuła tłusta Haze, bo poprosiła o ogień i zaczęła pozorować rozmowę o wydanych niedawno pseudokantylenach pewnego popularnego kanciarza.

Poniedziałek. Delectatio morosa. Drętwe dni dłużą mi się w depresyjnej zadumie. Mieliśmy (matka Haze, Dolores i ja) jechać po południu nad jezioro zwane Klepsydrą, kąpać się w wodzie i nurzać w słońcu; lecz perłowy ranek gdzieś w środku dnia zwyrodniał i lunął deszczem, a Lo urządziła scenę.

Przeciętny wiek pokwitania u dziewcząt wynosi, jak stwierdzono, trzynaście lat i dziewięć miesięcy w Nowym Jorku i w Chicago. Ale u poszczególnych jednostek waha się od lat dziesięciu - albo i mniej niż dziesięciu - do siedemnastu. Virginia miała ich niespełna czternaście, kiedy posiadł ją Harry Edgar. Dawał jej lekcje algebry. *Je m'imagi-ne cela.* Miodowy miesiąc spędzili w Petersburgu na Florydzie. „Monsieur Poe-poe”, jak mawiał o tym poecie-poecie pewien uczeń w jednej z paryskich klas monsieur Humberta Humberta.

Mam wszystkie cechy, które zdaniem autorów piszących o zainteresowaniach seksualnych dzieci działają na małą dziewczynkę: wyraźnie zarysowany podbródek, muskularne ręce, głęboki dźwięczny głos, szerokie ramiona. W dodatku przypominam podobno pewnego zapiewającą czy innego aktorkę, w którym Lo się durzy.

Czwartek. Deszcz. Jezioro Deszczów. Mama pojechała po zakupy. Wiedziałem, że L. jest gdzieś niedaleko. Dzięki paru sprytnym manewrom spotkałem się z nią w sypialni matki. Podważała palcami powiekę lewego oka, żeby wydłubać jakiś paproch. Kraciasta sukienka. Uwielbiam tę jej odurzającą, brązową woń, ale naprawdę powinna od czasu do czasu umyć głowę. Przez chwilę oboje kapaliśmy się w zielonym ciepłym lustrze, w którym oprócz nas taplał się wierzchołek topoli na de nieba. Raptem chwyciłem ją za ramiona, potem skromniej za skronie, i obróciłem twarzą do siebie.

- Tu siedzi - powiedziała. - Czuję.

- Szwajcarska chłopka załatwiłaby to czubkiem języka.

- Wylizała?

- Chcesz, żebym spróbował?

- Jasne - odpada. Delikatnie pociągnąłem swym drżącym żądłem, pod którym turlała się słona gałka.

- Bosko - mruknęła, mrugając. - Rzeczywiście wyszło.

- Teraz drugie?

- Głupi - zaczęła - przecież tam nic nie... - lecz widząc moje nadciągające wargi, złożone w ciup... - Dobra - zgodziła się, gotowa współdziałać, a ponury Humbert pochylił się ku jej cieplej, uniesionej, zarumienionej twarzy i przywarł ustami do trzepoczącej powieki. Lo parsknęła śmiechem i muskając mnie w przelocie, wypadła z pokoju. Serce miałem jakby wszędzie naraz. Nigdy - nawet pieszcząc swą dziecięcą miłość we Francji - nigdy jeszcze...

Noc. W życiu nie zaznałem takich cierpień. Chciałbym opisać jej twarz, sposób bycia - i nie mogę, bo pragnienie, które we mnie budzi, odbiera mi wzrok, kiedy ona jest blisko. Nie przywykłem do obecności nimfetek, niech to szlag. Ilekroć zamykam oczy, widzę z niej tylko unieruchomiony wycinek, filmowy fotos, urokliwą gładź dolnych stref, migających nagle spod szkockiej spódniczki, gdy siedzi z ko-

lanem pod brodą i wiąże sznurowadło. „Dolores Haze, *ne montrez pas vos zambes*” (głos jej matki, która myśli, że zna francuski).

Poeta *a mes heures*, ułożyłem madrygał do rzęs czarnych jak sadza, okalających jej bladoszare, puste oczy, do pięciu asymetrycznych piegów na zadartym nosie, do puszku blond, porastającego członków brąz; ale podarłem go i dziś już nie pamiętam. Potrafię opisać Lo (tu wracam do pamiętnika) tylko w najbardziej trywialnej poetyce: powiedzieć, że włosy ma kasztanowe, a usta czerwone jak czerwony, świeżo polizany cukierek, z pięknie pulchną dolną wargą - och, gdybym był pisarką, mógłbym kazać jej pozować nago w nagim świetle! Tymczasem jestem chudym Humbertem Humbertem o grubych gnatach i wełnistej piersi, mam gęste czarne brwi i dziwaczny akcent, a za moim leniwym, chłopcącym uśmiezkiem szumi szambo pełne zgangrenowanych potworów. Ona też skądinąd nie jest kruchym dzieckiem z literatury kobiecej. Do szaleństwa doprowadza mnie dwoista natura tej nimfetki, może zresztą każdej; to, że u mojej Lolity tkliwa, marzycielska dziecinność idzie w parze z czymś niezmiernie wulgarnym, co ma swój rodowód w perkatej śliczności reklam i ilustrowanych czasopism, w mętnej różowości nieletnich pokojówek ze Starego Kraju (które trąca stratowanymi stokrotkami oraz potem); i w bardzo młodych ladacznicach przebieranych za dzieci w prowincjonalnych burdelach; a jeszcze miesza się w to nadzwyczajna, nieskazitelna tkliwość, przesącza się przez piżmo i mierzwę, przez szlam i zgon, o Boże, o Boże. Najbardziej zaś zdumiewa fakt, że ona, t a *Lolita*, m o j a Lolita, narzuciła indywidualną postać pradawnej chuci Autora, toteż przede wszystkim i nade wszystko jest - Lolita.

Środa. „Weź powiedz mamie, żeby nas jutro zabrała nad Klepsydre”. Tak słowo w słowo rzekła do mnie wszetecznym szeptem moja dwunastoletnia flama, kiedy zderzyliś-

my się przypadkiem na frontowej werandzie - ja w drodze na dwór, ona do domu. Odblask popołudniowego słońca, olśniewająco biały brylant mieniący się niezliczonym mnóstwem kolców, migotał na obłym odwołku zaparkowanego auta. Olbrzymi wiąz wygrywał swym listowiem pogodne cienie na oszalowanej ścianie domu. Dwie topole dygotały i drżały. Słysząc było amorficzne echo dalekich pojazdów; jakieś dziecko wołało „Nancy, Naaancy!”. W domu Lolita puściła swoją ulubioną płytę, *Małą Carmen*, o której mówiłem „Picadoracja”, a ona kwitowała ten mój rzekomy żart rzekomo wzgardliwym puchnięciem.

Czwartek. Wczoraj wieczorem siedzieliśmy na piazzy, baba Haze, Lolita i ja. Ciepły zmierzch zgęstniał w miłosny mrok. Staruszka właśnie skończyła szczegółowo streszczać film, który obie widziały zimą. Bokser stoczył się na samo dno, zanim spotkał poczciwego starego księdza (który w czasach dziarskiej młodości też był bokserem, a i teraz potrafił wygrzmocić grzesznika). Siedzieliśmy na podłodze, na stercie poduszek, L. między mną a kobietą (wcisnęła się w środek, pieszczoszka). Potem ja z kolei zacząłem przezbawna opowieść o swych podbiegunowych przygodach. Muza inwencji podała mi karabin, zabiłem więc białego niedźwiedzia, a on usiadł i rzekł: Ach! Przez cały czas dotkliwie świadom bliskości L., mówiąc, gestykulowałem w miłosiernym mroku, żeby móc dzięki tym niewidzialnym gestom dotykać jej dłoni, jej ramienia, a także baletniczki z weby i gazy, którą w zabawie raz po raz kładła mi na kolanach; a kiedy wreszcie całkiem omotałem swe świetliste ukochanie splotem eterycznych pieszczot, ośmieliłem się pogłodzić ją po nagiej nodze, po smudze agrestowego męszku porastającej goleń, i podśmiewałem się z własnych żartów, a drżałem, i ukrywałem ten dygot, a parokrotnie wyczułem spiesznymi ustami ciepło jej włosów, gdy niuchając na chybcika, raczyłem ją komiczną kwestią na

stronie i głaskałem zabawkę. L. też dosyć się wierciła, więc w końcu matka ostrym tonem kazała jej przestać i trzepnęła lalkę, aż ta pofrunęła w ciemność, ja zaś ze śmiechem powiedziałem coś do starej Haze, nachylając się nad nogami nimfetki, żeby moja dłoń mogła popełznąć wzwyż po jej plecach i pomacać skórę przez chłopięcą koszulę.

Wiedziałem jednak, że sprawa jest beznadziejna, chory z tęsknoty, w żałośnie opiętym ubraniu, i prawie się ucieszyłem, kiedy spokojny głos matki wreszcie oznajmił wśród mroku: „A teraz panuje ogólna zgoda co do tego, że Lo powinna iść spać”. „Zgoda zgredów”, burknęła Lo. „Czyli nici z jutrzejszego pikniku”, powiedziała Haze. „Żyjemy w wolnym kraju” - Lo na to. Kiedy odeszła, gniewnie parszając, z czystej inercji zostałem na miejscu, a Haze zapaliła dziesiątego już tego wieczoru papierosa i zaczęła narzekać na Lo.

Była złośliwa, proszę sobie wyobrazić, kiedy miała zaledwie rok: wyrzucała zabawki z kołyski, żeby biedna matka musiała co chwila się po nie schylać. Niegodziwe niemowlę! Dziś ma dwanaście lat i jest istnym utrapieniem – twierdziła Haze. Jedyne, czego chce od życia, to tańczyć jitterbuga albo zostać maskotką drużyny piłkarskiej i przed każdym meczem paradować i brykać z batutą. Stopnie ma kiepskie, ale w nowej szkole jest lepiej przystosowana niż w Pisky (w rodzinnym mieście Haze na Środkowym Zachodzie. Dom w Ramsdale należał do jej nieboszczki teściowej. Przeniosły się przed niespełna dwoma laty).

- A czemu tam źle się czuła?

- Och - westchnęła Haze. - Właściwie nie powinnam jej się dziwić. Miałam przecież nieszczęście przejść przez to samo, kiedy byłam mała: chłopcy wykręcają człowiekowi ręce, wpadają na niego z naręczami książek, ciągną za włosy, siniaczą piersi, zadzierają spódnice. Oczywiście huśtawka nastrojów obowiązkowo towarzyszy dorastaniu, ale Lo już

przesadza. Jest posepna i wykrętna. Niegrzeczna i wyzywająca. Viole, tę małą Włoszkę ze swojej klasy, dźgnęła wiecznym piórem w siedzenie. Wie pan, czego bym chciała? Gdyby monsieur został tu do jesieni, poprosiłabym, żeby pomógł jej pan odrabiać lekcje - bo panu, zdaje się, nic nie sprawia kłopotu, geografia, matematyka ani francuski.

- Ależ nic - odparł monsieur.

- Czyli - szybko podchwyciła Haze - b ę d z i e pan tu jesienią! Tak - chciałem krzyknąć - zostanie na wieki wieków, byle świeża mi nadzieja, że czasem zdołam popieścić swoją uczennicę *in spe*. Miałem się jednak na baczności przed Haze. Stęknąłem więc tylko, przeciągnąłem się nieobowiązkowo (*le mot juste*) i wkrótce poszedłem do siebie na górę. Ale kobieta najwidoczniej nie była jeszcze gotowa powiedzieć sobie: dość na dziś. Leżałem już w zimnym łóżku, oburącz tuląc do twarzy wonne widmo Lolity, gdy usłyszałem, jak niez mordowana gospodyni sunie chyłkiem ku moim drzwiom i szepcze przez nie, że chce się po prostu upewnić, czy już przeczytałem ten numer „Cmoku i Smaku”, który pożyczyłem przed paroma dniami. Lo wrzasnęła ze swojego pokoju, że to ona go ma. Niezła wypożyczalnia działa u nas w domu, niech ją boski piorun strzeli.

Piątek. Ciekawe, co by powiedzieli moi akademiccy wydawcy, gdybym w swoim podręczniku zacytował *la vermeillette fente* Ronsarda lub Remy'ego Belleau *un petit mont feutré de mousse delicate, trace sur le milieu d'un fillet escarlatte* i tym podobne. Chyba dostanę kolejnego ataku nerwowego, jak jeszcze trochę pomieszkam w tym domu, zmagając się z nieznośną pokusą, obok mojej ukochanej - najukochańszej - mojego życia, mojej oblubienicy. Czy matka natura już ją wprowadziła w Misterium Miesiączki? Uczucie spęcznienia. Klątwa Irlandczyków. Spadanie z dachu. Ciotka z wizytą. „Pani Macica (przytaczam za pewnym pismem dla dziewcząt) zaczyna szykować grubą,

miękką ścianę, bo a nuż zjawi się bobo i trzeba będzie mu pościelić”. Maleńki wariat w swej wyścielanej celi.

Nawiasem mówiąc, jeśli kiedyś popełnię poważne morderstwo... „Jeśli”, powiadam. Powinienem jednak mieć ważniejszy motyw niż w historii z Walerią. Podkreślam z całym naciskiem, że wtedy byłem dość nieporadny. Gdybyście w końcu postanowili upichcić mnie na śmierć, pamiętajcie, że tylko napad obłądu mógłby mi dać tę prostą energię, której potrzeba, żebym przedzierzgnął się w zwierzę (cały ten fragment skorygowany, być może). Czasem śni mi się, że usiłuję kogoś zabić. Ale wiecie, co się wówczas dzieje? Mam, powiedzmy, pistolet. Celuję z niego, powiedzmy, w uprzejmego, spokojnie zaciekawionego wroga. Naciskam spust, i owszem, ale kolejne kule bezsilnie kapią na podłogę ze stropionej lufy. W tych snach myślę wyłącznie o tym, żeby ukryć fiasko przed adwersarzem, który pomału zaczyna się irytować.

Dziś przy kolacji stara kocica powiedziała do mnie, błyskając z ukosa w stronę Lo szpilą matczynej kpiny (właśnie opisywałem nonszalanckim tonem uroczy wąsik, który prawie już postanowiłem zapuścić i strzyc): „Proszę tego nie robić, bo ktoś tu do reszty zbikuje”. Lo natychmiast odepchnęła swój talerz gotowanej ryby, o mało nie przewracając szklanki z mlekiem, i wybiegła z jadalni. „Czy bardzo byłoby panu nudno - rzekła Haze - wybrać się z nami jutro nad Klepsydrę, jeśli Lo przeprosi za swoje zachowanie?”.

Słyszałem potem głośnie trzaskanie drzwiami i inne tektoniczne hałasy dobiegające z rozdygotanych pieczar, w których dwie rywalki darły koty.

Nie przeprosiła. Figa z jeziora. A mogło być miło.

Sobota. Już od paru dni zostawiam drzwi uchylone, kiedy siadam do pisania; ale dopiero dziś pułapka zadziałała. Z wielkim wzdraganiem i wzdryganiem, powłóczę i szurając nogami, żeby nie dać po sobie poznać, w jakie zakłopotanie

wprawia ją to, że odwiedza mnie nie wzywana, Lo weszła, pokręciła się po pokoju i niebawem zaciekały ją koszmarnie esy-floresy, które nakreśliłem piórem na kartce. Nie był to bynajmniej owoc natchnionej pauzy literata między dwoma akapitami, lecz ohydne hieroglify (dla niej nieczytelne) mych zgubnych żądź. Siedziałem przy biurku, a gdy zwiesiła nad nim swe kasztanowe kędziory, Humbert Zachrypnięty objął ją ramieniem, stwarzając żałosny pozór poufałości między dwojgiem krewnych; wpatrzona - odrobinę krótkowzrocznie - w trzymaną w ręku kartkę, niewinna mała wizytantka z wolna osunęła się na moje kolano i zastygła na nim, pólsiedząc. Przeuroczy profil, rozchylone usta i ciepłe włosy znalazły się o dziesięć centymetrów od mego obnażonego górnego kła; przez niesforne urwisowskie ubranko czułem żar jej członków. Od razu zrozumiałem, że mogę całkiem bezkarnie pocałować ją w szyję lub w kącik ust. Czułem, że pozwoli, a nawet przymknie oczy, jak uczy Hollywood. Ot, podwójne lody waniliowe polane gorącą czekoladą - wielkie mi co. Nie umiem wytłumaczyć swemu wykształconemu czytelnikowi (którego brwi, podejrzewam, zdążyły tymczasem zawędrować na łysą potylicę), otóż nie umiem mu wytłumaczyć, skąd to wiedziałem; może uchem małpoluda podświadomie wychwyciłem lekką zmianę rytmu w oddechu Lolity - teraz bowiem właściwie już nie patrzyła na moje gryzmoły, ale czekała z ciekawością i opanowaniem - o, kryształowa nimfetko! - aż czarujący lokator zaspokoi pragnienie, które go zabija. Nowoczesna dziewczynka, zapalona czytelniczka czasopism filmowych, konserka sennie powolnych najazdów kamery mogłaby zbytnio się nie dziwić, przypuszczałem, gdyby przystojny, dorosły, wybitnie męski przyjaciel... za późno. Dom rozbrzmiał nagle donośnym głosem Louise, która opowiadała pani Haze - ta bowiem właśnie wróciła z miasta - jak wespół z Lesliem Tomsonem znalazła w piwnicy jakieś zdechłe

stworzenie, a mała Lolita nie była z tych, co przegapią taką historię.

Niedziela. Zmienna, narowista, pogodna, niezdarna, wdzięczna wyuzdanie źrebięcym, jeszcze nie nastoletnim wdziękiem, druzgocąco ponętna, od stóp do głów (całą Nową Anglię za pióro pisarki!), od czarnej kokardy z fabrycznym węzłem i spinek przytrzymujących włosy aż po małą bliznę u dołu zgrabnej łydki (tam gdzie kopnął ją pewien wrotkarz z Pisky), parę centymetrów nad szorstką białą skarpetą. Pojechała z matką do Hamiltonów - urodziny czy coś w tym guście. Bawełniana sukienka z sutą spódnicą. Gołębiczki ma już chyba nieźle wyrosnięte. Dojrzeć jej spieszo, pieszczołce!

Poniedziałek. Deszczowy ranek. *Ces matins gris si doux...* Moją białą piżamę zdobi na plecach deseń bzu. Niczym nadmuchany błady pająk, jeden z tych, które widuje się w starych ogrodach, tkwię w środku świetlistej sieci i leciutko szarpie to za tę, to za tamtą nitkę. Moja sieć oplata cały dom, gdy tak nasłuchuję, siedząc w fotelu niczym szczywany czarodziej. Czy Lo jest u siebie w pokoju? Łagodnie pociągam za jedwabne pasmo. Nie, nie ma jej. Dopiero co słyszałem, jak tekturowa rurka papieru toaletowego obraca się, terkocząc staccato; a moja czujnie zarzucona nie wykryła niczyjego stąpania, gdy przemierzyłem nią trasę powrotną z łazienki do pokoju Lolity. Czyżby wciąż jeszcze myła zęby (jedyny zabieg higieniczny, któremu oddaje się z prawdziwym zapałem)? Nie. Drzwi łazienki przed chwilą zatrzęsnięto, trzeba więc w innej części domu łowić piękną, ciepłobarwną zdobycz. Spuśćmy po schodach jedwabne włókienko. Tym sposobem upewniam się, że nie ma jej w kuchni - nie trzaska drzwiami lodówki ani nie drze się na zniecierpianą mamę (która zapewne grucha, powściągliwie rozweselona, delektując się trzecią już tego ranka rozmową przez telefon). No cóż, nie trapiamy się, lecz tropmy

dalej. Wślizguję się promieniem myśli do salonu i stwierdzam, że radio milczy (a mamma wciąż rozmawia z panią Chatfield albo z panią Hamilton, cichutka, zarumieniona, uśmiechnięta, wolną ręką osłania słuchawkę, przecząc przez domniemanie, że przeczy zabawnym plotkom, do których powód dał plotkarkom lokator, i szepcze poufnie, tak jak nigdy tej ostro skrojonej damie nie zdarza się szepnąć twarzą w twarz z rozmówcą). Czyli mojej nimfetki w ogóle nie ma w domu! Znikła! Zamiast pryzmatycznego splotu jest tylko stara, szara pajęczyna, pusty, martwy dom. I wtedy zza moich półotwartych drzwi rozlega się słodki, cichy chichot Lolity: „Tylko się nie wygadaj przed mamą, że wyjadłam ci cały boczek”. Wypadam za próg, ale już się ulotniła. Lolito, gdzie jesteś? Taca z moim śniadaniem, które przygotowała troskliwa gospodyni, szczerzy się w bezzębnym uśmiechu, czekając, aż wniosę ją do pokoju. Lola, Lolita!

Wtorek. Chmury znowu udaremniły piknik nad nieosiągalnym jeziorem. Czyżby machinacje Losu? Wczoraj przymierzyłem przed lustrem nowe kąpielówki.

Środa. Po południu Haze (rozsądne buty, prosta sukienka od krawcowej) oświadczyła, że jedzie do miasta po prezent dla przyjaciółki swojej przyjaciółki i może bym zechciał jej towarzyszyć, bo tak świetnie się znam na tkaninach i wonnościach. „Proszę wybrać swój ulubiony wabik” – zamruczała jak kotka. Cóż miał począć Humbert, przedstawiciel branży perfum? Osaczyła mnie między frontową werandą a samochodem. „Szybciej” - dodała, kiedy mozolnie giąłem w pół swą pokaźną postać, żeby się wczołgać do auta (zarazem myśląc z desperacją, jak by tu się wymknąć). Zapaściła silnik i właśnie miotała nobliwe klątwy, bo tarasowała jej drogę furgonetka, która przywiozła starej pannie Wizawce nowiutki wózek inwalidzki i akurat zakręcała na wstecznym, gdy z okna salonu dobiegł ostry głosik mojej Lolity:

„Hej! A wy dokąd? Ja też z wami jadę! Poczekajcie!”
„Proszę na nią nie zwracać uwagi” - zaskowyczała Haze (i zaraz zgasł jej silnik); niestety, prześliczna automobilistko; Lo ciągnęła już za klamkę drzwiczek po mojej stronie. „To po prostu nie do wytrzymania”, zaczęła Haze; ale Lo zdążyła się tymczasem wgramolić, trzęsąc się z uciechy. „Rusz tyłek”, powiedziała do mnie. „Dolly!”, krzyknęła Haze (zerkając na mnie z ukosa, w nadziei, że wyrzucę pyską Lo). „O, dollo nieszczęsna!”, odparła Lo (nie po raz pierwszy) i w tejże chwili targnęło ją w tył, i mną także, bo wóz nagłym susem ruszył naprzód. „To nie do wytrzymania”, ciągnęła Haze, gwałtownie wrzucając dwójkę, „żeby mała dziewczynka była taka źle wychowana. I uparta. Chociaż wie, że nikt jej tu nie chce. I że powinna się wykąpać”.

Knykciami dotykałem dżinsów dziewczynki. Była boso; na paznokciach stóp miała resztki wiśniowego lakieru, a na wielkim palcu kawałek plastra; Boże, co bym dał, żeby natchmiast, tak jak tam siedziałem, ucałować te stopy o delikatnym kościcu i długich palcach, podobne do małpich! Jej dłoń nagle wśliznęła się w moją, więc niepostrzeżenie dla naszej przyzwoitki przez całą drogę trzymałem, głaskałem i ścisakałem tę gorącą łapkę, aż do samego sklepu. Naszej sterniczce lśniły marlenie nozdrza, strząsnąwszy lub spaliwszy swój przydział pudru, a ona elegancko monologowała a propos ruchu na mijanych ulicach, uśmiechała się z profilu, z profilu odymała usta i także z profilu trzepotała umalowanymi rzęsami, gdy ja modliłem się, żebyśmy nigdy nie zajechali pod sklep, co się jednakowoż w końcu stało.

Nie mam nic do dodania, prócz tego, że *primo*: w drodze powrotnej duża Haze kazała małej Haze usiąść z tyłu, a *secundo*: „Wyboru Humberta” postanowiła nikomu nie oddawać, lecz namaścić nim nasadę własnych kształtnych uszu.

Czwartek. Za tropikalny początek miesiąca płacimy grabobiciem i wichurą. W jednym z tomów *Encyklopedii młodzieżowej* znalazłem mapę Stanów, którą dziecinną rączka zaczęła kopiować ołówkiem na przebitce, a na odwrocie, na tle niedokończonego konturu Florydy z Zatoką Meksykańską, widnieje skserowany wykaz nazwisk - pewnie lista obecności uczniów z jej klasy. Wiersz, który znam już na pamięć.

Angel, Grace
Austin, Floyd
Beale, Jack
Beale, Mary
Buck, Daniel
Byron, Marguerite
Campbell, Alice
Carmine, Rose
Chatfield, Phyllis
Clarke, Gordon
Cowan, John
Cowan, Marion
De Los Destinos, Aubrey
Duncan, Walter
Falter, Ted
Fantasia, Stella
Flashman, Irving
Fox, George
Glave, Mabel
Goodale, Donald
Green, Lucinda
Hamilton, Mary Rose
Haze, Dolores
Honeck, Rosaline
Knight, Kenneth

McCoo, Virginia
McCrystal, Vivian
Miranda, Anthony
Miranda, Viola
Rosato, Emil
Schlenker, Lena
Scott, Donald
Sheridan, Agnes
Sherva, Oleg
Smith, Hazel
Talbot, Edgar
Talbot, Edwin
Wain, Lull
Williams, Ralph
Windmuller, Louise

Wiersz, wierę! Jakże dziwnie i słodko było odnaleźć tę „Haze, Dolores” (ją samą!) w przedziwnym gaju imion, w eskorcie róż - księżniczkę elfów między dwiema damami dworu. Usiłuję zanalizować rozkoszny dreszcz, który przebiega mi po krzyżu na widok tego imienia pośród tylu innych. Cóż to takiego podnieca mnie prawie do łez (gorących, opalizujących, gęstych łez, jakie leją poeci i kochankowie)? Właściwie co? Tkliwa anonimowość tego imienia, spowitego woalem oficjalności („Dolores”), oraz abstrakcyjna transpozycja, która poprzedza imię nazwiskiem i jest jak nowa para rękawiczek albo maska? Czy właśnie „maska” to słowo-klucz? Czy dzieje się tak dlatego, że zawsze rozkoszą tchnie półprzezroczysty sekret, powiewny kwef, gdy ciało i oko, które tobie jako jedynemu wybrańcowi wolno będzie poznać, mimochodem uśmiecha się przezeń do ciebie jedyne? A może dlatego, że tak dokładnie staje mi przed oczami reszta barwnej klasy wokół mej boleściwej, mglistej ukochanej: Grace i jej dojrzałe pryszcze; Ginny

i wlokąca się za nią noga; Gordon, wynędzniały onanista; Duncan, cuchnący błazen; Agnes, co obgryza paznokcie; Viola, ta od wągrows i pneumatycznego biustu; śliczna Rosaline; smągła Mary Rose; urocza Stella, co dawała się dotykać nieznanym; Ralph, co pomiata i kradnie; Irving, którego mi żal. I wreszcie ona, zbłąkana gdzieś pośrodku, obgryza ołówek, nauczycielki jej nie cierpią, a wszyscy chłopcy wlepiają wzrok we włosy i kark m o j e j Lolity.

Piątek. Marzy mi się jakaś gigantyczna katastrofa. Trzęsienie ziemi. Efektowny wybuch. Jej matka ulega kasacji, nieapetycznej, lecz niezwłocznej i nieodwracalnej, a wraz z nią reszta ludności w promieniu wielu kilometrów. Lolita chlipie w moich ramionach. Nareszcie wolny, sycę się nią wśród ruin. Jej zaskoczenie, moje wyjaśnienia, lekcje pogładowe, zawodzenia. Gnuśne i głupie mrzonki! Odważny Humbert pobawiłby się z nią najobrzydliwiej, jak można (choćby wczoraj, kiedy znowu wstąpiła do mojego pokoju, żeby mi pokazać swoje rysunki, sztukę szkolnego chowu); może by ją przekupił - i uszłoby mu na sucho. Typ prostszy i bardziej praktyczny roztropnie trzymałby się rozmaitych dostępnych na rynku namiastek - bo niektórzy wiedzą, gdzie szukać, ale nie ja. Mimo męskiej prezencji jestem straszliwie nieśmiały. Moja romantyczna dusza cała się poci i trzęsie na myśl, że mogłaby jej się przytrafić jakaś okropnie nieprzyzwoita przykrość. Te sprośne potwory morskie. *Mais allez-y, allez-y!* Annabel podskakuje na jednej nodze, wciągając szorty, ja, z furii bliski torsji, usiłuję ją zasłonić.

Tego samego dnia, później, całkiem późno. Zapaliłem światło, żeby zapisać sen. Było oczywiste, co go zainspirowało. Przy kolacji Haze łaskawie obwieściła, że skoro meteorolodzy zapowiadają słoneczny koniec tygodnia, w niedzielę po mszy pojedziemy nad jezioro. Kiedy potem leżałem w łóżku i nie próbując jeszcze zasnąć, snułem erotycz-

ne rojenia, wymyśliłem wreszcie fortel, dzięki któremu miałem wyciągnąć z zaplanowanego pikniku pewien profit. Zdawałem sobie sprawę, że matka Haze nienawidzi mojej kochaneczki, bo ta we mnie się durzy. Program dnia nad jeziorem ułożyłem więc pod takim kątem, żeby dogodzić matce. Postanowiłem rozmawiać tylko z nią; miałem jednak zamiar powiedzieć w stosownej chwili, że zostawiłem zegarek albo ciemne okulary: o, tam - na polanie - i wraz ze swą nimfetką dać nura w gąszcz. Tu rzeczywistość ustąpiła placu i Szukanie Szkieł zamieniło się w cichą orgietkę z udziałem osobliwie uświadomionej, rozradowanej, zepsutej i uległej Lolity, która zachowywała się tak, jak wedle wszelkich rozsądnych przypuszczeń zachować by się żadną miarą nie mogła. O trzeciej nad ranem wziąłem proszek i natychmiast sen - nie ciąg dalszy, lecz parodia moich marzeń - z poniekąd znamionną wyrazistością ukazał mi owo nigdy jeszcze nie widziane jezioro: pokrywała je tafła szmaragdowego lodu, a ospowaty Eskimos daremnie usiłował przebić ją oskardem, choć ze żwiru na brzegach wykwiwały importowane mimozy i oleandry. Nie wątpię, że doktor Blanche Schwarzmann dałaby mi wór szylingów za to, że wzbogaciłem jej kartotekę taką libidrzemką. Niestety, dalszy ciąg snu był jawnie eklektyczny. Duża Haze i mała Haze jechały konno wokół jeziora i ja także jechałem w sumiennych podskokach, w pałakowatym rozkroku, choć między nogami zamiast konia miałem tylko elastyczne powietrze: ot, jedno z przeoczeń spowodowanych rozartganiem dystrybutora snów.

Sobota. Serce wciąż jeszcze mi łomocze. Wciąż jeszcze wiję się i jęczę basem w retrospektywnym zawstydzeniu.

Widok od strony grzbietu. Lśniący skrawek skóry między podkoszulkiem a białymi spodenkami gimnastycznymi. Wychylona przez parapet rwie liście z topoli za oknem, pochłonięta burzliwą rozmową z gażeciarzem (Kenneth

Knight, podejrzewam), który stoi na dole, a przed chwilą z nader precyzyjnym łaskotem wrzucił nam na werandę „Ramsdale Journal”. Zacząłem się ku niej podkradać - „pokraczyć”, jak mawiają mimowie. Moje ręce i nogi przeistoczyły się w wypukłe powierzchnie, a ja - nie tyle opierając się na nich, ile wisząc między nimi - z wolna zbliżałem się jakimś nieokreślonym sposobem lokomocji: Humbert – Poharatany Pająk. Musiały minąć całe godziny, nim do niej dotarłem: widząc ją jakby przez odwrócony teleskop, pełznąłem niczym paralytyk w stronę jej prężnej pupki, sunąłem na miękkich, wykoślawionych kończynach, straszliwie skupiony. A gdy wreszcie stanąłem tuż za nią, przyszedł mi do głowy nieszczęsny pomysł, żeby fanfaronadą zamaskować swój prawdziwy *manège*, złapałem ją więc za kark i potrząsałem - coś w tym stylu.

- Basta! - krótko i przenikliwie zaskowyczała nieokrzesana mała dziewczka, a Humbert Bez Hucpy z upiornym uśmiechem ponuro podał tyły, ona zaś dalej przekomarzała się z ulicą.

Ale słuchajcie, co było potem. Po lunchu siedziałem w niskim fotelu, usiłując czytać. Nagle dwie zwinne rączki zamknęły mi oczy: podkradła się od tyłu, jakby w baletowej sekwencji powtarzała mój poranny manewr. Palce, którymi próbowała zasłonić słońce, świetliście spurpurowiały, a ona parskała śmiechem, jakby miała czkawkę, i skakała w prawo i w lewo, bo wyciągałem rękę w bok i sięgałem za siebie, nie zmieniając jednak półleżącej pozycji. Musnąłem dłonią jej żwawe, rozchichotane nogi, książka niby sanki zjechała mi z kolan, a pani Haze podeszła i rzekła z pobłażaniem: „Niech ją pan po prostu mocno trzepnie, jeśli panu przerywa uczone medytacje. Uwielbiam ten ogród [powiedziane bez śladu wykrzyknika]. Prawda, że bosko wygląda, cały w słońcu [znaku zapytania też brak]”. Z westchnieniem udawanej satysfakcji obmierzła dama siadła na tra-

wie, podparła się od tyłu rękami, rozcapierzywszy palce, i spojrzała w niebo, lecz niebawem stara piłka tenisowa skozłowała, przeskakując nad nią, a z domu dobiegł głos Lo, która oświadczyła wyniośle: „*Pardonnez*, mamó, wcale w ciebie nie celowałam”. Oczywiście, że nie, moja gorąca pusiu.

12

Był to, jak się okazało, ostatni z mniej więcej dwudziestu wpisów. Jasno z nich wynika, że diabeł pomimo całej swej wynalazczości powtarzał dzień w dzień ten sam schemat. Najpierw mnie kusił - a potem rzucał kłody pod nogi, pozostawiając tylko tępy ból w samym korzeniu mego jestestwa. Dokładnie wiedziałem, co chcę zrobić i jak mogę tego dokonać, nie naruszając niewinności dziecka; zdążyłem już wszak zdobyć jakieś takie doświadczenie w swym pederotycznym życiu; zdarzało mi się wzrokiem posiąść cętkowane nimfetki w parkach; czujnie i bestialsko wkręcić się w najgorętszy, najbardziej zatłoczony kąć miejskiego autobusu, w którym ze skórzanych pętelek zwisały grona dzieci. Ale przez blisko trzy tygodnie przerywano mi wszystkie moje mizerne machinacje. Sprawczynią bywała zazwyczaj Haze (bardziej, czytelnik zechce zauważyć, przerażona perspektywą, że Lo dozna dzięki mnie pewnej przyjemności, niż że ja skosztuję Lo). Namiętność, jaką zapalałem do tej nimfetki - pierwszej w mym życiu, której mogłem wreszcie dosięgnąć niezręcznymi, obolałymi, nieśmiałymi szponami - niechybnie zawiodłaby mnie z powrotem do zakładu zamkniętego, gdyby diabeł nie rozumiał, że musi mi sprawić lekką ulgę, jeśli chce dłużej się mną pobawić.

Czytelnik niewątpliwie również zauważył przedziwny Miraż Jeziora. Byłoby to logiczne posunięcie, gdyby Aubrey De Los Destinos (taki bowiem przydomek chciałbym

nadać swemu osobistemu diabłu) przygotował mi małą fetę na plaży obiecanej, w domniemanym lesie. Lecz obietnica pani Haze okazała się fałszem podszyta: gospodyni nie uprzedziła mnie, że Mary Rose Hamilton (też, swoją drogą, smagła pięknotka) pojedzie z nami i że małe nimfetki będą szeptać na stronie, bawić się na stronie, we dwie miło Spędzając czas, który pani Haze i jej przystojny lokator wypełnią stateczną konwersacją prowadzoną półnago, z dala od natrętnych spojrzeń. Nawiasem mówiąc, natręci rzeczywiście wytrzeszczali oczy i mełli językami. Jakie dziwne jest życie! Spieszno nam odtrącić ten właśnie palec losu, o którego względy zamierzaliśmy się starać. Zanim się pojawiłem, moja gospodyni chciała sprowadzić pewną starszą damę, niejaką pannę Phalen, której matka była niegdyś u jej rodziców kucharką, żeby ta zamieszkała z Lolitą i ze mną, a sama pani Haze, w głębi duszy spragniona sukcesów zawodowych, poszukałaby tymczasem odpowiedniej posady w pobliskim mieście. Bardzo dokładnie wyobrażała sobie całą sytuację: Herr Humbert - zgarbiony okularnik – zjeżdża z bagażem środkowoeuropejskich kufrów, aby porastać kurzem w kącie za stosem starych książek; córunia, niekochana brzydula, pozostaje pod ścisłym nadzorem panny Phalen, która raz już wzięła moją Lo pod swoje sępie skrzydło (a Lo wzdygała się z oburzenia, ilekroć wspominała lato 1944); natomiast pani Haze jest recepcjonistką we wspaniałym, eleganckim mieście. Plany te pokrzyżował pewien niezbyt skomplikowany wypadek. Panna Phalen zła mała nogę w biodrze, a stało się to w Savannah, w Georgii, akurat tego dnia, gdy przybyłem do Ramsdale.

13

Najbliższa niedziela po sobocie, z której zdałem już relację, okazała się równie słoneczna, jak zapowiadali meteorolo-

lodzy. Kiedy stawiałem tacę z resztkami śniadania na krześle przed drzwiami pokoju, żeby pocziwa gospodyni zabrała ją w dogodnej dla siebie chwili, zyskałem taki oto obraz sytuacji, nasłuchując z podestu schodów, zza poręczy, podkradłszy się do niej cichaczem w starych bamboszach - jedynej starej rzeczy, jaka moja jest.

Znowu się pokłóciły. Pani Hamilton zadzwoniła z wiadomością, że jej córce „skoczyła temperatura”. Pani Haze poinformowała swoją z kolei córkę, że piknik trzeba będzie przełożyć na kiedy indziej. Zapalona mała Haze poinformowała dużą zimną Haze, że wobec tego nie pójdzie z nią do kościoła. Doskonale, matka na to, i pojechała sama.

Na podest wyszedłem tuż po goleniu, z umydlonymi opuszkami uszu, tylko w białej piżamie, tej co ma chabry (nie bzy) na plecach; otarłem się więc z mydła, uperfumowałem włosy i pachy, włożyłem szlafrok z fioletowego jedwabiu i nucąc nerwowo - hum, hum! - ruszyłem schodami w dół na poszukiwanie Lo.

Chcę, żeby moi uczeni czytelnicy współuczestniczyli w epizodzie, który za chwilę odtworzę; żeby zanalizowali każdy szczegół i sami zobaczyli, ile cnotliwej ostrożności jest w całym tym słodkim jak wino zdarzeniu, jeśli przyjąć wobec niego postawę, którą mój adwokat w prywatnej rozmowie nazwał „bezsronnym współczuciem”. Zaczynamy więc. Czekaj mnie trudne zadanie.

Główny bohater: Humbert Hymnista. Czas akcji: niedzielny ranek w czerwcu. Miejsce: słoneczny salon. Rekwizyty: stara wersalka w paski, czasopisma, adapter, meksykańskie bibeloty (nieboszczyk Harold E. Haze - niech Bóg ma pocziwca w opiece - spłodził moją miłą w porze sjesty, w pokoju wymalowanym niebieską farbą, na wycieczce do Veracruz podczas miodowego miesiąca, a pamiątki - między innymi sama Dolores - walały się po całym domu). Miała na sobie tego dnia śliczną sukienkę, w której już raz

ją widziałem - obszerna spódnica, obcisły stanik, krótki rękaw - różową, w kratę w ciemniejszym odcieniu różu, żeby zaś uzupełnić kompozycję barw, umalowała usta, a w dolinie jej dłoni spoczywało piękne, banalnie rajskoczerwone jabłko. Nie włożyła jednak butów odpowiednich do kościoła. Biała niedzielna torebka leżała porzucona obok adapteru.

Serce łomotało mi jak bęben, kiedy usiadła przy mnie na wersalce - chłodna sukienka wzdeęła się niczym balon, nim skłęsała z powrotem - i zaczęła się bawić owocem. Podrzuciła go, aż błyszczał wśród pyłków prześwietlonych słońcem, i łapała, a wtedy rozlegał się stulony, glansowany klaps.

Humbert Humbert przechwycił jabłko.

- Oddaj - poprosiła, ukazując marmurkowe rumieńce we wnętrzach dłoni. Udostępniłem delicjusza. Złapała go i od razu wgryzła się w mięsz, a moje serce było jak śnieg pod cienką purpurową skórką, a amerykańska nimfetka z typową dla siebie małpią zwinnością wyszarpnęła mi z roztargnionej garści czasopismo, które przed chwilą otworzyłem (szkoda, że żaden film nie uwiecznił interesującego deseni, monogramicznego węzła naszych ruchów, równoczesnych bądź przecinających się). Raptem - jakby nie przeszkadzało jej trzymane w ręku oszpecone jabłko - popędliwie przekartkowała magazyn, szukając czegoś, co chciała pokazać Humbertowi. Wreszcie znalazła. Udałem zainteresowanie, pochylając się nad nią - tak blisko, że włosami dotykała mojej skroni, a ręką musnęła mój policzek, kiedy nadgarstkiem ocierała usta. Z powodu połyskliwej mgiełki, przez którą widziałem ilustrację, nie dość szybko zareagowałem, więc niecierpliwie tarła i stukała jednym nagim kolaniem o drugie. W końcu wyłonił się mętny obraz: malarz surrealisty wypoczywał na plaży, a tuż obok podobnie jak on leżała na wznak gipsowa kopia *Venus di Milo*, do połowy zagrze-

banu w piasku. Zdjęcie Miesiąca, głośił podpis. Wyrwałem jej to świństwo. Już po chwili - udając, że chce je odzyskać - nakryła mnie sobą. Złapałem ją za szczupły, sękaty nadgarstek. Pismo czmychnęło na podłogę jak spłoszona koczka. Lo wywinęła mi się, odskoczyła i rozparła się w prawym rogu wersalki. A potem bezczelne dziecko z całą prostotą położyło nogi w poprzek moich ud.

Osiągnąłem tymczasem stan podniecenia graniczącego z szaleństwem; byłem jednak zarazem przebiegły jak szaleniec. Siedząc na wersalce, zdołałem dzięki całej serii ukradkowych posunięć dostroić swą zakamuflowaną chuch do jej prostolinijnych członków. Niełatwo było odwrócić uwagę dziewczeczki, gdy dokonywałem sekretnych regulacji, bez których sztuczka udać się nie mogła. Gadałem jak najęty, aż pozostawałem w tyle za własnym oddechem, dościgałem go, symulowałem nagły ból zęba, żeby czymś wytłumaczyć przerwę w paplaninie, z wewnętrznym wzrokiem wariata nieustannie utkwionym w celu, który złociście przyświecał mi z oddali, ostrożnie nasilałem magiczne tarcie, które stopniowo unicestwiała - w sferze iluzji, jeśli nie faktu - fizycznie nieusuwalne, lecz psychologicznie nader kruche struktury materialnych barier (piżamy i szlafroka) między brzemieniem dwóch opalonych nóg leżących na moich udach a ukrytym tumorem karygodnej namiętności. Trajkocząc trzy po trzy natrafiłem na pewien mile mechaniczny motyw, recytowałem więc, z lekkimi wariacjami, głupie słowa popularnej wówczas piosenki - O, moja Carmen, moja mała Carmen, coś tam, coś tam, jakieś tam noce, pełne gwiazd, jazd i zwad z żandarmem; jak automat powtarzałem te bzdury, trzymając ją pod ich szczególnym czarem (zrodzonym właśnie z wariacji) i ani na chwilę nie opuszczała mnie śmiertelna trwoga, że jakaś boska interwencja przerwie mi, zabierze złoty ciężar, w którego odczuwaniu zdawało się skupiać całe moje jestestwo, a niepokój ten kazał mi działać

przez pierwszą minutę z okładem bardziej pospiesznie, niż wymagała tego świadomie modulowana delektacja. Motyw gwizdzących gwiazd i jazgotliwych jazd tudzież zwad z żandarmem podjęła wkrótce Lo, przywłaszczając sobie i korygując melodię, którą tak kaleczyłem. Była muzykalna, a przy tym słodka jak jabłko. Jej nogi podrygiwały z lekka na mym zelektryzowanym łonie; głaskałem je, a ona rozkładała się w prawym rogu, prawie rozkraczała, podłotna Lola, pożerając swój przedwieczny owoc, i śpiewała przez kąpiący sok, i spadał jej kapeć, i tarła piętą w nieświeżej skarpeteczce o spiętrzoną na wersalce po mojej lewej stronie stertę nieświeżych czasopism - a każdy jej ruch, każde przesunięcie czy drgnienie pomagało mi tym bardziej zataić i ulepszyć sekretny system dotykowych korelacji między piękną a bestią - między moim zakneblowanym, spęczniałym bestialstwem a pięknem jej dołeczaków pod niewinną bawełnianą sukienką.

Sunąc czubkami palców po goleniach Lolity, czułem, jak leciuteńko się jeżą mikroskopijne wioski. Zatraciłem się w cierpkim, lecz zdrowym skwarze, który letnią mgłą spowijał małą mglistą Haze. Żeby tak już została, żeby została... Kiedy cała się wyprężyła, rzucając do kominka ogryzek zniweczonego jabłka, na mym spiętym, udręczonym, potajemnie uznojonym łonie przemieścił się jej młody ciężar, bezwstydne niewinne piszczele i krągły tyłeczek; i nagle w moich zmysłach zaszła zagadkowa zmiana. Wkroczyłem na poziom bytu, na którym nie liczyło się nic prócz tego, żeby napawać się wysyconą w mym ciele radością. To, co zaczęło się od rozkosznego rozdęcia moich najskrytszych korzeni, przeszło w iskrzące mrowienie, aby w końcu osiągnąć stadium absolutnego spokoju, ufności i pewności nigdzie poza tym w życiu świadomym niespotykanej. Skoro zaś ta głęboka, gorąca słodycz raz już się wyłoniła i niezłomnie zmierzała ku konwulsyjnemu zwieńczeniu, poczułem, że

mogę zmniejszyć tempo, aby przedłużyć iskrzenie. Zdołałem skutecznie zsolipsyzować Lolitę. Mniemane słońce pulsowało w usługach podstawionych topolach; byliśmy niesamowicie, wręcz bosko sami; widziałem ją, różaną, złotopylną, przez woal swego powściąganego upojenia, całym jej niewiadomego i dalekiego, widziałem ją ze słońcem na ustach, z których wciąż jeszcze padały słowa rymowanki o Carmen z żandarmem, lecz już poza obrębem mojej świadomości. Wszystko było gotowe. Obnażone zostały nerwy rozkoszy. Ciałka Krausego wchodziły w fazę frenetyczną. Najlżejszy nacisk wystarczyłby, aby wyroił się cały raj. Nie byłem już Humbertem Huncwotem, smętnoookim, zwyrodniałym kundyssem, co obłapia cholewę, która lada moment odtrąci go kopniakiem. Wzniostem się ponad mękę śmieszności, ponad groźbę odwetu. W seraju własnej roboty byłem promiennym, krzepkim Turkiem, który z rozmyśłem, w pełni świadom swych swobód, odwleka chwilę, gdy wreszcie uraczy się najmłodsza, najbardziej kruchą niewolnicą. Balansując na krawędzi owej lubieżnej otchłani (wymagało to subtelnej równowagi fizjologicznej, porównywalnej z pewnymi technikami sztuk pięknych), powtarzałem za nią przypadkowe słowa - żandarmem, alarmem, przygarne, ziarnem, achmen, achachmen - jak ktoś, kto gada i śmieje się przez sen, a moja szczęśliwa dłoń pełzła wzwyż po jej słonecznej nodze, tak daleko, jak na to pozwalał cień przyzwoitości. W przeddzień zderzyła się z ciężką skrzynią w hallu, więc...

- Patrz, patrz! - jęknąłem - patrz, co zrobiłaś, co sobie zrobiłaś, och, patrz! - Ujrzałem bowiem, przysięgam, żółto-fioletowy siniak na uroczym udzie nimfetki, które masowałem włochatym łapskiem, z wolna zagarniając, a dzięki jej bagatelnej bieliźnie nic, można by sądzić, nie stało na przeszkodzie, żeby mój muskularny kciuk wkradł się w gorącą

kotline krocza - ot tak, jak łaskocze się i pieści rozchichotane dziecko - nic ponadto - aż w końcu...

- Oj, przecież to drobiazg! - zawołała z ostrą raptem nutą w głosie i nagle się zakręciła, zawierciła, odrzuciła głowę do tyłu, zębami dotknęła lśniącej dolnej wargi i już się ode mnie odwracała, a moje usta jęku pełne, panowie sędziowie, prawie sięgały nagiej szyi nimfetki, gdy kruszyłem o jej lewy pośladek ostatni spazm najdłuższej ekstazy, jakiej kiedykolwiek zaznał człowiek lub potwór.

Zaraz potem (myślałby kto, żeśmy się mocowali i właśnie rozluźniłem chwyt) sturlała się z wersalki i zerwała na równe nogi - a raczej nogę - żeby zająć się przeraźliwie głośnym telefonem, który dzwonił, czy ja wiem, może już od wieków. Stała tak, mrugając raz po raz, z pałającymi policzkami, z rozburzoną fryzurą, zahaczając o mnie wzrokiem równie niefrasobliwie, jak o meble, gdy na zmianę słuchała i mówiła (do matki, która kazała jej przyjść na lunch do Chatfieldów - lecz ani Lo, ani Hum nie wiedzieli jeszcze, co ukartowała nadgorliwa Haze), stukając w kant stołu trzymanym w dłoni kapciem. Bogu dzięki, nic nie zauważyła!

Chusteczką z wielobarwnego jedwabiu, na której spoczęło w przelocie jej zasłuchane spojrzenie, otarłem pot z czoła i, ogarnięty wyzwolenczą euforią, poprawiłem na sobie królewskie szaty. Lo wisiała jeszcze przy telefonie, targując się z matką (chciała, żeby po nią wstąpić samochodem), gdy coraz głośniej śpiewając, pomknąłem po schodach na górę i z łoskotem puściłem do wanny parujący potop.

W tym miejscu mogę właściwie przytoczyć w całości słowa tego przeboju - na tyle, na ile potrafię je sobie przypomnieć, bo nigdy ich chyba dokładnie nie znałem. Oto one:

Moja Carmen, moja mała Carmen!
Coś tam, coś tam, te jakieś tam noce,
Pełne gwiazd, szybkich jazd, zwad z żandarmem;
Nasze klótnie - dziś jeszcze się pocę.

Tamto miasto, i to tak bałamutne
Szczęście nasze, i ostatnia scysja,
I broń, z której cię, Carmen, zatłukłem,
A teraz ją w garści ściskam.

(Pewnie wyciągnął trzydziestkę dwójkę i wpakował kulę swojej lali w limo).

14

Lunch zjadłem w mieście - od lat nie byłem taki głodny. Kiedy wróciłem spacerkiem, dom zionął jeszcze pustką po Lo. Resztę popołudnia spędziłem, dumając, knując, błogo trawiąc poranne przeżycie.

Byłem z siebie dumny. Skradłem miodny dreszcz, nie wystawiając na szwank moralności nieletniej. Bez najmniejszej szkody. Iluzjonista wlał mleko, melasę i spieniony szampan do nowej białej torebki młodej damy; a torebka - o, dollo szczęsna! - pozostała nietknięta. Tak więc delikatnie skonstruowałem swoje haniebne, żarliwe, grzeszne marzenie; a mimo to Lolita była bezpieczna - i ja także byłem bezpieczny. Nie ją szaleńczo posiadałem, lecz swój własny twór, inną, urojoną Lolitę - może nawet rzeczywistą od Lolity; ta wymyślona była po części tożsama z prawdziwą, otulała ją sobą; unosiła się w powietrzu między nami dwojgiem, bezwolnie, bezwiednie - ba..! - bez własnego życia.

Dziecinka nic o tym nie wiedziała. Nic jej nie zrobiłem. Nic też nie stało na przeszkodzie, żebym powtórzył popis,

który nie bardziej na nią oddziałał, niż gdyby była falującym na ekranie obrazem fotograficznym, a ja niby wzgardzony garbus samogwałciłbym się w ciemnościach. Popołudnie sнуło się bez końca w dojrzałej ciszy, a wysokie, bujne drzewa zdawały się być ze mną w zмовie; i oto znów jeło mnie nękać pragnienie, jeszcze silniejsze niż przedtem. Niech szybko wróci, modliłem się do wypożyczonego Boga, a kiedy mamma pójdzie do kuchni, niech powtórzy się scena na wersalce, błagam, uwielbiam ją tak okropnie.

Nie: „okropnie” to niewłaściwe słowo. Uniesienie, którym napełniała mnie wizja nowych rozkoszy, nie było okropne, lecz patetyczne. Widzę w nim patos. Tak, patos - bo choć weneryczna oskoma prażyła mnie ogniem nienasyconym, zamierzałem z jak najgorliwszym zapałem i przecznością chronić czystość dwunastoletniego dziecka.

A teraz zobaczcie, jaka nagroda spotkała mnie za te trudы. Lolita w ogóle nie wróciła - poszła z Chatfieldami do kina. Stół nakryto bardziej elegancko niż zazwyczaj: świece - ni mniej, ni więcej. W tej mdlącej atmosferce pani Haze leciutko dotknęła sztućców po obu stronach swego nakrycia niby klawiszy fortepianu, uśmiechnęła się do pustego talerza (była na diecie) i wyraziła nadzieję, że smakuje mi sałatka (przepis zwędzony z pisma dla kobiet). Nie traciła też nadziei, że smakują mi zimne mięsiwa. Dzień udał się nad podziw. Pani Chatfield to urocza osoba. Phyllis, jej córka, jedzie jutro na obóz letni. Na trzy tygodnie. Lolita, jak postanowiono, wyruszy w czwartek. Zamiast czekać do lipca, bo taki był pierwotny plan. I zostanie tam po wyjeździe Phyllis. Aż zacznie się rok szkolny. Ładne mi widoki, słowo daję.

Ależ mną rzuciło! Czy nie znaczyło to bowiem, że stracę swoją miłą - tuż po tym, jak ją w sekrecie posiadałem? Aby jakoś wytłumaczyć swój ponury nastrój, posłużyłem się

tym samym bólem zęba, który symulowałem już rano. Musiał to być olbrzymi trzonowiec, z dziurą jak wiśnia z koktajlu.

- Mamy tu - powiedziała Haze - doskonałego dentystę. To właściwie nasz sąsiad. Doktor Quilty. Stryj, zdaje się, a może kuzyn tego dramaturga. Myśli pan, że przejdzie? Pańska wola. Jesienią poproszę, żeby jej założył, jak mawiała moja matka, „munsztuk”. Może trochę okiełzna to małą Lo. Obawiam się, że od początku strasznie panu zawraca głowę. A przed jej wyjazdem też czeka nas parę burzliwych dni. Oświadczyła mi w oczy, że nigdzie nie pojedzie, i przyznam, że zostawiłam ją z Chatfieldami, bo bałam się tak od razu stawić jej czoło sam na sam. Film może ją udobruchu. Phyllis to przemiła dziewczynka i Lo nie ma żadnego powodu jej nie lubić. Naprawdę, *monsieur*, bardzo mi przykro, że ząb pana rozboleł. Postąpiłby pan znacznie rozsądniej, pozwalając mi zadzwonić z samego rana do Adama Quilty'ego, jeśli ból nie ustanie. Ale wie pan co, uważam, że jechać na obóz jest dużo zdrowiej, no i, jak to ja czasem mówię, o wiele r o z s ą d n i e j niż dąsać się na podmiejskim trawniku, wymazywać mamie szminkę, napastować nieśmiałych uczonych i wściekać się o byle co.

- Czy jest pani pewna - rzekłem w końcu - że będzie jej tam dobrze? (Wątpła, żałośnie wątpła interwencja!).

- Lepiej niech się o to postara - odparła Haze. - Zresztą nie spędzi tam czasu na samych zabawach. Kierowniczką obozu jest Shirley Holmes: wie pan, ta, co napisała *Dziewczynę przy ognisku*. Obóz pozwoli Dolores Haze rozwinąć się pod wieloma względami - skorzysta na tym jej zdrowie, wiedza, usposobienie. A zwłaszcza poczucie odpowiedzialności wobec innych ludzi. Weźmiemy te świece i posiedzimy chwilę na piazzie, czy woli pan pójść do łóżka i poniańczyć ząb?

Niańczyć ząb.

Nazajutrz pojechały do miasta, żeby kupić rzeczy do zabrania na obóz: każdy ubraniowy sprawunek działał na Lo jak czarodziejska różdżka. Przy kolacji zachowywała się po swojemu, z sarkazmem. Prosto od stołu poszła do siebie na górę i zatopiła się w komiksach kupionych na zimne dni w Kolonii Q (do czwartku tak gruntownie je zgłębiła, że w końcu wcale ich nie zabrała). Ja też wycofałem się do swojej jamy i zacząłem pisać listy. Postanowiłem wyjechać nad morze, a z początkiem roku szkolnego wznowić przerwana egzystencję w domu pani Haze; wiedziałem już bowiem, że nie potrafię żyć bez tego dziecka. We wtorek znów pojechały na zakupy, a mnie poprosiły, żebym odebrał telefon, jeśli pod ich nieobecność zadzwoni kierowniczką obozu. Owszem, zadzwoniła; mniej więcej miesiąc później mieliśmy okazję wspomnieć naszą miłą pogawędkę. W tamten wtorek Lo zjadła kolację u siebie w pokoju. Płakała po zwykłej awanturze z matką i - podobnie jak wcześniej w takich razach - nie chciała mi się pokazać z zapuchniętymi oczami: była jedną z tych dziewcząt o delikatnej cerze, które po solidnej porcji płaczu robią się jakby rozmyte, zaognione i chorobliwie ponętne. Gorzko żałowałem, że ma tak błędne wyobrażenie o mojej prywatnej estetyce, bo wprost uwielbiam ten odcień różowości z palety Botticellego, umęczoną różę w okolicy ust, mokre, zlepione rzęsy; jej wstydliwy kaprys pozbawił mnie też oczywiście wielu sposobności niesienia rzekomej pociechy. Kryło się jednak za tym coś więcej, niż myślałem. Kiedy siedzieliśmy w mroku werandy (bezczelny wiatr pogasił jej czerwone świece), Haze z okropnym śmiechem zwierzyła mi się, że powiedziała Lo, jakoby jej ukochany Humbert w pełni pochwalał plan wyjazdu na obóz.

- No i teraz - ciągnęła - mała się ciska; pretekst: pan i ja chcemy jej się pozbyć; prawdziwy powód: zapowiedziałam, że jutro wymienimy na coś spokojniejszego te nocne fatałaszki, dużo za fikuśne, do których kupna mnie zmusiła. Wie pan, ona widzi w sobie gwiazdkę filmową; a ja widzę w niej krzepkie, zdrowe, ale zdecydowanie pospolite dziecko. I stąd chyba biorą się wszystkie nasze kłopoty.

W środę zdołałem na kilka sekund osaczyć Lo: w bluzie od dresu i zafarbowanych na zielono białych szortach stała na podeście schodów i grzebała w kufrze. Powiedziałem coś, co miało brzmieć przyjaźnie i zabawnie, lecz w odpowiedzi tylko prychnęła, nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem. Zrozpaczony, konający Humbert niezdarnie poklepał ją po kości ogonowej, a wtedy trzepnęła go, i to dosyć boleśnie, jednym z drewnianych prawideł nieboszczyka Haze. - Oszukaniec - powiedziała, gdy wlokłem się na dół i z oszpeconą melancholią rozcierałem obolałą rękę. Nie raczyła zjeść kolacji z Humciem i z mamcią: umyła głowę i poszła do łóżka z tymi swoimi groteskowymi komiksami. A we czwartek cicha pani Haze zawiozła ją do Kolonii Q.

Jak mawiali więksi ode mnie pisarze: „Niech czytelnicy sobie wyobrażą”, itd. Po namyśle stwierdzam, że właściwie mogę dać tym wyobraźniom kopa w siedzenie. Wiedziałem, że pokochałem Lolitę na zawsze; wiedziałem jednak zarazem, że nie zawsze będzie ona Lolitą. Pierwszego stycznia miała skończyć trzynaście lat. Za jakieś dwa lata z nimfетки stałaby się „młodą panienką”, a potem „studentką” - zgrozą nad zgrozami. Słowo „zawsze” odnosiło się wyłącznie do mojej namiętności, do wiecznej Lolity odzwierciedlonej w mej krwi. Ale Lolitę, której grzebień biodrowe jeszcze się nie rozwinęły, Lolitę, którą dziś mogłem musnąć, powąchać, usłyszeć i ujrzeć, Lolitę o piskliwym głosie i gęstych włosach jasnej szatynki - po bokach loki i pukle, z tyłu kędziory - Lolitę o lepkiej, gorącej szyi i wulgarnym

słownictwie („puścić pawia”, „bomba”, „w dechę”, „palant”, „sztywniak”), tę Lolitę, moją Lolitę nieszczęsny Katullus utracić miał na zawsze. Jak więc mogłem sobie pozwolić na to, żeby nie oglądać jej przez dwa miesiące letnich bezsenności? Całe dwa miesiące z dwóch lat jej nimfięstwa - bo tylko tyle jeszcze go pozostało! Powiniennem może przebrać się za poważną, staromodną pannę, offermową Mademoiselle Humbert, i rozbić namiot na obrzeżach Kolonii Q, w nadziei, że rudawe nimfетки zakrzykną: „Przyjmijmy tę uchodźczynię o głębokim głosie!” - i zaciągną smutną, nieśmiało uśmiechniętą Berthe *au Grand Pied* w pobliże swego rustykalnego ogniska. Niech Berthe śpi z Dolores Haze!

Jałowe sny bez zwały. Dwa miesiące piękna, dwa miesiące tkliwości miały być bezpowrotnie strwonione, a ja nie mogłem na to poradzić, nic a nic, *mais rien*.

Ów czwartek krył jednak w swej żółdej miseczce kroplę miodu rzadkiej zaości. Haze miała wywieźć Lo do obozu wczesnym rankiem. Gdy dobiegły mnie rozmaite odjezdne odgłosy, wytoczyłem się z łóżka i wychyliłem przez okno. Pod topolami parkotało auto. Na chodniku stała Louise, osłaniając ręką oczy, tak jakby mała podróżniczka zmierzała już ku niskiemu porannemu słońcu. Gest ten okazał się przedwczesny.

- Pospiesz się! - zawołała Haze. Moja Lolita, która prawie już zdążyła wsiąść i miała właśnie zatrzaskać drzwiczki, otworzyć okno, pomachać na pożegnanie Louise i topolom (ani służącej, ani drzew nigdy więcej nie było jej pisane zobaczyć), przerwała ruch losu: spojrzała w górę - i pomknęła z powrotem do domu (choć wściekła Haze ją wołała). Po chwili usłyszałem, że moja miła wbiega na schody. Serce rozrosło mi się taką mocą, że o mało mnie nie ścięło. Podciągnąłem spodnie piżamy, niecierpliwie otworzyłem drzwi: równocześnie nadbiegła Lolita w niedzielnej sukien-

ce, dysząc, dudniąc butami po schodach, i padła mi w ramiona, a jej niewinne usta stopniały pod srogim naporem mrocznych męskich szczęk, Lolita, skołatane kochanie moje! Już po sekundzie usłyszałem, że galopuje - żywa, nie zgwałcona - na dół. Los ruszył dalej. Jasna noga znikła w aucie, trzasnęły drzwiczki - raz i drugi - i oto Haze za porywczą kierownicą, Haze, której wargi z czerwonej gumy wiły się w gniewnych, bezgłośnych frazach, porwała moją miłą, a panna Wizawka, stara inwalidka, niepostrzeżenie dla nich obu i dla Louise, wątle, ale rytmicznie machała im ze swej winorosłej werandy.

16

Wnętrze mej dłoni było jeszcze alabastrowo pełne Lolity - pełne wspomnień po dziecięco wklęsłych plecach, pełne gładkiego jak alabaster, posuwistego dotyku skóry przez lekką sukienkę, którą marszczyłem to w górę, to w dół, trzymając nimfetkę w ramionach. Pomaszzerowałem do jej skołowanego pokoju, jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi szafy w ścianie i dałem nura w stertę zmiętoszonych ubrań, które tak niedawno miała na sobie. Była tam zwłaszcza jedna różowa szmatka, cienka, rozdarta, z cierpkawym zapaszkiem w szwie. Owinąłem nią ogromne, nabrzmiałe serce Humberta. W moim wnętrzu zbierał dojmujący chaos - musiałem jednak wszystko rzucić i czym prędzej się opanować, bo dotarł wreszcie do mnie aksamitny głos służącej, która cicho wołała ze schodów. Powiedziała, że jest dla mnie wiadomość; przebiwszy moje automatyczne podziękowanie uprzejmym „drobiazg”, pocziwa Louise złożyła w mej drżącej dłoni nieostemplowaną, dziwnie czystą kopertę.

Jest to wyznanie: kocham Cię [tak zaczynał się list; przez jedną paralaktyczną chwilę te rozhisteryzowane gryzmoły wydawały mi się bazgraniną uczennicy]. Zeszłej niedzieli w kościele - niedobry, nie chciałeś mi towarzyszyć, żeby obejrzeć nasze piękne nowe okna! - zeszłej niedzieli, tak niedawno, mój Drogi, kiedy spytałam Wszchemocnego, co mam z tym wszystkim zrobić, kazał mi uczynić właśnie to. Widzisz, nie ma wyboru. Kocham Cię od pierwszej chwili. Jestem kobietą namiętą i samotną, a ty jesteś największą miłością mego życia.

A teraz, mój Drogi, najdroższy, *mon cher, cher monsieur*, już przeczytałeś; już wiesz. Zechciej więc z a r a z spakować się i wyjechać. Potraktuj to jako polecenie gospodyni. Wypraszam z domu lokatora. Wyrzucam Cię za drzwi. Idź! Wynoś się! *Départez!* Wrócę przed kolacją, jeśli uda mi się jechać w obie strony sto trzydzieści na godzinę i uniknąć wypadku (choć, co za różnica?), a nie chcę Cię zastać w domu. Wyjedź, proszę, wyjedź zaraz, n a t y c h m i a s t , nie czytaj nawet do końca tego niedorzecznego listu. Odejdź. *Adieu.*

Sytuacja, *chéri*, jest całkiem prosta. Oczywiście wiem z absolutną pewnością, że nic dla Ciebie nie znaczę, nic a nic. Owszem, lubisz ze mną rozmawiać (i naśmiewać się z biedaczki), polubiłeś nasz przyjazny dom, książki, które cenię, mój piękny ogród, nawet hałaśliwość Lo - ale ja sama jestem dla Ciebie niczym. Prawda? Prawda. Zupełnie niczym. G d y b y ś jednak przeczytawszy moje „wyznanie” stwierdził z właściwym sobie mrocznym, europejskim romantyzmem, że dość Ci się podobam, aby warto było wykorzystać mój list i mnie uwieść, popełniłbyś zbrodnię - gorszą niż kidnaper, kiedy gwałci dziecko. Więc widzisz, *chéri*. G d y b y ś postanowił zostać, g d y b y m zastała Cię w domu (ale wiem, że Cię nie zastanę - i dlatego mogę pisać tak otwarcie), znaczy-

łoby to w moich oczach tylko jedno: że chcesz być dla mnie tym, czym ja dla Ciebie: dożywotnim partnerem; i że gotów jesteś połączyć swe życie z moim na zawsze, na wieki, i zastąpić ojca mojej córeczce.

Pozwól mi bredzić i głądzić jeszcze przez chwilę, Najdroższy, bo przecież i tak wiem, że podarłeś już mój list, a szczątki (nieczytelne) pochłonał wir sedesu. Mój Najdroższy, *mon très, très cher*, przez ten cudowny czerwiec zbudowałam dla Ciebie cały świat pełen miłości! Wiem, jaki jesteś powściągliwy, jaki „angielski”. Twoja małomówność ze starego kontynentu rodem, Twoje poczucie przyzwoitości razić może śmiałość amerykańskiej dziewczyny! Ty, który ukrywasz swoje najsilniejsze uczucia, myślisz pewnie, że jestem bezwstydną małą idiotką, skoro w ten sposób otwieram na ścieżaj to biedne, poturbowane serce. W minionych latach doznałam wielu rozczarowań. Pan Haze, wspaniały człowiek, kryształowa dusza, był jednak o dwadzieścia lat starszy ode mnie, i... lecz dość tych plotek o przeszłości. Najdroższy, z pewnością dostatecznie zaspokoileś już ciekawość, jeśli zignorowałeś moją prośbę i przeczytałeś ten list aż do bolesnego końca. Mniejsza. Zniszcz go i odejdz. Pamiętaj zostawić klucz na biurku w swoim pokoju. I jakiś strzępek adresu, żebym Ci mogła zwrócić dwanaście dolarów czynszu za resztę miesiąca. Żegnaj, Drogi. Módl się za mnie - jeśli czasem się modlisz.

C.H.

Przytaczam z tego listu tyle, ile pamiętam, a to, co pamiętam, pamiętam słowo w słowo (łącznie z okropną francuszczyzną). Był co najmniej dwa razy dłuższy. Pomiąłem pewien liryczny fragment, po którym wtedy też raczej tylko się prześlizgnąłem, o bracie Lolity, zmarłym w wieku

dwóch lat, gdy Lo miała cztery, i o tym, jak byłbym go polubił. Co by tu jeszcze dodać? Aha. Niewykluczone, że „wir sedesu” (do którego zresztą list w końcu trafił) to mój własny trzeźwy przyczynek. Autorka błagała zapewne, że bym spalił jej „wyznanie” w specjalnie roznieconym ogniu.

Pierwszą moją reakcją była odraza i chęć ucieczki. Drugą - uczucie, że przyjacielska dłoń spokojnie legła mi na ramieniu, radząc odczekać. Odczekałem więc. Kiedy minęło oszołomienie, stwierdziłem, że wciąż jestem w pokoju Lo. Nad łóżkiem, między głębią jakiegoś zapiewająco a rzesami aktorki filmowej, wisiała reklama na całą stronę, wydartą z modnie ulizanego czasopisma. Przedstawiała młodego mężczyźnia o ciemnych włosach i ciut jakby wycieńczonym wejrzeniu irlandzkich oczu. Demonstrował on szlafrok projektu Desa, trzymając oburącz tacę w kształcie miniaturowego mostu, wymyśloną przez tegoż projektanta, a na niej śniadanie dla dwojga. W podpisie Wielebny Thomas Moreli określał go mianem „niezwycięzonego zdobywcy”. Gruntownie zdobyta dama (niewidoczna na zdjęciu) zapewne podkładała sobie właśnie poduszki pod plecy, szykując się na przyjęcie swojej połowy tacy. Nie było jasne, jak jej towarzysz pościeli ma się dostać pod mostek, unikając kraksy i papraniny. Lo dla żartu dorysowała strzałkę zwróconą ku twarzy zbiedzonego kochanka i napisała drukowanymi literami: H. H. I rzeczywiście, mimo kilku lat różnicy podobieństwo było uderzające. Pod tym zdjęciem wisiało drugie, też kolorowa reklama. Wybitny dramaturg z powagą palił Dromadera. Zawsze palił Dromadery. Podobieństwo było znikome. Pod ścianą stało cnotliwe łóżko Lo, zasypane komiksami. Z ramy oblazła emalia, pozostawiając czarne, mniej lub bardziej zaokrąglone wyrwy w bieli. Upewniwszy się, że Louise już sobie poszła, położyłem się w tym łóżku i raz jeszcze przeczytałem list.

Panowie sędziowie! Nie mogę przysiąc, czy idea pewnych posunięć dotyczących maglowanego tutaj interesu - że pozwolę sobie spłodzić taki idiom - nigdy przedtem nie powstała mi w głowie. Umysł mój nie zachował jej śladu w żadnej logicznej postaci ani w związku z jakimikolwiek wyraźnie zapamiętanymi okolicznościami; lecz - powtarzam - nie przysięgnę, czy nie bawiłem się nią (że ośmielę się ukuć kolejne wyrażenie) w zmętnieniu myśli, w mroku namiętności. Mogły być chwile - jak znam kolegę Humberta, musiały być takie chwile, kiedy z całą rezerwą brałem pod rozwagę pomysł, żeby poślubić jakąś dojrzałą wdowę (powiedzmy, Charlotte Haze), której na całym szerokim, szarym świecie nie pozostał ani jeden krewny, poślubić wyłącznie po to, aby móc postąpić wedle swego widzimisię z jej dzieckiem (z Lo, z Lolą, z Lolitą). Gotów nawet jestem oznajmić swym dręczycielom, że parę razy chłodno otaksowałem Charlotty ust korale, włosy szatynki tudzież niebezpiecznie głęboki dekolt i bez większego przekonania spróbowałem jakoś ją wpasować w mniej więcej wiarygodny sen na jawie. Wyznaję to na torturach. Może i urojonych, lecz tym straszniejszych. Szkoda, że nie mogę zrobić dygresji i szerzej opowiedzieć, jaki *pavor nocturnus* ohydnie mną targał po nocach, ilekroć wśród chaotycznych lektur mego chłopięctwa uderzało mnie przypadkowe określenie, na przykład *peine forte et dure* (jakiż Geniusz Bólu musiał wymyślić ten zwrot!) albo te przerażające, tajemnicze, podstępne wyrazy: „trauma”, „traumatyczne zdarzenie” i „traumers”. Ale moja relacja i tak jest już wystarczająco nie-spójna.

Po pewnym czasie zniszczyłem list, poszedłem do swojego pokoju i jałem rozmyślać, czochrać sobie włosy, przymierzać swój fioletowy szlafrok i jęczeć przez zaciśnięte

zęby, gdy nagle - nagle, panowie sędziowie, poczułem, że uśmiech Dostojewskiego świtać zaczyna (poprzez grymas, co wykrzywił me usta) niczym dalekie i straszne słońce. Ujrzałem w wyobraźni (dzięki dopiero co uzyskanej, idealnej widoczności) wszystkie zdawkowe pieścizny, którymi mógłby obsypać swą Lolitę mąż jej matki. Tuliłbym ją do siebie trzy razy dziennie, dzień w dzień. Prysłyby wszelkie moje troski, byłbym zdrow. „Lekką cię sadzać łagodnie na kolanie, rodzicielskim całunkiem znacząc tkliwe liczko...”. O, odcytany Humbencie!

A potem z największą ostrożnością, by tak rzec: na poin-tach fantazji - przywołałem obraz Charlotty jako hipotetycznej partnerki. Na Boga, potrafię się zmusić, żeby przynieść jej tę oszczędną połówkę grejpfruta, to odcukrzone śniadanie.

Spocony w bezlitosnym białym świetle, wśród wycia tłumu, tratowany przez spoconych policjantów, Humbert Humbert gotów jest złożyć kolejne „zeznanie” (*quel mot!*), gdy tak nicuje swe sumienie, wydzierając zeń najintymniejszą podszewkę. Nie po to postanowiłem ożenić się z biedną Charlottą, żeby ją usunąć w jakiś wulgarny, makabryczny i niebezpieczny sposób - dodając na przykład pięć tabletek dwuchlorku rtęci do jej przedobiedniej sherry czy coś w tym guście; ale subtelnie pokrewna, farmakopeiczna myśl owszem, zadźwięczała pośród donośnych ech w mym zamglonym mózgu. Czemu miałbym poprzestać na skromnie maskowanych pieściznach, których już spróbowałem? Nasunęły mi się inne afrodyjskie wizje, rozkołysane i uśmiechnięte. Ujrzałem siebie w chwili, gdy zadaję potężny napój nasenny matce i córce, aby pieścić tę ostatnią aż do rana z całą bezkarnością. Dom wypełniało chrapanie Charlotty, a Lolita ledwie oddychała, pogrążona we śnie, bezwładna niczym dziewczuszka z obrazka. „Mamo, jak słowo honoru, Kenny nawet mnie nie dotknął”. „Albo kłamiesz, Dolo-

res Haze, albo to był inkub”. Nie, tak daleko bym się nie posunął.

Humbert Kubiczny knuł zatem i śnił - a czerwone słońce żądzy i decyzji (dwóch rzeczy, które stwarzają żywy świat) wznosiło się coraz wyżej, podczas gdy na szeregach balkonów szeregi liberynów z musującymi kielichami w dłoniach opijały błogość przeszłych i przyszłych nocy. Potem zaś, mówiąc metaforycznie, strzaskałem kielich i śmiało sobie wyobraziłem (byłem już bowiem pijany owymi wizjami i zbyt nisko oceniałem własną dobroć), że mógłbym w końcu szantażem... nie, to za mocne określenie: raczej masażem, sondażem i persyflażem skłonić dużą Haze, aby pozwoliła mi zbliżyć się z małą, bo w przeciwnym razie - jeśli tak dotychczas pobłażliwa Wielka Gołębica spróbuje zabronić mi zabaw z moją, w świetle prawa, pasierbicą - to nie chcę straszyć, ale porzucę biedaczkę. Jednym słowem, w obliczu tak Niestychanej Oferty, wobec bezmiaru i rozmaitości perspektyw byłem bezradny jak Adam, gdy w jabłoniowym sadzie ukazano mu miraż, zapowiadający wcześnie dzieje Orientu.

A teraz odnotujcie takie oto doniosłe oświadczenie: artysta w mej osobie zyskał prymat nad dżentelmenem. Wielkim wysiłkiem woli zdołałem w niniejszym pamiętniku dostrzec swój styl do tonu dziennika, który prowadziłem, kiedy pani Haze była dla mnie wyłącznie przeszkodą. Tamten dziennik już nie istnieje; uznałem jednak, że moim artystycznym obowiązkiem jest wiernie odtworzyć jego akcenty, jakkolwiek fałszywe czy brutalne mi się dziś wydają. Na szczęście opowieść moja dotarła do punktu, w którym mogę przestać wreszcie lżyć biedną Charlotte, czego dotąd niestety wymagał realizm retrospektywny.

Pragnąc oszczędzić biednej Charlotte kilku godzin niepewności na krętej drodze (i może także zapobiec zderzeniu czołowemu, które przekreśliłoby nasze bynajmniej nie-

tożsame marzenia), roztropnie, lecz bezskutecznie spórbo-
wałem porozumieć się z nią przez telefon, zanim wyjedzie
z Kolonii Q. Wyjechała jednak przed półgodziną, a ponie-
waż zamiast niej do telefonu zawołano Lo, powiadomiłem
ją - cały drżący, rozpierany poczuciem władzy nad losem -
że zamierzam się ożenić z jej matką. Musiałem powtórzyć
dwa razy, bo coś ją rozpraszało.

- O rany, ale super! - powiedziała ze śmiechem. - Kiedy
wesele? Czekał chwilę, piesek... Tu jeden piesek dorwał
moją skarpetkę. Wiesz... - i dodała, że chyba będzie fajows-
ko... A ja odkładając słuchawkę, zdałem sobie sprawę, że
kilka godzin spędzonych na obozie wystarczyło, aby nowe
wrażenia zatarły w umyśle Lolity obraz harmonijnego
Humberta Humberta. Jakież jednak miało to teraz znacze-
nie? Wiedziałem, że odzyskam ją po ślubie, odczekawszy
nieco dla przyzwoitości. „Kwiat pomarańczy ledwie zdą-
żyłby zwiędnąć na grobie” - jak może powiedziałyby poeta.
Lecz ja nie jestem poetą. Jestem tylko bardzo sumiennym
kronikarzem.

Po wyjściu Louise zbadałem zawartość lodówki, a
stwierdziwszy, że jest o wiele zbyt purytańska, poszedłem
do miasta i kupiłem najbardziej posilne rzeczy do jedzenia,
jakie udało mi się dostać. Nabyłem też różne znaczne trunki
i parę rodzajów witamin. Nie wątpiłem, że dzięki temu do-
pingowi oraz swym naturalnym rezerwom zdołam zażęg-
nać wszelką żenadę, jaką mogłaby zagrozić moja obojęt-
ność w chwili, gdy będę musiał błysnąć mocnym i niecier-
pliwym płomieniem. Raz po raz zaradny Humbert przywo-
ływał wizję Charlotty przefiltrowanej przez fotoplastikon
męskiej wyobraźni. Oddajmy jej sprawiedliwość, że wyda-
wała się zadbana i kształtna, no i była starszą siostrą mojej
Lolity: wytrwałbym może nawet w tym przekonaniu, gdy-
bym zbyt realistycznie sobie nie wyobrażał jej ciężkich bio-
der, krągłych kolan, dojrzałego biustu, szorstkiej różowej

skóry szyi („szorstkiej” w porównaniu z jedwabiem i miodem) oraz całej reszty tego żalostnego i nudnego stworzenia, jakim jest przystojna kobieta.

Słońce odbywało codzienną rundę po domu, w miarę jak popołudnie dojrzywało do wieczora. Wypiłem szklaneczkę. A potem drugą. I trzecią. Dżin z sokiem ananasowym, ulubiona mieszanka, zawsze zdwaja we mnie zasób energii. Postanowiłem zająć się naszym zaniedbanym trawnikiem. *Une petite attention*. Zarośnięty był ciżbą mleczy, a jakiś przeklęty pies - nie znoszę psów - splugawił kamienne płyty, na których stał niegdyś zegar słoneczny. Mlecze w większości zdążyły już przeobrazić się ze słońc w księżyce. Dżin z Lolitą tańczył we mnie, aż o mało nie runąłem na składane krzesła, kiedy usiłowałem ruszyć je z miejsca. Cielisto-różowe zebry! Bekanie brzmi czasem jak radosne okrzyki - przynajmniej ja tak wtedy bekałem. Stary płot w głębi ogrodu oddzielał nas od pojemników na śmieci i bżów sąsiada; nie było jednak żadnej bariery między frontem naszego trawnika (którego łagodny stok biegł równolegle do jednej ze ścian domu) a ulicą. Mogłem więc wypatrywać (z głupkowskim uśmieszkiem kogoś, kto zamierza spełnić dobry uczynek) powrotu Charlotty: ten zab należało wyrwać, nie zwlekając. Gdy tak miotałem się i ciskałem z ręczną kosiarką, a posiekana trawa optycznie świegotała w niskim słońcu, nie spuszczałem z oka tego fragmentu podmiejskiej ulicy. Wybiegała ona łukiem spod sklepienia Olbrzymich, rozłożystych drzew, mknąc ku nam stromo w dół, mijała ceglany, obluszczony dom starej panny Wizawki i jej spadzisty trawnik (znacznie lepiej utrzymany od naszego), aby zniknąć za naszą frontową werandą, której nie widziałem z miejsca, gdzie radośnie czekałem i czekałem. Mlecze poległy. Odór ich soku mieszał się z ananase. Dwie dziewczuszki, Marion i Mabel, których ruchy zacząłem ostatnimi czasy mechanicznie obserwować (lecz któż mógł

mi zastąpić moją Lolitę?), poszły w stronę głównej alei (skąd spływała kaskadą nasza Lawn Street, Ulica Trawniczna): jedna prowadziła rower, druga pożywiała się z papierowej torby, a obie gadały, ile miały sił w słonecznych głosikach. Leslie, ogrodnik i szofer starej panny Wizawki, Negr nader przyjazny i wysportowany, wyszczerzył się do mnie z daleka i krzyknął, powtórzył okrzyk i poparł go gestem, który miał znaczyć, że jestem dziś w fest formie. Głupi pies najbliższego sąsiada, obrotnego handlarza staroci, pogonił niebieskie auto - ale nie Charlotty. Ładniejsza z dwóch dziewczetek (chyba Mabel) - szorty, stanik o skromnym stanie posiadania, włosy o jasnym połysku: nimfetka, da li Pan! - wróciła biegiem, mnąc papierową torbę, a po chwili fronton rezydencji państwa Humbertostwa skrył ją przed wzrokiem piszącego te słowa Zielonego Capa. Jakaś furgonetka wyskoczyła z liściastego cienia alei, którego strzęp przyłgnał do jej dachu i włókł się za nią, póki się nie urwał, i przemknęła z idiotyczną szybkością: kierowca w bluzie od dresu lewą ręką zahaczał o dach, a tuż obok rwał cwałem pies handlarza staroci. Nastąpiła uśmiechnięta pauza, po niej zaś - śledziłem go z trzepotem w piersi - powrót Błękitnego Sedanu. Widziałem, jak wóz sunie w dół po wzgórzu i znika za rogiem domu. Mignął mi jej spokojny, blady profil. Uświadomiłem sobie, że póki nie wejdzie na piętro, nie dowie się, czy wyjechałem. Minutę później z udreconą miną spojrzała na mnie z okna sypialni Lo. Pognałem na górę i akurat zdążyłem, nim wyszła z pokoju córki.

18

Kiedy panna młoda jest wdową, a pan młody wdowcem; kiedy ona mieszka w naszej Znamienitej Mieścinie od niespełna dwóch lat, a on od niespełna miesiąca; kiedy Mon-

sieur chce jak najszybciej mieć za sobą całe to cholerstwo, a Madame z wyrozumiałym uśmiechem ulega; wtedy, czytelniku, ślub bywa na ogół „cichy”. Panna młoda może sobie darować tiarę z kwiecica pomarańczy przy woalu wąskim na palec, nie poniesie też białej orchidei w modlitewniku. Córeczka oblubienicy mogłaby zaprawić odrobiną jaskrawego karminu ceremonię łączącą H. i H.; ponieważ jednak i tak jeszcze bym się nie ośmielił okazać zbytniej tkliwości Lolicie zagnanej w capi róg, zgodziłem się, że nie warto wrywać dziecińki z jej ukochanej Kolonii Q.

Moja *soi-disant* namiętna i samotna Charlotta była na co dzień rzeczowa i towarzyska. Co więcej, stwierdziłem, że choć nie umie pohamować swego serca ani okrzyków, jest kobietą z zasadami. Natychmiast po tym, jak została moja, powiedzmy, kochanką (pomimo dopingu jej „nerwowy, ochoczy *chéri*” - heroiczny *chéri!* - miał zrazu pewne trudności, które jednak szczerze jej wynagrodził istnym koncertem czułych słówek ze Starego Świata), poczciwa Charlotta odpytała mnie w kwestii moich stosunków z Bogiem. Mogłem odpowiedzieć, iż zajmuję tu stanowisko najzupełniej otwarte; oświadczyłem wszelako - składając hołd świątobliwie wyświechtanemu frazesowi - że wierzę w kosmicznego ducha. Utkwiwszy wzrok we własnych paznokciach, spytała też, czy w mojej rodzinie nigdy nie było pewnej obcej domieszki. Odparowałem, pytając z kolei, czy nadal chciałaby wyjść za mnie, jeśliby dziadek matki mojego ojca okazał się na przykład Turkiem. Odrzekła, iż nie gra to najmniejszej roli; gdyby się jednak kiedykolwiek przekonała, że nie wierzę w Naszego Chrześcijańskiego Boga, popełniłaby samobójstwo. Powiedziała to tak Uroczyście, że przeszedł mnie ciarki. Wtedy właśnie uznałem ją za kobietę z zasadami.

Ależ tak, była bardzo kulturalna: mówiła „przepraszam”, ilekroć lekka czkawka przerwała potok jej wymowy, mówi-

ła „jabłko”, „piętnaście”, a w rozmowach z przyjaciółkami nazywała mnie „panem Humbertem”. Pomyślałem, że będzie jej miło, jeśli wchodząc w krąg miejscowej społeczności, przydam sobie nieco chwały. W dniu naszego ślubu „Ramsdale Journal” wydrukował w rubryce towarzyskiej krótki wywiad ze mną, ozdobiony zdjęciem Charlotty z uniesioną brwią i z literówką w nazwisku („Hazer”). Mimo tego niefortunnego trafu raptowna popularność rozgrzała porcelanowe zakamarki jej serca - a mnie z okrutnej uciechy aż zadrżały grzechotki. Udzielając się w kościele i zawierając znajomość z co lepszymi matkami szkolnych koleżanek Lo, Charlotta zdołała w ciągu jakichś dwudziestu miesięcy stać się jeśli nie znakomitą, to przynajmniej tolerowaną obywatelką miasta, lecz nigdy dotąd nie zaszczycała jej swą uwagą owa ekscytująca *rubrique* - do której w końcu wprowadziłem ją właśnie ja, pan Edgar H. Humbert („Edgara” dodałem ot tak, dla hecy), „pisarz i podróżnik”. Brat pana McCoo notując te dane, spytał, co właściwie napisałem. Z tego, co mu odpowiedziałem, zrobił „szereg książek o Peacocku, Rainbow i innych poetach”. Wspomniano też, że Charlotta i ja znamy się już od ładnych paru lat i że jestem dalekim krewnym jej zmarłego męża. Dałem do zrozumienia, jakobym przed trzynastu laty miał z nią romans, ale tej wiadomości już nie wydrukowano. Charlotte wytłumaczyłem, że rubryka towarzyska wręcz powinna mienić się od błędów.

Snujmy dalej tę dziwną opowieść. Czy kiedy mnie wzwano, abym skonsumował swój awans z lokatora na lowelasa, czułem jedynie gorycz i niesmak? Nie. Pan Humbert przyznaje, że nieco połechtano to jego próżność, z lekka roztkliwiło, a nawet, że po klindze jego spiskowego sztyletu zgrabnie przewinał się motyw skrupułów. Nigdy bym nie pomyślał, że w sumie dość komiczna, choć zarazem dość przystojna pani Haze, która tak ślepo wierzyła w mądrość

swego kościoła i klubu książki, tak manierycznie się wystawiała, tak szorstko, zimno, wzgardliwie traktowała urocze dwunastoletnie dziecko o porośniętych puszkami ramionach, może zmienić się we wzruszającą, bezradną istotę, gdy tylko poczuje me dłonie na sobie, na progu pokoju Lolity, do którego cofała się, cała drżąca, powtarzając: „nie, nie, proszę, nie”.

Jej uroda skorzystała na tej przemianie. Uśmiech, tak dotąd sztuczny, ustąpił miejsca blaskowi bezgranicznego uwielbienia, miękkiemu jakby i wilgotnemu, a ja ze zdumieniem rozpoznałem w tym blasku coś bliskiego prześlizcznym, bezmyślnym, zagubionym minom, które robiła Lo, ilekroć zachwycała się nowym preparatem w stoisku z napojami albo wpatrywała z niemym podziwem w moje kosztowne ubrania, zawsze prosto spod igły. Do głębi zafascynowany obserwowałem Charlotte, gdy przerzucając się rodzicielskimi troskami z jakąś inną damą, wykrzywiła się w tym ogólnonarodowym grymasie kobiecej rezygnacji (oczy w górę, usta obwisłe skosem w bok), który w infantrylnej postaci zauważyłem także u Lo. Przed pójściem do łóżka pijaliśmy koktajle i za ich to pomocą udawało mi się przywołać obraz dziecka, kiedy pieściłem matkę. Ten biały brzuch gościł moją nimfetkę, zwiniętą w kłębek rybkę, w 1934 roku. Te starannie ufarbowane włosy, których sterylność odstręczała mój węch i dotyk, pod lampą w przyciasnym łóżku nabierały chwilami odcienia, jeśli nie konsystencji, loków Lo. Powtarzałem sobie, biorąc w obroty swoją nowiutką, naturalnej wielkości małżonkę, że w sensie biologicznym bliżej Lolity być już nie mogę; że Lotta w wieku swej córki też była ponętą uczennicą, równie ponętą jak jej córka, jak nienarodzona jeszcze córka Lolity. Wymogłem na żonie, żeby wydobyła spod całej kolekcji butów (pan Haze najwidoczniej pałał do nich wielką namiętnością) album sprzed trzydziestu lat, bo chciałem się prze-

konać, jak Lotta wyglądała w dzieciństwie; i chociaż światło było źle dobrane, a stroje bez wdzięku, zdołałem dopatrzeć się niewyraźnego szkicu, pierwszej przymiarki do rysu Lolity, jej nóg, kości policzkowych, zadartego nosa. Lottelita. Lolitchen.

Tak zatem podglądałem przez żywopłoty lat, przez wątle oświetlone okienka. Ilekroć zaś dzięki żałośnie wytrwałym, naiwnie wyuzdanym pieszczotom Charlotta o sutych sutkach i mocarnych udach zdołała mnie przysposobić, abym spełnił swój conocny obowiązek, właśnie za wonią nimfetki rozpaczliwie węszyłem, ujadając w podszyciu mrocznych, butwiejących kniei.

To wprost nie do opisanania, jaka łagodna, jaka wzruszająca była moja biedna żona. Przy śniadaniu, w deprymująco widnej kuchni pełnej chromowego blichtru, z kalendarzem Towar & Co. i przytulną wnęką jadalną (udającą swój odpowiednik z tego Coffee Shoppe, w którym za czasów studenckich gruchali Charlotta i Humbert), siedziała w szkarłatnym szlafroku, z łokciem na plastikowym blacie, podpierając pięścią policzek, i patrzyła z nieznośną czułością, jak konsumuję jajka na szynce. Twarzą Humberta mogła targać newralgia, lecz według Charlotty uroda i żywość tego oblicza szły o lepsze ze słońcem i cieniami liści falującymi na białej lodówce. Moja posepna irytacja była dla niej milczeniem miłości. Mój skromny dochód dodany do jej jeszcze skromniejszego sprawiał na niej wrażenie Olśniewającej fortuny; nie dlatego, że ich suma pozwalała zaspokoić większość mieszczańskich potrzeb, lecz z tej przyczyny, że w oczach Charlotty nawet moje pieniądze lśniły magicznym blaskiem mej męskości, a nasze wspólne konto przypominało południowy bulwar, wzdłuż którego w środku dnia jedną stroną ciągnie się solidny cień, po drugiej zaś gładka struga słońca sięga aż do horyzontu, gdzie wznoszą się różowe góry.

W pięćdziesiąt dni naszego pożycia Charlotta wcisnęła tyleż lat działalności. Biedaczka zaczęła się krzątać wokół spraw, których dawno już poniechała czy wręcz nigdy nie darzyła zbytnim zainteresowaniem, tak jakbym (że pozostanę przy tym proustowskim tonie) żeniąc się z matką ukochanego dziecka, pośrednio obdarzył ją bujną młodością. Z zapalem banalnej miódki świeżo wydanej za mąż jąta „upiększać dom”. Ponieważ znałem każdy jego zakątek - z czasów, gdy nie ruszając się z fotela, kreśliłem w wyobraźni mapę wędrówek Lolity - dawno już wytworzyła się między mną a nim swego rodzaju emocjonalna więź, przywiązałem się nawet do jego brzydoty i brudu, nieomal więc czułem, jak nieszczęsna rudera aż się kuli, bo wcale nie nęci jej kąpiel z ochry i z irchy, z *écru* i z kitu, którą dla niej szykuje Charlotta. Aż tak się, Bogu dzięki, nie rozpędziła, zainwestowała jednak niesłychane mnóstwo energii w mycie rolet, woskowanie szczebelków żaluzji, kupowanie nowych rolet i nowych żaluzji, zwracanie ich do sklepu, wymienianie i tak dalej, w wiecznie płynnym światłocieniu uśmiejców i dąsów, paśców i wahań. Grzebała w kretonach i perkalach; zmieniała obicie wersalki - tej świętej wersalki, na której pewnego razu w filmowym spowolnieniu pękła we mnie rajska banieczka. Przeszawiała meble - i cieszyła się, znalazłszy w traktacie o prowadzeniu domu informację, że „nie jest błędem rozdzielanie pary kanapowych komódek i lamp z tego samego kompletu”. Wzorem autorki dzieła *Twój dom to ty* zniecierliła smukłe krzeselka i stoliki na wrzecionowatych nóżkach. Wierzyła, że pokój szcudrze przeszklony i zasobny w boazerię reprezentuje typ męski, podczas gdy znamionami typu kobiecego są optycznie lżejsze okna i delikatniejsza stolarka. Zamiast powieści, nad których lekturą zastałem ją, kiedy się wprowadziłem, pojawiły się ilustrowane katalogi oraz poradniki „jak urządzić dom”. W firmie pod numerem 4640 na Bul-

warze Roosevelta w Filadelfii zamówiła do naszego dwuosobowego łóżka „kryty adamaszkim materac o trzystu dwunastu sprężynach” - chociaż stary wydawał się dość elastyczny i trwały, aby zdołał udźwignąć wszystko, co dźwigać musiał.

Pochodziła ze Środkowego Zachodu, podobnie jak jej zmarły mąż, a do powściągliwego Ramsdale, perły jednego ze wschodnich stanów, przenieśli się zbyt niedawno, żeby znać już wszystkich miłych ludzi. Owszem, trochę znała jowialnego dentystę, który mieszkał w czymś na kształt rozchwierutanego drewnianego pałacyku przy końcu naszego trawnika. Podczas jednej z kościelnych herbatek spotkała „nadętą” żonę miejscowego handlarza staroci, właściciela białej „kolonialnej” zgrozy na rogu alei. Od czasu do czasu „wizytowała” starą pannę Wizawkę, lecz co znaczniejsze patrycjuszki spośród matron, które odwiedzała, spotykała na przyjęciach pod gołym niebem, wciągała w pogawędki przez telefon - takie wykwintne damy, jak pani Glave, pani Sheridan, pani McCrystal, pani Knight i inne - raczej nieczęsto odwiedzały moją zaniedbywaną Charlotte. W sumie jedyną parą, z którą utrzymywała naprawdę serdeczne stosunki, nieskażone jakąkolwiek *arrière-pensée* ani praktyczną przezornością, byli Farlowowie - ci, co akurat wrócili z Chile (dokąd podróżowali w interesach), w samą porę, żeby przyjść na nasz ślub, na którym zjawili się też Chatfieldowie, rodzina McCoo i parę innych osób (lecz nie pani Staroć ani jeszcze od niej dumniejsza pani Talbot). John Farlow - w średnim wieku, spokojny, spokojnie wysportowany, spokojnie prosperujący handlarz sprzętu sportowego - miał biuro w Parkington, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Ramsdale: to właśnie on dostarczył mi naboje do mojego colta i na jednym z niedzielnych spacerów po lesie nauczył mnie obchodzić się z tą bronią; był też, jak twierdził z uśmiechem, „prawie prawnikiem” i prowadził niektóre

sprawy Charlotty. Jean, jego dość jeszcze młoda żona (i bliska kuzynka), długonoga dziewczyna w kocich okularach, miała dwa boksery, dwie spiczaste piersi i duże czerwone usta. Trochę malowała - pejzaże i portrety - a ja wyraźnie pamiętam, jak przy koktajlach chwaliłem podobiznę jej bratanicy, małej Rosaline Honeck, miodnej różyczki w mundurku skautek z zielonym parcianym paskiem, w berecie z zielonego samodiała, spod którego spływały czarujące loki do ramion - a John wyjął fajkę z ust i powiedział, jaka szkoda, że Dolly (moja Dolita) i Rosaline tak krytycznie odnoszą się do siebie w klasie, ale może bardziej się polubią po wakacjach, kiedy każda wróci ze swojego obozu. Porozmawialiśmy więc o szkole. Miała wady i zalety.

- Oczywiście tutejsi kupcy to często niestety Włosi - rzekł John - ale jak dotąd nie musimy przynajmniej znosić...

- Byłoby miło - ze śmiechem przerwała mu Jean - gdyby Dolly i Rosaline razem spędzały to lato.

Nagle wyobraziłem sobie, że Lo wraca z obozu - opalona na brąz, ciepła, senna, odurzona - i gotów byłem rozpląkać się z namiętności i zniecierpliwienia.

19

Jeszcze parę słów o pani Humbert, póki trwa dobra passa (już wkrótce zdarzy się fatalna kraksa). Od początku dostrzegałem jej zaborcze skłonności, lecz nigdy bym nie pomyślał, że stanie się tak dziko zazdrosna o wszystko w moim dawnym życiu, co nie było nią. Tak zajadle, nienasycone ciekawa mojej przeszłości. Żądała, żebym wskrzeszał wszystkie dawne ukochane, a potem znieważał je, deptał, odżegnywał się od nich odstępczo i bez reszty, unicestwiając tym samym ową przeszłość. Kazała mi opowiedzieć o małżeństwie z Walerią, która rzeczywiście była paradna; musiałem też jednak zmyślić albo straszliwie wywatować

długi szereg kochanek ku niezdrowej uciezce Charlotty. Aby jej dogodzić, zmuszony byłem wyłożyć ilustrowany katalog kobiet, subtelnie zróżnicowanych wedle reguł tych amerykańskich reklam, które przedstawiają dziatwę szkolną w delikatnie wyważonej proporcji ras, tak że jeden – tylko jeden, ale za to śliczności - czekoladowy, krągłooki chłopczyk siedzi prawie w samym środku pierwszego rzędu. Prezentowałem więc swoje kobiety, każąc im uśmiechać się i kołysać - omdlewającą blondynę, ognistą brunetkę, zmysłową rudą - jak na defiladzie w lupanarze. Im bardziej zaś były w moim opisie pospolite i banalne, tym większą radość sprawiało pani Humbert całe przedstawienie.

Nigdy w życiu tyle się nie nawyznawałem ani nie wysłuchałem takiej masy wyznań. Szczerłość i prostota, z jaką Charlotta omawiała to, co nazywała swoim „życiem miłosnym”, od pierwszych podpieszczań aż po małżeńską wolnoamerykankę, w sensie etycznym pozostawała w jaskrawym kontraście z moimi zgrabnymi wypracowaniami, ale technicznie rzecz biorąc, oba zestawy były sobie pokrewne, gdyż na obu odcisnęły się wpływy (oper mydlanych, psychoanalizy i tanich powieścideł), którym ja zawdzięczałem postaci swych bohaterek, a ona środki wyrazu. Potężnie mnie ubawiły niecodzienne zwyczaje seksualne, jakim hołdował poczciwy Harold Haze według Charlotty, której wesołość moja wydała się jednakowoż nie na miejscu; lecz poza tym jednym wyjątkiem jej autobiografia była równie mało ciekawa, jak nieciekawa byłaby autopsja. Nigdy nie widziałem zdrowszej kobiety, i to pomimo diet odchudzających.

O mojej Lolicie mówiła rzadko - rzadziej w istocie, niż o tym wyblakłym blondasku, którego zdjęcie jako jedyne zdobyło naszą szarą sypialnię. Gdy pewnego dnia po swoim niesmacznie się rozmarzyła, przepowiedziała, że duch zmarłego niemowlęcia powróci na ziemię pod postacią

dziecka, które narodzi się z jej obecnego związku. A choć nie czułem wyraźnego popędu, aby wzbogacać drzewo genealogiczne Humbertów, powielając owoc trudów Harolda (Lolite z kazirodczym dreszczem uznałem w końcu za własne dziecko), pomyślałem sobie, że gdyby gdzieś na wiosnę czekał ją dłuższy pobyt w zaciszu oddziału położniczego, z miłym cesarskim cięciem i innymi komplikacjami, pozwoliłoby mi to spędzić sam na sam z moją Lolitą może nawet parę tygodni - i nafaszerować wiotką nimfetkę proszkami nasennymi.

Ależ ona nienawidziła córki! Najbardziej wredne wydawało mi się to, że sumiennie, z wielkim nakładem pracy wypełniała kwestionariusze w książce (*Jak rozwija się twoje dziecko*), którą opublikowała w Chicago pewna idiotka. Bałwaństwo to podzielone było na kolejne lata, z założeniem, że w każde urodziny dziecka Mama odpowie na coś w rodzaju ankiety. Pod datą dwunastych urodzin Lo, pierwszego stycznia 1947 roku, w rubryce „Osobowość” Charlotte Haze *née* Becker podkreśliła dziesięć następujących epitetów spośród czterdziestu: agresywna, niesforna, krytyczna, nieufna, niecierpliwa, porywcza, wścibska, roztargniona, stale „na nie” (podkreślone dwukrotnie) i uparta. Zignorowała trzydzieści pozostałych przymiotników, a wśród nich pogodną, uczynną, energiczną i inne. Wściec się było można. Z brutalnością, jaka nigdy poza tym nie przejawiała się w łagodnym usposobieniu mojej kochającej żony, atakowała i tępiła różne drobiazgi Lo, którym zdarzało się zabłądzić do tej czy innej części domu i zastygnąć tam na podobieństwo zahipnotyzowanych króliczków. Ani się śniło poczciwej niewieście, że gdy w pewien rano rozstrój żołądka (skutek moich prób ulepszenia jej sosów) nie pozwoli mi pójść z nią do kościoła, zdradzę ją ze skarpetką Lolity. No, a jej reakcje na listy mojej miłej łakotki!

DROGA MAMCIU, DROGI HUMCIU!

Mam nadzieję, że u Was wszystko dobrze. Bardzo dziękuję za cukierki. W lesie [przekreślone i napisane od nowa] Zgubiłam w lesie nowy sweter. Już parę dni, jak się ochłodziło. Strasznie tu rajcownie. Całuję

DOLLY

- To głupie dziecko - rzekła pani Humbert - opuściło „jest” po „tu”. Sweter był z czystej wełny, a ja bardzo bym cię prosiła, żebyś bez uzgodnienia ze mną nie posyłał jej cukierków.

20

W lesie parę kilometrów od Ramsdale było jezioro (na miejscu okazało się, że ma po prostu kształt klepsydry; a mnie się kojarzyło z nekrologiem!) i w pewien straszliwie upalny tydzień pod koniec lipca codziennie tam jeździliśmy. Muszę teraz opowiedzieć z mozolną drobiazgowością, jak w tropikalny wtorkowy ranek po raz ostatni pływaliśmy we dwójkę w Klepsydrze.

Zostawiliśmy wóz na parkingu nieopodal drogi i właśnie schodziliśmy nad jezioro ścieżką wyciętą wśród sosen, gdy Charlotta wspomniała, że o piątej rano w zeszłą niedzielę Jean Farlow, szukając rzadkich efektów świetlnych (Jean reprezentowała starą szkołę malarstwa), podpatrzyła Lesliego, gdy pływał „w stroju hebanowym” (jak to dowcipnie określił John).

- Woda - powiedziałem - musiała być chyba strasznie zimna.

- Nie w tym rzecz - odparła słodka logiczka, skazane biedactwo. - Chodzi o to, że on jest niedorozwinięty. A ja – ciąg-

nęła (z tą starannością sformułowań, która zaczynała już odbijać się na moim zdrowiu) - mam nieodparte wrażenie, że nasza Louise kocha się w tym debil.

Wrażenie. „Mamy wrażenie, że Dolly nie spisuje się tak dobrze, jak...” itd. (ze starej cenzurki). Humbertowie szli dalej, w sandałach i płaszczach kąpielowych.

- Wiesz co, Hum: marzy mi się jedno ambitne posunięcie – oświadczyła Lady Hum, pochylając głowę (zawstydzona własnym marzeniem) i jednając się z brunatną ziemią. – Chciałabym znaleźć naprawdę dobrze wyszkoloną służącą, taką jak ta Niemka, o której mówili Talbotowie; i żeby na stałe u nas mieszkała.

- Nie ma gdzie - odrzekłem.

- Daj spokój - powiedziała z tym swoim pytającym uśmiechem. - Nie doceniasz, *chéri*, możliwości domu Humbertów. Umieścilibyśmy ją w pokoju Lo. I tak chciałam przeznaczyć tę norę na pokój gościnny. Jest najzimniejszy i najbardziej odpychający ze wszystkich.

- O czym ty w ogóle mówisz? - spytałem, i od razu napięła mi się skóra na policzkach (tylko dlatego odnotowuję ten błahy skądinąd fakt, że identycznie reagowała moja córka, ilekroć ogarniały ją te uczucia: niedowierzanie, niesmak, irytacja).

- Nie dają ci spokoju Romantyczne Skojarzenia? – zaciękała się moja żona, czyniąc aluzję do swojej pierwszej kapitulacji.

- Akurat - odparłem. - Zastanawiam się tylko, co zrobisz ze swoją córką, kiedy zjawi się gość albo służąca.

- Ach - rzekła pani Humbert; rozmarzona, uśmiechnięta, przeciągnęła to „Ach”, któremu towarzyszyło uniesienie jednej brwi i cichy wydech. - Mała Lo, niestety, nie należy do tematu, nie należy ani trochę. Mała Lo prosto z obozu idzie do porządnego internatu z surową dyscypliną i solidną

nauką religii. A potem - żeński college w Beardsley. Wszystko obmyślałam, już ty się nie martw.

Po czym dodała, że ona, pani Humbert, będzie musiała przezwyciężyć swoje zwykłe lenistwo i napisać do siostry panny Phalen, która uczy w St. Algebra. Ukazało się olśniewające jezioro. Powiedziałem, że zostawiłem w samochodzie ciemne okulary i zaraz ją dogonię.

Zawsze sądziłem, że załamywanie rąk to fikcja – niezrozumiały relikw, powiedzmy, jakiegoś średniowiecznego rytuału; lecz gdy skryłem się w lesie, aby oddać się rozpaczom i rozpaczliwym medytacjom, ten właśnie gest („racz wejrzeć, Panie, na te okowy!”) byłby wyraził mój nastrój najtrafniej, choć bez słów.

Gdyby Charlotta była Waleczka, umiałbym wziąć sprawę we własne ręce; i rzeczywiście „ręcznie” bym nią pokierował. Za dawnych dobrych czasów wystarczało, że wykręciłem tłustej Waleczce rękę w kruchym nadgarstku (tym, na który upadła kiedyś z roweru), aby natychmiast zmieniła zdanie; lecz wobec Charlotty coś podobnego było nie do pomyślenia. Ta uprzejma Amerykanka przerażała mnie. Mój beztroski sen o tym, że zapanuję nad nią dzięki namiętności, jaką w niej budzę, okazał się mrzonką. Nie śmiałem zrobić nic, co by popsuło obraz mojej osoby, który sobie wystawiła, żeby go wielbić. Płaszczyłem się przed nią, kiedy była jeszcze groźną duenną mej miłej, i w moim stosunku do niej pozostało coś z lizusostwa. Miałem w zanadrzu tylko ten atut, że nie wiedziała o monstualnej miłości, którą darzę Lo. Dawniej drażniło ją to, że Lo mnie lubi; lecz moich uczuć odgadnąć nie potrafiła. Waleczce mógłbym oznajmić: „Słuchaj, głupia grubasko, *c'est moi qui decide*, co jest dobre dla Dolores Humbert”. Do Charlotty nie wolno mi było nawet powiedzieć (z ujmującym spokojem): „Wybacz, kochanie, ale się z tobą nie zgadzam. Dajmy dziecku jeszcze jedną szansę. Pozwól, że przez jakiś

rok będę jej guwernerem. Sama kiedyś wspomniałaś...”. W ogóle nie mogłem rozmawiać z Charlottą o dziecku, nie zdradzając się. O, nie wyobrażacie sobie (bo i ja nigdy sobie nie wyobrażałem), jakie one są, te kobiety z zasadami! Charlottą, ślepa na fałsz wszystkich codziennych konwencji i reguł zachowania, fałsz potraw i książek, i wszystkich ludzi, którym starała się przypodobać, natychmiast zauważyłaby fałszywy ton, gdybym cokolwiek bąknął z myślą o tym, żeby zatrzymać Lo przy sobie. Była jak muzyk, który na co dzień może się wydawać ordynarnym prostakiem, pozbawionym taktu i smaku, lecz w muzyce z diaboliczną precyzją osądu wysłyszysz fałszywą nutę. Aby złamać wolę Charlotty, musiałbym złamać jej serce. A łamiąc je, strząsnąłbym tym samym wyobrażenie, jakie sobie o mnie wyrobiła. Gdybym powiedział: „Albo dasz mi wolną rękę wobec Lolity i pomożesz utrzymać rzecz w sekrecie, albo natychmiast się rozstajemy”, błada jak figura z matowego szkła odrzekłaby z wolna: „Dobrze. Cokolwiek jeszcze dodasz czy cofniesz, między nami wszystko skończone”. I rzeczywiście byłby to koniec.

Tak więc wyglądał cały ten galimatias. Pamiętam, że kiedy dotarłem na parking, napompowałem sobie w dłoń trochę wody o smaku rdzy i wypilem ją tak chciwie, jakby mogła mi dać magiczną mądrość, młodość, wolność, małeńką konkubinę. Przez chwilę siedziałem - w fioletowym płaszczu kąpielowym, z piętami w powietrzu - na krawędzi jednego z prymitywnych stołów, pod szumiącymi sosnami. Nieopodal dwie dziewczeczki w szortach i stanikach wyszły z nakrapianej słońcem wygodki z tabliczką „Damski”. Mabel (lub jej dublerka) żuła gumę, gdy pracowicie, z nieobecną miną dosiadała roweru, a Marion potrząsnęła włosami, bo dokuczały jej muchy, i ulokowała się za nią, rozkraczając nogi; po czym chwiejnie, wolno, z roztargnieniem wsiąkły w światło i cień. Lolita! Ojciec i córka, wtapiający się w ten

las! Rozwiązanie samo się nasuwało: unicestwić panią Humbert. Ale jak?

Nikomiu z ludzi nie może się udać zbrodnia doskonała; potrafi jednak dokonać tego przypadek. Choćby to sławne zabójstwo madame Lacour popełnione w Arles, w południowej Francji, pod koniec ubiegłego stulecia. Niezidentyfikowany brodac zrostu metra osiemdziesięciu - jak później wydedukowano, niegdyś potajemny kochanek ofiary - podszedł do niej w ulicznym tłoku, wkrótce po jej ślubie z pułkownikiem Lacourem, i trzy razy śmiertelnie ugodził ją nożem w plecy, a tymczasem pułkownik, niski, ale krzepki niczym buldog, wczepiał mu się w ramię. Cudowny i przepiękny zbieg okoliczności sprawił, że właśnie gdy operator przemocą rozwierał szczęki rozsierdzonemu mężulkowi (a kilku gapiów zaczynało otaczać naszą trójkę), w najbliższym domu pewien stuknięty Włoch czystym przypadkiem odpalił ładunek wybuchowy, przy którym akurat majstrował - i w mgnieniu oka ulica zamieniła się w istne pandemonium dymu, spadających cegieł i pierzchających ludzi. Eksplozja nikomu nie zrobiła krzywdy (tylko dzielny pułkownik Lacour padł ogłuszony); ale mściwy kochanek uciekł wraz ze wszystkimi - aby żyć długo i szczęśliwie.

Popatrzmy jednak, co stać się może, kiedy wyprowadzkę doskonałą planuje sam operator.

Zszedłem nad Klepsydrę. Podobnie jak kilka innych „miłych” par (Farlowowie, Chatfieldowie), kapaliśmy się w niewielkiej zatoce; moja Charlotta lubiła ją, była to bowiem „prawie prywatna plaża”. Główne kąpielisko (czy też „topielisko”, jak miewał okazję nazywać je „Ramsdale Journal”) mieściło się w lewej (wschodniej) części Klepsydry i z naszej zatoczki nie było go widać. Na prawo sosny wkrótce cofały się przed bagnistym półkolem, które po drugiej stronie znów zamieniało się w las.

Usiadłem obok żony tak bezszelestnie, że aż się wzdrygnęła.

- Idziemy popływać? - spytała.

- Za minutę. Daj mi dokończyć pewien wątek myśli.

Zatopiłem się więc w myślach. Trwało to dłużej niż minutę.

- Dobrze. Chodźmy.

- Czy ja też byłem nicią tego wątku?

- Zapewniam cię, że tak.

- Mam nadzieję - rzekła Charlotta, wchodząc do wody. Wkrótce zanurzyła się aż po gęsią skórkę na grubych udach; złożyła razem wyciągnięte ręce, zacisnęła usta (w czarnym gumowym czepku miała bardzo pospolitą twarz) i z wielkim pluskiem rzuciła się głową naprzód.

Powoli wypłynęliśmy na migoczące jezioro.

Po drugiej stronie, w odległości co najmniej tysiąca kroków (dla kogoś, kto umiałby chodzić po wodzie), widziałem maleńkie sylwetki dwóch mężczyzn, którzy pracowali jak bobry na swoim kawałku plaży. Wiedziałem dokładnie, kim są: jeden był emerytowanym policjantem polskiego pochodzenia, a drugi emerytowanym hydraulikiem, właścicielem prawie całego lasu na tamtym brzegu. Wiedziałem też, że budują - ot, tak, dla żalosnej rozrywki - przystań. Łomot, który do nas docierał, zdawał się nie na miarę ledwie widocznych rąk i narzędzi tych karzełków; nasuwało się wręcz podejrzenie, iż reżyser owych efektów akrosonicznych nie jest zbyt dobrze zgrany z lalkarzem, zwłaszcza że tęgi łoskot każdego tyciego ciosu włókł się opieszale za swoją wizualną wersją.

Krótki skrawek brzegu pokryty białym piaskiem - „nasa” plaża, od której tymczasem nieco się oddaliliśmy na głębszą wodę - rankiem w dni powszednie zawsze świecił pustką. W pobliżu nie było nikogo prócz dwóch maleńkich, bardzo zajętych figurek po drugiej stronie jeziora oraz

ciemnoczerwonej prywatnej awionetki, która buczała nad nami, póki nie znikła w błękicie. Wymarzona sceneria dla bulgotliwego mordy na chybیکا; subtelność sytuacji polegała na tym, że stróż prawa i stróż wody byli akurat dość blisko, aby zauważyć wypadek, i dość daleko, aby przeoczyć zbrodnię; dość blisko, żeby usłyszeć, jak zrozpaczony kąpielowicz miota się i drze co sil w płucach, wzywając pomocy, bo sam nie zdoła uratować tonącej żony; a jednak za daleko, żeby spostrzec (nawet gdyby zbyt wcześnie spojrzeli w tę stronę), iż bynajmniej niezrozpaczony pływak właśnie kończy udeptywać małżonkę. Nie byłem jeszcze wtedy na tym etapie; chcę jedynie pokazać, jak łatwy byłby to czyn, jakie miłe otoczenie! Charlotta płynęła zatem przed siebie z sumienną niezdarnością (była bardzo mierną syreną), lecz nie bez pewnej uroczystej uciechy (czyż bowiem jej tryton nie płynął z nią ramię w ramię?); a gdy wpatrywałem się z bezlitosną wyrazistością przysłego wspomnienia (znacie to spojrzenie, które próbuje zobaczyć obiekt tak, jak będziemy go pamiętali) w szklinną biel jej twarzy, prawie wcale nieopalonej mimo wszelkich usiłowań, w blade usta, w nagie, wypukłe czoło, w obcisły czarny czepek, w pulchną, mokrą szyję, wiedziałem, że musiałbym tylko pozostać nieco w tyle, wziąć głęboki oddech, a potem złapać ją za nogę w kostce i błyskawicznie zanurkować, wlokąc za sobą zniewolone zwłoki. Zwłoki, powiadam, bo z zaskoczenia, przerażenia i braku doświadczenia natychmiast wciągnęłaby do płuc mordercze cztery litry jeziora, ja natomiast wytrzymałbym pod wodą co najmniej minutę, z otwartymi oczami. Fatalny gest mignął niby ogon spadającej gwiazdy na czarnym tle rozważanej zbrodni. Przypominał scenę z jakiegoś makabrycznego baletu bez muzyki, w którym tancerz trzyma baletnicę za stopę, mknąc w głąb wodnistego zmierzchu. Mógłbym wynurzyć się i zaczerpnąć tchu, przytrzymując ją pod powierzchnią,

i jeszcze wiele razy nurkować, wedle potrzeby, i dopiero gdy naprawdę byłoby już po niej, pozwoliłbym sobie krzykiem wezwać pomocy. Kiedy zaś jakieś dwadzieścia minut później dwie rosące oczach kukielki przyplłynęłyby łódką, świeżo malowaną z jednej burty, nieszczęsna pani Humbert Humbert, ofiara kurczu, niedrożności tętnicy wieńcowej lub obu naraz przypadłości, stałaby na głowie w atramentowym mule, z dziesięć metrów pod uśmiechniętą taflą Klepsydry.

Proste, prawda? Ale wiecie co, kochani - w żaden sposób nie mogłem się do tego zmusić!

Płynęła obok mnie, ufna, niezdarna foka, i cała logika namiętności wrzeszczała mi w samo ucho: Pora działać! A ja, kochani, po prostu nie mogłem! W milczeniu zawróciłem do brzegu, ona poważnie, posłusznie zawróciła wraz ze mną, rozwrzeszczane piekło wciąż mi doradzało, ja zaś wciąż nie potrafiłem się zmusić, żeby utopić to biedne, śliskie, dorodne stworzenie. Piekielny wrzask coraz bardziej się oddalał, w miarę jak docierała do mnie ta melancholijna prawda, że ani jutro, ani w piątek, ani żadnego innego dnia czy nocy nie będę w stanie jej zabić. O, umiałem sobie wyobrazić, że trzepię Waleczkę po piersiach, aż tracą symetrię, albo jakoś inaczej ją dręcę - i równie wyraźnie widziałem scenę, w której strzelam jej kochankowi w podbrzusze, a on mówi „ach!” i siada. Ale nie potrafiłem zabić Charlotty - zwłaszcza gdy sprawy w sumie nie wyglądały może aż tak beznadziejnie, jak mi się zdawało w ów poronny poranek pierwszego spazmu. Jeślibym ją chwycił za tę mocną, wierzgającą stopę; ujrzał jej zdumioną minę, usłyszał okropny głos; i gdybym i mimo wszystko doprowadził mordęgę do końca, widmo Charlotty straszyloby mnie przez resztę życia. Gdybyśmy mieli rok 1447, a nie 1947, zdołałbym może oszukać własną łagodność, zadając żonie jakąś klasyczną truciznę przechowywaną w wydrażonym

agacie, tkliwy eliksir śmierci. Lecz w naszej kołtuńskiej, wścibskiej epoce nie poszłoby to tak gładko jak w niegdyśszych brokatem broczących pałacach. Dziś trzeba być uczonym, jeśli chce się zostać zabójcą. Nie, nie byłem ani jednym, ani drugim. Wysoki sędzie, przestępcy seksualni, złaknieni pulsującego, słodko skowyczącego, fizycznego, lecz niekoniecznie kopulacyjnego kontaktu z małą dziewczynką, to w większości niewinni nieudacznicy, pasywni, nieśmiali nieznajomi, którzy proszą tylko, aby otoczenie pozwoliło im oddawać się w gruncie rzeczy nieszkodliwym, rzekomo anormalnym praktykom, tycim, gorącym, mokrym, dyskretnym zboczonkom, a nie żeby policja i społeczeństwo od razu dobierały im się do skóry. Nie jesteśmy maniakami seksualnymi! Nikogo nie gwałcimy, jak to robią dzielni żołnierze. My, nieszczęśliwi, umiarkowani panowie o psich wejrzeniach, jesteśmy wystarczająco pozbierani wewnątrz, umiemy więc hamować swe zapędy w obecności dorosłych, ale oddalibyśmy długie lata życia, byle choć raz dotknąć nimfetki. Nie jesteśmy zabójcami - co to, to nie. Poeci nie zabijają. O, moja biedna Charlotta, nie darz mnie nienawiścią w swych wiecznych niebiosach, wśród wiekuiestej alchemii asfaltu, gumy, metalu i kamienia - lecz dzięki Bogu nie wody, nie wody!

Bardzo mało jednak brakowało, mówiąc całkiem obiektywnie. A teraz pora na pointę mojej przypowieści o zbrodni doskonałej.

Usiedliśmy na ręcznikach w spragnionym skwarze. Charlotta rozejrzała się, odpięła stanik i położyła się na brzuchu, wydając plecy słońcu na żer. Powiedziała, że mnie kocha. Westchnęła głęboko. Wyciągnęła rękę i po omacku wyjęła papierosy z kieszeni swojego płaszcza kąpielowego. Usiadła i zapaliła. Obejrzała sobie prawe ramię. Pocałowała mnie zachłannie, otwartymi, zadymionymi ustami. Nagle

po piaszczystej skarpie za nami spod krzaków i sosen stoczył się kamyk, jeden i drugi.

- Wstrętne, natrętne bachory - rzekła Charlotta, zasłaniając pierś wielkim stanikiem i z powrotem kładąc się na brzuchu. - Będę musiała o tym pomówić z Peterem Krestovskim.

Od ujścia ścieżki dobiegł szelest, czyjeś kroki, i oto Jean Farlow wymaszerowała ze sztalugami i resztą sprzętu.

- Wystraszyłaś nas - powiedziała Charlotta.

Jean odparła, że zaszyła się na górze, pośród zieleni, aby szpiegować przyrodę (szpiedzy zwykle dostają kulę w łeb), bo właśnie usiłuje dokończyć pejzaż z jeziorem, ale nic jej nie wychodzi, nie ma ani odrobiny talentu (to akurat było prawdą)...

- A ty próbowałaś kiedyś malować, Humbert?

Charlotta, trochę zazdrosna o Jean, spytała, czy John też przyjedzie.

Owszem. Wróci do domu na lunch. Podrzucił ją, jadąc do Parkington, i lada chwila powinien po nią wstąpić. Fantastyczny poranek. Zawsze czuje, że to zdrada, zostawiać Cavalla i Melampusa uwiązanych w taki wspaniały dzień. Usiadła na białym piasku między Charlotta a mną. Była w szortach. Jej długie, opalone nogi pociągały mnie akurat tak samo, jak nogi klaczy kasztanki. W uśmiechu odsłaniała dziąsła.

- Mało brakowało, a wrzuciłabym was do swojego jeziora - powiedziała. - Zauważyłam nawet coś, co wyście przeoczyli. Ty [do Humberta] miałeś na ręku zegarek. Żebyś wiedział.

- Wodoszczelny - cicho rzekła Charlotta, stulając usta w rybi pyszczek.

Jean położyła sobie na kolanie mój nadgarstek, obejrzała prezent od Charlotty i odłożyła dłoń Humberta z powrotem na piasek, wewnątrz do góry.

- Nigdy nie wiadomo, co mogłabyś w ten sposób podpatrzeć - kokietyrnie zauważyła Charlotta.

Jean westchnęła.

- Kiedyś - powiedziała - widziałam, jak dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, kocha się tu o zachodzie słońca, dokładnie tu. Z ich cieni robiły się olbrzymy. A już wam opowiadałam, jak zobaczyłam pana Tomsona o świcie. Następnym razem pewnie spotkam Adama, starego tłuściocha, w adammowym stroju. Straszne z niego dziwadło. Ostatnio opowiedział mi absolutnie nieprzyzwoitą historyjkę o swoim bratanku. Zdaje się...

- Cześć - zabrzmiał głos Johna.

21

Gdy jestem niezadowolony, milknę, i ten mój zwyczaj, a raczej łuskowaty chłód mojego niezadowolonego milczenia, Walerię przerażał do obłędu. Skomląc i zawodząc, oświadczyła: *Ce qui me rend folle, c'est que je ne sais à quoi tu penses quand tu es comme ça*. Spróbowałem pomilczeć przy Charlocie - a ona dalej szczebiotała albo smyrała moje milczenie po gardziółku. Zdumiewająca kobieta! Kiedy się zaszywałem w swoim dawnym pokoju, obecnie zamienionym w „prawdziwą pracownię”, mamrocząc, że mam przecież w końcu do napisania uczone dzieło, nie przerywała sobie, tylko radośnie upiększała dom, świegotowała w słuchawkę i pisała listy. Ze swojego okna widziałem przez lakierowany dygot topolowych liści, jak przechodzi na drugą stronę ulicy i spokojnie powierza skrzynce pocztowej list do siostry panny Phalen.

Tydzień przelotnych deszczów i cieni, który nastąpił po naszej ostatniej wycieczce do nieruchomych piasków Klepsydry, był jednym z najbardziej ponurych, jakie pamiętam.

Potem błysnęło kilka słabych promyków nadziei - nim ostatecznie zajaśniała jutrzienka.

Uświadomiłem sobie, że mam przecież tęgi, znakomicie sprawny umysł, a skoro tak, winienem nim się posłużyć. Choć nie śmiałem się wtrącać w to, co moja żona zaplanowała dla swojej córki (która z każdym dniem coraz piękniej opalała się i grzała przy łaskawej pogodzie w beznadziejnej dali), niewątpliwie mogłem wymyślić ogólniejszy sposób, aby w ogólniejszym sensie umocnić swoją pozycję, z czego wynikłe profity dałoby się później wykorzystać w jakiejś szczególnej sprawie. Pewnego wieczoru sama Charlotta stworzyła mi po temu sposobność.

- Mam dla ciebie niespodziankę - oświadczyła, patrząc na mnie czule znad łyżki zupy. - Jesienią jedziemy we dwoje do Anglii.

Przełknąłem swoją łyżkę zupy, otarłem usta różową bibułką (o, chłodne, dostatnie lny hotelu „Mirana”!) i powiedziałem:

- Ja też mam dla ciebie niespodziankę, moja droga. Nie jedziemy we dwoje do Anglii.

- Dlaczego, w czym problem? - spytała, patrząc (bardziej zaskoczona, niż przewidywałem) na moje ręce (którymi bezwiednie składałem, darłem, gniotłem i znów darłem niewinną różową serwetkę). Uśmiech na mojej twarzy trochę ją jednak uspokoił.

- Problem jest całkiem prosty - odrzekłem. - Nawet w najbardziej harmonijnej rodzinie, takiej jak nasza, nie wszystkie decyzje podejmuje strona żeńska. O pewnych sprawach decyduje mąż. Doskonale sobie wyobrażam, jak ciebie, zdrowe amerykańskie dziewczę, ekscytować musi rejs na jednym transatlantyku z Lady Bombie albo z Samem Bombem, Królem Mrożonego Mięsa, czy wreszcie z jakąś hollywoodzką heterą. I nie wątpię, że my dwoje bylibyśmy ładną reklamą Biura Podróży, jeśliby nas przedstawiono w

chwili, gdy patrzymy - ty ze szczerym zachwytem, ja z powściąganym, zawistnym podziwem - na Pałacowych Wartowników, Szkarłatnych Gwardzistów, Bukożerców czy jak ich tam zwa. Tak się jednak składa, że reaguję alergicznie na Europę, nie wykluczając starej wesołej Anglii. Jak ci wiadomo, ze Starym, zgniłym Światem mam same bardzo smutne skojarzenia. I żadne kolorowe reklamy z twoich czasopism tego nie zmienia.

- Kochanie - wtrąciła Charlotta. - Ja naprawdę...

- Nie, czekaj. Ta konkretna sprawa to w gruncie rzeczy drobiazg. Chodzi mi o ogólną tendencję. Kiedy chciałaś, że bym popołudniami opalał się nad jeziorem, zaniedbując pracę, chętnie uległem i specjalnie dla ciebie przedzierzgałem się w opalonego czarusia, zamiast pozostać uczonym, no i, bądź co bądź, dydaktykiem. Kiedy zabierasz mnie do uroczych Farlowów na brydża z bourbonem, potulnie daję się prowadzić. Nie, proszę cię, jeszcze chwilę. Kiedy urządzasz swój dom, nie mieszam się do twoich planów. Kiedy decydujesz... kiedy decydujesz o najrozmaitszych kwestiach, mogę się z tobą zupełnie albo, powiedzmy, częściowo nie zgadzać, ale nic nie mówię. Ignoruję detale. Nie mogę jednak ignorować ogólnej zasady. Uwielbiam, kiedy mną rządysz, lecz w każdej grze obowiązują pewne reguły. Nie jestem zły. Wcale nie jestem zły. Nie rób tego. Jestem wszelako połową tego stadła i mam prawo przemawiać wyraźnie słyszalnym, choć cichym głosem.

Podeszła do mnie, padła na kolana i wolno, lecz bardzo zapalczywie kręcąc głową, drapała nogawki moich spodni. Powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy. Powiedziała, że jestem jej władcą i bogiem. Powiedziała, że Louise już poszła, więc natychmiast chodźmy się kochać. Powiedziała, że muszę jej przebaczyć, bo inaczej umrze.

Ten drobny incydent wprawił mnie w sporą euforię. Spokojnie wyjaśniłem Charlocie, że nie powinna prosić o wy-

baczenie, tylko zmienić postępowanie; postanowiłem też wykorzystać chwilową przewagę i spędzać odtąd wiele czasu w wyniosłym zasepieniu, pracując nad książką - a przynajmniej udając, że pracuję.

„Leżanka” w moim dawnym pokoju dawno już z powrotem zamieniła się w kanapę, którą w głębi duszy nigdy być nie przestała, a Charlotta od początku naszego pożycia ostrzegła mnie, że pokój ten stopniowo przestoczony się w istną „pisarską pieczarę”. Kilka dni po Incydencie Brytyjskim siedziałem w nowym i bardzo wygodnym fotelu, z wielkim tomiszczem na kolanach, gdy zastukała serdecznym palcem w drzwi i niespiesznie weszła. Jakże inne były jej ruchy od ruchów mojej Lolity z czasów, gdy właśnie Lolita odwiedzała mnie w lubych brudnych dżinsach, owiana wonią sadów z krainy nimfetek; niezręczna i feeryczna, niejasno znieprawiona, z rozpiętymi dolnymi guzikami koszuli. Ale coś wam powiem. Nieśmiała strużka życia, która płynęła ukryta za zuchwalstwem małej Haze i rezonem dużej, tak samo smakowała, tak samo szemrała. Pewien wielki lekarz francuski powiedział raz mojemu ojcu, że u bliskich krewnych najłżejszy gulgot gastryczny odzywa się tym samym „głosem”.

No więc Charlotta weszła. Miała wrażenie, że coś jest między nami nie tak. Wieczorem udałem, że zasypiam, skoro tylko się położyliśmy, także i poprzedniego wieczoru, a wstałem o świcie.

Czułe spytała, czy nie „przerywa”.

- Nie w tej chwili - odparłem, obracając tom *C Encyklopedii dla dziewcząt*, żeby obejrzeć ilustrację włamana, jak mówią drukarze, „na leżaco”.

Charlotta podeszła do rzekomo mahoniowego stolika z szufladką. Oparła na nim rękę. Stolik był brzydki, trudno zaprzeczyć, ale nic jej przecież nie zrobił.

- Zawsze chciałam cię spytać - powiedziała (rzeczowo, bez kokieterii) - czemu go zamykasz? Chcesz, żeby tu stał? Obrzydliwie toporny grat.

- Daj mu spokój - odrzekłem. Akurat zwiedzałem Campingi w Skandynawii.

- Masz do niego klucz?

- Schowany.

- Oj, Hum...

- Trzymam tam listy miłosne.

Posłała mi jedno z tych spojrzeń zranionej łani, które tak mnie irytowały, a potem - nie wiedząc, czy mówię serio, albo nie umiejąc podtrzymać rozmowy - stała przez kilka powolnych stron (Campus, Camden, Camera Obscura, Cannes), patrząc nie tyle w okno, ile na szybę, i bębniąc w nią ostrymi, różniane migdałowymi paznokciami.

Po chwili (przy Canberze albo Canoe) przyspacerowała do mojego fotela i osunęła się - tweedowo, ocieźale - na poręcz, zalewając mnie aromatem perfum, których używała moja pierwsza żona.

- Czy jego łaskawość chciałby spędzić jesień t u t a j ? – zapytała, wskazując małym palcem jesienny widoczek z pewnego konserwatywnego stanu na Wschodnim Wybrzeżu.

- Czemu? - (bardzo wyraźnie i wolno).

Wzruszyła ramionami. (Pewnie Harold zawsze brał urlop o tej porze roku. Początek sezonu. Wyrobiła sobie odruch warunkowy).

- Chyba wiem, gdzie to jest - powiedziała, wskazując wciąż tę samą ilustrację. - Pamiętam tam jeden hotel. Nazywa się „Zakłęci Łowcy”. Oryginalnie, prawda? Lepszego jedzenia nie sposób sobie wymarzyć. I nikt nikomu w nic się nie wtrąca.

Otarła się policzkiem o moją skroń. Waleria szybko się wyleczyła z takich narowów.

- Masz jakieś specjalne życzenia w związku z kolacją? John i Jean wpadną później.

Odpowiedziałem pomrukiem. Pocałowała mnie w dolną wargę i radośnie oświadczyła, że upiecze ciasto (zgodnie z tradycją datującą się z moich lokatorskich czasów uwielbiałem jej ciasto), pozostawiła sam na sam z nieróbstwem.

Ostrożnie odłożyłem otwartą książkę na poręcz, w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Charlotta (książka próbowała wionąć falistym wirem, ale zatknięty ołówek powstrzymał kartki), i zajrzałem do skrytki: klucz, jakby stromowany, leżał pod starą, kosztowną maszynką do golenia, której używałem, póki mi nie kupiła dużo lepszej i tańszej. Czy był to idealny schowek - pod maszynką, w rowku futerału wyłożonego pluszem? Sam futerał spoczywał w kuferku, w którym trzymałem różne urzędowe papiery. Wymyśliłbym lepsze miejsce? Niebawem, jak trudno jest cokolwiek ukryć - zwłaszcza gdy żona wciąż wyprawia jakieś matactwa z meblami.

22

Chyba równo tydzień po naszym ostatnim pływaniu listonosz przyniósł w południe odpowiedź drugiej panny Phalen. Pisała, że właśnie wróciła do St. Algebra z pogrzebu siostry. „Euphemia zawsze już była nie ta sama, odkąd zła mała nogę w biodrze”. W sprawie córki pani Humbert pragnęła donieść, iż jest już za późno, aby zapisać dziewczynkę jeszcze w tym roku; lecz ona, ocalała panna Phalen, właściwie ręczy, że jeśli państwo Humbertostwo przywiozą Dolores w styczniu, uda się znaleźć dla niej miejsce.

Nazajutrz wybrałem się po lunchu do „naszego” lekarza, przyjacielskiego jegomościa, którego doskonałe podejście do chorych i bezgraniczna wiara w kilka specyfików dostatecznie kamuflowały całkowitą nieznamość sztuki medy-

cznej i zupełny brak zainteresowania tą dyscypliną. Świadomość, że Lo musi wrócić do Ramsdale, nosiłem w sobie niczym klejnot oczekiwań. Chciałem być przygotowany, kiedy to się zdarzy. Właściwie już wcześniej wszcząłem kampanię, nim jeszcze Charlotta podjęła okrutną decyzję. Musiałem być pewien, że gdy przyjedzie moja przepiękna dziecina, już pierwszej nocy, i następnej, a potem noc w noc, póki St. Algebra mi jej nie odbierze, będę dysponował odpowiednimi środkami, aby dwie istoty wtrącić w sen głęboki, z którego nie wyrwie ich dźwięk ni dotyk. Prawie przez cały czerwiec eksperymentowałem z różnymi proszkami nasennymi, wypróbowałem je na Charlotcie, zachłanej konsumentce pigułek. Ostatnia tabletkę, którą jej zadałem (myślała, że to łagodna dawka bromku - balsam dla jej nerwów), ogłuszyła ją na bite cztery godziny. Rozkręciłem radio do oporu. Prażyłem prosto w jej twarz godźmiszowatą latarką. Szturchałem ją, szczypałem, szarpałem - ale nic nie zakłóciło rytmu jej spokojnego, mocnego oddechu. Kiedy jednak spróbowałem tak prostego gestu, jak pocałunek, natychmiast się zbudziła, świeża i silna niby ośmiornica (ledwo się wymknąłem). To jeszcze nie to, pomyślałem; trzeba się postarać o lepsze zabezpieczenie. Doktor Byron z początku chyba nie uwierzył, gdy powiedziałem, że ostatnio przepisany środek nie pokonał mojej bezsenności. Namawiał mnie, żebym spróbował jeszcze raz, i na chwilę odwrócił moją uwagę, pokazując fotografie swojej rodziny. Miał fascynujące dziecko w wieku Dolly; przejrzałem jednak na wylot jego sztuczki i uparłem się, że ma mi przepisać najsilniejszą z istniejących pigułek. Radził grać w golfa, lecz w końcu zgodził się dać mi coś, co „naprawdę podziała”; podszedł do szafki i wyjął z niej fiolkę fiołkowoniebieskich kapsułek z fioletową opaską na jednym końcu, twierdząc, że jest to zupełna nowość na rynku, przeznaczona nie dla neurotyków, których uspokoić może odpowiednio zaap-

likowany łyk wody, lecz wyłącznie dla wielkich bezsen-nych artystów - takich, co to muszą umrzeć na kilka godzin, aby żyć przez stulecia. Uwielbiam wyprowadzać lekarzy w pole, więc choć w duchu byłem uradowany, chowając tabletki do kieszeni, z powątpiewaniem wzruszyłem ramionami. Nawiasem mówiąc, musiałem z tym doktorem uważać. Kiedy pewnego razu w rozmowie na inny temat wymknęła mi się głupia wzmianka o ostatnim pobycie w zakładzie, tak jakby zastrzygł uszami. Ponieważ wcale mi nie zależało, żeby Charlotta czy ktokolwiek inny dowiedział się o tym fragmencie mego życiorysu, czym prędzej wyjaśniłem, że zbierałem niegdyś wśród obłąkanych materiały do powieści. Ale mniejsza z tym, stary łajdak miał słodką dziewczyneczkę, trudno zaprzeczyć.

Wyszedłem od niego w świetnym humorze. Jednym palcem prowadząc auto żony, spokojnie turlałem się do domu. Ramsdale miało jednak mnóstwo uroku. Furczały cykady; ulicę przed chwilą splukała polewaczka. Gładko, nieomal jedwabście skręciłem w nasz stromy zaułek. Wszystko tego dnia było akurat w sam raz. Takie niebieskie i zielone. Wiedziałem, że świeci słońce, bo kluczyk od stacyjki odbijał się w przedniej szybie; wiedziałem, że jest równo pół do czwartej, bo pielęgniarka, która codziennie o tej porze robiła masaż pannie Wizawce, szła wąskim chodnikiem, szpar-ko przebierając nogami w białych pończochach i butach. Rozhisteryzowany seter Starocia jak zwykle zaatakował mnie, kiedy toczyłem się w dół po zboczach, i jak zwykle na werandzie leżała miejscowa gazeta, którą dopiero co cisnął tam Kenny.

Dzień wcześniej zakończyłem reżim wyniosłości, który sobie narzuciłem, toteż z radosnym okrzykiem powitania otworzyłem drzwi salonu. Zwrócona do mnie śmietanowo-białym karkiem i brązowym kokiem, w tej samej żółtej bluzce i spodniach bordo, które miała na sobie, kiedy ją po raz

pierwszy ujrzałem, Charlotta siedziała przy biurku w rogu pokoju, pisząc list. Z ręką na klamce powtórzyłem swój dziarski okrzyk. Dłoń, w której trzymała pióro, znieruchomiła. Po chwili moja żona z wolna obróciła się na krześle, kładąc łokieć na wygiętym oparciu. Wykrzywiona z emocji twarz przedstawiała sobą niepiękny widok, gdy ze wzrokiem utkwionym w moich nogach Charlotta zaczęła:

- Baba Haze, duża suka, stara kocica, obmierzła mamma, ta... ta stara głupia Haze nie da dłużej robić z siebie idiotki. Zna... zna...

Moja nadobna oskarżycielka urwała, połykając żółć i łzy. Cokolwiek powiedział - czy też próbował powiedzieć - Humbert Humbert, nie ma znaczenia. A ona ciągnęła:

- Jesteś potworem. Jesteś odrażającym, ohydny przestępcą i oszustem. Jeżeli do mnie podejdziesz - krzyknę przez okno. Nie zbliżaj się!

To, co w tym momencie wymamrotał H. H., też można raczej pominąć.

- Wyjeżdżam dziś wieczór. Wszystko tutaj jest twoje. Ale już nigdy, przenigdy nie zobaczysz tej nieszczęsnej smarkuli. Wynoś się z pokoju.

Wyniosłem się, czytelniku. Poszedłem na górę, do swojej eks-prawie-pracowni. Przez chwilę stałem z dłońmi na biodrach, niewzruszony, opanowany, patrząc z progu na zgwałcony stoliczek, otwartą szufladkę, klucz zwisający z zamku, cztery inne domowe klucze na blacie. Dwoma krokami przeciąłem podest, wstąpiłem do sypialni Humbertów, spokojnie wyjąłem spod poduszki pani Humbert swój dziennik i schowałem go do kieszeni. Ruszyłem na dół po schodach, lecz zatrzymałem się w pół drogi: rozmawiała przez telefon, który miał gniazdko tuż przed drzwiami salonu. Chciałem posłuchać, co mówi: odwołała w sklepie jakieś zamówienie i wróciła do pokoju. Uspokoilem oddech, przeszedłem przez korytarz do kuchni i otworzyłem

butelkę szkockiej. Szkocka zawsze nieodparcie ją pociągała. Wszedłem do jadalni i przez półotwarte drzwi utkwilem spojrzenie w szerokiach plecach Charlotty.

- Łamiesz życie mnie i sobie - powiedziałem cicho. - Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie. Wszystko ci się przywidziało. Jesteś szalona, Charlotto. Notatki, które znalazłaś, to fragmenty powieści. Wasze imiona zaplątały się tam przypadkiem. Po prostu były pod ręką. Przemyśl to. Przyniosę ci szklaneczkę.

Nie odpowiedziała ani się nie odwróciła, tylko dalej prążyła papier gryzącym jadem gryzmołów. Pisała pewnie trzeci list (dwa w zaklejonych kopertach leżały już na biurku). Wróciłem do kuchni.

Postawiłem dwie szklanki (za St. Algebrę? za Lo?) i otworzyłem lodówkę.

Wściekle ryknęła, kiedy wyjmowałem z jej serca lód. Przepisać. Dać jej, niech jeszcze raz przeczyta. Nie zapomni sobie szczegółów. Zmienić, sfałszować. Napisać fragment i pokazać jej albo zostawić na wierzchu, żeby sama znalazła. Czemu krany czasem tak okropnie jęczą? Okropna sytuacja, doprawdy. Kostki lodu w kształcie poduszek - dla pluszowych misiów polarnych Lo - zgrzytały i trzeszczały męczeńsko, gdy ciepła woda wyważała je z komórek. Bęc! - ustawiłem szklanki obok siebie. Nalałem whisky z kroplą wody sodowej. Mój dżinanas obłożyła zakazem. Lodówka szczerknęła i strzeliła drzwiami. Wszedłem do jadalni, niosąc szklanki, i powiedziałem przez szparkę w drzwiach salonu - za wąską, żebym mógł wsunąć łokieć:

- Nalałem ci szkockiej.

Nie odpowiedziała, wściekła suka, postawiłem więc szklanki na kredensie obok telefonu, który właśnie zaczął dzwonić.

- Mówi Leslie. Leslie Tomson - rzekł Leslie, co lubił o świecie popływać w lesie. - Pan tu idzie, bo panią Humbert właśnie przejechało.

Odparłem trochę może zniecierpliwionym tonem, że moja żona jest cała i zdrowa, nie odkładając słuchawki pchnąłem drzwi i powiedziałem:

- Charlotte, ten człowiek twierdzi, że cię zabito. - Ale w pokoju życia nie było Charlotty.

23

Wybiegłem. Przeciwna strona naszej stromej uliczki przedstawiała sobą osobliwy widok. Wielki, czarny, lśniący packard wspiął się na pochyły trawnik panny Wizawki i stał skosem do chodnika (na którym leżał kraciasty szlafrok, ciśnięty byle jak), błyszcząc w słońcu, z drzwiczkami rozpostartymi niczym skrzydła, wbity przednimi kołami głęboko w zimozielone krzewy. Na prawo (z anatomicznego punktu widzenia) od auta, na schludnej murawie stromego trawnika, starszy pan o siwych wąsach, starannie ubrany - szary dwurzędowy garnitur, muszka w grochy - leżał na wznak, złożonywszy razem długie nogi, niby woskowa figura odrobiona jak nieżywa. Wrażenie wywołane tym, co ujrzałem w ułamku sekundy, muszę tu zawrzeć w szeregu słów; a kiedy tak fizycznie mnożę je na papierze, gdzieś się zatracą sam błysk, ostra jedność percepcji: skłębiona szmata w kratę, auto, starzec-manekin, pielęgniarka panny W., gdy z na wpół opróżnionym kubkiem w ręce wraca szeleszczącym kłusem na werandę z siatkami przeciw owadom w oknach - gdzie, jak można sobie wyobrazić, podparta poduszkami, uwięziona, niedołączna dama krzyczy piskliwie, lecz nie dość głośno, aby zagłuszyć rytmiczne ujadanie setera Starociów, który łązi między jedną grupką ludzi a drugą - od grona sąsiadów (bo już zdążyli się zgromadzić

na chodniku przy strzępku kraciastej tkaniny) z powrotem do auta, które w końcu udało mu się osaczyć, stamtąd zaś do grupki na trawniku, złożonej z Lesliego, dwóch policjantów i tęgiego mężczyzny w okularach w szylkretowej oprawie. Winienem tu wyjaśnić, że funkcjonariusze pojawili się tak szybko, niewiele ponad minutę po wypadku, gdyż właśnie wkładali mandaty pod wycieraczki nieprawidłowo zaparkowanych samochodów w przecznicy o dwie ulice niżej; i że osobnikiem w okularach był niejaki Frederick Beale junior, kierowca packarda; że jego siedemdziesięciodziewięcioletni ojciec, którego pielęgniarzka właśnie nawodniła, gdy tak spoczywał na zielonym zbocz - rzecz by można, bankier z balansem na bakier - bynajmniej nie padł bez zmysłów, tylko wygodnie i metodycznie wracał do siebie po lekkim ataku serca lub jego groźbie; i wreszcie, że szlafrok leżący na chodniku (w miejscu, gdzie tyle razy wskazywała mi z dezaprobatą zielone zygzaki rys) skrywał zmasakrowane szczątki Charlotty Humbert, którą potrafiło, a potem wlokło przez dwa metry z okładem auto Beale'ów, kiedy biegła przez jezdnię, żeby wrzucić trzy listy do skrzynki na rogu trawnika panny Wizawki. Podniosło je z ziemi i podało mi ładne dziecko w brudnej różowej sukience, a ja pozbyłem się ich, drąc je na strzępy w kieszeni spodni.

Trzej lekarze i Farlowowie przybyli wkrótce na miejsce akcji i wzięli sprawy w swoje ręce. Wdowiec, mężczyzna niezwykle opanowany, nie płakał ani nie rozpaczał. Trochę się zataczał, owszem; lecz usta otworzył tylko po to, by ujawnić fakty lub wydać polecenia niezbędne dla identyfikacji, oględzin i uprzątnięcia zwłok kobiety, której czubek głowy zamienił się w zupę z kości, mózgu, brązowych włosów i krwi. Słońce wciąż jeszcze pałało oślepiającą czerwienią, kiedy dwoje przyjaciół ułożyło go w łóżeczku Dolly; przyjaciele ci - łagodny John i Jean o rosistych ocz-

ach - udali się na noc do sypialni Humbertów, żeby być blisko; podejrzewam jednak, że nie spędzili tej nocy tak niewinnie, jak nakazywałyby powaga sytuacji.

Nie mam powodu rozwodzić się w tymi nader szczególnym pamiętniku nad formalnościami poprzedzającymi pogrzeb ani nad samym pogrzebem, równie cichym, jak cichy był ślub. Kilka zdarzeń z tych czterech czy pięciu dni, które nastąpiły po prostej śmierci Charlotty, trzeba wszelako odnotować.

W pierwszą noc wdowieństwa byłem tak pijany, że spałem smacznie jak dziecko, w którego łóżku leżałem. Rano czym prędzej wyjąłem z kieszeni i zbadałem to, co zostało z listów. Zbyt dokładnie tymczasem się wymieszały, aby dało się ułożyć trzy kompletne teksty, „...i lepiej go znajdź, bo nie mogę kupować...” pochodziło zapewne z listu do Lo; pozostałe jego fragmenty sugerowały, że Charlotta ma zamiar uciec z córką do Parkington, a może nawet z powrotem do Pisky, iżby sęp nie porwał jej drogocennego jagniątką. Inne strzępy i szczątki (nie przypuszczałem, że mam takie potężne szpony) były oczywiście urywkami podania, adresowanego nie do St. A., lecz do pewnego internatu, którego metody wychowawcze miały opinię tak surowych, szarych i ascetycznych (choć w cieniu więzów grywano tam w krokieta), że zyskały mu przydomek „Domu poprawczego dla młodych dam”. Trzecia i ostatnia epistoła była wyraźnie skierowana do mnie. Zdołałem odczytać takie wyimki, jak „...po rocznej separacji możemy...” „...o, mój Najdroższy, o, mój...” „...gorzej, niż gdyby to była Twoja utrzymanka...” „... a może i umrę...”. W sumie jednak z dociekań mych nie wynikło nic nazbyt sensownego; rozmaite fragmenty trzech pospiesznie spłodzonych pism ułożyły się w moich dłoniach w galimatias podobny temu, który ich elementy tworzyły przedtem w głowie biednej Charlotty.

John umówiony był na ten dzień z klientem, a Jean musiała nakarmić psy, miałem więc zostać na pewien czas bez przyjaciół. Ci kochani ludzie bali się, że popełnię samobójstwo, jeśli nikogo przy mnie nie będzie, ponieważ zaś wszyscy inni przyjaciele okazali się nieuchwytni (z panną Wizawką nie było kontaktu, państwo McCoo budowali nowy dom wiele kilometrów od Ramsdale, a Chatfieldów niedawno wezwały do Maine własne kłopoty rodzinne), odelegowano Lesliego i Louise, żeby mi towarzyszyli pod pretekstem pomocy w sortowaniu i pakowaniu całego mnóstwa osieroconych przedmiotów. W przyływie fenomenalnego natchnienia pokazałem dobrym i łatwowiernym Farlowom (czekaliśmy, aż Leslie stawi się na płatną schadzke z Louise) małe zdjęcie Charlotty, które znalazłem w jej rzeczach. Siedząc na głazie, uśmiechała się przez rozwiane włosy. Fotografia ta powstała w kwietniu 1934 roku, pamiętną wiosną. Przyjechawszy w interesach do Stanów, miałem okazję spędzić kilka miesięcy w Pisky. Poznaliśmy się - i przeżyli szalony romans. Ja byłem żonaty, niestety, a ona zaręczona z Haze'em, lecz po moim powrocie do Europy korespondowaliśmy za pośrednictwem znajomego, który dziś już nie żyje. Jean szepnęła, że owszem, słyszała jakieś plotki, spojrzała na zdjęcie i nie odrywając od niego wzroku, podała je Johnowi, a John wyjął fajkę z ust, spojrział na śliczną i rozwiązłą Charlotte Becker i zwrócił mi fotkę. Potem odjechali na parę godzin. Szczęśliwa Louise gruchała w suterenie i łajała swego zalotnika.

Ledwie znikli Farlowowie, pojawił się duchowny o granatowym podbródku, a ja postarałem się skrócić rozmowę na tyle, na ile mogłem, nie urażając go ani nie budząc podejrzeń. Tak, życie poświęcę dobru dziecka. Nawiasem mówiąc, ten krzyżyk dała mi Charlotta Becker, kiedy oboje byliśmy młodzi. Mam kuzynkę w Nowym Jorku, szacowną

starą pannę. Znajdziemy tam dla Dolly porządną szkołę prywatną. O, sprytny Humbercie!

Na użytek Lesiego i Louise, którzy mogli wszystko powtórzyć (i rzeczywiście powtórzyli) Johnowi i Jean, od- byłem strasznie głośną i przepięknie zagraną rozmowę międzymiastową, pozorując dialog z Shirley Holmes. Kiedy John i Jean wrócili, kompletnie ich nabrałem, bełkocząc w rozmyślnie wariacki i chaotyczny sposób, że Lo poszła z grupą średniaków na pięciodniową wycieczkę i nie można się z nią skontaktować.

- Mój Boże - westchnęła Jean. - I co teraz zrobimy?

John stwierdził, że sprawa jest całkiem prosta – zawiadomi komisariat okręgu Orgasm i niech policja odszuka wycieczkowiczki: potrwa to mniej niż godzinę. A właściwie to on sam zna tę okolicę i...

- Słuchaj - rzekł. - Może bym zaraz tam pojechał, a ty prześpij się tymczasem z Jean... (w rzeczywistości tego już nie dodał, ale Jean poparła jego propozycję z namiętnością, która pozwalała się domyślać takiego właśnie podtekstu).

Załamalem się. Zacząłem błagać Johna, żeby zostawił wszystko, jak jest. Powiedziałem, że nie wytrzymam, jeśli będę miał dziecko na karku, zapłakane, wczepione we mnie, taka jest nadwrażliwa, to przeżycie mogłoby się odbić na jej przyszłości, psychiatria zna takie przypadki. Zapadło nagłe milczenie.

- No cóż, będzie, jak zaordynujesz - odparł John z niejaką szorstkością. - Ale byłem przecież przyjacielem i doradcą Charlotty. Chciałoby się wiedzieć, co w ogóle zamierzasz począć z dzieckiem.

- John! - zawołała Jean. - To jego dziecko, nie Harolda Haze. Nie rozumiesz? Humbert jest prawdziwym ojcem Dolly.

- Aha - rzekł John. - Przepraszam. Tak, teraz już rozumiem. Nie zdawałem sobie sprawy. To oczywiście upraszcza sytuację. Masz prawo robić, cokolwiek uznasz za stosowne.

Nieutulony w żalu ojciec dodał jeszcze, że odbierze swą delikatną córkę z obozu natychmiast po pogrzebie i dołoży wszelkich starań, żeby miło spędziła czas w zupełnie innym otoczeniu, może w Nowym Meksyku albo w Kalifornii - naturalnie pod warunkiem, że sam przeżyje.

Z takim artyzmem symulowałem spokój ostatecznej rozpaczy, ciszę przed jakimś obłędnym wybuchem, że niezrównani Farlowowie zabrali mnie do swego domu. Mieli, jak na ten kraj, niezłą piwniczkę, i bardzo mi to pomogło, bałem się bowiem bezsenności i odwiedzin ducha.

Muszę teraz wyłożyć w ł a s n e powody, dla których wolałem trzymać Dolores na dystans. Oczywiście w pierwszej chwili po usunięciu Charlotty, kiedy wróciłem do domu jako wyzwolony ojciec, połknąłem dwie wcześniej przygotowane whisky z sodą, popiłem je czymś koło literka swojego „dżinanasu” i poszedłem do łazienki, żeby się odczepić od sąsiadów i przyjaciół, otóż jedna tylko myśl tętniła mi wtedy w głowie i w krwiobiegu - ta mianowicie, że już za kilka godzin ciepła, kasztanowa, moja, moja, moja Lolita legnie w mych objęciach, lejąc łzy, które będą szałowywał szybciej, niż wezbrać zdążą. Lecz gdy tak stałem przed lustrem, z wytrzeszczem oczu i rumieńcem na twarzy, John Farlow leciutko zastukał w drzwi i spytał, czy ja coś się trzymam - ja zaś natychmiast zrozumiałem, że szaleństwem byłoby ściągać ją do domu, póki wszyscy ci nadgorliwcy szwendają się i knują, jak by mi ją odebrać. Co więcej, nieobliczalna Lo też mogłaby - kto wie? - okazać wobec mnie jakąś głupią nieufność, nagłą odrazę, nieokreślony lęk czy coś w tym rodzaju - i tak to już w chwili triumfu wymknęłoby mi się czarowne trofeum.

Skoro o nadgorliwcach mowa, miałem jeszcze jedną wizytę: kolegi Beale'a - tego, co usunął moją żonę. Masywny i uroczysty, z tym swoim wyglądem pomocnika kata, szczękami buldoga, czarnymi oczkami, okularami w grubej oprawie i eksponowanymi nozdrzami, wszedł zaanonsowany przez Johna, który zaraz zostawił nas samych, nadzwyczaj taktownie zamykając za sobą drzwi. Uprzejmie oznajmiwszy, że jego bliźnięta chodzą do jednej klasy z moją pasierbicą, groteskowy gość rozwinął wielki arkusz z własnoręcznie sporządzonym diagramem wypadku. Była to, jakby powiedziała moja pasierbica, „rewela”, z mrowiem imponujących strzałek i linii przerywanych w różnych kolorach tuszu. Trajektorię pani H. H. w paru miejscach ilustrowała schematyczna sylwetka, coś w rodzaju laleczki o posturze sekretarki czy mundurowej z Posiłkowych Oddziałów Kobiecych - podobna do tych, których w statystykach używa się jako pomocy wizualnej. Trasa ta bardzo wyraźnie i nieodwołalnie zderzała się z grubo kreśloną linią krętą, przedstawiającą dwa kolejne wiraże, wzięte - jeden po to, żeby wyminąć psa Starociów (nieuwidocznionego na wykresie), a drugi (jak gdyby przesadną kontynuację pierwszego), żeby uniknąć tragedii. Bardzo czarnym krzyżem oznaczono miejsce, gdzie zgrabniutka sylwetunia padła wreszcie na chodnik. Rozejrzałem się za podobnym znakiem, wskazującym punkt, w którym wielki woskowy ojciec mojego gościa spoczął na trawniku, ale nie było takiego znaku. Wspomniany jegomość podpisał jednak dokument jako świadek, pod Lesliem Tomsonem, panną Wizawką i paroma innymi osobami.

Ołoweczek kalibru kolibra zwinnie i zwiewnie fruwał z miejsca na miejsce, gdy Frederick wykazywał swoją absolutną niewinność oraz lekkomyślność mej żony: właśnie próbował wyminąć psa, kiedy ona pośliznęła się na świeżo polanym asfalcie i rzuciła głową naprzód, chociaż

powinna była runąć wcale nie przed siebie, tylko na wznak (Fred targnął wywatowanym barkiem, demonstrując prawidłowy sposób padania). Zapewniłem go, że niczemu nie jest winien, a dochodzenie sądowe przyznało mi rację.

Gwałtownie dysząc przez smoliste, prężne nozdrza pokręcił głową i uściśnił mi prawicę; po czym z miną człowieka, który pozostaje w pełnej zgodzie z *savoir-vivre'em* i ideą hojnej dżentelmenerii, zaofiarował się pokryć koszta pogrzebu. Spodziewał się, że odmówię. Z pijackim szlochom wdzięczności przyjąłem propozycję. Zupełnie go to zaskoczyło. Wolno, z niedowierzaniem powtórzył ofertę. Podziękowałem mu po raz drugi, jeszcze wylewniej.

Wskutek tej cudacznej rozmowy z duszy mej na chwilę ulotniło się odrętwienie. I nic dziwnego! Na własne oczy ujrzałem wysłańca losu. Własnoręcznie pomacałem żywe ciało losu - i jego watowany bark. Nastąpiła nagle błyskotliwa i potworna mutacja, a on był jej narzędziem. Wśród zawłości ornamentu (gospodyni domowa w pośpiechu, śliski chodnik, utrapiony pies, stroma jezdnia, wielkie auto, pawian za kierownicą) mętnie majaczył mi mój własny niegodziwy przyczynek. Gdybym nie okazał się aż takim głupcem - albo przenikliwym geniuszem - żeby przechowywać dziennik, fluidy mściwego gniewu i palącego wstydu nie oślepiłyby Charlotty podczas sprintu do skrzynki pocztowej. Lecz nawet jeśli ją oślepiły, i tak nic by się może nie stało, gdyby nie to, że akuratny los, widmowy koordynator, zmieszał w swym alembiku auto i psa i słońce i cień i wodę i słabość i siłę i kamień. *Adieu*, Marleno! Urzędowy uścisk dłoni tłustego losu (wykonany w zastępstwie przez Beale'a, nim ten opuścił mój pokój) wydobył mnie z marazmu; i zapłakałem. Tak jest, wysoki sędzie - zapłakałem.

Wiązy i topole zwracały się nastroszonymi grzbietami do wiatru, który natarł z nienacka, a nad białą wieżą kościoła w Ramsdale wisiała czarna chmura, kiedy po raz ostatni rozejrzałem się wokół siebie. Wychodząc naprzeciw niewiadomym przysługom, opuszczałem bladą dom, w którym zaledwie przed dziesięcioma tygodniami wynająłem pokój. Żaluzje - oszczędne, praktyczne żaluzje z bambusa - już opuszczono. Ich mocny deseń stwarza na werandach jak i w domach klimat współczesnego dramatu. Dom niebiański musi się potem przez kontrast wydawać dość goły. Kropla deszczu spadła mi na knykcie. Wróciłem do domu po jakiś drobiazg, podczas gdy John układał w aucie moje walizki, i wtedy stało się coś dziwnego. Nie wiem, czy w tych tragicznych zapiskach wystarczająco podkreśliłem pewien specyficzny efekt „zawrotu głowy”, który uroda ich autora – pseudoceltycka, ponętne małpia, chłopięco męska – wywoływała u kobiet w każdym wieku i środowisku. Oczywiście takie deklaracje składane w pierwszej osobie mogą brzmieć śmiesznie. Muszę jednak od czasu do czasu przypominać czytelnikowi o swoim wyglądzie, podobnie jak zawodowy powieściopisarz, który obdarzył jedną ze swych postaci dziwną manierą albo psem, musi odtąd wyciągać rzeczony psa bądź manierę, ilekroć z meandrów fabuły wyłania się dana postać. W omawianym przypadku może też istnieć głębszy powód. Moją posępną urodę czytelnik winien stale mieć przed oczami pamięci, bo inaczej nie zrozumie opowiadanej tu historii we właściwy sposób. Pokwitająca Lo pod wpływem czaru Humberta ślaniała się tak samo, jak od czkliwej muzyczki; dorosła Lotta kochała mnie z dojrzałą, zaborczą namiętnością, którą wspominam z większym ubolewaniem i szacunkiem, niż gotów byłbym przyznać. Jean Farlow, kobieta lat trzydziestu jeden, kompletna

neurotyczka, też najwidoczniej zapałała do mnie silną sympatią. Była przystojna, tak jak przystojny może być rzeźbiony w drewnie Indianin, z cerą koloru palonej sjeny. Jej usta przypominały wielkie karmazynowe polipy, a kiedy parskała tym swoim szczególnym, szczekliwym śmiechem, odsłaniała duże matowe zęby i blade dziąsła.

Była bardzo wysoka, nosiła spodnie do sandałów albo baletki do sutych spódnic, potrafiła wypić każdy mocny trunek w każdej ilości, dwa razy poroniła, pisywała opowiadania o zwierzętach, malowała, jak czytelnikowi wiadomo, jeziorne pejzaże, zaczynała już hodować tego raka, który miał ją zabić w wieku lat trzydziestu trzech, i wydawała mi się beznadziejnie nieatrakcyjna. Wystawcie więc sobie moje zaniepokojenie, gdy na kilka sekund przed odjazdem (ona i ja staliśmy w korytarzu) Jean wiecznie drżącymi palcami wzięła mnie za skronie i ze łzami w promiennych niebieskich oczach spróbowała - bez powodzenia - przywrzeć ustami do moich ust.

- Szerokiej drogi - powiedziała. - Ucałuj ode mnie swoją córkę.

Huk piorunu wstrząsnął domem, a ona dodała:

- Może gdzieś, kiedyś, w jakichś mniej żałosnych czasach znów się spotkamy. - (Jean, czymkolwiek i gdziekolwiek jesteś, w ujemnej czasoprzestrzeni czy w dodatnim duszoczasie, wybac mi całą tę scenę, łącznie z nawiasem).

I oto już ścisnąłem im obojgu ręce na ulicy, na pochyłej ulicy, gdzie wszystko wirowało i fruwało przed nadciągającym białym potopem, ciężarówka z materacem z Filadelfii ufnie turlała się po pochyłości w stronę pustego domu, a smugi pyłu mknęły i wiły się akurat nad tą kamienną płytą, na której, gdy na mój benefis podniesiono szlafrok, ukazała się Charlotta, skulona, i jej nietknięte oczy z czarnymi rzęsami, jeszcze mokrymi, sklejonymi jak twoje, Lolito.

Myślałby kto, że gdy wszelkie przeszkody znikną, odsłaniając przede mną perspektywę delirycznych i bezgranicznych rozkoszy, z westchnieniem błogiej ulgi pozwolę sobie na chwilę psychicznego luzu. *Eh bien, pas du tout!* Zamiast kąpać się w promieniach uśmiechniętego Trafu, padłem pastwą najrozmaitszych wątpliwości i obaw natury czysto etycznej. Na przykład: czy nie zdziwi to ludzi, że Lolicie tak konsekwentnie odmawia się prawa uczestniczenia zarówno w radosnych, jak i w żałobnych uroczystościach najbliższej rodziny? Pamiętacie chyba, że nie była na naszym ślubie. Albo inna sprawa: przyjąwszy, że to Przypadek wyciągnął długie, włochate łapsko, aby usunąć niewinną kobietę, czy nie należało liczyć się z ewentualnością, iż onże Przypadek w bezbożnej chwili nie zignoruje tego, co zrobiła jego bliźniacza kończyna, i nie wręczy Lo przedwczesnej noty kondolencyjnej? Co prawda o kraksie doniósł tylko „Ramsdale Journal” - przemilczał ją zaś „Parkington Recorder” i „Orgasm Herald”, Kolonia Q mieściła się bowiem poza granicą stanową, a lokalne zgony nie były atrakcją na federalną skalę; nie mogłem jednak opędzić się od myśli, że Dolly Haze jakimś sposobem została już powiadomiona i właśnie gdy po nią jadę, nieznani mi przyjaciele wiozą ją do Ramsdale. Jeszcze bardziej niepokojący niż wszystkie te domysły i troski był fakt, iż Humbert Humbert, świeżo upieczony obywatel amerykański rodem z bliżej nieokreślonej Europy, nie poczynił żadnych kroków, aby stać się prawnym opiekunem córki swej zmarłej żony (a dziewczę miało dwanaście lat i siedem miesięcy). Czy kiedykolwiek odważyłbym się podjąć te kroki? Nie mogłem pohamować drżenia, ilekroć sobie wyobrażałem, że tajemnicze ustawy dybią na moją nagość w bezlitosnym świetle Prawa Cywilnego.

Mój plan był arcydziełem sztuki prymitywnej: miałem zamiar śmignąć do Kolonii Q, powiedzieć Lolicie, że jej matkę czeka wkrótce poważna operacja w zmyślonym szpitalu, a potem wędrować od zajazdu do zajazdu z moją senną nimfetką, podczas gdy jej matka będzie stopniowo zdrowieć, aż wreszcie umrze. Lecz w drodze do obozu mój niepokój rósł. Nieznośna była myśl, że nie zastanę tam Lology - lub zamiast niej zastanę inną, przerażoną Lolitę, rozpaczliwie wzywającą kogoś z przyjaciół rodziny: nie Farlowów, dzięki Bogu - ledwie ich przecież znała - ale czy nie mogli istnieć jacyś inni, których nie wziąłem pod uwagę? W końcu postanowiłem odbyć tę międzymiastową rozmowę, tak udatnie odegraną parę dni wcześniej. Lało, kiedy stanąłem na błotnistym przedmieściu Parkington, tuż przed Widłami, których jedno odgałęzienie omijało miasto i wiodło do autostrady przecinającej wzgórze po drodze nad jezioro Orgasm i ku Kolonii Q. Wyłączyłem silnik i przesiedziałem kilka minut w nieruchomym aucie, zbierając się na odwagę, żeby wreszcie zadzwonić, ze wzrokiem wbitym w ulewę, w zatopiony chodnik, w hydrant: istne ohydztwo pokryte grubą warstwą srebrnej i czerwonej farby, wyciągające czerwone kikuty ramion, żeby polakierował je deszcz, który niczym stylizowana krew kapął na jego srebrzyste łańcuchy. Nic dziwnego, że parkowanie obok tych koszmarnych kadłubków obłożone jest klątwą. Podjechałem do stacji benzynowej. Spotkała mnie niespodzianka, gdy bilon w końcu wpadł z brzękiem do wnętrza aparatu i czyjś głos zdołał odpowiedzieć na moje pytanie.

Holmes, kierowniczka obozu, poinformowała mnie, że Dolly wraz z całym zastępem poszła w poniedziałek (a mieliśmy właśnie środę) na wycieczkę po wzgórzach i wróci dość późnym wieczorem. Czy zechciałbym przyjechać jutro i o co właściwie... Nie wdając się w szczegóły, oświadczyłem, że matka Lo leży w szpitalu, stan jest poważ-

ny, ale dziecko ma nie wiedzieć, że jest poważny, i ma być gotowe do wyjazdu ze mną nazajutrz po południu. Nasze głosy rozstały się w eksplozji ciepła i dobrej woli, a jakaś dziwaczna usterka mechaniczna sprawiła, że aparat zwrócił mi wszystkie moje monety: wyleciały, koziołkując z takim szczękiem, jakby padł milion, a ja słysząc ten jazgot, omal nie wybuchnąłem śmiechem, choć byłem zawiedziony, że błogostan każe nieco dłużej na siebie czekać. Ciekawe, czy tego nagłego wytrysku, spazmatycznego zwrotu kosztów De Los nie kojarzył jakoś z faktem, że zawczasu wymyśliłem tę ekspedycyjke, o której dopiero teraz się dowiedziałem.

Co było potem? Wybrałem się do centrum handlowego Parkington, aby poświęcić całe popołudnie (tymczasem roz pogodziło się i mokre miasto wyglądało jak odlew ze srebra i szkła) kupowaniu pięknych drobiazków dla Lolity. Boże, do ilu szalonych sprawunków skłoniło Humberta dojmujące upodobanie, jakim darzył w owym czasie tkaniny w kratkę, jaskrawe bawełny, falbany, krótkie bufiaste rękawki, miękkie plisy, obcisłe staniki i sute spódnice! Lolito, mam w tobie słodkie swe dziewczę, jak Beę miał Dante, Vige zaś - Poe. A któreż to dziewczę pofikać nie zechce w figach i kiece skrojonej w półkole? Czy szukam czegoś konkretnego? - pytały przymilne głosy. Kostiumy kąpielowe? Mamy je we wszystkich odcieniach. Marzycielski róż, oszronioną akwamarynę, żółdny fiolet, tulipanową czerwień, filuterną czerń. A pajacyki? Halki? Żadnych halek. Lo i ja nie cierpieliśmy halek.

Kierowałem się przy tym między innymi notą antropometryczną, którą sporządziła matka Lo w dniu jej dwunastych urodzin (czytelnik pamięta książkę z cyklu „Poznaj własne dziecko”). Miałem wrażenie, że Charlotta z tak zawiłych pobudek, jak zawiść i niechęć, dodała tu centymetr, ówdzie kilogram; ponieważ jednak nimfetka z pewnością

urośla nieco w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy, uznałem, iż mogę zaufać większości styczniowych pomiarów: obwód bioder - siedemdziesiąt trzy centymetry; obwód uda (tuż pod bruzdą pośladową) - czterdzieści trzy; obwód łydki i szyi - dwadzieścia osiem; obwód klatki piersiowej - sześćdziesiąt osiem; obwód ręki pod pachą - dwadzieścia; talia - pięćdziesiąt osiem; wzrost - metr czterdzieści pięć; waga - trzydzieści pięć kilo; sylwetka - smukła; iloraz inteligencji - sto dwadzieścia jeden; wyrostek robaczkowy na miejscu, Bogu dzięki.

Prócz tego, że miałem jej wymiary, potrafiłem oczywiście wyobrazić sobie Lolite z klarownością halucynacji; ponieważ zaś hołubiłem na swoim mostku mrowiące wspomnienie jej jedwabistej główki, dokładnie w tym punkcie, w którym parę razy dosięgła mego serca; ponieważ czułem jej ciepły ciężar na swym łonie (toteż w pewnym sensie zawsze byłem „przy Lolicie”, tak jak kobieta bywa „przy nadziei”), nie zdziwiłem się, gdy moje obliczenia okazały się później z grubsza rzecz biorąc trafne. A że w dodatku przestudiowałem katalog ogłaszanych w połowie lata wyprzedaży, z miną znawcy oglądałem różne śliczne towary, buty sportowe, czółenka, pantofelki z marszczonego zamzu dla zmuszanych burczymuszek. Umalowana dziewczyna w czerni, która zaspokajała wszystkie te moje dotkliwe potrzeby, ubierała rodzicielską uczoność i precyzyjne opisy w formę komercyjnych eufemizmów, takich jak *petite*. Odniosłem wrażenie, że drugiej, znacznie starszej kobiecie - w białej sukience, z makijażem jak warstwa tynku - moja znajomość młodocianych mód dziwnie daje do myślenia; czyżbym miał kochankę karlicę? Kiedy więc pokazały mi spódniczkę z dwiema „zabawnymi” kieszeniami z przodu, celowo wtrąciłem naiwne męskie pytanie, a one w nagrodę zademonstrowały mi z uśmiechem, jak działa wszyty od tyłu suwak. Miałem potem sporo zabawy z

rozmaitymi szortami i majteczkami: widmowe Lolitki tańczyły, przewracały się i stokrociły po całej ladzie. Uwieńczyliśmy transakcję nobliwą bawełnianą piżamą w popularnym stylu chłopca od rzeźnika. Humbert, popularny rzeźnik.

Jest coś mitologicznego i czarownego w tych wielkich sklepach, gdzie - jeśli wierzyć reklamom - dziewczyna pracująca ubierze się na wszystkie okazje, od biurowej rundki do wieczornej randki, a jej młodsza siostra może pomarzyć o dniu, gdy chłopcy z ostatnich ławek aż się zaślinią na widok jej wełnianego swetra. Naturalnej wielkości manekiny - plastikowe dzieci o zadartych noskach i płowych, zielonkawych, brązowo nakrapianych twarzach faunów kwitowały wokół mnie. Zdałem sobie sprawę, że jestem jedynym klientem w tej dość niesamowitej przestrzeni, po której poruszałem się niczym ryba w niebieskoszarym akwarium. Czułem, że dziwne myśli rodzą się w głowach zrelaksowanych dam, gdy towarzyszyły mi od stoiska do stoiska, od półki skalnej do kępy wodorostów, a paski i bransoletki, które wybierałem, zdawały się padać z syrenich rąk w przejrzystą wodę. Kupiłem elegancką walizkę, kazałem zapakować w nią swe nabytki i udałem się do najbliższego hotelu, wielce zadowolony z dnia.

Spokojne, poetyczne popołudnie spędzone na wybrednych sprawunkach jakoś mi przypomniało ten hotel czy też zajazd pod uwodzicielską nazwą „Zaklętych Łowców”, o którym Charlotta napomknęła niedługo przed moim wyzwoleniem. Dzięki przewodnikowi turystycznemu zdołałem go umiejscowić w ustronnym miasteczku Briceland, o cztery godziny jazdy od obozu Lo. Mogłem tam zatelefonować, lecz w obawie, że głos odmówi mi posłuszeństwa i zaczęę trwożnie chrypieć łamaną angielszczyzną, postanowiłem wysłać depeszę, aby zamówić pokój z dwojgiem łóżek na następną noc. Ależ był ze mnie ucieszny, nieporadny,

chwiejny Królewicz z Bajki! Jakże uśmieje się moim kosztem ten i ów czytelnik, gdy wyznam, ile trudu sprawiło mi sformułowanie depeszy! Co by tu napisać: Humbert z córką? Humberg z córeczką? Homberg z niedoroślą dziewczynką? Homburg z dzieckiem? Komiczna literówka - „g” na końcu - która pojawiła się w ostatecznej wersji, mogła być telepatycznym echem tych wahań.

A potem, w aksamitną letnią noc, namysły nad eliksirem, który miałem ze sobą! O, Hamburg Harpagon! Czyż nie był nader Zaklętym Łowcą, gdy w duchu deliberował nad swym puzderkiem magicznej amunicji? Aby wygnać bestię bezsenności, powinien może sam skosztować ametystowej kapsułki? Było ich w sumie czterdzieści - czterdzieści nocy z kruchą Śpiącą Królowną u mego tętniącego boku; czy mogłem zaprzepaścić jedną taką noc tylko po to, żeby zasnąć? W żadnym razie: zbyt cenna była każda maleńka śliweczka, każde mikroskopijne planetarium pełne żywego pyłu gwiazdnego. O, niech raz chociaż się rozczulę! Tak mam już dość tego wiecznego cynizmu.

26

Codzienne migreny w nieprzejrzystym powietrzu tego grobowego więzienia wyprowadzają mnie z równowagi, lecz muszę brnąć dalej. Napisałem sto stron z okładem i do niczego jeszcze nie doszedłem. Płacze mi się kalendarium. Musiało to być gdzieś koło piętnastego sierpnia 1947 roku. Dłużej chyba już nie dam rady. Serce, głowa - wszystko. Lolita, Lolita, Lolita, Lolita, Lolita, Lolita, Lolita, Lolita, Lolita. Powtarzać, aż zapełni się cała strona (uwaga do zecera).

Wciąż jeszcze w Parkington. Udało mi się w końcu zapisać na godzinę w drzemkę - z której wyrwało mnie nieproszone i straszliwie wyczerpujące zbliżenie z małym, włochatym hermafrodytą, całkiem mi nieznanym. Była już szósta rano i nagle pomyślałem, że może dobrze byłoby zjawić się w obozie przed uzgodnioną porą. Z Parkington czekało mnie jeszcze ponad sto sześćdziesiąt kilometrów jazdy, a potem więcej niż drugie tyle do Mglistych Wzgórz i do Briceland. Jeśli zapowiedziałem, iż odbiorę Dolly po południu, to tylko dlatego, że moja wyobraźnia nalegała, aby miłosierna noc jak najprędzej zapadła nad moją niecierpliwością. Teraz jednak zacząłem przewidywać najrozmaitsze nieporozumienia i drżałem na myśl, że zwłoka pozwoli Lo z nudów zadzwonić do Ramsdale. Lecz gdy o pół do dziesiątej spróbowałem ruszyć, zatrzymał mnie wyczerpany akumulator, zbliżało się więc południe, kiedy wreszcie opuściłem Parkington.

Na miejsce dotarłem koło pół do trzeciej; zaparkowałem w sosnowym zagajniku, w którym rude, chochlikowate chłopię w zielonej koszuli stało i w samotnym zasepieniu rzucało do celu podkowami; wysłuchałem jego lakonicznych wskazówek, jak trafić do biura, mieszczącego się w domku przybranym sztukaterią; bliski śmierci, musiałem przez kilka minut znosić dociekliwe współczucie kierowniczki obozu, zdezirowatej, zużytej baby o rdzawych włosach. Dolly - oznajmiła mi - jest już spakowana i gotowa do drogi. Wie, że jej matka jest chora, ale nie w stanie krytycznym. Czy pan Haze, to znaczy pan Humbert, miałby ochotę poznać wychowawców? Lub obejrzeć domki, w których mieszkają dziewczęta? Każdy pod wezwaniem jakiegoś stworzonka z Disneya? Albo zwiedzić Klub? A może trzeba posłać Charliego, żeby ją sprowadził? Dziewczynki

właśnie kończą dekorować Jadalnię, bo mają być tańce. (Mogła potem komuś powiedzieć: „Wyglądał, biedak, jak własne widmo”).

Niech na chwilę zatrzymam tę scenę, z wszystkimi jej trywialnymi i doniosłymi detalami: jęz Holmese wypisuje pokwitowanie, drapie się po głowie, wysuwa szufladę z biurka, sypie bilon w moją niecierpliwą dłoń i pedantycznie przykrywa go banknotem, z promiennym „...i pięć!”; fotografie małych dziewczynek; krzykliwe barwy jakiejś ómy czy motyla, żywcem solidnie przyszpilonego do ściany („studium z natury”); w ramce dyplom obozowej dietyczki; moje drżące ręce; kompetentna Holmes pokazuje lipcowy raport o zachowaniu Dolly Haze („zadowolające, w porywach dobre; z zapalem pływa i wiosłuje”); szum drzew, głosy ptaków i moje dudniące serce... Stałem plecami do otwartych drzwi i nagle poczułem, jak krew uderza mi do głowy, gdy z tyłu usłyszałem jej oddech i głos. Przyszła, wlokąc i obijając o meble walizę.

- Cześć! - powiedziała i stanęła, mierząc mnie sprytnym, zadowolonym spojrzeniem, z ustami rozchyłonymi w głupawym, lecz cudownie rozbajającym uśmiechu.

Była chudsza, wyższa, i przez sekundę jej twarz wydała mi się nie tak ładna jak mentalna replika, którą hołubiłem przez więcej niż miesiąc: policzki miała jakby zapadnięte, no i zbyt wiele melaniny pokrywało jej rustykalnie różane rysy; to pierwsze wrażenie (wąziutki ludzki interwał między dwoma tygrysimi uderzeniami serca) niosło z sobą wyraźną sugestię, iż owdowiały Humbert nie musi, nie pragnie i nie zrobi nic ponad to, że zapewni mizernej z wyglądu, choć słonecznie umaszczonej sierotce *aux yeux battus* (a nawet te ołowiane cienie pod jej oczami znaczone były piegamii) rzetelne wykształcenie, zdrowe i szczęśliwe dziewczęctwo, czysty dom i towarzystwo miłych rówieśniczek, wśród których (gdyby los raczył wynagrodzić mi trudy)

znalazłbym może małą *Mägdlein* na wyłączny użytek Herr Doktora Humberta. Lecz „w okamgnieniu”, jak mawiają Niemcy, owe myśli o anielskim sprawowaniu ulotniły się i doścignąłem zdobycz (czas biegnie szybciej niż nasze mrzonki!), która znów stała się moją Lolitą - tak bardzo moją Lolitą, jak nigdy dotąd. Złożyłem dłoń na jej ciepłej, kasztanowej główce i podniosłem walizę. Lolita cała była różą i miodem, miała na sobie swój najjaskrawszy kreton w czerwone jabłuszka, ręce i nogi opalone na głęboko złocisty brąz, z zadrapaniami jak linie kropkowane maleńkimi zakrzepłymi rubinami, mankiety skarpetek z grubym ściągaczem zawinięte na dobrze mi znanej wysokości, a jej dziecięcy chód - lub może utrwalony w mej pamięci obraz Lo na płaskich obcasach - sprawiał, że białobrązowe półbuty wydawały się za duże dla niej, a ich obcasy za wysokie. Żegnaj, Kolonio Q, wesoła Kolonio Q. Żegnaj, mdła niezdrówka strawo, żegnaj, Charlie, mój chłopcze. W rozżarzonej aucie usiadła obok mnie i trzepnęła pospieszną muchę na swym uroczym kolanie; wściekle międląc w ustach gumę do żucia, błyskawicznie zakręciła korbką, żeby otworzyć okno po swojej stronie, i znów się rozsiadła. Gnaliśmy przez las, cały w paski i cętki.

- Jak mama? - spytała sumiennie.

Wyjaśniłem, że lekarze sami nie bardzo wiedzą, co jej dolega. W każdym razie jakaś gastryczna historia. Drastyczna? Nie, gastryczna. Przez jakiś czas musimy być pod ręką. Szpital jest na prowincji, niedaleko wesołego miasta Lepingville, w którym na początku dziewiętnastego wieku mieszkał pewien wielki poeta, a my obejrzymy wszystkie filmy. Uznała, że to „bombowy pomysł”, i spytała, czy zdążymy do Lepingville przed dziewiątą wieczór.

- Najpóźniej w porze kolacji powinniśmy być w Briceland - odparłem - a jutro zajrzemy do Lepingville. Jak wam się udała wycieczka? Dobrze się bawiłaś na obozie?

- Mhm.
- Żal ci, że wyjechałaś?
- Eee.
- Mów jak człowiek, Lo, nie stękaj. Opowiedz mi coś.
- Co mam opowiedzieć, t a t o ? - (przeciągnęła to słowo z ironicznym rozmysłem).
- Byle co.
- Mogę tak na ciebie mówić? - (Spojrzenie zmrużonych oczu utkwione w szosie).
- Ależ proszę.
- Niezły numer, swoją drogą. Kiedy się zabujałeś w mojej mamie?
- Pewnego dnia zrozumiesz, Lo, wiele różnych uczuć i sytuacji, takich jak na przykład harmonia, piękno duchowej więzi.
- Ba! - rzekła cyniczna nimfetka.

Płytki zastój w rozmowie, wypełniony okrawkami krajobrazu.

- Patrz, Lo, ile krów na wzgórzu.
- Chyba puszcze pawia, jak jeszcze raz spojrzę na krowę.
- Wiesz, Lo, strasznie za tobą tęskniłem.
- A ja wcale. Właściwie to obrzydliwie cię zdradzałam, ale teraz to już betka, bo i tak przestało ci na mnie zależeć. Moja mama nigdy tak nie zasuwą, wiesz pan?

Z nieprzytomnych stu dziesięciu zwolniłem do półprzytomnej osiemdziesiątki.

- Dlaczego uważasz, że przestało mi na tobie zależeć?
- Przecież mnie jeszcze nie pocałowałaś, no nie?

W duchu konając, w duchu jęcząc, wypatrzyłem nieco przed nami w miarę szerokie pobocze i wyboistym zygzakiem wjechałem w zielsko. Pamiętaj, że to jeszcze dziecko, pamiętaj, to jeszcze...

Wóz nie całkiem zdążył wyhamować, a już Lolita dosłownie wiała mi się w ramiona. Nie śmiać, nie śmiać sobie

pofolgować – nie śmiać nawet przyjąć do wiadomości, że to właśnie (słodka wilgoć i drżący żar) jest początkiem niewysłowionego życia, które przy wydatnej pomocy losu w końcu ziściłem siłą woli - nie śmiać naprawdę jej pocałować, z bezbrzeżnym nabożeństwem dotykałem gorących, rozwartych warg, spijałem drobniućkami łyżkami, bez śladu lubieżności; lecz ona niecierpliwie się zakręciła i przycisnęła usta do moich ust, aż poczułem jej duże przednie zęby i skosztowałem miętowej śliny. Wiedziałem oczywiście, że dla niej to tylko niewinna zabawa, wyglupy młodej szprotki wzorowane na rzekomej namiastce jakiejś zełganej miłości, ponieważ zaś (jak powie wam każdy psychoterapeuta i każdy raptor) granice i reguły takich dziewczęcych gier są płynne lub przynajmniej nazbyt dziecięco subtelne, aby mógł w nich się połapać starszy partner – byłem przerażony, że posunę się za daleko, a ona odskoczy z odrazą i zgrozą. Przede wszystkim jednak dręczyło mnie dojmujące pragnienie, żeby czym prędzej przeschmuglować ją w hermetyczne ustronie „Zaklętych Łowców”, do których wciąż pozostawało ponad sto kilometrów jazdy, toteż błogosławiona intuicja przerwała nasz uścisk - a po ułamku sekundy obok zahamował patrol policji drogowej.

Kierowca o zaczerwienionej twarzy i krzaczastych brwiach utkwiał we mnie natarczywe spojrzenie.

- Wyprzedził pana może przed skrzyżowaniem niebieski sedan, tej samej marki, co pański? - zapytał.

- Nie, skądże.

- Nie widzieliśmy takiego wozu - wtrąciła Lo, skwapliwie wychylając się przede mną, niewinnie oparta dłonią o moje nogi. - Ale czy na pewno był niebieski, bo...

Policjant (za jakim naszym cieniem tak gonił?) posłał małej ślicznotce swój najmilszy uśmiech i zawrócił. Pojechaliliśmy dalej.

- Głęb jeden! - zauważyła Lo. - Przecież to ciebie powinien zwinąć.

- Za co, na miłość boską?

- W tym ciemniackim stanie wolno jeździć najwyżej osiemdziesiątką, a... Nie, nie zwalnijaj, palancie. Już sobie pojechał.

- Mamy jeszcze kawał drogi - powiedziałem. - A ja chcę dotrzeć na miejsce, nim się ściemni. Więc bądź grzeczna.

- Właśnie, że niegrzeczna, niezdolna - z satysfakcją odparła Lo. - Młodociana psestempcyni, ale scera i carująca. To było czerwone światło. W życiu nie widziałam takiej jazdy.

Cicho sunęliśmy przez cichą mieścinę.

- Prawda, że mama by się wściekła, jak by skapowała, że jesteście kochankami?

- Rany boskie, Lo, nie rozmawiajmy w ten sposób.

- Ale jesteście, no nie?

- Pierwsze słyszę. Chyba znowu lunie. Nie masz ochoty mi opowiedzieć, co spociłaś na obozie?

- Mówisz jak z książki, t a t o .

- Co zmalowałaś? Powiedz, nalegam.

- Łatwo się gorszysz?

- Nie. Mów.

- Skręć w zaciszną uliczkę, to ci powiem.

- Lo, muszę cię serio poprosić, żebyś przestała się wygłupiać. No?

- No... brałam udział we wszystkich zajęciach.

- *Ensuite?*

- Anshit, nauczono mnie współżyć w szczęśliwy i bogaty sposób z bliźnimi i rozwijać w sobie zdrową osobowość. Czyli być ciapą.

- Owszem. Zauważyłem coś takiego w broszurze.

- Uwielbiałyśmy śpiewać przy ogniu płonącym w wielkim kamiennym kominku albo pod tymi pieprzonymi gwiazda-

mi, gdzie radosny duch każdej dziewczynki łączył się z głosem chóru.

- Masz świetną pamięć, Lo, ale zmuszony jestem cię poprosić, żebyś sobie darowała przekleństwa. Coś jeszcze?

- Dewiza Skautki - rzekła rapsodycznym tonem - jest także moją dewizą. Życie upływa mi na szlachetnych uczynkach, takich jak... no, mniejsza. Mam obowiązek... być użyteczną. Sprzyjam zwierzętom płci męskiej. Słucham poleceń. Jestem pogodna. O, znowu przejechał radiowóz. Jestem oszczędna i popełniam absolutne plugastwa myślą, mową i uczynkiem.

- Mam szczerą nadzieję, że to już wszystko, moje ty dowcipne dziecko.

- Aha. To wszystko. Nie... chwila, moment. Piekłyśmy różne rzeczy w takim piecyku, co się grzeje od słońca. Ekstra, nie?

- To już brzmi trochę lepiej.

- Umyłyśmy ikstyliony naczyń. Wiesz, „ikstyliion” to w slangu belfrów „wielkie mnóstwo”. Aha, jeszcze jedno: mała rzecz, a cieszy, jak mówi mama... zaraz, cośmy właściwie jeszcze takiego...? Już wiem: robiłyśmy sobie prześwietlenia. Widać było cienie płuc. Ubaw po pachy.

- *C'est bien tout?*

- *C'est.* Prócz jednego drobiazgu, o którym po prostu nie umiem ci opowiedzieć bez rumieńca.

- A później powiesz?

- Jeżeli usiądziemy po ciemku i pozwolisz mi mówić szeptem. Spisz w swoim starym pokoju czy w jednym wyrku z mamą?

- W starym pokoju. Twoja matka, Lo, będzie może musiała poddać się bardzo poważnej operacji.

- Weź stań przy tej cukierni, dobra? - zażądała.

Gdy już siedziała na stołku barowym, z pasmem słońca w poprzek nagiej, brązowej ręki, dostała na tacy wyszukaną

budowlę z lodów polaną syntetycznym syropem. Wzniósł ją i wniósł młodociany pryszczaty bydlak w zatłuszczonej muszce, mierząc spojrzeniem pełnym cielesnej premedytacji moją kruchą dziecinę w cienkiej bawełnianej sukience. Niecierpliwość, z jaką pragnałem dostać się wreszcie do Briceland i do „Zaklętych Łowców”, zaczynała być ponad siły. Na szczęście Lolita sprzątnęła swój przysmak równie żwawo jak zawsze.

- Ile masz pieniędzy? - spytałem.

- Ani centa - odparła ze smutkiem, unosząc brwi i pokazując wnętrze pustej portmonetki.

- Zaradzimy temu w odpowiedniej chwili - obiecałem wyniośle. - Idziesz?

- Ciekawe, czy mają tu ubikację.

- Nie pójdziesz do żadnej ubikacji - rzekłem stanowczo. - Na pewno jest obrzydliwa. No, chodźże już.

Była w sumie posłuszną dziewczyneczką, więc pocałowałem ją w szyję, kiedy wsiedliśmy z powrotem do auta.

- Przestań - powiedziała, patrząc na mnie z niekłamanym zaskoczeniem. - Co mnie obśliniasz. Świntuchu.

Potarła pocałowane miejsce uniesionym ramieniem.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Po prostu dosyć cię lubię.

Jechaliśmy pod chmurnym niebem, krętą drogą pod górę i znowu w dół.

- Wiesz, ja ciebie też jakby lubię - rzekła cichutko, z lekką zwłoką, trochę jakby westchnęła i przysunęła się do mnie jakby.

(O, moja Lolito, nigdy nie zajedziemy na miejsce!).

Zmierzch zaczął nasycać śliczne małe Briceland, jego pseudo-kolonialną architekturę, sklepy z osobliwościami i rozłożyste drzewa z importu, gdy jechaliśmy marnie oświetlonymi ulicami, szukając „Zaklętych Łowców”. Powietrze, choć dziergane monotonną mżawką, było ciepłe i zie-

lone, a przed kinem kapiącym ogniami klejnotów stała już kolejka do kasy, głównie dzieci i starcy.

- Oj, ja chcę zobaczyć ten film. Chodźmy zaraz po kolacji.

Oj, chodźmy!

- Może i pójdziemy - zanucił Humbert... choć doskonale wiedział, szczywany obrzękły szatan, że jeszcze przed dziewiątą, kiedy zaczniesz się jego seans, padnie mu jak martwa w ramiona.

- Wolnego! - krzyknęła, rzucając się głową naprzód, bo jakaś przeklęta ciężarówka, której podogonie pulsowało karbunkułami, zahamowała przed nami na światłach.

Czułem, że jeśli nie znajdziemy hotelu zaraz, natychmiast, cudem, za najbliższą przecznicą, stracę panowanie nad landarą Haze'ów, tym gruchotem o zawodnych wycieraczkach i kapryśnych hamulcach, lecz przechodnie, u których zasięgałem języka, albo sami byli obcy w mieście, albo pytali, marszcząc brwi: „Że co zakłete?” - jakby brali mnie za wariata; lub też wdawali się w tak zagmatwane objaśnienia, pełne geometrycznych gestów, geograficznych ogólników i ściśle lokalnych punktów orientacyjnych (... i dalej na południe, aż do gmachu sądu...), że nie miałem szans nie pogubić się w labiryntach ich uczynnego bełkotu. Ponieważ prześliczne pryzmaty jej wnętrzości strawiły już porcję lodów, Lo zaczęła się wiercić, nie mogąc się doczekać obfitego posiłku. Dla mnie zaś, choć dawno już przywykłem, że jakiś vice-los (powiedzmy, sekretarz De Losa, skończony patałach) małostkowo krzyżuje wspaniałomyślne plany szefa, takie przedzianie się po omacku przez płataninę ulic Briceland było chyba najbardziej irytującą z zaznanych w życiu męczarni. W późniejszych miesiącach potrafiłem już śmiać się z własnego niedoświadczenia, wspominając chłopięcy upór, z jakim uczepiłem się tego, a nie innego zajazdu o wymyślnej nazwie; wzdłuż bowiem naszej trasy niezliczone motele zachwalały światłami neo-

nów wolne pokoje, gotowe ugościć komiwojażerów, zbiegłych więźniów, impotentów, całe rodziny, a także najbardziej nawet zepsute i witalne pary. O, subtelni szoferzy sunący przez czerń letnich nocy, jakież figle, jakież wirażę żądz moglibyście ujrzeć ze swych nieskalanych szos, gdyby z Chętnych Chatek raptem wyciekł pigment, aż stałyby się przezroczyste niczym szklane gabloty!

Upragniony cud w końcu jednak się zdarzył. Mężczyzna i dziewczyna, mniej lub bardziej połączeni w ciemnym aucie pod ociekającymi wodą drzewami, powiedzieli nam, że jesteśmy w samym sercu Parku, ale musimy tylko skrócić w lewo na najbliższych światłach, aby stanąć u celu. Nie zauważyliśmy żadnych najbliższych świateł - prawdę mówiąc, Park był czarny jak grzechy, które skrywał - lecz poddawszy się gładkiemu urokowi miło wystopniowanego zakrętu, podróżni dostrzegli niebawem poprzez mgłę diamentowy blask, zaśniła tafla jeziora - i oto wyłonił się przed nimi, cudownie i nieodwołalnie, pod widmowymi drzewami, u szczytu wysypanego żwirem podjazdu - błady pałac „Zaklętych Łowców”.

Auta zaparkowane rzędem jak świnie u koryta na pierwszy rzut oka zdawały się bronić dostępu, lecz za sprawą czarów potężny kabriolet, olśniewający, rubinowy w podświetlonym deszczu, ruszył, gdy barczysty kierowca energicznie wrzucił wsteczny bieg, my zaś z wdzięcznością wśliznęliśmy się w lukę po nim. Natychmiast pożałowałem pośpiechu, widząc, że mój poprzednik schronił się pod pobliską wiatą i że w tym *sui generis* garażu jest aż nazbyt wiele miejsca na jeszcze jeden wóz; byłem jednak zanadto niecierpliwy, aby wziąć z niego przykład.

- O rany! Meta z klasą! - stwierdziła moja wulgarna kochaneczka, przyglądając się spod zmrużonych powiek sztukiateriom, kiedy wygramoliła się z auta w wyraźnie słyszalną mżawkę i dziecięcą rączką wyciągnęła fałdę sukienki z

rowka brzoskwini - że zacytuje Roberta Browninga. W świetle lamp łukowych powiększone repliki kasztanowych liści miały się i grały na białych kolumnkach. Otworzyłem bagażnik. Garbaty i posiwiały Murzyn w czymś na kształt uniformu załadował nasze walizki na wózek i powoli wtoczył je do hallu. Był on pełen starszych pań i duchownych. Lolita przykucnęła, żeby popieścić bladoliciego, błękitnie piegowanego, czarnouchego cocker-spaniela, który na kwiecistym dywanie omdlewał pod jej dłonią - bo i któż by nie omdlał, daję słowo - podczas gdy ja pochrząkiwaniem torowałem sobie drogę przez tłum. Kiedy przedarłem się do recepcji, łysy starzec - wszyscy w tym starym hotelu byli starzy - o nieco wieprzowatym wyglądzie z uprzejmym uśmiechem zlustrował moje rysy, bez pośpiechu wyjął moją (przekręconą) depeszę, przez chwilę borykał się z jakimiś mrocznymi wątpliwościami, obrócił głowę, aby spojrzeć na zegar, i wreszcie oświadczył, że bardzo mu przykro, trzymał dla mnie dwuosobowy pokój aż do pół do siódmej, teraz jednak zajmuje go już kto inny. Ze złotem religijnym, ciągnął, zderzyła się wystawa kwiatów w Briceland, no i... - Moje nazwisko - rzekłem oziębłe - nie brzmi Humberg ani Humbug, lecz Herbert, a raczej Humbert, i zadowolę się jakimkolwiek pokojem, wstawcie tylko kozetkę dla mojej córeczki. Ma dziesięć lat i jest bardzo zmęczona.

Różowy staruszek dobrotliwie spojrział na Lo - która dalej siedziała w kucki, profilem do nas, z rozchylonymi ustami, zasłuchana w coś, co pani spaniela, pradawna dama spowita w fioletowe woale, mówiła do niej z otchłani krytego kretonem fotela.

Wszelkie wątpliwości, jakie mogły dręczyć sprośnego jegomościa, rozproszyła owa kwiecista wizja. Powiedział, że może znajdzie się jeszcze wolny pokój, właściwie to jest jeden - z dwuosobowym łóżkiem. A jeśli idzie o kozetkę...

- Panie Potts, czy mamy wolne kozetki na tę noc? - Potts, też różowy i łysy, z siwymi włosami wyrastającymi z uszu oraz innych otworów, obiecał, że zobaczy, co da się zrobić. Podszedł i zagadał, gdy ja odkręcałem już nasadkę wiecznego pióra. Niecierpliwy Humbert!

- Nasze dwuosobowe łóżka są właściwie trzyosobowe - przytulnie rzekł Potts, opatulając mnie i moją małą. - Któręjs nocy mieliśmy taki tłok, że trzy panie spały razem z dzieckiem w wieku pańskiego. Jedna była chyba przebrany męzczyzną [szumy na łączach, moja wina]. Ale... może z czterdziestego dziewiątego kozetkę pan zwinie, panie Swine?

- Chyba poszła do Swoonów - odparł Swine, czyli pierwszy z dwóch starych błaznów.

- Damy sobie radę - orzekłem. - Niewykluczone, że dołączy do nas później moja żona... ale chyba nawet wtedy jakoś sobie poradzimy.

Dwa różowe świntuchy weszły tym samym do grona moich najlepszych przyjaciół. Powolnym, czytelnym pismem zbrodni wykaligrafowałem: Dr Edgar H. Humbert z córką, 342 Lawn Street, Ramsdale. Klucz (342!) pokazano mi w przelocie (gestem czarodzieja demonstrującego przedmiot, który zamierza skryć w dłoni) i zaraz oddano Wujowi Tomowi. Lo wstała, porzucając psa, jak i mnie miała kiedyś porzucić; kropla deszczu spadła na grób Charlotty; przystojna młoda Murzynka otworzyła drzwi i skazane dziecko weszło do windy, ku zgubie, a za nim ojciec, odchrząkując, i Tom niby rak z walizkami. Parodia hotelowego korytarza. Parodia ciszy i śmierci.

- O, numer naszego domu - radośnie zauważyła Lo.

W pokoju było dwuosobowe łóżko, lustro, dwuosobowe łóżko w lustrze, szafa w ścianie z lustrem w drzwiach, drzwi do łazienki, a w nich także lustro, niebieskociemne okno, w nim zaś odbite łóżko, to samo łóżko odbite w

drzwiach szafy, dwa krzesła, stolik ze szklanym blatem, dwie szafki nocne, dwuosobowe łóżko: ściśle mówiąc, ogromne łożo z pomarańczową, wpadającą w róz narzutą ze sznelki, i dwie lampki nocne po lewej i prawej, a na nich różowe abażury z falbankami.

Korciło mnie, żeby wsunąć pięciodolarowy banknot w tę dłoń koloru sepii, ale bałem się, że moja hojność zostanie źle rozumiana, położyłem więc tylko ćwiartkę. Dodałem drugą. Wycofał się. Pstryk. *Enfin seuls.*

- Mamy spać w jednym pokoju? - spytała Lo z dynamicznie ożywioną miną, w której nie było jednak złości ani obrzydzenia (choć najwidoczniej mało brakowało), tylko czysty dynamizm, jak zwykle, gdy chciała nadać swojemu pytaniu burzliwą doniosłość.

- Poprosiłem, żeby wstawili kozetkę. Sam się na niej położy, jeśli chcesz.

- Zwariowałeś - stwierdziła Lo.

- Dlaczego, moja droga?

- Dlatego, mój dhogi, że kiedy moja dhoga matka się dowie, z tobą się rozwiedzie, a mnie udusi.

Powiedziane po prostu dynamicznie. Właściwie niezbyt serio.

- Posłuchaj - zacząłem, siadając, podczas gdy ona stała o parę kroków ode mnie i z satysfakcją przyglądała się sobie, dość mile zdziwiona własnym wyglądem, wypełniając swą różaną słonecznością mile zdziwione lustro w drzwiach szafy. - Posłuchaj, Lo. Wyjaśnijmy sprawę raz na zawsze. Jestem praktycznie rzecz biorąc twoim ojcem. Mam dla ciebie wiele czułości. Pod nieobecność twojej matki to ja odpowiadam za twoje dobro. Nie jesteśmy bogaci, a w podróży będziemy musieli... często będziemy się o siebie ocierać. Między dwojgiem ludzi zajmujących wspólny pokój w sposób nieunikniony dochodzi do... jak by to powiedzieć... do czegoś w rodzaju...

- Do kazirodztwa - wtrąciła Lo: weszła do szafy i zaraz z niej wyszła z młodzieńczym, złocistym chichotem, otworzyła sąsiednie drzwi i żeby nie popełnić kolejnej omyłki, ostrożnie zajrzała do środka swymi dziwnymi, dymnymi oczami, po czym znikła w łazience.

Otworzyłem okno, zdarłem z siebie przepoconą koszulę, przebrałem się, sprawdziłem, czy w kieszeni marynarki mam fiolkę z tabletkami, przekręciłem kluczyk...

Wyszła powłóczytym krokiem. Spróbowałem ją objąć: ot tak, mimochodem, odrobina powściągananej czułości przed kolacją.

- Słuchaj, dajmy sobie siana z całowaniem i chodźmy coś zjeść - powiedziała.

Właśnie wtedy uruchomiłem swoją niespodziankę.

O, cudna moja pieszczołka! Podeszła do otwartej walizki, jakby skradała się do niej z daleka, niczym w zwolnionym filmie, wpatrując się w tę odległą szkatułę skarbów na hotelowym stole. (Czyżby jej wielkie szare oczy miały jakiś defekt, zadałem sobie pytanie? Czy też oboje nurzamy się w tej samej zakłętej mgiele?). Na dość wysokich obcasach, dość wysoko unosząc stopy i zginając piękne, chłopięce kolana, szła przez rozrastającą się przestrzeń z powolnością kogoś, kto chodzi pod wodą albo śni, że ucieka. I wreszcie podniosła za rękawki kamizelkę koloru miedzi, uroczą i dosyć drogą, bardzo wolno rozciągając ją dwójgim milczących dłoni, niby oszołomiony ptasznik, kiedy z zapartym tchem rozpościera przed sobą niewiarygodną zdobycz, którą trzyma za koniuszki płomiennych skrzydeł. A potem (gdy ja stałem, czekając na nią), wyciągnęła błyskotliwy pasek, opieszalego węża, i przymierzyła.

I wtedy wśliznęła mi się w wyczekujące objęcia, promienna, rozluźniona, pieszcząc mnie spojrzeniem czułych, tajemniczych, nieczystych, obojętnych, zmierzchających

oczu - wypisz, wymaluj, najtańsza z tanich ślicznotek. Z nich bowiem wzór biorą nimfetki - a my konamy z jękiem.

- Nie chcesz bać duzi? - wymamrotałem (nie panując już nad słowami) prosto w jej włosy.

- Jak już koniecznie musisz wiedzieć - odparła - robisz to nie tak, jak trzeba.

- Więc potaż, jat krzeba.

- Wszystko w swoim czasie - odrzekła półsłowiczka. *Seva ascendes, pulsata, brulans, kitzelans, dementissima. Vinda turcotans, pausa, turcotans, populus in corritaro. Hanc nisi mors mihi adimet nemo! Juncea puellula, jo pensavo fondissime, nobserva nihil quidquam;* lecz oczywiście już za chwilę mogłem strzelić jakąś straszną gafę; na szczęście znów zajęła się skarbcem.

Z łazienki, w której zmitrężyłem sporo czasu, nim zdołałem przestawić się z powrotem na zwykły bieg i spełnić humorystycznie przyziemny zamiar, słyszałem - stojąc, bębniąc, wstrzymując oddech - rozmaite „rany” i „jejku” mojej Lolity, okrzyki dziewczęcego zachwytu.

Z mydła skorzystała tylko dlatego, że było firmowe.

- No, to chodź, skarbie, jeżeli jesteś równie głodna, jak ja. Dalej więc do windy - córka wywija starą białą torebką, ojciec idzie przed nią (notabene: nigdy za nią, nie jest przecież damą). Kiedy staliśmy (teraz już obok siebie), czekając, aż zwiozą nas na parter, zadarła głowę, ziewnęła bez zahamowań i potrząsnęła lokami.

- O której kazali wam wstawać na obozie?

- Pół do... - stłumiła kolejne ziewnięcie - ... szóstej. - Tu ziewnęła na całego, z dygotem od stóp do głów. - Pół do - powtórzyła, i zaraz znów zrobiło jej się pełno w gardle.

Jadalnia powitała nas wonią smażonego tłuszczu i spełzłym uśmiechem. Była to przestronna i pretensjonalna sala, na której ścianach cklive freski przedstawiały zaklętych łowców w rozmaitych pozach i stadiach zaklinania oraz zbie-

raninę bladych zwierząt, driad i drzew. Kilka starszych pań rozproszonych po sali, dwaj duchowni i mężczyzna w sportowej marynarce milcząc, kończyli posiłek. Jadalnię zamknięto o dziewiątej, więc w zieleń odzianym kelnerkom o pokerowych twarzach na szczęście rozpaczliwie się spieszyło, żeby nas się pozbyć.

- Czy on nie wygląda całkiem, ale to całkiem jak Quilty? - ściszym głosem spytała Lo, której spiczasty, śniady łokieć co prawda nie wskazywał, lecz wyraźnie płonął z ochoty, żeby wskazać jegomościa ubranego w krzykliwą kratę, samotnie posilającego się w najdalszym kącie.

- Nasz tłusty dentysta z Ramsdale?

Zatrzymując w ustach łyk wody, który właśnie upiła, Lo odstawiła roztańczoną szklankę.

- Jasne, że nie - odparła, prychnąwszy z rozbawieniem. - Ten pisarz z reklamy Dromaderów.

O, Sławo! O, słaba płci!

Kiedy zmieciono już deser - ogromny klin placka z wiśniami dla młodej damy, a dla jej opiekuna lody waniliowe, których większą częścią nie zwlekając, obłożyła placek - wyciągnąłem fiolkę, a w niej Tycie Tabletki Tatki. Gdy dziś wspominam te zemdlone freski, cały ten dziwny i monstrualny moment, umiem wytłumaczyć swoje ówczesne postępowanie jedynie mechanizmem rządzącym senną próżnią, w której wiruje obłąkany umysł; wtedy jednak wszystko wydawało mi się proste i nieuchronne. Rozejrzawszy się wokoło, upewniłem się, że ostatni gość opuścił już jadalnię, zdjąłem zakrętkę i z największym rozmysłem nachyliłem nad dłonią flakonik z eliksirem. Przedtem starannie przećwiczyłem przed lustrem klepięcie pustą garścią w otwarte usta i połknięcie (rzekomej) pastylki. Tak jak przewidywałem, łąpczywie rzuciła się na fiolkę, pełną pekatych, uroczo ubarwionych kapsułek faszerowanych Snem Królewny.

- Niebieskie! - zawołała. - Fioletowo-niebieskie. Z czego są?

- Z letniego nieba - odpadem - ze śliwek i fig, no i z winogronowej krwi imperatorów.

- Nie, serio. Proszę cię.

- Och, to po prostu zwykłe Fabuletki. Witamina X. Tęga jak boks, grzeje jak koks. Skosztujesz?

Wyciągnęła rękę, energicznie kiwając głową.

Liczyłem, że proszek szybko podziała. Podziałał, nie sposób zaprzeczyć. Miała za sobą bardzo długi dzień, bo rano poszła wiosłować z Barbarą, której siostra była instruktorką sportów wodnych - o czym właśnie zaczęła mi opowiadać zachwycająca, przystępna nimfетка w przerwach między tłumionymi, wzdymającymi podniebienie, narastającymi ziewnięciami (och, jak szybko podziałał czarodziejski lubczyk!), a w innych dziedzinach też się udzielała. O filmie, który dotąd niejasno majaczył w jej planach, oczywiście się zapomniało, nim brodzącym krokiem wyszliśmy z jadalni. W windzie oparła się o mnie, leciutko uśmiechnięta - nie chciałbyś, żebym ci opowiedziała? - przymykając ciemne powieki.

- Śpiąca, co? - zagadnął Wuj Tom, który wiózł na górę spokojnego pana o franko-irlandzkim rodowodzie i jego córkę oraz dwie zwiędłe znawczynie róż. Kobiety patrzyły ze współczuciem na moją wątłą, smagłą, chwiejną, oszołomioną rozabudkę. Musiałem ją prawie zanieść do pokoju. Usiadła na brzegu łóżka i trochę się kiwając, rzekła gołębio głuchym głosem, z przeciąganiem sylab:

- A jak ci powiem... jak ci powiem, obiecasz [senna, taka senna - głowa opada, oczy gasną], czy obiecasz, że nie będziesz miał zażaleń?

- Później, Lo. Na razie kładź się do łóżka. Zostawię cię samą i przez ten czas się połóż. Daję ci dziesięć minut.

- Oj, byłam taka wstrętna, niegrzeczna. - Potrząsnęła włosami, leniwymi palcami wyciągając z nich aksamitkę. - No posłuchaj...

- Jutro, Lo. Kładź się do łóżka, kładź się do łóżka - na miłość boską, do łóżka.

Schowałem klucz do kieszeni i zszedłem na dół.

28

Łaskawe ławniczki! Miejcie dla mnie cierpliwość! Pozwólcie mi zająć odrobinę waszego cennego czasu! Oto więc nadszedł *le grand moment*. Zostawiłem moją Lolitę przycupniętą na krawędzi przepastnego łoża, gdy sennie podnosząc nogę, gmerając przy sznurowadłach pokazywała tylną część uda aż do miejsca, gdzie majteczki zasłaniają krocze - bo zawsze była wybitnie roztargniona albo bezwstydną, czy też bezwstydnie roztargniona, w sprawach obnażania nóg. Taką zatem hermetyczną jej wizję zamknąłem – upewniwszy się, że po wewnętrznej stronie drzwi nie ma zasuw. Klucz z drewnianym wisiosem opatrzonym numerem pokoju stał się odtąd ważkim zakłębieniem, zdolnym otworzyć przede mną wrota upojnej i groźnej przyszłości. Był mój, był częścią mej gorącej, włochatej pięści. Za parę minut - powiedzmy: dwadzieścia, powiedzmy: za pół godziny, *sicher ist sicher*, jak mawiał stryj Gustaw - miałem otworzyć sobie drzwi pokoju „342” i zastać tam swoją nimfetkę, piękność i oblubienicę, uwięzioną w krystalicznym śnie. O, sędziowie! Gdyby moje szczęście umiało mówić, napęłniłoby ten elegancki hotel ogłuszającym rykiem. A dziś żałuję tylko jednego: że nie złożyłem cichaczem klucza „342” w recepcji, aby opuścić miasto, kraj, kontynent, półkulę - ba, planetę! jeszcze tej samej nocy.

Pozwólcie, że wyjaśnię. Samooskarżycielskie napomknienia Lolity nie zaniepokoiły mnie ponad miarę. Trwałem

w niezłomnym postanowieniu, że obiorę metodę, dzięki której oszczędzę jej czystość, operując wyłącznie w skrytości nocy, li tylko na kompletnie znieczulonej naguseczce. Powściągliwość i poszanowanie nadal stanowiły mą dewizę - choćby rzeczona „czystość” (nawiasem mówiąc, odbrażowana do cna przez współczesną naukę) uległa lekkiemu uszkodzeniu podczas jakiejś erotycznej dziecinady, niewątpliwie homoseksualnej, na tym przeklętym obozie. Ja, Jean-Jacques Humbert, oczywiście jak zwykle staromodny, starokontynentalny, uważałem za pewnik, gdy ją po raz pierwszy spotkałem, że jest nietknięta - zgodnie ze stereotypem „normalnego dziecka”, jaki funkcjonuje od nieodżałowanego końca przedchrystusowej starożytności i jej fascynujących praktyk. W naszej oświeconej epoce nie otaczają nas niewolne kwiatuszki, które można by zrywać od niechcenia między transakcją a łaźnią, jak to robiono w epoce rzymskiej; i nie czynimy tak, jak w jeszcze bardziej luksusowych czasach czynili dystyngowani ludzie Wschodu, gdy między baraniną a sorbetem z róży zażywali - od dziobu i od rufy - maleńkich pocieszek. W tym cały szkopuł, że ogniwo, które dawniej spajało dorosły świat z dziecięcym, całkowicie przecięły nowe obyczaje i prawa. Choć po trosze parałem się psychiatrią i opieką społeczną, w gruncie rzeczy bardzo mało wiedziałem o dzieciach. Przecież Lolita skończyła dopiero dwanaście lat i jakiegokolwiek brałbym poprawki na specyfikę czasu i miejsca - nawet uwzględniając prostackie zachowanie amerykańskich dzieci - byłem przeświadczony, że bliżej nieokreślone „wszystko”, na co sobie pozwala ta śmiała smarkateria, dzieje się w późniejszym wieku i w innym środowisku. Toteż (aby podjąć przerwany wątek wyjaśnień) ukryty we mnie moralista omijał sedno problemu, czepiając się konwencjonalnych wyobrażeń o tym, jakie powinny być dwunastoletnie dziewczęta. Natomiast ukryty we mnie terapeuta dziecięcy (szalbierz, podobnie jak więk-

szość tych panów - ale mniejsza z tym) czknał neofreudowską duszeniną i wykoncypował Dolly rozmarzoną, afektowaną, w „utajonym” okresie dziewczęctwa. I wreszcie, ukryty we mnie sensualista (ogromny, obłąkany potwór) nie miał nic przeciwko temu, żeby jego ofiara była lekko zdeprawowana. Lecz gdzieś za zasłoną rozhukanej błogości naradzały się stropione cienie - a czego żałuję, to tego, że zignorowałem ich podszepty! Słyszcie, ludzkie istoty! Powinienem był zrozumieć, iż Lolita już na tym wczesnym etapie zdążyła się okazać całkiem inną osobką aniżeli niewinna Annabel i że nimfie zło zionące ze wszystkich porów skóry nawiedzonego dziecka, które przysposobiłem, aby zaznać z nim potajemnej rozkoszy, potajemność uczyni niemożliwą, a rozkosz - zabójczą. Powinienem był odgadnąć (ze znaków, jakie dawało mi owo „coś” emanujące z Lolity - może prawdziwa Lolita-dziecko, a może jakiś wynędzniały anioł przyczajony za jej plecami), że nic prócz bólu i zgrozy z oczekiwanej euforii nie wyniknie. O, skrzydlaci sędziowie!

I była moja, była moja, klucz tkwił w mej pięści, a pięść w kieszeni, Lolita była moja. Tyle bezsennych nocy poświęciłem temu, aby przyzywać jej wyobrażenie i knuć, że stopniowo wyeliminowałem całą zbędną otoczkę i spiętrzając kolejne warstwy przejrzystych wizji, wywołałem wizję ostateczną. Naga, tylko w jednej skarpetce, z bransoletką noszoną od uroku, rozkrzyżowana na łóżku, na które powalił ją mój eliksir - tak właśnie ją sobie wyobrażałem; w dłoni wciąż jeszcze zaciskała zdjętą z włosów aksamitkę; jej ciało barwy brązowego miodu z odbijającym od opalenizny białym negatywem zdawkowego bikini ofiarowywało mi blade pączki piersi; w różanym blasku lampy lśniła na pulchnym wzgórku łonowym odrobina puszku. Zimny klucz z ciepłym drewnianym przydatkiem spoczywał w mej kieszeni.

Wędrowałem przez rozmaite sale publiczne, w glorii poniżej pasa, a w głątwie powyżej: żądza bowiem zawsze ma wyraz zgłątwiąły; nigdy nie jest całkiem pewna - nawet gdy trzyma swą aksamitną ofiarę w lochu pod kluczem - czy jakiś rywal spośród diabłów lub wpływowy bóg nie zdoła jeszcze udaremnić starannie zaplanowanego triumfu. Mówiąc językiem potocznym, musiałem się napić; lecz w owym czcigodnym przybytku pełnym spoconych filistrów i przedmiotów „z epoki” nie było baru.

Zaniosło mnie do męskiej toalety. Osobnik odziany w duchowną czerń - „dziarski dziekan”, *comme on dit* - który właśnie sprawdzał z wiedeńskiego poduszczenia, czy mu jeszcze nie odpadł, spytał, jak mi się podobało przemówienie doktora Boyda, i zrobił zdziwioną minę, kiedy odrzekłem (ja, Król Zygmunt Drugi), że Boyd ma niezłe biodra. Po czym zręcznie trafiłem chusteczką papierową, w którą wytarłem wrażliwe opuszki palców, do przygotowanego na ten cel naczynia, i ruszyłem w stronę hallu. Wygodnie oparłszy się łokciami o kontuar recepcji zapytałem pana Potts'a, czy aby na pewno nie dzwoniła moja żona i co będzie z kozetką? Odpad, że nie dzwoniła (nie żyła już przecież), a kozetkę wstawi się jutro, jeśli zdecydujemy się zostać dłużej. Z wielkiej zatłoczonej sali zwanej „Komnatą Łowców” dobiegał zgiełk licznych głosów, rozprawiających o ogrodnictwie lub o wieczności. Inna sala, znana jako „Malinowa”, skąpana w świetle, z kolorowymi stoliczkami i z dużym stołem, na którym stał „poczęstunek”, była jeszcze pusta, jeśli nie liczyć hostessy (jednej z tych zużytych kobiet o szklanym uśmiechu i sposobie mówienia Charlotty); podeszła ona do mnie posuwicie, żeby spytać, czy nazywam się Braddock, bo jeśli tak, to szuka mnie panna Broda. - Co za nazwisko dla kobiety! - odrzekłem, oddalając się. Przez moje serce płynęła tęczowa krew. Poczekam, aż wybiję pół do dziesiątej. Wróciwszy do hallu, stwierdziłem, że

zaszła tam zmiana: tu i ówdzie stały grupkami rozmaite osoby w kwiecistych sukniach lub w czarnym suknie, a jakiś skrzaci traf ufetował mnie widokiem uroczej dzieciny w wieku Lolity, w tak samo skrojonej, tyle że śnieżnobiałej sukience, z białą wstążką w kruczych włosach. Choć niezbyt ładna, była jednak nimfetką, a jej alabastrowo blade nogi i liliowa szyja utworzyły na jeden pamiętny moment przemiłą antyfonę (wyczuwalną muzykalnym kręgosłupem) z mym upragnieniem Lolity, brązowo-różowej, rumiano-zbrukaney. Blade dziecko zauważyło moje spojrzenie (całkiem w gruncie rzeczy przelotne i taktowne), a ponieważ z wręcz śmieszną łatwością dostawało tremy, zupełnie zbite z pantałyku przewróciło oczami, dotknęło policzka grzbietem dłoni, obciągnęło rąbek sukienki i w końcu pokazało mi chude, ruchliwe łopatki, wszczynając dla pozorów rozmowę ze swoją krowiastą matką.

Wyszedłem z hałaśliwego hallu na dwór i stojąc na białych schodkach, patrzyłem, jak upudrowane robactwo setkami wiruje wokół latarni wśród grząskiej czarnej nocy, pełnej plusku i drżenia. Wszystko, co zamierzałem zrobić - co śmiałem zrobić - sprowadzało się do takiej drobnostki...

Wtem uświadomiłem sobie, że nieopodal w ciemnościach między kolumnienkami werandy ktoś siedzi w fotelu. Był właściwie niewidoczny, lecz zdradził go zgrzyt odkręcanego gwintu, dyskretny gulgot i wreszcie końcowa nuta, gdy spokojnie zakręcił butelkę. Miałem już odejść, ale mnie zagadnął:

- Skądżeś pan ją zgarnął?
- Słucham?
- Mówię, że gorzej, kiedy parno.
- Owszem.
- Kim jest ta mała?
- To moja córka.
- Lipa, kłamie kanalia.

- Słucham?
- Mówię, że lipiec mamy upalny. Gdzie jej matka?
- Nie żyje.
- Aha. Przepraszam. A tak przy okazji, może byście oboje zjedli jutro ze mną lunch. Tych okropnych typów już tu nie będzie.
- Nas też. Dobranoc.
- Przepraszam. Jestem zdrowo pijany. Dobranoc. To pańskie dziecko potrzebuje mnóstwo snu. Sen jest różny, jak mają Persowie. Pali pan?
- Nie teraz.

Skrobnął zapałką, ale z powodu opilstwa, a może dlatego, że pijany był wiatr, płomień oświetlił nie jego, lecz sędziwego starca - jednego z wiecznych gości starych hoteli - wraz z białym fotelem na biegunach. Nikt się nie odezwał i wnet ciemność wróciła na swoje miejsce. Usłyszałem, jak hotelowy weteran kaszle, pozbywając się cmentarnego śluzu.

Wycofałem się z werandy. W sumie minęło co najmniej pół godziny. Powinienem był poprosić o łyżeczek. Napięcie zaczynało dawać mi się znaki. Jeżeli struna skrzypiec może boleć, to byłem właśnie taką struną. Nie wypadało jednak okazać pośpiechu. Gdy w rogu hallu brnąłem przez zastygłą ludzką konstelację, zaskoczył mnie oślepiający błysk... i oto rozpromienionego doktora Braddocka, dwie matrony w ornamentach orchidei, wspomnianą już dziewczkę w bieli oraz - zapewne - wyszczerzone zęby Humberta Humberta, który przemykał się boczkim między pannomłodą dziewczeczką a zaklętym klechą, unieśmiertelniono - jeśli tworzywu i drukowi małomiasteczkowych gazet można przypisać nieśmiertelność. Przy windzie zgromadziła się rozświegotana grupka. Znowu postanowiłem iść pieszo. Z 342 było niedaleko do schodów przeciwpożarowych. Moż-

na by jeszcze - lecz klucz tkwił już w zamku, a po chwili znalazłem się w pokoju.

29

W łazience się świeciło, jej drzwi były uchylone; z lamp łukowych rozmieszczonych na zewnątrz budynku przenikał przez żaluzje koś-ciotrupi blask; owe skrzyżowane promienie przebijały mrok sypialni, ukazując mym oczom taką oto sytuację.

Moja Lolita w starej koszuli nocnej leżała na boku pośrodku łóżka, tyłem do mnie. Jej lekko przyodziane ciało i nagie członki tworzyły literę Z. Pod rozczochraną głowę podłożyła obie poduszki; smuga bladego światła przecinała górną partię kręgosłupa.

Zrzuciłem ubranie i wciągnąłem piżamę z fantastyczną, zdawałoby się, natychmiastowością, jaką sugeruje kino, ilekroć montażysta wytnie etap przebierania; i już opadem kolano o brzeg łóżka, kiedy Lolita obróciła głowę i spojrzała na mnie przez pręgowane cienie.

Otóż tego intruz się nie spodziewał. Jego farmakologiczny fortel (w sumie dość plugawy, *entre nous soit dit*) w zamysle miał wywołać sen tak twardy, że pułk wojska by go nie zakłócił, a tymczasem Dolly patrzyła mi prosto w twarz i zachrypniętym głosem witała mnie jako „Barbarę”. Barbara w mojej piżamie, dużo dla niej za ciasnej, zawisła bez ruchu nad rozmowną śpioszką. Ta zaś delikatnie, ze zrezygnowanym westchnieniem wróciła do poprzedniej pozycji. Co najmniej przez dwie minuty czekałem i sprężłem się na krawędzi, niczym ten krawiec, który przed czterdziestu laty ze spadochronem własnej roboty szykował się do skoku z wieży Eiffla. Lekki oddech Lo falował w takt snu. W końcu zwałem się na swój skrawek łóżka i zacząłem ukradkiem ciągnąć ku sobie pościelowe szmatki i strzępki

spiętrzone na południe od moich stóp, zimnych jak lód - a Lolita podniosła głowę i wytrzeszczyła na mnie oczy.

Jak się potem dowiedziałem od uczynnego farmaceuty, fioletowa pigułka w ogóle nie należała do licznej i szlachetnej rodziny barbituranów, a choć mogła uspić neurotyka wierzącego w jej narkotyczną moc, zbyt łagodnym okazała się uśmierzaczem, aby na dłuższy czas ukołysać czujną, acz uznojoną nimfetkę. Czy lekarz z Ramsdale był szarlatanem, czy cwanyym starym łajdakiem, nie ma właściwie i wtedy też nie miało znaczenia. Grunt, że mnie oszukał. Kiedy Lolita po raz drugi otworzyła oczy, zrozumiałem, że nawet jeśli specyfik w końcu podziała, bezpieczeństwo, na które liczyłem, jest pozorne. Z wolna odwróciwszy głowę, opuściła ją na większy, niż nakazywała sprawiedliwość, przydział poduszek. W zupełnym bezruchu leżałem na swoim brzeżku, wpatrując się w potargane włosy, w poblask nimfięcego ciała, z którego widać było w mroku pół uda i pół ramienia, i usiłowałem wysondować głębiej jej snu wedle tempa oddechu. Minęło trochę czasu, nic się nie zmieniło, a ja uznałem, że mogę zaryzykować i odrobinę się przysunąć do tego cudownego, obłędnego poblasku; ledwie jednak wkradłem się w jego ciepłe poblże, ustał jej oddech, mnie zaś ogarnęło nienawistne podejrzenie, że mała Dolores czuwa i wybuchnie wrzaskiem, jeśli ją tknę którąkolwiek częścią swojej doczesnej nędzy. Proszę, czytelniku: choćby ci się już przejadł czuły, chorobliwie wrażliwy, nieskończenie przezorny bohater mojej książki, nie pomijaj tych nader istotnych stronic! Wyobraź mnie sobie; nie zaistnieję, jeśli mnie sobie nie wyobrazisz; spróbuj dostrzec we mnie łanię drżącą w lesie mej własnej niegodziwości; zdobądź się nawet na lekki uśmiech. Wszak uśmiechnąć się nigdy nie zawadzi. No bo na przykład nie miałem na czym położyć głowy i w ogóle (o mało nie napisałem „wogle”), a prócz innych niewygód nękał mnie atak nadkwasoty (i jeszcze mają

czelność twierdzić, że przyrządzili tę smażeninę „po francusku”, *grand Dieu!*).

Moja nimfetka znów twardo spała, wciąż jednak bałem się wyruszyć w zakłątą podróż. *La Petite Dormeuse ou l'Amant Ridicule*. Jutro napcham ją tymi poprzednimi pigułkami, które tak gruntownie znieczuliły jej mamuszkę. W przegródce obok tablicy rozdzielczej - czy w neseserze? Powinienem może odczekać dobrą godzinę, a potem raz jeszcze się podkraść? Nauka o nimfolepsji jest nauką ścisłą. Przy najłżejszym kontakcie fizycznym wystarczyłaby sekunda. Z dystansu jednego milimetra trzeba by dziesięciu sekund. Zaczekajmy.

Nie ma nic głośniejszego od amerykańskiego hotelu; a weźcie pod uwagę, że miał on być spokojny, zaciszny, staroświecki, przytulny - „domowy komfort”, te rzeczy. Grzechot drzwi windy - rozlegał się ze dwadzieścia metrów na północny wschód od mojej głowy, lecz słyszałem go tak wyraźnie, jakbym miał windę w lewej skroni - przeplatał się z łoskotem i łomotem, które towarzyszyły rozmaitym ewolucjom tej maszyny, i nie ustał, aż dopiero grubo po północy. Co pewien czas, tuż na wschód od mojego lewego ucha (zawsze przyjmując, że leżałem na wznak, nie śmiąc zwrócić się bardziej zbereżną stroną ku mgławicowemu udku sąsiadki), korytarz przepęniały radosne, donośne i niedorzeczne wykrzykniki zakończone salwą dobranocek. A gdy te ucichły, przyszła kolej na ubikację tuż na północ od mojego mózdzku. Męska, energiczna, basowała z głębi gardła, po wielekroć tej nocy używana. Jej bulgotanie, chlustanie, a potem przewlekłe ciurkanie wstrząsało ścianą za moją głową. Potem gdzieś na południe ode mnie ktoś rozrzutnie się pochorował, nieomal życie wykasłując wraz z trunkiem, a jego ubikacja runęła istną Niagarą, zaraz za naszą łazienką. Kiedy zaś wreszcie umilkły wszystkie wodospady, a zaklątych łowców zmorzył sen twardy, ulica pod ok-

nem mojej bezsenności, na zachód od mego czuwania – stacyjna, wybitnie mieszkalna, dostojna aleja ze szpalerem ogromnych drzew - wyrodziła się w nikczemny rewir gigantycznych ciężarówek, które mknęły z rykiem przez mokną i wietrzną noc.

A tymczasem niecałe piętnaście centymetrów dzieliło mój rozpalony żywot od mgławicowej Lolity! Po długim i nieruchomym czuwaniu znów wysunąłem ku niej czułka i tym razem skrzywienie materaca jej nie zbudziło. Zdołałem dowlec swej zgłodniałe cielsko tak blisko, że aura jej nagiego ramienia wionęła niczym ciepły oddech po moim policzku. Nimfетка usiadła, westchnęła, z szaleńczą szybkością wymamrotała parę słów o łódkach, szarpnęła pościelą i znów osunęła się w sutą, mroczną, młodą nieświadomość. Gdy się rzucała w obfitej strudze snu, przed chwilą kasztanowej, a teraz księżycowej, jej ręka uderzyła mnie w twarz. Na sekundę objąłem nimfетkę. Wywinęła się z cienia mego uścisku - nie świadomie, nie gwałtownie, bez śladu osobistego niesmaku, tylko z beznamiętnym, płaczącym pomrukiem dziecka, które domaga się należnego mu z natury rzeczy odpoczynku. I wszystko zostało po staremu: Lolita zwrócona wygiętym grzbietem do Humberta, Humbert z dłonią pod głową, golony żądzą i zgagą.

Z powodu tej ostatniej musiałem wybrać się do łazienki po łyk wody, jest to bowiem w moim przypadku najskuteczniejszy lek, jaki znam, prócz może mleka z rzodkiewkami; gdy wróciłem do dziwnej warowni w blade pręgi, gdzie stare i nowe ubrania Lolity spoczywały w rozmaitych zaklętych pozach na meblach, które zdawały się kwitować, moja niemożliwa córka usiadła i z nienaganną dykcją zażądała, żebym ją także napoił. Wzięła w cienistą dłoń papierową szklankę, giętką i zimną, i zwróciwszy ku niej długie rzęsy, z wdzięcznością połknęła płyn, po czym infantylnym gestem, w którym było więcej uroku niż w jakiegokolwiek

cielesnej pieśczoście, mała Lolitka wytarła usta o moje ramię. Padła z powrotem na poduszkę (odebrałem swoją, kiedy piła) i natychmiast znowu zasnęła.

Nie śmiałem zaproponować drugiej dozy specyfiku, a zresztą nie porzuciłem jeszcze nadziei, że pierwsza pogłębi jej sen. Ruszyłem ku niej, gotów sprostać wszelkim rozczarowaniom, świadom, że powinienem czekać, ale czekać niezdolny. Moja poduszka pachniała jej włosami. Sunąłem ku swej miłej migotce, zatrzymując się lub cofając, ilekroć zdawało mi się, że drgnęła albo drgnie. Powiew z krainy czarów jął mieszać się do moich myśli, nadając im krój kursywy, jak gdyby powierzchnię, w której się odbijały, marszczyła chimera owego powiewu. Świadomość raz po raz rolowała mi się na wspak, pełną ciało wnikało w sferę snu i znów z niej wypęzało, a parokrotnie złapałem się na tym, że osuwam się w markotne pochrapy. Spowite mgłą tkliwości stały góry tęsknoty. Chwilami wydawało mi się, że zakłęta zdobycz zamierza wyjść naprzeciw zakłętemu łowcy, że poślądkiem ryje sobie tunel do mnie pod miękkim piaskiem dalekiej, bajecznej plaży; lecz nagle pulchny majak drgał, a ja stwierdzałem, że jest dalej ode mnie niż kiedykolwiek.

Rozwodzę się nad dreszczami i podchodami tej odległej nocy, postanowiłem bowiem udowodnić, że nie jestem, nie byłem i nigdy być nie mogłem brutalnym łotrem. Delikatne, marzycielskie rejony, przez które pełznałem, były schedą poetów - nie zaś łowiskiem zbrodni. Gdybym wtedy osiągnął cel, moje upojenie byłoby jedną wielką miękkością, procesem wewnętrznego spalania, którego żar Lo ledwie by poczuła, choćby wcale nie spała. Nie traciłem jednak nadziei, że stopniowo omota ją zupełne odrętwienie, pozwalając mi skosztować czegoś więcej aniżeli tylko jej poblasku. Toteż wśród próbnych przybliżeń, w zamęcie percepcji, który przeistaczał ją w księżycowe oka lub w

krzew rozkwitły puszyście, śniłem, że znów przytomnieję, śniłem, że czyham.

W pierwszych nadrannych godzinach niespokojna hotelowa noc trochę przysnęła. Potem gdzieś koło czwartej ubikacja w korytarzu chlusnęła kaskadą i strzeliła drzwiami. Chwilę po piątej z jakiegoś podwórka czy parkingu jął dobiegać monolog w odcinkach, niosąc się echem. Nie był to właściwie monolog, bo mówca przerywał co kilka sekund i słuchał (zapewne) partnera, lecz ten drugi głos do mnie nie docierał, nie umiałem więc w usłyszanym fragmencie doszukać się wyraźnego sensu. Jej rzeczowy ton utorował jednak drogę świtowi i pokój przesycała już liliowa szarość, gdy kilka przedsiębiorczych ubikacji wzięło się do pracy, jedna po drugiej, a winda, grzechocząc i rżąc, zaczęła kursować w górę i w dół, zwożąc tych, co wcześniej wstają i wcześniej zjeżdżają, a ja na kilka minut smętnie się zdrzemnąłem, Charlotta była syreną w zielonkawym akwarium, gdzieś na korytarzu doktor Boyd powiedział „dzień dobry panu” głosem pedzia, w koronach drzew krzątały się ptaki i nagle Lolita ziewnęła.

Oziębłe panie sędziny! Myślałem, że miesiące, może lata miną, nim ośmielę się obnażyć przed Dolores Haze; lecz do szóstej zdążyła całkiem się rozbudzić, a po kwadransie byliśmy już praktycznie rzecz biorąc kochankami. Powiem wam coś bardzo dziwnego: to ona mnie uwiodła.

Słyszając jej pierwsze poranne ziewnięcie, udałem przy stojnie profilowany sen. Nie miałem pojęcia, co robić. Czy dostanie szoku, kiedy zobaczy, że leżę obok, a nie w jakimś zapasowym łóżku? Czy zgarnie ubranie i zamknie się w łazience? Czy każe natychmiast zawieźć się do Ramsdale - do matczynego wezglowia - z powrotem do obozu? Ale moja Lo była dziewczuszką rozrywkową. Czuję na sobie jej wzrok, a kiedy wreszcie parsknęła tym swoim ukochanym chichotem, zrozumiałem, że od pierwszej sekundy śmiała

się oczami. Przewróciła się na bok i przysunęła, dotykając ciepłym brązem włosów mego obojczyka. Bardzo miernie odegrałem scenkę przebudzenia. Chwilę spokojnie poleżeliśmy. Delikatnie popieściłem jej włosy i delikatnie się pocałowaliśmy. W pocałunku Lo odkryłem z ekstatycznym zakłopotaniem dość komiczne znamiona rafinacji, trzepot i sondaż, z których wywnioskowałem, że w zaraniu życia przeszkoliła ją jakaś mała lesbijka. Żaden Charlie nie nauczyłby jej czegoś takiego. Jakby dla sprawdzenia, czy użyłem do syta i pojąłem lekcję, odsunęła się i bacznie mi się przyjrzała. Kości policzkowe zabarwił jej rumieniec, dolna warga była pełna i błyszcząca, i niewiele brakowało, żebym stopniał. Wtem prychnęła z nieokrzesanej uciechy (znać, że nimfetka!) i przytknęła mi usta do ucha - lecz przez dłuższą chwilę mój umysł nie potrafił rozebrać gorącego grzmotu jej szeptu na osobne słowa, więc roześmiała się, odgarnęła włosy z twarzy i spróbowała jeszcze raz, gdy zaś zrozumiałem, co proponuje, stopniowo owładnęło mną przedziwne uczucie, że żyję w zupełnie nowym, obłędnie nowym świecie snu, w którym wszystko wolno. Odpadem, że nie wiem, w co bawiła się z Charliem.

- Toś ty nigdy...? - skrzywiła się z obrzydzeniem i niedowierzaniem. - Ty jeszcze nigdy... - zaczęła znów. Pograłem na zwłokę, trochę się do niej łaszac. - Weź się odczep - powiedziała z nosowym zaśpiewem i czym prędzej odsunęła od moich ust smagłe ramię. (Bardzo to było dziwne, że wszelkie pieszczoty prócz pocałunków w usta i samego aktu miłosnego uważała - i nieprędko zmieniła zdanie - za „romantyczne klejenie” albo „zboczenie”).

- Znaczy - nalegała, teraz już klęcząc nade mną - nigdy żeś się tak nie bawił, jak byłeś mały?

- Nigdy - odpadem w zupełnej zgodzie z prawdą.

- Dobra - orzekła Lolita. - No to zaczynamy.

Nie będę jednak zanudzał uczonych czytelników szczegółową opowieścią o tupecie Lolity. Dość stwierdzić, że nie wykryłem ni śladu skromności w tej pięknej, ledwie rozwiniętej dziewczynce, którą współczesna koedukacja, nieletnie obyczaje, obozowa wrzawa i tym podobne wpływy całkowicie i beznadziejnie zdeprawowały. Sam akt fizyczny był dla niej jedynie częścią skrytego świata młodzieży, dorosłym nieznaną. To, co dorośli robią w celach prokreacji, w ogóle jej nie obchodziło. Mała Lo manipulowała moim żywotem energicznie i rzeczowo, jak nieczułym akcesorium, nijak ze mną nie połączonym. Choć bardzo chciała mi zaimponować światem twardych szczeniaków, pewne różnice między żywotem szczenięcym a moim nieco ją zaskoczyły. Tylko duma nie pozwoliła jej zrezygnować; ja bowiem w swym przedziwnie kłopotliwym położeniu symulowałem niebotyczną głupotę i oddałem ster w jej ręce – przynajmniej póki mogłem wytrzymać. Są to wszelako sprawy nieistotne; tak zwany seks nie zaprzęta mnie ani trochę. Każdy potrafi sobie wyobrazić te zwierzęce aspekty. Mnie natomiast nęci poważniejsze przedsięwzięcie: raz na zawsze zdefiniować niebezpieczny nimfetek czar.

30

Muszę stąpać ostrożnie. Muszę mówić szeptem. O, wieloletni redaktorze rubryki kryminalnej, o, posępny stary portierze, o, policjancie tak niegdyś popularny, a dziś zamknięty w pojedynce, choć przez tyle lat byłeś ozdobą przejścia przez jezdnię przed szkołą, o, nieszczęsny, acz dostojny emerycie, któremu na głos czyta chłopiec! Prawda, że byłby to chybiony pomysł, jeśliby takim jegomościom jak wy dano zakochać się do szaleństwa w mojej Lolicie! Gdybym był malarzem, gdyby dyrekcja „Zaklętych Łowców” w pewien letni dzień postradała zmysły i zleciła mi udeko-

rowanie jadalni moimi własnymi freskami, oto, co bym może wymyślił, że wymienię tylko kilka fragmentów:

Byłoby tam jezioro. Byłaby altana w poździe lilii. Byłyby studia z natury - tygrys w pogoni za rajskim ptakiem, wąż dławiący się, gdy chłonie pochwą gardzieli odarty ze skóry kadłub wieprzka. Byłby sułtan z wypisaną na twarzy udręką (sprzeczną, rzecz by można, z jego pieśzczotliwie rzeźbiarskim gestem), który pomagałby małej niewolnicze o kształtnych pośladkach wspiać się na kolumnę z onyksu. Byłyby te świetliste kulki gonadalnej zorzy, co suną wzwyż po opalizujących ściankach szaf grających. Byłyby najrozmaitsze akcje obozowe w wykonaniu grupy średniaków, Chińskie Cienie, Cuda Niewidy, Czesanie Loków w blasku słońca nad jeziorem. Byłyby topole, jabłka, podmiejska niedziela. Byłoby ognisty opal rozpuszczający się w basenie ujętym w ramę fal, ostatni spazm, ostatnia kropla farby, żądłaca czerwień, piekący róż, westchnienie, skrzywiona twarz dziecka.

31

Usiłuję opowiedzieć o tych sprawach nie po to, żeby przeżyć je raz jeszcze w mej obecnie bezgranicznej niedoli, lecz aby odmierzyć dozę piekła i dozę nieba zawartą w tym dziwnym, strasznym, odbierającym rozum świecie, jakim jest miłość nimfetki. Bestialstwo i piękno zlały się ze sobą w pewnym punkcie i tę właśnie linię graniczną chciałbym wyznaczyć, ale czuję, że zupełnie mi się nie udaje. Czemu?

Normę prawa rzymskiego, zgodnie z którą dziewczynka może wyjść za mąż w wieku lat dwunastu, przyjął Kościół, a i do tej pory uznaje się ją, choć raczej milcząco, w niektórych spośród Zjednoczonych Stanów. A już piętnastka wszędzie jest legalna. Nic w tym złego, twierdzą obie półkule, gdy czterdziestoletni bydlak, pobłogosławiony przez

miejscowego klechę i opity jak bąk, zrzuca przepocone szaty i wbija się aż po gardę w młodziankę oblubienicę. „W miejscowościach o ożywczo umiarkowanym klimacie [powiada pewne stare czasopismo z tutejszej biblioteki więziennej], takich jak St. Louis, Chicago czy Cincinnati, dziewczęta dojrzewają mniej więcej pod koniec dwunastego roku życia”. Dolores Haze urodziła się niecałe pięćset kilometrów od ożywczego Cincinnati. A ja poszedłem jedynie za głosem natury. Jestem natury wiernym ogarem. Skąd więc ten koszmar, z którego nie mogę się otrząsnąć? Czy odebrałem jej wianek? Wrażliwe panie sędziny, nie byłem nawet jej pierwszym kochankiem.

32

Opowiedziała mi, jak ją znieważono. Jedliśmy mączyście banany bez smaku, poobijane brzoskwinie oraz bardzo smakowite chrupki z kartofli i *die Kleine* wszystko mi opowiedziała. Jej potoczystej, lecz chaotycznej relacji towarzyszyło wiele groteskowych *moues*. Jak już chyba nadmieniałem, pamiętam zwłaszcza jeden grymas z cyklu „brrr!”: galaretowate usta rozciągnięte w bok, oczy wywrócone w szablonowej mieszance komicznego niesmaku i rezygnacji, a także tolerancji wobec młodocianych słabostek.

Zaczęła swoją zdumiewającą opowieść od wzmianki o koleżance, z którą dzieliła namiot poprzedniego lata, na innym obozie, „bardzo ekskluzywnym”, jak go określiła. Koleżanka ta („kompletna degeneratka”, „świrnięta”, ale „ekstra kumpela”) nauczyła ją rozmaitych manipulacji. Lojalna Lo z początku nie chciała zdradzić jej nazwiska.

- Czy to była Grace Angel? - spytałem.

Pokręciła głową. Nie, córka pewnej grubej ryby. Jej ojciec...

- A może Rose Carmine?

- Nie, jasne, że nie. Jej stary...

- A nie była to przypadkiem Agnes Sheridan?

Przełknęła i znów pokręciła głową - a potem nagle się zreflektowała.

- Zaraz, skąd ty właściwie znasz te wszystkie dziewczyny? Wyjaśniłem.

- No, wiesz - odpada. - Trafiają się u nas w szkole ostre modele, ale żeby aż takie, to nie. Jak już koniecznie chcesz wiedzieć, nazywa się Elizabeth Talbot, chodzi teraz do szynkowej prywatnej szkoły, ma ojca dyrektora.

Dziwnie mnie zakłuło, gdy sobie przypomniałem, jak często biedna Charlotta okraszała swoją paplaninę na przyjęciach eleganckimi kaskami w stylu „kiedy moja córka była w zeszłym roku na wycieczce z córką Talbotów”.

Zainteresowałem się, czy któraś z matek dowiedziała się o tych safickich rozrywkach?

- Ale skąd! - z udawaną zgrozą i ulgą sapnęła wąża Lo, przyciskając do piersi nieszczerze trzepoczącą dłoń.

Bardziej mnie jednak ciekawiły doświadczenia heteroseksualne. Poszła do szóstej klasy w wieku jedenastu lat, tuż po przeprowadzce do Ramsdale ze Środkowego Zachodu. Co to właściwie za „ostre modele”?

No, bliźnięta Mirandów od lat sypiają we wspólnym łóżku, a Donald Scott, najgorsza zakuta pała z całej szkoły, przeleciał Hazel Smith w garażu swojego wuja, a Kenneth Knight - największy bystrzak - dawniej przy każdej okazji pokazywał, jakiego ma, a...

- Przejdźmy lepiej do Kolonii Q - powiedziałem. I natychmiast usłyszałem pełną wersję.

Barbara Burke, krzepka blondynka, dwa lata starsza od Lo i zdecydowanie najlepsza pływaczka na obozie, miała jakieś bardzo szczególne czómo, do którego ją zapraszała, „bo prócz niej tylko ja dawałam radę zaliczyć Wyspę Wierzb” (pewnie rodzaj pływackiego sprawdzianu). Przez

cały lipiec, co rano - zważ, czytelniku: w każdy boży ranek - Barbarze i Lolicie pomagał taszczyć łódkę nad Onyx czy Eryx (dwa jeziora w głębi lasu) Charlie Holmes, trzynastoletni syn kierowniczkii obozu - i jedyny męski przedstawiciel ludzkiego rodu w promieniu paru kilometrów (jeśli nie liczyć starego, potulnego majster-klepki, głuchego jak pień, oraz farmera, który jeździł starym fordem i czasem sprzedawał obozowiczkom jajka, jak to farmerzy mają we zwyczaju); co rano - o, mój czytelniku - troje dzieci szło na skrót przez piękny, niewinny las, przepelniony wszelkimi emblematami młodości, rosą, ptasim śpiewem, aż w pewnym miejscu wśród przepyszego podszycia Lo stawiano na czatach, podczas gdy Barbara i chłopiec kopulowali za krzakiem.

Z początku Lo nie chciała „spróbować, jak to jest”, ale ciekawość i koleżeństwo w końcu wzięły górę i wkrótce ona i Barbara zmieniały się pod milkliwym, ordynarnym i chamowatym, lecz niezmordowanym Charliem, który był akurat tak samo podniecający jak surowa marchewka, mógł się jednak popisać fascynującą kolekcją prezerwatyw wyłowionych z trzeciego pobliskiego jeziora, większego i bardziej uczęszczanego, zwącego się Orgasm, tak jak rozkwitające od niedawna miasto przemysłowe. Przyznając, że „w sumie ją to rajcowało” i było „dobre na cerę”, Lolita, stwierdzam z zadowoleniem, darzyła umysłowość i manierę Charliego najgłębszą pogardą. Temperamentu ten plugawy podlec też nie zdołał w niej rozbudzić. Podejrzewam wręcz, że raczej zahamował jego rozwój, pomimo całego „rajcowania”.

Tymczasem dochodziła dziesiąta. Wraz z odpływem żądz oblażło mnie i zaszumiało w skroniach okropne popielne uczucie, które wzmagąla realistyczna bezbarwność szarego, newralgicznego dnia. Smaęła, naga, krucha Lo stała zwrócona do mnie białymi pośladkami, a nadąsaną twarzą

do lustra w drzwiach, z dłońmi na biodrach, w rozkroku (w nowych kapciach obszytych kocim futrem), i przez opadający na czoło pukiel stroiła do własnego odbicia trywialne miny. Z korytarza dobiegło gruchanie czarnych pokojówek, które zaczęły już pracę, i niebawem ktoś delikatnie spróbował otworzyć nasze drzwi. Wysłałem Lo do łazienki, żeby wzięła jakże potrzebny prysznic, i to z mydłem. Łóżko było istnym pobojuwiskiem, aluzyjnie przyprószonym chrupkami. Przymierzyła dwuczęściowy mundurek marynarski z wełny, potem bluzkę bez rękawów z wirującą siatkową spódnicą, ale mundurek był za ciasny, a bluzka i spódnica zbyt obszerne, gdy zaś poprosiłem, żeby się pospieszyła (sytuacja zaczynała mnie przerażać), ze złością cisnęła moje miłe upominki w kąt i włożyła wczorajszą sukienkę. Kiedy wreszcie była gotowa, dałem jej śliczną nową torebkę z podrabianej skórki cielęcej (wrzuciwszy do środka sporo jednocentówek i dwie błyszczące dziesiątki prosto z menicy), mówiąc, żeby w hallu na dole kupiła sobie jakieś czasopismo.

- Zjadę za minutę - powiedziałem. - A na twoim miejscu, moja droga, nie rozmawiałbym z nieznajomymi.

Prócz moich biednych prezentów nie bardzo było co pakować; musiałem jednak poświęcić niebezpiecznie dużo czasu (czy ona aby czegoś nie broi tam na dole?), aby nadać łóżku pozór gniazdka opuszczonego przez ojca, co niepokojnie sypia, i jego córeczkę-ladaco, a nie legowiska, w którym świeżo zwolniony więzień urządził sobie saturnalia z paroma tłustymi starymi kurwami. Potem dokończyłem ubieranie i wezwałem siwowłosego boya, żeby zniósł walizki.

Wszystko było w porządku. Siedziała w hallu, pograżona w pękatom, krwistoczerwonym fotelu i w filmowym piśmi-dle. Jakiś mój rówieśnik, cały w tweedach (hotel z dnia na dzień zmienił styl i panował w nim teraz nastrój pseudozie-

miański), gapił się na moją Lolitę znad zdechłego cygara i zleżałej gazety. Lo miała na nogach swoje profesjonalne białe skarpetki z dwubarwnymi półbutami i tę sukienkę w jaskrawy wzór, z kwadratowym dekoltem; plama światła wycieńczonej lampy uwydatniała złocisty puszek na jej ciepłych smagłych członkach. Siedziała w niedbałej pozie, odsłoniwszy wysoko skrzyżowane uda, i przebiegała spojrzaniem jasnych oczu kolejne linijki, mrugając od czasu do czasu. Żona Billa uwielbiała go z daleka na długo przedtem, nim się w ogóle poznali: właściwie to w sekrecie podziwiała sławnego młodego aktora, ilekroć jadł melbę u Schwaba. Nie mogło być nic bardziej dziecinnego niż jej perkaty nos, piegowata twarz czy fioletowa plama na nagiej szyi, w miejscu, gdzie ucztował baśniowy wampir, nic bardziej dziecinnego niż bezwiedny ruch języka, którym badała cień różanej wysypki wokół opuchniętych ust; nie mogło być nic bardziej nieszkodliwego niż czytanie o losach Jill, energicznej gwiazdki filmowej, co sama szyje sobie ubrania i zgłębia poważną literaturę; nic bardziej niewinnego niż przedziałek w lśniących włosach szatynki z jedwabistym połyskiem na skroni; nic bardziej naiwnego niż... Lecz jaką mdlącą zawiścią zapalałby nieznajomy lubieżnik - dopiero teraz łapię się na tym, że trochę mi przypominał mojego szwajcarskiego stryja Gustawa, również wielkiego miłośnika *le découvert* - gdyby wiedział, że każdy mój nerw wciąż jeszcze namaszczony jest i okolony świeżym wspomnieniem jej ciała - ciała jakiegoś nieśmiertelnego demona w przebraniu dziewczynki.

Czy pan Swoon, różowy świniak, był absolutnie pewien, że moja żona nie telefonowała? Absolutnie. Gdyby jednak zadzwoniła, czy zechciałby jej powtórzyć, że pojechaliliśmy do Ciaci Clare? Zechciałby, i owszem. Uregulowałem rachunek i ruszyłem Lo z jej fotela. Czytała przez całą drogę do auta. Pochłonięta lekturą dała się zawieźć do tak zwanej

„kawiarni” o kilka przecznic na południe. Apetyt miała znakomity, nie można powiedzieć. Na czas jedzenia odłożyła nawet pismo, ale miejsce jej zwykłej wesołości zajęło dziwne otępienie. Wiedziałem, że mała Lo potrafi zachować się bardzo wrednie, więc zbierałem się w sobie, uśmiechałem i czekałem na burzę. Byłem niewykąpany, nieogolony i od wczoraj nie miałem wypróżnienia. Nerwy w strzępach. Nie podobało mi się to, że moja kochaneczka wzrusza ramionami i rozdyma nozdrza, gdy próbuję nawiązać błahą rozmowę.

- Czy Phyllis była wprowadzona w te sprawy, zanim pojechała do Maine, do rodziców? - spytałem z uśmiechem.

- Słuchaj - z płacziwą miną rzekła Lo. - Zejdźmy z tego tematu.

Spróbowałem więc - i też nic to nie dało, choć cmokałem do upadłego - zainteresować ją mapą samochodową. Zmierzaaliśmy, że ośmielę się przypomnieć cierpliwemu czytelnikowi, którego potulne usposobienie Lo powinna była naśladować - do wesołego miasta Lepingville, gdzieś w okolicy hipotetycznego szpitala. Ten punkt przeznaczenia wybrany został na chybił trafił (jak i wiele późniejszych, niestety), a mnie skóra cierpła, gdy głowiłem się, co by tu zrobić, żeby cały plan przynajmniej na pozór wydał się wiarygodny i jakie jeszcze inne wynaleźć wiarygodne zajęcia, kiedy już obejrzymy wszystkie filmy w Lepingville. Coraz bardziej nieswojo czuł się Humbert. Było to doprawdy szczególne uczucie: dręczące, ohydne skrępowanie, jakbym siedział przy jednym stole z małym duszkiem kogoś, kogo przed chwilą zabiłem.

Przy wsiadaniu do auta grymas bólu przemknął po twarzy Lo. Przemknął znów, i to bardziej znacząco, gdy się przy mnie sadowiła. Za drugim razem z pewnością odtworzyła go specjalnie na mój użytek. Z głupoty spytałem, co się dzieje.

- Nic, bydlaku jeden - odpada.

- Co jeden? - zdziwiłem się. Milczała. Wyjazd z Briceland. Elokwentna Lo milczała. Zimne pająki paniki pełzły mi w dół po plecach. Obok mnie siedziała sierota. Samotne dziecko, ofiara losu, z którą masywnie zbudowany, cuchnący mężczyzna trzy razy tego ranka odbył forsowny stosunek. Spełnienie wieloletnich marzeń może i przeszło wszelkie oczekiwania, ale rzeczywistość w pewnym sensie przebrała miarę - i mój wzlot zakończył się lądowaniem w koszmarze. Postąpiłem nieostrożnie, głupio i niegodnie. I powiem najszczerzej: gdzieś na dnie tego mrocznego zamętu czułem, jak zaczyna wic się świeże pożądanie, taką miałem monstualną oskomę na tę nieszczęsną nimfetkę. Gryzło mnie sumienie, a zarazem nasuwała się nieznośna myśl, że jej humor może pomieszać mi szyki, kiedy zechcę znów z nią się kochać, skoro tylko znajdę jakąś miłą drogę polną, na której da się zaparkować w spokoju. Innymi słowy, biedny Humbert Humbert był okropnie nieszczęśliwy i gdy tak wytrwale, ogłupiałe jechał do Lepingville, łamał sobie głowę, próbując wymyślić jakiś żart, pod którego jasnym skrzydłem ośmieliłby się zwrócić do sąsiadki. Ale to ona przerwała milczenie:

- O, rozjechana wiewiórka - powiedziała. - Szkoda.

- Prawda, że szkoda? - (skwapliwy, pełen nadziei Hum).

- Zatrzymajmy się na najbliższej stacji benzynowej – ciągnęła Lo. - Chcę iść do łazienki.

- Zatrzymamy się wszędzie, gdzie zechcesz - zgodziłem się. Gdy zaś urocza samotnia wyniosłego zagajnika (dęby, pomyślałem; jeszcze się wtedy nie znałem na amerykańskich drzewach) jęła powtarzać zielonym echem pęd naszego auta, po prawej czerwona droga wśród paproci spojrziała przez ramię, nim skosem sunęła w las, a ja bąknąłem, że moglibyśmy...

- Jedź dalej! - przenikliwie krzyknęła moja Lo.

- Zrobione. Nie denerwuj się. - (Leżeć, biedne zwierzę, leżeć). Zerknąłem na dziecinę. Bogu dzięki, uśmiechała się.

- Ty młocie - powiedziała, słodko się do mnie uśmiechając.

- Ty chodząca ohydo. Byłam świeża jak stokrotka, i coś mi zrobił? Powinnam zadzwonić na policję i naskarżyć, żeś mnie zgwałcił. Ty stary, śmierdzący świntuchu.

Czy był to tylko żart? W jej głupich słowach dosłuchałem się złowieszczej nuty hysterii. Zaczęła narzekać, sycząc raz po raz, że ją boli, że nie może usiedzieć, że coś jej w środku porozrywał. Pot spłynął mi po szyi i o mało nie przejechaliśmy jakiegoś zwierzątka, które z zadartym ogonem przechodziło przez szosę, a moja paskudnie usposobiona towarzysza uczestowała mnie kolejną obelgą. Kiedy zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej, bez słowa wygramoliła się z wozu i długo nie wracała. Życzliwy jegośmość w starszym wieku, ze złamanym nosem, powoli, troskliwie umył mi przednią szybę - na każdej stacji robią to inaczej, jedni irczą, inni namydloną szczotką, ten akurat użył różowej gąbki. W końcu wróciła.

- Słuchaj - powiedziała tym swoim beznamiętnym tonem, który tak mnie ranił - daj mi trochę drobnych. Chcę zadzwonić do mamy do szpitala. Jaki tam jest numer?

- Wsiadaj - odpadem. - Pod ten numer zadzwonić się nie da.

- A bo co?

- Wsiadaj i zatrzasknij drzwi.

Wsiadła i zatrzasknęła. Stary pracownik stacji promiennie się do niej uśmiechnął. Dałem szusa na autostradę.

- Niby dlaczego nie mogę zadzwonić do mamy?

- Dlatego - wyjaśniłem - że twoja matka nie żyje.

W wesołym mieście Lepingville kupiłem jej cztery komiksy, pudełko cukierków, pudełko podpasek higienicznych, dwie cole, komplet przyborów do manikiuru, budzik podróżny z fosforyzującym cyferblatem, pierścionek z prawdziwym topazem, raketę tenisową, wrotki z białymi butami o wysokich cholewkach, lornetkę, przenośne radio, gumę do żucia, przezroczysty płaszcz od deszczu, ciemne okulary, znowu coś z ubrania - odłotówki, szorty, rozmaite letnie sukienki. W hotelu wzięliśmy osobne pokoje, lecz w środku nocy przysłała do mojego, szlochając, i bardzo delikatnie się pogodziliśmy. Widzicie, zupełnie nie miała dokąd pójść.

Część druga

1

I tak zaczęła się nasza długa podróż po całych Stanach. Nad wszelkie inne rodzaje kwater dla turystów nauczyłem się wkrótce przedkładać Funkcjonalny Motel - czyste, schludne, bezpieczne zacisze, idealne do spania, sporów, pojednań i nienasyconej miłości występnej. Początkowo ze strachu, że wzbudzę podejrzenia, ochoczo płaciłem za obie części podwójnego numeru, każdą z dwuosobowym łóżkiem. Zastanawiałem się, z myślą o jakich to czwórkach zaprojektowano ten model, w którym niepełne przepierzenie dzieli domek lub pokój na dwa połączone gniazda miłosne, zapewniając nie dyskrecję, lecz jej faryzejską karykaturę. Z czasem jednak właśnie możliwości, jakich nastęrczała owa szczerza rozwiązłość (dwie młode pary radośnie zamieniające się partnerami albo dziecko, które symulując sen, podsłuchuje pierwotne tryle), ośmieliły mnie, brałem więc niekiedy domek z łóżkiem i kozetką lub z dwoma łóżkami, rajską celę więzienną, w której można spuścić żółte rolety, tworząc poranną iluzję Wenecji w słońcu, choć rzeczywistością jest Pensylwania i deszcz.

Poznaliśmy - *nous connûmes*, że uderzę we flaubertowski ton - kamienne pensjonaty pod ogromnymi drzewami prosto z Chateaubrianda, domki z cegły już to wypalanej, już to suszonej na słońcu, zajazdy zdobione sztukaterią, a wokół nich tereny, jak twierdzi Przewodnik Towarzystwa Automobilistów, „cieniste”, „przestronne” bądź „malowniczo zaprojektowane”. Złocistobrazowy połysk domów z bali

wykończonych sękatą sosną kojarzył się Lo z kośćmi pieczonej kury. Mieliśmy w pogardzie zwykłe bielone chatki szalowane deskami, z ich kanalizacyjnym aromatem lub innym równie ponurym, stremowanym fetorem, bez żadnych tytułów do chwały (prócz „wygodnych łóżek”), z gospodynią, która nie umie się uśmiechać i w każdej chwili przygotowana jest na to, że jej dar („...no, mogłabym panu dać...”) zostanie odrzucony.

Nous connûmes (królewska to zabawa) niedonoszone ponęty ich nazw powracających jak refren - wszystkich tych „Moteli Zachodzącego Słońca”, „Twoich Uśmiechów”, „Zajazdów Na Grani”, „Zajazdów Pod Sosnami”, „Zajazdów Podgórskich”, „Zajazdów Pod Chmurami”, „Zajazdów Parkowych”, „Zielonych Pól”, „Zajazdów Maca”. W ich anonsach pojawiało się czasem jakieś specjalne zdanko, na przykład „Dzieci mile widziane, zwierzaki tolerowane” (To ty jesteś mile widziany, to ci e b i e się toleruje). W łazienkach zamiast wanien bywały zwykle pryszniczki wśród glazury, o nieskończenie różnorodnych mechanizmach wytrysku, lecz z jedną wspólną, bynajmniej nie laodycejską cechą - tą mianowicie, że podczas kąpieli potrafiły w sekundę zlać cię bestialskim ukropem lub oślepiająco lodową kaskadą, zależnie od tego, czy twój sąsiad akurat puścił strumień zimny, czy gorący, aby tusz, którego proporcje tak starannie dobrałeś, pozbawić nieodzownej komponenty. W pewnych motelach wisały nad sedesem (na spłucze wbrew higienie spiętrzone ręczniki) wskazówki dla gości, zawierające prośbę o niewrzucanie do muszli żadnych śmieci, puszek po piwie, tekturowych kartonów, martwych owoców; w innych wyłożono pod szkłem specjalne obwieszczenia, na przykład o Atrakcjach (Jazda konna: *często widuje się jeźdźców, gdy Ulicą Główną wracają z romantycznej eskapady w świetle księżyca*. „Często o trzeciej rano”, drwiła wcale nieromantyczna Lo).

Nous connûmes rozmaite typy motelarzy: wśród mężczyzn nawróconego przestępcę, emerytowanego nauczyciela i splajtowanego biznesmena; wśród kobiet - wariant macierzyński, pseudowytworny i burdelmamin. Czasem w potwornie skwarną i parną noc pociągi krzyczały z rozdzierającą, złowieszczą donośnością, w jednym rozpaczliwym wrzasku łącząc moc i histerię.

Unikaliśmy Domów Turysty, prowincjonalnych kuzynów Pogrzebowego, staromodnych, miłych, bez prysznic, za to z wymyślnymi toaletkami pośród przygnębiającej bieli i różu sypialenek, z fotkami dzieci gospodyni we wszystkich stadiach przepoczwarczenia. Niekiedy jednak ulegałem słabości Lo do „prawdziwych” hoteli. Wybierała z przewodnika, gdy pieściłem ją w zaparkowanym aucie, w ciszy na bocznej drodze, zmierzchem dojrzałej i tajemniczej, jakiś gorąco polecany hotel nad jeziorem, oferujący różne różności, z ogromniałe w świetle latarki, którą po nich sunęła, jako to miłe towarzystwo, przekąski między posiłkami, pikniki z rusztem pod gołym niebem, lecz w mojej wyobraźni każde z tych haseł wywoływało wstrętne wizje: cuchnący licealiści w bluzach od dresu, do jej policzka przywiera policzek pałający żarem ogniska, a biedny doktor Humbert w objęciach ściska tylko dwoje męskich kolan i hemoroidy swoje zimnym humorem wilgotnej darni drażni. Niebylewale kusiły ją też owe „Kolonialne” Oberże, obiecujące prócz „sympatycznej atmosfery” i pokojów z widokiem „pyszne jedzenie w nieograniczonych ilościach”. Hołubiona w pamięci wizja istic pałacowego hotelu mego ojca skłaniała mnie czasem do tego, by szukać podobnych mu w obcym kraju, przez który podróżowaliśmy. Wkrótce się zniechęciłem; ale Lo wciąż podążała za sytą wonią reklam wiktuałów, podczas gdy mnie sprawiały nie tylko ekonomiczną frajdę przydrożne plansze, anonsujące na przykład HOTEL U DRWAŁA, *Dzieci do lat czternastu darmo*. Wzdrygam

się natomiast, ilekroć wspominam ten środkowozachodni kurort, *soi-disant* „na poziomie”, w którym zachwalano przekąski o północy, tak zwane „naloty na lodówkę”, ponieważ jednak mój akcent wydał się komuś intrygujący, zażądano, żebym podał nazwiska panieńskie dwóch nieboszczek, żony i matki. Dwudniowy pobyt kosztował mnie sto dwadzieścia cztery dolary! A czy pamiętasz, Mirando, tę „ultrawyrwną” jaskinię zbójców - poranna kawa podawana ekstra, mrożona woda do picia prosto z kranu - gdzie nie przyjmowano dzieci poniżej lat szesnastu (żadnych Lolit, oczywista)?

Natychmiast po przyjeździe do jakiegoś pospolitszego motelu - utarło się bowiem, że w nich to zazwyczaj stawaliśmy - włączała elektryczny wiatrak, urabiała mnie, żebym wrzucił ćwierć dolara do radia albo czytała wszystkie wywieszki i zaczynała jęczeć, czemu nie może się wybrać na konną przejażdżkę jakimś zachwalanym szlakiem lub pływać w miejscowym basenie z ciepłą wodą mineralną. Przeważnie jednak z tą znudzoną rozlazłością, którą kulturowała tak pilnie, padała na czerwony fotel ze sprężynowym materacykiem, na zielony szezlong, na pasiasty płócienny leżak z podnóżkiem i baldachimem, na fotel „temblaczny” - z siedzeniem i oparciem z jednego kawałka tkaniny - czy na jakiegokolwiek ogrodowe siedzisko pod wielkim parasolem na tarasie, a gdy tak leżała powalona i obmierzle ponętna, trzeba było wielogodzinnych przypochlebiań, gróźb i obietnic, aby zechciała użyczyć mi na kilka sekund swych brązowych członków w zaciszu pokoju za pięć dolarów, nim zajmie się tym czy owym, co akurat przedkładała nad moją biedną radość.

Tyleż naiwna, ile kłamliwa, tyleż urocza, ile wulgarna, równie skora do mrocznych dąsów, jak do różanej radości, Lolita potrafiła stać się arcynieźnośnym bachorem, gdy miała taki kaprys. Niezbyt sobie radziłem z jej napadami

rozprężonej nudy, z zapalczywym, namiętym zrządzeniem, z luzackim, mętbookim tumiwizyzmem, z tak zwanym „świrowaniem”, czyli ogólnie błazeńskim stylem, który uważała za „charakterny” - w chłopięco chuligańskiej manierze. Pod względem umysłowym okazała się obrzydliwie konwencjonalną panienką. Słodki hot jazz, square dancing, maziste melby z czekoladą, musicale, czasopisma filmowe i tym podobne bzdury obowiązkowo trafiały na listę jej ukochań. Bóg raczy wiedzieć, iloma drobnymi monetami nakarmiłem wielobarwne szafy grające, obecne przy każdym naszym posiłku! Wciąż jeszcze słyszę nosowe głosy niewidzialnych solistów, którzy śpiewali jej serenady, a na imię mieli Sammy, Jo, Eddy, Tony, Peggy, Guy, Patti albo Rex, jeszcze słyszę te sentymentalne przeboje, które ucho moje rozróżniało z takim samym trudem, jaki mojemu podniebieniu sprawiało rozpoznawanie różnych gatunków jej ulubionych słodczy. Pokładała niezmierną ufność w każdej reklamie czy poradzie zamieszczonej w „Filmowej Miłości” lub w „Krainie Ekranu” - Starasil Tępi Pyszcze albo „Halo, uwaga, dziewczyny, nie noście koszul wypuszczonych na dzinsy, bo Jill mówi, że nie wolno”. Jeśli napis na przydrożnej planszy zachęcał: ODWIEDŹ NASZ SKLEP Z UPOMINKAMI, m u s i e l i ś m y go odwiedzić, m u s i e l i ś m y kupić indiańskie osobliwości, lalki, miedzianą biżuterię, łakocie z kaktusów. Słowa „podarki i pamiątki” wprawiły ją w trans rytmem swych amfibrachów. Jeśli szyld nad jakimś barem anonsował Mrożone Napoje, Automatycznie ją to poruszało, chociaż wszystkie napoje we wszystkich lokalach podawano mrożone. To właśnie jej poświęcone były reklamy: idealnej konsumentce, podmiotowi i przedmiotowi każdego plugawego plakatu. Stariała się też - bez powodzenia - odwiedzać te tylko restauracje, w których na śliczniutki papierowe serwetki i twaróżkiem zwieńczone sałatki zstąpił święty duch Huncana Dinesa.

W owych czasach żadne z nas nie wymyśliło jeszcze systemu pieniężnych łapówek, który miał potem tak stargać mi nerwy i zszargać jej moralność. Trzema innymi sposobami utrzymywałem swoją pokwitającą konkubinę w poddaństwie i w znośnym nastroju. Kilka lat wcześniej spędziła deszczowe wakacje pod kaprawym okiem panny Phalen w Appalachach, w wałącym się domu wiejskim, który w zamarłej przeszłości należał do jakiegoś sękatego Haze'a. Ruderą stała wśród wybujających hektarów nawłoci, na skraju bezkwiętnego lasu, na końcu wiekuiście błotnistej drogi, prawie trzydzieści kilometrów od najbliższego przysiółka. Ten dom dla stracha na wróble, samotność, grząskie stare pastwiska, wiatr i rozdętą głuszę Lo wspominała z tak energiczną odrazą, że wykrzywiały jej się usta i pęczniał na wpół wystawiony z nich język. Ja zaś groziłem, iż tam właśnie spędzi ze mną na wygnaniu długie miesiące, a w razie potrzeby i lata, ucząc się pod moim kierunkiem francuskiego i łaciny, jeśli nie zmieni swojej „obecnej postawy”. Pomału zacząłem cię rozumieć, Charlotto!

Lo, dziecko prostoduszne, w popłochu wczepiała się w dłoń, którą trzymałem na kierownicy, i wrzeszczała „nie!”, ilekroć uciszałem tornado jej furii, zawracając w środku szosy, niby po to, żeby zawieźć ją najkrótszą drogą do owego mrocznego i posępnego domostwa. Lecz im dalej na zachód od niego odjeżdżaliśmy, tym mniej przekonująco brzmiała ta pogróżka, musiałem więc sięgnąć po inne argumenty.

Spośród nich z jękiem najgłębszego wstydu wspominam straszenie domem poprawczym. Od początku naszej spółki miałem dość rozumu, aby pojąć, że muszę bez reszty skapotać Lo dla idei zatajania łączącego nas związku, że musi to stać się jej drugą naturą - obojętne, jaką czułaby do mnie urazę i jakich jeszcze szukałaby innych przyjemności.

- Chodź, pocałuj swojego staruszka - mawiałem - i porzuć te bzdurne dąsy. Dawniej, kiedy jeszcze uważałaś, że jestem kicio-facio [czytelnik zauważy, jakich dokładałem starań, żeby mówić językiem Lo], wśród szlochów i ochów odlatywałam przy płytach idola swoich rówieśnych [Lo: „Mojego kogo? Mów po angielsku”]. Otóż wydawało ci się wtedy, że ten idol numer jeden twoich kumpelek ma głos całkiem jak kolega Humbert. Ale tymczasem zrobił się ze mnie twój s t a r y , nic szczególnego, tato-marzenie, co strzeże swojej wymarzonej córki... *Chère Dolores!* Pragnę cię ustrzec, moja droga, przed okropnościami, jakie zdarzają się małym dziewczynkom w komórkach na węgiel i w zaułkach, a także, niestety, *comme vous le savez trop bien, ma gentille*, w jagodowych lasach, w pełni letniego błękitu. Wbrew wszelkim przeciwnościom pozostanę twym opiekunem i mam nadzieję, że jeśli będziesz grzeczna, jakiś sąd zalegalizuje niebawem tę opiekę. Nie zapominajmy jednak, Dolores Haze, tak zwanej terminologii prawnej, przypisującej racjonalny sens określeniu „sprośne i lubieżne pożycie”. Nie jestem przestępcą seksualnym, psychopatą, który nieprzyzwoicie pozwala sobie z dzieckiem. Naprawiam w tobie to, co zniepawił Charlie Holmes, a różnice między tymi dwiema rolami są kwestią subtelnych niuansów. Jestem twoim tatulkiem, Lo. Patrz, mam tu uczoną księgę o młodych dziewczętach. Patrz, kochanie, co w niej napisano. Cytuję: normalna dziewczynka - normalna, zauważ – zazwyczaj bardzo pragnie dogodzić ojcu. Wyczuwa bowiem, że zwiastuje on wytęsknionego, iluzorycznego mężczyznę („iluzoryczny” - dobrze powiedziane, na Poloniusza!). Mądra matka (a twoja biedna matka byłaby mądra, gdyby żyła) będzie popierać przyjaźń ojca z córką, zdając sobie sprawę - daruj toporny styl - że wyobrażenia dziewczynki o miłości i mężczyznach kształtują się dzięki więzi z ojcem. A jaką to więź ma na myśli - i zaleca - autor tej pogodnej

książki? Jeszcze jeden cytat: U Sycylińczyków stosunki seksualne między ojcem a córką są rzeczą najzupełniej przyjętą, a dziewczyny pozostającej w takim związku bynajmniej nie otacza pogarda społeczności. Bardzo szanuję Sycylińczyków, znakomitych sportowców, znakomitych muzyków i w ogóle znakomitych, prostolinijnych ludzi, Lo, no i wspaniałych kochanków. Ale bez dygresji. Parę dni temu czytaliśmy w gazetach jakieś banialuki o tym, jak to pewien jegomość w sile wieku przyznał się do obrazy moralności, gdy udowodniono mu, że pogwałcił Akt Manna, przewożąc dziewięcioletnią dziewczynkę przez granicę stanową w celach niemoralnych, jakiegokolwiek są to cele. Droga Dolores! Nie masz dziewięciu lat, lecz prawie trzynaście, i nie radziłbym ci uważać się za moją międzystanową niewolnicę, a nad Aktem Manna ubolewam, łatwo bowiem staje się przedmiotem koszarnej gry słów, owej zemsty, którą Bogowie Semantyki wywierają na Filistrach o ciasnych rozporkach. Jestem twoim ojcem i owszem, m ó w i ę po angielsku, no i cię kocham... Na koniec rozważmy, co będzie, jeśli ty, nieletnia, oskarżona o naruszenie czystości moralnej dorosłego w szacownym zajeździe, poskarżysz się policji, że cię porwałem i zgwałciłem? Założmy, że ci uwierzą. Nieletnia, która dopuszcza, aby osobnik powyżej dwudziestego pierwszego roku życia poznał ją cielesnie, wplątuje swoją ofiarę w gwałt na małoletniej lub stosunek analny drugiego stopnia, to już kwestia techniki; maksymalna kara wynosi dziesięć lat. Idę więc do więzienia. No i dobrze. Idę do więzienia. A co z tobą, moja sierotko? Masz więcej szczęścia. Trafiasz pod skrzydła departamentu Opieki Społecznej - czyli chyba dość marne przed tobą widoki. Miła, ponura matrona w typie panny Phalen, ale sztywniejsza i niepijąca, zabierze ci szminkę i fikuśne szmatki. Koniec z włączką! Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałaś, co mówią przepisy o niesamodzielnych, porzuconych, niepoprawnych

i występnych dzieciach. Podczas gdy ja będę stał, oburącz wczepiony w kraty, tobie, szczęśliwie porzuconemu dziecku, dadzą do wyboru kilka różnych, lecz w sumie prawie identycznych miejsc zamieszkania: dom poprawczy, ośrodek zatrzymań, izbą dziecka lub jeden z tych świętych zakładów opiekuńczych dla dziewcząt, w których wychowanki robią na drutach i śpiewają hymny, a w niedzielę dostają zjełczałe naleśniki. Tam właśnie trafisz, Lolito - m o j a Lolita, ta Lolita opuści swego Katullusa i trafi do zakładu, bo taki już los krnąbrnych dziewczynek. Mówiąc prościej, jeśli nasz wspólny sekret się wyda, wpadniesz w łapy analityków i dydaktyków, mój kotku, *c'est tout*. Zamieszkasz, moja Lolita zamieszka (chodź no tu, mój brązowy kwiatku) w brudnej sypialni, z trzydziestoma dziewięcioma innymi frajerkami (nie, pozwól mi, proszę), pod nadzorem ohydnych matron. Takie są fakty, taki masz wybór. Nie sądzisz, że w tych okolicznościach Dolores Haze powinna raczej trzymać się swojego starego?

Wbijając jej to wszystko do głowy, zdołałem ją zastraszyć, bo mimo pewnej zuchwałej żywości obejścia i nagłych błysków dowcipu nie była dzieckiem aż tak inteligentnym, jak można by przypuszczać na podstawie samego ilorazu. Jeśli jednak udało mi się zbudować ten fundament sekretnego spółnictwa i spółwiny, z dużo mniejszym powodzeniem starałem się dbać o jej dobry humor. Co rano podczas naszej rocznej podróży musiałem wymyślać jakąś perspektywę, szczególnie punkt w przestrzeni i czasie, żeby ku niemu wybiegała myślą, bo tylko w ten sposób mogła doczekać pory snu. W przeciwnym razie, bez celu, który kształtowałyby go i podtrzymywał, szkielet jej dnia obwisał i zapadał się. Celem mogło być cokolwiek - latarnia morska w Wirginii, naturalna jaskinia w Arkansas z urządzonym w niej barem, kolekcja broni i skrzypiec gdzieś w Oklahomie, kopia grotu z Lourdes w Luizjanie, szmatławe fotki z okre-

su gorączki złota, które wystawiało muzeum w pewnej miejscowości wypoczynkowej w Górach Skalistych – obojętne co, lecz coś takiego istnieć musiało, musiało tkwić przed nami niczym stała gwiazda, choć z góry wiedziałem, że ledwie dotrzemy na miejsce, Lo najpewniej od razu znacznie symulować torsje.

Zaprzęgając do pracy geografię Stanów Zjednoczonych, całymi godzinami starałem się jak mogłem dać Lolicie wrażenie, że „dokądś jedziemy”, zdążamy do konkretnego punktu przeznaczenia, ku jakiejś niezwyklej rozkoszy. Nigdy przedtem nie widziałem takich gładkich, przyjaznych dróg jak te, które teraz promieniście rozpościerały się przed nami, kładąc się na zwariowanym kilimie czterdziestu ośmiu stanów. Łapczywie pochłanialiśmy długie autostrady, w niemym zachwycie sunęliśmy po ich lśniących, czarnych parkietach. Lo nie tylko nie dostrzegła uroków krajobrazu, lecz reagowała wściekłą niechęcią, ilekroć zwracałem jej uwagę na ten czy ów czarujący detal; sam zresztą nauczyłem się zauważać je dopiero po dłuższym obcowaniu z delikatnym pięknem, stale obecnym na marginesie naszej niezasłużonej podróży. Pewien paradoks myślenia obrazami sprawił, że przeciętny sielski pejzaż północnoamerykańskiej niziny brałem zrazu z dreszczem rozbawionego rozpoznania za coś swojskiego, a to z powodu malowanych cemat, które dawniej sprowadzano z Ameryki i wieszano nad umywalkami środkowoeuropejskich pokoi dziecińczych, iżby w porze dobranocki fascynowały senne dziecko wsiową zielenią widoczków, przedstawiających skędzierzawioną nieprzeniknioność drzew, stodołę, bydło, strumyk, mętną biel niewyraźnych sadów w pełni rozkwitu i może jeszcze kamienny murek lub wzgórze z zielonawego gwaszu. Pierwotory owych elementarnych rustykalizmów wydawały się jednak oku tym bardziej obce, im bliżej je poznawałem. Za zaoraną równiną, za dachami jak zabawki niebo powoli

napływało daremną urodą, niskie słońce w platynowej mgielce o ciepłym odcieniu obranej brzoskwini nasycalo górny skraj dwuwymiarowej, gołębioszarej chmury, która stapiała się z dalekim, miłosnym oparem. Bywały też sylwetki drzew odcinające się na widnokregu rzędami, w odstęпах, skwarne, nieruchome południa nad dżunglą konieczny, chmury prosto z Claude'a Lorraina, odległe wpisane w mgławki lazur, tak że tylko kłębiaste ich części dawały się odróżnić na obojętnie omdlewającym tle. Albo surowy horyzont El Greca brzemienno atramentowym deszczem, w przelocie ujrzany farmer o karku mumii, wokoło na przemian smugi wody migoczącej rtecją i pasma szorstkiej zielonej kukurydzy, a wszystko razem otwierało się jak wachlarz - gdzieś w Kansas.

Niekiedy spośród równinno bezmiaru kroczyły ku nam ogromne drzewa, aby stanąć zakłopotaną gromadką przy drodze i rzucić odrobinę humanitarnego cienia na stół do pikników, wokół którego brunatna ziemia upstrzona była cętkami słońca, spłaszczonymi szklankami z tektury, skrzydlakami i zużytymi szpatułkami od lodów. Moją niewybredną Lo, ochoczą użytkowniczkę przydrożnych udogodnień, czarowały szyldziki na drzwiach szaletów - Chłopcy-Dziewczęta, John-Jane, Jaś-Małgosia, a nawet Koziolatek-Kózka; ja tymczasem, zagubiony w artystycznym rozmazaniu, kontemplowałem rzetelną jaskrawość urządzeń stacji benzynowej na tle wspaniałej zieleni dębów lub dalekie wzgórze, które gramoliło się - poharatane, lecz wciąż nieposkromione - z usiłującego je połknąć rolniczego rozpazania.

Nocami wysokie ciężarówki obsypane kolorowymi lampkami, niby potwornie zolbrzymiałe choinki gwiazdkowe, wyłaniały się z ciemności i grzmiąc, mijały zapóźniony mały sedan. Nazajutrz rzadko zaludnione niebo, które skwar pozbawiał błękitu, znów topniało nad nami, a Lo wołała pić

i policzki z werwą klęsty jej nad słomką, a w aucie panował żar jak w piecu, gdy z powrotem wsiadaliśmy, a przed nami migotała droga z odległym samochodem, który niczym miraż zmieniał kształt w bijącym od nawierzchni wściekłym blasku i jakby momentami zawisał, po staroświecku kanciany i wysoki, w upalnej mgle. Gdy tak zmierzaliśmy na zachód, pojawiły się kępy czegoś, co mechanik z warsztatu nazywał „bylicą”, potem tajemnicze kontury stołowych wzgórz, po nich czerwone urwiska spryskane atramentowymi kleksami jałowców, później łańcuch górski, bez przechodzący w błękit, a błękit w sen, i wreszcie pustynia powitała nas nieustępliwą wichurą, kurzem, ciemiami szarych krzewów i wstrętnymi strzępkami papierowych chusteczek, udającymi blade kwiaty na kolcach udręczonych wiatrem, zwiedłych pędów wzdłuż autostrady; pośrodku której stały czasem prostaczki krowy, zastygłe w pozie (ogon w lewo, białe rzęsy w prawo) sprzecznej z wszelkimi ludzkimi zasadami ruchu drogowego.

Adwokat mi radził, żebym jasno i szczerze opisał szlak, który przebyliśmy, i chyba zbliża się moment, gdy nie wykręcę się już od tego mozołu. Licząc z grubsza, w ciągu owego szalonego roku (od sierpnia 1947 do sierpnia 1948) nasza trasa zaczęła się serią spiral i wężyków w Nowej Anglii, aby potem zakosami poprowadzić nas na południe, raz w górę, raz w dół, to na wschód, to na zachód; wbiła się głęboko w *ce qu'on appelle* Dixieland, ominęła Florydę, bo tam właśnie bawili Farlowowie, ostro skręciła na zachód, ruszyła zygzakiem przez strefę kukurydzy i strefę bawełny (obawiam się, Clarence, że nie brzmi to zbyt jasno, ale nie zachowałem z tego okresu żadnych notatek, dokładność swoich wspomnień mogę więc sprawdzać tylko za pomocą makabrycznie pokiereszowanego przewodnika w trzech tomach, który mógłby od biedy symbolizować moją zszarpaną, złachmanioną przeszłość); dwukrotnie przecięła Góry

Skaliste, powlokła się w maruderskim rytmie przez pustynię Południa, gdzie też przezimowaliśmy; oparła się o Pacyfik, skręciła na północ wśród bladego puchu bżów kwitnących wzdłuż leśnych dróg; prawie dosięgła granicy kanadyjskiej; po czym powiodła nas dalej na wschód, przez ziemie płodne i ziemie jałowe, z powrotem w strefę wielkich upraw, omijając mimo piskliwych skarg małej Lo rodzinne jej miasteczko w rejonie rodzącym kukurydzę, węgiel i wieprze; i wreszcie wróciła na łono Wschodu, aby utknąć w Beardsley, mieście uniwersyteckim.

2

Zgłębiając dalszy ciąg niniejszej historii, czytelnik wien zachować w pamięci nie tylko ogólną, wyżej naszkicowaną marszrutę - z całym mnóstwem marginalnych meandrow i turystycznych potrzasków, bojaźliwych zboczeń i narowistych wiraży - lecz i fakt, że nie była to bynajmniej leniwa *partie de plaisir*, ale trudny, pokrętny, teleologiczny rozrost, który za jedyną *raison d'être* (znamienne są te francuskie klisze) miał podtrzymywanie znośnego humoru mej towarzyszki między jednym pocałunkiem a drugim.

Gdy tak kartkuję swój sponiewierany przewodnik, powraca niewyraźne wspomnienie tego Magnokowego Ogródu gdzieś na południu, który kosztował mnie cztery dolary, a według reklamy zamieszczonej w tymże przewodniku wart był zwiedzenia z trzech powodów: ponieważ John Galsworthy (martwo urodzony pisarzyna) sławił go jako najpiękniejszy ogród świata; ponieważ w roku 1900 Baedeker dał mu jedną gwiazdkę; i wreszcie, ponieważ... O, Czytelniku, Mój Czytelniku, zgadnij!... ponieważ dzieci (a czyż, do kroćset, moja Lolita nie była dzieckiem!) „z blaskiem w oczach i z poszanowaniem wędrują przez ten przedsionek

Nieba, chłonąc piękno, które może zaważyć na całym ich życiu”.

- Nie na moim - stwierdziła ponura Lo, sadowiac się na ławce, z farszem dwóch gazet niedzielnych na swym lubym łonie.

Zbadaliśmy po kilkakroć całą paletę amerykańskich przydrożnych restauracji, poczynając od skromnego „Jadła” pod jelenią głową (z ciemnym śladem długiej łyzy w wewnętrznym kąciku oka), z „dowcipnymi” pocztówkami w typie późnego *Kurortu*, z rachunkami nadzianymi na szpic, z kolistymi cukierkami z syropu kukurydzianego, z okularami słonecznymi, z niebiańskimi wizjami melb zrodzonymi z wyobraźni autorów reklam, z połówką czekoladowego tortu pod kloszem i z kilkoma okropnie doświadczonymi muchami, które łązą zygzakiem po lepkiej cukiernicy na szubrawym szynkwasie; przeciwległy koniec tej skali wyznaczał drogi lokal: przyćmione światła, groteskowo tandetne obrusy, niefachowi kelnerzy (świeżo zwolnieni więźniowie albo studenci), dereszowaty grzbiet aktorki filmowej, sobole brwi jej aktualnego partnera, orkiestra trębaczy w krzykliwych garniturach.

Zwiedziliśmy największy stalagmit świata w jaskini, do której trzy południowo-wschodnie stany przybyły na zlot rodzinny; wstęp w zależności od wieku: dorośli za dolara, podfruwajki za sześćdziesiąt centów. I upamiętniający bitwę pod Blue Licks granitowy obelisk tudzież pobliskie muzeum ze starymi kośćmi i indiańską ceramiką. Lo za dziesięć centów, jakże przystępnie. Współczesną chatę z bali, śmiało podszywającą się pod tę dawną, w której urodził się Lincoln. Głaz z tabliczką ku pamięci autora *Drzew* (dotarliśmy tymczasem do Poplar Cove w Północnej Karolinie, drogą, którą mój łagodny, wyrozumiały, tak zazwyczaj powściągliwy przewodnik gniewnie określa jako „bardzo wąską, fatalnie utrzymaną”, a ja podpisuję się pod tym,

choć nie jestem wielbicielem Kilmera). Z wynajętej motorówki prowadzonej przez starszawego, lecz wciąż jeszcze odrażająco przystojnego Rosjanina z Białej Gwardii, podobno barona (Lo zwilgotniały dłonie, małej głuptasce), który znał niegdyś w Kalifornii starego poczciwego Maksimowicza i Walerię, zdołaliśmy dostrzec niedostępną „kolonię milionerów” na wyspie gdzieś u brzegów Georgii. Ponadto zwiedziliśmy: kolekcję widokówek z fotografiami europejskich hoteli w muzeum poświęconym wszelkim rodzajom hobby w pewnej miejscowości wypoczynkowej w Missisipi, przy której to okazji załała mnie gorąca fala dumy, bo wypatrzyłem kolorowe zdjęcie ojcowskiej „Mirany” z pasiastymi markizami i z flagą powiewającą nad wierzchołkami wyretuszowanych palm. - No i co z tego? - spytała Lo, spoglądając z ukosa na opalonego właściciela drogiego auta, który zaszedł w ślad za nami do Zameczku Zamiłowań. Zabytki ery bawełnianej. Las w Arkansas, a na jej brązowym ramieniu wypukłe fioletoworóżowe obrzmienie (robota jakiejś kąśliwej muszki), z którego wypuściłem piękny, przejrzysty jad, wzięwszy je między długie paznokcie kciuków, i ssałem, aż do syta opilem się pikantną krwią. Bourbon Street (w mieście zwanym Nowym Orleanem), gdzie na chodnikach, twierdził wciąż ten sam przewodnik, „widuje się murzyniaków, którzy gwoli [podało mi się to „gwoli”] uciechy przechodniów częstokroć [„częstokroć”] podobało mi się jeszcze bardziej] stepują za garść bilonu” (to mi dopiero zabawa), a „w mnóstwie dyskretnych lokali-ków nocnych kłębi się tłum gości” (niecnoty!). Kolekcje pogranicznej spuścizny. Przedwojenne domy z balkonami o balustradach z kutego żelaza i schodami ręcznej roboty, w stylu tych, po których w dostatnim Technicolorze zbiegają filmowe damy z pocałunkiem słońca na ramionach, unosząc jedynym w swoim rodzaju gestem obu drobnych rączek przód falbaniastych spódnic, podczas gdy oddana Mu-

rzynka kiwa głową, stojąc na górnym podejściu. A oto fundacja Menningera, klinika psychiatryczna: ot tak, dla hecy. Spłacheć gliny pięknie stoczonej erozją; i kwiaty juki, takie czyste, takie woskowe, lecz oblezione przez roje białych, pełzających much. Independence w Missouri, początek Staroego Szlaku do Oregonu; i Abilene w Kansas, siedziba Rodeo Dzikiego Billa Jakiegoś tam. Dalekie góry. Bliskie góry. I znowu góry; niebieskawe piękności, wiecznie nieosiągalne albo wiecznie przeistaczające się w kolejne zamieszkane wzgórza; południowo-wschodnie pasma, wysokościone fiaska, jeśli mierzyć je w kategoriach alpejskich; szare kamienne kolosy żyłkowane śniegiem, przesywające serce i niebo, nieubłagane szczyty wyrastające znikąd na zakręcie autostrady; zalesione ogromy w kolczugach z ciemnych jodeł pedantycznie łączonych na zakładkę, gdzieś przesianych bladymi obłoczkami osiki; formacje lilaróż, farańskie, falliczne, „tak prehistoryczne, że słów brak” (głos zblazowanej Lo); samotne ostańce czarnej lawy; góry wczesną wiosną, porośnięte wzdłuż kręgosłupa słońcym puszkami; góry u schyłku lata, skulone, podwinęły masywne egipskie członki pod fałdy smągłego pluszu zżartego przez mole; wzgórza z owsianki upstrzone zielonymi, krągłymi dębami; ostatnia ryża góra z gęstym dywanem lucerny u podnóża.

Poza tym zwiedziliśmy: Małe Jezioro Lodowcowe gdzieś w Kolorado, i zasypane śniegiem, i poduszeczki alpejskich kwiatów, i znowu śnieg; po którym Lo w czapce z czerwonym daszkiem zjeżdżać usiłowała, i piszcziała, i dostała śnieżkami od jakichś młokosów, i odpłaciła im pięknym za nadobne, *comme on dit*. Szkielety spalonych osik, kępy niebieskich kwiatów o strzelistych łodygach. Różne detale malowniczej trasy. Setki malowniczych tras, tysiące Niedźwiedzi Strumieni, Sodowych Zdrojów, Malowanych Kanionów. Oto Teksas, równina rażona suszą. Kry-

szałowa Komnata w najdłuższej jaskini świata, dzieci poniżej lat dwunastu darmo, Lo jako młoda branka. Kolekcja rzeźb domowego wyrobu pewnej miejscowej damy, nieczynna w zgnębiony poniedziałkowy ranek, kurz, wiatr, kraina uwiądu. Park Poczęcia w mieście nad meksykańską granicą, której nie śmiałem przekroczyć. Tam i gdzie indziej setki szarych kolibrów wśród zmierzchu sondowały krtanie majaczących kwiatów. Shakespeare, miasto widmo w Nowym Meksyku, gdzie złoczyńca Bill Rusek malowniczo zawisł na szubienicy przed siedemdziesięciu laty. Wylęgarnie narybku. Ludzkie osiedla w ścianach urwisk. Mumia dziecka (indiańska rówieśniczka Florentyny Bea). Nasz dwudziesty Piekielny Kanion. Nasza pięćdziesiąta Brama do tego czy owego *fide* niezawodnego przewodnika, który zdążył tymczasem postradać okładkę. Kleszcz w moim kroczu. Zawsze ta sama trójca starców w kapeluszach i szelkach, zbijająca baki w letnie popołudnie pod drzewami koło publicznej fontanny. Mglisty błękitny widok nad poręczą na górskiej ścieżce i plecy napawającej się nim rodziny (a Lo gorąco, radośnie, szaleńczo, namiętnie, z nadzieją, bez nadziei zaszepiała: „Patrz, to państwo McCrystal, błagam, zagadajmy do nich, błagam” - zagadajmy do nich, czytelniku! - „błagam! Zrobię wszystko, co zechcesz, och, błagam cię...”). Indiańskie tańce obrzędowe, stuprocentowa komercja. ART: Amerykańskie Ruszta Teflonowe. Nieunikniona Arizona, puebla, tubylcze malarstwo naskalne, trop dinozaura w pustynnym kanionie odcisnięty trzydzieści milionów lat temu, kiedy byłem mały. Kościsty błądy chłopak, metr osiemdziesiąt wzrostu, ruchliwe jabłko Adama, gapi się na Lo i jej pomarańczowobrazowy brzuch, który pięć minut później pocałowałem, chłopcze. Zima na pustyni, wiosna na pogórzu, migdały w rozkwicie. Reno, okropne miasto w Nevadzie, którego nocne życie miało być „kosmopolityczne i dojrzale”. Wytwórnia win w Kalifornii, z kościołem w

kształcie antałka. Dolina śmierci. Zamek Scotty'ego. Dzieła Sztuki, które latami gromadził niejaki Rogers. Brzydkie wille przystojnych aktorek. Ślad stopy R. L. Stevensona na zboczu wygasłego wulkanu. Misja Dolores: dobry tytuł książki. Festony wyrzeźbione z piaskowca przez przyptyw. Mężczyzna, którego nieokiełznany atak epilepsji powalił na ziemię w stanowym parku Russian Gulch. Niebieskie jak niebo Jezioro Kraterowe. Wylęgarnia narybku w Idaho i więzienie stanowe tamże. Posepny Park Yellowstone i jego barwne gorące źródła, miniaturowe gejzery, tęcze musującego błota - symbole mojej namiętności. Stado antylop w rezerwacie zwierzyny. Nasza setna jaskinia, dorosli po dolarze, Lolita za pięćdziesiąt centów. Zameczek, który pewien markiz francuski wybudował w Północnej Dakocie. Kukurydziany Pałac w Południowej; i ogromne głowy prezydentów rzeźbione w wyniosłym granicie. Kobieta z brodą ujrzała naszą reklamę i wnet ktoś poślubił niezwykłą tę damę. Zoo w Indianie, w którym mrowie małp mieszkało na betonowej kopii flagowego okrętu Krzysztofa Kolumba. Miliardy martwych albo dogorywających jętek o rybim odorze w każdym oknie każdej restauracji czy baru wzdłuż okropnego piaszczystego wybrzeża. Tłuste mewy na głazach widziane z promu „Miasto Cheboygan”, którego brunatny, wełnisty dym wypiętrzał się i zapadał nad własnym zielonym cieniem, pełznącym po akwamarynowym jeziorze. Motel z rurą wentylatora przeprowadzoną pod miejscim ściekiem. Dom Lincolna, w znacznej mierze falsyfikat, z księgami pamiątkowymi i meblami „z epoki”, które większość zwiedzających z nabożeństwem brała za jego osobisty dobytek.

Zdarzały nam się kłótnie, mniejsze i większe. Największe miały miejsce: w Koronkowych Chatach w Wirginii; na Park Avenue w Little Rock, niedaleko szkoły; na Przełęczy Milnera w Kolorado, 3850 metrów nad poziomem morza;

na rogu Siódmej Ulicy i Centralnej Alei w Phoenix w Arizonie; na Trzeciej Ulicy w Los Angeles, ponieważ w kasie zabrakło biletów do jakiegoś tam studia filmowego; w motelu „Cień Topoli” w Utah, gdzie sześć pokwitających drzewek ledwie przerastało moją Lolitę, a ona spytała, *à propos de rien*, jak długo jeszcze będziemy mieszkać w dusznych campingach i wyczyniać razem różne świństwa, nigdy nie postępując jak zwyczajni ludzie? W Burns w Oregonie, na rogu Północnego Broadwayu i Zachodniej Washingtona, naprzeciwko sklepu spożywczego „Safeway”. W jakimś miasteczku w Dolinie Słońca w Idaho, przed ceglanyim hotelem, w którego ścianach przyjemnie się przeplatały cegły blade i rumiane, a po drugiej stronie ulicy topola omiatała swym ciekłym cieniem dwuszereg miejscowych prymusek. W bylicznej głuszy, między Pinedale a Farson. Gdzieś w Nebrasce, na Głównej, koło banku First National, założonego w 1889, skąd widać było przejazd przez tory kolejowe w głębi ulicy, a dalej białe piszczalki organowe silosa mnogiego. Oraz na rogu McEwena i Wheatona, w mieście w Michigan noszącym jego imię.

Poznaliśmy ten dziwny gatunek przydrożny, Człowieka z Autostopu, znanego nauce jako *Homo pollex*, we wszystkich jego licznych podgatunkach i postaciach, takich jak: skromny żołnierz, cały wypucowany, który czeka ze spokojem, spokojnie świadom wiatycznego powabu munduru; uczeń, co chce przejechać dwie przecznice; morderca, co chce przejechać trzy tysiące kilometrów; tajemniczy, nerwowy, niemłody jegomość z nowiutką walizką i przystrzyżonym wąsem; pełen optymizmu tercet Meksykanów; student obnoszący brudne ślady wakacyjnej pracy pod gołym niebem nie mniej dumnie niż nazwę sławnej uczelni, której litery tworzą łuk na torsie bluzy od dressu; dama zrozwyczajona, bo właśnie wysiadł jej akumulator; schludne, bladolice bestie o lśniących włosach i rozbieganym spojrze-

niu, w krzykliwych koszulach i marynarkach, z prawie priapicznym wigorem wystawiające prężne kciuki, żeby kusić nimi samotne kobiety lub nieudacznym komiwojażerów nękanymi dziwnymi chętkami.

- Weźmy go - często prosiła Lo, starym zwyczajem trąc jednym kolaniem o drugie, gdy jakiś wybitnie odstręczający *pollex*, mój rówieśnik jak ja szeroki w barach, ze swoją *face à claques* bezrobotnego aktora szedł tyłem, niemal prosto pod koła naszego wozu.

O, musiałem mieć na oku małą Lo, wiotką Lo! Zapewne dzięki nieustannej gimnastyce miłosnej promieniowała mimo bardzo dzieciennego wyglądu jakąś osobliwą, omdlewającą poświatą, która mechaników, posługaczy hotelowych, urlopowiczów, zbirów w luksusowych autach, debili grających debła na rudych kortach przyprawiała o ataki chuci - co może i łechtałoby moją próżność, gdyby nie wzniecało zazdrości. Mała Lo sama bowiem czuła tę swoją poświatę, często więc przyłapywałem ją *coulant un regard* w stronę jakiegoś sympatycznego samca, blachotłuka o żyłastym, złocistobrunatnym przedramieniu, z bransoletą zegarka na nadgarstku, i ledwie odwróciłem się tyłem, żeby pójść po lody dla Lo, a już słyszałem, jak ona i ponętny monter intonują istną pieśń miłosną skomponowaną z dowcipasów.

Kiedy w trakcie dłuższych postojów odpoczywałem czasem w łóżku po szczególnie gwałtownym poranku i z dobrotą uśpionego serca pozwalałem jej - humanitarny Hum! - pójść z bezbarwną małą Mary i jej ośmioletnim braciszkiem, potomstwem sąsiada z motelu, do różanego ogrodu lub biblioteki dla dzieci po drugiej stronie ulicy, wracała spóźniona o całą godzinę, bosa Mary wlokła się daleko w tyle, a chłopczyk zjawiał się w postaci dwóch dryblasów, złotowłosych osiłków z liceum, same mięśnie i rzeźączka. Czytelnik bez trudu sobie wyobrazi, co odpowiadałem swo-

jej pieszczoszcze na pytanie - zadane dość niepewnie, przyznam - czy może pójść z Carlem i Alem na tor wrotkarski.

Pamiętam, jak w wietrzne, pełne kurzu popołudnie pierwszy raz puściłem ją na taki tor. Powiedziała, okrutna, że jeśli z nią pójdę, to się wynudzę, bo tę porę dnia zarezerwowano dla nastolatków. Z zażartego sporu wynikł kompromis: zostałem w aucie, wśród innych (pustych) aut stojących przodem do toru krytego płóciennym dachem, ale pozbawionego ścian, po którym mniej więcej pięćdziesięcioro młodych ludzi, wielu z nich parami, krążyło bez końca przy dźwiękach muzyki mechanicznej, gdy wiatr srebrzył drzewa. Dolly miała na sobie džinsy i białe buty z wysoką cholewką, tak jak większość dziewcząt. Liczyłem kolejne rundy kłębiącego się tłumu - i nagle gdzieś mi znikła. Kiedy znów przede mną przejechała, towarzyszyło jej trzech łobuzów - a dopiero co słyszałem, jak stojąc po zewnętrznej stronie bandy recenzowali wdzięki rozmaitych wrotkarek, drwiąc z pewnego uroczego, długonogiego stworzenia, które przyszło w czerwonych szortach zamiast w tych jakichś džinsach czy innych teksasach.

W punktach kontrolnych przy autostradach u wjazdu do Arizony lub Kalifornii kuzyn policjanta wpatrywał się w nas tak bacznie, że moje biedne serce zaczynało dygotać. „Wieciecie miód albo jakieś inne niebo w gębie?” - pytał, a ta słodka idiotka za każdym razem dostawała chichotek. Wzdłuż nerwu optycznego jeszcze wibruje mi następująca wizja: Lo jedzie wierzchem - ogniwo w łańcuchu jeźdźców podczas wycieczki konnym szlakiem: podryguje, sunąc stępa, z przodu ma jakąś starszą panią, a z tyłu niedzielnego kowboja o czerwonym karku i sprośnych myślach; za kowbojem jadę ja i nienawidzę jego tłustych pleców w kwaciastej koszuli zajadlej, niż kierowca nienawidzi powolnej ciężarówki na górskiej drodze. W schroniskach narciarskich patrzyłem, jak odpływa, niebiańska i samotna, na eterycz-

nym wyciągu, coraz wyżej, ku migoczącemu szczytowi, gdzie roześmiani sportowcy nadzy od pasa w górę czekają na nią, na nią.

W każdym z miast, w których się zatrzymywaliśmy, rozpytywałem z europejską uprzejmością o współrzędne pływalni, muzeów, miejscowych szkół, liczbę uczniów w najbliższej szkole i tym podobne; w porze odjazdu szkolnego autobusu, z twarzą uśmiechniętą i targaną dyskretnym drganiem (odkryłem ten *tic nerveux*, bo okrutna Lolita pierwsza zaczęła go przedrzeźniać) parkowałem wóz w strategicznym punkcie i mając u boku swoją wagarowiczkę, patrzyłem na dzieci wychodzące po lekcjach - widok niezawodnie piękny. Wkrótce znudziło to moją tak łatwo nudzącą się Lo, ponieważ zaś odznaczała się dziecięcym brakiem wyrozumiałości wobec cudzych zachcianek, mieszała z błotem mnie i moje pragnienie, żeby czuć jej pieszczoty, gdy błękitnookie bruneteczki w błękitnych szortach, rude w zielonych bołerkach i te jakby zatarte, płowe chłopczyce w spłowiwałych spodniach będą nas mijać w słońcu.

Jako swego rodzaju kompromis zalecałem, aby bez jakichkolwiek ograniczeń w każdym dogodnym miejscu i czasie korzystała z basenów w towarzystwie innych dziewcząt. Uwielbiała mieniającą się wodę i nader zrecznie nurkowała. Sam też dawałem nobliwego nurka, po czym mile okryty płaszczem kąpielowym zasiadałem w sutym popołudniowym cieniu, z książką atrapą, z torbą cukierków lub z obiema, albo i z niczym prócz mych własnych mrowiących gruczołów, i patrzyłem, jak bryka w gumowym czepku, w perlistej rosie, równo opalona, uradowana jak reklama, w ciasno dopasowanych ałtasowych majteczkach i marszczonym staniku. Kochana pokwitajka! Z jakim samozadowoleniem zdumiewałem się, że jest moja, moja, moja, gdy wyświetlałem sobie w pamięci niedawną scenę porannego omdlewania, której wtórował lament gołębic okrytych

żałobą, i zawczasu obmyślając popołudniowy epizod, mrużyłem oczy klute słońcem, aby lepiej porównać Lolitę z nimfietkami, którymi skąpy traf zechciał ją otoczyć dla dobra mej antologicznej rozkoszy i osądu; a dziś, z ręką na zbolałym sercu, naprawdę nie uważam, że choć jedna z nich była od niej powabniejsza, a jeśli nawet, to najwyżej dwa lub trzy razy, przy pewnym oświeceniu, gdy pewne wonie mieszały się w powietrzu - raz w beznadziejnym przypadku bladej hiszpańskiej dziewczynki, córki szlachcica o masywnych szczękach, a kiedy indziej - *mais je divague*.

Musiałem oczywiście być stale czujny, bo - zazdrosny, lecz przytomny - doskonale zdawałem sobie sprawę, czym grożą te olśniewające swawole. Ledwie na chwilę się odwróciłem - przeszedłem, powiedzmy, parę kroków, aby sprawdzić, czy nasz domek jest wreszcie gotów po porannej zmianie pościeli - wróciwszy stwierdzałem, że Lo ulokowała się na kamiennej obmurówce basenu, *les yeux perdus*, i wierzga nogami, mocząc w wodzie długopalce stopy, a z prawa i z lewa kuca przy niej jakiś *brun adolescent*, który na wspomnienie jej rdzawej urody i ręki skroplonej w dziecinnych fałdach brzuszka niechybnie miał *se tordre* - o, mistrzu Baudelaire! - przez długie miesiące, nękany natrętnymi snami.

Usiłowałem nauczyć ją gry w tenisa, żebyśmy mieli więcej wspólnych rozrywek; lecz choć w młodości byłem dobrym tenisistą, nauczycielem okazałem się beznadziejnym; toteż w Kalifornii posłałem ją na bardzo kosztowny kurs u słynnego trenera, krzepkiego, pomarszczonego weterana z całym haremem chłopców do podawania piłek; poza kortem sprawiał on wrażenie kompletnej ruiny, ilekroć jednak w trakcie lekcji zdarzało mu się - dla podtrzymania wahałowego rytmu - wykonać uderzenie przywodzące na myśl wykwintny wiosenny kwiat i piłka z jędrnym zaśpiewem wracała do uczennicy, boska delikatność, a zarazem bez-

graniczna moc tego zagrania przypominała mi, że właśnie on przed trzydziestu laty w Cannes na moich oczach rozniósł w puch wielkiego Gobberta! Póki Lo nie zaczęła brać u niego lekcji, myślałem, że nigdy nie nauczy się grać. Piłując ją na tym czy innym hotelowym korcie, próbowałem raz jeszcze przeżyć owe dni, gdy owiany gorącym wiatrem, otumaniony kurzem i perwersyjnie znużony słałem piłkę za piłką do wesołej, niewinnej, eleganckiej Annabel (połysk bransoletki, plisowana biała spódniczka, czoło opasane czarną aksamitką). Wytrwale służyłem radą Lolicie, lecz każde moje słowo tylko wzmagało jej cichą furię. Od naszych meczów wołała, o dziwo - przynajmniej póki nie zajechaliśmy do Kalifornii - nieforemny surogat, nieudolną odbijanekę - więcej biegania za piłką niż samej gry - z wiotką, wątlą rówieśniczką, cudownie urodziwą w typie *ange gauche*. Uczynny widz, podchodziłem do nieznanomej dziewczynki i wdychałem bijący od niej ledwie uchwytny aromat piżma, gdy dotykając jej przedramienia, brałem ją za sękaty nadgarstek i popychałem to w tę, to w tamtą stronę chłodne udo, żeby pokazać, jak wygląda prawidłowa postawa przy bekhendzie. Lo stała tymczasem nisko pochylona, słonecznobrazowe loki spadały jej na oczy, i wbijając w kort raketę niby laskę kaleki, głośno stękała ze wstrętem, zła, że się wtrącam. Zostawiałem je same i dalej patrzyłem, porównując ich ciała w ruchu, a szyję owijał mi jedwabny szal; działo się to chyba gdzieś w południowej Arizonie - dni podbite były leniwą podszewką ciepła, niezręczna Lo zamierzała się na piłkę i chybiała, i kłęta, i posyłała erzac serwu prosto w siatkę, i odsłaniała mokry, lśniący, młody puch pachy, rozpaczliwie wywijając raketą, a jeszcze bardziej od niej mdła partnerka sumiennie goniła za każdą piłką i nie znajdowała ani jednej; lecz obie przepięknie cieszyły się grą i czystymi, dźwięcznymi głosami obwieszczają dokładny wynik swych nieporadnych zabiegów.

Pewnego dnia zaproponowałem, pamiętam, że przyniosę im z hotelu coś zimnego do picia, ruszyłem żwirowaną ścieżką pod górę i niebawem wróciłem z dwiema wysokimi szklankami soku ananasowego z lodem i wodą sodową; wtem nagle próżnia w piersi sprawiła, że stanąłem jak wryty: kort opustoszał. Schylając się, żeby odstawić szklanki na ławkę, nie wiedzieć czemu zobaczyłem z lodowatą wyrazistością twarz Charlotty w chwilę po śmierci, rozejrzałem się i dostrzegłem Lo w białych szortach, oddalającą się wśród cętkowanych cieni ogrodowej ścieżki - w towarzystwie wysokiego mężczyzny, który niósł dwie rakiety. Skoczyłem za nimi, lecz przedzierając się przez krzaki, zobaczyłem - jakimś równoległym widzeniem, jak gdyby nurt życia co sekunda się rozwidłał - że Lo w długich spodniach i jej koleżanka w szortach łażą tam i sam po zachwaszczonej polance, apatycznie trzepiąc raketami chaszczę w poszukiwaniu ostatniej zgubionej piłki.

Powodem, dla którego wyliczam te słoneczne błahostki, jest głównie chęć udowodnienia mym sędziom, że dokładałem wszelkich starań, aby moja Lolita możliwie najmilej spędzała czas. Uroczy był to widok, gdy ona, też przecież dziecko jeszcze, demonstrowała innemu dziecku którąś ze swych nielicznych umiejętności, na przykład jakiś specjalny sposób skakania przez skakankę. Trzymając lewy łokieć prawą ręką opartą o blade plecy, mniejsza nimfetka, eteryczne чудо, zamieniała się w tysiąc oczu i pawie słońce na żwirze pod kwitnącymi drzewami też było oczu tysiącem, a pośród tego wielookiego raję moja piegowata, gminna dziewczka skakała, powtarzając ruchy tyłu innych, którymi syciłem wzrok na zalanych słońcem, spryskanych wodą, pachnących wilgocią chodnikach i nabrzeżach starożytnej Europy. Wkrótce oddawała skakankę swej hiszpańskiej koleżanceczce i sama z kolei patrzyła, jak tamta powtarza lekcję, i odgarniała włosy z czoła, i zakładała ręce na piersi, i przy-

deptywała wielki palec jednej stopy czubkiem drugiej albo luźno opierała ręce na wciąż jeszcze nierozbujanych biodrach, ja zaś z satysfakcją stwierdzałem, że cholerny personel skończył wreszcie sprzątać nasze zacisze; błyskałem więc uśmiechem w stronę nieśmiałej, ciemnowłosej paziówny mej księżniczki, zagłębiałem we włosy na potylicy Lo ojcowskie palce i delikatnie, lecz stanowczo zaciskając je na jej karku, prowadziłem niechętną pieśczołkę do naszego małego domku, żeby przed kolacją odbyć szybki akt.

- Biedaku, czyj to kot tak pana podrapał? - jakaś bujna, obfita, przystojna kobieta w tym właśnie odrażającym typie, któremu wydawałem się szczególnie powabny, pytała w „klubie” podczas kolacji *table d'hôte*, poprzedzającej obieczane Lolicie tańce. Między innymi dlatego starałem się w miarę możliwości trzymać z dala od ludzi, natomiast Lo robiła, co mogła, żeby wciągnąć w swoją orbitę jak najwięcej potencjalnych świadków.

Merdała, rzecz by można, ogonkiem, a właściwie całym tyłeczkiem, tak jak to robią małe suczki - gdy ktoś nieznamy zaczepiał nas, szczerząc zęby w uśmiechu, i zaczynał błyskotliwą rozmowę od studium porównawczego tablic rejestracyjnych. „Kawał drogi od domu!”. Dociekliwi rodzice próbowali zapraszać ją do kina ze swoimi dziećmi, żeby z niej wyciągnąć to i owo na mój temat. Parę razy ledwo się wykaraskaliśmy. Utrapione wodospady prześladowały mnie, rzecz jasna, we wszystkich naszych karawanserajach. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że ściany tych zajazdów są cienkie jak opłatek, aż tu pewnego wieczoru zdarzyło mi się nazbyt głośno kochać, a w ciszy, która potem zapadła, męski kaszel sąsiada zabrzmiał nie mniej wyraźnie, niż gdybym to ja zakasłał; kiedy nazajutrz rano jadłem śniadanie w barze mlecznym (Lo sypiała do późna, a ja lubiłem przynosić jej dzbanek gorącej kawy, nim wstała z łóżka), mój wczorajszy sąsiad, starszawy dureń w banal-

nych okularach na długim, cnotliwym nosie, ze znaczkiem jakiegoś tam zjazdu albo zlotu w klapie, zdołał wciągnąć mnie w rozmowę i mimochodem zapytał, czy moja kobita tak samo jak jego kobita ociąga się ze wstawaniem, jeśli akurat nie nocuje u siebie na farmie; i gdyby nie dławilo mnie ohydne niebezpieczeństwo, o które właśnie się ocierałem, może bym nawet ponapawał się dziwnie zdumionym wyrazem tej wąskoustej twarzy steranej niepogodą, kiedy oschle odparłem, zsuwając się ze stołka, że jestem, Bogu dzięki, wdowcem.

Jak słodko było przynieść jej tę kawę, a potem nie dać, póki nie spełniła swego porannego obowiązku. Jakim byłem troskliwym przyjacielem, zapalonym ojcem, dobrym pediatrą, dbałem, żeby ciału mej kasztanowej bruneteczki na niczym nie zbywało! O to jedynie miałem żal do natury, że nie mogę wywrócić mojej Lolity na lewą stronę i przywrzeć zachłannymi wargami do jej młodej macicy, nieznanego serca, opalizującej wątroby, gronorostów płuc, zgrabnych bliźniaczych nerek. W szczególnie tropikalne popołudnia, w lepkiem zaduchu sjesty lubiłem czuć, że chłodna skóra fotela dotyka mej masywnej nagości, gdy trzymam Lolitę na kolanach. Siedziała jak pierwsze lepsze dziecko, które dłubie w nosie, pochłonięta lekturą lżejszych działów gazety, obojętna wobec mojej ekstazy, jak by to było coś, na czym przypadkiem usiadła - but, lalka, rączka rakiety - i teraz leni się wstać, żeby wyjąć spod siebie uwierrający przedmiot. Sunęła wzrokiem po papierze, śledząc przygody swoich ulubionych postaci z komiksów: jedną z nich - zrecznie narysowaną, niechlujną panienką w krótkich skarpetkach, laleczką o wystających kościach policzkowych i kanciastych ruchach - sam chętnie się delectowałem, nie widząc w tym nic poniżej swojej godności; studiowała fotograficzne efekty zderzeń czołowych; nigdy nie wątpiła w autentyczność miejsca, czasu i sytuacji, w któ-

rych rzekomo powstały zdjęcia promocyjne piękności o nagich udach; i dziwnie ją fascynowały fotografie miejscowych panien młodych, niektórych w pełnym rynsztunku ślubnym, z bukietami i w okularach.

Mucha siadała i rozpoczynała spacer w okolicy jej pępka lub zaczynała poznawać delikatne, blade otoczki sutek. Lo próbowała złapać ją ręką (sposobem Charlotty) i przechodziła do rubryki Poznajmy Twoje Poglądy.

- Poznajmy twoje poglądy. Czy liczba przestępstw seksu alnych spadłaby, gdyby dzieci przestrzegały paru zakazów? Nie baw się w pobliżu szaletów publicznych. Nie przyjmuj cukierków ani zaproszeń na przejażdżki od nieznajomych. A jeśli już przyjmujesz, zanotuj numer rejestracyjny.

- ... i gatunek cukierków - wtrąciłem.

Czytała dalej, z policzkiem (w odwrocie) przytkniętym do mojego (w pogoni); a i tak był to jeden z lepszych dni, czytelniku!

- Jeżeli nie masz ołówka, ale umiesz już czytać...

- My - zacytowałem żartem - średniowieczni żeglarze, umieściliśmy w tej oto butelce...

- Jeżeli - powtórzyła - nie masz ołówka, ale umiesz już czytać i pisać... przecież o to mu chyba chodzi, ty głąbie... wydrap jakoś na poboczu numer rejestracyjny.

- Własnymi pazurkami, Lolito.

3

Weszła w mój świat, do Humberlandii w barwach umbrzy i czerni, z popędliwą ciekawością; obejrzała go, z rozbowionym niesmakiem wzruszając ramionami; a teraz wydawało mi się, że gotowa jest odwrócić się odeń z uczuciem pokrewnym jawnemu wstrętowi. Ani razu nie zawibrowała pod mym dotykiem, a piskliwe „No coś ty?!” było całą nagrodą za mój trud. Od krainy czarów, którą jej ofiarował-

em, moja głuptaska wołała najbardziej płaskie filmidła, najbardziej mdlące ciagutki. Pomyśleć, że mając wybór między Hamburgerem a Humburgerem, nieodmiennie, z lodowatą precyzją, opowiadała się za tym pierwszym. Żadne okrucieństwo nie dorównuje potwornością okrucieństwu uwielbianego dziecka. Czy wspomniałem już nazwę tego baru mlecznego, który przed chwilą odwiedziłem? Nazywał się, ni mniej, ni więcej, „Oziębła Królowa”. Trochę smutno się uśmiechając, ochrzciłem Lo mianem Mojej Oziębłej Księżniczki. Nie poznała się na tym melancholijnym żarcie.

O, nie patrz na mnie tak srogo, czytelniku, nie twierdzę, że ani przez chwilę nie byłem szczęśliwy. Czytelnik musi zrozumieć, iż zaklęty podróżnik będąc w posiadaniu nimfetki, a zarazem u niej w niewoli, żyje, by tak rzec, p o z a sferą szczęścia. Nie zdarza się bowiem tu na ziemi błogość porównywalna z tą, która bywa udziałem kogoś, kto pieści nimfetkę. Jest to błogostan *hors concours*, z całkiem innej kategorii, z innego poziomu wrażliwości. Pomimo naszych sprzeczek, pomimo jej paskudnego usposobienia, pomimo wszystkich min i grymasów, i całej wulgarności, i niebezpieczeństwa, i w ogóle straszliwej beznadziei, mieszkałem jednak w samym mateczniku swego dobrowolnie wybranego raju - pod nieboskłonem koloru piekielnych płomieni, lecz mimo to w raju.

Badając mój przypadek, doświadczony psychiatra - którego doktor Humbert zdążył tymczasem, ufam, wtrącić w stan zajęcej fascynacji - z pewnością nie może się doczekać, kiedy wreszcie zawiozę moją Lolitę nad morze i doznawszy tam z dawna upragnionego „zaspokojenia” popędu, co nęka mnie nieledwie od chwili narodzin, uwolnię się od „podświadomej” obsesji na punkcie niespełnionego dzieciennego romansu z pierwszą małą panną Lee.

No cóż, towarzyszu, wiedz, że istotnie rozglądałem się za jakąś plażą, choć - wyznam zarazem - nim stanęliśmy

nad szarych wód mirażem, moja współpodróżniczka zdążyła mnie uraczyć tyloma rozkoszami, iż poszukiwanie Nadmorskiego Królestwa, Wysublimowanej Riwiery i czego tam jeszcze bynajmniej nie wynikało już z podświadomego impulsu, lecz było racjonalną pogonią za czysto teoretycznym dreszczem. Aniołowie to wiedzieli i wszystko należyście urządzili. Wizytę w nieźle rokującej zatoce nad Atlantykiem kompletnie zepsuła nam podła pogoda. Zawiesiste, wilgotne niebo, błotniste fale, wrażenie, że otacza nas bezkresna, ale poniekąd rzeczowa mgła - cóż mogło być dalsze od rzeźwego czaru, szafirowych szans i różanej aleatoryki mojego romansu z Riwiery? Znaleźliśmy kilka na wpół tropikalnych plaż nad Zatoką Meksykańską, które - acz dosyć słoneczne - były jednak rozgwieżdżone i upstrzone jadowitymi bestyjkami, no i omiatane przez huragany. W Kalifornii, nad widmem Pacyfiku, wreszcie mi się trafiło raczej perwersyjne ustronie w czymś na kształt jaskini, do której dobiegały wrzaski i piski stada skautek biorących swą pierwszą kąpiel w falach przyboju na innej części plaży, odgradzonej od nas gnijącymi drzewami; ale mgła była jak mokra kołdra, piach szorstki i lepki, a Ło cała pokryta gęsią skórką i zapiaszczona, więc po raz pierwszy w życiu pożałowałem jej nie bardziej niż manata. Moi uczeni czytelnicy ożywią się może, jeśli im oznajmię, że nawet gdybyśmy odkryli gdzieś w końcu kawałek sprzyjającego wybrzeża, byłoby za późno, prawdziwe wyzwolenie osiągnąłem bowiem znacznie wcześniej: mówiąc ściśle, w chudli, kiedy Annabel Haze, czyli Dolores Lee, czyli Loleeta ukazała mi się w złocie i brązie, na klęczkach, z uniesionymi oczyma, na tej nędznej werandzie, w swego rodzaju fikcyjnej, nieuczciwej, lecz wybitnie satysfakcjonującej kompozycji nadmorskiej (choć w okolicy było tylko drugorzędne jezioro).

Nic więcej nie mam do powiedzenia na temat owych szczególnych doznań, urobionych, jeśli nie wręcz wywoła-

nych, przez współczesną psychiatrię. Stroniłem zatem - i odwoziłem moją Lolitę - od atoli, które były albo zbyt pounure, gdy się wyludniały, albo zbyt ludne, gdy płonęły w słońcu. Atoli - powodowany zapewne wspomnieniem swych beznadziejnych łązeg po europejskich parkach publicznych - wciąż żywo interesowałem się działaniami na świeżym powietrzu i wytrwale poszukiwałem odpowiednich placów zabaw pod gołym niebem, niegdysiejszym świadkiem mych upokarzających prywacji. Lecz również i tu miała mnie spotkać porażka. Rozczarowanie, które chcąc nie chcąc zaraz odnotuję (delikatnie wprowadzając do swej opowieści wątek nieustannego ryzyka i trwogi, wpleciony w mój ówczesny błogostan), nie powinno w żaden sposób rzutować na obraz amerykańskich pustkowi - lirycznych, epickich, tragicznych, ale nigdy nie arkadyjskich. Są one piękne, rozdzierająco piękne, i mają w sobie tę zdziwioną, nie dość opiewaną, niewinną uległość, którą moje lakierowane szwajcarskie wioski, błyszczące jak klocki, i wyczerpująco sławione Alpy już utraciły. Niezliczeni kochankowie obłapiali się i całowali na wymuskanej Murawie górskich stoków starego świata, na sprężynującym mchu, nad wygodnym, higienicznym strumykiem, na rustykalnych ławach w cieniu dębów zrytych inicjałami, w setkach *cabanes* pośród setek bukowych lasów. Lecz na Amerykańskim Pustkowiu plenerowy kochanek niełatwo zdoła oddać się najstarszej z wszystkich zbrodni i rozrywek. W pośladki żądłą go bezimienne owady, a jego miłą - jadowite rośliny; w kolana kolą go spiczaste detale poszycia, ją zaś insekty; wokoło rozlega się nieustający szelest wirtualnych węży - *que dis-je*, na poły wymarłych smoków! - podczas gdy krabie nasiona zajadłych kwiatów przywierają ohydną zieloną skorupą do czarnej skarpetki z podwiązką i do rozlazłej białej podkolanówki.

Trochę przesadzam. W pewne letnie popołudnie tuż pod lasem, gdzie niebiańsko ubarwione kwiecie - rad bym je nazwał ostróżką - tłoczyło się nad brzegiem mrużącego potoku, znaleźliśmy jednak romantycznie ustronny zakątek, ze trzydzieści metrów nad przełęczą, na której zostawiliśmy auto. Zbocze było jakby nietknięte ludzką stopą. Ostatnia zasapana sosna spędzała zasłużoną chwilę wychnienia na skale, na którą jeszcze zdołała się wspiąć. Świstak gwizdął na nas i zrejterował. Pod płaszczem kąpielowym, który rozpostarłem na ziemi dla Lo, z cicha trzeszczały suche kwiaty. Wenus przyszła i poszła. Wydawało się, że od góry szczyrbate urwisko wieńczące piarg, a od dołu splątane chaszczki chronią nas zarówno przed słońcem, jak i przed ludzkim wzrokiem. Nie uwzględniłem, niestety, bocznej ścieżynki, podstępnie zwiniętej wśród krzewów i skał w odległości paru kroków.

Właśnie wtedy demaskacja zagroziła nam tak realnie, jak nigdy przedtem, nic więc dziwnego, że przeżycie to na zawsze poskromiło mój zapał do polnych amatorów.

Pamiętam, że było już po zabiegu, całkiem po, a ona szlochala w moich ramionach - ot, zbawienna burza łkań po jednym z tych humorzastych napadów, które stały się u niej tak częste w owym nadzwyczaj skądinąd udanym roku! Właśnie cofnąłem jakąś głupią obietnicę, złożoną tylko pod przymusem, w chwili ślepej, niecierpliwiej namiętności, leżała więc rozkrzyżowana na ziemi, zapłakana, szczypiąc moją pięściwą dłoń, gdy ja radośnie się śmiałem, a znana mi dziś potworna, niewiarygodna, nieznośna i, jak podejrzewam, wiekuista zgroza była zaledwie czarną kropką w błękicie mego błogostanu; tak zatem leżeliśmy, lecz nagle doznałem jednego z tych wstrząsów, które w końcu wytrąciły moje biedne serce z koleiny, napotkałem bowiem niewzruszone spojrzenie ciemnych oczu dwojga obcych i pięknych dzieci, faunisia i nimfetki, o identycznie prostych,

ciemnych włosach i bezkrwistych policzkach, świadczących, iż jest to rodzeństwo, jeśli nie bliźnięta. Stały na ugiętych kolanach, wpatrując się w nas z rozdziawionymi ustami, a ich niebieskie szorty i koszulki zlewały się z tłem górskich kwiatów. Desperacko szarpnąłem połą płaszcz, żeby się zasłonić - i natychmiast w poszyciu o kilka kroków od nas coś na kształt olbrzymiej piłki w grochy weszło w ruch obrotowy, który wyłonił z siebie prostującą się postać tęgiej damy o kruczych włosach strzyżonych na pazia; dama ta machinalnie dodała do bukietu dziką lilię, patrząc na nas przez ramię zza pleców swych dzieci, prześlicznie rzeźbionych w błękitnym piaskowcu.

Dziś, gdy mam na sumieniu całkiem inny galimatias, wiem już, że jestem człowiekiem odważnym, lecz w tamtych dniach jeszcze sobie z tego nie zdawałem sprawy, pamiętam więc, jak mnie zaskoczyło własne opanowanie. Na mój rozkaz wyszeptany spokojnym tonem, jakim nawet w najgorszej obieży rzuca się komendę zlanemu potem, oszalałemu, płaszczącemu się zwierzęciu (jakaż dziką nadzieją, a może nienawiścią falują boki młodego stworzenia, jakież czarne gwiazdy przeszywają serce tresera!), Lo wstała i odeszliśmy czcigodnym spacerkiem, aby potem niegodnie smyknąć do auta. Stał za nim zgrabny model combi, a przystojny Asyryjczyk z granatową bródką, *un monsieur très bien* w jedwabnej koszuli i karmazynowych spodniach, zapewne mąż korpulentnej botaniczki, z namaszczeniem fotografował tablicę, na której podano wysokość przełęczy nad poziom morza. Wynosiła ona trzy tysiące metrów ze sporym okładem, więc brakło mi tchu; zgrzyt żwiru, poślizg, i odjechaliśmy; Lo szamotała się jeszcze z ubraniem i klęła mnie słowami, o jakich nigdy bym nie pomyślał, że małe dziewczynki mogą je znać, a co dopiero ich używać.

Zdarzały się też inne przykre incydenty. Na przykład pewna wizyta w kinie. Lo pałała jeszcze wtedy do filmu

szczerą namiętnością (w drugiej licealnej miała ona ostygnać, przeradzając się w letnie pobłażanie). Obejrzelśmy - zachłannie i niewybrednie - czy ja wiem, chyba ze sto pięćdziesiąt albo i dwieście seansów w ciągu tego jednego roku, a w okresach szczególnie nasilonej kinomanii wiele kronik filmowych oglądaliśmy nawet i sześciokrotnie, ponieważ zmieniano je raz na tydzień, więc ta sama kronika towarzyszyła rozmaitym filmom fabularnym i ścigała nas z miasta do miasta. Lo najbardziej lubiła - w tej właśnie kolejności - musicale, kryminalia, westernery. W tych pierwszych prawdziwi śpiewacy i tancerze robili nieprawdziwe kariery sceniczne w dość hermetycznie zamkniętej przed cierpieniem sferze bytu, do której śmierć i prawda nie miały wstępu, a w finale siwowłósy, wilgotnooki, praktycznie rzecz biorąc nieśmiertelny, zrazu niechętny ojciec dziewczyny zwariowanej na punkcie rewii zawsze w końcu oklaskiwał jej apoteozę na bajecznym Broadwayu. Kryminalia rozgrywały się w swym własnym świecie: heroicnych dziennikarzy brano tam na tortury, rachunki telefoniczne sięgały miliardowych sum, a łotrów ścigali po ścieżkach i składach przemysłowych chorobliwie nieustraszeni policjanci w dziarskim klimacie strzeleckiej niekompetencji (ja nie zmusiłem ich do aż takiej gimnastyki). No i wreszcie mahoniowy pejzaż, niebieskoocy, czerwonolicy ujeżdżacze, przybycie sztywnej, lecz ślicznej nauczycielki do Ryżącego Jaru, koń staje dęba, tabun w efektownym popłochu, rewolwer wbity w szybę, sypie się szkło, tytaniczna walka na pięści, waląca się góra zakurzonych, staromodnych mebli, stół jako broń, salto w samą porę, przygwożdżona dłoń po omacku szuka upuszczonej finki, stek, słodki trzask pięści o szczękę, kopniak w brzuch, skok i chwyt za nogi; i natychmiast po końskiej dawce bólu, po której sam Herkules wylądowałby w szpitalu (teraz już coś o tym wiem), nie widać żadnych śladów prócz dość twarzowego

sińca na ogorzałym policzku rozgrzanego bohatera, gdy ten ściska swą oszałamiającą narzeczoną z Pogranicza. Pamiętam popołudniowy seans w małym dusznym kinie, sala pełna dzieci zionęła gorącym odorem prażonej kukurydzy. Księżyc zócił się nad głową zapiewajły z chustą na szyi, zapiewało trącał palcem struny swej brzdąkwy, oparłszy but o zwaloną sosnę, a ja niewinnie objąłem Lo za ramiona i zbliżyłem zuchwę do jej skroni, wtem jednak dwie siedzące za nami harpie zaczęły mamrotać jakieś nieprawdopodobne perwersje - nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale to, co mniej więcej wpadło mi w ucho, sprawiło, że cofnąłem łagodną dłoń, no i oczywiście dalszy ciąg filmu widziałem jak przez mgłę.

Inny wstrząs, jaki pamiętam, kojarzy mi się z miasteczkiem, przez które jechaliśmy nocą w drodze powrotnej. Jakieś trzydzieści kilometrów wcześniej powiedziałem jej, że w Beardsley pójdzie do dosyć ekskluzywnej szkoły tylko dla dziewcząt, nieuznającej żadnych nowoczesnych bzdur, na co uraczyła mnie jedną z tych swoich wściekłych tyrad, w których błaganie i zniewagi, tupet i kręctwo, wulgarny jad i dziecinna rozpacz tworzyły irytujący splot o pozorach logiki, ja zaś w odpowiedzi składałem równie pozorne wyjaśnienia. Omotany gąszczem jej szalonych słów (akurat, a w życiu... jeszcze nie ocipiałam, żeby się przejmować, co sobie pomyślisz... Zgred... Nie będziesz mną się rządził... Jesteś wstrętny... i tak dalej), po gładkiej jeździe autostradą wtargnąłem do uśpionego miasteczka całym rozpędem, w tempie siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, więc policjant samowtór patrolujący ulice wymierzył we mnie reflektor i kazał mi zjechać na bok. Uciszyłem Lo, bo dalej bredziła jak automat. Policjanci spojrzeli na nas z niezycliwym zaciekawieniem. Nagle cała w dołeczkach, słodko się ku nim rozpromieniła, jak nigdy nie zdarzyło jej się rozpromienić na widok mego orchidnego męstwa; moja Lo

w pewnym sensie bała się bowiem wymiaru sprawiedliwości jeszcze bardziej niż ja - a gdy funkcjonariusze łaskawie nam wybaczyli i pokornie powlekliśmy się dalej, spuściła powieki i zatrzepotała nimi na znak, że mdleje ze znużenia.

Muszę tu uczynić dziwne wyznanie. Będziecie się śmiali - ale szczerze i uczciwie oświadczam, że nigdy nie zdołałem dociec, jak właściwie przedstawia się nasza sytuacja prawna. Dotąd tego nie wiem. Owszem, to i owo ustaliłem. Alabama zabrania opiekunowi zmienić miejsce zamieszkania podopiecznej bez sądowego nakazu; Minnesota, przed którą uchylam kapelusza, orzeka, że gdy krewny podejmuje się mieć stałą pieczę i dozór nad dzieckiem poniżej lat czternastu, sądowi od tego wara. Pytanie: czy ojczyma nieprzytomnie ponętnej pieszczoszki w wieku pokwitania, ojczyma z zaledwie miesięcznym stażem, znerwicowanego wdowca nie pierwszej młodości, dysponującego skromnym, lecz niezależnym źródłem dochodów, ojczyma, który ma w życiorysie mury Europy, rozwód i niejedyn dom wariatów, można uznać za krewniaka, a tym samym naturalnego opiekuna? A jeżeli nie, to czy muszę, czy byłoby mądrze, gdybym ośmielił się powiadomić jakąś tam Radę Opiekuńczą i złożyć wniosek (jak w ogóle składa się wniosek?), żeby przedstawiciel sądu rozpatrzył przypadek mojej potulnej, śliskiej osoby oraz niebezpiecznej Dolores Haze? Z mnóstwa książek o małżeństwie, gwałcie, adopcji i całej reszcie, do których z nieczystym sumieniem zaglądałem w bibliotekach publicznych miast mniejszych i większych, nie wynikało nic prócz mrocznych insynuacji, iż w sprawach opieki nad nieletnimi dziećmi państwo jest najwyższą instancją. Pilvin i Zapel, jeśli dobrze pamiętam ich nazwiska, w imponującym tomie poświęconym prawnej stronie małżeństwa zupełnie pomijają zagadnienie ojczymów, którym dziewczynki bez matek spadły na kark i na cztery łapy. Moja najlepsza przyjaciółka, monografia opieki społecznej

(Chicago 1936), kosztem wielkich starań wygrzebana dla mnie z zakurzonej niszy w magazynie przez niewinną starą pannę, oznajmia: „Żadna reguła nie stwierdza, że każdy nieletni musi mieć opiekuna prawnego; sąd zachowuje tu postawę bierną i wkracza między zwaśnione strony tylko w sytuacji, gdy dobro dziecka zostaje wyraźnie zagrożone”. Opiekun, wywnioskowałem, otrzymuje nominację jedynie wtedy, kiedy sam w sposób uroczysty i formalny wyraża takie pragnienie; mogą jednak minąć całe miesiące, zanim otrzyma pozew, aby stawił się na przesłuchanie i dostał popielatych skrzydeł, tymczasem zaś nadobną demoniczną prawo pozostawia samej sobie - a tak przecież rzecz miała się z Dolores Haze. I wreszcie dochodzi do przesłuchania. Kilka pytań z ławy, kilka uspokajających odpowiedzi pełnomocnika, uśmiech, skinienie, lekka mżawka na dworze i oto nominacja jest faktem. A mimo to nie śmiałem. Nie wychylał się, siedź cicho jak trusia, jak mysz pod miotłą. Napady nadczynności zdarzały się sądom tylko wtedy, kiedy w grę wchodziły kwestie pieniężne: dwoje pazernych opiekunów, okradziona sierotka, ktoś trzeci, jeszcze bardziej pazerny. Tu jednak wszystko było w najzupełniejszym porządku, dokonano inwentaryzacji i niewielki majątek po matce czekał nienaruszony, aż Dolores Haze dorosnie. Wyglądało na to, że najlepiej będzie wstrzymać się ze składaniem jakichkolwiek podań. A może ktoś ciekawski, jakieś Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, wtrąci się, jeśli z a n a d t o się przyczaje?

Kolega Farlow, bądź co bądź prawie prawnik, powinien był stanąć na wysokości zadania i udzielić mi roztropnej rady, ale zaabsorbowany rakiem Jean nie mógł zrobić nic ponad to, co od razu obiecał - mianowicie, że zatroszczy się o skromny majątek Charlotty, podczas gdy ja będę pomału wychodził z szoku wywołanego jej śmiercią. Wpoiłem mu przekonanie, iż Dolores jest moją córką naturalną,

nie mogłem więc oczekiwać, że będzie się kłopotał całą tą sytuacją. Nie mam, jak czytelnik zapewne już się zorientował, głowy do interesów; lecz ani ignorancja, ani indolencja nie powinna była powstrzymać mnie przed szukaniem profesjonalnej porady gdzie indziej. Na przeszkodzie stało straszliwe uczucie, że jeśli zacznę w jakikolwiek sposób mieszać się do wyroków fortuny albo spróbuję racjonalnie rozporządzić jej fantastycznym darem, zostanie mi on odebrany niby ten pałac na szczycie góry w pewnej wschodniej baśni, który zniknął, ilekroć niedoszły właściciel pytał zarządcę, jakim cudem między czarną skalą a fundamentem już z daleka wyraźnie widać smuzkę nieba z zachodem słońca.

Pomyślałem sobie, że w Beardsley (siedzibie Żeńskiego College'u imienia Beardsleya) uzyskam dostęp do uczonych dzieł, których nie miałem jeszcze okazji przestudować, takich jak traktat Woernera o amerykańskim prawie opiekuńczym czy pewne publikacje Amerykańskiego Biura do spraw Dzieci. Uznałem też, że wszystko będzie lepsze dla Lo niż to demoralizujące nieróbstwo, w którym ostatnio trwała. Potrafiłem namówić ją do całego mnóstwa zajęć - ich wykaz odebrałby mowę zawodowemu dydaktykowi; lecz korząc się ni srożąc, nie mogłem jej skłonić, żeby przeczytała choć jedną książkę - wciąż tylko tak zwane komiksy albo opowiadania z czasopism dla Amerykanek. Wszelka literatura o oczko wyższego lotu trąciła szkołą, a Lo, teoretycznie skłonna wprawdzie delektować się *Dziewczyną z Limberlost*, *Baśniami z tysiąca i jednej nocy* czy *Małymi kobietkami*, nie chciała nawet słyszeć o tym, żeby marnować „wakacje” na owe ambitne lektury.

Dziś uważam, że popełniłem wielki błąd, wracając na wschód i posyłając ją do prywatnej szkoły w Beardsley, zamiast czmychnąć przez granicę z Meksykiem, póki jeszcze była pora, i przyczaić się na kilka lat w subtropikalnym

szczęściu, do czasu, gdy będę mógł spokojnie się ożenić ze swoją Kreoleczką, wyznam bowiem, że w zależności od stanu gruczołów i zwojów nerwowych potrafiłem w ciągu jednego dnia odbyć drogę między dwoma biegunami obłędu - od przeświadczenia, iż około roku 1950 trzeba będzie jakoś się pozbyć trudnej nastolatki, której nimfięca magia tymczasem się ulotni, aż do myśli, że przy odrobinie cierpliwości i szczęścia zdołam może z niej wyhodować nimfiętkę z moją własną krwią w niezrównanych żyłach, Lolitę Drugą, iżby skończyła osiem czy dziewięć lat gdzieś w roku 1960, kiedy ja sam będę jeszcze *dans la force de l'âge*; co więcej, teleskopowe właściwości mojej wyobraźni - czy też bezobraźni - były dość silne, żebym widział, jak w dalekiej czeluści czasu *un viellard encore vert* - choć może to próchno tak się zieleniło? - zdziwaczały, tkliwy, zaśliniony doktor Humbert uprawia wobec nieziemsko pięknej Lolity Trzeciej sztukę bycia dziadkiem.

W trakcie tej naszej szalonej podróży ani przez moment nie wątpiłem, że jako ojciec Lolity Pierwszej sromotnie zawiódłem. Dokładałem wszelkich starań; po wielokroć przeczytałem książkę pod mimowolnie biblijnym tytułem *Poznaj własną córkę*, pochodzącą z tego samego sklepu, w którym kupiłem Lo na trzynaste urodziny *Małą syrenkę* Andersena w wersji *de luxe*, z komercyjnie „pięknymi” ilustracjami. Ale nawet w najlepszych chwilach, kiedy w deszczowy dzień siedzieliśmy i czytaliśmy (a Lo raz po raz zerkała to w okno, to na zegarek) albo spokojnie jedliśmy zdrowy posiłek w zatłoczonym barze, albo rozgrywaliśmy dziecienną partię kart, albo załatwialiśmy sprawunki, albo wraz z innymi kierowcami i ich dziećmi patrzyliśmy w milczeniu na jakieś zmiażdżone, zbryzgane krwią auto i leżący w rowie but młodej kobiety (Lo podczas dalszej jazdy: „Właśnie o taki mokasyn mi chodziło, kiedy próbowałam coś wytłumaczyć temu palantowi w sklepie”); przy wszyst-

kich tych rzadkich okazjach, wymienionych tu na chybił trafił, wydawałem się sobie w roli ojca równie mało przekonujący, jak ona była nieprzekonująca w roli córki. Czyżby wieczne przenoszenie się z miejsca na miejsce podkopało w nas aktorskie moce? Czy należało się spodziewać, że poprawę przyniesie stały adres i monotony porządek dnia uczennicy?

Wybierając właśnie Beardsley, sugerowałem się nie tylko tym, że mieściła się tam stosunkowo stateczna szkoła dla dziewcząt, lecz także obecnością żeńskiego college'u. Pragnąc być wreszcie *casé*, przywrzeć do jakiejś powierzchni, w której wzór mogłyby się wtopić moje prążki, pomyślałem o pewnym znajomym z wydziału romanistyki tej uczelni; był on łaskaw posłużyć się podczas ćwiczeń moim podręcznikiem, a kiedyś próbował nawet ściągnąć mnie, żebym wygłosił wykład. Nie miałem zamiaru, bo, jak raz już wspomniałem, snując te wyznania, do niewielu typów fizycznych czuję większą odrazę niż do ciężkiej, nisko zawieszanej miednicy, grubych łydek i żalostnej cery przeciętnej studentki (być może widzę w niej trumnę z topornego ciała kobiecego, w którym moje nimfetki żywcem pochowano), łaknąłem jednak etykietki, tła, pozoru, wkrótce zaś stanie się jasne, że z pewnego powodu, dość zresztą paradnego, w towarzystwie Gastona Godina, tego pocziwiny, mogłem czuć się szczególnie bezpiecznie.

Była wreszcie kwestia pieniędzy. Mój budżet trzeszczał pod brzemieniem naszej przejażdżki. Owszem, wybierałem tańsze motele; ale co pewien czas masakrował nasze aktywa jakiś huczny hotel *de luxe* albo pretensjonalne ranczo dla niedzielnych kowbojów; zawrotne sumy szły też na zwiedzanie i na ubrania Lo, a stara limuzyna Haze'ów, choć wciąż jeszcze żywotna i niebywale wierna, wymagała wielu mniejszych i większych napraw. W jednej z naszych składanych map, przypadkiem ocalałej wśród papierów, z

których władze tak uprzejmie pozwoliły mi korzystać dla celów pracy nad niniejszym zeznaniem, znalazłem pewne notatki i za ich to pomocą sporządziłem następujące wyliczenie. Podczas owego rozrznego roku 1947-1948, od sierpnia do sierpnia, noclegi i jedzenie kosztowały nas około 5500 dolarów; benzyna, olej i naprawy - 1234, a różne inne wydatki prawie tyle samo; toteż w 150 dni rzeczywiście spędzonych w ruchu (przebyliśmy nieco ponad 43 000 kilometrów) i mniej więcej 200 - z przerwami - na postojach, niżej podpisany skromny rentier roztrwoniał jakieś 8000 dolarów, choć lepiej przyjąć, że 10 000, bo jako człowiek z gruntu niepraktyczny na pewno pominąłem parę pozycji.

I tak to posuwaliśmy się na wschód, ja raczej wyniszczony niż pokrzepiony zaspokojeniem swej pasji, ona promieniąca zdrowiem, z girlandą bioder wciąż jeszcze związłą jak u chłopca, choć przybyło jej pięć centymetrów wzrostu i cztery kilo wagi. Byliśmy wszędzie. Nie zobaczyliśmy właściwie nic. Dziś przychodzi mi na myśl, że nasza długa podróż tylko splugawiła krętą smugą smegmy ten piękny, ufny, rozmarzony, ogromny kraj, aż widziany okiem pamięci stał się dla nas jedynie amalgamatem map z oślimi uszami, zniszczonych przewodników, starych opon i jej łkań nocą - bo wybuchała nimi noc w noc, ledwie zaczynałem symulować sen.

4

Kiedy wśród dekoracji ze światła i cienia zajechaliśmy na Thayer Street pod numer czternasty, powitał nas poważny chłopczyk z kluczami i kartką od Gastona, który wynajął w naszym imieniu ten dom. Moja Lo nie zaszczyciła nowego otoczenia ani jednym spojrzeniem, lecz po omacku, wiedzioną instynktem włączyła radio i położyła się na kanapie

w salonie z porcją starych czasopism, które wyłowiła z tą samą precyzją i także na oślep, wsuwając rękę między odnóża stolika z lampą.

Było mi właściwie wszystko jedno, gdzie zamieszkać, byłem mógł zamknąć gdzieś moją Lolitę; lecz w trakcie korespondencji z niejasno wysławiającym się Gastonem musiałem chyba niejasno sobie wyobrazić dom z cegły, cały w bluszczu. W rzeczywistości smętnie przypominał on domostwo pani Haze (odległe - bagatela! - o jakieś sześćset kilometrów): podobnie nudny, szary drewniak kryty dachówką, z drelichowymi, burozielonymi markizami; pokoje, choć mniejsze i bardziej konsekwentnie umeblowane w stylu pluszowo-mosiężnym, miały w przybliżeniu ten sam rozkład. Moja pracownia była jednak tym razem znacznie większa, wyłożona od podłogi po sufit z grubsza licząc dwoma tysiącami książek z dziedziny chemii, którą wykładał mój gospodarz (chwilowo bawiący na rocznym urlopie naukowym) w żeńskim college'u.

Miałem nadzieję, że Szkoła dla Dziewcząt w Beardsley - szkoła droga, z lunchem gratis i olśniewającą salą Gimnastyczną - hodując wszystkie te młode ciała, zapewni zarazem formalne wykształcenie ich umysłem. Gaston Godin, który zwykle się mylił w ocenach amerykańskiego habitusu, ostrzegł mnie, że może to być jedna z tych instytucji, gdzie - jak ujął to z typowym dla cudzoziemca umiłowaniem takich finezji - „dziewczęta co prawda nie uczą się, aż głowy puchną, lecz pachną za to przemile”. Ale chyba nawet i to nie bardzo im się udało.

Gdy stawiałem się na pierwszą rozmowę u dyrektorki Pratt, ta wyraziła się z uznaniem o „ślicznych niebieskich oczach” mojego dziecka (niebieskie! oczy Lolity!) i o mojej przyjaźni z „tym francuskim geniuszem” (Gaston! Geniusz!) - po czym przekazała Dolly niejakiej pannie Cormo-

rant, zmarszczyła brwi w chwili swoistego *recueillement* i rzekła:

- Mniej nam na tym zależy, panie Humbird, żeby nasze uczennice stały się mołami książkowymi, umiały wyklepać nazwy wszystkich europejskich stolic, których i tak nikt nie zna, albo wykuły na pamięć daty zapomnianych bitew. Trzszczy my się o to, aby dziecko było przystosowane do życia w grupie. Dlatego też główny nacisk kładziemy na cztery R: Ruch, Retorykę, Rówieśnicze Rozrywki, Randki. Stoi my w obliczu konkretnych faktów. Pańska czarująca Dolly wejdzie niebawem do grupy wiekowej, w której randki i wszystko, co ich dotyczy, a więc strój, terminarz, specyficzna etykieta, znaczyć będą dla niej tyle, ile dla pana zna czą, powiedzmy, interesy, kontakty i sukcesy w interesach, czyli równie wiele, jak dla mnie znaczy [uśmiej] szczęście moich dziewczynek. Dorothy Humbird już teraz uwikłana jest w cały system życia społecznego, a składają się nań, czy nam się to podoba, czy nie, stoiska z hot-dogami, narożne sklepy, lemoniady i coca-cola, kino, square dancing, prywatki na plażach, a nawet imprezy z wzajemnym czesaniem jako gwoździem programu! Oczywiście w naszej szkole nie pochwalamy niektórych spośród tych praktyk; innym zaś nadajemy bardziej konstruktywny kierunek. W sumie staramy się jednak ignorować ciemniejszą stronę medalu i zdecydowanie skupiamy się na jaśniejszej. Jednym słowem, stosując określone metody nauczania, interesujemy się nie tyle kompozycją wypracowań, ile zawartym w nich komunikatem. Czyli - z całym szacunkiem dla Szekspira i reszty - chcemy, żeby nasze dziewczęta swobodnie komunikowały się z otaczającym je żywym światem, zamiast tkwić w starych stęchłych księgach. Być może wciąż jeszcze działamy po omacku, ale macamy inteligentnie, jak ginekolog, kiedy bada nowotwór. Rozumujemy, panie Humburg, w kategoriach organicznych oraz organizacyjnych.

Usunęliśmy z programu całe mnóstwo błahych przedmiotów, których znajomość tradycyjnie wpajano młodym dziewczętom kosztem wiedzy, umiejętności i postaw niezbędnych, aby kobieta mogła pokierować własnym życiem, jak również - doda cynik - życiem męża. Panie Humberson, spójrzmy na to w ten sposób: pozycja gwiazdy na niebie jest owszem, ważna, lecz wybór najbardziej wygodnego miejsca na lodówkę w kuchni może być dla początkującej gospodyni jeszcze ważniejszy. Powiada pan, że nie stawia szkole żadnych wymagań prócz tego, by dziewczynka odebrała solidne wykształcenie? Ale co właściwie nazywamy wykształceniem? W dawnych czasach polegało ono głównie na słowach; chcę przez to powiedzieć, że dziecko, któremu kazano by opanować pamięciowo porządną encyklopedię, nauczyłoby się tyle samo co w szkole, albo i więcej. Doktorze Hummer, może nie zdaje pan sobie sprawy, ale dla współczesnej dziewczynki u progu pokwitania znajomość okresów historycznych jest mniej istotna niż jej własny okres [perskie oko] - że przytoczę żart, na który pozwoliła sobie przy mnie pewnego dnia psychoanalityczka z Żeńskiego College'u. Żyjemy nie tylko w świecie myśli, lecz i rzeczy. Słowa nie poparte doświadczeniem nic nie znaczą. Cóż może Dorothy Hummerson obchodzić Grecja i Orient, te ich haremy i niewolnice?

Program taki wydał mi się dość przerażający, ale dwie związane niegdyś z tą szkołą inteligentne panie zapewniły mnie, że dziewczynki przerabiają sporo rozsądnych lektur, a całe to gadanie o „komunikacie” jest mniej lub bardziej czczą reklamą, która ma na celu przydanie staroświeckiej szkole finansowo opłacalnego pozoru nowoczesności, choć sama instytucja pozostaje w istocie nienaganna jak hosanna.

Drugi powód, dla którego nęciła mnie ta właśnie szkoła, niejednego czytelnika może ubawi, lecz dla mnie był bar-

dzo ważny - bo taka już moja natura. Otóż po drugiej stronie ulicy, akurat naprzeciw naszego domu, zauważyłem wyrwę między domami: kawałek zachwaszczonego pustkowi z kępami kolorowych krzaków, kupą cegieł i paroma rozrzuconymi deskami, spryskany szmatławą pianką jesiennych kwiatów przydrożnych w barwach fiołkowego różu i żółci; przez wyrwę tę migotał odcinek School Road, równoległej do naszej Thayer Street, a tuż za nią szkolne boisko. Prócz psychicznego komfortu, jaki mogłem czerpać z tej topografii, dzięki której każdy dzień Lo upływać miał w sąsiedztwie mojego dnia, natychmiast przewidziałem, ilu doznam przyjemności, gdy z okna swej pracowni (służącej też za sypialnię) wyławiać będę przez potężną lornetkę statystycznie nieunikniony procent nimfetek spośród dziewcząt bawiących się wokół Dolly podczas pauzy; niestety, już w pierwszym dniu roku szkolnego zjawili się robotnicy i w pewnej odległości od chodnika zagrodzili wyrwę płotem, za którym wkrótce wyrosła złośliwa konstrukcja z bezowego drewna, całkowicie zasłaniając mi tę czarowną perspektywę; a gdy tylko niedorzeczni rzemieślnicy spiętrzyli dość budulca, żeby wszystko popsuć, przerwali pracę i nigdy już nie wrócili.

5

Na Thayer Street, wśród willowej zieleni, płowoci i złota dostałej akademickiej miejsciny, nie sposób było uniknąć obszczekania przez życzliwych dzieńdobraków. Chłubiłem się tym, że w stosunkach z nimi umiem utrafić we właściwą temperaturę: nigdy nie opryskliwy, zawsze wyniosły. Sasiad od zachodu, który mógł być przedsiębiorcą, wykładowcą w college'u albo jednym i drugim, czasem mnie zagadywał, przestrzegając jakieś jesienne kwiaty w ogrodzie, nawadniając samochód lub, w późniejszej porze roku, od-

mrażając podjazd przed domem (wszystkie te czasowniki mogą być chybione, ale co mi tam), lecz moje krótkie pomruki, akurat na tyle artykułowane, żeby brzmiały jak konwencjonalne przytakiwania bądź pytające przerywniki, zapobiegały ewolucji tych spotkań ku jakiemukolwiek spoufaleniu. Z dwóch domów sąsiadujących ze wspomnianym już kawałkiem zakrzaczonej pustaci jeden był zamknięty, a drugi zawierał dwie panie od angielskiego, krótkowłosą, wbitą w tweed pannę Lester i przekwitłe kobiecą pannę Fabian, które w trakcie krótkich pogawędek na chodniku nie rozmawiały ze mną o niczym (błogosławiony takt!) prócz młodej urokliwości mej córki oraz naiwnego wdzięku Gastona Godina. Sąsiadką od wschodu, zdecydowanie najbardziej niebezpieczną, była spiczastonosza baba, której zmarły brat za życia pracował w college'u jako Nadzorca Budynków i Terenów. Pamiętam, jak osaczyła Dolly, kiedy stałem przy oknie salonu, czekając w gorączce, aż moja miła wróci ze szkoły. Skrywając chorobliwe wścibstwo pod maską słodkiej przychylności, obmierzała stara panna podpiearała się cienką parasolką (właśnie przestał padać śnieg z deszczem i zimne, mokre słońce wychynęło boczkim), a Dolly w brązowym płaszczu rozpiętym mimo ostrej pogody przyciskała do brzucha stos książek, tę trwałał narośl, błyskała różowymi kolanami znad niezgrabnych kaloszy i z nieśmiałym, wystraszonym uśmieszkiem, który migał i gasł pod jej perkatym noskiem, na twarzy - może z winy bladego zimowego światła - prawie pospolitej, wsiowej, niemieckiej twarzy małej *Mägdlein* - parowała pytania Panny Wschodniej: „A gdzie jest twoja matka, kochanie? A czym zajmuje się twój biedny ojciec? A gdzie przedtem mieszkałaś?”. Innym razem to wstrętne stworzenie zastąpiło mi drogę, rżąc na powitanie - ale zrobiłem unik; po kilku dniach otrzymałem od niej krótki list w kopercie z niebieską obwódka, subtelną mieszankę jadu i syropu, z propozy-

cją, żeby Dolly wstąpiła do niej w niedzielę i zwinąwszy się w fotelu, przejrzała „całą górę pięknych książek, które dała mi w dzieciństwie moja droga matka, zamiast rozkręcać radio na cały regulator o każdej porze dnia i nocy”.

Musiałem też mieć się na baczności przed niejaką panią Holigan, marną zresztą sprzątaczką i kucharką, odziedziczoną wraz z odkurzaczem po poprzednich lokatorach. Dolly jadała obiady w szkole, z tym więc nie było problemu, a ja całkiem nieźle nauczyłem się przygotowywać jej obfite śniadanie i podgrzewać kolację, którą przed wyjściem szykowała pani Holigan. Ta dobra i nieszkodliwa kobieta miała, Bogu dzięki, wzrok dość zamglony, toteż przeczała szczegóły, ja zaś nabrałem wielkiej wprawy w ścieleniu łóżek; mimo to prześladowała mnie myśl o pozostawionej gdzieś fatalnej plamie lub o tym, że przy tych rzadkich okazjach, gdy pani Holigan jest w domu równocześnie z Lo, ta ostatnia w trakcie przytulnych pogaduszek w kuchennym ciepłku może prostodusznie ulec urokowi piersiściego współczucia. Często czułem, że mieszkamy w rześście oświetlonym domu ze szkła i lada chwila jakaś pergaminowa twarz o wąskich ustach zajrzy przez niebaczenie odsłonięte okno, aby za darmo uraczyć się widokiem, dla którego najbardziej zblazowany *voyeur* chętnie poświęciłby skromną fortunę.

6

Słowo o Gastonie Godinie. Jeśli lubiłem - a przynajmniej z ulgą znosiłem - jego towarzystwo, to głównie z racji czaru absolutnego bezpieczeństwa, który rzucał swą obfitą figurą na moją tajemnicę; nie żeby ją znał; nie miałem wyraźnego powodu mu się zwierzać, a on zanadto był zaprzęnięty sobą i nieobecny, aby spostrzec czy też podejrzewać cokolwiek, co mogłoby skłonić go do szczerego pytania,

mnie zaś do szczerzej odpowiedzi. Dobrze się o mnie wyrażał wobec profesorów z Beardsley, był moim dobrym heroldem. Gdyby odkrył *mes goûts* i status Lolity, zainteresowałoby go to tylko o tyle, o ile rzuciłoby nieco światła na prostotę, z jaką doń się odnosiłem - bez cienia wymuszonej uprzejmości, ale i bez sprośnych przytyków; choć bowiem umysł miał bezbarwny, a pamięć zmaconą, mógł sobie zdawać sprawę, że wiem o nim więcej niżli mieszczanie z Beardsley. Ten sflaczały stary kawaler o smętnym obliczu z surowego ciasta zwęzał się wzwyż ku dwojgu wąskim, niezupełnie równym ramionom i stożkowatej gruszcze zamiast głowy, pokrytej z jednej strony gładką warstwą czarnych włosów, a z drugiej zaledwie paroma przyklejonymi pasmami. Za to od pasa w dół był olbrzymem i z dziwnie słoniową ukradkowością przemieszczał się na fenomenalnie masywnych nogach. Ubierał się zawsze na czarno, nawet krawat nosił czarny; rzadko się kąpał; jego angielszczyzna trąciła burleską. A mimo to powszechnie uchodził za niebywale uroczonego, uroczo zdziwaczałego jegomościa! Sąsiedzi go rozpieszczali; znał po imieniu wszystkich małych chłopców w okolicy (mieszkał o kilka ulic ode mnie), niektórym kazał zamiatać swój chodnik, palić liście na podwórku za domem i dźwigać drwa z komórki, a nawet zlecał im różne drobne prace domowe i dawał fikuśne czekoladki nadziewane prawdziwymi likierami - w zaciszu orientalnie urządzonej jamy w suterenie, na której zapleśniałych, w dywany zdobnych ścianach rozmieścił między zakamuflowanymi rurami z gorącą wodą zabawne sztylety i pistolety. Na piętrze miał pracownię - bo trochę malował, stary hochsztapler. Jej pochyłą ścianę (był to właściwie zwykły stryszek) udekorował wielkimi zdjęciami zadumanego André Gide'a, Czajkowskiego, Normana Douglasa, dwóch innych znanych pisarzy angielskich, Niżyńskiego (całego w udach i figowych listkach), Harolda D. Doublename'a (mglistookie-

go profesora o lewicowych poglądach, wykładowcy pewnego uniwersytetu na Środkowym Zachodzie) i Marcela Prousta. Miało się wrażenie, że wszyscy ci biedacy ze swojej pochyłości zaraz spadną człowiekowi na głowę. Zgromadził też cały album fotografii wszystkich Jacków i Dicków z sąsiedztwa, a ilekroć kartkując go, rzucałem jakąś zdawkową uwagę, sznurował tłuste usta i mruzczał, melancholijnie odęty:

- *Oui, ils sont gentils.* - Spojrzeniem piwnych oczu omiatał rozmaite sentymentalne i artystyczne rupiecie, jak również swoje własne banalne *toiles* (konwencjonalnie prymitywne octy, gitary w plasterkach, niebieskie sutki i geometryczne wzory, na które podówczas była moda), i wskazując niezdecydowanym gestem misę z malowanego drewna lub żyłkowany wazon, mówił:

- *Prenez donc une de ces poires. La bonne dame d'en face m'en offre plus que je n'en peux savourer.*

Albo:

- *Mississe Taille Lore vient de me donner ces dahlias, belles fleurs que j'exècre.* - (Pośepny, smutny, znużony światem).

Z oczywistych powodów wolałem u siebie niż u niego rozgrywać partie szachów, na które umawialiśmy się dwa, trzy razy w tygodniu. Przypominał starego, steranego bożka, gdy tak siedział z pulchnymi dłońmi na brzuchu, wpartzony w szachownicę jak w trupa. Przez dziesięć minut rzeził i rozmyślał - a potem wykonywał zgubny ruch. Albo po jeszcze dłuższym namyśle oświadczał, pocziwiec: *Au roi!* - a brzmiało to jak ospałe szczeknięcie starego psa, na tle jakiegoś gulgotu, od którego trzęsły mu się fafle; i z głębokim westchnieniem unosił łukowate brwi, kiedy zwracałem mu uwagę, że sam jest w szachu.

Gdy tak siedzieliśmy w mojej zimnej pracowni, słyszałem czasem tupot bosych stóp Lo, ćwiczącej różne techniki taneczne w salonie na dole; ale te spośród zmysłów Gasto-

na, które zwracały się ku światu zewnętrznemu, były mile przytępione, nie zauważał więc owych nagich rytmów – i-raz, i-dwa, i-raz, i-dwa, cały ciężar ciała na prostą prawą nogę, noga do góry i w bok, i-raz, i-dwa, i dopiero kiedy zaczynała skakać, robiąc rozkrok, ilekroć wzbijała się najwyżej, jak mogła, zginając jedną nogę, a drugą prostując, i fruując, aby wylądować na palcach - dopiero wtedy mój blady, pompatyczny, ponury przeciwnik gładził się po głowie albo po policzku, jakby brał ten daleki łoskot za echo straszliwych sztychów mej groźnej królowej.

Czasem Lo wchodziła leniwym krokiem, gdy tak kontemplowaliśmy szachownicę - i zawsze rozkosznie było popatrzeć, jak Gaston, nie odrywając słoniowych ócz od swoich figur, ceremonialnie wstaje i wita się, po czym wypuszcza z dłoni jej wiotkie palce i ani razu na nią nie spojrzawszy, zstępuje z powrotem w fotel, aby runąć prosto w potrzask, który nań zastawiłem. Pewnego dnia koło Bożego Narodzenia po mniej więcej dwutygodniowej przerwie w naszych spotkaniach spytał:

- *Et toutes vos fillettes, elles vont bien?* - z czego jasno wynikało, że pomnożył moją niepowtarzalną Lolitę przez liczbę kategorii kostiumowych, które złowił w dół zwróconym, chmurnym okiem w trakcie całego cyklu jej pojawień: przez dżinsy, spódnice, szorty, pikowany szlafrok.

Z najwyższą niechęcią tak się rozwodzę nad tym biedakiem (niestety rok później podczas podróży do Europy, skąd już nie wrócił, wplątał się w jakąś *sale histoire*, i to nie gdzie indziej, tylko w Neapolu!). Ledwie bym o nim wspomniał, gdyby jego egzystencja w Beardsley nie wiązała się w tak perwersyjny sposób z moją sprawą. Przytaczam jego przypadek na własną obronę. Bo z jednej strony był on - kompletne beztalencie, mierny nauczyciel, żaden uczony, nadaśany, odrażający, tłusty stary zboczeniec, który ze swoją wyniosłą wzdumą wobec amerykańskiego stylu życia

i triumfalną nieznajomością języka angielskiego siedział w kołtuńskiej Nowej Anglii, gdzie starzy się nad nim rozplęwali, a młodzi go pieścili - och, świetnie się bawił i wszystkich zwodził; a z drugiej strony byłem ja.

7

Czeka mnie teraz obrzydliwe zadanie: opis wyraźnego upadku moralnego Lolity. Choć jej udział w zapałach, które wzniecała, nigdy nie był zbyt wielki, to jednak czysty merkantylizm też nie wysuwał się na pierwszy plan. Ale ja byłem słaby, byłem niemądry, moja nimfięca uczenniczka miała mnie w saku. W miarę jak gasło człowieczeństwo między nami, namiętność, tkliwość i udręka tylko się nasilały; a ona zaczęła to wykorzystywać.

Jej tygodniówka, wypłacana pod warunkiem, że spełni swoje podstawowe obowiązki, wynosiła u zarania epoki beardsleyańskiej dwadzieścia jeden centów - aby pod koniec tego okresu urosnąć do dolara i pięciu centów. Był to układ więcej niż hojny, zważywszy że co chwila dostawała ode mnie najrozmaitsze drobne upominki i miała na każde zawołanie wszelkie słodczyce i filmy pod księżycem - choć oczywiście mogłem czule zażądać nadprogramowego pocałunku, a nawet całej wiązanki pieścizot, gdy wiedziałem, że bardzo pragnie jakiegoś instrumentu infantylnych igraszek. Nie była jednak łatwa we współżyciu. Swoje trzy centy dziennie - a potem trzy pięciocentówki - zarabiała bez najmniejszego zaangażowania; okazywała się też nieubłaganą negocjatorką, ilekroć miewała okazję odmówić mi pewnych zabójczych, dziwnych, sennie rajskich eliksirów, bez których potrafiłem przeżyć najwyżej kilka dni, nie mogłem zaś wydebić ich siłą, gdyż byłoby to sprzeczne z samą naturą miłosnej niespieszności. Świadoma mocy magicznej swych miękkich ust zdołała - w ciągu jednego roku szkol-

nego! - wywindować premię za smakoszowski uścisk do trzech, a w końcu i czterech dolarów. O, czytelniku! Nie śmieję się, wyobrażając sobie, jak rozciągnięty na szafocie rozkoszy gromko wydałam dziesięciocentówki i ćwierćdolarówki tudzież wielkie srebrne dolary, niby dźwiękliwa, hałaśliwa i do cna oszalała maszyna wymiotująca skarbami; a gdzieś na peryferiach tego ataku skocznej padaczki Lolita mocno ścisnęła garść monet w piastce, którą później gwałtem jej zresztą rozwierałem, chyba że zdążyła się wymknąć, czmychając w te pędy, żeby ukryć łup. I tak jak co drugi dzień krążyłem po całym terenie wokół szkoły, letargicznym krokiem robiłem obchód sklepów z napojami, zaglądałem w zamglone zaułki i między skurczami własnego serca a spadającymi liśćmi słuchałem uchodzącego śmiechu dziewcząt, tak też co jakiś czas wdzierałem się do jej pokoju, żeby przebadać podarte papiery z kosza na śmieci malowanego w róże i zajrzeć pod poduszkę na dziewiczym łóżku, które sam przed chwilą zaścieliłem. Pewnego razu w jednej z jej książek (nomen omen - w *Wyspie skarbów*) znalazłem osiem dolarowych banknotów, a kiedy indziej w dziurze w ścianie za *Matką Whistlera* odkryłem aż dwadzieścia cztery dolary i trochę drobnych - powiedzmy, dwadzieścia cztery sześćdziesiąt - które po cichu wyjąłem, wskutek czego nazajutrz rzuciła mi w twarz, że nieskazitelnie ucziwa pani Holigan jest wstrętną złodziejką. W końcu stanęła na wysokości swojego ilorazu inteligencji, znajdując bezpieczniejszą skrytkę, której nigdy nie wytropiłem; tymczasem jednak drastycznie obniżyłem ceny, kładąc jej mozolnie i aż do mdłości pracować na pozwolenie uczestnictwa w szkolnym kółku teatralnym; najbardziej bowiem bałem się nie tego, że mnie zrujnuje, lecz że uzbiera dość gotówki, aby uciec. To biedne dziecko o zajadłych oczach pewnie sobie ubrdało, że z pięćdziesięcioma zaledwie dolarami w portmonetce zdoła dotrzeć na Broadway

czy do Hollywoodu - albo do plugawej kuchni jakiegoś baru („potrzebna pomywaczka”) w którymś z przygnębiających stanów na niegdysiejszej prerii, gdzie wieje wiatr pełen mrugających gwiazd, jazd i zwad z żandarmem, a wszystko jest zbrukane, stargane, martwe.

8

Usiłowałem, Wysoki Sądzie, uporać się z problemem chłopców. O, czytałem nawet w „Beardsley Star” tak zwaną Rubrykę dla Nastolatków, żeby ustalić, jak winienem się zachować!

Rada dla ojców. Nie staraj się wypłoszyć kolegi swojej córki. Może trochę ci trudno zrozumieć, że zaczyna ona podobać się chłopcom. Dla ciebie wciąż jest małą dziewczynką. Lecz chłopcom wydaje się czarująca i zabawna, urocza i wesoła. Lubią ją. Dziś załatwiasz grubsze interesy w dyrektorskim gabinecie, ale jeszcze wczoraj byłeś Jimem z ogólniaka i odprowadzałeś do domu swoją Jane, niosąc jej książki. Pamiętasz? Nie chcesz, żeby teraz z kolei twoja córka cieszyła się podziwem i towarzystwem chłopców, którzy jej się podobają? Nie chcesz, żeby razem oddawali się zdrowym rozrywkom?

Zdrowym rozrywkom? Wielki Boże!

Czemu nie miałbyś traktować tych młodych ludzi jak gości w swoim domu? Czemu nie miałbyś z nimi czasem porozmawiać? Rozruszać ich, rozśmieszyć, żeby się poczuli swobodnie?

Wstąp no, chłopcze, z serca radzę, do mojego domu schadzek.

Jeśli córka złamie jakiś zakaz, nie wybuchaj gniewem w obecności współnika zbrodni. Niech twoje niezadowolenie skrupi się na niej, kiedy zostaniecie sami. I niech chłopcy przestaną wreszcie myśleć, że jest córką starego ludożercy.

Stary ludożerca przede wszystkim sporządził spis rzeczy „kategorycznie zabronionych”, a obok „niechętnie tolerowanych”. Kategorycznie zabronione były randki, sam na sam, we czworo i w sześcioro - bo na następnym etapie musiałyby oczywiście dojść do zbiorowej orgii. Lo mogła czasem wstąpić z koleżankami do cukierni, żeby popaplać i pochichotać z przypadkowo spotkaną młodzieżą męską, gdy ja czekałem w aucie, zachowując dyskretny dystans; obiecałem też, że jeśli towarzysko znośna grupa uczniów z Akademii Butlera dla Chłopców zaprosi jej klasę na coroczny bal (z liczną eskortą przyzwoitek, rzecz jasna), zgodzę się ewentualnie rozważyć kwestię, czy czternastoletnia dziewczynka może przywdziać swoją pierwszą „balówkę” (rodzaj sukni, w której chudorekie nastolatki wyglądają jak flamingi). Ponadto zobowiązałem się wydać u nas w domu przyjtko, na które pozwolę jej zaprosić co ładniejsze koleżanki i co miłszych chłopców, bo pozna ich przecież tymczasem na balu u Butlera. Nie miałem jednak cienia wątpliwości, że póki trwać będzie mój reżim, nigdy, przenigdy nie dam jej się wybrać do kina z młokosem w rui ani gruchać z nim w aucie, pójść do koleżanki na „prywatkę” z chłopcami czy poza zasięgiem mego słuchu rozmawiać z którymś z nich przez telefon, nawet „o tym, co zaszło między nim a jedną moją przyjaciółką”.

Lo była wściekła - wymyślała mi od parszywych szwindlarzy albo i gorzej - a ja pewnie straciłbym panowanie nad sobą, gdybym wkrótce nie stwierdził z błogą ulgą, że gniewa ją właściwie nie tyle utrata konkretnych satysfakcji, ile

ogólnego przywileju. Naruszałem, proszę sobie wyobrazić, pewien konwencjonalny program, zakłócałem przebieg sztamowych rozrywek, „tego, co się normalnie robi”, burzyłem rutynę młodości; nie ma bowiem większego konserwatysty niż dziecko, a zwłaszcza mała dziewczynka, nawet jeśli jest to najbardziej kasztanowa i rumiana, najbardziej mitopeiczna nimfetka osnuta mgiełką październikowych sadów.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie mogę być absolutnie pewien, że przez całą zimę nigdy nie zdołała przelotnie nawiązać nieodpowiednich kontaktów z nieznanymi młodymi osobnikami; choćbym nie wiedzieć jak ścisły nadzór roztoczył nad jej rekreacją, oczywiście raz po raz zdarzały się nieusprawiedliwione szczeliny chronologiczne, zatykane po fakcie przesadnie skomplikowanymi wyjaśnieniami; a szczerbaty szpon mojej zazdrości oczywiście raz po raz wiązał w finezyjnych falbankach nimfięcego fałszu; ale wyraźnie czułem - i dziś także gotów jestem ręczyć za trafność tej intuicji - że nie ma poważnego powodu do niepokoju. Miałem to poczucie bynajmniej nie dlatego, że pomiędzy męskimi niemowami przemykającymi się gdzieś w tle nigdy nie zauważyłem namacalnie twardej, młodej gardzieli do zmiżdżenia; było jednak dla mnie „nieprzepraczone wido-czne” (ulubione wyrażenie ciotki Sybil), że wszystkie odmiany licealistów - od spoconego fajtlapy, którego ekscytuje „trzymanie się za ręce”, aż po samowystarczalnego gwałciciela z krostami i podrasowanym silnikiem auta – jednakowo nudzą moją wyrefinowaną, acz młodą kochankę. „Od całego tego gadania o chłopakach tylko mnie mdli”, nabazgrała na wewnętrznej stronie okładki podręcznika, pod spodem zaś widniało napisane ręką Mony (Mona lada chwila się pojawi) chytre pytanie: „A Rigger?” (też spodziewany).

Nie mają więc twarzy ci koleżkowie, których widywałem w jej towarzystwie. Na przykład Czerwony Sweter: pewnego dnia, akurat kiedy spadł pierwszy śnieg, odprowadził ją pod dom; patrzyłem z okna salonu, jak rozmawiają w pobliżu naszej werandy. Miała na sobie swój pierwszy sukieny płaszcz z futrzanym kołnierzem; brązową czapeczką nakryła moją faworytną fryzurę - z przodu grzywka, po bokach wir pukli, z tyłu naturalne loki - a pociemniałe od wilgoci mokasyny i białe skarpetki wyglądały niechlujniej niż kiedykolwiek. Jak zwykle przyciskała książki do piersi, mówiąc i słuchając na przemian, a jej stopy bez przerwy gestykulowały: czubkiem prawej przydeptywała podbicie lewej, cofała prawą, krzyżowała obie, lekko się kiwała, szkicowała parę kroków i zaczynała cały cykl od początku. Był też niejaki Skafander: w któreś niedzielne popołudnie rozmawiał z nią przed restauracją, a jego matka i siostra usiłowały mnie odciągnąć pod pozorem pogawędki; wlokłem się z nimi, oglądając się za swoją jedyną miłością. Lo przejęła tymczasem wiele konwencjonalnych póz, takich jak ten nastoletni nakaz uprzejmości, zgodnie z którym, aby pokazać, że się dosłownie pęka ze śmiechu, należy pochylić głowę, toteż (czuła bowiem mój zew) nie przestając udawać przemożnego rozbawienia, przeszła tyłem kilka kroków, a potem zrobiła zwrot i ruszyła ku mnie z blaknącym uśmiechem. Bardzo natomiast lubiłem - może dlatego, że mi to przypominało jej pierwsze niezapomniane wyznanie - kiedy wzdychała „ojjku!” na znak żartobliwie melancholijnej uległości wobec losu, a także inną sztuczkę: przeciągłe „nie-e” wypowiedane z głębokim pomrukiem, prawie warcotem, kiedy karząca dłoń przeznaczenia rzeczywiście spadała. Nade wszystko - skoro już mowa o ruchu i młodości - lubiłem patrzeć, jak pomyka pod górę i w dół Thayer Street na swoim pięknym młodym rowerze: stawiała na pedałach, kręcąc nimi lubieżnie, i znów opadała na siodełko w omdle-

wajęcej pozie, póki rower nie wytracił rozpędu; potem zatrzymywała się przy naszej skrzynce na listy i nie zsiadając, kartkowała czasopismo, które przyszło pocztą, odkładała je z powrotem i przycisnąwszy czubek języka skosem do górnej wargi, odpychała się nogą, aby znowu pomknąć przez błady cień i słońce.

W sumie wydawała się lepiej przystosowana do otoczenia, niż się spodziewałem, zważywszy, że zeszłej zimy w Kalifornii moja zepsuta niewolniczka naiwnie podzwaniała manelami istic menelickich manier. Choć nigdy nie zdołałem przywyknąć do ustawicznego niepokoju, z którym żyć muszą winowajcy, ludzie wielcy, tkliwe serca, czułem, że wspinam się na wyżyny mimikry. Leżąc w wąskim rozsuwanym łóżku w swojej pracowni po seansie adoracji i rozpacz w zimnej sypialni Lolity, dokonywałem obrachunku zakończzonego dnia, czyli patrzyłem, jak moja własna postać nie tyle przechodzi, ile skrada się przed czerwonym okiem mej wyobraźni. Widziałem, jak czarniawy, przystojny doktor Humbert, trudno przysiąc, że nie Celt, zapewne prawomyślny, może nawet skrajnie prawomyślny anglikanin, odprowadza córkę do szkoły. Widziałem, jak leniwym uśmiechem i miłym uniesieniem gęstych, czarnych brwi jakby z afisza wita pocziwą panią Holigan, która zalatuje comiesięczną plagą (i przy pierwszej okazji, o czym doskonale wiedziałem, sięgnie po dżin chlebowadcy). Okiem pana Zachodniego, emerytowanego kata, a może autora traktatów religijnych - co za różnica? - obserwowałem sąsiada jak-mu-tam, to chyba Francuzi albo Szwajcarzy, gdy rozmyśla nad maszyną do pisania w szczerym oknie swojej pracowni, ukazując nieco wychudły profil z nieledwie hitlerowskim kosmykiem na bladym czole. Podczas weekendów widywano Profesora H. w dobrze skrojonym płaszczu i brązowych rękawiczkach, kiedy wraz z córką szedł spacerkiem do Zajazdu Waltona (słynącego z porcelanowych

króliczków przewiązanych fiołkowymi kokardkami i z bombonierek, wśród których siadywało się, czekając na „stolik dla dwojga”, wciąż jeszcze zapapranymi okruszkami po poprzedniku). W dni powszednie można było zobaczyć, jak koło pierwszej po południu, godnie pozdrawiając argusooki Wschód, wyprowadza auto z garażu, omija przeklęte zimozielone krzaki i wyjeżdża na śliską ulicę. Albo jak przenosi zimne spojrzenie z książki na zegar w nieznośnie wręcz dużej bibliotece żeńskiego college’u, pośród okazałych młodych kobiet, które uwięzły i skamieniały, przytłoczone zalewem ludzkiej wiedzy. Na przechadzce między budynkami uczelni z jej duszpasterzem, Wielebnym Riggerem (który miał także wykłady o Biblii w szkole Lolity). „Podobno jej matka była sławną aktorką i zginęła w katastrofie lotniczej. Nie? Zapewne się przestyszałem. Doprawdy? Rozumiem. Jakie to smutne”. (Idealizujemy matkę, co?). I gdy wolno przepycham swój wózek przez labirynt supermarketu tropem Profesora W., również powolnego, łagodnego wdowca o capich ślepiach. Albo odgarniam śnieg, w samej koszuli, z wielkim czarno-białym szalem na szyi. Nie okazując zachłannego pośpiechu (nie szkoda mi nawet czasu, żeby wytrzeć buty), wchodzę za swoją rodzoną uczenniczką do domu. Zawożę Dolly do dentysty - śliczna pielęgniarka na jej widok promiennie się uśmiecha - stare czasopisma - *ne montrez pas vos zambes*. Podczas wspólnej z Dolly kolacji w lokalu widziano, jak pan Edgar H. Humbert jadł stek sposobem europejskim, czyli nożem i widelcem. Dubeltowo zasłuchani w koncert: dwaj ukojeni Francuzi o marmurowych twarzach siedzą ramię w ramię, muzykalna dziewczyneczka pana H. H. na prawo od ojca, a muzykalnego chłopczyka Profesora W. (ojciec dla higieny spędza weekend w Providence) ma na lewo od siebie Monsieur G. G. Przy otwieraniu garażu kwadrat światła ogarnia auto i gaśnie. W kolorowej piżamie, szarpiąc w dół roletę w sy-

pialni Doily. W sobotę rano nie widziano, jak w łazience z namaszczeniem ważę zimoblądą panienkę. W niedzielę rano widziano i słyszano - czyli jednak nie taki znów poubożny - jak mówię: nie wracaj za późno - do Dolly, która właśnie wybiera się na kryty kort. I jak wpuszczam jej dziwnie spostrzegawczą koleżankę:

- Wie pan, jeszcze nigdy nie widziałam mężczyzny w podomce, no chyba że na filmie.

9

Jej koleżanki, które tak pragnąłem poznać, w sumie sprawiły mi zawód. Nazywały się Opal Jakaśtam, Linda Hall, Avis Chapman, Eva Rosen i Mona Dahl (wszystkie te nazwiska prócz jednego podaję oczywiście w przybliżeniu). Opal - nieśmiała, bezkształtna, pryszczata istota w okularach - nadskakiwała Dolly, a ta nią pomiatała. Z Lindą Hall, szkolną mistrzynią tenisa, Dolly przynajmniej dwa razy na tydzień staczała pojedynek: podejrzewam, że Linda była autentyczną nimfetką, lecz z nieznanym mi powodów nigdy nie przychodziła - a może jej nie puszczano - do nas do domu; pamiętam ją więc tylko jako przebłysk naturalnego słońca na krytym korcie. Z pozostałych żadna nie mogła rościć sobie pretensji do nimfięctwa - z wyjątkiem Ewy Rosen. Avis była pulchnym, poziomym dzieckiem o owłosionych nogach, a Mona, choć ładna w wulgarnie zmysłowy sposób i zaledwie o rok starsza od mojej starzejącej się kochanki, oczywiście dawno już przestała być nimfetką, jeśli kiedykolwiek nią była. Natomiast Eva Rosen, mała uchodźczyni z Francji, stanowiła dobry przykład dziecka, u którego mimo braku uderzającej urody przenikliwy amator dostreże podstawowe elementy nimfięcego czaru, takie jak idealna figura pokwitającego dziewczęcia, powłóczyste spojrzenie i wystające kości policzkowe. Jej lśniące mie-

dziane włosy były nie mniej jedwabiste od włosów Lolity, a rysy delikatnej mlecznobiałej twarzy o różowych ustach i rzęsach jak rybiki cukrowe miały mniej lisi wyraz niż u jej krewniaczek z wielkiego klanu jednorasowych rudzielców; nie paradowała też w ich zielonym mundurku, ale lubiła, tak jak ją pamiętam, rzeczy czarne lub ciemnowiśniowe - na przykład bardzo szykowny czarny sweter i czarne buty na wysokich obcasach, a do tego paznokcie lakierowane intensywną czerwieńią. Rozmawiałem z nią po francusku (czemu Lo była wyraźnie niechętna). Intonację wciąż jeszcze miała zadziwiająco czystą, lecz opowiadając o szkole albo o jakichś dziecinnych zabawach, przechodziła na potoczny amerykański i wtedy w jej wymowie pobrzmiwał lekki akcent z Brooklynu, dość komiczny u Paryżaneczki, która chodziła do snobistycznej nowoangielskiej szkoły o rzekomo brytyjskich aspiracjach. Niestety, choć „wujek tej małej Francuzki” był „milionerem”, Lo nie wiedzieć czemu zrezygnowała z Evy, nim zdążyłem nacieszyć się na swój skromny sposób jej wonną obecnością w otwartym domu Humbertów. Czytelnik wie, jaką przywiązywałem wagę do tego, żeby moją Lolitę otaczał dwór nimfetek, żywych nagród pocieszenia. Przez chwilę próbowałem zainteresować swoje zmysły Moną Dahl, która często u nas bywała, zwłaszcza w semestrze wiosennym, kiedy ona i Lo zapałyły takim entuzjazmem do teatru. Często zastanawiałem się, jakież to sekrety Dolores Haze, przeokropna zdrayczyni, wyjawiała przyjaciółce, zanim pod wpływem mych natrętnych i sownie opłaconych próśb odsłoniła przede mną doprawdy niewiarygodne szczegóły nadmorskiego romansu Mony z żołnierzem. Bardzo to było dla niej typowe, że na najbliższą kumę wybrała sobie akurat tę elegancką, zimną, rozwiązań, doświadczoną kobietkę, która - sam sły-szałem (choć Lolita przysięgała, że się właśnie p r z e - s ł y s z a ł e m) - pewnego razu radośnie rzekła w hallu do

Lo, gdy ta powiedziała, że ma sweter z dziewiczej wełny: „I nic prócz swetra, dzidziu...”. Mona miała dziwnie ochryply głos, matowe ciemne włosy z lekką trwałą, kolczyki w uszach, wypukłe bursztynowe oczy i lubieżne usta. Nauczyciele - twierdziła Lo - ganili ją za to, że tak się obwiesza tanią biżuterią. Drżały jej ręce. Dźwigała brzemię stu pięćdziesięciu punktów ilorazu inteligencji. Wiem też, że miała duże czekoladowe znamię na całkiem już kobiecych plecach, które dokładnie obejrzałem tego wieczoru, gdy ona i Lo ubierając się na tańce w Akademii Butlera włożyły pastelowe, mgławicowe sukienki z głębokimi dekolcami.

Trochę uprzedzam fakty, ale nic na to nie poradzę, że moja pamięć ugania się po całej klawiaturze tamtego roku szkolnego. Kiedy próbowałem dociekać, jakich właściwie chłopców zna Lolita, panna Dahl odpowiedziała z wymijającą elegancją. Lo przy tym nie było, bo pojechała grać w tenisa w klubie Lindy i zawiadomiła mnie przez telefon, że może się spóźnić z powrotem nawet i pół godziny, więc czybym nie zabawił Mony, która przyjdzie poćwiczyć z nią jedną scenę z *Poskromienia złościcy*. Posługując się wszelkimi dostępnymi modulacjami, całą urokliwością manier i głosu, jaką potrafiła z siebie wykrzesać, a zarazem patrząc na mnie - czyżbym się mylił? - z lekkim jakby błyskiem krystalicznej ironii, piękna Mona odpada:

- Wie pan co, Dolly nie bardzo obchodzą jacyś tam sobie chłopcy. Właściwie to jesteście rywalkami. Obie zabujałyście się w Wielebnym Riggerze.

(Był to żart - wspomniałem już przecież o tym ponurym olbrzymie z końską szczęką: omal go nie zamordowałem, kiedy zaczął mnie zanudzać wrażeniami ze Szwajcarii na herbatce dla rodziców, której nie potrafię umiejscowić w czasie).

Jak się udał bal? O, fantastiko. Jak? Szał ciał. Krótko mówiąc, było ekstra. Czy Lo dużo tańczyła? Nie, niespecja-

Inie, tylko tyle, ile mogła wytrzymać. A jakiego zdania jest ona, omdlewająca Mona, o Lolicie? Co proszę? Czy Lo razi sobie w szkole? Oj, jasne, przecież to superdziewczyna. Ale jej ogólne zachowanie...? O, Lo jest w deseczku. A jednak?

- Och, jest słodka - podsumowała Mona, z nagłym westchnieniem sięgnęła po książkę, która akurat leżała pod ręką, zmieniła minę, sztucznie marszcząc brwi, i oświadczyła:

- Nie daje mi spokoju ten cały Ball Zack. Jak pan uważa, rzeczywiście jest taki dobry?

Przysunęła się tak blisko mojego fotela, że przez wszystkie płyny i kremy wyczułem nieciekawy zapach jej skóry. Nagle dźgnęła mnie dziwaczna myśl: czyżby moja Lo bawiła się w stręczycielkę? Jeśli tak, to wybrała nieodpowiednią zmienniczkę. Unikając chłodnego spojrzenia Mony, przez minutę mówiłem o literaturze. A potem zjawiała się Dolly - i z jasnych oczu zrobiły jej się szparki, kiedy na nas spozrzała. Oddaliłem się, zostawiając przyjaciółkom pełną swobodę ruchów. Na zakręcie schodów jeden z kwadratów w zapamiętanym okienku wypełniała rubinowa szybka i ta rana zionąca wśród neutralnych prostokątów, w dodatku asymetryczna - o skok konikiem szachowym od górnej krawędzi - zawsze mnie dziwnie niepokoiła.

10

Czasem... Bez żartów, właściwie jak często, Bert? Pamiętasz cztery, pięć, więcej takich okazji? A może żadne ludzkie serce nie wytrzymałoby dwóch czy trzech? Czasem (nie znajduję odpowiedzi na twoje pytanie), kiedy Lolita zrywami odrabiała lekcje, ssąc ołówki, przewieszona bokiem przez fotel, z nogami w poprzek poręczy, wyzywałem się całej pedagogicznej powściągliwości, machałem ręką na wszystkie nasze kłótnie, zapominałem o męskiej du-

mie - i dosłownie pełzłem na kolanach do twego fotela, moja Lolito! Rzuciłaś mi jedno spojrzenie - podobne do szarego, puchatego znaku zapytania: „Znowu? Oj, nie” (niedowierzenie, irytacja); bo nigdy nie raczyłaś uwierzyć, że mogę bez konkretnych zamiarów pragnąć twarz wtulić w twoją kraciastą spódnicę, kochanie! Kruchość twych gołych ramion - jakże pragnąłem objąć je, spowić uściskiem wszystkie cztery kształtne, kryształowe członki, zwinąć cię jak źrebie, wziąć twoją głowę w niegodne dłonie, odciągnąć do tyłu skórę na obu skroniach, ucałować schińszczone oczy i... „O Jezu, daj mi wreszcie spokój - mawiałaś. - Błagam cię, daj mi spokój”. Wstawałem więc z podłogi, a ty patrzyłaś na mnie i z rozmysłem udając, że kurcz wykrzywia ci twarz, przedrzeźniałaś mój *tic nerveux*. Ale mniejsza o to, mniejsza o to, bydlę ze mnie i tyle, mniejsza o to, snujmy dalej moją nieszczęsną opowieść.

11

W któreś poniedziałkowe przedpołudnie, chyba w grudniu, Pratt zaprosiła mnie na rozmowę. Ostatnie świadectwo Dolly było marne, owszem. Zamiast jednak zadowolić się tym prawdopodobnym przecież rozstrzygnięciem zagadki nagłego wezwania, zacząłem sobie wyobrażać najrozmaitsze okropności i musiałem wzmocnić się dzbankiem „dżi-nanasa”, nim odważyłem się stawić czoło rozmówczyni. Czując, że mam jabłko Adama, serce i nic więcej, wolno wszedłem po schodach na szafot.

Ogromny babsztyl, stara flądra o stalowych włosach, szerokim płaskim nosie i małych oczkach widocznych przez okulary w czarnej oprawce...

- Proszę siadać - powiedziała, wskazując mi upokarzająco cywilny puf, sama zaś z monumentalną żwawością przycupnęła na poręczu dębowego fotela. Przez parę chwil wpa-

trywała się we mnie z zaciekawionym uśmiechem. Pamiętałem, że tak samo zachowywała się przy pierwszym spotkaniu, wtedy jednak stać mnie było na to, by w odpowiedzi łypnąć spode łba. W końcu spuściła mnie z oka. Pograżyła się w zadumie - pewnie udawanej. Bliska decyzji, chwyciła oburącz rąbek spódnicy z ciemnoszarej flaneli i zaczęła pocierać fałdą o fałdę, żeby usunąć ślad kredy czy inną plamę. Nie przestając trzeć, nie patrząc na mnie rzekła:

- Spytam bez ogródek, panie Haze. Jest pan staroświeckim ojcem w europejskim stylu, prawda?

- Ależ skąd - odpadem. - Może konserwatywnym, zgoda, ale żeby aż staroświeckim, tego nie da się o mnie powiedzieć.

Westchnęła, zmarszczyła brwi, klasnęła w wielkie pulchne dłonie, jakby mówiła: „przejdźmy nareszcie do rzeczy!” - i znów utkwiała we mnie spojrzenie oczu jak paciorki.

- Dolly Haze - powiedziała - to urocze dziecko, ale zdaje się, że nie bardzo sobie radzi z raptownym dojrzewaniem seksualnym.

Lekko się skłoniłem. Bo i cóż miałem począć?

- Wciąż jeszcze balansuje - panna Pratt podniosła ręce upstrzone wątrobianymi plamami i zademonstrowała to balansowanie - między analną a genitalną strefą rozwoju. W sumie jest uroczym...

- Najmocniej przepraszam - wtrąciłem. - Między czym a czym?

- I tu właśnie odzywa się w panu staroświecki Europejczyk!

- zawołała Pratt, delikatnie stukając w mój zegarek i zniehacka odslaniając uzębienie. - Chcę tylko powiedzieć, że u Dolly popędy biologiczne - pali pan? - nie scalały się jeszcze z psychologicznymi, nie ułożyły się, by tak rzec, w okrągłą formę. - Przez chwilę trzymała w rękach niewidzialny melon. - Jest ładna, zdolna, choć niedbała. - (Ciężko dysząc, nie schodząc z grędy, zrobiła pauzę, żeby spojrzeć

na świadectwo semestralne uroczego dziecka, leżące na biurku po jej prawicy). - Stopnie ma coraz gorsze. Zastanawiam się, panie Haze... - Znów ten fałszywy namysł. - No cóż - podjęła z żarem. - Jeśli o mnie idzie, to owszem, palę, i - jak mawiał nasz drogi doktor Pierce - nie napawa mnie to dumą, ale daje kupę frajdy. - Zapaliła, a dym, który buchnął jej z nozdrzy, przypominał dwa słoniowe kły. - Zapoznam pana z paroma szczegółami, zajmie nam to tylko chwilę. Niech no spojrzę [grzebiąc w papierach]. Zachowuje się wyzywająco wobec panny Redcock i z nieznośną bezczelnością wobec panny Cormorant. O, mam tu wyniki jednej z naszych specjalnych ankiet: Lubi śpiewać z resztą klasy podczas lekcji, chociaż wydaje się roztargniona. Zakłada nogę na nogę i kiwa lewą stopą do taktu. Najbardziej charakterystyczne słownictwo: obszar dwustu czterdziestu dwóch wyrazów z najpospolitszego slangu tej grupy wiekowej, w oprawie pewnej liczby słów wielosylabowych najwyraźniej europejskiego pochodzenia. W czasie lekcji często wzdycha. Moment. Tak. Wchodzimy w ostatni tydzień listopada. W czasie lekcji często wzdycha. Zaciekle żuje gumę. Nie obgryza paznokci, choć gdyby obgryzała, bardziej by to pasowało do ogólnej tendencji - z naukowego punktu widzenia, rzecz jasna. Cykl miesięczkowy, jak sama twierdzi, od dawna uregulowany. Nie należy obecnie do żadnej organizacji religijnej. Nawiasem mówiąc, panie Haze, jej matka była...? Ach, rozumiem. A pan jest...? W końcu to sprawa Pana Boga, a nam nic do tego. Jeszcze jedno chcieliśmy wyjaśnić. Jak rozumiem, Dolly nie ma żadnych stałych obowiązków domowych. Chowa ją pan na księżniczkę, panie Haze? Co my tu jeszcze mamy? Ładnie obchodzi się z książkami. Miły głos. Dość często chichocze. Trochę buja w obłokach. Specyficzne poczucie humoru, na przykład zamienia miejscami pierwsze litery w nazwiskach niektórych nauczycielek. Włosy jasno- i ciemnobrązowe,

lśniące - no [śmiech], ale o tym to pan chyba dobrze wie. Nos drożny, stopy prawidłowo wysklepione, oczy - niech no spojrzę, miałam tu gdzieś jeszcze świeższe sprawozdanie. O, jest. Panna Gold twierdzi, że Dolly gra w tenisa nawet bardziej stylowo niż Linda Hall i zasługuje na ocenę celująco-nienaganną, natomiast jeśli idzie o koncentrację i grę na punkty, jest zaledwie słabo-dostateczna. Panna Cormorant nie potrafi zdecydować, czy Dolly panuje nad emocjami w wyjątkowym stopniu, czy też wcale. Panna Horn melduje, że nie umie ona - czyli Dolly - zwerbalizować własnych emocji, podczas gdy zdaniem panny Cole mała ma nadzwyczaj wprost sprawny metabolizm. Panna Molar uważa, że Dolly cierpi na krótkowzroczność i powinna zgłosić się do dobrego okulisty, lecz panna Redcock utrzymuje, jakoby dziewczynka symulowała wysilanie wzroku, żeby mieć czym usprawiedliwić trudności w nauce. Kończąc temat, panie Haze, nasi specjaliści zastanawiają się nad pewną naprawdę kluczową sprawą. W związku z tym muszę pana o coś spytać. Ciekawa jestem, czy pańska biedna małżonka, pan sam albo inny członek rodziny - jak rozumiem, Dolly ma w Kalifornii kilka ciotek i dziadka ze strony matki? - ach, miała! - najmocniej przepraszam - w każdym razie wszystkim nam nasuwa się pytanie, czy ktoś z krewnych pouczył Dolly, jak przebiega proces reprodukcji u ssaków. Ogólne wrażenie jest takie, że piętnastoletnia Dolly wykazuje chorobliwy brak zainteresowania sprawami płci, a mówiąc ściślej, tłumi ciekawość, żeby ocalić swoją niewiedzę i poczucie godności. Niech będzie - czterastoletnia. Widzi pan, panie Haze, my tu w naszej szkole nie jesteśmy zwolennikami pszczołek i kwiatków, bocianów i papużek nierozłączek, kładziemy natomiast wielki nacisk na to, żeby przygotować uczennice do wzajemnie satysfakcjonującego współżycia i wychowywania udanych dzieci. Mam wrażenie, że Dolly mogłaby poczynić świet-

ne postępy, gdyby tylko ruszyła głową. Znamienny pod tym względem jest raport panny Cormorant. Dolly bywa, mówiąc oględnie, zuchwała. Wszyscy jednak mamy wrażenie, że powinien pan - *primo*, zażądać, aby lekarz rodzinny ją uświadomił, a *secundo*, pozwolić jej spędzać czas z braćmi koleżanek w klubie młodzieżowym, w organizacji doktora Riggera lub w miłych domach naszych rodziców.

- Wolno jej spotykać się z chłopcami we własnym miłym domu - odpadem.

- Mam nadzieję - rażno rzekła Pratt. - Kiedy pytaliśmy, jakie ma kłopoty, nie chciała mówić o sytuacji domowej, ale porozmawialiśmy z paroma jej przyjaciółkami i doprawdy... uważamy na przykład, że koniecznie musi pan cofnąć zakaz udziału w kółku teatralnym. Po prostu musi pan pozwolić jej zagrać w *Łownych zaklinaczach*. Przy pierwszej przymiarce była wręcz idealną nimfeczką, a gdzieś na wiosnę sama autorka spędzi kilka dni w żeńskim college'u i może będzie na paru próbach w naszym nowym audytorium. No bo przecież między innymi takie rzeczy są źródłem radości życia, radości z tego, że jest się piękną i młodą. Musi pan zrozumieć...

- Zawsze mi się zdawało - wtrąciłem - że jestem bardzo wyrozumiałym ojcem.

- Ależ tak, niewątpliwie, lecz panna Cormorant uważa, ja zaś skłonna jestem z nią się zgodzić, że Dolly ma obsesję na punkcie seksu i nie znajdując dla niej ujścia, wyśmiewa i dręczy inne dziewczynki, a nawet co młodsze nauczycielki, za ich niewinne randki z chłopcami.

Wzruszyłem ramionami. Wyszarzały *émigré*.

- Wspólnie się zastanówmy, panie Haze. Co też może temu dziecku dolegać?

- Mnie tam wydaje się całkiem normalna i zadowolona z życia - powiedziałem (czyżby wreszcie katastrofa? zdemaskowano mnie? ściągnęli tu jakiegoś hipnotyzera?).

- Co mnie niepokoi - rzekła panna Pratt, spoglądając na zegarek i zaczynając od początku wałkować temat - to fakt, że zarówno nauczycielki, jak i koleżanki stwierdzają u Dolly wrogość, frustrację, skrytość... i wszyscy się zastanawiają, czemu jest pan tak stanowczo przeciwny wszelkim naturalnym rozrywkom normalnego dziecka.

- Ma pani na myśli igraszki seksualne? - spytałem zaważdiacko, z rozpaczą: osaczony stary szczur.

- Miło mi słyszeć tę cywilizowaną terminologię - z szerokim uśmiechem odrzekła Pratt. - Ale niezupełnie o to idzie. Pod auspicjami naszej szkoły teatr, tańce i inne naturalne zajęcia nie są, technicznie rzecz biorąc, igraszkami seksualnymi, choć owszem, dziewczynki stykają się przy tych okazjach z chłopcami, jeśli to właśnie budzi pański opór.

- No dobrze - powiedziałem, a mój puf westchnął ze znużeniem. - Wygrała pani. Pozwolę jej wystąpić w tej sztuce. Pod warunkiem, że postaci męskie będą rolować dziewczynki.

- Zawsze mnie fascynuje - odparła Pratt - to, w jak zdumiewający sposób cudzoziemcy - a przynajmniej naturalizowani Amerykanie - posługują się naszym bogatym językiem. Jestem pewna, że panna Gold, która prowadzi kółko teatralne, bardzo się ucieszy. Zauważyłam, że jako jedna z nielicznych nauczycielek dosyć lubi - chciałam powiedzieć: radzi sobie z Dolly. No, to chyba uporaliśmy się z kwestiami ogólnymi; a teraz kolej na pewien szczególny temat. Czyli znowu mamy problem.

Urwała zadzierzyście i potarła palcem wskazującym przegrodę nosową z takim wigorem, że cały nos wykonał coś w rodzaju tańca wojennego.

- Jestem osobą szczerą - zaczęła - ale konwenans pozostaje konwenansem, więc niełatwo mi... Postawmy sprawę w ten sposób. .. Walkerowie, którzy mieszkają w tak zwanym tutaj Książęcym Dworze... wie pan, to ten wielki szary dom

na wzgórzu - posyłają do naszej szkoły swoje dwie dziewczynki, mamy tu też bratanicę prezesa Moore'a, dziecko doprawdy kulturalne, że nie wspomnę dzieci paru innych znakomitości. W tej sytuacji jest to spory szok, kiedy Dolly, z wyglądu mała dama, używa wyrazów, których pan jako cudzoziemiec pewnie po prostu nie zna albo nie rozumie. Może lepiej by było... Czy chciałby pan, żebym kazała Dolly przyjść tu i wziąć udział w rozmowie? Nie? Widzi pan... och, dość tego owijania w bawełnę. Otóż Dolly napisała strasznie nieprzyzwoite słowo na cztery litery - jak twierdzi nasz doktor Cutler, jest to wulgarnie meksykańskie określenie pisuaru - nabazgrała je szminką na ulotkach zdrowotnych, kiedy panna Redcock, która w czerwcu wychodzi za mąż, rozdała je dziewczynom, uznaliśmy więc, że powinna zostać po lekcjach... jeszcze przynajmniej pół godziny. Ale jeśli chciałby pan...

- Nie - odpadem. - Nie chcę, żeby z mojego powodu łamały zasady. Później z nią pomówię. Już ja jej to wybije z głowy.

- Słusznie - rzekła kobieta, wstając z poręczy fotela. - I może za jakiś czas znów się spotkamy, a jeśli sytuacja się nie poprawi, moglibyśmy poprosić doktora Cutlera, żeby poddał Dolly psychoanalizie.

Czy powinienem ożenić się z Pratt i ją udusić?

- ... I może pański lekarz rodzinny zechce zbadać jej stan fizyczny, mam na myśli całkiem rutynowe badanie. Dolly siedzi w Salamandrze - to klasa na samym końcu korytarza.

Szkoła w Beardsley, warto może wyjaśnić, wzorem pewnej słynnej angielskiej szkoły dla dziewcząt nadawała poszczególnym salom „tradycyjne” przydomki: Sala Mandra, Sala Mina, Sala Da, Mar Sala i tak dalej. W lepkiej Salamandrze wisiła nad tablicą sepiowa reprodukcja „Wieku niewinności” Reynoldsa i stało parę rzędów niezgrabnych ławek. W jednej z nich moja Lolita czytała rozdział „Dia-

log” z *Techniki teatralnej* Bakera, i było całkiem cicho, a jakaś druga dziewczynka o bardzo nagiej, porcelanowobiałej szyi i cudownych platynowych włosach siedziała z przodu, też zajęta lekturą, stracona dla świata, i bez końca nawijała miękki pukiel na palec, usiadłem więc obok Dolly, mając tuż przed sobą ten kark i te włosy, rozpiąłem płaszcz i za sześćdziesiąt pięć centów oraz zezwolenie na udział w szkolnym teatryku kazałem jej wsunąć pod pulpit spierzchniętą dłoń, powalaną atramentem i kredą. Owszem, była to z mojej strony idiotyczna fanfaronada, lecz po torturach, jakim mnie poddano, po prostu nie mogłem nie wykorzystać kombinacji, o której wiedziałem, że nigdy się nie powtórzy.

12

W okolicach Gwiazdki nabawiła się paskudnego przeziębienia, więc przysłała ją zbadać przyjaciółka panny Lester, doktor Ilse Tristramson (serwus, Ilse, byłaś kochana, taka dyskretna, i bardzo delikatnie dotykałaś mojej gołębiczki). Stwierdziła bronchit, poklepała Lo po plecach (na których od gorączki zdębiał cały puszek) i położyła ją do łóżka na tydzień albo i dłużej. Z początku pacjentce „skoczyła temperatura”, jak mawiają Amerykanie, a ja nie mogłem oprzeć się pokusie, tak nęciła mnie nadzwyczajna kaloryczność nieoczekiwanych rozkoszy - *Venus febriculosa* - choć Lo omdlewała mi w ramionach, jęcząc, kaszląc i dygocząc. A gdy tylko wróciła do zdrowia, wydałem Prywatkę z Chłopcami.

Niewykluczone, że trochę za wiele wypilem, szykując się do tej męki. Niewykluczone, że zrobiłem z siebie durnia. Dziewczynki ubrały i podłączyły do prądu małą jodełkę - niemieckim zwyczajem, tyle że kolorowe żarówki zajęły miejsce świeczek. Wybrano odpowiednie płyty i nabitó ni-

mi gramofon mojego gospodarza. Elegancka Dolly miała na sobie ładną szarą sukienkę z dopasowanym stanikiem i rozkloszowaną spódnicą. Nucąc pod nosem, wycofałem się na piętro, do pracowni, a potem jak skończony dureń co dziesięć, dwadzieścia minut schodziłem na dół - ot, na parę sekund, niby po to, żeby wziąć fajkę z gzymsu nad kominem albo poszukać gazety; z każdą kolejną wizytą te proste czynności sprawiały mi więcej trudu i powracało wspomnienie straszliwie odległych dni z Ramsdale, kiedy zbierałem się w sobie, zanim nonszalancko wszedłem do pokoju, w którym grała płyta z *Matą Carmen*.

Prywatka się nie udała. Jedna z trzech zaproszonych dziewczynek nie przysłała, a jeden z chłopców przyprowadził swojego kuzyna Roya, było więc o dwóch za dużo, kuzyni znali wszystkie kroki, a pozostali prawie w ogóle nie umieli tańczyć, toteż większość wieczoru spędzono, bawąc się w kuchni, a potem spierając się bez końca, jaką wybrać grę w karty, a jeszcze później dwie dziewczynki siedziały z czterema chłopcami w salonie na podłodze przy pootwieranych oknach i cała szóstka grała w grę słowną, której zasad Opal nijak nie potrafiła zrozumieć, podczas gdy Mona i Roy, szczupły przystojny chłopak, pili imbirowe piwo, siedząc na kuchennym stole, i machając nogami z zapałem dyskutowali o Predestynacji i o Regule Średnich. Kiedy wszyscy sobie poszli, moja Lo powiedziała „brrrr”, zamknęła oczy i padając na fotel, zrobiła rozgwiazdę na znak bezmiaru obrzydzenia i wyczerpania, po czym przysięgła, że w życiu nie widziała takich wstrętnych chłopaków. Kupiłem jej za to nową rakiętę.

Styczeń był wilgotny i ciepły, a luty wywiódł forsycję w pole: najstarsi tubylcy nie pamiętali takiej pogody. Posypały się kolejne prezenty. Na urodziny kupiłem jej rower, wspomnianą już kształtną jak łania, absolutnie uroczą masywną - i dodałem do niego *Historię nowoczesnego malars-*

twa amerykańskiego: swoim stylem jazdy na rowerze, czyli podejściem, ruchem bioder przy wsiadaniu, wdziękiem i całą resztą sprawiała mi niezmierną rozkosz; lecz moja próba wysublimowania jej gustu malarskiego zakończyła się fiaskiem; Lo pytała na przykład, czy jegomość ucinający sobie południową drzemkę na sianie Doris Lee to ojciec pseudozmysłowej dziewczki z pierwszego planu, i nie rozumiała, czemu twierdzę, że taki Grant Wood albo Peter Hurd jest dobry, a Reginald Marsh lub Frederick Waugh – straszny.

13

Zanim wiosna podcieniowała Thayer Street żółcią, zielenią i różem, Lolita dostała nieuleczalnej manii na punkcie teatru. Pratt, którą pewnej niedzieli przypadkiem zobaczyłem w Zajeździe Waltona, gdy jadła lunch z jakimiś ludźmi, z daleka ściągnęła mnie wzrokiem i bezgłośnie klaszcząc w dłonie, odegrała pantomimę dyskretnej entuzjastki, kiedy Lo patrzyła akurat w inną stronę. Nie cierpię teatru, uważam go za formę prymitywną i zgniłą, historycznie rzecz biorąc; formę zalatującą rytuałami z epoki kamiennej i popolitym głupstwem, mimo pojedynczych zastrzyków geniuszu, takich jak poezja elżbietańska, które czytelnik na osobności automatycznie wysącza z całego mnóstwa tandety. Byłem wtedy bardzo zajęty własną pracą literacką, nie pofatygowałem się więc, żeby przeczytać pełny tekst *Zaklętych łowców*, czyli sztuczki, w której Dolores Haze przydzielono rolę farmerówny: owa młoda osoba wyobraża sobie, że jest leśną wiedźmą, Dianą czy kimś takim, a znalazłszy gdzieś książkę o hipnozie, wtrąca kilku zabłąkanych łowców w rozmaite interesujące transe, zanim sama podda się czarowi wędrownego poety (Mony Dahl). Tyle przynajmniej zrozumiałem z pomiętych fragmentów byle jak prze-

pisanego na maszynie scenariusza, które Lo rozsiała po domu. Zbieżność tytułu z nazwą pewnego niezapomnianego zajazdu uradowała mnie, choć i trochę zasmuciła: lepiej nie zwracać na nią uwagi mojej osobistej zaklinaczki, pomyślałem ze znużeniem, bo bezczelny zarzut cikliwości odchorowałem jeszcze bardziej niż to, że sama tej zbieżności nie zauważyła. A sztuczdelko uznałem za jedną z wielu wersji, właściwie anonimową, jakiejś banalnej legendy. Nic oczywiście nie stało na przeszkodzie, aby przyjąć, że w pogoni za atrakcyjną nazwą założyciel hotelu natychmiast i bez reszty uległ przypadkowej zachciance drugorzędneho malarza fresków, którego zatrudnił, a z kolei nazwa ta zasugerowała tytuł sztuki. Ja jednak z typową dla siebie łatwowiernością, prostotą i życzliwością odwróciłem kota ogonem i właściwie bez głębszego zastanowienia stwierdziłem, że fresk, nazwa i tytuł wywodzą się ze wspólnego źródła, z miejscowej tradycji, której jako przybysz niewprowadzony w tajniki nowoangielskiego folkloru znać nie mogę. Nabrałem zatem przekonania (całkiem, rzecz jasna, mimochodem, poza sferą jakiegokolwiek doniosłości), że przekłete sztuczdelko jest typową bagatelą na użytek nieletnich, po wielekroć montowaną i przemontowywaną, taką jak *Jaś i Małgosia* Xaviera X., *Śpiąca królewna* Yolandy Y. czy *Nowe szaty cesarza* Maurice'a Vermonta i Marion Rumpelmeyer - repertuar, który można znaleźć w byle zbiorze pod tytułem *Sztuki dla szkolnego teatru* albo *Wystawmy sobie sztukę!* Innymi słowy, nie wiedziałem - a choćbym i wiedział, nic by mnie to nie obeszło - że *Zakłęci łowcy* są zupełnie nową i technicznie oryginalną kompozycją, którą po raz pierwszy wykonał zaledwie przed trzema czy czterema miesiącami pewien ambitny zespół w Nowym Jorku. Osobiście - o tyle, o ile mogłem tekst osądzić na podstawie roli mej czarodziejki - odniosłem wrażenie, że jest to dosyć beznadziejne wydziwianie, pełne zapożyczeń z Lenormanda,

Maeterlincka i różnych cichych angielskich marzycieli. Identycznie ubranym łowcom (wszyscy nosili czerwone czapki, choć pierwszy był bankierem, drugi hydraulikiem, trzeci policjantem, czwarty doręczycielem, piąty poręczycielem, szósty zbiegłym więźniem - wyobrażacie sobie bezmiar możliwości!) w Dolinie Dolly całkiem poprzestawiało się w głowach i odtąd każdy pamiętał swoje prawdziwe życie jedynie jako sen bądź koszmar, z którego zbudziła go mała Diana; lecz siódmy Łowca (w z i e l o n e j czapce, błazen jeden), Młody Poeta, upierał się ku wielkiej irytacji Diany, że zarówno ją, jak i cały rozrywkowy *entourage* (tańczące nimfy, elfy i potwory) sam wymyślił. Jeśli dobrze zrozumiałem, ostatecznie zbrzydzonego jego butą, Dolores o bosych stopach zaprowadziła w końcu Monę w kraciastych spodniach za Groźny Las, do gospodarstwa swoich rodziców, aby udowodnić pyszałkowi, że nie natknął się na poetycką mrzonkę, tylko na wiejską dziewczuchę, chodzącą oboma nogami po brunatnej ziemi - a pocałunek, do którego doszło w ostatniej chwili, miał podkreślić głębokie przesłanie sztuki: a mianowicie, że miłość łączy w jedno miraż i rzeczywistość. Doszedłem do wniosku, iż mądrzej będzie nie krytykować tego dziełka przy Lolicie: była tak zdrowo pochłonięta „zagadnieniami ekspresji” i z takim wdziękiem składała wąskie, florenckie dłonie, trzepocząc rzęsami i błagając, żebym nie przychodził na próby, jak to robią niektórzy głupi rodzice, bo chce mnie olśnić nienaganną Premierą - a zresztą zawsze przecież się wtrącam i mówię nie to, co trzeba, i krępię ją przy ludziach.

Była jedna bardzo niezwykła próba... moje serce, moje serce... był majowy dzień pełen radosnego zamieszania... wszystko to przemknęło poza sferą mojej wiedzy, niedosiężne dla mej pamięci, a kiedy znów ujrzałem Lo - dopiero późnym popołudniem - balansowała na rowerze, przyciskając wewnątrz dłoni do wilgotnej kory młodej brzoźki na skra-

ju naszego trawnika, ja zaś zdumiony promienną tkliwością jej uśmiechu przez chwilę wierzyłem, że wszystkie kłopoty mamy za sobą.

- Pamiętasz - spytała - nazwę tego hotelu, no, przecież wiesz [zmarszczony nos], nie udawaj, że nie... tego z białymi kolumnami i z marmurowym łabędziem w hallu? No, wiesz przecież [głośny wydech] - tego, w którym mnie zgwałciłeś. Dobra, daruj sobie. Czy to może byli [prawie szeptem] „Zakłeci łowcy”? Tak? [z zadumą] Naprawdę? – I parszkając miłośnym wiośnianym śmiechem, który zabrzmiał jak skowyt, klepnęła lśniący pień i śmignęła pod górę, do końca ulicy, a potem zjechała, trzymając stopy na nieruchomych pedałach, rozluźniona, z jedną rozmarzoną ręką opartą na łonie w kwiaciasty wzór.

14

Ponieważ łączyło się to rzekomo z jej zainteresowaniem sprawami tańca i teatru, pozwoliłem Lo brać lekcje gry na fortepianie u niejakiej panny Empire (nam romanistom wygodnie będzie tak ją nazywać), do której białego domku z niebieskimi okiennicami, oddalonego o ponad kilometr od Beardsley, miała dwa razy w tygodniu jeździć na rowerze. W pewien piątkowy wieczór pod koniec maja (mniej więcej tydzień po tej bardzo niezwyklej próbie, na której nie chciała mnie widzieć) telefon w mojej pracowni, gdzie właśnie zmiatałem królewskie skrzydło Gustawa - to znaczy Gastona - zadzwonił i spytał głosem panny Empire, czy Lo przyjdzie w najbliższy wtorek, bo w zeszły jej nie było i dziś też nie. Zapewniłem ją, że tak, niewątpliwie - i znów zająłem się grą. Jak czytelnik z łatwością sobie wyobrazi, moja sprawność umysłowa trochę od tej rozmowy ucierpiała, więc po kilku ruchach, kiedy wypadała akurat kolej Gastona, zauważyłem przez mgłę ogólnego strapienia, że

może on zbić mi królową; sam też to zauważył, ale wietrząc pułapkę, którą zastawił sprytny przeciwnik, wzdragał się dobrą minutę, sapał i rzeził, potrząsał faflami, a nawet rzucał w moją stronę ukradkowe spojrzenia i zadawał niezdecydowane półsztychy palcami skupionymi w pulchną kiść - umierając z ochoty, żeby zgarnąć tę soczystą damę, a zarazem nie śmiać - i nagle spadł na nią jak jastrząb (kto wie, czy nie zachęciło go to do pewnych późniejszych zachwalstw?), a mnie koszmarną godzinę zajęło wywalczenie remisu. Dokończył swoją brandy i niebawem zwaliście się oddalił, całkiem zadowolony z wyniku (*mon pauvre ami, je ne vous ai jamais revu et quoiqu'il y ait bien peu de chance que vous voyez mon livre, permettez-moi de vous dire que je vous serre la main bien cordialement, et que toutes mes fillettes vous saluent*). Zastałem Dolores Haze przy kuchennym stole, gdy jadła trójkątną porcję placka, z oczami utkwionymi w scenariuszu. Uniosła je na spotkanie moich, a ich spojrzenie miało wyraz swoiście niebiańskiej pustki. Kiedy zawiadomiłem ją o swym odkryciu, osobliwie niewzruszona przyznała *d'un petit air faussement contrit*, że owszem, była to z jej strony okropna niegrzeczność, ale po prostu nie mogła się oprzeć mocy zaklęcia, więc poświęciła czas przeznaczony na muzykę - O, Czytelniku Mój, Czytelniku! - aby w pobliskim parku ćwiczyć z Moną scenę czarów leśnych.

- W porządku - odpadem i podkradłem się do telefonu. Słuchawkę podniosła matka Mony.

- Ależ tak, jest - powiedziała, wycofując się z obojętnie macierzyńskim śmieszkiem uprzejmego ukontentowania, żeby krzyknąć za kulisami: - Roy dzwoni!

Mona przybieżała w sekundę i cicho, monotonna, nie bez tkliwości od razu zaczęła besztać Roya za coś, co powiedział albo zrobił, a kiedy jej przerwałem, natychmiast przeszła na swój najpokorniejszy, najbardziej seksowny

kontrakt, mówiąc „tak, proszę pana”, „oczywiście ma pan rację”, „tylko ja winna jestem temu nieszczęsnemu zdarzeniu” (cóż za krasomówstwo! cóż za opanowanie!), „słowo daję, sumienie mam bardzo nieczyste” - itede, itepe, jak mawiają te małe ladacznice.

Zszedłem więc na dół, odchrząkując i trzymając się za serce. Lo przeniosła się tymczasem do salonu i zapadła w swój ulubiony pękaty fotel. Widząc, jak w nim się rozwała, jak obgryza naderwany paznokieć i szydzi ze mnie nieczułym spojrzeniem zamglonych oczu, a równocześnie huśta stołkiem, na którym opada piętę wyprostowanej nogi bez buta, ujrzałem nagle z mdlącym spazmem ogrom zmian, które w niej zaszły, odkąd przed dwoma laty ją poznałem. A może wszystkie dokonały się przez ostatnie dwa tygodnie? *Tendresse*? Był to mit, nieodwołalnie spalony. Siedziała w samym ognisku mego gniewu. Ulotnił się cały opar żądz i pozostało tylko to straszliwe jasnowidzenie. O tak, zmieniła się! Miała teraz cerę pierwszej lepszej wulgarnej, niechlujnej dziewczyny z ogólniaka, która brudnymi palcami nakłada wspólne z koleżanką kosmetyki na nieumytą twarz i nie dba o to, jakiej zbrukanej powierzchni, jakiego krostowatego naskórka dotyka skórą. Jej gładki, delikatny puszek taki był dawniej uroczy, perlisty od łez, kiedy w zabawie trzymałem na kolanie potarganą główkę i jeszcze bardziej ją czochrałem. Tę niewinną fluorescencję zastąpił chropawy rumieniec. Przypadłość, którą miejscowi nazywali „króliczą febrą”, zabarwiła płomiennym różem brzożki wzgardliwych nozdrzy. Gdy ze zgrozą spuściłem wzrok, mechanicznie przemknąłem nim od spodu po wyprężonym, nagim udzie: ależ jej nogi stały się gładkie i muskularne! Nie odrywała ode mnie spojrzenia szeroko rozstawionych, szarych jak przydymione szkło, lekko przekrwionych oczu, a ja zobaczyłem prześwitującą przez nie podstępą myśl: kto wie, czy Mona nie ma jednak racji, że sierotka Lo może

mnie zdemaskować, nie narażając się na karę. Jakże się myliłem. Jakże byłem szalony! Wszystko w niej miało ten sam irytująco nieprzenikniony wymiar - mocna budowa kształtnych nóg, brudna podeszwa białej skarpetki, gruby sweter, którego nie zdjęła mimo panującej w pokoju duchoty, dziewczusia woń, a zwłaszcza głuchy mur twarzy, dziwnie zarumienionej, ze świeżo umalowanymi ustami. Odrobina szminki splamiła przednie zęby, mną zaś wstrząsnęło upiorne wspomnienie, nagle przywołana wizja - nie Monique, lecz innej młodej prostytutki, którą całe wieki temu w domu z dzwonkiem ktoś mi sprzątnął sprzed nosa, nim zdążyłem zdecydować, czy sama jej młodość warta jest ryzyka jakiejś przerażającej choroby, też miała bowiem takie zarumienione, wydatne *pommettes*, zmarłą *maman*, duże zęby przednie i kawałek brudnoczerwonej wstążki we włosach wsiowej szatynki.

- No, mów - zaczęła. - Alibi wystarczająco się potwierdziło?

- O, tak - odparłem. - Bez zarzutu. Tak. I nie mam cienia wątpliwości, że je zmyśliłyście. Prawdę mówiąc, nie mam cienia wątpliwości, że wszystko jej o nas wygadałaś.

- Powaga?

Wyregulowałem oddech i powiedziałem:

- Dolores, to się musi skończyć, już, natychmiast. Jestem gotów wyrwać cię z Beardsley i zamknąć sama wiesz gdzie, ale to się musi skończyć. Gotów jestem zabrać cię stąd zaraz, niech tylko spakuję walizkę. To się musi skończyć, bo nie ręczę za siebie.

- Aha, nie ręczysz?

Wyszarpnąłem jej spod pięty stołek, którym kiwała, więc z hukiem rąbnęła stopą o podłogę.

- Ej! - krzyknęła. - Daj se siana.

- Przede wszystkim pójdziesz na górę! - krzyknąłem ja z kolei, jednym szarpnięciem stawiając ją na równe nogi. Od-

tąd nie próbowałem już panować nad głosem, darliśmy się więc oboje, a ona wygadywała rzeczy wręcz niecenzuralne. Powiedziała, że się mną brzydzi. Robiła potworne miny, wydymała policzki i diabolicznie prychała. Powiedziała, że kilkakrotnie próbowałem ją zgwałcić, kiedy byłem jeszcze lokatorem u jej matki. Powiedziała, że jest pewna, że zamordowałem jej matkę. Powiedziała, że prześpi się z pierwszym lepszym facetem, który ją poprosi, a ja nic na to nie poradzę. Powiedziałem, że ma pójść na górę i pokazać mi wszystkie swoje skrytki. Była to scena przejmująca i nienawistna. Trzymałem Lolitę za sękaty nadgarstek, a ona wierciła się i wykręcała we wszystkie strony, ukradkiem szukając słabego punktu, żeby wyrwać się w sprzyjającej chwili, ale trzymałem mocno, sprawiłem jej nawet spory ból i oby mi za to wygniło serce, a parę razy tak raptownie szarpnęła ręką, że zląkłem się, czy nie pęknie jej w nadgarstku, i ani na moment nie odrywała ode mnie spojrzenia tych niezapomnianych oczu, w których zimny gniew szedł o lepsze z gorącymi łzami, a nasze krzyki zagłuszały dzwonek telefonu, gdy zaś go wreszcie usłyszałem, natychmiast mi się wymknęła.

Wygląda na to, że podobnie jak postaciom filmowym usługuje mi *machina telephonica* i nagłe wkraczające za jej sprawą bóstwo, tym razem w osobie rozwścieczonej sąsiadki. Wschodnie okno salonu było akurat na ścieżaj rozdzielone, choć z litościwie spuszczoną roletą; za oknem zaś wilgotna czarna noc ową cierpką nowoangielską wiosną słuchała nas z zapartym tchem. Ten typ śliskołuskiej starej panny o nieprzyzwoitej wyobraźni zawsze wydawał mi się owocem intensywnego chowu wsobnego w prozie współczesnej; dziś jednak przekonany jestem, że pruderyjna i sprośna Panna Wschodnia - czyli, aby ją wreszcie zdekonspirować, panna Fenton Lebone - zapewne sterczała w

trzech czwartych z okna sypialni, usiłując wychwycić, o co właściwie się kłócimy.

- ...Ten harmider... żadnego poczucia - kwakała słuchawka.

- Nie mieszkamy przecież w czynszówce. Muszę z całym naciskiem...

Przeprosiłem ją za hałaśliwość kolegów córki. Młodzież, sama pani rozumie - i przytrzymałem słuchawką kolejne półtora kwaku.

Na dole trzasnęły siatkowe drzwi. Lo? Uciekła?

Przez szybki w oknie na schodach zobaczyłem, jak po-pędliwy duszek przemyka między krzakami; srebrzysta kropka w mroku - piasta koła roweru - drgnęła, zachwiała się i oto Lo znikła. Akurat na tę noc oddałem auto do naprawy w pewnym śródmiejskim warsztacie. Nie mając wyboru, ruszyłem pieszo w pogoń za skrzydlatą uciekiniarką. Jeszcze i teraz, choć z górą trzy lata wezbrały i minęły, przerażenie zapiera mi dech, ilekroć wywołuję z pamięci obraz tej wiosennie nocnej ulicy. Tak już ulistnionej ulicy. Panna Lester spacerowała z obrzękłym jamnikiem panny Fabian przed oświetloną werandą ich domu. Pan Hyde o mało nie przewrócił pieska. Trzy kroki marsz, trzy kroki biegiem. Laodycejski deszcz zabębnił w liście kasztanów. Na najbliższym rogu przyciskał Lolitę do żelaznej balustrady nieczytelny młokos, obejmował, całował - nie, nie ją, pomyłka. Szpony nie przestały mnie świerzbić, nim pomknąłem dalej.

Thayer Street mniej więcej o kilometr na wschód od numeru czternastego płacze się z czyjąś prywatną alejką i z przecznicą; ta ostatnia wiedzie do centrum; przed pierwszym sklepem zobaczyłem - z jakże melodyjną ulgą! - wdzięczny rower Lolity, czekający na swoją panią. Pchnąłem, zamiast pociągnąć, pociągnąłem, pchnąłem, pociągnąłem i wszedłem. Uwaga! W odległości jakichś dziesięciu kroków Lolita za szybą budki telefonicznej (bo bóstwo me-

mbran zawsze z nami) osłaniała dłonią słuchawkę, poufnie nad nią zgarbiona, spojrziała na mnie spod zmrużonych powiek, odwróciła się tyłem, skrywając swój skarb, czym prędzej go odwiesiła i zamaszystym krokiem wyszła z budki.

- Próbowałam złapać cię w domu - oświadczyła radośnie. - Zapadła doniosła decyzja. Ale najpierw kup mi coś do picia, tato.

Patrzyła, jak młodociana, blada bufetowa z roztargnieniem wkłada lód do szklanki, nalewa coca-coli, dodaje soku wiśniowego - a mnie serce pękało z miłostnego bólu. Ten dziecięcy nadgarstek. Moje prześliczne dziecko. Ma pan prześliczne dziecko, panie Humbert. Podziwiamy ją, ilekroć przechodzi. Pan Pim patrzył, jak Pippa popija preparat.

J'ai toujours admiré l'oeuvre ormonde du sublime Dublinois. A tymczasem z deszczu zrobiła się lubieżna ulewa.

- Słuchaj - powiedziała Lo, gdy już jechała obok mnie na rowerze, szurając jedną nogą po mrocznie połyskliwym chodniku. - Słuchaj, coś postanowiłam. Chcę rzucić szkołę. Nienawidzę jej. I sztuki też nienawidzę, słowo daję! Rzucić i nigdy nie wracać. Znaleźć inną. Wyjechać natychmiast. Znowu wybrać się w długą podróż. Ale tym razem pojedziemy tam, gdzie sama zechcę, zgoda?

Skinałem głowę. Moja Lolita.

- Ja wybieram? *C'est entendu?* - spytała, lekko się kolebiąc obok mnie. Mówiła po francusku tylko wtedy, kiedy chciała być bardzo grzeczna.

- Zgoda. *Entendu.* A teraz hop-hop-hopsaj, Lenoro, bo przemokniesz do nitki. (Burza łkań wzbierała mi w piersi).

Odsoniła zęby i pochylając się w jak zawsze uroczej pozycji uczennicy, pognała przed siebie, moja ptaszka.

Panna Lester zadbaną dłonią trzymała drzwi werandy otwarte przed starym rozkołysanym psem *qui prenait son temps.*

Lo czekała na mnie pod widmową brzozą.
- Cała jestem mokra - oznajmiła, ile miała sił w płucach. -
Cieszysz się? Do diabła ze sztuką! Rozumiesz?

Niewidzialny szpon wiedźmy zatrzaskało okno na piętrze.

W naszym przedpokoju, wśród powitalnej feerii świateł,
moja Lolita wyłuskała się ze swetra, potrząsnęła uperlony-
mi włosami, wyciągnęła ku mnie dwie nagie ręce, uniosła
kolano i rzekła:

- Weź mnie zanieś na górę, co? Tak mi się jakoś romanty-
cznie zrobiło.

Psychologów może w tym momencie zainteresować
informacja, że potrafię - a jest to, jak sądzę, umiejętność
nader rzadka - łać potoki łez, gdy równocześnie miota mną
ten drugi rodzaj burzy.

15

Wymianę klocków hamulcowych, przeczyszczenie zat-
kanych rur od chłodnicy, przetarcie zaworów oraz różne in-
ne naprawy i udoskonalenia zlecił i opłacił niezbyt obyty z
mechaniką, lecz przezorny papa Humbert, żeby auto nie-
boszczki Humbertowej osiągnęło należyty stan, zanim
przyjdzie pora wyruszyć w kolejną podróż.

Obiecaliśmy Szkole w Beardsley, poczciwej i starej
Szkole w Beardsley, że wrócimy, gdy tylko mój kontrakt z
Hollywoodem dobiegnie końca (fantasta Humbert miał zos-
tać, dałem do zrozumienia, głównym konsultantem przy
kręceniu filmu o „egzystencjalizmie”, na który trwała jesz-
cze podówczas moda). W rzeczywistości jednak igrałem z
myślą o tym, żeby delikatnie przesaczyć się przez meksy-
kańską granicę - byłem bowiem odważniejszy niż przed ro-
kiem - i tam dopiero zdecydować, co zrobić z moją konku-
binką, która osiągnęła tymczasem metr pięćdziesiąt wzrostu
i czterdzieści pięć kilo wagi. Odkurzyliśmy nasze przewod-

niki i mapy. Lo z ogromną werwą kreśliła trasę. Czyżby właśnie dzięki zabawie w teatr wyrosła z infantylnie zblazowanej pozy i nabrała tak uroczego zapału do zgłębiania bogatej rzeczywistości? Czułem dziwną lekkość, całkiem jak we śnie, gdy w błady, lecz ciepły niedzielny ranek porzuciliśmy zdumiony dom profesora Chema i pomknęliśmy Ulicą Główną w stronę czteropasmowej autostrady. Bawełniana, biało-czarno prążkowana sukienka mej Ukochanej, zawadiacka niebieska czapka, białe skarpetki i brązowe mokasyny niezupełnie pasowały do zdobiącego jej szyję wielkiego, pięknie szlifowanego akwamarynu na srebrnym łańcuszku, który dostała ode mnie w prezencie z okazji pewnego wiosennego deszczu. Kiedy mijaliśmy „Nowy Hotel”, roześmiała się.

- Dam ci centa, jak mi powiesz, o czym myślisz – obiecałem, a ona od razu wyciągnęła otwartą dłoń, lecz musiałem akurat dość raptownie zahamować na czerwonym świetle. Kiedy stanęliśmy, obok nas posuwicie wyhamował inny wóz i atletycznie szczupła młoda kobieta o uderzającym wyglądzie (skąd ja ją znam?), z rumianą cerą i lśnącymi brązem włosami do ramion, powitała Lo dźwięcznym „Cześć!”, po czym wylewnie, tonem stosownym do prawnienia... eee... duserów (mam!) powiedziała, akcentując niektóre słowa:

- Jaka s z k o d a , że wyrwał pan Dolly z teatru - gdyby pan tylko s ł y s z a ł , po próbie autorskim zachwyтом nie było k o ń c a .

- Zielone, ty głupku - półgłosem rzekła Lo i w tejże sekundzie Joanna d'Arc (z inscenizacji, którą widzieliśmy w miejscowym teatrze), machając obwieszoną bransoletami ręką w promiennym adieu, gwałtownie nas wyprzedziła, aby ostro skręcić w Campus Avenue.

- Kto to właściwie był? Vermont czy Rumpelmeyer?

- Nie, to Edusa Gold, ta babka, co u nas reżyseruje.

- Nie o nią mi chodzi. Kto właściwie wysmażył tę sztukę?
- A! No jasne! Stara baba, Clare Jakaśtam, zdaje się. Była ich tam wtedy cała kupa.
- Pochwaliła cię?
- Żeby tylko. Ucałowała mnie w nieskalane czółko. - To powiedziawszy, moje kochanie wydało ten nowy radosny skowyt, którym - zapewne nie bez związku z paroma innymi manierami teatralnej proweniencji - zaczęło się ostatnio popisywać.
- Szczególnie z siebie stworzenie, Lolito - odparłem (nie ręczę za sformułowanie). - Oczywiście bardzo się cieszę, że dałaś sobie spokój z tym scenicznym nonsensem. Dziwne tylko, że poniechałaś go zaledwie na tydzień przed naturalnym szczytowaniem. Och, Lolito, powinnaś uważać z tymi swoimi rezygnacjami. Pamiętam, że rzuciłaś Ramsdale dla obozu letniego, potem obóz dla przejażdżki, a mógłbym też wymienić wiele innych raptownych zmian w twoim usposobieniu. Uważaj. Z pewnych rzeczy pod żadnym pozorem nie wolno rezygnować. Musisz być wytrwała. Musisz postarać się być dla mnie trochę miłsza, Lolito. Powinnaś też przestrzegać diety. Wiesz, obwód twojego uda nie ma prawa przekroczyć czterdziestu pięciu centymetrów. Każdy następny centymetr mógłby okazać się zgubny (oczywiście żartowałem). Ruszamy teraz w długą, szczęśliwą podróż. Pamiętam...

16

Pamiętam, że jako dziecko w Europie napawałem się widokiem mapy Ameryki Północnej, na której „Appalachy” śmiało pięły się z Alabamy aż po Nowy Brunszwik, toteż cały obszar spięty ich łukiem - Tennessee, obie Wirginie, Pensylwania, Newy Jork, Vermont, New Hampshire i Maine - przypominał w mojej wyobraźni gigantyczną Szwajca-

rię, a może i Tybet, nic tylko góry, wspaniałe łańcuchy diamentowych szczytów, olbrzymie drzewa iglaste, *le montagnard émigré* okryty przepychem niedźwiedziej skóry, tu dzież *Felis tigris goldsmithi* i czerwonoskórzy pod surmiami. To, że z całej tej świetności został tylko nędzny podmiejski trawnik i kopcący piec na śmieci, było przerażające. Żegnaj, Appalachio! Opuściwszy ją, przecięliśmy Ohio, trzy stany na literę I oraz Nebraskę - ach, pierwszy powiew Zachodu! Podróżowaliśmy bez najmniejszego pośpiechu, mieliśmy bowiem ponad tydzień na dojazd do Wace w Górach Skalistych, gdzie Lo gorąco pragnęła zobaczyć Tańce Obrzędowe, urządzone w dniu otwarcia sezonu Pieczary Czarów, i co najmniej trzy tygodnie, żeby dotrzeć do Elphinstone, tej perły jednego z zachodnich stanów, gdzie z kolei marzyła jej się wspinaczka na Czerwoną Skałę, z której niedawno pewna dojrzała gwiazda ekranu rzuciła się w objęcia śmierci po pijackiej kłótni z żigolakiem.

I znów czujne motele witały nas inskrypcjami tej oto treści:

„Czujcie się jak u siebie. C a ł e wyposażenie pokoju poddano dokładnemu przeglądowi tuż po waszym przyjeździe. Mamy w kartotece numer rejestracyjny waszego auta. Oszczędzajcie gorącą wodę. Zastrzegamy sobie prawo do tego, żeby bez uprzedzenia usunąć każdego gościa, który wyda nam się nieodpowiedni. Nie wyrzucajcie ż a d - n y c h odpadków do muszli klozetowej. Dziękujemy. Polecamy się na przyszłość. Dyrekcja. PS Nasi goście to dla nas najwspanialszy ludzcy na świecie”.

W tych przerażających miejscach płaciliśmy dziesięć dolarów za dwuosobowy pokój, muchy czekały w kolejce do drzwi bez siatki i z powodzeniem wciskały się do środka, popioły naszych poprzedników drzemały w popielniczkach, na poduszce leżał kobiecy włos, słychać było, jak sąsiad odwiesza płaszcz do szafy, wieszaki zmyślnie przytwier-

dzano drutem do drążka, aby udaremnić kradzież, a już koronną znie wagą wydało mi się to, że nad bliźniaczymi łózkami wiszą równie bliźniacze obrazki. Zauważyłem też, że w branży zmienia się moda. Pojawiła się tendencja, żeby łączyć domki, stopniowo tworząc karawanseraj, a gdy jeszcze - o, dollo nieszczęsna! (Dolly się tym nie przejęła, ale może czytelnik będzie ciekaw) - przybyło piętro, wyrósł hall, auta odstawiono do ogólnego garażu, motel znów stał się starym pocziwym hotelem.

W tym punkcie ostrzegam czytelnika, żeby nie kpił ze mnie i z mojego otumanienia. Łatwo teraz nam obu odczytać przeszłe wyroki losu; lecz kiedy los dopiero się spełnia, nie jest on, zapewniam, jedną z tych szczerych powiastek detektywistycznych, co to każą czytelnikowi jedynie iść tropem poszlak. Pamiętam nawet z młodości francuski kryminał, w którym poszlaki zaznaczono kursywą; ale Delos tak nie postępuje - choć owszem, można nauczyć się rozpoznawać pewne niewyraźne znaki.

Na przykład: nie przysięgłbym, że przed środkowozachodnim odcinkiem podróży lub na samym jego początku przynajmniej raz nie udało jej się przekazać wiadomości albo inaczej skontaktować z nieznaną mi osobą bądź osobami. Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, pod godłem Pegaza, wysiadła chyłkiem i wymknęła się na tyły wspomnianego zakładu, toteż podniesiona maska, pod którą wsunąłem głowę, aby śledzić manipulacje mechanika, na chwilę skryła ją przed moim wzrokiem. Skłonny raczej do wyrozumiałości, pobłażliwie pokręciłem głową, choć ściśle rzecz biorąc takie wizyty były zabronione, instynktownie czułem bowiem, że toalety - oraz telefony - z niedocieczonych przyczyn są właśnie tymi zadrami, o które zahaczyć może mój los. Wszyscy mamy takie nasycone przeznaczeniem obiekty - dla jednego będzie to krajobraz powracający jak echo, dla innego liczba - jedno i drugie starannie wybra-

ne przez bogów, żeby przyciągało zdarzenia szczególnie dla nas znamienne: tutaj John zawsze się potknie; tu serce Jane zawsze pęknie.

No cóż - moje auto obsłużono, odjechałem więc od pomp, ustępując miejsca furgonetce - gdy wśród wietrznej szarości brak Lolity jał mnie przytłaczać narastającym brzemieniem. Nie pierwszy i nie ostatni raz czułem w sobie takie tępe uwieranie, patrząc na te statyczne banały, prawie zdziwione - trochę jak wsiowi gapie - że objęło je pole widzenia osiadłego na mieliźnie wędrowca: zielony śmietnik, wystawione na sprzedaż bardzo czarne opony z bardzo białymi bokami, błyszczące puszkę oleju silnikowego, czerwoną lodówkę z napojami, cztery, pięć, siedem wzgardzonych butelek w nie do końca rozwiązanej krzyżówce z drewnianych przegródek, robaka, który cierpliwie piął się po wewnętrznej stronie okna kasy. Przez otwarte drzwi słychać było muzykę z radia, ponieważ zaś jej rytm kłócił się z falowaniem, trzepotem i innymi gestami roślinności animowanej wiatrem, miało się wrażenie, że jakiś stary film w stylu malarstwa rodzajowego żyje własnym życiem, a melodia, którą prowadzi fortepian czy skrzypce, nie ma nic wspólnego z drżącym kwiatem, z rozkołysaną gałęzią. Ni w pięć, ni w dziewięć zawibrował we mnie ostatni szloch Charlotty, kiedy Lolita w sukience trzepoczącej nie do taktu nadbiegła z całkiem nieoczekiwanej strony. Musiała pójść za pierwszą przecnicę, pod Konchę, bo najbliższa toaleta była zajęta. Ci spod Konchy twierdzili, że są dumni ze swoich łazienek, czystych jak w domu. A te ofrankowane pocztówki, twierdzili, są po to, żeby klienci mogli napisać parę słów do dyrekcji. Ani śladu pocztówek. Ani śladu mydła. Nic. Ani słowa.

Jeszcze tego samego dnia, a może nazajutrz, po nudnej jeździe przez krainę ziemiopłodów dotarliśmy do miłego miasteczka i stanęli w „Kasztanowym Kasztelu” – przyjem-

ne domki, wilgotne zieleńce, jabłonie, stara huśtawka - i nadzwyczajny zachód słońca, który senne dziecko zignorowało. Chciała jechać przez Kasbeam, bo leżało zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na północ od jej rodzinnego miasta, ale do rana zobojętniała i wcale już nie pragnęła znów ujrzeć chodnika, na którym przed mniej więcej pięcioma laty grywała w klasy. Z oczywistych powodów dosyć się obawiałem tego skoku w bok, choć uzgodniliśmy, że niczym nie zwrócimy na siebie uwagi: zostaniemy w aucie i nie odwiedzimy dawnych koleżanek. Kiedy zrezygnowała z tego planu, odczułem ulgę, którą jednak popsowała mi myśl, że gdyby sądziła, iż jestem równie bezwzględnie przeciwny nostalgicznym sposobnościom nastęrczanym przez miasto Pisky, jak byłem przed rokiem, nie tak łatwo by się poddała. Napomknąłem o tym, wdychając, a ona także westchnęła i poskarżyła się, że jest jakaś nieswoja. Chciała zostać w łóżku co najmniej do podwieczorku, ze stertą pism, i zaproponowała, żebyśmy - jeśli później poczuje się lepiej - po prostu ruszyli dalej na zachód. Muszę przyznać, że była przy tym bardzo słodka i omdlewająca, i złakniona świeżych owoców, postanowiłem więc wybrać się do Kasbeam i kupić jej smakowity lunch na wynos. Nasz domek stał na zalesionym grzbiecie wzgórza, a z okna widać było drogę, która wiła się w dół, potem zaś biegła prosto - jak przedziałek we włosach - szpalerem kasztanów do ślicznego miasteczka, osobliwie wyrazistego w czystej porannej dali, jakby zbudowanego z klocków. Oko ludzkie rozpoznawało też podobną do elfa dziewczynkę na owadzim rowerze oraz psa, w porównaniu z nią nieco za dużego, a sylwetki obojga były nie mniej wyraźne od postaci pielgrzymów i mułów, co pną się zygzakami po woskowobladych drogach z tych starych malowideł, które pełne są niebieskich wzgórz i czerwonych ludzików. Ilekroć daje się uniknąć jazdy samochodem, ulegam typowo europejskiej skłonności do chodzenia

na własnych nogach, poszedłem więc spacerkiem w dół i w końcu spotkałem cyklistkę - nijaką, pulchną dziewczynkę z mysimi ogonkami, i kroczącego za nią ogromnego bernarda o oczodołach jak bratki. W Kasbeam bardzo miernie mnie ostrzygł bardzo stary fryzjer: przez cały czas głądził o swoim synu baseballiście, a przy każdej głosce zwartej opłuwał mi kark i raz po raz wycierał okulary w płachtę, którą byłem przykryty, albo przerywał chybotliwe nożycowanie, aby wyjąć spłowiełe wycinki gazetowe, słuchałem go zaś tak nieuważnie, że doznałem szoku, kiedy wskazał mi ustawioną wśród prastarych szarych toników fotografię w ramce, a ja wreszcie sobie uświadomiłem, iż wysportowany młody wąsacz od trzydziestu lat nie żyje.

Wypiłem kubek gorącej kawy bez smaku, kupiłem swojej małpce kiść bananów i jeszcze z dziesięć minut zamaru-dziłem w delikatesach. W sumie musiało minąć co najmniej półtorej godziny, zanim kreślący te słowa maleńki piel-grzym znów ruszył krętą drogą do domu, do „Kasztanowe-go Kasztelu”.

Dziewczynka, którą widziałem, idąc do miasta, objuczo-na bielizną pościelową, pomagała jakiemuś poczwarnie zbudowanemu mężczyźnie; jego wielka głowa i chropawe rysy przypominały mi postać „Bertolda” z przaśnej kome-dii włoskiej. Oboje sprzątaali domki, które w liczbie kilkunastu stały na Kasztanowym Wzgórzu, przyjemnie rozmie-szczone wśród bujnej zieleni. Było południe, toteż więk-szość domków z bezapelacyjnym trzaśnięciem siatkowych drzwi pozbyła się już mieszkańców. Bardzo sędziwa, nie-mal zmumifikowana para w bardzo nowym modelu auta właśnie wypelzała z pobliskiego garażu; z innego czerwona maska wozu sterczała trochę jak sącze; nieco bliżej na-szego domku silny, przystojny młodzian o kruczej czupry-nie i niebieskich oczach ustawiał przenośną lodówkę w sa-mochodzie combi. Nie wiadomo dlaczego uśmiechnął się

do mnie ze skruczą, kiedy go mijałem. Na rozległym trawniku po drugiej stronie uliczki w wielorękim cieniu przepysznych drzew znany mi już bernard strzegł roweru swojej pani, nieopodal zaś młoda kobieta w wyraźnie błogosławionym stanie posadziwszy na huśtawce zachwycone niemowlę, łagodnie je kołysała, podczas gdy zazdrosny chłopczyk w wieku dwóch, trzech lat nieznośnie jej się naprzykrzał, usiłując popchnąć albo pociągnąć za deskę huśtawki; dopiął w końcu tego, że huśtawka go wywróciła i padł na wznak w trawę, rycząc wniebogłoso, a jego matka wciąż uśmiechała się dobrotliwie, lecz wcale nie do dwójki swych obecnych dzieci. Jeśli pamiętam te drobiazgi z taką wyrazistością, to pewnie dlatego, że zaledwie kilka minut później musiałem poddać swoje wrażenia gruntownej rewizji; a zresztą od tamtej okropnej nocy w Beardsley coś we mnie nieustannie miało się na baczności. Nie pozwalałem więc, żeby zwiódł mnie wywołany spacerem błogostan - młody letni wietrzyk, który otulał mi kark, uległe chrupanie wilgotnego żwiru, soczysty kąsek wyssany w końcu z dziury w zębie czy wreszcie miły ciężar sprawunków, choć ogólny stan mego serca powinien był mi zabronić dźwigania; lecz nawet ta moja nieszczęsna pompka zachowywała się całkiem sympatycznie, toteż czułem się *adolori d'amoureuse langer* - że zacytuje kochanego starego Ronsarda - wchodząc do domku, w którym zostawiłem Dolores.

Ku memu zaskoczeniu była już ubrana. W spodniach i w koszulce z krótkim rękawem siedziała na brzegu łóżka, z taką miną, jakby nie bardzo mnie poznawała. Szczere i łagodne wzgórki jej drobnych piersi raczej uwydatniała niż zacierała wiotka, cienka koszulka, a mnie zirytowała ta szczerłość. Lo była jeszcze nie umyta; w świeżo umalowanych, a raczej upačkanych ustach szerokie zęby połyskiwały jak splamiona winem kość słoniowa albo lekko różowe żetony do pokera. Siedziała w rozmarzeniu, opierając na

udach złożone dłonie, a bijąca od niej diaboliczna poświata nie miała nic wspólnego ze mną.

Cisnąłem na stół ciężką papierową torbę i przez chwilę stałem, patrząc na gołe kostki stóp Lolity, na jej głupią twarz i znów na grzeszne stopy w sandałach.

- Wychodziłaś - powiedziałem (sandały były ubrudzone żwirem).

- Dopiero co wstałam - odparła, a przyłapawszy mnie na tym, że patrzę w dół, dodała:

- Wyszedłam tylko na sekundę. Chciałam zobaczyć, czy już wracasz.

Zauważyła banany i rozplotła się w stronę stołu.

Jakie konkretnie mogłem żywić podejrzenie? Właściwie żadnego - ale te jej błotniste, błędne oczy, to szczególne ciepło, które z niej parowało! Nie powiedziałem nic. Spojrzałem na drogę wijącą się tak wyraźnym meandrem w okiennej ramie... Ktokolwiek chciałby nadużyć mego zaufania, miałby tu znakomity punkt obserwacyjny. Lo z rosnącym apetytem przyłożyła się do owoców. Natychmiast przypomniał mi się przyzwoity uśmiech Johnny'ego spod sąsiedniego numeru. Szybko wyszedłem na dwór. Wszystkie auta już znikły, zostało tylko jego combi; żona w ciąży właśnie wsiadała wraz z niemowlęciem i z drugim, mniej lub bardziej unieważnionym dzieckiem.

- Co się stało, gdzie idziesz? - zawołała Lo z werandy.

Nie odpowiedziałem. Pchnąłem jej miękki kształt z powrotem do pokoju i sam też wszedłem. Zdarłem z niej koszulkę. Błyskawicznie rozpiąłem resztę. Ściągnąłem sandały. Jak szalony zacząłem ścigać cień jej niewierności; lecz trop, którym podążałem, był ledwie wyczuwalny, właściwie nie do odróżnienia od urojeń wariata.

Gros Gaston, ten cacuś, też lubił dawać prezenty - cacka ciut cudaczne, przynajmniej na jego cacusiowe wyczucie. Zauważywszy pewnego wieczoru, że moje pudełko z szachami jest pęknięte, nazajutrz rano przysłał mi przez któregoś ze swoich chłopców miedzianą kasetkę: miała ona wymyślny wschodni ornament na wieczku i niezawodny zamek. Od jednego rzutu oka poznałem, że jest to tania skarbonka, nie wiedzieć czemu zwana „luizettą”, z rodzaju tych, które ludzie kupują na przykład w Algierii, a potem głowią się, co z nimi począć. Okazała się o wiele za płaska dla moich dorodnych szachów, lecz mimo to zatrzymałem ją - i przeznaczyłem na zupełnie inny cel.

Usiłując przerwać ten losowy splot, który - niejasno czułem - stopniowo mnie usidlał, postanowiłem mimo widocznej irytacji Lo spędzić jeszcze jedną noc w „Kasztanowym Kasztelu”; zbudziwszy się na dobre o czwartej nad ranem, upewniłem się, że Lo smacznie śpi (z ustami otwartymi jakby w wyrazie tępego zdumienia tym dziwnie bezsensownym życiem, które wszyscy razem jej urządziliśmy), i sprawdziłem, czy nic nie zagraża cennej zawartości „luizetty”. Owinięty białym wełnianym szalikiem spoczywał w niej kieszonkowy pistolet: kaliber trzydzieści dwa, pojemność magazynku osiem naboji, długość nieco poniżej jednej dziesiątej wzrostu Lolity, kolba - kratkowany orzech, stal - oksydowana na niebiesko. Odziedziczyłem go po nieboszczyku Haroldzie Haze, wraz z katalogiem z roku 1938, który między innymi radośnie stwierdzał: „Szczególnie przydatny w domu i w samochodzie, a także do użytku osobistego”. Leżał więc, w każdej chwili gotów obsłużyć dowolną osobistość lub osobistości, naładowany i zarepetowany, ale zabezpieczony, żeby przypadkiem sam nie wypalił. Nie za-

pominajmy, że u Freuda pistolet symbolizuje środkową kończynę przednią praojca.

Cieszyłem się, że mam go przy sobie - a jeszcze bardziej, że nauczyłem się z nim obchodzić przed dwoma laty, wśród sosen nad moją i Charlotty klaps-hydrą. Farlow, z którym włóczyłem się po tym dalekim lesie, snajper nieźrównany, ze swojej trzydziestki ósemki trafił nawet kolibra, chociaż nie bardzo było potem co zbierać - za dowód celności strzału musiała wystarczyć odrobina opalizującego puchu. Niejaki Krestovski, tytonicznie krzepki policjant na emeryturze, który w latach dwudziestych zastrzelił dwóch zbiegłych więźniów, dołączył do nas i strącił maleńkiego dziecięcia - nawiasem mówiąc, akurat w środku okresu ochronnego. W porównaniu z tymi dwoma sportsmenami byłem oczywiście nowicjuszem i ani razu nie trafiłem, choć owszem, zraniłem wiewiórkę, kiedy przy jakiejś późniejszej okazji wybrałem się tam samopas.

- Leż sobie, leż - szepnąłem do swego kuma, jak kuc drobnego, lecz zwięzłego, i wypilem za jego zdrowie kroplę dżinu.

18

Czytelnik musi teraz zapomnieć o Kasztanach i Kucach, aby towarzyszyć nam w dalszej wędrówce na zachód. Następane dni upłynęły pod znakiem całej serii potężnych burz z piorunami - choć mogła to też być jedna burza, która ocieźzałymi susami przemierzała kraj, a my nie potrafiliśmy jej zgubić, jak i nie potrafiliśmy zgubić detektywa Trappa: właśnie bowiem w tamtych dniach problem Kabrioletu w Kolorze Meksykańskiej Czerwieni narzucił mi się, zupełnie przestaniając kwestię kochanków Lolity.

Dziwne! Ja, zazdrosny o każdego napotkanego mężczyznę - dziwne, że mogłem tak opacznie odczytywać zapowie-

dzi katastrofy. Moją czujność uśpiło pewnie skromne zachowanie Lo przez całą zimę, a zresztą nawet wariat musiałby zgłupieć, zanim by mu wpadło do głowy, że jakiś drugi Humbert zaciekle ściga Humberta i jego nimfetkę po rozległej i szpetnej prerii, przyświecając im jowiszowymi fajerwerkami. Uznałem, *donc*, iż Czerwonego Jaka, który zachowując dyskretny dystans, przebywa wraz z nami kilometr za kilometrem, prowadzi detektyw wynajęty przez jakiegoś nadgorliwca, żeby ustalił, co też wyprawia Humbert Humbert z tą swoją nieletnią pasierbiczką. Jak mi się czasem zdarza w okresach elektrycznych zaburzeń i trzaskających błyskawic, dostałem halucynacji. Mogło to zresztą być coś więcej niż halucynacje. Nie wiem, czym ona, on albo oboje razem zaprawili mój trunek, ale pewnej nocy ogarnęło mnie natrętne uczucie, że ktoś puka do drzwi naszego domku, a gdy je raptem otworzyłem, stwierdziłem dwa fakty: po pierwsze - jestem nagi od stóp do głów, a po wtóre - stoi przede mną jakiś mężczyzna, który lśni bielą w ciemności ociekającej deszczem i zasłania twarz trzymaną w rękę maską Srogiej Szczęki, groteskowego łapsa z komiksów. Parsknął stłumionym śmiechem i czmychnął, a ja zatoczyłem się z powrotem do pokoju, gdzie znów zasnąłem, i po dziś dzień nie jestem pewien, czy cała ta wizyta nie przyśniła mi się pod wpływem narkotyku: dokładnie przestudiowałem poczucie humoru Trappa i wiem, że byłaby to prawdopodobna jego próbka. Taka przy tym grubiańska i bezwzględnie okrutna! Ktoś pewnie na tych konterfektach popularnych kreatur i kretynów krocie zarabiał. Czy nazajutrz rano rzeczywiście widziałem dwóch urwisów, którzy grzebiąc w śmietniku, przymierzali Srogą Szczękę? Ciekawe. Mógł to też być zbieg okoliczności - skutek, jak mniemam, warunków atmosferycznych.

Jako morderca obdarzony fenomenalną lecz wrywkową i chimeryczną pamięcią nie mogę powiedzieć wam, panie

i panowie, którego dokładnie dnia nabrałem niezbitej pewności, że czerwony kabriolet rzeczywiście nas tropi. Pamiętam za to, kiedy po raz pierwszy wyraźnie ujrzałem jego kierowcę. W pewne popołudnie wolno sunąłem w strugach ulewnego deszczu, widząc przez cały czas, jak czerwone widmo pływa i dygocze z żądz w moim lusterku, wtem jednak potop przedł, zamieniając się w tupot osobnych kropeł, a potem ustał. Słońce z poświstem omiotło autostradę, a ja nie miałem ciemnych okularów, zahamowałem więc przy stacji benzynowej. To, co się działo, było chorobą, rakiem, stanem nieuleczalnym, zignorowałem zatem fakt, że nasz cichy prześladowca, tym razem zadaszony, zatrzymał się nieco za nami, przed kawiarnią czy też barem z idiotycznym szyldem: Figa w Figach: Fałsz-Farsz Fotela. Zaspokoiwszy potrzeby swojego samochodu, wszedłem do sklepiku, żeby kupić okulary i zapłacić za benzynę. Akurat wypisywałem czek podróżny, zastanawiając się, gdzie właściwie jestem, gdy przypadkiem spojrzałem w boczne okno i zobaczyłem straszną scenę. Barczysty, łysawy mężczyzna w płaszczu koloru owsianki i ciemnobrązowych spodniach słuchał, co mówi Lo, a mówiła bardzo szybko, wychylona z auta, rytmicznie podkreślając swoje słowa pionowym Ruchem rozcapierzonej dłoni, jak zwykle, gdy chciała coś powiedzieć serio i z naciskiem. Z porażającą siłą uderzyła mnie - jak by to nazwać? - jej poufała swada, która zdawała się świadczyć, że ci dwoje znają się - och, od wielu tygodni. Widziałem, jak tamten drapie się w policzek i kiwa głową, odwraca się i idzie do kabrioletu, masywny, grubawy mężczyzna w moim wieku, trochę w typie Gustawa Trappa, kuzyna mojego ojca, którego pamiętałem ze Szwajcarii - ta sama równo opalona twarz, pełniejsza od mojej, z ciemnym wąsikiem i ustami zwyrodnialca, przypominającymi pączek róży. Lolita studiowała mapę samochodową, kiedy wsiałem do auta.

- O co cię pytał ten człowiek, Lo?

- Człowiek? A, ten gość. A bo ja wiem. Pytał się, czy mam mapę. Widać zabłądził.

Jechaliśmy dalej, a niebawem powiedziałem:

- Posłuchaj, Lo. Nie wiem, czy kłamiesz, czy mówisz prawdę, nie wiem, czy zwariowałaś, czy nie, i chwilowo mnie to nie obchodzi; ale ten osobnik jedzie za nami od rana, jego wóz stał wczoraj przed motelem, a mnie się wydaje, że to policjant. Wiesz przecież, co będzie i dokąd powędrujesz, jeśli policja wykryje, jak sprawy stoją. Więc powtórz mi dokładnie, co ci mówił i co ty mu powiedziałaś.

Roześmiała się.

- Jeżeli to rzeczywiście gliniarz - rzekła przenikliwym tonem, lecz nie bez pewnej logiki - najgorsze, co możemy zrobić, to pokazać mu, że się boimy. Nie zwracaj na niego uwagi, t a t o .

- Pytał, dokąd jedziemy?

- Przecież wie - (szyderczo).

- A zresztą - ciągnąłem, dając za wygraną - zobaczyłem wreszcie jego twarz. Piękny to on nie jest. Wygląda całkiem jak pewien mój krewny, niejaki Trapp.

- Może to naprawdę Trapp. Na twoim miejscu... patrz, wszystkie dziewczątki przekręcają się i pokazują następny tyśiąc. Jak byłam mała - dodała ni stąd, ni zowąd - zawsze myślałam, że staną i cofną się do dziewczątek, jeżeli tylko mama zgodzi się wrzucić wsteczny.

Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy spontanicznie wspomniała swoje prehumbertyjskie dzieciństwo; może w teatrze nauczyła się tej sztuczki; w milczeniu jechaliśmy dalej, przez nikogo nie ścigani.

Lecz nazajutrz - niczym ból w śmiertelnej chorobie, porwacający, ilekroć narkotyk i nadzieja przestają działać - znów pojawiła się za nami bestia o czerwonym połysku. Ruch tego dnia był na szosie nieduży; nikt nikogo nie wy-

przedzał; i nikt nie próbował wskoczyć między nasz skromny niebieski wóz a jego władczy czerwony cień - jak gdyby rzucono czar na dzielący nas odstęp, strefę niegodziwej uciechy i uroków, tak precyzyjnie i niezmiennie odmierzoną, że miała w sobie jakąś szklistą, bez mała artystyczną zaćmienie. Jadący za mną kierowca z tymi swoimi wypchanymi ramionami i strappionym wąsem wyglądał jak manekin, a jego kabriolet zdawał się poruszać tylko dzięki temu, że niewidzialny sznur z bezszelestnego jedwabiu łączył go z naszym zgrzebnym pojazdem. Byliśmy wielokrotnie słabsi od jego wspaniałej, lakierowanej maszyny, toteż nawet nie próbowałem mu umknąć. *O lente currite noctis equi!* O, ci cho galopujcie, - mimo końskiej kuracji nasennej - nocne koszmary! Wspinaliśmy się na długie zbocza i znów z nich zjeżdżaliśmy, przestrzegając ograniczeń prędkości, zwalniając dzieci i transponując czarne zygzaki z żółtych tarcz na zamaszyste zakręty, a jakkolwiek i dokądkolwiek jechałiśmy, zakłęty odstęp sunął między nami nienaruszony, matematyczny, na podobieństwo mirażu - ziemski odpowiednik czarodziejskiego dywanu. I przez cały czas czułem na prawo od siebie prywatny żar jej rozradowanego oka, rozpłomienionego policzka.

Policjant drogowy, głęboko uwikłany w koszmar krzyżujących się ulic - pół do piątej po południu w przemysłowym mieście - był tą ręką przypadku, pod której dotykem czar przysł. Skinieniem dał mi znak, żebym jechał dalej, a potem tą samą dłonią odciął drogę memu cieniowi. Wpuszczono między nas dwadzieścia innych aut, ja zaś pomknąłem przed siebie i zrećnie skręciłem w wąski zaułek. Jakiś wróbel wylądował z gigantyczną okruszyną w dziobie i zaatakowany przez drugiego stracił ją.

Kiedy po paru ponurych przystankach i chwili rozmyślnego kluczenia wróciłem na autostradę, naszego cienia tam nie było.

Lola prychnęła i powiedziała:

- Jeżeli dobrze zgadłeś, kim jest, to głupio zrobiłeś, żeś mu się urwał.

- Nasunęły mi się tymczasem inne hipotezy - odparłem.

- Powinieneś... eee... sprawdzić je... eee... podtrzymując kontakt z podejrzanym, dhogi thato - rzekła Lo, wijąc się w splotach własnego sarkazmu. - Jejku, ale z ciebie zgred - dodała zwykłym tonem.

Spędziliśmy ponurą noc w wyjątkowo plugawym campingu, pod gromką obfitością deszczu, a górą nieustannie przetaczały się prehistorycznie rozchukane grzmoty.

- Nie jestem panią i jeszcze nie pokochałam piorunów – oświadczyła Lo, której lęk przed elektrycznością burz był dla mnie źródłem dość żalostnej pociechy.

Zjedliśmy śniadanie w miasteczku Soda, lud. 1001 osób.

- Sądząc po ostatniej cyfrze - zauważyłem - Pucek już tu jest.

- Aleś ty dowcipny - odparła Lo. - Boki zhywać, thato dhogi.

Znaleźliśmy się tymczasem w krainie bylicy i nastąpiło kilka dni przemilej ulgi (byłem głupi, wszystko w porządku, całe to strapienie wzięło się z niestrawności), a niebawem miejsce urwisk zajęły prawdziwe góry i w przewidzianym czasie wjechaliśmy do Wace.

Och, katastrofa. Zaszło nieporozumienie, źle przeczytała datę w Przewodniku i obrzędy w Pieczarze Czarów już się skończyły! Zniosła to dzielnie, muszę przyznać - a gdy odkryliśmy, że w Wace, tym quasi-kurorcie, istnieje letni teatr i właśnie ma pełnię sezonu, w pewien pogodny wieczór połowy czerwca naturalnie zniosło nas w jego stronę. Naprawdę, nie umiałbym streścić tej sztuki. Był to zapewne jakiś banał z wymuszonymi efektami świetlnymi i przeciętniczką w roli głównej. Przyjemność sprawił mi tylko jeden detal - girlanda siedmiu małych gracji, prawie nierucho-

mych, prześlicznie umalowanych, o nagich członkach – oszołomiona siódemka pokwitających dziewcząt w różnych kolorach gazy, zwerbowanych na miejscu (sądząc po stroniczym poruszeniu, zrywającym się tu i ówdzie wśród Publiczności), żeby przedstawiały żywą tęczę, która nie schodziła ze sceny przez cały ostatni akt, a potem dość kusząco bladła za coraz grubszą warstwą woali. Pomyślałem, pamiętam, że autorzy Clare Quilty i Vivian Darkbloom podkradli ten pomysł dzieci-kolorów z pewnego fragmentu u Jamesa Joyce’a i że dwa kolory są wręcz rozpaczliwie urocze - Pomarańcza (niepoprawna wiercipięta) i Seledynka; ta ostatnia, kiedy wzrok jej przywykł do smolistych mroków otchłani, w której wszyscy o ciężale siedzieliśmy, nagle uśmiechnęła się do matki, a może do protektora.

Gdy tylko spektakl się skończył i ręczny aplauz - zgiełk nie na moje nerwy - zatrząsał wokół mnie, zacząłem popychać i ciągnąć Lo do wyjścia, naglony zrozumiałą wszak u kochanka niecierpliwością, żeby co rychlej znaleźć się wraz z nią w naszym neonowobłękitnym domku wśród oniemiałej, gwiazdzistej nocy: zawsze mi się wydaje, że przyrodzie odbierają głos widoki, które ogląda. Lecz Dolly-Lo guzdrała się w różanym odurzeniu: jej zadowolone oczy zwężyły się w szparki, a wzrok tak zdominował pozostałe zmysły, że ledwie składała bezwładne dłonie w geście klaszkania, który wciąż jeszcze machinalnie powtarzała. Widywałem i wcześniej u dzieci takie stany, ale - na Boga! - to szczególne przecież dziecko wyteęzało krótkowzroczne spojrzenie w stronę dalekiej już sceny, na której mignęły mi jakieś skrawki spółki autorskiej: smoking mężczyzny i nagie ramiona zdumiewająco wysokiej brunetki o jastrzębim profilu.

- Znowu mnie uraziłeś w nadgarstek, bydlaku - cichutko rzekła Lolita, wślizgując się na swoje miejsce w samochodzie.

- Strasznie mi przykro, mój ty kochany ultrafiolku – powiedziałem, bezskutecznie próbując złapać ją za łokieć, i dodałem, żeby zmienić temat, zmienić koleje losu, o Boże, o Boże: - Vivian to nietuzinkowa kobieta. Jestem pewien, że widzieliśmy ją wczoraj w restauracji, w Sodzie z ludem.

- Czasami - odparła Lo - gadasz jak skończony tępak. Po pierwsze Vivian to autor, a autorka nazywa się Clare; po drugie ma czterdzieści lat, męża i domieszkę krwi murzyńskiej.

- Zdawało mi się - powiedziałem, drażniąc się z nią - że właśnie do Quilty'ego wzdychałaś w tych prehistorycznych czasach w starym lubym Ramsdale, kiedy mnie jeszcze kochałaś.

- Co? - odparowała Lo, a cała jej twarz poszła w ruch. - Do tego grubego dentysty? Chyba mnie mylisz z jakimś innym ostrym towarkiem.

A ja pomyślałem sobie, jak te ostre towarki wszystko jednak zapominają, dosłownie wszystko, my zaś tymczasem, starzy kochankowie, hołubimy w pamięci każdy cal ich nimfięstwa.

19

Za wiedzą i zgodą Lo kazałem kierownikowi poczty w Beardsley przekazywać naszą korespondencję na poste restante do Wace i Elphinstone. Nazajutrz rano odwiedziliśmy pierwszą z tych poczty i stanęliśmy w krótkiej, lecz niemrawej kolejce. Pogodna Lo przestudiowała wywieszony na ścianie zbiór zbirów. Przystojny Bryan Bryanski, alias Anthony Bryan, alias Tony Brown, oczy piwne, cera jasna, ścigany jako porywacz. Starszy pan o smutnym wejrzeniu popełnił to faux pas, że skonstruował piramidkę pocztowych szwindli, na domiar złego miał plاتفus. Przed solennym Sullivanem ostrzegano: prawdopodobnie ma broń, na-

leży się spodziewać, że jest wyjątkowo niebezpieczny. Jeśli chcecie sfilmować moją książkę, niech jedna z tych twarzy bardzo wolno przeniknie w moją własną, gdy ja będę na to patrzył. Wisiało też nieostre zdjętko Zaginionej Dziewczynki w wieku czternastu lat, ostatnio nosiła brązowe buty, a we włosach kwiat, rym-cym-cym. Zawiadomić Szeryfa Bullera.

Nie pamiętam, jakie listy na mnie czekały; dla Dolly było świadectwo szkolne i koperta o bardzo niezwykłym wyglądzie. Otworzyłem ją z całą ostentacją i przejrzałem zawartość. Pomyślałem, że pewnie z góry to przewidziano, bo nie okazując najmniejszego niezadowolenia, odeszła w stronę wyjścia, do stoiska z prasą.

„Dolly-Lo: Wiesz, sztuka zrobiła furorę. Wszystkie trzy psy leżały spokojnie - podejrzewam, że Cutler lekko je podtruł - a Linda dokładnie nauczyła się Twojej roli. Nieźle zagrała, czujnie i z pełną kontrolą, tylko trochę jakby bez refleksu i luzu, bez życia, nie mówiąc już o wdzięku m o j e j - i autora - Diany; ale tym razem nikt z autorów nie przyjechał, żeby nam bić brawo tak jak poprzednio, a z dworu słychać było potworną burzę z piorunami, przez którą ucierpiały nasze skromne grzmoty zza kulis. Ach, jak ten czas leci. Teraz, kiedy ze wszystkim już koniec, ze szkołą, sztuką, z aferą Roya, z połogiem mamy (nasze dziecko nie przeżyło, niestety!), wydaje mi się, że to takie stare dzieje, chociaż nawet jeszcze nie zdążyłam porządnie się rozcharakteryzować.

Pojutrze mamy być w Nowym Jorku, a później chyba nie uda mi się wykręcić od wyjazdu z rodzicami do Europy. A to jeszcze nie najgorsza wiadomość. Dolly-Lo! Możesz nie zastać mnie w Beardsley, kiedy tu wrócisz - jeżeli w ogóle wrócisz. Z różnych powodów - jeden powód to wiesz kto, a drugi wcale nie ten, co myślisz - Tata chce, żebym przez

rok chodziła do szkoły w Paryżu, bo będzie tam siedział ze swoim Fullbrightem.

Jak było do przewidzenia, nieszczęsny Poeta potknął się w scenie trzeciej na tych bzdurach po francusku. Pamiętasz? *Ne manque pas de dire à ton amant, Chimène, comme le lac est beau car il faut qu'il t'y mène. Chimène, tekel, fares! Qu'il t'y.* - Co za językołamka! No, sprawuj się, Loli-siu. Buziaczki od Twojego Poety i wyrazy uszanowania dla Szefa. Twoja Mona. PS Moja korespondencja z różnych powodów jest pod ścisłą kontrolą. Więc lepiej zaczekaj, aż napiszę z Europy". (O ile wiem, nigdy nie napisała. W liście tym przewija się zagadkowo dokuczliwa nuta, zbyt jestem jednak dziś zmęczony, żeby ją poddać analizie. Znalazłem go potem w jednym z Przewodników, w którym się przechował, i cytuję tu *à titre documentaire*. Po dwukrotnej lekturze).

Oderwałem się od listu i już miałem... lecz nie zdołałem zlokalizować Lo. Podczas gdy pochłaniały mnie gusła Mony, Lolita wzruszyła ramionami i znikła. - Widział pan może... - spytałem garbusa, który zamiatał podłogę przy wejściu. Owszem, widział, stary chutnik. Zobaczyła, zdaje się, znajomego, i wybiegła na dwór. Też więc wybiegłem. Ja się zatrzymałem - ale nie Lo. Pobiegłem dalej. Znowu się zatrzymałem. Czyli stało się. Odeszła na zawsze.

W późniejszych latach często zadawałem sobie pytanie, czemu właściwie wtedy nie odeszła. Czy sprawił to magnetyzm jej nowych letnich ubrań zamkniętych w moim aucie? Czy jakaś niedopięta sprzączka ogólnego planu? A może po prostu to, że w sumie równie dobrze mogłem posłużyć jej za podwodę do Elphinstone - które i tak było wyznaczonym w sekrecie kresem trasy? Wiem tylko, czego w tamtej chwili byłem pewien: że mnie na zawsze opuściła. Powściągliwe różowe góry półkolem otaczające miasto zdawały się roić od zdyszanych, spieszących, roześmianych, zdysza-

nych Lolit, które topniały w górskiej mgłę. Wielkie W ułożone z białych kamieni na stromym zboczu widocznym w dalekiej perspektywie przecznicy wyglądało jak inicjał wiarołomności.

Nowa, piękna poczta, z której przed chwilą wyszedłem, stała między uśpionym kinem a tajnym sprzysiężeniem topoli. Była dziewiąta rano czasu górskiego. Ulica Główna. Szedłem jej błękitną stroną, zerkając na stronę przeciwną: właśnie wyczarowywał z niej piękno kruchy, młody poranek przetykany błyskami szkła, jeden z tych letnich poranków, które chwieją się i prawie mdleją w obliczu nieznośnie skwarne południa. Przeszedłem przez jezdnię i powlokłem się do najbliższej, lecz i tak dalekiej przecznicy, węsząc i jakby wertując: Lekki, Nieruchomości, Ubiory, Części Zamienne, Bar, Sprzęt Sportowy, Nieruchomości, Meble, Gospodarstwo Domowe, Western Union, Pralnia, Spożywczy. Panie policjancie, panie policjancie, moja córka uciekła. Wzmowie z detektywem; w szantażyście zakochana. Wykorzystała moją zupełną bezradność. Zajrzałem do wszystkich sklepów. W duchu deliberowałem, czy nie zagadnąć któregoś z nielicznych przechodniów. Nie zagadnałem. Posiedziałem trochę w zaparkowanym aucie. Sprawdziłem w ogrodzie publicznym po wschodniej stronie. Wróciłem do Ubiorów i Części Zamiennej. Powiedzialem sobie w przyptywie wściekłego sarkazmu - *unricanement* - że szaleństwem jest podejrzewać ją, bo przecież zaraz wróci.

Wróciła.

Zrobiłem w tył zwrot, strącając dłoń, którą z nieśmiałym, kretyńskim uśmieszkiem położyła mi na rękawie.

- Wsiadaj - powiedziałem.

Posłuchała, a ja dalej chodziłem w tę i z powrotem, borykając się z nienazwanymi myślami i zastanawiając się, jaką wobec jej dwulicowości obrać taktykę.

Niebawem wysiadła z wozu i oto znów szła obok mnie. Moje uszy stopniowo przestroiliły się na stację Lo i nagle usłyszałem, jak mówi, że spotkała dawną koleżankę.

- Tak? Którą?

- Jedną taką z Beardsley.

- Dobrze. Znam na pamięć listę obecności. Alice Adams?

- To nie była dziewczyna z mojej klasy.

- Dobrze. Mam ze sobą listę wszystkich uczniów z całej szkoły. Nazwisko tej koleżanki, jeśli łaska.

- Ona nie chodzi do mojej szkoły. Tylko mieszka w Beardsley.

- Dobrze. Książkę telefoniczną Beardsley też mam ze sobą. Sprawdzimy wszystkich Brownów.

- Wiem tylko, jak ma na imię.

- Mary czy Jane?

- Nie, Dolly. Tak samo jak ja.

- Czyli zabrnęliśmy w ślepą uliczkę - (zamkniętą lustrem, o które łamiesz sobie nos). - Dobrze. Spróbujmy od innej strony. Nie było cię dwadzieścia osiem minut. Co przez ten czas robiły dwie Dolly?

- Poszłyśmy do baru przy aptecze.

- I zamówiłyście...?

- Oj, raptem dwie cole.

- Uważaj, Dolly. Możemy to sprawdzić.

- Przynajmniej ona wzięła colę. Ja napiłam się wody.

- Dobrze. Czy to ten bar?

- No.

- Dobrze. Chodź, przesłuchamy bufetową.

- Chwila, moment. Właściwie to mogło być trochę dalej, zaraz za rogiem.

- Chodź ze mną tak czy owak. Wejdz, proszę. No, spójrzmy. - (Otwierając przykutą łańcuchem książkę telefoniczną). - Uroczyste Pogrzeby. Nie, jeszcze nie. O, jest: Leki, sprzedaż detaliczna. Drogeria Na Wzgórzu. Apteka Lar-

kina. I jeszcze dwie. Chyba nigdzie poza tym w Wace nie da się wypić coli, przynajmniej książka instytucji nie wymienia już innych lokali. Dobrze, sprawdzimy wszystkie po kolei.

- Idź do diabła - powiedziała.

- Lo, bezczelnością daleko nie zajedziesz.

- No dobra - odparła. - Ale i tak mnie nie nakryjesz. Dobra, nie piłyśmy coli ani nic. Tylko pogadałyśmy i pooglądałyśmy sukienki na wystawach.

- Na których wystawach? Na przykład na tej?

- Tak, na przykład.

- Ejże, Lo! Chodź, przyjrzymy się jej bliżej.

Był to zaiste ładny widok. Zadbany młody człowiek zręcznie czyścił odkurzaczem tandetną wykładzinę, na której stały dwie figury, które wyglądały, jakby przed chwilą sponiewierała je nagła eksplozja. Jedna była zupełnie naga, bez peruki i bez rąk. Jej stosunkowo niewielki wzrost i głupkowato pretensjonalna poza wskazywały, że w ubraniu przedstawiałaby - i będzie przedstawiać, gdy znów ją ubiorą - dziewczynkę o wymiarach Lolity. W obecnej postaci była jednak bezpłciowa. Obok stała znacznie wyższa panna młoda w welonie, nienaganna, *intacta*, jeśli pominąć fakt, że brakowało jej jednej ręki. Na podłodze, u stóp obu panien, tam gdzie mężczyzna pracowicie pełzał z odkurzaczem, leżał bukiet z trzech smukłych rąk i peruka blond. Dwie ręce były akurat przypadkiem zgięte, jakby złożone w kurczowym geście zgrozy i błagania.

- Patrz, Lo - rzekłem cicho. - Uważnie się przyjrzyj. Prawda, że to niezły symbol tego czy owamtego? Ale - ciągnąłem, kiedy wsiedliśmy z powrotem do auta - nie zaniedbałem pewnych środków ostrożności. Tu (delikatnie otwierając schowek obok tablicy rozdzielczej), w tym bloczku, mam numer rejestracyjny naszego chłoptasia.

Było to z mojej strony skończone osielstwo, że nie nauczyłem się go na pamięć. Utkwiła mi w niej tylko pierwsza litera i ostatnia cyfra, jakby cały amfiteatr sześciu znaków sklęśł za kolorowym szkłem, zbyt matowym, aby dało się przez nie odczytać środkowy ciąg, lecz akurat na tyle przejrzystym, że odsłaniało oba krańce - wielkie P i szóstkę. Muszę przytoczyć wszystkie te szczegóły (które same przez się zainteresować mogą jedynie zawodowego psychologa), bo w przeciwnym razie czytelnik (ach, gdybym mógł go sobie wyobrazić w postaci uczonego z brodą blond i różnymi ustami, którymi ssie *la pomme de sa canne*, łączywie chłonać mój rękopis!) nie zrozumiałby może, jakiego szoku doznałem, stwierdziwszy, że literze P wyrosła turniura niby u wielkiego B, a szóstkę całkiem usunięto. Reszta, cała w rozmazanych smugach, zdradzających, jak pośpiesznie smarowano siak i wspak gumką na końcu ołówka, z niektórymi częściami cyfr już to całkiem skasowanymi, już to przerobionymi dziecięcą ręką, wobec wszelkich prób logicznej interpretacji jeżyła się niczym kłęb drutu kolczastego. Znałem tylko nazwę stanu - sąsiadującego z tym, w którym leżało Beardsley.

Nic nie powiedziałem. Odłożyłem bloczek do schowka, zamknąłem go i wyjechałem z Wace. Lo ściągnęła z tylnego siedzenia plik komiksów i siedziała w furkoczącej białej bluzce, wystawiając za okno brązowy łokieć, zatopiona po uszy w najnowszych przygodach jakiegoś błazna bądź błagiera. Niecałe sześć kilometrów od Wace skręciłem na parking, w cień drzew, gdzie poranek wysypał na pusty stół swój śmietnik światła; Lo ze zdziwionym półuśmiechem podniosła głowę znad lektury, a ja bez słowa wymierzyłem jej potężny cios wierzchem dłoni, trafiając prosto w gorący i twardy filigran kości policzkowej.

A potem wyrzuty sumienia, dojmująca słodycz rozełkanej pokuty, pokorna miłość, beznadzieja zmysłowego poje-

dnania. Aksamitną nocą, w motelu „Mirana” (Mirana!), całowałem żółtawe podeszwy jej długopalcych stóp, samego siebie składałem w ofierze... Lecz wszystko daremnie. Skazani byliśmy oboje. Ja zaś niebawem miałem wejść w nowy cykl prześladowczy.

Na jednej z ulic Wace, na obrzeżach... O, jestem pewien, że nie było to przywidzenie. Na jednej z ulic Wace mignął mi kabriolet w kolorze meksykańskiej czerwieni - ten sam lub inny, bliźniaczo podobny. Zamiast Trappa siedziało w nim czworo czy pięcioro młodych ludzi różnorodnych płci, nic jednak nie powiedziałem. Od postoju w Wace sytuacja całkiem się zmieniła. Przez kilka dni z rozkosznym naciskiem powtarzałem sobie w duchu, że nikt naszym tropem nie jedzie i nigdy nie jechał; a potem przytłoczyła mnie świadomość, że Trapp zmienił taktykę i dalej nam towarzyszy, raz w tym, raz w innym wynajętym aucie.

Z oszałamiającą łatwością - istny Proteusz autostrady - zmieniał pojazdy. Technika ta sugerowała, że istnieją firmy specjalizujące się w wynajmie „automobilizansów”, nigdy jednak nie zdołałem wykryć tych remiz, z których usług korzystał. Zdaje się, że najpierw używał przedstawicieli rodzaju Chevrolet: z kabrioletu lakierowanego na akademicki beż przesiadł się do małego sedanu w kolorze znanym jako błękit widnokregu, zanim spuścił z tonu i sięgnął po szarość przyboju i szarość zbutwiałą. Następnie zwrócił się ku innym markom, przebiegając przez całą bladą tęczę złamanych odcieni, aż pewnego dnia złapałem się na tym, że próbuję uchwycić subtelny kontrast między naszym marzycielskim błękitem melmotha a błękitem grani oldsmobile’a, którego właśnie wynajął; w tej kryptochromatycznej skali najwierniejszy pozostał jednak rozmaitym szarościom, ja zaś wśród dręczących koszmarów daremnie usiłowałem nałożyć sklasyfikować takie zjawy, jak szarość muszli chryslera, szarość ostu chevroleta, francuska szarość dodge’a...

To, że nieustannie musiałem wypatrywać jego wąsika i rozchełstanej koszuli - albo łysiejącego ciemienia i szerokich barów - kazało mi badać wnikliwym spojrzeniem każde auto, jakie przejeżdżało drogą - za nami, przed nami, obok, ku nam, coraz dalej od nas - każdy wehikuł pod roztańczonym słońcem: samochód spokojnego urlopowicza z pudełkiem chusteczek higienicznych w tylnym oknie; brauwrowo rozpędzony gruchot pełen bladych dzieci, z kudłatym psim łbem wystającym przez okno i z pogiętym błotnikiem; kawalerski sedan jakby prosto z epoki Tudorów, wypchany garniturami na wieszakach; wielką opasłą przyczepę mieszkalną, co sunie zygzakiem na czele kolumny, niedosiężna dla całej tej furii, która gęsiego za nią parkocze; auto z młodą pasażerką uprzejmie przycupniętą pośrodku przedniego siedzenia, jak najbliżej młodego kierowcy; auto z czerwoną łodzią na dachu, odwróconą do góry dnem... Szare auto, które przed nami zwalnia, szare auto, które nas dogania.

Byliśmy w górzystej okolicy, gdzieś między Snow a Champion, i właśnie toczyliśmy się w dół po ledwie wyczuwalnej pochyłości, kiedy znowu wyraźnie ujrzałem Detektywa Amanta Trappa. Szara mgła za nami ściemniała i zgęstniała, przybierając zwartą postać sedanu w kolorze władczeo błękitu. Nasz wóz widocznie przejął się bólem ściskającym moje biedne serce, bo zaczęliśmy nagle ślizgać się od pobocza do pobocza, a coś pod nami bezradnie kłapało.

- Guma, mistrzu - radośnie ogłosiła Lolita. Zahamowałem - tuż nad przepaścią. Lo z założonymi rękami oparła stopę o tablicę rozdzielczą. Wsiadłem i obejrzałem prawe tylne koło. Opona u podstawy była potulnie, ohydnie kanciasta. Trapp zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów za nami. Jego twarz tworzyła w oddali tłustą plamę uciechy. To była moja szansa. Ruszyłem w jego stronę - z genialnym zamia-

rem, żeby poprosić o lewarek, chociaż miałem własny. Trochę się cofnął. Zawadziłem czubkiem buta o kamień - i poczułem się, jakby wokół mnie huknęła salwa śmiechu. Monstrualna ciężarówka wychylną zza pleców Trappa, grzmiało przemknęła - i zaraz usłyszałem jej konwulsyjny klakson. Instynktownie obejrzałem się - i zobaczyłem, że mój wóz pomału odjeżdża. Widziałem komiczną figurkę Lo za kierownicą, silnik najwyraźniej pracował - choć wyraźnie pamiętałem moment, gdy go zgasilem, lecz nie zaciągnąłem przy tym ręcznego hamulca; w krótkiej chwili apoplektycznego czasu, która upłynęła, nim doścignąłem rechoczącą, nareszcie znieruchomiła maszynę, zaświtało mi, jak wiele okazji miała przez ostatnie dwa lata mała Lo, żeby poznać podstawy sztuki szoferskiej. Nagłym szarpnięciem otworzyłem drzwiczki, pewien jak diabli, że specjalnie odjechała, abym nie mógł podejść do Trappa. Ale niepotrzebny był to podstęp, bo zanim ją dogoniłem, Trapp energicznie zawrócił i znikł. Odpocząłem chwilę. Lo spytała, czy nie mam zamiaru jej podziękować - wóz sam zaczął się toczyć, a ona... Nie doczekawszy się odpowiedzi, pogryzła się w studiach nad mapą. Ja zaś wysiadłem i wszczałem „zapasy z zapasem”, jak mawiała w takich razach Charlotta. Niewykluczone, że pomału traciłem rozum.

Ruszyliśmy dalej w naszą groteskową podróż. Daliśmy smętnego i zbędnego nurka w dolinę, a potem już stale pięliśmy się wzwyż. Na stromym zboczu utknąłem za olbrzymią ciężarówką, która nieco wcześniej nas wyprzedziła. Rzęząc, gramoliła się krętą szosą pod górę i nie sposób było ją wyminąć. Prostokącik gładkiego sreberka – wewnętrzna warstwa opakowania gumy do żucia - pofrunął z szoferki prosto w naszą przednią szybę. Przyszło mi na myśl, że jeśli naprawdę tracę rozum, to mogę w końcu kogoś zamordować. Właściwie - rzekł Humbert osiadły na mieliźnie Humbertowi miotającemu się w topieli - sprytnie byłoby

zawczasu się przygotować - przełożyć broń z kasetki do kieszeni - żeby nie przegapić okazji, gdy wreszcie dostanę obłędu.

20

Pozwalając Lolicie studiować aktorstwo, zgodziłem się, błogi bałwan, żeby ćwiczyła się w sztuce kłamstwa. Okazało się bowiem, że studia te nie polegały tylko na rozstrzygnięciu takich kwestii jak ta, wokół czego obraca się zasadniczy konflikt w *Heddzie Gabler* albo gdzie w *Miłości pod lipami* szczytuje akcja, bądź też na analizowaniu nastroju dominującego w *Wiśniowym sadzie*; w rzeczywistości szło o to, żeby się nauczyć mnie zdradzać. Jakże niefortunne wydawały mi się teraz wprawki z symulacji sensualnej, które tak często przerabiała w naszym salonie w Beardsley, ja zaś śledziłem ją z jakiegoś strategicznego punktu obserwacyjnego, gdy - niczym uczestniczka seansu hipnozy lub mistycznego rytuału - tworzyła wyrafinowane wersje dziecięcych zabaw w świat na niby, naśladując kogoś, kto usłyszał jęk w ciemności, pierwszy raz widzi swoją świeżo upieczoną młodą macochę, kosztuje czegoś, czego nie cierpi (na przykład maślanki), czuje woń zgniecionej trawy w bujnym sadzie albo dotyka mirażu rozmaitych przedmiotów szczywanymi, dziewczęczo szczupłymi dłońmi. Do dziś mam w papierach skserowany arkusz z takimi oto zaleceniami:

Ćwiczenie dotykowe. Wyobraź sobie, że podnosisz i trzymasz w ręku: piłeczkę pingpongową, jabłko, lepki daktyl, nową piłkę do tenisa pokrytą puszystą flanelą, gorący kartofel, kostkę lodu, kocię, szczenię, podkowę, pióro, latarkę.

*Pougniatąj palcami następujące urojone akcesoria:
kawalek chleba, kawalek kauczuku, obolałą skroń koleżan-
ki, próbkę aksamitu, płatek róży.*

*Jesteś niewidoma. Obmacaj twarz: młodego Greka,
Cyрана, świętego Mikołaja, niemowłęcia, roześmianego
fauna, śpiącego nieznanego, własnego ojca.*

Ale taka była piękna w wyplataniu tych delikatnych czarów, w sennym spełnianiu zaklęć i obowiązków! W pewne ryzykanckie wieczory w Beardsley potrafiłem też wymóc na niej - obietnicą poczęstunku lub daru - żeby dla mnie zatańczyła, a choć te sztampowe podskoki-rozkroki przywodziły na myśl raczej ekspresję kibiców piłkarskich aniżeli rozlewne podrygi paryskiej petit rat, z rytmów jej nie całkiem jeszcze dojrzałych członków czerpałem wiele radości. Wszystko to jednak wydaje się niczym, doprawdy niczym, gdy wspomnę nieopisane ciarki zachwytu, o które przyprawiła mnie swoją grą w tenisa - upojnie drażniące uczucie, że chwieję się na samym skraju nieziemskiego ładu i splendoru.

Choć posunięta w latach, bardziej była nimfetką niż kiedykolwiek, nimfetką o morelowych członkach, w dziecinnych tenisowych ciuszkach! Skrzydlaci panowie! Żadna wieczność nie jest dla mnie do przyjęcia, jeśli nie dostarczy mi jej takiej, jaką była w tej miejscowości turystycznej w Kolorado, gdzieś między Snow a Elphinstone - kiedy wszystko miała w sam raz: szerokie chłopiące szorty z białego płótna, smukłą talię, morelowy brzuch, piersi przewiązane białą chustką z tasiemkami, które pełzły wzwyż i owijały kark, zakończone z tyłu dyndającym węzłem, tak że nic nie przesłaniało zachłystującej młodych, urokliwych łopatek koloru moreli, ich puszku i czarująco delikatnych kości, ani gładkich pleców, zwężonych ku dołowi. Nosiła czapkę z białym daszkiem. Jej rakieta kosztowała mnie niezłą for-

tunkę. Idiota, po trzykroć idiota! Mogłem ją przecież sfil-mować! Miałbym ją teraz przy sobie, przed oczami, w sali projekcyjnej mego bólu i rozpacz!

Czekała, odpoczywając przez kilka taktów białokreśl-nego czasu, nim zaczęła serwować, i często kozłowała parę razy piłką o kort albo przez chwilę grzebała nóżką, zawsze rozluźniona, zawsze trochę zdezorientowana co do wyniku i taka pogodna, jaka rzadko bywała w swoim mrocznym domowym życiu. Jej tenis stanowił szczyt wszystkiego, w co wedle moich wyobrażeń młode stworzenie wnieść potra-fi sztukę iluzji, choć śmiem przypuszczać, że dla niej wyznaczał geometryczny zrab rzeczywistości.

Wykwintna klarowność wszystkich jej ruchów znajdo-wała swój słuchowy odpowiednik w czystym rezonansie każdego uderzenia. Piłka wnikając w jej władcą aurę nie wiedzieć czemu stawała się bielsza, soczyściej prężna, a precyzyjny instrument, którym Lo w nią godziła, zdawał się niepomierne chwytny i wyrachowany, gdy wreszcie do piłki przywierał. Jej styl rzeczywiście był absolutnie wierną kopią absolutnie mistrzowskiego tenisa - bez żadnych utyli-tarnych rezultatów. Siostra Edusy, Electra Gold, cudowna młoda trenerka, powiedziała mi pewnego razu, kiedy sie-dząc na pulsującej twardej ławce, patrzyłem, jak Dolly igra z Lindą Hall (i przegrywa):

- Dolly ma w środku rakiety autentyczny magnes, tylko czemu, kurczę blade, jest taka uprzejma?

Ach, Electro, cóż to miało za znaczenie - wobec takiej gracji! Już podczas pierwszego gema, który oglądałem, za-lała mnie, pamiętam, fala nieomal bolesnych konwulsji - przez to, że chłonałem tyle piękna. Moja Lolita charakter-ystycznym ruchem zginała lewą nogę, lekko unosząc kolano, aby ze sprężystym rozmachem zacząć serię serwów, a wtedy splatała się i na sekundę zawisała w słońcu żywa sieć równowagi między stopą wspiętą na palce, nieskalaną

pachą, połyskiem ręki i daleko cofniętą rakieta, Lo zaś uśmiechała się, błyskając zębami, do małej planetki zawieszonoj tak wysoko, w zenicie potężnego i foremego kosmosu, który stworzyła specjalnie po to, żeby zdruzgotać go celnym i dźwięcznym trzaśnięciem swego złocistego bicia.

Jej serw, piękny, prostoliniowy i młody, miał klasyczną czystość trajektorii, a mimo błyskawicznego pędu ten długi elegancki sus dość łatwo dawał się odbić, ponieważ brakowało mu rotacji i jadu.

Myśl, że mogłem wszystkie jej uderzenia, wszystkie uroki uniesmiertelnić na wstążkach celulojdu, wyrwa mi dziś z krtani jęk zawodu. O ileż więcej by znaczyły niż te fotki, które spaliłem! Jej bity zza głowy wolej tak miał się do serwu, jak envoi do ballady; moją pieścioszkę nauczono bowiem natychmiast dopadać siatki, tupiąc zwinnymi, zwawymi, biało obutymi stopami. Jej forhend i bekhend były równie dobre, niby lustrzane odbicia, a mnie do dziś świerzbą lędźwie na wspomnienie tej palby jakby z pistoletów, zwielokrotnianej przez rześkie echo i okrzyki Electricity. Jedną z perełek stylu Dolly był krótki półwolej, którego jeszcze w Kalifornii nauczył ją Ned Litam.

Wolała teatr od pływania, a pływanie od tenisa; twierdzą jednak z uporem, że gdybym czegoś w niej zawczasu nie złamał - choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy! - miałyby prócz nienagannego stylu wolę zwycięstwa i zostałyby prawdziwą małą mistrzynią. Dolores z dwiema raketami pod pachą, w Wimbledonie. Dolores jako reklama Dromadera. Dolores przechodzi na zawodowstwo. Dolores gra w filmie małą mistrzynią. Dolores ze swoim siwym, skromnym, spotulniałym mężem trenerem, starym Humbertem.

Duch jej gry nie miał w sobie nic niewłaściwego ani zęganego - chyba żeby radosną obojętność wobec wyniku uznać za fintę nimfetki. Ona, w życiu codziennym taka okrut-

na i przebiegła, plasowała piłkę z niewinnością, szczerością i dobrocią, która pozwalała drugorzędnemu, lecz wytrwałemu graczowi, nawet całkiem niewyrobionemu i nieumiejętnemu, rąbiąc na odlew, dobrnąć do zwycięstwa. Mimo niewielkiego wzrostu z cudowną łatwością panowała nad dziewięćdziesięcioma ośmioma metrami kwadratowymi swojej połowy kortu, gdy już wpadła w rytm wymiany piłek, lecz trwało to tylko dopóty, dopóki mogła tym rytmem kierować, bo w obliczu każdego raptownego ataku lub nagłej zmiany taktyki przeciwnika była kompletnie bezradna. Przy piłce meczowej jej drugi serw - zazwyczaj jeszcze silniejszy i bardziej stylowy od pierwszego (nie miała bowiem ani odrobiny zahamowań, jakie miewają ostrożni zwycięzcy) z harfianym zaśpiewem trącał strunę siatki i rykoszetem wypadał na aut. Szlifowany klejnot skrótu przechwytywał i zgarniał przeciwnik, który ruszał się jak czworonóg i wymachiwał koślawą paletką. Jej dramatyczne ścięcia i wdzięczne woleje bezpretensjonalnie padały mu do stóp. Raz po raz pakowała prosto w siatkę łatwe piłki - i odgrywała wesołą pantomimę konsternacji, garbiąc się w baletowej pozycji, aż loki spadały jej na oczy. Miała grację i impet, lecz tak bezowocne, że nie potrafiła wygrać nawet ze mną, choć szybko dostawałem zadyszki i po staroświecku podkręcałem piłkę.

Jestem chyba szczególnie podatny na magię gier. Podczas szachowych sesji z Gastonem patrzyłem w szachownicę jak w kwadratowy basen, a spod przezroczystej wody różanie prześwitywały rzadkie muszle i fortele widoczne na gładkiej mozaice dna - choć mój zbłąkany przeciwnik dostrzegał tam tylko szlam i mętne wytryski kałamarnic. Podobnie było ze wstępną nauką tenisa, którą nękałem Lo - zanim doznała objawień dzięki lekcjom wielkiego Kalifornijczyka: pozostały mi po tych początkach dręczące, przygnębiające wspomnienia - nie tylko dlatego, że tak bezna-

dziejnie i irytująco irytowała ją każda moja sugestia - lecz i z tego powodu, że jubilerska symetria kortu, zamiast odzwierciedlać utajone w Lolicie harmonie, kompletnie się gmatwała przez niezręczność i rozlazłość krnąbrnego dziecka, które źle uczyłem. Teraz jednak sprawy miały się inaczej, a tego akurat dnia, w czystym powietrzu miasteczka Champion w stanie Kolorado, na imponującym korcie u podnóża stromych kamiennych schodów hotelu „Champion”, w którym nocowaliśmy, czułem, że mogę nareszcie odpocząć od zmory niewiadomych zdrad czających się pod niewinną osłoną jej tonu, jej duszy, jej dogłębnej gracji.

Uderzała mocno i płasko, z typowym dla siebie rozmachem, bez wysiłku, podając mi w głąb kortu posuwiste piłki - a wszystko w jej grze tak było skoordynowane rytmicznie i jawne, że moja praca nóg sprowadzała się właściwie do zamaszystego spaceru - rasowi gracze rozumieją, co mam na myśli. Mój dość ciężko uderzany serw, owoc nauk ojca, którego z kolei nauczył tak serwować Decugis, a może Borman, w każdym razie jakiś jego stary kolega i gracz zawołany, sprawiłby Lo sporo kłopotów, gdybym serio starał się ją kłopotać. Ale któż chciałby mącić spokój takiej kochaneczki? Czy już mówiłem, że jej nagie ramię naznaczone było ósemką szczepionki? Że beznadziejnie ją kochałem? Że miała tylko czternaście lat?

Dociekliwy motyl przeleciał - nurkując - między nami.

Para w tenisowych szortach, rudy typ raptem o jakieś osiem lat młodszy ode mnie, z opalonymi na ostry róż gołeniami, i gnuśna brunetka o posępnym wyrazie ust i twarzym spojrzeniu, mniej więcej dwa lata starsza od Lolity, zjawiła się prosto znikąd. Zwyczajem sumiennych fryców nieśli rakiety w pokrowcach i w ramach, trzymając je nie jak naturalne i wygodne przedłużenia pewnych ściśle wyspecjalizowanych mięśni, lecz młoty, garłacze, świdry albo moje własne grzechy, potworne i nieporęczne. Dość bezce-

remonialnie rozsiedli się tuż obok mojej cennej marynarki na ławce przy korcie i zaczęli bardzo elokwentnie podziwiać serię jakichś stu piłek, którą Lo niewinnie pomagała mi pielęgnować i podsycać - aż w cykl ten wdarła się synkopa, a moja partnerka jęknęła, bo jej bity zza głowy smecz poleciał na aut, i cała się rozpuściła w ujmującej wesołości, pieszczoszka moja złota.

Chciało mi się już pić, podszedłem więc do kranu; tam też zaczął mnie Rudy i z całą pokorą zaproponował miksta.

- Nazywam się Bill Mead - rzekł - a to jest Fay Page, aktorka. Mafii Anse - dodał (i idiotycznie zakapturzoną rakieta wskazał ogładzoną Fay, która zdążyła tymczasem nawiązać rozmowę z Dolly). Miałem już powiedzieć: „Przykro mi, ale...” (bo nie znoszę, żeby moją fillutkę mieszano do chlastów i sztychów marnych patałachów), gdy uwagę mą odwrócił czyjs arcymelodyjny okrzyk: goniec hotelowy zbiegał po schodach prowadzących z hotelu na nasz kort, dając mi znaki. Byłem proszony, wyobraźcie sobie, do telefonu: pilna międzymiastowa, tak pilna w istocie, że specjalnie dla mnie trzymano połączenie. Ależ oczywiście. Włożyłem marynarkę (w wewnętrznej kieszeni ciążył pistolet) i powiedziałem Lo, że za minutę wrócę. Właśnie podnosiła z ziemi piłkę - między stopą a rakieta, tym europejskim sposobem, który był jedną z niewielu ładnych rzeczy, jakich ją nauczyłem - i uśmiechnęła się - uśmiechnęła się do mnie!

Straszliwy spokój unosił na fali me serce, gdy szedłem za gońcem po schodach do hotelu. To już było - że użyję amerykańskiego wyrażenia, które odkrycie, zemstę, mękę, śmierć i wieczność scedza w osobliwie niesmaczną esencję - d n o . Zostawiłem ją w rękach przeciętniaków, ale już się tym zbytnio nie przejmowałem. Oczywiście zamierzałem walczyć. O, jeszcze jak walczyć. Lepiej zniszczyć wszystko niż jej się wyrzec. Owszem, niezgorsza wspinaczka.

W recepcji dostoyny jegomość z rzymskim nosem i, jak mniemam, mocno niejasną przeszłością, którą może warto by zbadać, podał mi własnoręcznie napisaną notatkę. Połączenie w końcu jednak przerwano. Wiadomość brzmiała:

„Panie Humbert. Telefonowała dyrektorka szkoły w Burdsley (sic!). Jej numer na czas wakacji - Burdsley 2-8282. Proszę natychmiast oddzwonić. Bardzo ważne”.

Wpasowałem się w budkę telefoniczną, tyknąłem proszek i przez jakieś dwadzieścia minut szamotałem się z kosmatymi kosmitami. Po pewnym czasie kolejno rozbrzmiał czterogłos tez: sopran - w Beardsley nie ma takiego numeru; alt - panna Pratt jest w drodze do Anglii; tenor - ze szkoły w Beardsley nikt nie dzwonił; bas - nikt nie mógł dzwonić, bo nikt nie wiedział, że tego akurat dnia jestem w Champion w Kolorado. Lekko przeze mnie kolnięty Rzymianin pofatygował się, żeby sprawdzić, czy w ogóle była jakaś międzymiastowa. Nie było. Niewykluczone, że ktoś ją sfingował, dzwoniąc z miejscowego aparatu. Podziękowałem. Odpowiedział: Jest za co. Odwiedziłem szemrzącą toaletę dla panów, wypilem przy barze coś mocniejszego i rozpocząłem powrotny marsz. Już z pierwszego tarasu Ujrzałem daleko w dole, na korcie małym jak niedbale wytarta uczniowska tabliczka, złocistą Lolitę grającą debła. Ruszała się niczym jasny anioł wśród trojga okropnych kalek rodem z Boscha. Jeden z tych potworów, jej partner, przy zmianie stron żartobliwie klepnął ją rakieta w siedzenie. Miał niezwykle okrągłą głowę i brązowe spodnie, całkiem niestosowne. Nastąpiła chwila popłochu - zauważył mnie i ciskając precz rakieta - moja! - czmychnął w górę po zбочu. Zgiął ręce w łokciach i machał nimi, komicznie udając, że trzepocze szczytkowymi skrzydłami, kiedy na pałkowatych nogach piął się w stronę ulicy, gdzie czekał jego szary samochód. Zaraz potem znikł, a wraz z nim znikła szara

plama. Gdy zszedłem na dół, pozostali troje zbierali i dzielili piłki.

- Panie Mead, kto to był?

Bill i Fay z wielką powagą pokręcili głowami.

Ten absurdalny intruz wprosił się na czwartego do debła, prawda, Dolly?

Dolly. Rączka mojej rakiety była jeszcze obrzydliwie ciepła. Zanim wróciliśmy do hotelu, zagnałem Lo w alejkę na wpół zdławioną wonnymi krzewami, pełną kwiatów skłębionych jak dym, i już miałem wybuchnąć soczystym szlochom i w najbardziej upadający sposób błagać jej niewzruszony sen, żeby mi objaśnił, choćby i najwzsteczniej, cóż to za niespieszna straszliwość mnie spowija, gdy wtem znaleźliśmy się za dwojgiem Meadów, których aż skręcało - jak te niedobrane towarzystwa, wiecie państwo, co to w starych komediach spotykają się w sielskiej scenerii. Bill i Fay zataczali się ze śmiechu - tuż przed naszym nadejściem ich prywatny dowcip doczekał się pointy. Ale nie było to istotne.

Przybierając taki ton, jakby istotnie nie było to istotne, i najwidoczniej zakładając, że życie automatycznie toczy się dalej, pełne rutynowych rozrywek, Lolita oświadczyła, że chce się przebrać w kostium kąpielowy i spędzić resztę popołudnia na basenie. Dzień był przepiękny. Lolita!

21

Lo! Lola! Lolita! - Słyszę swój okrzyk rzucony z otwartych drzwi prosto w słońce, a akustyka czasu, sklepionego czasu, nasycy moje znamienne schryplę wołanie takim bogactwem niepokoju, namiętności i bólu, że zaiste pękłby od tego suwak jej nylonowego całunu, gdyby już nie żyła. Lolita! Na środku zadbanego trawiastego tarasu znalazłem ją wreszcie - wybiegła, nim byłem gotów. Och, Lolita! Bawiła

się z jakimś przeklętym psem, nie ze mną. Zwierzak, coś na kształt teriera, gubił i znów chwycił i dopasowywał sobie do szczęk mokrą czerwoną piłeczkę; przednimi łapami darł raptowne akordy na ustępliwej darni i odbiegał w podskokach. Chciałem tylko sprawdzić, gdzie jest Lo, nie mogłem pływać z sercem w takim stanie, ale co mi tam - była, i byłem ja, w płaszczu kąpielowym - więc przestałem wołać; lecz gdy pomykała to tu, to tam w kąpielówkach i staniku, z meksykańska czerwonych, coś w rytmie jej ruchów nagle mnie uderzyło... była w tych figlach ekstaza, szaleństwo nazbyt zadowolone. Nawet pies wydawał się zbity z tropu takim brakiem umiaru. Zrobiłem przegląd sytuacji - i aż chwyciłem się łagodną dłonią za pierś. Turkusowy basen zza trawnika nie chlupotał już za trawnikiem, lecz u mnie w klatce piersiowej, a moje narządy pływały w nim jak ekskrementy w błękitnym morzu Nicei. Jakiś pływak wyszedł z basenu i na wpół ukryty w pawim cieniu drzew znieruchomiał, trzymając oburącz końce ręcznika przewieszonoego przez kark i wodząc za Lolitą bursztynowymi oczami. Stał zakamuflowany słońcem i cieniem, zniekształcony przez nie i zamaskowany własną nagością, zmokłe czarne włosy, a raczej ich resztki, oblepiały mu okrągłą głowę, wąsik wyglądał jak wilgotny kleks, wełna na piersi przypominała symetrycznie rozpięte trofeum myśliwskie, pępek pulsował, włochate uda ociekały migoczącymi kropelkami, czarne kąpielówki, obcisłe i mokre, trzeszczały w szwach, rozdęte animuszem w miejscu, gdzie wielki, opasły byczywór podciągnięty wzwyż i wspak osłaniał watowaną tarczą na wznak odwrócone bestialstwo. A kiedy spojrzałem w jego orzechową, owalną twarz, zaświtało mi, po czym go w ogóle poznałem: po tym, że odbijała się w nim fizjonomia mej córki - ta sama błogość i grymas, ale zohydzone męskością. Wiedziałem też, że mała, moja mała wie, że on patrzy, i zachwycona chutliwością tego spojrzenia baraszkuje

i bryka na pokaz, dziwka nikczemna, lecz umiłowana. Mi-
nawszy się z piłką padła na plecy i jak szalona zapedało-
wała w powietrzu nieprzyzwoicie młodymi nogami; ze
swego miejsca wyczułem piżmo jej ekscytacji, a po chwili
zobaczyłem (sparaliżowany czymś w rodzaju świętego ob-
rzydzenia), że tamten zamyka oczy i obnaża drobne, prze-
rażająco drobne i równe zęby, opierając się o drzewo, w
którego koronie drżało mrowie cętkowanych Priapów. Tuż
potem dokonana się cudowna przemiana. Nieznajomy z sa-
tyra przedzierzgnął się w wielce dobrodusznego i głupiego
kuzyna ze Szwajcarii, nieraz już tutaj wspomnianego Gus-
tawa Trappa - tego, co to neutralizował skutki swych „po-
hulanek” (pijał piwo z mlekiem, świątobliwy świntuch)
kulturystycznymi wyczynami: zataczał się i stękał na plaży
nad jeziorem, zawadiacko zsunawszy z jednego barku nic
poza tym nie pozostawiający do życzenia kostium kąpielowy.
Tutejszy Trapp zauważył mnie z daleka i trąc ręczni-
kiem o kark, z udawaną nonszalancją podszedł do basenu.
Jak gdyby słońce wycofało się nagle z gry, Lo straciła całą
werwę i wolno podniosła się z ziemi, nie zwracając uwagi
na piłkę, którą położył przed nią terier. Któż odgadnie, jak
psu serce pęka, kiedy nie chcemy już dłużej z nim swawo-
lić? Zacząłem coś mówić, ale z potwornym bólem w piersi
usiadłem na trawie i zwymiotowałem brązowo-zielony po-
top, choć wcale nie pamiętałem, żebym go przedtem zjadł.

Podchwyciłem spojrzenie Lolity, raczej wyrachowane
niż prze straszone. Usłyszałem, jak mówi do jakiejś życzli-
wej pani, że jej ojciec dostał ataku. Potem długo leżałem w
klubowym fotelu, wychylając małpkę za małpką dżinu. A
nazajutrz rano czułem się na siłach jechać dalej (czemu w
późniejszych latach żaden lekarz nie dał wiary).

Dwupokojowy domek przygotowany dla nas w motelu „Pod Srebrną Ostrogą” w Elphinstone okazał się jedną z tych chat z sosnowego bala zrobionego na brązowy połysk, które Lolita tak lubiła za czasów naszej pierwszej, beztraskiej podróży; jakże inaczej dziś sprawy się miały! I nie mówię tu o Trappie czy Trappach. W końcu przecież - no, doprawdy... W końcu przecież, panowie, przybywało niezbitych dowodów, że wszyscy ci identyczni detektywi w przyrmatycznie zmiennych autach są jedynie tworamiej manii prześladowczej, wizjami nasyłanymi raz po raz przez zbieg okoliczności i przypadkowe podobieństwo. *Soyons logiques*, piała z galijska rozkogucona część mego mózgu - i wypierała wszelką myśl o zwariowanym na punkcie Lolity komiwojażerze albo bandycie z komedii, który z pomocą fagasów prześladowuje mnie, okpiwa i w ogólnym rozwydrzeniu wykorzystuje specyfikę moich stosunków z prawem. Pamiętam, że nuciłem, aby zagłuszyć strach. Pamiętam, że zdołałem nawet jakoś sobie wyjaśnić telefon z „Burdlesley”... O ile jednak potrafiłem zbagatelizować Trappa, tak jak zbagatelizowałem swoje konwulsje na trawniku w Champion, byłem bezbronny wobec katuszy, które zadawała mi świadomość, że Lolita jest tak kusząco, tak żałośnie niedostępna i ukochana akurat u progu nowej ery, gdy moje alembiki wykazują, że powinna przestać wreszcie być nimfetką, przestać mnie dręczyć.

Nadprogramowe, odrażające i najzupełniej zbędne zmartwienie troskliwie zgotowano mi w Elphinstone. Lo była niemrawa i milcząca przez cały ostatni etap - ponad trzysta górzystych kilometrów, których nie zakłócił żaden łupkowoszary łaps ani kluczący clown. Ledwie spojrzała na słynną, dziwnie ukształtowaną, wspaniale rumianą skałę, choć jej sterczący nad górami wierzchołek posłużył niegdyś

pewnej porywczej pannicy z rewii za punkt startu w nirwanę. Miasto dopiero co zbudowano, a może odbudowano, na płaskim dnie doliny, dwa tysiące metrów nad poziomem morza; miałem nadzieję, że Lo szybko zacznie się nudzić i popędzimy do Kalifornii, nad granicę z Meksykiem, nad mityczne zatoki, w pełne kaktusów pustynie, w strefę fatamorgany. Jose Lizzarrabengoa, jak pamiętacie, zamierzał wywieźć swoją Carmen do *Etats Unis*. Ja natomiast wymyśliłem środkowoamerykański turniej tenisa z olśniewającym udziałem Dolores Haze i rozmaitych kalifornijskich mistrzyń w wieku szkolnym. Na tym uśmiechniętym poziomie wojaże dobrej woli kasują różnicę między paszportem a sportem. Czemu miałem nadzieję, że za granicą będziemy szczęśliwi? Zmiana otoczenia to tradycyjna mrzonka, opoka skazanych na zagładę miłości - i płuc.

Pani Hays, żwawa, ceglasto uróżowana, niebieskooka wdowa, która prowadziła motel, spytała, czy jestem może Szwajcarem, bo jej siostra wyszła za instruktora narciarskiego tej właśnie narodowości. Odparłem, że owszem, a moja córka jest w połowie Irlandką. Wpisałem się, Hays wręczyła mi klucz, dodała migotliwy uśmiech i nie przestając migotać, pokazała, gdzie mam zaparkować wóz; Lo wyczołgała się z niego i lekko zadrżała: świetliste powietrze wieczoru było zdecydowanie rześkie. Po wejściu do domku usiadła na krześle przy stoliku do kart, ukryła twarz w zgięciu łokcia i oświadczyła, że fatalnie się czuje. Pozorantwo, nic tylko pozorantwo, a wszystko po to, żeby uniknąć moich pieśczoł - pomyślałem, spalany namiętnością; zaczęła jednak skowyczeć w niecodziennie okropny sposób, gdy spróbowałem ją pogłaskać. Lolita chora. Lolita konająca. Skórę miała tak rozpaloną, że aż parzyła! Zmierzyłem jej temperaturę w ustach i zajrzałem do wzoru, który na szczęście zawczasu nabazgrałem w notesie, a kiedy już mozolnie przeliczyłem nic mi nie mówiące stopnie Fah-

renheita na znajomą jeszcze z dzieciństwa skalę Celsjusza, stwierdziłem, że ma czterdzieści i cztery - co przynajmniej brzmiało zrozumiale. Wiedziałem, że u histeryzujących nimfeczek temperatura potrafi osiągać najrozmaitsze poziomy - nawet powyżej śmiertelnego. Byłbym ją uraczył łyżkiem grzanego wina z przyprawami i dwiema tabletkami aspiryny, i pocałunkami przegnał gorączkę, gdybym badając jej prześliczny języczek podniebienny, jeden z klejnotów jej ciała, nie zobaczył, że jest płomiennie czerwony. Rozebrałem ją. Oddech miała słodko-gorzki. W jej brunatnej róży wyczułem smak krwi. Dygotała od stóp do głów. Skarżyła się na bolesną sztywność w górnym odcinku kręgosłupa - a ja pomyślałem, czy to aby nie Heine-Medina, tak jak pomyślałby każdy amerykański rodzic. Pożegnawszy się z nadzieją zbliżenia, owinąłem Lo szlafrokiem i zaniósłem do auta. Uczynna pani Hays zawiadomiła tymczasem miejscowego lekarza.

- Pańskie szczęście, że akurat tu się to stało - powiedziała; nie dość bowiem, że Blue był najlepszym lekarzem w całym okręgu, to jeszcze w dodatku Elphinstone miało najnowocześniejszy z nowoczesnych szpitali, choć o ograniczonej liczbie miejsc. Umykając przed pościgiem heteroseksualnego Erlköniga tam właśnie pojechałem, na wpół oślepiony królewskim zachodem słońca od strony nizin, prowadzony przez drobną starowinkę, kieszonkową wiedźmę, może jego córkę, którą pożyczyła mi pani Hays, a której nigdy już potem nie ujrzałem. Doktor Blue, z pewnością znacznie mniej wykształcony niż słynny, zaręczył, że to infekcja wirusowa, a kiedy wspomniałem o stosunkowo niedawnej grypie Lo, odparł zwięźle, iż tym razem dopadło ją inne paskudztwo, sam ma teraz na głowie czterdzieści takich przypadków; w sumie przywodziło to na myśl „febry” starożytnych. Zastanawiałem się, czy nie napomknąć ze zdawkowym chichotem o drobnym wypadku, który zdarzył

się mojej piętnastoletniej córce podczas wspólnej z kolegą wspinaczki na niewygodny płot, pamiętając jednak, że jestem pijany, postanowiłem zakomunikować mu to później, jeśli zajdzie potrzeba. Posępnej suce z sekretariatu powiedziałem, że córka ma lat „właściwie szesnaście”. A kiedy spuściłem z oka moje dziecko, odebrano mi je! Próżno żądałem, żeby pozwolono mi przenocować na wycieracze z powitalnym napisem, w jakimś kącie tego ich przekłętego szpitala. Wbiegałem po konstruktywistycznych schodach, usiłując odszukać moją miłą i przestrzec ją, iżby przypadkiem czegoś nie chlapnęła, zwłaszcza jeśli w głowie jej się kręci tak jak nam wszystkim. W pewnym momencie byłem dość przerażająco niegrzeczny wobec bardzo młodej i bardzo pyskatej pielęgniarki o nadmiernie rozrośniętych mięśniach pośladkowych i oczach pałających czernią - z Basków, jak się później okazało. Jej ojcem był importowany owczarz, treser owczarków. W końcu wróciłem do auta i spędziłem w nim sam nie wiem ile godzin: skulony w mroku, oszołomiony tą całkiem świeżą samotnością, gapiłem się z rozdziawionymi ustami już to na skąpo oświetlony, bardzo kwadratowy i niski budynek szpitala, przykucnięty pośród trawników, już to na powódź gwiazd i srebrzyste szczyby szaińców owej *haute montagne*, gdzie w tejsze sekundzie ojciec Mary, osamotniony Joseph Lore, śnił o Oloron, o Lagore, o Rolas - *que sais-je!* - albo uwodził owcę. Tego rodzaju wonne, wędrowne myśli zawsze mnie pocieszały w szczególnie ciężkich chwilach, i dopiero gdy pomimo hojnych haustów poczułem, że bezkresna noc wyraźnie mnie odrętwia, pomyślałem o powrocie do motelu. Staruszka gdzieś tymczasem znikła, a ja nie byłem pewien, czy dobrze jadę. Szerokie drogi wysypane tłuczniem przecinały niewyspane czworokątne cienie. Rozróżniłem w ciemności sylwetkę jakby szubienicy na placu, który był prawdopodobnie szkolnym boiskiem; na innej z kolei

spustkowiącej posesji w sklepionej ciszy wznosiła się biała świątynia jakiejś miejscowej sekty. Znalazłem w końcu autostradę, a potem i motel, przed którym miliony tak zwanych „sówek”, czyli pewnego rodzaju owadów, roily się wokół neonowych konturów napisu „Wolnych Miejsc Brak”; a gdy o trzeciej nad ranem, po prysznicu gorącym i wziętym nie w porę, jednym z tych, które niczym zaprawa farbiarska tylko ugruntowują w człowieku rozpacz i znużenie, położyłem się na jej łóżku, pachnącym kasztanami i różami, i mięta, i tymi bardzo delikatnymi, bardzo niezwykle perfumami francuskimi, których ostatnio pozwoliłem jej używać - w żaden sposób nie mogłem przyjąć do wiadomości prostego faktu, że oto po raz pierwszy od dwóch lat rozłączono mnie z moją Lolitą. Natychmiast przyszło mi na myśl, że jej choroba jest w pewnym sensie rozwinięciem tematu - że ma ten sam smak i ton, co łańcuch wrażeń, które tak mnie dręczą i zbijają z tropu w trakcie podróży; ubrałem sobie, że ów tajny agent czy amant, Onan czy omam - kto go zresztą wie, kim był - włóczy się wokół szpitala, i ledwie Aurora „ogrzała dłonie”, jak mawiają w mej ojczyźnie zbieracze lawendy, znów stanąłem u zielonych drzwi tego lochu i zacząłem do nich się dobijać, bez śniadania, bez stolca, w rozpacz.

Stało się to we wtorek, a już w środę czy też w czwartek była bardzo kochana, bo znakomicie przyswoiwszy jakąś surowicę (z żółci żolny albo z gnoju gnu), poczuła się znacznie lepiej i lekarz orzekł, że za parę dni znów będzie mogła „skikać”.

Z ośmiu wizyt, które jej złożyłem, tylko ostatnia pozostała ostro wryta w mej pamięci. To, że w ogóle przyszedłem, było wielkim wyczynem, gdyż czułem się kompletnie wydrążony przez infekcję, tymczasem bowiem mnie z kolei wzięła ona w obroty. Nikt nigdy się nie dowie, z jakim wysiłkiem przydzwigałem ten bukiet, ten ładunek miłości,

te książki, po które musiałem przejechać prawie sto kilometrów do księgarni: *Utwory dramatyczne* Browninga, *Historię tańca*, *Clownów i kolombiny*, *Balet rosyjski*, *Kwiaty Gór Skalistych*, *Antologię Teatralnej Konfraterni*, *Tenis pióra* Helen Wills, która mając piętnaście lat, zwyciężyła w Krajowym Turnieju Dziewcząt w Grze Pojedynczej. Kiedy wlokłem się do drzwi izolatki mej córki - trzynaście dolarów dziennie! - Mary Lore, dochodząca pielęgniarka, ta młoda bestia jawnie mi niechętna, wychynęła z nich, niosąc tacę po śniadaniu, z pospiesznym trzaskiem odstawiła ją na krzesło w korytarzu i trzęsąc tylną częścią ciała, śmignęła z powrotem do pokoju - pewnie po to, by ostrzec swoją biedną małą Dolores, że jej ojciec, stary tyran, skrada się i słańnia na podszwach ze słoniny, bukinista z bukietem: ten ostatni skomponowałem z dzikich kwiatów i pięknych liści, które zbierałem własnymi urękawiczonymi dłońmi na pewnej górskiej przełęczy o wschodzie słońca (w owym rozstrzygającym tygodniu prawie nie sypiałem).

Czy aby dobrze tu karmią moją Carmencitę? Od niechętnia zerknąłem na tacę. Na poplamionym żółtkiem talerzu leżała zmięta koperta. Widocznie coś w niej przysłano, bo jeden brzeg miała rozdarty, ale nie było adresu - ani słowa, tylko podejrzenie heraldyczne godło z wydrukowanym zielonymi literami napisem „Klub Ponderosa”; następnie wykonałem *chassé-croisé* z zaaferowaną Mary, która właśnie wybiegała z powrotem na korytarz: niesamowite, jak żwawo się uwijają takie przysadziste młode pielęgniarki, a jak niewiele udaje im się przy tym zdziałać.

Groźnie spojrzała na kopertę, którą tymczasem rozproszowałem i odłożyłem na talerz.

- Lepiej pan nie rusza - poradziła, wskazując głową. - Jeszcze palce sparzy.

Riposta byłaby poniżej mej godności. Odparłem więc tylko:

- *Je croyais que c'était un rachunek, a nie ruchanek.* - Po czym, już w słonecznym pokoju, do Lolity: - *Bonjour, mon petit.*

- Dolores - powiedziała Mary Lore, która właśnie weszła wraz ze mną, mimo mnie, przeze mnie, pulchna kurwa, mrugając oczami, zaczęła błyskawicznie składać biały flanelowy koc i rzekła, nie przestając mrugać: - Dolores, twój tatuś myśli, że dostajesz listy od mojego chłopaka. To ja (pukając się z błogą obłudą w pozłacany krzyżyk na szyi) je dostaję. A mój tatuś ma nie gorszy parlewuj od twojego.

I wyszła. Dolores, taka różana i kasztanowa, ze świeżo umalowanymi ustami, z włosami wyszczotkowanymi do połysku, z nagimi rękami wyprostowanymi na gładkiej narzucie, leżała niewinnie, utkwivszy promienne spojrzenie we mnie albo w niczym. Na szafce nocnej obok papierowej serwetki i ołówka płonął w słońcu jej pierścionek z topazem.

- Co za pogrzebowe kwiaty, makabra - powiedziała. - Tak czy owak dziękuję. Ale nie mógłbyś sobie darować tej francuszczyzny? Wszystkich wnerwia.

Rozpędzona jak zwykle wróciła żrała dziewczka cuchnąca moczem i czosnkiem, niosąc „Deseret News”, a jej nadobna pacjentka skwapliwie sięgnęła po gazetę, nie zwracając uwagi na przepysznie ilustrowane tomy, które przyniosłem. - Moja siostra Ann - rzekła Mary (po namyśle uzupełniając komunikat) - robi w Ponderosie.

Biedny Sinobrody. Ci brutalni bracia. *Est-ce que tu ne m'aimes plus, ma Carmen?* Ani teraz, ani nigdy. Wiedziałem w tamtej chwili, że moja miłość osiągnęła dno bez nadziei - tak jak wiedziałem, że obie dziewczyny są w zmoiwie i spiskują po baskijsku albo po zemfiriąnsku na zgubę mej beznadziejnej miłości. Posunę się nawet do przypuszczenia, że Lo prowadziła podwójną grę, równocześnie bowiem zwodziła sentymentalną Mary, powiedziawszy jej za-

pewne, iż woli mieszkać z rozrywkowym młodym stryjkiem niż ze mną, melancholijnym okrutnikiem. I jeszcze jedna pielęgniarka, której nigdy nie zidentyfikowałem, i wioskowy przygłupek, który wwoził do windy łożka polowe i trumny, i nierozgarnięte zielone nierozłączki w klatce w poczekalni - wszyscy oni byli w zмовie, w obmierzłej zмовie. Mary myślała pewnie, że profesor Humbertoldi, komediowy ojciec, przeszkadza Dolores romansować z ojcem zastępczym, którym jest korpulentny Romeo (bo wiesz, Rom, rzeczywiście byłeś wtedy dosyć spasiony, mimo tej swojej „koki” i „łyskacza”).

Zabolało mnie gardło. Przetykając ślinę, stanąłem przy oknie i spojrzałem na góry, na romantyczną skałę strzelającą w uśmiechnięte, spiskujące niebo.

- Moja Carmen - powiedziałem (bo czasem tak na nią mówiłem) - opuścimy to miasto, jak tylko wstaniesz z łożka.

- A tak przy okazji, to przywieź mi całe moje ubranie – odparła *gitanilla*, podciągając kolana i przewracając kartkę.

- ...Bo właściwie - ciągnąłem - nie ma sensu dłużej zalegać w tej bolesnej odleżynie.

- W ogóle nigdzie nie ma sensu zalegać - rzekła Lolita.

Powoli usiadłem w fotelu obitym kretonem, otworzyłem efektowne dzieło botaniczne i wśród ciszy szumiącej gorączką spróbowałem ustalić, jakie właściwie przyniosłem kwiaty. Okazało się to niewykonalne. Gdzieś w korytarzu niebawem cicho zadźwięczał melodyjny dzwonek.

W tym pokazowym szpitalu był chyba najwyższy tuzin pacjentów (w tej liczbie trzech czy czterech wariatów, o czym już wcześniej z radością powiadomiła mnie Lo), więc personel miał zbyt wiele wolnego czasu. Za to - także na pokaz - surowo przestrzegano regulaminu. Trzeba też przyznać, że zawsze przychodziłem poza przepisową porą wizyt. Mary natchniona wizją (następnym razem ukaże jej się *une belle dame toute en bleu*, sunąca nad Ryczącym Jarem), nie

bez potajemnego dreszczu marzycielskiej *malice*, skubnęła mój rękaw, żeby mnie wyprowadzić. Spojrzałem na jej dłoń; opadła. Kiedy wychodziłem, całkiem zresztą dobrowolnie, Dolores Haze przypomniała mi, że nazajutrz rano mam przywieźć... Nie pamiętała, gdzie leżą te rozmaite rzeczy, których potrzebuje...

- Przywieź mi - zawołała (już niewidoczna, drzwi w ruchu, przymknięte, zamknięte) - tę nową szarą walizkę i kufer Mamy!

Lecz nazajutrz rano dygotałem, zalewałem robaka i konałem w motelowym łóżku, z którego korzystała zaledwie parę minut, mogłem więc w tych pokrętnych i falujących okolicznościach najwyżej posłać obie walizki przez narzeczonego wdowy, krzepkiego i uczynnego kierowcę ciężarówki. Wyobrażałem sobie, jak Lo pokazuje Mary swoje skarby... Niewątpliwie byłem odrobinę obłąkany i jeszcze na drugi dzień musiałem mieć konsystencję raczej wibracji niż ciała stałego, bo spojrzawszy z okna łazienki na pobliski trawnik, zobaczyłem, że piękny młody rower Dolly stoi podparty ukośną nóżką, przednie koło wdzięcznie unika mego spojrzenia, tak jak zawsze go unikało, a na siodełku przycupnął wróbel - był to jednak rower gospodyni, więc z lekkim uśmiechem pokręciłem skołataną głową nad swymi lubymi rojeniami, słaniając się wróciłem do łóżka i ległem cichutko jak święty -

*Święty, wierę! Gdy Dolores
Na słonecznym spłachciu trawy
Wraz z Sanchichą w sjęsty porę
Czyta „Film” - ot, dla zabawy -*

- liczne okazy tego gatunku czasopism witały bowiem Dolores, gdziekolwiek się pojawiała, w mieście zaś obchodzono jakąś wielką narodową uroczystość, sądząc po huku

fajerwerków, strzelających raz po raz jak autentyczne bomby, a za pięć czternasta usłyszałem czyjś gwizd, coraz bliżej uchylonych drzwi mojego domku, w które po chwili zalomotano.

Był to Duży Frank. Nie wychodząc z ramy otwartych drzwi, stanął oparty ręką o futrynę, lekko pochylony do przodu.

Bry. Dzwoni siostra Lore. Pyta, czy lepiej się czuję i czy dzisiaj zajrzę?

Dawniej, z dwudziestu kroków, Frank wyglądał jak góra zdrowia; z pięciu okazał się ogorzałą mozaiką blizn: gdzieś za morzem przebiło nim ścianę; mimo tych nienazwanych obrażeń umiał jednak prowadzić gigantyczną ciężarówkę, łowić ryby, polować, pić i ochoczo figlować z przydrożnymi damami. Chcąc uczcić wielkie święto, a może po prostu rozerwać chorego, zdjął rękawiczkę, którą zwykle osłaniał lewą dłoń (przyciśniętą w owej chwili do stolarki) i ukazał zafascynowanemu cierpiętnikowi nie tylko puste miejsce po serdecznym i małym palcu, lecz i nagą dziewczynę z cynobrowymi sutkami i deltą barwy indygo, uroczo wytatuowaną na grzbiecie okaleczonej dłoni, tak że palce wskazujące i środkowy tworzyły jej nogi, a na nadgarstku spoczywała ukwiecona głowa. Och, rozkosznie... oparty o futrynę niby szczwana wieszczka.

Niech powie Mary Lore, poprosiłem, że cały dzień przeleżę w łóżku, a z córką skontaktuję się jakoś jutro, jeśli poczuję się pewnie z Polinezji.

Zauważył, gdzie mierzę spojrzeniem, i miłośnie zatrząst jej prawym biodrem.

- Dobra jest - rzekł śpiewnie, klepnął futrynę i odszedł, gwizdząc, unosząc moją wiadomość, a ja dalej piłem i rano nie miałem już gorączki, a chociaż byłem sflaczały jak ropucha, włożyłem fioletowy szlafrok na piżamę w kolorze kukurydzianej żółci i poszedłem do recepcji, żeby zatelefo-

nować. Wszystko było w porządku. Promienny głos poinformował mnie, że tak, wszystko w porządku, moja córka wypisała się poprzedniego dnia, koło drugiej, jej stryj, pan Gustaw, przyjechał po nią z małym cocker-spanielem i z uśmiechem dla wszystkich razem i każdego z osobna, przyjechał czarnym gadzilakiem i gotówką zapłacił rachunek, i powiedział, żeby mi powiedzieli, żebym się nie martwił i trzymał się ciepło, a oni zgodnie z umową jadą do dziadka na ranczo.

Elphinstone było - a mam nadzieję, że jest do tej pory - miasteczkiem prześlicznym. Rozpostarte na dnie doliny, wyglądało jak makieta ze strzyżonymi drzewkami z zielonej wełny i z domkami krytymi czerwoną dachówką, a chyba już napomknąłem o wzorowej szkole i świątyni i o rozległych, prostokątnych placach, z których niejeden był, o dziwo, ot, takim sobie niesztampowym pastwiskiem, z mułem lub jednorożcem pasącym się wśród mgieł młodego lipcowego poranka. Zabawna historia: biorąc kolejny wiraż, aż żwir zarzęził, otarłem się o czyjś zaparkowany wóz, ale obiecałem - sobie teleologicznie, a telepatycznie - taką przynajmniej miałem nadzieję - gestykulującemu właścicielowi, że wrócę później, pisać proszę na Szkołę Burd, miasto Burd w Nowym Burdzie, dżin żywił mi serce, lecz mącił mózg, i po paru potknięciach i opustkach, jak to bywa w korowodzie sennych rojeń, wylądowałem w recepcji, gdzie usiłowałem pobić lekarza, ryczałem na ludzi ukrytych pod krzesłami i hałaśliwie domagałem się, żeby przysłała Mary, której jednak na jej szczęście tam nie było; czyjeś ręce szorstko szarpały mój szlafrok, aż urwały kieszeń, i nie wiem, jak do tego doszło, ale przez chwilę siedziałem chyba na jakimś pacjencie o łysej brązowej głowie, wziąwszy go za doktora Blue, on zaś wstał w końcu i rzekł z przekomicznym akcentem:

- No i kto tu jest newrotyk, ja się pytam?

Następnie wychudła pielęgniarka bez uśmiechu wręczyła mi siedem pięknych, przepięknych książek i po mistrzowsku złożony w kostkę szlafrok w szkocką kratę, żądając pokwitowania; i oto w nagłej ciszy zdałem sobie sprawę, że w korytarzu stoi policjant, któremu wskazuje mnie palcem mój kolega zza kierownicy, toteż pokornie podpisałem nader symboliczne pokwitowanie, tym samym wydając moją Lolitę na łup tym małpoludom. Ale cóż było robić? Na pierwszy plan nieubłagane wybijała się jedna jedyna myśl, brzmiała zaś ona: „Chwilowo liczy się tylko wolność”. Jeden fałszywy ruch - i może musiałbym tłumaczyć się z całego swego występnego życia. Udałem więc, że otrząsam się z oszołomienia. Koledze automobiliście zapłaciłem, ile uznał za stosowne. Doktorowi Blue, który zaczął tymczasem głaskać mnie po ręce, opowiedziałem ze łzami, jak rozrzutnie wspomagałem trunkiem zdradliwe, lecz niekoniecznie chore serce. Wobec szpitala w ogólności wygłosiłem przeprosiny tak zamaszyste, że o mało się nie wyróciłem, dodając jednakowoż, iż pozostaję w nie najlepszych stosunkach z resztą klanu Humbertów. Sobie zaś szepnąłem, że mam jeszcze pistolet i wolność - skorzystam z nich więc, aby wytropić uciekinierkę i unicestwić brata.

23

Półtora tysiąca kilometrów jedwabistych szos dzieliło Kasbeam, gdzie wedle mojej najlepszej wiedzy czerwony bies miał zgodnie z planem pojawić się po raz pierwszy, od fatalnego Elphinstone, do którego dotarliśmy z grubsza rzecz biorąc na tydzień przed Dniem Niepodległości. Podróż ta zajęła nam prawie cały czerwiec, rzadko bowiem robiliśmy w jednym dniu jazdy więcej niż dwieście pięćdziesiąt kilometrów, resztę czasu - pewnego razu aż pięć dni z rzędu - spędzając na rozmaitych postojach, których wybór

też niewątpliwie z góry ukartowano. Wzdłuż tej zatem trasy należało szukać tropu biesa; zadaniu temu poświęciłem się, gdy minęło kilka nienadających się do opowiedzenia dni, wypełnionych gonitwą po bezlitośnie rozwidlających się drogach w okolicy Elphinstone.

Wyobraź mnie sobie, czytelniku, z moją nieśmiałością, z moją niechęcią do wszelkiej ostentacji, z wrodzonym mi wyczuciem *comme il faut*, wyobraź sobie, jak maskuję szaleńczą rozpacz drżąc przymilnym uśmiechem, obmyślając zarazem jakiś błahy pretekst, żeby przekartkować książkę meldunkowa:

- O - mawiałem. - Jestem prawie pewien, że już raz się tu zatrzymałem... proszę pozwolić mi przejrzeć wpisy z połowy czerwca... nie, jednak się pomyliłem... jaka niecodzienna nazwa miasta, z którego przybył ten pan, Potshasq. Dziękuję bardzo. Albo:

- Mieszkał tu kiedyś mój klient... zawieruszyłem jego adres... czy mogę...? - A co jakiś czas, zwłaszcza jeśli firmę prowadził pewien typ ponurego jegomościa, odmawiano mi prawa wglądu do ksiąg.

Mam tu notatkę: między piątym lipca a osiemnastym listopada, kiedy to na parę dni wróciłem do Beardsley, zameldowałem się, nawet jeśli nie mieszkałem, w trzystu czterdziestu dwóch hotelach, motelach i domach turysty. Liczba ta obejmuje też kilka zameldowań między „Kasztanowym Kasztalem” a Beardsley, z których jedno zaowocowało cieniem biesa („N. Petit, Larousse, Ill.”); prowadząc swe dociekania, musiałem dbać o to, żeby ich zbyt nie zagęścić w czasie i przestrzeni, bo jeszcze bym ściągnął na siebie nadmierną uwagę; w co najmniej chyba pięćdziesięciu miejscach tylko zasięgnąłem języka u recepcjonistów - były to jednak daremne sondáže, wolałem kłaść najpierw fundament wiarygodności i dobrych intencji, płacąc z góry za niepotrzebny pokój. Z analiz mych wynikło, że spośród

około trzystu przejranych ksiąg przynajmniej dwadzieścia dostarczyło mi pewnych poszlak: bies guzdrała jeszcze częściej niż my robił postoje, lub też - był wszak do tego jak najbardziej zdolny - niektóre wpisy wtrącał specjalnie po to, żebym nie skarżył się na niedostatek szyderczych aluzji. Tylko raz zamieszkał w tym samym motelu co my, o kilka kroków od poduszki Lolity. Parokrotnie obierał sobie kwatery w jednym z sąsiednich budynków albo za najbliższą przecnicą; nierazdo czatował gdzieś pomiędzy dwoma umówionymi punktami. Wyraźnie pamiętałem, jak Lolita tuż przed wyjazdem z Beardsley leżała brzuchem do dołu na dywanie w salonie i studiując przewodniki i mapy, zaznaczała szminkąienne dystanse i postoje!

Natychmiast się połąpałem, że przewidział moje śledztwo i specjalnie dla mnie porozsiewał wzdłuż trasy różne obelżywe pseudonimy. Już w pierwszym motelu, który odwiedziłem - w „Klubie Ponderosa” - jego wpis wśród tuzina innych, wyraźnie ludzkich wpisów brzmiał: Dr Gratiano Forbeson, Mirandola, NY. Oczywiście nie mogło mi się to nie skojarzyć z włoską komedią. Gospodyni raczyła mnie poinformować, że ten pan pięć dni przeleżał w łóżku z ciężkim przeziębieniem, powierzył swoje auto mechanikom z pewnego warsztatu, a wyprowadził się czwartego lipca. Owszem, niejaka Ann Lore pracowała dawniej w Klubie, ale wyszła za mąż za sklepikarza z Cedar City. W księżycową noc zaskoczyłem biało obutą Mary na odludnej ulicy; ta kukła zautomatyzowana miała już wrzasnąć, zdołałem ją jednak ucłowieczyć w ten prosty sposób, że padłem na kolana i świątobliwie skamłając, jałem błagać pomocy. Przysięgła, że nic nie wie. Co to za jakiś Gratiano Forbeson? Chyba się zawahała. Wyszarpnąłem z portfela studolarowy banknot. Podniosła go i obejrzała w świetle księżyca.

- To pański brat - szepnęła wreszcie. Wyrwałem jej banknot z dłoni zimnej jak księżyc i splunawszy francuską klątwą, odwróciłem się i uciekłem. Spotkanie to nauczyło mnie polegać wyłącznie na sobie. Żaden detektyw nie wykryłby poszlak, które Trapp dostosił do mego temperamentu i trybu życia. Nie mogłem się oczywiście łudzić, że kiedykolwiek zostawi swoje prawdziwe nazwisko i adres; miałem jednak nadzieję, że się poślizgnie na szklivie własnej finenzji, ośmieliwszy się, powiedzmy, wpuścić bogatszy i bardziej osobisty niż to absolutnie konieczne zastrzyk koloru lub ujawniając zbyt wiele poprzez jakościową sumę ilościowych części, z których każda sama przez się ujawniała zbyt mało. Jedno mu się powiodło: zdołał całkowicie omotać swą demoniczną grą mnie i moją miotającą się mękę. Zrezygnuj bez granic, ślaniał się i zataczał, aby po chwili odzyskać niemożliwą równowagę, zawsze pozostawiając mi tę sportową nadzieję - jeśli słowo to jest na miejscu, gdy mowa o zdradzie, furii, upadku, zgrozie i nienawiści - że następnym razem się zde-konspiruje. Lecz nigdy mu się to nie zdarzyło - choć czasem diabelnie mało brakowało. Wszyscy podziwiamy akrobatę, który w stroju usianym cekinami z klasyczną gracją pedantycznie kroczy po naprężonym sznurze w świetle proszącym jak talk; o ileż jednak rzadszą sztukę uprawia mistrz luźnej liny, gdy w przebraniu stracha na wróble udaje pokracznego pijaka! Coś o tym wiem.

Ślady, które zostawiał, nie pozwalały ustalić jego tożsamości, lecz odzwierciedlały osobowość, a w każdym razie pewien spójny i uderzający jej typ; jego styl, poczucie humoru - przynajmniej w najlepszych momentach - oraz ogólna tonacja umysłowa pokrewne były moim. Naśladował mnie i przedrzeźniał. Jego aluzje świadczyły o dużym wyrafinowaniu. Był odcytany. Znał francuski. Biegły w logodedalii i logomancji, był też amatorem archaicznych arkanów seksu. Miał kobiece pismo. Raz po raz zmieniał naz-

wisko, ale nie mógł zamaskować, choćby nie wiedzieć jak je pochylał, swego nader osobliwego „t”, „w”, „l”. Wyspa Quelquepart należała do jego ulubionych adresów. Nie używał pióra wiecznego, znaczyło to zaś - o czym każdy psychoanalityk wam powie - iż pacjent tłumii ciągoty undynistyczne. Miejmy litościwą nadzieję, że w Styksie nie brak wodnych nimf.

Najbardziej dlań charakterystyczna była pasja, z jaką wodził mnie na pokuszenie. Boże, ależ biedak kusił! Wystawiał na próbę moją erudycję. Jestem wystarczająco dumny z tego, co jednak wiem, aby przyznać z całą skromnością, iż nie wiem wszystkiego; i zaryzykuję twierdzenie, że wymknęły mi się niektóre elementy owych kryptogramatycznych podchodów na papierze. Jakież dreszcz triumfu i wstrętu wstrząsał moją kruchą figurą, gdy spośród pospolicie niewinnych nazwisk z księgi hotelowej tryskała mi prosto w twarz zastawiona przez biesa szarada! Ilekroć stwierdzał, że jego zagadki stają się zbyt ezoteryczne nawet dla mnie, rozwiązywacza nie lada, rzucał mi na przynętę jakąś łatwiznę. „Arsène Lupin” musiał wydać się oczywisty Francuzowi, pamiętającemu z dzieciństwa detektywistyczne powiastki; i nie trzeba było eksperta od Coleridge’a, żeby docenić tego szablonowego szcztka: „O. Sobnick, Porlock, Anglia”. Niektóre przybrane nazwiska, choć w kiepskim guście, znamionowały w zasadzie człowieka kulturalnego - nie policjanta, zwykłego zbirą, rozwiązłego komiwojżera: „Arthur Rainbow” - najwyraźniej strawestowany autor *Le Bateau Bleu* - niech i ja trochę się pośmieję, panowie - i „Morris Schmetterling”, któremu tytuł do sławy dał „L’Oiseau Ivre” (*touché*, czytelniku!). Głupi, lecz śmieszny „D. Orgon, Elmira, NY” pochodził, rzecz jasna, z Moliera, a ponieważ niedługo przedtem próbowałem zaciekawić Lolitę pewną słynną osiemnastowieczną sztuką, miły jak przyjaciel z młodości był mi „Harry Bumper, Sheridan,

Wyo”. Ze zwykłej encyklopedii dowiedziałem się, kim jest szczególnie na oko „Phineas Quimby, Lebanon, NH”; a każdy dobry freudysta o niemieckim nazwisku, chociaż odrobinę zainteresowany prostytutką religijną, powinien natychmiast dostrzec implikacje zawarte w adresie: „Dr Kitzler, Eryx, Miss.”. Czyli jak dotąd nie najgorzej. Była to zabawa tandetna, ale w sumie bezosobowa, tym samym zaś nieszkodliwa. Wpisów, które przykuły mą uwagę jako niewątpliwe poszlaki *per se*, lecz nie potrafiłem wyłapać ich niuansów, wymieniam niewiele, czuję bowiem, że czyniąc to, brnę po omacku przez pograniczną mgłę, a werbalne widma przeistaczają się - być może - w żywych urlopowiczów. Kim był „Johnny Randall, Ramble, Ohio”? Czyżby istniał naprawdę i tylko przypadkiem miał podobny charakter PiS-ma, jak „A.N.E.S. Aristoff, Catagela, NY”? Jakie żądło kryło się w „Catageli”? A „James Mavor Moreli, Swinedell, Anglia”? „Arystofanes”, „szwindel” - proszę bardzo, ale co przeoczyłem?

Przez całą tę pseudonimie przewijał się pewien wątek, który przyprawiał mnie o szczególnie bolesne palpacje, ilekroć go napotykałem. Takie wpisy, jak „G. Trapp, Geneva, NY”, świadczyły o zdradzie Lolity. „Aubrey Beardsley, Wyspa Quelquepart” wskazywał wyraźniej niż przekreślona wiadomość telefoniczna, że początku romansu należy szukać na Wschodzie. „Lucas Picador, Merrymay, Pa.” insynuował, iż mała Carmen wyjawiała uzurpatorowi moje żalonne czułe słówka. Straszliwie okrutny był zaiste „Will Brown, Dolores, Colo”. Makabryczny „Harold Haze, Catalque, Arizona” (który w innych okolicznościach mile polechtałby moje poczucie humoru) sugerował tak dokładną znajomość przeszłości dziewczyny, że przez chwilę błysnęła mi koszmarna myśl, czy moja zwierzyzna nie jest aby starym przyjacielem domu, może dawną miłością Charlotty, może naprawiaczem krzywd („Donald Quix, Sierra, Nev.”).

Lecz głębiej niż wszystkie sztylety ugodził mnie grom anagramu z książki pensjonatu „Pod Kasztanami”: „Lov Zack, Calet, NY”.

Z przeznaczonych numerów rejestracyjnych, które zostawił za sobą każdy taki O. Sobnick, Orgon, Morell albo Trapp, dowiadywałem się tylko, że personel moteli nie facytuje się sprawdzać, czy goście dokładnie wpisują dane swoich aut. Odniesienia - niepełne lub przekrecone - do wynajętych samochodów, którymi bies przebywał krótkie odcinki między Wace a Elphinstone, okazały się, rzecz Jasna, bezużyteczne; tablica rejestracyjna meksykańskiego protoplasty była jednym wielkim migotem tasujących się cyfr, zamienionych miejscami, podmienionych lub całkiem pominiętych, ale zawsze tworzących wzajemnie skorelowane kombinacje (na przykład „WS 1564”, „SH 1616”, „Q 32888” albo „CU 88322”), tak jednak sprytnie obmyślane, że nigdy nie ujawniały wspólnego mianownika.

Przyszło mi do głowy, że gdy już oddał ten kabriolet współnikom w Wace i przerzucił się na system wynajętych aut, jego mniej czujni następcy mogli zapisać w jakiejś recepcji archetyp tych wzajemnie powiązanych liczb. Lecz jeśli tropienie biesa wzdłuż znanej mi trasy okazało się przedsięwzięciem tak skomplikowanym, mętным i mało owocnym, cóż mogłem osiągnąć, próbując śledzić anonimowych automobilistów, którzy podróżowali niewiadomymi szlakami?

24

Zanim dotarłem do Beardsley, dzięki mozolnej rekapitulacji, którą przed chwilą dość wyczerpująco omówiłem, wyłonił mi się pewien spójny obraz; następnie drogą - ryzykowną jak zawsze - eliminacji doszedłem od niego do

jedynego konkretnego źródła, jakie mogła mu przypisać niezdrowa cerebracja wraz z nieskorą pamięcią.

Szkoła w Beardsley nie zatrudniała nauczycieli płci męskiej, z dwoma wyjątkami: jednym był Wielebny Rigor Mortis (jak przezywały go dziewczynki), drugim zaś pewien starszy pan, który prowadził nadobowiązkowe lekcje niemieckiego i łaciny. Ale dwukrotnie przychodził z wizytą historyk sztuki z college'u żeńskiego, aby za pomocą latarni magicznej zapoznać uczennice z francuskimi zamkami i dziewiętnastowiecznym malarstwem. Chciałem wziąć udział w tych projekcjach i odczytach, lecz Dolly swoim zwyczajem powiedziała, że nie i kropka. Przypomniało mi się też, jak Gaston twierdził, że ten wykładowca to błyskotliwy *garçon*; na tym jednak kończyły się moje wspomnienia; pamięć wzbraniała się podpowiedzieć mi nazwisko miłośnika *chateaux*.

W dniu zaplanowanej egzekucji przeszedłem w strugach deszczu ze śniegiem przez cały campus do działu informacji w Sak Stwórcy college'u żeńskiego. Powiedziano mi tam, że jegomość ten nazywa się Riggs (trochę jak pastor), jest kawalerem i za dziesięć minut wychynie z „Muzeum”, gdzie właśnie prowadzi zajęcia. W korytarzyku przed salą wykładową usiadłem na marmurowej ławce, którą ufundowała Cecylia Dalrymple Ramble. Gdy tak czekałem, deranzowany przez prostatę, pijany, niewyspany do granic wytrzymałości, z bronią w garści, z garścią w kieszeni płaszczka, raptem do mnie dotarło, że zwariowałem i zamierzam zrobić głupstwo. Nie było jednej szansy na milion, że docent Albert Riggs ukrywa Lolitę u siebie w domu, pod numerem dwudziestym czwartym na Pritchard Road w Beardsley. Nie mógł być tym łotrem, którego szukałem. Absolutnie groteskowy pomysł. Traciłem czas i zmysły. Oboje byli wcale nie tu, lecz w Kalifornii.

Wkrótce zauważyłem lekkie poruszenie za jakimiś białymi posągami; drzwi - nie te, w które się wpatrywałem – żwawo się otworzyły i otoczona rojem studentek łysawa głowa z dwojgiem brązowo błyszczących oczu jęła się zbliżać w podskokach.

Widziałem go pierwszy raz w życiu, ale upierał się, że poznaliśmy się na *garden party* w Szkole Beardsley. Jak się miewa moja urocza córeczka tenisistka? Za minutę miał kolejny wykład. Miał też nadzieję niebawem znów mnie zobaczyć.

Inna próba identyfikacji nie tak szybko doczekała się rozstrzygnięcia: poprzez ogłoszenie zamieszczone w jednym z czasopism Lo odważyłem się zgłosić do prywatnego detektywa, byłego pięściarza, i chcąc po prostu dać mu przybliżone pojęcie o m e t o d z i e biesa, zapoznałem go z próbką nazwisk i adresów, które zgromadziłem. Zażądał sporej zaliczki i przez dwa lata - dwa lata, czytelniku! – sprawdzał, imbecyl jeden, te nonsensowne dane. Dawno już zerwałem z nim wszelkie pieniężne stosunki, gdy pewnego dnia zjawił się z triumfalną nowiną, że osiemdziesięcioletni Indianin nazwiskiem Bill Brown mieszka nieopodal Dolores, Colo.

25

Jest to książka o Lolicie; a skoro zaczynam część, której (gdyby mnie nie uprzedził inny męczennik wewnętrznego spalania) mógłbym nadać tytuł *Dolorès Disparue*, nie bardzo byłoby po co nicować następne trzy puste lata. Należy, owszem, wspomnieć o kilku istotnych punktach, w sumie chciałbym jednak stworzyć wrażenie, jakby w połowie podniebnego rejsu boczne drzwi życia otworzyły się z trzaskiem i ryczący podmuch czarnego czasu smagnięciem wiatru zagłuszył krzyk czyjejs samotnej katastrofy.

Rzecz dość szczególna, że rzadko, jeśli w ogóle, śniła mi się Lolita taka, jaką pamiętałem - jaką stale i obsesyjnie widziałem okiem świadomości podczas dziennych koszmarów i w bezsenne noce. Mówiąc ściślej, co prawda nawiedzała mnie we śnie, pojawiała się jednak w dziwacznych i komicznych przebraniach Walerii lub Charlotty bądź też jako ich hybryda. Ten synkretyczny upiór w atmosferze bezgranicznej melancholii i wstrętu zrzucał koszulkę za koszulką, po czym przybierał tępo zachęcającą pozę, siadając na jakiejś wąskiej desce albo twardej kanapce, z ciałem uchylonym jak gumowy wentyl futbolowej dętki. Ładowałem - połamawszy sztuczną szczękę lub zapodziawszy ją bezpowrotnie - w potwornych *chambres garnies*, gdzie podejmowano mnie na nudnych przyjęciach z wiwiskcją, kończących się zwykle w ten sposób, że Charlotta czyli Waleria szlochala w moich broczących krwią ramionach, a ja czule ją całowałem braterskimi usty pośród sennego nieładu, na który składały się zlicytowane wiedeńskie bibeloty, litość, impotencja i brunatne peruki tragicznych, świeżo zagazowanych staruch.

Pewnego dnia wyjąłem z auta i zniszczyłem stos nagromadzonych czasopism dla nastolatków. Znać ten typ. Psychika z epoki kamienia, za to higiena na poziomie współczesnym, a przynajmniej mykeńskim. Przystojna, bardzo dojrzała aktorka ze straszliwie długimi rzęsami i mięksizowatą dolną wargą zachwala szampon. Ostatni krzyk-szyk. Młode uczone proszą: dużo plis, *please - que c'était loin, tout cela!* Gospodyni obowiązana jest dostarczyć szlafroki. Unikaj przypadkowych detali, bo rozmowa traci przez nie cały blask. Każdy z nas zna jakąś „skubkę” - taką, co to wyskubuje sobie skórki przy paznokciach na przyjęciu dla pracowników. Jeśli mężczyzna nie jest w bardzo podeszłym wieku ani na bardzo ważnym stanowisku, powinien zdjąć rękawiczki, zanim poda rękę kobiecie. Zwab Romans,

nosząc nasz Nowy Rewelacyjny Brzuchopłask. Brzuski spina, biodra ścina. Tristan w Filmiłości. No właśnie! Trzaskając dziobami nad zagadką małżeństwa Joe-Roe. Dodaj sobie czarar szybko i niedrogo. Komiksy. Niegrzeczna dziewczynka ciemne włosy gruby ojciec cygaro; grzeczna dziewczynka rude włosy przystojny tatko strzyżony wąs. Albo ten odrażający serial u dołu strony, z szympantycznym goryludem i jego żoną, zdzirdziusiałą gnomyszką. *Et moi qui t'offrais mon génie...* Przypomniały mi się dosyć urocze nonsensowne wierszyki, które dla niej pisywałem, kiedy była mała:

- Fakt - mawiała drwiąco - że nonsensowne.

Wiór i Wiewiórka, Król i Króliki,
Mają niejasne i rzadkie nawyki.
Koliber w raketę racno się zmienia,
Wąż krocząc, ręce trzyma w kieszeniach.

Z innymi jej rzeczami trudniej było się rozstać. Aż do końca roku 1949 hołubiłem i wielbiłem, plamiąc je pocałunkami i trytonimi łzami, parę starych tenisówek, chłopięcą koszulkę, którą niegdyś nosiła, znalezione w bagażniku przedpotopowe dzinsy, zmiętą czapkę szkolną i tym podobne niesforne skarby. A kiedy zrozumiałem, że mózg trzeszczy mi w szwach, zebrałem te drobiazgi, dodając do nich rzeczy oddane na przechowanie w Beardsley - pudło książek, rower, stare płaszcze, kalosze - i w jej piętnaste urodziny wysłałem ten anonimowy dar do sierocińca dla dziewcząt, nad jezioro, gdzie hula wiatr, przy granicy z Kanadą.

Możliwe, że gdybym poszedł do jakiegoś potężnego hipnotyzera, zdołałby on wydobyć ze mnie i ułożyć w logiczny wzór pewne chaotyczne wspomnienia, które rozsiałem po swojej książce z natrętną jawnością, z jaką nie ukazują mi

się nawet i teraz, gdy już wiem, czego szukać w przeszłości. Wtedy czułem tylko, że tracę po prostu kontakt z rzeczywistością; spędziwszy zatem resztę zimy i większą część wiosny w znanym mi z wcześniejszych pobytów quebeckim zakładzie, postanowiłem najpierw uporządkować pewne swoje sprawy w Nowym Jorku, a potem wyruszyć do Kalifornii i wszcząć dokładne poszukiwania.

A oto tekścik, który ułożyłem podczas swego odosobnienia:

Poszukiwana: Dolores Haze.
Szatynka. Szkarłatne ma usta.
Zawód: „gwiazdeczka”, a raczej: „bez”.
Jej wiek: pięć tysięcy dni trzysta.

Gdzie się ukrywasz, Dolores Haze?
(Ach, plotę trzy po trzy, na wspak
Przez błędny labirynt płynę w rejs,
Nie mogę się wyrwać, rzekł szpak).

Którędy wędrujesz, Dolores Haze?
Jakiej marki latający masz dywan?
Płowy jak puma czy żółty jak gnejs?
I gdzie go parkujesz, *mea diva*?

Dalej ich wielbisz, Dolores Haze?
Idoli, co skrzą się gwiazd ziarnem
I tak powłóczyście ślą ci spod rzęs
Spojrzeń jad, jazd i zwad, moja Carmen?

Dolores, to boli, gdy szafa gra!
Czy wciąż jeszcze tańczysz, mój kotku?
W kącie sterczę i warczę, z sercem jak kra
(A wy dwoje w spranych džinsach z trykotką).

Ależ ma szczęście sękaty De Los,
W rozjazdach z dziecinką-żoną.
We wszystkich lasach wygniata nią wrzos,
Choć ten przecież jest pod ochroną.

Ach, Dolly! Ach, dolo! Ten odcień *vair*
W jej oczach, gdym usta zbliżał.
Czy znasz starych perfum woń, *Soleil Vert*?
To pan szanowny z Paryża?

*L'autre soir un air froid d'opéra m'alita:
Son félé - bien fol est qui s'y fie!
Il neige, le décor s'écroule, Lolita!
Lolita, qu'ai-je fait de ta vie?*

Konam, ach konam, Lolito Haze,
Z nienawiści, z wyrzutów sumienia.
I znów pięść włochatą podnoszę jak pejcz,
I znów słyszę twe straszne westchnienia.

Halo, policja! Jadą tam, hen,
Gdzie w deszcz lampy świecą przez store!
Ma białe skarpetki, brwi czarne jak tren,
A nazywa się Haze, Dolores.

Halo, policja! Chwytaj za broń!
Dolores Haze porwał amant.
Łap, trzymaj, ścigaj, trop, węszyć i goń,
Uciszyć wreszcie mój lament i zamęt.

Poszukiwana: Dolores Haze,
Co spogląda przed siebie prosto.
Waży niecałe czterdzieści pięć
I ma metr pięćdziesiąt dwa wzrostu.

Brnę na trzech kołach, Dolores Haze,
Ostatnią już z dróg nieprzejezdnych.
Wnet spotkam swój kres w rowie, jak pies,
A reszta to rdza i pył gwiezdny.

Poddawszy ten wiersz psychoanalizie, uznaję go za arcydzieło wariata. Bezpretensjonalne, sztywne, krzyczące rymy ściśle odpowiadają pewnym pejzażom i postaciom, dwuwymiarowym i strasznym, oraz powiększonym częściom pejzaży i postaci, jakie zdarza się rysować psychopatom podczas testów przebiegłe obmyślonych przez trese-rów. Napisałem jeszcze wiele innych wierszy. Zanurzyłem się też w cudzej poezji. Lecz ani na sekundę nie zapomniałem o brzemieniu zemsty.

Byłbym draniem, gdybym twierdził, a czytelnik byłby durniem, gdyby uwierzył, że szok spowodowany utratą Lo wyleczył mnie z pederocy. Mój przekłęty charakter nie mógł się zmienić, niezależnie od tego, jak zmieniła się moja miłość do Lolity. Na placach zabaw i na plażach moje posępne, podstępne oko wbrew mej woli wypatrywało błysku nimfięcych członków, sprytnych insygniów jej paziówien i rozalitek. Lecz jedna istotna wizja zwiędła we mnie: nigdy już nie roiłem sobie, że gdzieś na odludziu rozkoszuje się dziewczeczką, konkretną lub syntetyczną; nigdy już moja wyobraźnia nie zatapiała kłów w siostrach Lolity, hen, daleko, w zatokach wymarzonych wysp. T o miałem już za sobą, przynajmniej chwilowo. Lecz z drugiej strony, niestety, w ciągu dwóch monstualnie roz-pasanych lat nabrałem pewnych chutliwych nawyków: bałem się, że próżnia, w której żyję, może mnie pchnąć ku wolności nagłego obłądu, gdy stanę w obliczu przypadkowej pokusy w jakimś zaułku między szkołą a kolacją. Samotność mnie demoralizowała. Potrzebowałem towarzystwa i opieki. Moje serce było roz-

histeryzowanym, zdradliwym narządem. I tu właśnie pojawia się Rita.

26

Była dwa razy starsza od Lolity i o jedną czwartą młodszą ode mnie, a ważyła pięćdziesiąt dwa i pół kilo: bardzo drobna, ciemnowłosa, dorosła kobieta o bladej cerze, Uroczym asymetrycznych oczach, kanciastym, pospiesznie naszkicowanym profilu i giętkich plecach z nadzwyczaj ponętą *ensellure*: miała chyba domieszkę hiszpańskiej albo babilońskiej krwi. Poderwałem ją w pewien majowy wieczór zepsucia, gdzieś między Montrealem a Nowym Jorkiem, ściślej mówiąc, między Toylestown i Blake, przy mrocznie pałającym barze pod znakiem ómy tygrysy, przyjemnie pijaną: upierała się, że razem chodziliśmy do szkoły, i położyła na mojej małej łapie drżącą rączkę. Me zmysły ledwie drgnęły, ale postanowiłem wziąć ją na próbę; wziąłem - i przyjąłem na etat stałej towarzyszkę. Miała takie dobre serce, taka była koleżeńska, że oddałaby się, przypuszczam, pierwszemu lepszemu żalonnemu stworzeniu albo złudzie, staremu złamanemu drzewu lub jeżozwierzowi w żałobie, z prostej sympatii i współczucia.

Kiedy ją poznałem, właśnie zdążyła rozwieść się z trzecim mężem - a wkrótce potem zdążył ją porzucić siódmy z kolei *cavalier servant* - inni, ci niestali, pojawiali się zbyt licznie i przelotnie, aby dało się ich skatalogować. Jej brat był - i zapewne jest do tej pory - ważnym politykiem o kłuchowatej twarzy, w szelkach i ręcznie malowanym krawacie, burmistrzem i turbiną napędową swojego rodzinnego miasteczka, które grało w piłkę, zbożnie czytało Biblię i żyło ze zboża. Od ośmiu lat płacił swojej znakomitej siostrzytce kilkaset dolarów miesięcznie, stawiając warunek, iż nigdy, pod żadnym pozorem nie zajrzy do znakomitego

małego Ballcorn City. Powiedziała mi, zawodząc ze zdumienia, że każdy nowy chłopak nie wiadomo po jaką cholere przed wszystkim wiezie ją w stronę Ballcorn: działało tu jakieś zgubne przyciąganie; i zanim miała czas się połapać, wciągało ją w orbitę miasteczka i odtąd niczym satelita krążyła po otaczającej je rzęściście oświetlonej szosie. - W kółko stale i wciąż - wyraziła się - jak jakiś cholerny jedwabnik.

Miała zgrabne małe coupé; nim właśnie pojechaliśmy do Kalifornii, żeby dać odpocząć mojemu wielbnemu wehikułowi. Naturalną dla niej szybkością było sto pięćdziesiąt na godzinę. Kochana Rita! Podróżowaliśmy razem przez dwadzieścia cztery mętne miesiące, od lata 1950 do lata 1952, i była przez ten czas najmilszą, najbardziej prostoduszną, najłagodniejszą i najgłupszą z Rit. Waleczka to przy niej Schlegel, a Charlotta - Hegel. Nie mam najmniejszego powodu rozwodzić się nad nią na marginesie tych złowrogich pamiętników, powiem jednak (serwus, Rita – gdziekolwiek jesteś, pijana czy skacowana, Rita, serwus!), że była najbardziej kojącą, najbardziej rozumiejącą ze wszystkich moich towarzyszek i niewątpliwie uratowała mnie przed domem wariatów. Uświadomiłem ją, że chcę wytropić pewną dziewczynę i kropnąć jej porywacza. Z całą powagą zaaprobowwała ten plan - a w toku śledztwa, które podjęła na własną rękę (nic właściwie nie wiedząc o sprawie) w okolicach San Humbertino, sama wpadła w łapy dosyć okropnego zbirą; diabelnie dużo trudu mnie kosztowało, nim ją wyciągnąłem - sponiewieraną i posiniaczoną, ale wciąż tak samo zadzierzysłą. A potem pewnego dnia zaproponowała, żebyśmy zagrali w rosyjską ruletkę moim świętym pistoletem; powiedziałem, że się nie da, bo to nie rewolwer, i zaczęliśmy go sobie wrywać, aż wreszcie wypalił, puszczając cieniutką i przekomiczną strużkę gorącej

wody z otworu, który pocisk zrobił w ścianie domku; pamiętam przenikliwy śmiech Rity.

Dziwnie niedojrzały sinus jej pleców, ryżowa skóra i powolne, omdlewające, gołębie pocałunki nie pozwalały mi wleźć w szkodę. Wbrew twierdzeniom pewnych szarlatanów i szamanów, zdolności artystyczne wcale nie są drugorzędnymi cechami płciowymi; wręcz przeciwnie: seks jest zaledwie służką sztuki. Muszę jednak odnotować jedną dość tajemniczą hulankę, która miała interesujące reperkusje. Zaniechałem poszukiwań: bies albo był w Tartarii, albo płonął w mym mózdzku (w ogniu podsycanym przez moją wyobraźnię i żal), ale w żadnym razie nie zgłaszał Dolores Haze do mistrzostw tenisowych nad brzegiem Pacyfiku. Kiedy już wracaliśmy na Wschód, pewnego popołudnia w ohydny hotelu, jednym z tych, w których odbywają się zjazdy, a wtedy wszędzie zataczają się różowe grubasy z etykietkami w klapach, w powietrzu fruwały poufale zdrobnione imiona, zera i opary alkoholu - kochana Rita i ja zbudziwszy się, stwierdziliśmy, że jest z nami w pokoju ktoś trzeci, jasny blondyn, prawie albinos, młody człowiek o białych rzęsach i wielkich przezroczystych uszach, i żadne z nas nie pamiętało, żebyśmy go kiedykolwiek w naszych smutnych przeszłościach spotkali. Pocąc się w grubej brudnej bieliźnie i w starych butach wojskowych, leżał i chrapał na podwójnym łóżku za moją niepokalaną Ritą. Brakowało mu przedniego zęba, bursztynowe pryszcze porastały czoło. Ritoczka spowiła swą wężową nagość moim prochowcem – pierwszą rzeczą, która nawinęła jej się pod rękę; ja wciągnąłem kalesony w czerwone paski; następnie zbadaliśmy sytuację. Pięć używanych szklanek jako poszlaka stanowiło *un embarras de richesse*. Drzwi były niedomknięte. Na podłodze leżał sweter i bezkształtne beżowe spodnie. Potrząsnęliśmy ich właścicielem, aż odzyskał nędzną namiastkę przytomności. Był w stanie kompletnej amnezji. Z akcen-

tem, w którym Rita rozpoznała czystą brooklyńszczyznę, zaczął zrzedzić, że niewiadomą metodą przywłaszczyliśmy sobie jego (bezwartościową) tożsamość. Czym prędzej wbiłszy go w ubranie i zostawiliśmy w najbliższym szpitalu, a po drodze dotarło do nas, że po iluś tam zapomnianych okrażeniach w ten czy inny sposób wylądowaliśmy w Ball-corn. Pół roku później Rita napisała do lekarza, pytając o wieści. Jack Humbertson - taki bowiem nietaktowny nadano mu przydomek - nadal nie miał kontaktu ze swoją osobistą przeszłością. O, Mnemozyno, najmilsza i najbardziej psotna z muz!

Nie wspominałbym o tym incydencie, gdyby nie nasunął mi on całej serii pomysłów, których owocem stał się mój esej *Mimir i Mneme*, opublikowany w „Przeglądzie Hocuspokus”; w eseju tym obok innych tez, które dobrotliwym czytelnikom owego znakomitego pisma wydały się świeże i doniosłe, zaproponowałem teorię czasu percepcyjnego, inspirowaną krążeniem krwi, opartą jako koncepcja (aby już szczelnie wypchać tę myślową pigułkę) na założeniu, że umysł świadom jest nie tylko materii, ale i siebie samego, dzięki czemu powstaje ciągła łączność między dwoma punktami (dającą się magazynować przyszłością i zmagazynowaną już przeszłością). Dokonanie to - a także skumulowane wrażenie, jakie wywołały moje wcześniejsze *travaux* - sprawiło, że z Nowego Jorku, gdzie Rita i ja zajmowaliśmy mieszkancko z widokiem na dzieci lśniące pod natryskami fontann daleko w dole, w ogrodach Central Parku, sprowadzono mnie na cały rok do odległego o ponad pięćset kilometrów Collegeu Hocuspokus. Mieszkałem tam w pokojach gościnnych dla poetów i filozofów od września 1951 roku do czerwca 1952, podczas gdy Rita, z którą wolałem zbytnio się nie afiszować, wegetowała - nieco niesławnie, obawiam się - w przydrożnym zajeździe, gdzie odwiedzałem ją dwa razy na tydzień. A potem znikła - w mniej nad-

przyrodzony sposób niż jej poprzedniczka: po miesiącu odnalazłem ją w miejscowym więzieniu. Była *très digne*, tuż po operacji wyrostka robaczkowego, i zdołała mnie przekonać, że piękne niebieskawe futro, o którego kradzież na szkodę żony niejakiego Rolanda MacCruma ją oskarżano, w rzeczywistości podarował jej - spontanicznie, choć pod wpływem pewnej dawki alkoholu - sam Roland. Udało mi się wydostać ją stamtąd bez odwoływania się do jej drażliwego brata i już niebawem wracaliśmy na Central Park West, zahaczając przejazdem o Briceland, gdzie przed rokiem zatrzymaliśmy się na parę godzin.

Owładnęło mną dziwne pragnienie, żeby raz jeszcze przeżyć chwile spędzone tam z Lolita. Wkraczałem w fazę istnienia, w której porzuciłem wreszcie wszelką nadzieję, że kiedyś w końcu wytropię Lo i jej porywacza. Próbowałem jednak podierać się starymi dekoracjami, żeby uratować, cokolwiek było jeszcze do uratowania ze sfery *souvenir, souvenir, que me veux-tu?* Jesień dźwięczała w powietrzu. W odpowiedzi na kartkę pocztową z prośbą o dwuosobowy pokój Profesor Hamburg rychło otrzymał wyrazy żalu. Mają komplet. Jest jeden numer w suterenie, bez łazienki i z czterema łózkami, ale nie sądzą, że bym go zechciał. Papier firmowy ozdobiony był nagłówkiem:

ZAKŁĘCI ŁOWCY

BLISKO DO KOŚCIOŁÓW

PSOM WSTĘP WZBRONIONY

Wszystkie prawem dozwolone napitki

Zastanowiłem się, czy to ostatnie stwierdzenie jest zgodne z prawdą. Wszystkie? Czy mieli na przykład grenadyne z ulicznych saturatorów? Zadałem też sobie pytanie, czy łowca - wszystko jedno, zakłęty czy odczarowany - nie potrzebowałby raczej jamnika niż klęcznika, i z bolesnym spazmem wspomniałem scenę godną wielkiego artysty:

petite nymphe accroupie; ale kto wie, może ten jedwabisty cocker-spaniel był ochrzczony. Nie - czułem, że nie wytrzymam męki ponownej wizyty w tamtym hallu. Znacznie większą szansę odzyskania czasu obiecywało inne miejsce w łagodnym, bujnobarwnym, jesiennym Briceland. Zostałem Ritę w barze, a sam udałem się do biblioteki miejskiej. Rozświegotana stara panna była aż nazbyt skora pomóc mi ekshumować środek sierpnia 1947 z oprawionego rocznika „Briceland Gazette” i już po chwili w zacisznym zakątku pod gołą żarówką przewracałem ogromne, kruche stronicie trumiennie czarnego tomu, niewiele mniejszego od Lolity.

Lecteur! Bruder! Ależ głupi Hamburg był z tego Hamburga! Ponieważ jego superwrażliwe nerwy wzbraniały się przed wizją lokalną, pomyślał, że może przynajmniej nacieszyć się sekretną częścią autentycznej scenerii - trochę jak dziesiąty czy dwudziesty żołnierz w kolejce do gwałcenia, kiedy zarzuca na zbiełałą twarz dziewczyny jej czarną chustę, bo nie chce patrzeć w te niemożliwe oczy, kosztując woj.skowej przyjemności w smutnej splądrowanej wiosce. Ja natomiast pragnąłem ujrzeć w druku fotografię, która czystym trafem objęła moją nieproszoną postać, gdy fotograf „Briceland Gazette” koncentrował się na doktorze Braddocku i jego grupie. Żywiłem namiętną nadzieję, że znajdę zachowany w ten sposób prosiący portret artysty. Niewinny obiektyw przyłapał mnie na mej mrocznej drodze do łóżka Lolity - cóż to za magnes dla Mnemozyny! Nie potrafię dokładnie objaśnić natury tego pragnienia. Było ono zapewne spokrewnione z ową zawrotną ciekawością, która każe nam patrzeć przez lupę, jak ponure figurki - właściwie już martwa natura i wszystkich zaraz zemdli - szykują się do egzekucji wczesnym rankiem, choć jakoś druku nie pozwala odcyfrować wyrazu twarzy pacjenta. W każdym ra-

zie dyszałem jak ryba wyrzucona na ląd, a jeden róg księgi sądu uparcie dźgał mnie w brzuch, gdy kartkowałem i przeglądałem... Na ekrany obu kin w niedzielę dwudziestego czwartego wchodziła „Zwierzęca siła” i „Opętani”. Pan Pardon, niezależny licytator tytoniu, twierdził, że od roku 1925 pali wyłącznie Omen Faustum. Ochrypłego Hanka wraz z tycią narzeczoną miał gościć pan Reginald G. Gore i jego małżonka, 58 Geometrino Avenue. Niektóre pasożyty osiągają jedną szóstą rozmiarów Gospodarza. Dunkierkę ufortyfikowano w dziesiątym wieku. Skarpetki dla panienek, trzydzieści dziewięć centów. Dwukolorowe półbuty ze sprzączką, trzy dolary dziewięćdziesiąt osiem. Wino, wino, wino, zażartował autor *Mrocznego wieku*, nie pozwalając się sfotografować, może być w sam raz dla bulgotliwego perskiego ptaka, ale dla mnie w sprawie róż i natchnienia nie ma to jak deszcz, deszcz, deszcz bijący w dachówki. Dołączki powstają, gdy skóra przywiera do głębiej położonych tkanek. Grecy odpierają zmasowany atak partyzantów - i jest, nareszcie, figurka w bieli i doktor Braddock w czerni, ale czyjekolwiek widmowe ramię ocierało się o jego obfitą postać - nie, byłem nie do rozpoznania.

Poszedłem szukać Rity, a ona z tym swoim uśmiechem *vin triste* przedstawiła mnie kieszonkowemu, zwiędłemu staruszkowi na buńczuczny rausz, twierdząc, że to - jak ci właściwie na imię, synu? - jej szkolny kolega. Usiłował ją zatrzymać, więc w trakcie lekkiej szamotaniny stłukłem sobie kciuk o jego twardą głowę. Wyprowadziłem Ritę na spacer do cichego, malowanego parku, żeby się trochę przewietrzyła, ale zaczęła łkać i powiedziała, że niedługo, już całkiem niedługo porzucę ją tak jak wszyscy, a ja zaśpiewałem jej smętną francuską balladę i skleciłem ulotne rymy, aby ją zabawić:

„Zakłęci Łowcy” - tak miejsce to nazwano.
Jakież farby indiańskie wzięło z twej ręki
Jezioro, że w drzew krwawej łązni,
Diano, Melancholią się mieni hotelu błękit?

- Jaki błękit, przecież hotel jest biały, na miłość boską, jaki błękit? - spytała i znowu wybuchnęła płaczem, więc zaprowadziłem ją do samochodu i ruszyliśmy w dalszą drogę do Nowego Jorku, gdzie w mgiełce na niewielkim tarasie naszego mieszkania niebawem odzyskała względną pogodę ducha. Widzę, że jakoś udało mi się poplątać dwa fakty, wizytę z Ritą w Briceland w drodze do Hocus-pokus i przejazd przez Briceland, kiedy już wracaliśmy do Nowego Jorku, lecz cóż, takim zalewem wirujących barw nie pogardzi artysta, gdy snuje wspomnienia.

27

Moja skrzynka na listy w sieni była jedną z tych, w których oszklona szparka pozwala zerknąć na zawartość. Już kilka razy kapryśna arlekinada światła padającego przez szybkę na obce pismo wyginała je i upodobniała do pisma Lolity, a ja prawie padałem, oparty o pobliską urnę, prawie moją własną. Ilekroć to się zdarzało - ilekroć jej urocze, zapętlone, dziecinne bazgrały okropnie przeobrażały się w nudną kaligrafię kogoś spośród moich nielicznych korespondentów - wspominałem z bolesnym rozbawieniem ten czas z ufnej, predoloriańskiej przeszłości, kiedy mamilo mnie roziskrzone jak klejnot okno naprzeciwko, w którym moje czyhające oko, wiecznie czujny peryskop haniebnego występku, dostrzegało z daleka półnagą nimfetkę, znieruchomiałą ze szczotką we włosach Alicji z Krainy Czarów. Ten ognisty fantazmat miał w sobie doskonałość, która czyniła moją dziką rozkosz także doskonałą - tylko dlatego, że

wizja była niedosiężna i żadna szansa spełnienia nie mogła jej skalać świadomością wlokącego się za nią tabu; nie wykluczam nawet, że cała ponęta, jaką ma dla mnie niedojrzałość, tkwi nie tyle w krystalicznie czystej, młodej, zakazanej urodzie baśniowego dziecka, ile w bezpieczeństwie tej sytuacji, gdy nieskończone doskonałości wypełniają rozdziew między podarowaną odrobiną a obiecany bezmiar - ogromem niedostępnego szarorózu. *Mes fenêtres!* Zawieszony nad plamistym zachodem słońca i wzbierającą nocą, zgrzytając zębami, przypierałem wszystkie demony swej żądz do balustrady pulsującego balkonu: ten zaś go-tów był odrzucić w morelowo-czarny, wilgotny wieczór; już frunął - gdy wtem podświetlony obraz drgał i Ewa wracała do żebra, a w oknie pozostawał tylko otyły mężczyzna w niekompletnym stroju, z gazetą.

Ponieważ czasem wygrywałem ten wyścig między moją wyobraźnią a rzeczywistością natury, oszustwo było do zniesienia. Nieznośny ból zaczynał się wtedy, kiedy w sprawę wdawał się przypadek, odbierając mi przeznaczony dla mnie uśmiech.

- *Savez-vous qu'à dix ans ma petite était folle de vous?* - spytała pewna kobieta, z którą rozmawiałem na herbatce w Paryżu, gdy *la petite* właśnie zdążyła wyjść za mąż gdzieś w wielokilometrowej dali, a ja nie potrafiłem nawet sobie przypomnieć, czy ją kiedykolwiek zauważyłem w ogrodzie, obok kortów, dziesięć lat wstecz. Podobnie i teraz: promiennego przedbłysku, obietnicy urzeczywistnienia, obietnicy, która miała zostać nie tylko uwodzicielsko upozorowana, lecz i szlachetnie dotrzymana - wszystkiego tego pozbawił mnie przypadek - przypadek oraz fakt, że blada ukochana autorka zmieniła charakter pisma z zamaszystego na drobniejsze. Moja wyobraźnia uległa proustyzacji, a zarazem prokrustyzacji; gdy bowiem tego akurat ranka pod koniec września 1952 roku zszedłem na dół, aby po omacku wydo-

być pocztę, odźwierny - był to wymuskany zrzęda, a ja miałem z nim fatalne stosunki - zaczął marudzić, że mężczyzna, który ostatnio odprowadził Ritę do domu, chwilę przedtem „pochorował się jak pies” na schodkach wejściowych. Kiedy go słuchałem i dawałem mu napiwek, a potem wysłuchiwałem zrewidowanej, bardziej uprzejmej wersji zdarzenia, wydało mi się, że jeden z dwóch listów, które przysły w tej błogosławionej poczcie, jest od matki Rity: odwiedziliśmy raz na Cape Cod tę zwariowaną kobiecinę i odtąd pisała do mnie pod rozmaite adresy, jak cudownie dobraną parę tworzę z jej córką i jakie byłoby to cudowne, gdybyśmy się pobrali; drugi list - otworzyłem go i pospiesznie przejrzałem w windzie - przysłał mi John Farlow.

Często stwierdzam, że skłonni jesteśmy przypisywać znajomym stabilność charakteru, jaką w umyśle czytelnika zyskują postaci literackie. Choć byśmy nie wiedzieć ile Razy zaglądali do *Króla Lira*, nigdy nie ujrzymy tego dobrego monarchy w chwili, gdy wali kuflem w stół, rozochocony, niepomny strapiień, wesoło uczując w gronie trzech córek i ich piesków pokojowych. Emma nigdy nie wstanie, wskrzeszona litościwymi solami z łzy Flauberta *père*, uронionej w samą porę. Jakąkolwiek ewolucję przeszedł ten czy inny popularny bohater między pierwszą a ostatnią stronką, los jego raz na zawsze utrwalił nam się w pamięci; w podobny sposób oczekujemy, że nasi znajomi dostosują się do tej czy innej logicznej, konwencjonalnej kliszy, którą dla nich naszykowaliśmy. A zatem X nigdy nie skomponuje nieśmiertelnej muzyki, byłaby ona bowiem dysonansem w zestawieniu z drugorzędnymi symfoniami, do których nas przyzwyczaił. Y nigdy nie popełni morderstwa. Niepodobna, żeby Z nas zdradził. Wszystko to mamy poukładane w głowach, im zaś rzadziej widzimy daną osobę, z tym większą satysfakcją przekonujemy się, jak potulnie dopasowuje się ona do naszych wyobrażeń na jej temat, ilekroć o

niej zasłyszemy. Każde odstępstwo od kolei losu, które sami wytyczyliśmy, wydałoby nam się nie tylko anomalią, ale czymś wręcz nieetycznym. Wolelibyśmy nie znać naszego sąsiada, emerytowanego sprzedawcy hot-dogów, gdyby nagle miało się okazać, że właśnie spłodził największe arcydzieło poetyckie swoich czasów.

Mówię to wszystko, żeby wyjaśnić, jak zdumiał mnie histeryczny list Farlowa. Wiedziałem o śmierci jego żony, lecz oczywiście spodziewałem się, że John resztę życia spędzi w gorliwym wdowieństwie, pozostając tym nudnym, statecznym i solidnym osobnikiem, którym był zawsze. A tu raptem pisał mi, że po krótkiej wizycie w Stanach wrócił do Ameryki Południowej i postanowił wszelkie sprawy, jakie prowadził dotąd w Ramsdale, przekazać Jackowi Windmullerowi, tamtejszemu prawnikowi, którego obaj znaliśmy. Odniosłem wrażenie, że ze szczególną ulgą pozbywa się „komplikacji” rodziny Haze. Ożenił się z Hiszpanką. Rzucił palenie i przybyło mu piętnaście kilo. Jego żona była bardzo młoda i po mistrzowsku jeździła na nartach. Wybierali się do Indii na miodowy monsun. Ponieważ, jak to ujął, „zakłada rodzinę”, nie będzie miał odtąd czasu zajmować się moimi sprawami, które wydają mu się „bardzo dziwne i irytujące”. Jacyś wścibscy - był ich chyba cały komitet - donieśli mi, że miejsce pobytu małej Dolly Haze pozostaje nieznane, a ja siedzę w Kalifornii, żyjąc z notoryczną rozwódką. Jego teść był księciem, i to nadzwyczaj bogatym. Lokatorzy, którzy od kilku lat wynajmowali dom Charlotty, chcieli teraz kupić go. Radził, żebym szybko pokazał ludziom Dolly. Złamał nogę. Załączył swoje zdjęcie z brunetką ubraną w białą wełnę: promiennie uśmiechali się do siebie wśród śniegów Chile.

Pamiętam, że otworzyłem sobie drzwi mieszkania i już miałem powiedzieć: No, teraz ich przynajmniej wytropimy - gdy drugi list zaczął do mnie mówić cicho i rzeczowo:

DROGI TATO!

Co słyhać? Wysłałam za męż. Będę miała dziecko. Chyba będzie duże. Chyba urodzi się w sam raz na Gwiazdkę. Trudno mi pisać ten list. Dostaję kota, bo nie mamy dosyć forsy, żeby spłacić długi i się stąd wyrwać. Dick ma obiecaną superrobotę na Alasce jako bardzo wyspecjalizowany mechanik, nie wiem nic więcej, ale to naprawdę coś ekstra. Przepraszam, że nie podaję adresu, ale możesz jeszcze być na mnie wściekły, a Dick nie ma prawa się dowiedzieć. To miasto to dopiero coś. Taki smog, że nawet nie widać tych wszystkich kretyków. Bardzo Cię proszę, Tato, przyślij nam czek. Starczyłoby trzysta, czterysta albo i mniej, ile dasz radę, możesz sprzedać moje stare rzeczy, bo jak już tam wylądujemy, będziemy mieli forsy jak lodu. Napisz, proszę. Bardzo mi było smutno i ciężko.

Twoja z nadzieją
DOLLY (RICHARDOWA F. SCHILLER)

28

Znowu znalazłem się na trasie, znowu za kółkiem starego niebieskiego sedana, znowu sam. Rita była jeszcze umarła dla świata, kiedy przeczytawszy ten list, pokonałem góry udreki, które we mnie wzniósł. Spojrzałem na nią, usmiechniętą przez sen, pocałowałem w wilgotne czoło i porzuciłem na zawsze, z paroma słowami czułego *adieu* na kawałku papieru, który przykleiłem jej taśmą szkocką do pępka, bo inaczej mogłaby go nie znaleźć.

„Sam”, powiedziałem? *Fas tout à fait*. Miałem ze sobą swojego czarnego kumcia i w pierwszym ustronnym miejscu przećwiczyłem scenę gwałtownej śmierci pana Richarda

F. Schillera. W tylnej części wozu znalazłem swój strasznie stary i strasznie brudny szary sweter i powiesiłem go na gałęzi pośród oniemiałej polany, do której dotarłem leśnym traktem z odległej już teraz szosy. Wykonanie wyroku odrobinię zakłóciła lekka, jak mi się wydawało, sztywność pracy spustu, zastanowiłem się więc, czy nie kupić temu tajemniczemu stworzeniu trochę oleju, uznałem jednak, że szkoda czasu. Stary martwy sweter wrócił do auta, nieco bardziej ażurowy niż przedtem, a ja znowu naładowałem ciepłego Kuma i ruszyłem dalej.

List wysłano osiemnastego września 1952 roku (tymczasem zrobił się już dwudziesty drugi września), a jako adres zwrotny podała „Poste restante, Coalmont” (żadnego „Va.”, żadnego „Pa.”, żadnego „Tenn.” - a zresztą wcale nie Coalmont: wszystko zakamuflowałem, miła). Zasięgnąłem języka i okazało się, że jest to miasteczko przemysłowe, jakieś trzysta kilometrów od Nowego Jorku. Z początku zamierzałem jechać dzień i noc, ale zmieniłem zdanie i przed świtem odpocząłem parę godzin w motelowym pokoju, kilka kilometrów od celu. Doszedłem do przekonania, że bies, ten cały Schiller, był dawniej handlarzem samochodów i mógł przypadkiem poznać moją Lolitę, kiedy podwiózł ją kawałek w Beardsley - w dniu, w którym po drodze do panny Empire pękła jej dętka w kole roweru - i od tamtej pory narobił sobie jakichś kłopotów. Ukatrupiony sweter modelowałem to tak, to siak na tylnym siedzeniu, lecz niezależnie od tego, jaką nadawałem mu sylwetkę, uparcie układał się w rozmaite kształty przywodzące na myśl ciało Trappa-Schillera - opasłe, obleśnie jowialne - aby więc przegnać ten posmak grubiańskiego zepsucia, postanowiłem przywdziać szczególnie przystojną, elegancką postać, gdy wciskałem na miejsce sutkę budzika, zanim eksplodował o żądanej porze, o szóstej rano. A potem z nieubłaganą i romantyczną pedanterią dżentelmena szykującego się do poje-

dynku sprawdziłem, czy mam papiery w porządku, obmyłem i wyperfumowałem swe delikatne ciało, ogoliłem twarz i pierś, wybrałem jedwabną koszulę i czyste gatki, włożyłem przejrzyste brązowoszare skarpetki i powinszowałem sobie, że mam w kuferku parę naprawdę wykwinnych dodatków - na przykład kamizelkę z guzikami z masy perłowej, jasny krawat z kaszmiru i tym podobne.

Mój żołądek nie przyjął, niestety, śniadania, ale uznałem tę fizyczną nieomogę za błahy kiks, otarłem usta wyciągniętą z rękawa cienką jak pajęczyna chusteczką i z błękitnym blokiem lodu zamiast serca, z tabletką na języku i z masywną śmiercią w bocznej kieszeni marynarki zgrabnie wszedłem do budki telefonicznej w Coalmont (Ach-ach-ach - rzekły drzwiczki), aby zadzwonić do jedyne go Schillera - Paul, meble - jakiego znalazłem w steranej księżce. Zachrypnięty Paul powiedział mi, że owszem, zna Richarda, jest to syn jego kuzyna, a mieszka, zaraz, zaraz, pod numerem dziesiątym na Mord Street (moje zastępcze nazewnictwo niezbyt odbiega od rzeczywistości). Ach-ach-ach - rzekły drzwiczki.

Na Mord Street pod numerem dziesiątym, w czynszówce, przepytałem kilkoro zgnębionych starców i dwie długowłose, truskawkowe blondaski, niewiarygodnie niechlujne nimfetki (z pewnym roztargnieniem - ot tak, dla hecy - tkwiąca we mnie pradawna bestia rozglądała się za jakimś skąpo odzianym dzieckiem, które mógłbym przytulić na chwilę do łona, kiedy zabójstwo się dokona i nic już nie będzie miało znaczenia, wszystko będzie dozwolone). Tak, Dick Schiller dawniej tam mieszkał, ale wyprowadził się po ślubie. Nikt nie znał jego adresu.

- Może w sklepie będą wiedzieli - powiedział czyjś bas z otwartego wjazdu w jezdni, nad którym stałem z dwiema dziewczuszkami o chudych ramionkach i bosych stopach i z ich wyblakłymi babciami. Wszedłem nie do tego sklepu, co

trzeba, i czujny stary Murzyn pokręcił głową, nim zdążyłem o cokolwiek zapytać. Przeszedłem przez ulicę i gdy w ponurym spożywczym ktoś z klientów na moją prośbę odwołał się do niej, drewniana czeluść w podłodze - *pendant* włązu - krzyknęła kobiecym głosem:

- Hunter Road, ostatni dom!

Hunter Road - „Łowiecka” - odległa o całe kilometry, leżała w jeszcze bardziej obskurnej dzielnicy: wysypiska i rowy, robaczywe ogródki warzywne, komórki, szara mżawka, czerwone błoto, a w oddali kilka dymiących kominów fabrycznych. Zatrzymałem się przy ostatnim „domu” - a raczej budzie oszalowanej poziomymi deskami; dwie czy trzy podobne budy stały nieco dalej od drogi, a wokoło rozciągało się porośnięte zwiędłym zielskiem pustkowie. Zza domu dobiegał łomot młotka, a ja przesiadziałem parę minut w swoim starym aucie, stary i słaby, u kresu podróży, u szarego celu, *finis*, bracia, *finis*, biesy. Było koło drugiej. Mój puls wystukiwał czterdzieści, a za chwilę sto. Krople mżawki bzykały o maskę wozu. Pistolet przewędrował do prawej kieszeni spodni. Nijaki kundel z ubłoconymi kudłami na brzuchu wyszedł z za domu, stanął jak wryty i zaczął mnie dobrodusznie obszczekiwać, mrużąc oczy, podreptał trochę i raz jeszcze szczechnął.

29

Wysiadłem z auta i zatrzasnąłem drzwiczki. Jakże rzeczowo, jak przyziemnie zabrzmiał w pustce pochmurnego dnia ten hałas! Hau-as - zdawkowo skorygował pies. Naciśnąłem dzwonek, a jego dźwięk rozległ się w całym moim jestestwie. *Personne. Je resonance. Repersonne.* Z jakich głębi ten renonsens? Hau - rzekł pies. Pośpiech, szuranie i oto drzwi otworzyły się z szumem i hauasem.

O paręnaście centymetrów wyższa. Okulary w różowej oprawce. Nowa, spiętrzona fryzura, nowe uszy. Jakie to proste! Ta chwila, ta śmierć, którą obmyślałem przez bite trzy lata, okazała się prosta jak kawałek suchego drewna. Była w ciąży, szczerzej i ogromnej. Jej głowa wydawała się mniejsza (w rzeczywistości minęły tylko dwie sekundy, ale chcę nadać im tyle drewnianego trwania, ile życie wytrzyma), nakrapiane bladymi piegami policzki były zapadnięte, a z nagich goleni i rąk zlazła opalenizna i widać było włoski. Dolly Schiller miała na sobie brązową bawełnianą sukienkę bez rękawów i rozklapane filcowe papucie.

- Je-e-ja! -- westchnęła po chwili ze zdumioną, gościnną emfazą.

- Mąż w domu? - wychrypiałem z pięścią w kieszeni.

Jej przecież zabić nie mogłem, choć niektórzy tego właśnie po mnie się spodziewali. Widzicie, kochałem ją. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, od ostatniego wejrzenia, od każdego, wszelkiego wejrzenia.

- Wejdz – powiedziała żarliwie radosnym tonem. Rozpłaszczyła się na martwych drzazgach drzwi, jak mogła najbardziej (a nawet lekko wspięła się na palce), aby mnie przepuścić, i przez chwilę stała ukrzyżowana, patrząc w dół, uśmiechając się do progu, z zapadniętymi policzkami i zaokrąglonymi *pommettes*, rozpostarłszy na deskach ramiona białe jak rozwodnione mleko. Minąłem ją, nie dotykając jej wybruszonego dziecięcia. Woń Dolly z leciutką domieszką smażeniny. Zęby szczękały mi jak idiocie.

- Nie, ty zostań - (to do psa). Zamknęła drzwi i w ślad za mną i własnym brzuchem weszła do „salonu” tego lolipuciego domku. - Dick jest tam - dodała, i niewidzialną rakieta tenisową, wskazując kierunek, zaprosiła moje spojrzenie, żeby powędrowało z burej salono-sypialni, w której staliśmy, przez całą kuchnię i kuchenne drzwi na dwór, gdzie w dość prymitywnie nakreślonej perspektywie ciemnowłosy

obcy młokos w ogrodniczkach, natychmiast ułaskawiony, siedział tyłem do mnie na drabinie i naprawiał coś obok budy sąsiada albo na jej dachu, a sąsiad - teższy, jednoręki – przyglądał się, stojąc z zadartą głową.

Objaśniła mi z daleka ten żywy obraz, przepraszająco („Mężczyźni jak to mężczyźni”); ma go zawołać?

Nie.

Stojąc na środku pochyłego pokoju, ruszała dłońmi i nadgarstkami w znanym mi jawajskim stylu, przy akompaniamencie pytających pomruków, w krótkim popisie żartobliwej uprzejmości, dając mi wybór między fotelem na biegunach a kanapą (czyli ich łóżkiem - po dziesiątej wieczór). Mówię: „w znanym mi stylu”, bo tym samym tańcem nadgarstków powitała mnie pewnego dnia na swojej „prywatce” w Beardsley. Oboje usiedliśmy na kanapie. Dziwne: choć jej uroda właściwie zbladła, wyraźnie zdałem sobie sprawę, z beznadziejnym opóźnieniem, jak bardzo przypomina - i zawsze przypominała - płową Wenus Botticellego: ten sam łagodny zarys nosa, to samo zamglone piękno. W kieszeni moje palce delikatnie puściły nieużyty dotąd oręż, opatulony chusteczką, i troszkę ją poprawiły od strony muszki.

- To nie jego szukam - oświadczyłem.

Z jej oczu ulotniła się nieokreślona gościnność. Czoło zmarszczyło się jak w dawnych zawziętych czasach:

- A kogo?

- Gdzie on jest? Szybko!

- Słuchaj - powiedziała, kręcąc przechyloną na bok głową. - Słuchaj, nie będziesz poruszał tego tematu.

- Właśnie, że będę - odrzekłem, i przez chwilę, o dziwo tylko przez jedną litościwą, znośną chwilę w całej tej rozmowie oboje zjeżyliśmy się, jakby wciąż jeszcze była moja.

Opanowała się, mądra dziewczynka.

Dick nic nie wiedział o całej aferze. Myślał, że jestem jej ojcem. Myślał, że uciekła z bogatego domu specjalnie po to, żeby zmywać talerze w taniej restauracji. Wierzył we wszystko. Po co miałbym utrudniać jej i tak ciężkie życie, wygrzebując cały ten brud?

Ale, odparłem, musi być rozsądna, musi być rozsądną dziewczynką (z tym gołym bębniem pod cienką brązową szmatką), musi zrozumieć, że jeśli oczekuje ode mnie tej pomocy, której zresztą gotów jestem udzielić, to ja z kolei muszę przynajmniej mieć jasny obraz sytuacji.

- Jazda, jego nazwisko!

Myślała, że dawno je odgadłem. Było (z psotnym, melancholijnym uśmiechem) takie sławne. Nigdy bym nie uwierzył. Sama ledwo wierzy.

Jego nazwisko, moja upadła nimfo.

Takie już jest teraz nieważne, powiedziała. Lepiej bym dał sobie spokój. Zapalę papierosa?

Nie. Jego nazwisko.

Nieźłomie pokręciła głową. Uważała, że już za późno robić piekło, a zresztą i tak nie uwierzyłbym w to, co niewiarygodnie niewiarygodne...

Powiedziałem, że pójde już, szanowanie, miło było znów ją zobaczyć.

Odparła, że naprawdę nie warto, nigdy nie powie, chociaż z drugiej strony, w końcu...

- Rzeczywiście chcesz wiedzieć, kto to taki? No, to był...

I cicho, poufnie, unosząc wąskie brwi i stulając spierzchnięte wargi, wymówiła trochę drwiąco, odrobinę grymasnie, nie bez czułości i jakby ze stłumionym poświstem nazwisko, które bystry czytelnik dawno już odgadł.

Wodoszczelny. Czemu przez moją świadomość przemknął błysk Klepsydry? Ja też wiedziałem, kto zacz, bezwiednie, od początku. Nie doznałem szoku, najmniejszej niespodzianki. Wszystko po cichu zlało się w jedną całość, uło-

żyło w pewien ład, we wzór gałązek, którymi przeplotłem ten pamiętnik specjalnie po to, żeby w odpowiedniej chwili spadł dojrzały owoc: tak, właśnie w tym konkretnym i persyjnym celu, żeby precedzić - mówiła coś, lecz ja się działem, topniejąc w swym złocistym spokoju - żeby przefiltrować ten złocisty i potworny spokój przez satysfakcję logicznego rozpoznania, którą powinien teraz odczuwać najbardziej mi nieprzyjazny czytelnik.

A ona, jak już wspomniałem, dalej mówiła. Słowa swobodnie płynęły niespiesznym strumieniem. Był jedynym mężczyzną, za którym w życiu naprawdę szalała. A Dick? O, Dick jest poczciwy, dosyć im dobrze razem, ale ona nie o tym. A ja oczywiście nigdy się nie liczyłem?

Przyjrzała mi się, jakby nagle uświadomiła sobie tę niewiarygodną - a zarazem trochę nużącą, myślącą i zbędną - prawdę, że siedzący obok niej daleki, elegancki, smukły czterdziestoletni anemik w aksamitnej marynarce znał niegdyś i wielbił każdy por i mieszek jej pokwitającego ciała. W jej spranych szarych oczach, dziwnie zaokularzonych, nasz biedny romans odbił się na chwilę, został wzięty pod rozwagę i przekreślony jak drętwa prywatka, jak deszczowy dzień, kiedy tylko najgorsi nudziarze przyszli na piknik, jak marudna wprawka, grudka zeschniętego błota przyklejona do jej dzieciństwa.

W ostatniej chwili szarpnąłem kolanem, żeby nie zdążyła go zdawkowo poklepać - jednym z tych swoich nabytych gestów.

Nie bądź głęb, poprosiła. Przeszłość jest przeszłością, i już. W sumie byłem chyba dobrym ojcem - przynajmniej tyle mi przyznała. Mów dalej, Dolly Schiller.

A czy wiedziałem, że znał jej matkę? Że był właściwie starym przyjacielem? Że odwiedził swojego stryja w Ramsdale - o, wiele lat temu - i miał odczyt w klubie Mamy, i że przy wszystkich pociągnął ją, Dolly, za nagie przedramię

i wtaszczył sobie na kolana, i całował po twarzy, a ona miała dziesięć lat i była na niego wściekła? Czy wiedziałem, że widział mnie z nią w motelu, gdzie właśnie pisał tę samą sztukę, którą dwa lata później próbowała w Beardsley? Czy wiedziałem - to był zresztą paskudny zwód z jej strony, kiedy wmówiła mi, że Clare to stara baba, może jego krewna albo dawna towarzyszka życia - a jak mało brakowało, gdy „Wace Journal” wydrukował jego zdjęcie.

„Briceland Gazette” nie wydrukowała. Tak, zabawna historia.

Tak, przytaknęła, życie to jedna wielka kupa, kupa śmiechu, jakby ktoś spisał jej życiorys, nikt nigdy by nie uwierzył.

W tym momencie dobiegły dziarskie domowe odgłosy z kuchni, do której Dick i Bill wtargnęli w poszukiwaniu piwa. Przez otwarte drzwi dostrzegli gościa i Dick wszedł do salonu.

- Dick, poznaj mojego tatę! - krzyknęła Dolly, a jej brutalnie stentorowy ton zabrzmiał całkiem obco, świeżo, radośnie, staro i smutno, bo młody człowiek, weteran dalekiej wojny, niedostyszał.

Arktyczny błękit oczu, szatyn, rumiane policzki, niegoleny podbródek. Podaliśmy sobie ręce. Dyskretny Bill, wyraźnie dumny, że dokonuje cudów jedną ręką, przyniósł pużki z piwem, które sam otworzył. Chciał się wycofać. Wykwintna uprzejmość prostaczków. Zatrzymano go. Reklama piwa. W gruncie rzeczy wolałem, że został, i Schillerowie też woleli. Przesiadłem się na znerwicowany bujak. Żując chciwie, Dolly wpychała we mnie ślazówki i kartoflane chrupki. Mężczyźni patrzyli na jej ojca, który taki był kručzy, *frileux*, filigranowy, staroświecki, jeszcze młody, ale chorowity, w aksamitnej marynarce z beżową kamizelką, może jaki wicehrabia.

Myśleli, że przyjechałem na dłużej, więc Dick, potężnie marszcząc czoło w grymasie mozolnego namysłu, zaproponował, że Dolly i on prześlą się w kuchni na zapasowym materacu. Machnąłem zwiewną dłonią i powiedziałem Dolly, a ona za pomocą specjalnego okrzyku przekazała Dickowi wiadomość: wstąpiłem tylko po drodze do Readsburga, gdzie ugosczą mnie przyjaciele i wielbiciele. Wtedy też zauważono, że jeden z nielicznych ocalałych kciuków Billa krwawi (czyli jednak nie taki z niego cudotwórca). Jaki kobiecy i czemuś nigdy przedtem w ten sposób nie widziany był cienisty przesmyk między jej bladymi piersiami, kiedy pochyliła się nad ręką mężczyzny! Wzięła go do kuchni, do naprawy. Na parę minut, na trzy lub cztery małe wieczności, w których sztuczne ciepło aż się przelewało, zostałem sam z Dickiem. Siedział na twardym krześle, rozcierając sobie przednie kończyny i marszcząc brwi. Zachciało mi się ot, tak - wycisnąć mu długimi agatowymi szponami wągry ze spoconych nozdrzy. Miał miłe smutne oczy, piękne rzęsy, śnieżnobiałe zęby i duże, włochate jabłko Adama. Czemu oni dokładniej się nie gołą, ci krzepcy młodzieńcy? Na tej właśnie kanapie odbył ze swoją Dolly stosunek bez żadnych hamulców, co najmniej sto osiemdziesiąt razy, pewnie dużo więcej; a przedtem - jak dawno ona go zna? Żadnej urazy. Dziwne - ani cienia urazy, tylko żal i mdłości. Teraz dla odmiany pocierał sobie nos. Byłem pewien, że kiedy wreszcie otworzy usta, powie (lekko kręcąc głową): „O, to dziewczyna na medal, panie Haze. Jasna sprawa. I będzie z niej matka na medal”. Otworzył usta - i pociągnął łyk piwa. Dodało mu to kontenansu - więc pociągał dalej, aż się zapienił. Rzeczywiście był poczciwy. Niejeden raz tulił w dłoniach jej florentyńskie piersi. Paznokcie miał czarne i połamane, ale paliczki i całą okolicę przegubu, silny i kształtny nadgarstek - dużo subtelniejsze od moich: zanadto skrzywdziłem zbyt wiele ciał tymi moimi biednymi

pokręconymi rękami, żebym mógł być z nich dumny. Francuskie epitety, knykcie ćwoka z Dorset, płaskie czubki palców austriackiego krawca - oto Humbert Humbert.

Dobrze. Skoro milczał, ja też potrafiłem milczeć. Właściwie była mi nawet dosyć potrzebna chwila odpoczynku w tym ujeżdżonym, śmiertelnie przerażonym fotelu na biegunach, zanim ruszę tropić bestię zaszytą w jamie - kto wie, gdzie - a potem odciągnę do tyłu napletek pistoletu i przeżyję rozkoszny orgazm zduszonego cyngla: zawsze byłem posłusznym uczniem czarownika z Wiednia. Rychło jednak zrobiło mi się żal biednego Dicka, któremu jakimś horrendalnie hipnotycznym sposobem uniemożliwiłem wygłoszenie jedynej kwestii, jaką potrafił wymyślić („Dziewczyna na medal...”).

- Czyli - rzekłem - jedziecie do Kanady?

W kuchni Dolly śmiała się z czegoś, co Bill powiedział lub zrobił.

- Czyli - krzyknąłem - jedziecie do Kanady?! Nie do Kanady! - dokrzyknąłem - tylko na Alaskę, no tak, oczywiście.

Tuląc szklanekę w dłoni, skinął głową jak mędrzec i odparł:

- No, chyba się zaciął o blachę. We Włoszech urwało mu prawą rękę.

Piękny róż kwitnących migdałowców. Odstrzelona ręka surrealistycznie wisi pośród pointylistycznej różowości. Na dłoni wytatuowana kwiaciarka. Wróciła Dolly z oplastrowanym Billem. Pomyślałem, że jej dwuznaczna, brązowobłada uroda musi pewnie podniecać kalekę. Dick wstał, uśmiechając się z ulgą. On i Bill chyba już pójdą dalej wieszając te druty. Pan Haze i Dolly mają chyba kupę rzeczy do obgadania. Chyba się jeszcze ze mną zobaczy, nim odjadę: Dlaczego ci ludzie ciągle chybiają, a tak rzadko się gołą, i czemu gardzą aparatami słuchowymi?

- Siadaj - powiedziała, klepiąc się po biodrach, aż klasnęło. Popadłem z powrotem w czarny fotel na biegunach.

- Więc mnie zdradziłaś? Dokąd pojechaliście? Gdzie on teraz jest?

Zdjęła z gzymsu nad kominkiem wklęsłą błyszczącą fotografię. Stara kobieta w bieli, tęga, promienna, krzywono-ga, w bardzo krótkiej sukience; stary mężczyzna bez marynarki, obwisły wąs, dewizka. Jej teściowie. Mieszkają z rodziną brata Dicka w Juneau.

- Na pewno nie masz ochoty zapalić?

Ona owszem, paliła. Pierwszy raz widziałem, jak pali. *Streng verboten* za panowania Humberta Groźnego. Wdzięcznie, w błękitnej mgiełce, Charlotta Haze wstała z grobu. Jeśli sama nie zechce powiedzieć, pomoże mi go odszukać stryj Adamaszek.

- Zdradziłam cię? Nie. - Zwróciła żądło papierosa w stronę kominka, szybko popukując w nie palcem wskazującym, dokładnie tak samo, jak niegdyś jej matka, a potem, też jak matka, o Boże, zdrapała paznokciem i zdjęła z dolnej wargi strzępek bibułki. Nie. Nie zdradziła mnie. Jestem wśród przyjaciół. Edusa ostrzegła ją, że Kuku lubi małe dziewczynki, raz prawie trafił do więzienia, w rzeczy samej (ładne rzeczy), a on wiedział, że ona wie. Tak... Z łokciem w dłoni, pyk-pyk, uśmiech, kłęb dymu, puk-puk w żądło. Zebrało jej się na wspominki. Umiał przejrzeć na wylot - z uśmiechem - wszystko i wszystkich, bo nie był taki jak ja czy ona: był genialny. Wspaniały facet. Rozrywkowy. Tur-lał się ze śmiechu, kiedy mu wyznała prawdę o sobie i o mnie, i powiedział, że tak też myślał. W tych okolicznościach mogła mu wyznać bez żadnego ryzyka...

A że Kuku? Oni wszyscy tak na niego mówili.

Jej obóz pięć lat temu. Ciekawy zbieg okoliczności - ... zawiózł ją na ranczo dla niedzielnych kowbojów, mniej więcej o dzień jazdy od Elephant (Elphinstone). Nazwa?

Oj, jakaś głupia - Barabaranczo - sam widzisz, że idiotyczna - ale teraz to już i tak bez znaczenia, bo cała chałupa znikła, rozsypała się w proch. Jak słowo honoru, nigdy bym sobie nie wyobraził, jakie absolutnie luksusowe było to miejsce, znaczy niczego, ale to niczego tam nie brakowało, w jednym pokoju płynął nawet wodospad. Czy pamiętam, jak kiedyś z takim jednym rudym facetem graliśmy („my”, też coś!) w tenisa? Otóż ranczo właściwie należało do brata Rudego, ale Kuku dostał je na całe lato. Kiedy ona i Kuku przyjechali, tamci urządzili im ceremonię koronacyjną, a potem - straszliwą kąpiel, jak przy przekraczaniu równika. Sam wiesz.

Przewróciła oczami w syntetycznym wyrazie rezygnacji.
- Mów dalej, proszę.

No. Był taki plan, że on ją zabierze we wrześniu do Hollywoodu i załatwi zdjęcia próbne, epizod w scenie meczu tenisowego z filmu opartego na jego sztuce - *Złote żyły* - a może nawet umieści ją na korcie w blasku „słońce” Kliega jako dublerkę którejś ze słynnych gwiazdeczek. Niestety, nic z tego nie wyszło.

- Gdzie jest teraz ten knur?

Żaden knur. To pod wieloma względami wspaniały facet. Ale wciąż tylko pije i bierze. No i jest oczywiście kompletnie pokrecony w sprawach seksu, a przyjaciół traktuje jak niewolników. Po prostu sobie nie wyobrażam (ja, Humbert, sobie nie wyobrażam!), co oni wszyscy wyprawiali na Barabaranczu. Odmówiła udziału, bo go kochała, więc ją wyrzucił.

- Co takiego wyprawiali?

- Och, niesamowite, dziwaczne świństwa. Znaczący, brał dwie dziewczyny, dwórch chłopaków i trzech albo czterech facetów i kazał nam wszystkim razem tarzać się na golasa, a jedna stara baba to filmowała. - (Justyna Sade'a na początku ma dwanaście lat).

- Ale co właściwie robiliście?

- Oj, różne rzeczy... Oj, ja naprawdę... ja... - Rzuciła to „ja” niczym stłumiony krzyk, wsłuchana w źródło swego bólu, i z braku słów rozpostarła pięć palców prawej dłoni wędrującej tym kanciastym ruchem raz w górę, raz w dół. Nie, nic z tego, nie będzie teraz wdawać się w szczegóły, kiedy nosi w sobie dziecko.

Potrafiłem ją zrozumieć.

- Teraz to już nie gra roli - rzekła, ubijając pięścią szarą poduszkę i z wypiętym w górę brzuchem położyła się na wznak na kanapie. - Wariactwa i świństwa. Powiedziałam nie, nie mam zamiaru [użyła, i to z całą beztrąską, obrzydliwego, gwarowego określenia, które na francuski dosłownie należałoby tłumaczyć jako *souffler*] twoich zbydlęciatych chłopców, bo tylko ciebie chcę. A on mnie wykopał.

Niewiele więcej zostało do opowiedzenia. Zimą 1949 roku ona i Fay znalazły pracę. Przez blisko dwa lata - oj, po prostu nosiło ją to tu, to tam, oj, pracowała w restauracjach na prowincji, a potem spotkała Dicka. Nie, nie wiedziała, gdzie jest tamten. Chyba w Nowym Jorku. Oczywiście był taki sławny, że jakby chciała, toby go zaraz znalazła. Fay próbowała wrócić na ranczo - ale już go nie było - spaliło się równo z ziemią, nic a nic nie zostało, tylko kupa zwęglonego złomu. Dziwna historia, ach, jaka dziwna...

Zamknęła oczy i otworzyła usta, oparta plecami o poduszkę, z jedną stopą na podłodze, w filcowym kapciu. Drewniana podłoga była pochyła, stalowa kuleczka potoczyłaby się do kuchni. Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem. Nie miałem zamiaru dręczyć mojej ukochanej. Gdzieś za budą Billa radio włączone po pracy zaczęło śpiewać o szaleństwie i losie, a ona leżała: zniszczona uroda, dorosłe, wąskie dłonie oplecione sznurkami żył, gęsia skórka na białych rękach, płytkie uszy, zaniedbane pachy, oto leżała (moja Lolita!), beznadziejnie zniszczona w wieku lat sie-

demnastu, z dzieckiem, które już w niej śniło o tym, żeby zostać grubą rybą i przejść na emeryturę gdzieś koło roku pańskiego 2020 - ja zaś patrzyłem, nie odrywałem od niej wzroku, i wiedziałem - ponad wszelką wątpliwość, tak jak wiem, że umrę - że kocham ją bardziej niż wszystko, co dotąd ujrzałem lub wyobraziłem sobie na ziemi, bardziej niż wszystko, co mam nadzieję napotkać gdziekolwiek indziej. Była zaledwie słabym powiewem fiołków i echem zeszlęgo liścia w porównaniu z nimfetką, na której niegdyś tarzałem się z takim krzykiem; była echem na krawędzi płowego wąwozu, na tle dalekiego lasu pod białym niebem, gdy brunatne liście dławią strumyk, a w chrupkich chwastach ćwierka ostatni świerszcz... lecz dzięki Bogu nie tylko to echo wielbiłem. Owoc, który dotychczas hołubiłem wśród spletanym pnączy swego serca, *mon grand péché radieux*, skurczył się, pozostawiając samą esencję: a jałowy i samolubny występki - ten przekreśliłem i przekląłem. Możecie ze mnie drwić, możecie grozić, że usuniecie publiczność, lecz póki nie mam knebla w ustach, póki nie jestem na wpół uduszony, będę wykrzykiwał swoją biedną prawdę. Żądam, żeby świat dowiedział się, jak bardzo kochałem moją Lolitę, tę Lolitę, bladą i zbrukaną, brzemienną cudzym dzieckiem, ale wciąż jeszcze szarooką, sadzorzęsą, kasztanową i migdałową, wciąż tę samą Carmencitę, wciąż moją; *Changeons de vie, ma Carmen, allons vivre quelque part où nous ne serons jamais séparés*; Ohio? Dzikie chaszczki Massachusetts? Nieważne, bo choćby jej oczy splezły i stały się rybio krótkowzroczne, choćby sutki nabrzmiały i popękały, a piękną i młodą, aksamitnie delikatną deltę splamiono i rozdarto - nawet wtedy szalałbym z tkliwości na sam widok twojej drogiej mizernej twarzy, na sam dźwięk twego ochryple młodego głosu, moja Lolito.

- Lolito - rzekłem. - Może to i bez sensu, ale muszę ci coś powiedzieć. Życie trwa bardzo krótko. Stąd do tego starego

auta, które tak dobrze znasz, jest jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć kroków. Króciutki spacer. Zrób te dwadzieścia pięć kroków. Teraz. Już. Bez bagażu. A będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Carmen, voulez-vous venir avec moi?

- To znaczy - odparła, otwierając oczy i lekko się podnosząc: żmija gotowa ukąsić. - To znaczy, że dasz nam [nam] te pieniądze, tylko jeżeli pójde z tobą do motelu. O to ci chodzi?

- Nie - zaprzeczyłem. - Nic nie rozumiesz. Chcę, żebyś zostawiła swojego przygodnego Picka i tę okropną norę i odtąd żyła ze mną, ze mną umarła, wszystko ze mną (coś w tym sensie).

- Zwariowałaś - stwierdziła, a jej twarz była jednym wielkim poruszeniem.

- Przemyśl to, Lolito. Nie stawiam żadnych warunków. Może prócz... nie, mniejsza z tym. (Prócz przebaczenia, chciałem powiedzieć, ale zmilczałem). A resztą nawet jeśli odmówisz, to i tak dostaniesz swój... *trousseau*.

- Serio? - spytała Dolly.

Podąłem jej kopertę z czterystoma dolarami gotówką i czekiem na trzy tysiące sześćset.

Ostrożnie, niepewnie przyjęła *mon petit cadeau*; a potem jej czoło pięknie poróżwiało.

- Znaczy - zapytała z męczeńską emfazą - dajesz nam cztery tysiące dolców?

Zakryłem dłonią twarz i wybuchnąłem płaczem, nigdy w życiu nie lałem tak gorących łez. Czułem, jak płyną mi zyg-zakiem przez palce i po brodzie, i palą mnie, i nos mi się zatkał i nie mogłem przestać, a ona dotknęła mojego nadgarstka.

- Umrę, jeżeli będziesz mnie dotykać - ostrzegłem. - Na pewno ze mną nie odejdziesz? Nie ma najmniejszej nadziei, że odejdziesz? Tylko to jedno mi powiedz.

- Nie - odparła. - Nie, kotku, nie ma.

Nigdy nie mówiła mi „kotku”.

- Nie - powiedziała. - Wykluczone. Już prędzej wróciłabym do Kuku. No, bo...

Szukała słów. Telepatycznie jej podpowiedziałem („On złamał mi serce. A ty zламаłeś mi tylko życie”).

- Uważam - ciągnęła. - Oj! - Koperta zsunęła się na podłogę, a ona zaraz ją podniosła. - Uważam, że po prostu fantastycznie się zachowałeś, dając nam tyle forsy. Już po naszych kłopotach, możemy wyjechać w przyszłym tygodniu. Nie płacz, proszę. Powinieneś zrozumieć. Doleję ci piwa. Och, nie płacz, przepraszam, że tyle oszukiwałam, ale takie jest życie.

Wytarłem twarz palcami. Dolly uśmiechnęła się do swojego *cadeau*. Była w euforii. Chciała zawołać Dicka. Oświadczyłem, że za chwilę muszę jechać i nie pragnę go widzieć wcale a wcale. Oboje szukaliśmy tematu do dalszej rozmowy. Nie wiadomo, dlaczego wciąż widziałem na swej wilgotnej siatkówce rozedrgany jedwabistym blaskiem ten obraz: promienne dwunastoletnie dziecko siedzi na progu i kamykami brzdąka w pustą puszkę. O mało nie powiedziałem - siląc się na zdawkowość - „Zastanawiam się czasem, co się stało z małą McCoo. Czy jej się polepszyło?” - ale w porę ugryzłem się w język, bo jeszcze by odpaliła: „Zastanawiam się czasem, co się stało z małą Haze...”. W końcu wróciłem do kwestii pieniężnych. Ta suma, oświadczyłem, to mniej więcej czysty dochód z czynszu za dom jej matki.

- Myślałam, że już dawno go sprzedałeś - zdziwiła się. Nie (przyznaję, kiedyś celowo coś takiego jej powiedziałem, żeby przerwać wszelką więź z R.); adwokat przyśle pełny raport o sytuacji finansowej, a wygląda ona po prostu różowo; pewne skromne papiery wartościowa, które niegdyś kupiła jej matka, bardzo tymczasem poszły w górę. Tak,

koniecznie musiałem już jechać. Musiałem jechać, znaleźć go i unicestwić.

Nie przeżyłbym dotyku jej ust, więc cofałem się w minorderyjnym tańcu z każdym krokiem, który ona i jej brzuch robili w moją stronę.

Odprowadziła mnie, a z nią pies. Zdziwiłem się (figura retoryczna i tyle: wcale się nie zdziwiłem), iż widok starego auta, którym jeździła jako dziecko i nimfetka, przyjęła tak obojętnie. Stwierdziła tylko, że trochę jakby mu rura zmięknęła. Ja na to, że wóz należy do niej, mogę pojechać autobusem. Powiedziała, żebym się nie wygłupiał, polecą do Jupiter i dopiero tam sprawią sobie auto. Odparłem, że odkupię od niej to stare za pięćset dolarów.

- Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziemy milionerami - rzekła do rozentuzjzmowanego psa.

Carmencita, lui demandais-je...

- Jedno ostatnie słowo - powiedziałem swoją okropną, ostrożną angielszczyzną. - Czy jesteś absolutnie pewna, że... oczywiście nie jutro ani nie pojutrze, ale... no, kiedyś, kiedykolwiek, nie przyjdiesz ze mną żyć? Stworzę całkiem nowego Boga i będę mu dziękował przeszywającymi okrzykami, jeśli dasz mi tę mikroskopijną nadzieję (taki mniej więcej sens).

- Nie - odparła z uśmiechem. - Nie.

- To by zupełnie zmieniło postać rzeczy - dodał Humbert Humbert.

Po czym dobyteł pistoletu... chcę powiedzieć, że właśnie takiego głupstwa mógłby się po mnie spodziewać czytelnik. Nigdy nawet nie pomyślałem, żeby to zrobić.

- Do widzenia! - zaśpiewała moja amerykańska słodka nieśmiertelna nieżywa ukochana; jest bowiem nieżywa i nieśmiertelna, skoro to czytacie. Przynajmniej zgodnie z formalną umową, którą zawarłem z tak zwanymi władzami.

Odjeżdżając, usłyszałem, jak woła coś dźwięcznym głosem do swojego Dicka; pies pocwałował obok wozu jak tłusty delfin, był jednak za ciężki i za stary, więc szybko dał spokój.

Wkrótce potem jechałem w mżawce dogorywającego dnia, a wycieraczki chodziły na pełnych obrotach, ale były bezradne wobec moich łez.

30

Ponieważ opuściłem Coalmont koło czwartej po południu (Szosa X - nie pamiętam numeru), miałem szansę jeszcze przed świtem wylądować w Ramsdale, gdyby nie skończyła mnie jazda na skrót. Musiałem dostać się na Autostradę Y. Moja mapa dość uprzejmie pokazywała, że tuż za Woodbine, dokąd zajechałem z zapadnięciem nocy, mogę porzucić asfaltową X i poprzeczną żwirówką trafić do asfaltowej Y. Według mapy byłoby to zaledwie sześćdziesiąt parę kilometrów. W przeciwnym razie musiałbym podążać Szosą X przez dalsze sto sześćdziesiąt kilometrów, a potem niespiesznym zakosem Z dotrzeć do Y i w końcu do celu. Ale wspomniany skrót stopniowo się psuł, stawał się coraz bardziej wyboisty i błotnisty, a kiedy spróbowałem zawrócić, po jakichś piętnastu kilometrach mozolnej jazdy na ślepo, w ślamazarnym, ślimaczym tempie, mój osłabły ze starości melmoth ugrzązł w głębokiej glinie. Było ciemno, parno i beznadziejnie. Moje światła przednie zawisły nad szerokim rowem pełnym wody. W najbliższej okolicy – jeśli w ogóle istniało coś takiego - była jedynie czarna głusza. Usiłowałem jakoś się wykaraskać, lecz tylne koła tylko rzeziły w młacie i męce. Przeklinając los, zdjąłem paradny strój, przebrałem się w byle jakie portki, wciągnąłem rozstrzelany sweter i pobrnąłem wstecz do przydrożnej farmy, sześć kilometrów z okładem. W drodze złapał mnie deszcz,

ale nie miałem już siły wrócić po płaszcz nieprzemakalny. Tego rodzaju zdarzenia przekonały mnie, że serce mam w zasadniczo dobrym stanie, wbrew niedawnym diagnozom. Koło północy pomoc drogowa wyciągnęła z błota mój wóz. Trafiłem z powrotem na Autostradę X i ruszyłem w dalszą podróż. Po godzinie bezgraniczne znużenie dopadło mnie w jakimś anonimowym miasteczku. Zahamowałem przy kra-
węźniku i w ciemności pociągnąłem długi haust z przyja-
ciółki piersiówki.

Deszcz odwołano wiele kilometrów wcześniej. Była cza-
rna ciepła noc gdzieś w Appalachii. Niekiedy mijały mnie
auta - czerwone światła tylne oddalały się, białe przednie
zbliżały, ale miasto było wymarłe. Nikt się nie śmiał, nikt
nie spacerował ulicami, jak zwykli czynić w wolnych chwila-
ch mieszczanie w słodkiej, dostatej, gnijącej Europie. Sa-
motnie napawałem się niewinną nocą i swymi straszliwymi
myślami. Druciany śmietnik przy kra-
węźniku był bardzo
wybredny, jeśli idzie o zawartość: Zmiotki. Papier. Żad-
nych Odpadków. Litery ze światła, czerwone jak sherry,
anonsowały sklep z aparatami fotograficznymi. Wielki ter-
mometr z nazwą środka przeczyszczającego bezszelestnie
gniazdował na frontowej ścianie apteki. Zakład Jubilerski
Rubinova miał na wystawie sztuczne brylanty odbite w cze-
rwonym lustrze. Oświetlony zielony zegar pławiła w swej
bieliźnianej toni Pralnia Żwawego Jeffa. Naprzeciwko war-
sztat samochodowy mamrotał przez sen - kolan wulgaryza-
cja; ale zaraz przywołał się do porządku: Colin – Wulkani-
zacja. Samolot, także inkrustowany przez Rubinova, przele-
ciał, bucząc w aksamitnych niebiosach. Ile małych miaste-
czek oglądałem już głuchą nocą! To jeszcze nie ostatnie.

Pozwólcie mi trochę zamarudzić, on już na dobrą sprawę
jest unicestwiony. Nieco dalej po drugiej stronie ulicy neon
migotał dwa razy wolniej niż moje serce: kontur godła re-
stauracji, wielki dzban z kawą, mniej więcej co sekunda

zrywał się do szmaragdowego życia, a ilekroć gościł, różowe litery Pyszna Pasza przejmowały pałeczkę, lecz dzbanek i tak pozostawał widoczny jako utajony cień drażniący oko przed następnym szmaragdowym wskrzeszeniem. Widać było cienie płuc. Ten skryty gródek leżał nieopodal Zaklętych Łowców. Znowu płakałem, niemożliwą przeszłością pijany.

31

Gdy tak się pokrzepiałem na samotnym postoju między Coalmont a Ramsdale (między niewinną Dolly Schiller a jowialnym wujem Adamaszkiem), zanalizowałem swój przypadek. Z największą prostotą i wyrazistością ujrzałem siebie i swoją miłość. Wcześniejsze próby w porównaniu z tą widziałem jak przez mgłę. Przed kilkoma laty, pod przewodnictwem inteligentnego, władającego francuskim spowiednika, u którego w chwili metafizycznej ciekawości wymieniłem bezbarwny ateizm protestanta na staromodną papistowską driakiew, miałem nadzieję wydedukować ze swego poczucia grzechu Istotę Najwyższą. W owe mroźne poranki w koronkowo oszronionym Quebecu pocziwy ksiądz pracował nade mną z najszlachetniejszą wrażliwością i zrozumieniem. Jestem nieskończenie zobowiązany jemu samemu oraz znakomitej Instytucji, którą reprezentował. Nie zdołałem jednak, niestety, wznieść się ponad ten prosty ludzki fakt, że choćbym nie wiedzieć jakiej doznał pociechy duchowej, choćby nie wiedzieć jakie roztoczono przede mną litofanie wieczności, w pamięci mej Lolity nic nie zatrze plugawej żądz, którą ją prześladowałem. Póki nie zostanie mi udowodnione - mnie takiemu, jaki jestem dziś, teraz, z moim sercem, brodą i zgnilizną - że z perspektywy nieskończoności nie ma najmniejszego znaczenia, czy małą Amerykankę, Dolores Haze, pozbawił dzieciństwa pewien wa-

riat, otóż póki nie dostanę na to dowodu (a jeśli dostanę, to życie jest jedną wielką kpina), nie widzę na swoją niedolę innego lekarstwa niż ten melancholijny i bardzo doraźnie działający uśmierzacz: sztuka artykulacji. Jak powiada stary poeta:

Moralny zmysł w śmiertelnych jest to rodzaj piętna,
Którym opłacamy śmiertelny zmysł piękna.

32

Był taki dzień w trakcie naszej pierwszej podróży - w naszym pierwszym rajskim kręgu - kiedy po to, by w spokoju cieszyć się swymi fantazmatami, niezłomnie postanowiłem ignorować fakt, którego nie mogłem nie dostrzec, ten mianowicie, iż nie jestem dla niej ukochanym chłopcem, podziwianym mężczyzną, kumplem, ba! - w ogóle nie człowiekiem, tylko dwojgiem oczu i długim na stopę kawałem przekrwionego mięsa - że wspomnę jedynie o tym, o czym wspomnieć od biedy się godzi. Był taki dzień, kiedy cofnąwszy czysto funkcjonalną obietnicę złożoną w dniu poprzednim (a musiało to być coś, czego pragnęła całym swoim śmiesznym serduszkim - tor wrotkarski z jakąś specjalną plastikową nawierzchnią albo popołudniówka w kinie, na którą chciała pójść beze mnie), spojrzałem w stronę łazienki i zobaczyłem - dzięki przypadkowej kombinacji skosu lustra i uchylonych drzwi - jej minę... tę minę, której nie potrafię dokładnie opisać... wyraz bezradności tak doskonałej, że graniczyła z dość w sumie przyjemnym zidioceniem, był to już bowiem szczyt niesprawiedliwości i rozczarowania - a każdy szczyt implikuje istnienie następnego - i stąd ta neutralna iluminacja. Gdy weźmie się pod uwagę, że te uniesione brwi i rozchylone usta były brwiami i ustami dziecka, można dokładniej sobie uzmysłowić, jakie otchła-

nie wyrachowanej cielesności, jaka rozpacz odbita nie pozwoliła mi paść do jej drogich stóp, rozpląnąć się w powodzi ludzkich łez i złożyć moją zazdrość na ołtarzu niewiadomych uciech, których Lolita miała nadzieję zaznać, przestając z brudnymi i niebezpiecznymi dziećmi w świecie zewnętrznym, czyli - dla niej – rzeczywistym.

Mam też inne zdławione wspomnienia, z których wykwiatają teraz monstrualne kadłuby bólu. Pewnego razu na zamkniętej zachodem słońca ulicy w Beardsley zwróciła się do małej Ewy Rosen (właśnie zabierałem obie nimfetki na koncert i szedłem za nimi, tak blisko, że prawie ich dotykałem), zwróciła się więc do Ewy i serio, spokojnie, w odpowiedzi na uwagę tamtej, że lepiej byłoby umrzeć, niż słuchać, jak Milton Piński, uczeń miejscowej szkoły, którego znała, mówi o muzyce, moja Lolita stwierdziła:

- Wiesz, w umieraniu najstraszniejsze wydaje mi się to, że człowiek jest zdany tylko na siebie. - Mnie zaś uderzyła myśl, podczas gdy moje kolana podnosiły się i opuszczały automatycznie jak u manekina, że wprost nie mam pojęcia, co drzemie w zakamarkach umysłu najmilszej istoty; że za zasłoną okropnych szczeniackich stereotypów może się tam kryć ogród i zmiernicze, i brama pałacowa: niejasne, przepiękne rejony, do których trzeźwo i bezwzględnie zakazano wstępu właśnie mnie, okrytemu zbrukanyymi łachmanami, wijącemu się w żalonych konwulsjach; często bowiem zauważałem, że jako mieszkańcy świata rządzonego przez totalne zło, oboje wpadaliśmy w dziwne zakłopotanie, ilekroć próbowałem porozmawiać z nią o czymś, o czym mogłaby mówić ze starszym kolegą, z kimś z rodziców, z prawdziwym zdrowym chłopcem – sympatią - o czymś, o czym mógłbym mówić ja z Annabel, Lolita z wzniosłym, oczyszczonym, odkompleksionym, ubóstwionym Haroldem Haze - o jakiejś abstrakcyjnej idei, o obrazie, o nakrapianym Hopkinsie lub wystrzyżonym Baudelaire, o Bogu albo o

Szekspirze, o jakimkolwiek autentyku. Pobożne życzenia! Opancerzała swoją wrażliwość trywialnym tupetem i nudą, podczas gdy ja rzucałem rozpaczliwie obojętne stwierdzenia sztucznym tonem, od którego cierpły mi ostatnie zęby, a moja publiczność prowokował on do tak bezczelnych wybuchów, że dalsza rozmowa stawała się niepodobieństwem, o, moje biedne, poturbowane dziecko.

Kochałem cię. Byłem pięcionogim potworem, ale cię kochałem. Byłem nędzny, nikczemny, brutalny i co tylko chcesz, *mais je t'aimais, je t'aimais!* Zdarzały się też chwile, kiedy wiedziałem, co czujesz, i piekielnie mnie to bolało, maleńka. Mała Lolito, dzielna Dolly Schiller.

Pamiętam pewne momenty - powiedzmy, góry lodowe w raj - kiedy nasyciwszy się nią do syta, po bajecznych, obłędnych wyczynach, cały zwiotczały, w lazuruwskie paski, brałem ją na ręce, nareszcie z bezgłośnym jękiem czysto ludzkiej tkliwości (jej skóra lśniła w świetle neonu, które przez szpary żaluzji padało z brukowanego dziedzińca, rzęsy czarne jak sadza były zlepione, poważne szare oczy bardziej puste niż kiedykolwiek - wypisz wymaluj, mała pacjentka, co jeszcze nie otrząsnęła się z narkotyku po grubszej operacji) - i zaraz tkliwość pogłębiała się, przechodząc we wstyd i rozpacz, ja zaś kołysałem i lulałem w marmurowych ramionach moją jedyną, lekką Lolitę, i jęczałem w jej ciepłe włosy, obsypywałem ją bezładnymi piieszczotami i niemo błagałem o błogosławieństwo, lecz u szczytu tej ludzkiej, udręczonej, bezinteresownej czułości (gdy moja dusza dosłownie spowijała jej nagie ciało, gotowa czynić pokutę) w jednej chwili - o, straszliwa ironio! - znów nabrzmiwała chuć - a Lolita mówiła „No, nie”, śląc do nieba westchnienie, i oto w sekundę cała tkliwość z lazurem rozsypywała się w pył.

Panujące w połowie dwudziestego wieku wyobrażenia o stosunkach między dziećmi a rodzicami mocno skaziło

scholastyczne bajdurzenie i schematyczne symbole macher-ów od psychoanalizy, mam jednak nadzieję, iż zwracam się tu do bezstronnych czytelników. Kiedy pewnego razu ojciec Avis zatrąbił pod naszym oknem, dając znak, że tatuś przyjechał zabrać swoją pieszczoszkę do domu, czułem się w obowiązku zaprosić go do salonu, gdzie też usiadł na chwilę, a gdy rozmawialiśmy, Avis - ociężałe, nieładne, kochające dziecko - przysunęła się do niego i w końcu pulchnie przycupnęła mu na kolanie. Otóż nie pamiętam, czy już mówiłem, że Lolita zawsze miała dla obcych absolutnie czarujący uśmiech: z puszystą czułością mrużyła oczy, twarz jej jaśniała słodkim rozmarzeniem, a wszystko to nic oczywiście nie znaczyło, ale było takie piękne, tak zniwelujące, że nie bardzo dawało się zbagatelizować tę słodycz jako efekt magicznego genu, który automatycznie opromieniał jej rysy atawistyczną namiastką jakiegoś starożytnego rytuału powitalnego - ot, gościnna prostytutka, powie czytający te słowa grubianin. Stała więc w salonie, a pan Ptacky kręcił na palcu młynka kapeluszem i mówił, i - no tak, popatrzcie, co za dureń ze mnie, pominąłem najważniejszą cechę słynnego uśmiechu Lolity: ta tkliwa, ne-ktaryczna, pucołowata poświata nigdy wśród swych płasów nie kierowała się wprost na obecną w pokoju obcą osobę, lecz zawisała, by tak rzec, we własnej odległej, kwiecistej próżni lub z krótkowzroczną łagodnością błąkała się po przypadkowych przedmiotach - i tak też było tym razem: kiedy tłusta Avis przypadła do papy, Lolita delikatnie się rozanieliła, zapatrzona w nożyk do owoców, bawiąc się nim na brzegu stołu, o który się opierała, całe mile ode mnie. Wtem Avis przytuliła się do szyi i ucha ojca, a on od niechcenia otoczył ramieniem bryłowate, obfite kształty swego pomiotu, ja zaś spostrzegłem, że uśmiech Lolity traci cały blask i zostaje z niego tylko mały złodowaciały cień. I zaraz nożyk zsunął się ze stołu i srebrną rączką zadał jej podstępny cios w kos-

tkę, aż syknęła, skuliła się, schylając głowę, i skacząc na je-
dnej nodze, z twarzą okropnie wykrzywioną tym propedeu-
tycznym grymasem, którym dzieci się zaślaniają, póki nie
trysną łzy, wybiegła - a za nią natychmiast podążyła Avis
i zaczęła ją pocieszać w kuchni, Avis, która miała takiego
cudownego tłusto-różowego tatę i pyzatego braciszka, i no-
wiutką siostrzyczkę-niemowlaczkę, i dom, i dwa roześmia-
ne psy, a Lolita nie miała nic. Zachowałem też zgrabne
pendant do tej scenki - także z Beardsley. Lolita siedziała
przy kominku, czytając książkę, ale raptem się przeciągnęła
i z łokciem w górze spytała, stękając:

- Gdzie ona właściwie leży?

- Kto?

- No, przecież wiesz, moja zamordowana mama.

- Ty też wiesz, gdzie jest jej grób - odparłem, panując nad
sobą, i wymienilem nazwę cmentarza: tuż koło Ramsdale,
między torami kolejowymi a Wzgórzem Jeziornym. - A po-
za tym - dodałem - tragedię takiego wypadku trochę um-
niejsza epitet, którym uznałaś za stosowne ją opatrzeć. Jeśli
naprawdę pragniesz, żeby twój umysł zatriumfował nad
ideą śmierci...

- Hip hip - rzekła Lo, przemilczając „hura”, i niespiesznie
wyszła z pokoju, a ja długo patrzyłem w ogień piekącymi
oczami. Potem sięgnąłem po jej książkę. Była to jakaś tan-
deta dla młodzieży. Występowała w niej ponura dziew-
czynka imieniem Marion i jej macocha - wbrew wszelkim
spodziewaniom młoda, wesoła, ruda i wyrozumiała - która
wytłumaczyła pasierbicy, że jej zmarła matka była właści-
wie bohaterką, ponieważ celowo ukrywała przed Marion,
jak bardzo ją kocha, bo wiedząc, że umiera, nie chciała, aby
dziecko za nią tęskniło. Nie popędziłem z krzykiem do jej
pokoju. Zawsze wołałem przestrzegać tego kodeksu higie-
ny umysłowej, który odradza interwencję. A gdy teraz wije
się i czolgam przed własną pamięcią, uzmysławiam sobie,

że przy tej i podobnych okazjach z nawyku i z zasady ignorowałem nastroje Lolity, zarazem dogadzając własnemu niskiemu ja. Kiedy moja matka w sieniej mokrej sukni, w kłębach mgły (taką bowiem ją sobie żywo wyobrażałem) biegła w zdyszanej ekstazie na tę grań nad Moulinet, gdzie miał ją powalić piorun, byłem zaledwie niemowlęciem, toteż w retrospekcji nie zdołałem na ani jednej spośród chwil swej młodości zaszcześcić żadnych dopuszczalnych tęsknot, mimo wszelkich barbarzyńskich podszczuwań, których nie szczydzili mi psychoterapeuci w późniejszych okresach depresji. Przyznaję jednak, że człowiek o mojej potędze wyobraźni nie może usprawiedliwiać się osobistą niezajomością powszechnych uczuć. Może też zanadto sugerowałem się nienormalnym chłodem stosunków między Charlottą a jej córką. Lecz straszliwą pointą całego tego wyводу jest co innego. Otóż dla mojej konwencjonalnej Lolity w trakcie naszego nietuzinkowego i bestialskiego pożycia stopniowo stało się oczywiste, że nawet najędzniejsze życie rodzinne ma większą wartość niż ta parodia kazirodztwa, która na dłuższą metę była najlepszym, co mogłem ofiarować sierotce.

33

Znowu w Ramsdale. Podjechałem od strony jeziora. Słoneczne popołudnie pełne było oczu. Jadąc autem upstrzonym cętkami błota, widziałem iskry diamentowej wody wśród dalekich sosen. Skręciłem na cmentarz i ruszyłem pieszo między wyższe i niższe płyty kamienne. Bonżur, Charlottto. W niektórych grobach tkwiły blade, przezroczyste chorągiewki, malutkie flagi narodowe, obwisłe w bezwietrznym powietrzu pod iglakami. Rany, Ed, ale Miałś pecha - Ed to niejaki G. Edward Grammar, trzydziestopięcioletni kierownik pewnego nowojorskiego biura, który

właśnie stanął przed sądem pod zaszczepem zamordowania swej trzydziestotrzyletniej żony Dorothy. Knując zbrodnię doskonałą, Ed zmasakrował żonę pałką i wsadził do auta. Sprawa wyszła na jaw, gdy dwaj policjanci okręgowi patrolując okolicę, zobaczyli, że nowy wóz pani Grammar, wielki niebieski chrysler, prezent od męża z okazji rocznicy ślubu, mknąc jak szalony zjeżdża ze wzgórza na samej granicy ich rewiru (Boże, błogosław poczciwym policajom!). Samochód otarł się bokiem o słup, wjechał na nasyp porośnięty trawą palczatką, dziką truskawką i pięciornikiem, no i się przewrócił. Koła wciąż jeszcze wolno się obracały w łagodnym słońcu, kiedy funkcjonariusze wyjęli ciało pani G. Z początku wyglądało to na zwykły wypadek drogowy. Niestety, zmaltretowane zwłoki kobiety wyraźnie kontrastowały z lekkimi tylko uszkodzeniami auta. Ja lepiej się spisałem.

Poturlałem się dalej. Dziwnie było znów ujrzyć smukły biały kościół i ogromne wiązy. Zapominając, że na amerykańskim przedmieściu samotny przechodzień bardziej rzuca się w oczy niż samotny automobilista, zostawałem wóz na głównej ulicy, aby bez ostentacji przejść obok numeru 342 przy Lawn Street. Przed krwawą łaźnią należała mi się odrobina ulgi, ten katarktyczny spazm, gdy psyche podchodzi człowiekowi do gardła. Białe okiennice rezydencji Starociów były zamknięte, a do białej tabliczki NA SPRZEDAŻ, chyłcej się w stronę chodnika, ktoś przyczepił znalezione czarną aksamitkę. Nie czekał żaden pies. Nie telefonował żaden ogrodnik. Żadna panna Wizawka nie siedziała na obwinionej werandzie - na której ku irytacji samotnego przechodnia dwie młode kobiety z końskimi ogonami, w identycznych fartuchach w grochy, przerwały bliżej nieokreślone zajęcie i zaczęły na niego się gapić: z pewnością dawno już nie żyła, a te dwie to chyba jej siostrzenice bliźniaczki z Filadelfii.

Czy powinienem zająć do swego dawnego domu? Podobnie jak w opowiadaniu Turgieniewa, włoska muzyka porzywiście chlustała z otwartego okna - z salonu: cóż to za romantyczna dusza grała na fortepianie tam, gdzie żaden fortepian nie miotał się ani nie tryskał trytonami w ową zauroczoną niedzielę, gdy słońce pieściło jej ukochane nogi? Nagle zauważyłem, że z trawnika, który niegdyś strzygłem, złotoskóra nimfetka o włosach szatynki, dziewięcio-, może dziesięcioletnia, w białych szortach, przygląda mi się z dziką fascynacją w ogromnych błękitno-czarnych oczach. Powiedziałem jej coś miłego, bez złych intencji, staroświecki komplement, jakie masz ładne oczy, ale cofnęła się w pośpiechu, muzyka raptem umilkła, a z domu wyszedł ciemnowłosy, lśniący od potu mężczyzna o wyglądzie brutala i groźnie na mnie spojrział. Już miałem się przedstawić, kiedy z nagłym wstrząsem, zażenowany jak w marzeniu sennym, uprzytomniłem sobie, że jestem w ubłoconych drelichach, w brudnym i podartym swetrze, mam szczeciniasty zarost i przekrwione oczy włóczęgi. Odwróciłem się bez słowa i powlokłem się z powrotem. Anemiczny astroidalny kwiat wyrastał z pamiętnej szpary w chodniku. Po cichu wskrzeszoną Pannę Wizawkę bratanice wystawiały właśnie wraz z wózkiem za próg, jakby weranda była sceną, a ja gwiazdorem. Modląc się, żeby mnie nie zawołała, pospieszyłem do auta. Jaki stromy zaułek. Jaka przepastna ulica. Między wycieraczką a przednią szybą widać było czerwony świstek mandatu; starannie przedarłem go na dwa, na cztery, na osiem kawałków.

Czując, że tracę czas, energicznie ruszyłem do śródmiejskiego hotelu, do którego ponad pięć lat wcześniej zawitałem z nową walizką. Wynająłem pokój, umówiłem się przez telefon na dwa spotkania, ogoliłem się, wykapałem, ubrałem na czarno i zszedłem do baru, żeby się napić. Nic się nie zmieniło. Bar wraz z całą salą tonął w przyćmio-

nym, nieprawdopodobnym, czerwonym jak granat świetle, które w Europie przed laty było typowe dla podłych spelun, tu jednak wprowadzać miało nieco nastroju do rodzinnego hotelu. Usiadłem przy tym samym stolyczku, przy którym na początku pobytu w Ramsdale, jako świeżo upieczony lokator Charlotty, uznałem za stosowne uczcić swój nowy status, uprzejmie dzieląc z nią pół butelki szampana, czym zgubnie podbiłem jej biedne wezbrane serce. Również i teraz kelner o twarzy jak księżyc w pełni ustawiał ze stellaną starannością pięćdziesiąt kieliszków sherry na okrągłej tacy, szykując ją na przyjęcie weselne. Tym razem Murphy-Fantasia. Była za osiem trzecia. Idąc przez hall, musiałem ominąć grupę dam, które wśród *mille grâces* żegnały się ze sobą po klubowym lunchu. Jedna mnie poznała i z przenikliwym okrzykiem napadła. Była to tęga, niska kobieta w perłowszarej sukni, w kapelutku z długim, szarym, smukłym piórem: pani Chatfield. Natarła na mnie z fałszywym uśmiechem, pałając niegodziwą ciekawością. (Czy zrobiłem Lolicie to, co Frank Lasalle, pięćdziesięcioletni mechanik, zrobił jedenastoletniej Sally Homer w 1948 roku?). Wnet zdołałem pohamować tę zachłanną uciechę. Pani Chatfield myślała, że jestem w Kalifornii. Jakże się miewa...? Z najwyższą rozkoszą poinformowałem ją, że moja pasierbica właśnie wyszła za młodego geniusza inżynierii górniczej, który dostał ściśle tajną posadę na Północnym Zachodzie. Odparła, że nie pochwała takich wczesnych małżeństw, nigdy nie pozwoliłaby swojej Phyllis, obecnie osiemnastoletniej...

- Ależ tak, oczywiście - rzekłem spokojnie. - Pamiętam Phyllis. Phyllis i Kolonię Q. No, pewnie. A skoro o tym mowa, czy córka opowiadała pani, jak Charlie Holmes wykorzystywał pupilki swojej matki?

Nadpęknięty już uśmiech pani Chatfield do reszty się rozsypał.

- Wstyd! - zawołała. - Wstyd, panie Humbert! Biedny chłopiec właśnie zginął w Korei.

Spytałem, czy nie sądzi, że *vient de* z bezkolicznikiem znacznie precyzyjniej określa niedawne wydarzenia niż angielskie *just* z formą czasu przeszłego? Ale muszę już lecieć, powiedziałem.

Do biura Windmullera miałem tylko dwie przecznice. Powitał mnie bardzo powolnym, bardzo opatulającym, mocnym i docieklwym uściskiem dłoni. Myślał, że jestem w Kalifornii. Czy nie mieszkałem kiedyś w Beardsley? Jego córka właśnie zaczęła studia w tamtejszym college'u. A jak się miewa...? Udzieliłem mu kompletu niezbędnych informacji o pani Schiller. Odbiliśmy miłą konferencję na temat interesów. Wyszedłem w gorące wrześnie słońce jako zadowolony nędzarz.

Skoro wszelkie przeszkody znikły nareszcie z mej drogi, mogłem swobodnie zająć się tym, po co w ogóle przyjechałem do Ramsdale. Z metodycznością, z której zawsze byłem taki dumny, trzymałem dotąd Clare'a Quilty'ego w swym ciemnym lochu, w masce na twarzy, każąc mu czekać, aż przyjdę z cyrulikiem i z pastorem: *Réveillez-vous, Laqueue, il est temps de mourir!* Nie mam teraz czasu omawiać zagadnień mnemoniki fizjonomicznej - idę do jego stryja, i to szparkim krokiem - ale pozwolę sobie naprędce odnotować ten oto fakt: przechowałem w spirytusie zamglonej pamięci ropuszą twarz. Parokrotnie ujrzawszy ją w przelocie, zauważyłem, że trochę mi przypomina pogodnego i dosyć odrażającego handlarza win, mego krewnego ze Szwajcarii. Ten posiadacz hantli i cuchnącego trykotu, tłustych włochatych rąk i łysiny, a także służącej-konkubiny o świńskim liczku, był w sumie nieszkodliwym starym łajdakiem. Zbyt w gruncie rzeczy nieszkodliwym, aby go myłono z moją ofiarą. W stanie ducha, w jakim wówczas się znajdowałem, wizja Trappa gdzieś się ulotniła. Bez reszty

pochłonęła ją twarz Clare'a Quilty'ego - w wersji przedstawionej z artystyczną precyzją na oprawionym zdjęciu, które stało na biurku jego stryja.

W Beardsley oddawszy się w ręce uroczego doktora Molnara, przeszedłem dość poważną operację dentyścyczną, po której zostało mi tylko kilka górnych i dolnych zębów przednich. Protezy trzymały się na całym systemie płytek, z dyskretnym odrutowaniem wzdłuż górnego dziąsła. Urządzenie to było arcydziełem wygody, a moje kły cieszyły się jak najlepszym zdrowiem. Chcąc jednak ugarniować swój tajemny cel wiarygodnym pretekstem, powiedziałem doktorowi Quilty'emu, że w nadziei złagodzenia nerwobólów twarzy postanowiłem dać sobie usunąć wszystkie zęby. Ile kosztowałby komplet sztucznych? Jak długo potrwałaby operacja, przyjąwszy, że na pierwszy zabieg zgłosiłbym się gdzieś w listopadzie? Gdzie przebywa obecnie jego sławny bratanek? Czy można usunąć wszystkie naraz, podczas jednej dramatycznej sesji?

Doktor Quilty - biały kitel, siwe włosy strzyżone na jeża, wielkie, płaskie policzki polityka - przysiadł na brzegu biurka i marzycielsko, uwodzicielsko kiwając stopą, jął roztaczać przede mną swój wspaniały długofalowy plan. Najpierw wyposażyliby mnie w prowizoryczne protezy, póki dziąsła się nie uspokoją. Potem zrobiłby mi komplet do noszenia na stałe. Miał ochotę zajrzeć mi w te moje usta. Miał na nogach ażurowe dwukolorowe półbuty. Miał wrażenie, że tego szelmę - którego nie odwiedzał od 1946 roku - Można zastać w domu jego przodków, na Grimm Road, niedaleko Parkington. Był to wzniosły sen. Doktor z natchnionym wzrokiem kiwał stopą. Kosztowałoby mnie to około sześciu setek. Zaproponował, że od razu zdejmie miarę i zrobi pierwszy komplet jeszcze przed rozpoczęciem operacji. Moje usta były dla niego cudowną jaskinią pełną bezcennych skarbów, ale odmówiłem mu prawa wstępu.

- Nie - powiedziałem. - Po namyśle postanowiłem zlecić ten zabieg doktorowi Molnarowi. Każe sobie więcej płacić, ale jest oczywiście dużo lepszym dentystą niż pan.

Nie wiem, czy ktokolwiek z mych czytelników będzie miał kiedyś okazję coś takiego powiedzieć. Jest to słodkie, wyśnione uczucie. Stryj Clare'a dalej siedział na biurku i śnił, ale jego stopa przestała huścić kołyskę różanych mrzonek. Natomiast pielęgniarka, chuda jak szkielet, bezbarwna dziewczyna o tragicznym spojrzeniu pechowej blondynki, pognała moim śladem, żeby zdążyć zatrzaskać za mną drzwi.

Wsuń magazynek w kolbę. Wepchnij do oporu, aż usłyszysz albo poczujesz, że zaskoczył. Rozkoszna obcisłość. Ładunek: osiem naboí. Niebiesko oksydowana stal. Drży z niecierpliwości, żeby wypalić.

34

Człowiek ze stacji benzynowej w Parkington dokładnie mi objaśnił dojazd do Grimm Road. Chcąc się upewnić, czy zastanę Quilty'ego w domu, spróbowałem do niego zadzwonić, ale okazało się, że jego telefon odłączono niedawno od sieci. Czyżby wyjechał? Ruszyłem ku Grimm Road, dwadzieścia kilometrów na północ od miasta. Tymczasem noc usunęła już większość pejzażu, a gdy jechałem wąską i krętą szosą, niskie słupki ze szkiełkami odbłaskowymi, upiornie białe, co chwila pożyczwały ode mnie światła, żeby wskazać kolejny zakręt. W ciemnościach rozróżniałem ciemną dolinę po jednej stronie drogi i zadrzewione zbocza po drugiej, a przede mną ćmy niczym bezpańskie płatki śniegu wyfruwały z mroku prosto w moją badawczą aurę. Na dwudziestym kilometrze zgodnie z zapowiedzią dziwnie zakapturzony most skrył mnie na chwilę, za mostem z prawej wyłoniła się pomalowana skała na biało, po czym przeje-

chawszy jeszcze parę długości auta, skręciłem z szosy również w prawo, w zwirowaną Grimm Road. Przez kilka minut był tylko wilgotny, mroczny, gęsty las. Potem z kolistej polany wystrzelił „Dwór Pavor”, drewniany, z wieżyczką. Okna jarzyły się żółcią i czerwienią; na podjeździe tłoczyło się pół tuzina aut. Zatrzymałem się w ustroniu między drzewami i zgasilem światła, żeby spokojnie obmyślić następne posunięcie. Był wśród swoich siepaczy i kurew. Chcąc nie chcąc, widziałem wewnątrz tego rachitycznego zamczyska uciech przez pryzmat Kłopotów nastolatki, artykułu z jednego z jej pism: bliżej nieokreślone „orgie”, groźny mężczyzna z penisim cygarem, narkotyki, obstawa. Ale grunt, że tam był. Postanowiłem wrócić w porze porannej drętwo-ty.

Powolutku zawróciłem do miasta starym wiernym autem, które tak pogodnie, nieomal radośnie mi służyło. Moja Lolita! W czeluściach schowka na prawo od kierownicy leżała jeszcze jej spinka do włosów sprzed trzech lat. Moje reflektory wysysały jeszcze z nocy strumień białych ciem. Tu i ówdzie przy drodze mroczne stodoły podpierały się jeszcze nosami. Ludzie chodzili jeszcze na filmy. Szukając noclegu, minąłem kino samochodowe. W selennej poświę-ście, zaiste mistycznej przez kontrast z bezksiężycową, masywną nocą, na gigantycznym ekranie spoglądającym z ukosa w głąb ciemnych i sennych pól, chudy fantom uniósł pistolet, lecz ostry kąt, pod jakim widziałem ten uchodzący świat, zamienił go wraz z ręką w rozedrgane pomyje - a po chwili rząd drzew uciął dalszy ciąg jego gestu.

35

Nazajutrz około ósmej rano opuściłem Bezsenny Zajazd i spędziłem nieco czasu w Parkington. Prześladowały mnie wizje sfuszerowanej egzekucji. Myśląc, że naboje w maga-

zynku mogły sparcieć przez tydzień bezczynności, wyjąłem je i włożyłem nowe. Kumowi sprawiłem tak dokładną kąpiel w oliwie, że nie mogłem potem się pozbyć tego mazi-dła. Obandażowałem broń szmatą niby kaleką kończynę, a w drugą szmatę zawinałem garść zapasowych naboii.

Przez prawie całą drogę na Grimm Road towarzyszyła mi burza z piorunami, lecz gdy dotarłem do „Paworu”, znów ukazało się słońce płonące jak człowiek, a w koronach skąpanych, parujących drzew darły się ptaki. Kunsztownie zaprojektowany, podupadły dom stał jakby w oszłomieniu, które poniekąd odzwierciedlało mój własny stan, dotknąwszy bowiem stopami sprężystej, zawodnej ziemi, nie mogłem nie zauważyć, że przeholowałem z alkoholowym dopingiem.

Na mój dzwonek odpowiedziała cisza pełna bacznej ironii. Ale garaż nadziany był jego autem, dla odmiany czarnym kabrioletem. Spróbowałem kołatki. Powtórka z nieobecności. Warknąłem wściekle i pchnąłem drzwi, a one - jak miło! - otworzyły się niczym w średniowiecznej baśni. Po cichu zamknąwszy je za sobą, przeszedłem przez duży i szkaradny hall; zajrzałem do sąsiedniego salonu; zobaczyłem wyrastające z dywanu brudne szklanki; uznałem, że jaśnie pan jeszcze śpi w jaśniepańskiej sypialni.

Powlokłem się więc na górę. Prawą ręką ścisakałem w kieszeni okutanego Kuma, lewą poklepywałem lepkie tral-ki. Z trzech sypialni, które przeszukałem, w jednej najwyraźniej ktoś spał ubiegłej nocy. Trafiłem do biblioteki całej w kwiatach. Trafiłem do pustawego pukoju z wielkimi, głębokimi lustrami i ze skórą białego niedźwiedzia na śliskiej podłodze. Trafiłem też do innych pokojów. Naszła mnie szczęśliwa myśl. Zanim pan domu wróci z (domniemanego) spaceru zdrowotnego po lesie albo wychynie z jakiejś sekretnej nory, chwiejny strzelec, którego czeka długa praca, mądrze zrobi, jeśli nie dopuści, aby towarzyszył zabawy

zamknął się gdzieś przed nim na klucz. Zakrzętnąłem się więc i przez co najmniej pięć minut - przytomnie obłąkany, szalenie spokojny, zakłęty i mocno podchmielony łowca - przekręcałem wszystkie klucze we wszystkich dziurkach i wolną lewą ręką chowałem je do kieszeni. Stary dom stwarzał planowej intymności więcej szans niż te nowoczesne modne pudełka, w których łazienka, jedyne pomieszczenie zamykane na klucz, ukradkiem służyć musi planowemu rodzicielstwu.

Skoro mowa o łazienkach - miałem właśnie odwiedzić trzecią, kiedy wyszedł z niej pan domu, zostawiając za sobą krótki wodospad. Róg korytarza tylko częściowo mnie zasłaniał. Z szarą twarzą, z podpuchniętymi oczami, z rozczochranym puszkim na łysawej głowie, ale wciąż jeszcze nie do pomylenia z nikim innym, przemaszerował obok w fioletowym płaszczu kąpielowym, mocno przypominającym mój własny. Widocznie mnie nie spostrzegł albo zlekceważył jako znajomą, nieszkodliwą halucynację, bo pokazując mi szczeniaste łydki, ruszył dalej krokiem lunatyka i zszedł na parter. Schowałem do kieszeni ostatni klucz i podążyłem za panem domu, który był już w hallu. Z półotwartymi ustami stał w uchylonych drzwiach wejściowych, zerkając przez słoneczną szparę, niczym ktoś, komu się wydaje, że słyszał, jak jakiś niezdecydowany gość zadzwonił i zaraz się oddalił. Nadal ignorując znieruchomiłą w połowie schodów zjawę w przeciwdeszczowym płaszczu, znikł w zacisznym buduarze naprzeciw salonu, który - bez pośpiechu, wiedziałem już bowiem, że gospodarz nie sprawi mi zawodu - przemierzyłem w przeciwnym kierunku i w kuchni ozdobionej barem ostrożnie odwinąłem upapranego Kuma, uważając, żeby nie poplamić chromu - chyba kupiłem nieodpowiedni smar, czarny i strasznie brudzący. Z właściwą mi pedanterią przeniosłem nagiego Kuma do jednego z czystych zakamarków ubrania i ruszyłem w stronę

buduarku. Krok, jak wspomniałem już wcześniej, miałem sprężysty - może nawet zbyt sprężysty, żeby mogło mi się powieść. Lecz moim sercem targała tygrysia radość, a bu-tem zmiażdżyłem szklanke po koktajlu.

Gospodarz przyjął mnie w pokoju orientalnym.

- Kto pan właściwie jest? - zachrypiał wysokim głosem, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie szlafroka, celując wzrokiem w jakiś punkt na północny wschód od mojej głowy. - Przypadkiem nie Brewster?

Tymczasem dla wszystkich stało się jasne, że jest oszołomiony i zdany na moją tak zwaną łaskę. Mogłem się trochę pobawić.

- Zgadza się - odparłem uprzejmie. - *Je suis Monsieur Brustere*. Pogawędźmy chwilę, nim przystąpimy do rzeczy.

Zrobił zadowoloną minę. Drgnął mu ten wstrętny wąsik. Zdjąłem płaszcz, odsłaniając czarny garnitur i czarną koszulę bez krawata. Usiedliśmy w fotelach.

- Wie pan - rzekł, hałaśliwie drapiąc się po mięsistym, szarym, kostropatym policzku i odsłaniając w krzywym uśmiechu zębki jak perełki - wcale nie jest pan podobny do Jacka Brewstera. To znaczy podobieństwo nie wydaje się szczególnie uderzające. Ktoś mi mówił, że on ma brata w tej samej firmie telefonicznej.

Wytropić go wreszcie i mieć w potrzasku, po tylu latach skruchy i wściekłości... Widzieć czarne włosy na grzbietach jego pulchnych dłoni... Sunąć setką oczu po fioletowych jedwabiach i włóchatej piersi, przewidując punkcje, jatkę, muzykę bólu... Wiedzieć, że ten na wpół tylko ożywiony, nie w pełni ludzki psotnik sodomskim sposobem używał sobie z moją miłą - och, moja miła, była to rozkosz wprost nie do zniesienia!

- Niestety, chyba nie jestem ani tym, ani tamtym Brewsterem.

Przekrzywił głowę - z jeszcze bardziej zadowoloną miną.

- Zgaduj dalej, błaznie.

- A - rzekł błazen. - Więc nie po to przyszedłeś, żeby zawracać mi głowę tymi rachunkami za międzymiastowe?

- Bo czasem rzeczywiście dzwoniisz pod dalekie numery, prawda?

- Co proszę?

Powiedziałem, że mówiłem, że zdawało mi się, że powiedział, że nigdy...

- Ludzie - odparł - ludzie w ogóle, do ciebie nie mam pretensji, Brewster, ale wiesz, że to idiotyczne, jak ludzie wdzierają się do tego cholernego domu i nawet nie zastukają. Korzystają z vaterre, korzystają z kuchni, korzystają z telefonu. Phil dzwoni do Filadelfii, Pat do Patagonii. Nie będę za nich płacił. Dziwny masz akcent, szefie.

- Quilty - powiedziałem. - Pamiętasz tę małą dziewczynkę, Dolores Haze, Dolly Haze? Czy Dolly dzwoniła do Dolores w Colo.?

- Jasne, to właśnie ona mogła dzwonić w te wszystkie Miejsca. Wszędzie. Do Rayu w Wash., do Piekielnego Kanionu. Kogo to obchodzi?

- Mnie, Quilty. Widzisz, jestem jej ojcem.

- Bzdura - odrzekł. - Nigdy w życiu. Jesteś jakimś zagranicznym agentem literackim. Jeden Francuz przetłumaczył kiedyś moje *Dzikię mięso* jako *La Sauvagerie de la Chair*. Absurd.

- Ona była moim dzieckiem, Quilty.

Był w takim stanie, że nic naprawdę nie mogło go zdumieć, ale jego buta wydawała się niezbyt przekonująca. W oczach rozjarzyło mu się coś w rodzaju czujnej podejrzliwości, nadając im pozór życia. Natychmiast znów je przygasił.

- Ja też bardzo lubię dzieci - oświadczył - a już ojcowie należą do moich najlepszych przyjaciół.

Odwrócił głowę, szukając czegoś. Poklepał się po kieszeniach. Spróbował wstać.

- Siad! - powiedziałem, i to chyba dużo głośniejszy niż miałem zamiar.

- Nie musisz na mnie ryczeć - poskarżył się tym swoim dziwnie kobiecym tonem. - Chciałem tylko zapalić. Umrę, jak nie zapalę.

- Umrzesz tak czy owak.

- Szlag! - odparł. - Zaczynasz mnie nudzić. Czego chcesz? Jesteś z Francji, koleś? Wu-lewu-buła? Chodźmy do bareczku i rąbnijmy sobie...

Zauważył ciemny pistolecik, który leżał w mej dłoni, jakbym mu go podawał.

- Ale numer! - zaciągnął (naśladując dla odmiany filmowego ciemniaka spod ciemnej gwiazdy). - Galant spluwa. Ile pan sobie każesz za to maleństwo?

Trzepnąłem go po wyciągniętej ręce, a on zdołał przewrócić skrzyneczkę, która stała tuż obok na niskim stoliku. Sypnęła garścią papierosów.

- Nareszcie się znalazły - rzekł radośnie. - Pamiętasz to zdanie z Kiplinga: *une femme est une femme, mais un Caporal est une cigarette?* Potrzebne nam jeszcze zapalniczki.

- Quilty - powiedziałem. - Skup się. Za chwilę umrzesz. Życie pośmiertne, o ile nam wiadomo, może być wiecznym bólem i obłądzeniem. Swojego ostatniego papierosa wypaliłeś wczoraj. Skup się. Spróbuj zrozumieć, co cię spotyka.

Darł Dromadera na kawałki i żuł je.

- Chętnie spróbuję - zapewnił mnie. - Jesteś albo Australijczykiem, albo uchodźcą z Niemiec. Naprawdę musisz do mnie mówić? Bo wiesz, jesteś w gojowskim domu. Może powinieneś już się zbierać. I przestań się popisywać tym pistoletem. W pokoju muzycznym mam starego sternalugera.

Wycelowałem Kumem w jego stopę w kapciu i wgniotłem spust. Pstryk. Spojrzał na stopę, na pistolet, znowu na stopę. Wykonałem jeszcze jeden straszliwy wysiłek i z komicznie wąłym, niepoważnym puknięciem broń wypaliła. Kula znikła w grubym różowym dywanie, a mnie sparaliżowało wrażenie, że tylko na chwilę weń wsiąkła i może z powrotem wyskoczyć.

- No i widzisz? - spytał Quilty. - Powinieneś trochę bardziej uważać. Na miłość boską, daj mi to żelastwo.

Sięgnął po nie. Pchnąłem go z powrotem na fotel. Moja bujna radość wędła. Była już najwyższa pora, żebym go unicestwił, musiał jednak zrozumieć, czemu to zawdzięcza. Jego stan był zaraźliwy, broń tkwiła w mej dłoni jak nieporęczny kawał plasteliny.

- Skup się - powtórzyłem - i pomyśl o Dolly Haze, którą porwałeś...

- Nieprawda! - zawołał. - Kulą w płot. Uratowałem ją przed zezwierzęconym zboczeńcem. Lepiej pokaż legitymację, zamiast strzelać mi w stopę, ty małpo ty. No, gdzie ta legitymacja? Nie odpowiadam za cudze gwałty. Absurd! Owszem, ta przejażdżka to był głupi wybryk, ale przecież odzyskałeś małą, nie? Chodź, napijmy się.

Spytałem, czy woli poddać się egzekucji siedząc, czy stojąc.

- Niech no pomyślę - odrzekł. - Niełatwe pytanie. Nawiasem mówiąc, popełniłem błąd. Którego szczerze żałuję. Widzisz, nie pohulałem sobie z twoją Dolly. Jestem praktycznie rzecz biorąc impotentem, wyznam z melancholią. Za to zafundowałem jej wspaniałe wakacje. Poznała paru wybitnych ludzi. Znasz może...

Potężnym susem runął na mnie, aż broń śmignęła pod komodę. Miał na szczęście więcej impetu niż wigoru, więc bez zbytniego trudu wepchnąłem go z powrotem w fotel.

Posapał chwilę i skrzyżował ręce na piersi.

- No i patrz, coś narobił - powiedział. - *Vous voilà dans de beaux draps, mon vieux.*

Jego francuszczyzna stopniowo się poprawiała.

Rozejrzałem się. Może gdyby - Może udałoby mi się - Na czworakach ? Zaryzykować?

- *Alors, que fait-on?* - spytał, bacznie mi się przyglądając.

Schyliłem się. Ani drgnął. Schyliłem się niżej.

- Drogi panie - rzekł. - Proszę już dłużej nie igrać z życiem i śmiercią. Jestem dramaturgiem. Napisałem wiele tragedii, komedii, fantazji. Na własny użytek sfilmowałem Justynę i inne osiemnastowieczne sekskapady. Jestem autorem pięćdziesięciu dwóch udanych scenariuszy. Znam wszystkie kruczki. Pozwól, że załatwię sprawę po swojemu. Powinien gdzieś tu leżeć pogrzebacz, może pójdę go poszukać, a potem wyłuskamy twoją własność.

Mówiąc to zręcznie, skrzętnie, sprytnie podniósł się z grzędy. Macałem pod komodą, usiłując równocześnie mieć go na oku. Nagle zauważyłem, że zauważył, że chyba nie zauważyłem, że Kum wystaje spod przeciwległego rogu komody. Znowu zaczęliśmy się mocować. Turlaliśmy się po całej podłodze, trzymając się w objęciach niczym dwoje ogromnych bezradnych dzieci. Był nagi pod szlafrokiem i cuchnął capem, aż się dusiłem, kiedy po mnie się turlał. Potem ja po nim się turlałem. Turlaliśmy się po mnie. Oni turlali się po nim. Turlaliśmy się po nas.

W swej opublikowanej formie książka ta, zakładam, dotarła do rąk czytelnika w pierwszych latach A.D. 2000 (1935 plus osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt, żyj długo, ukochana); starszym czytelnikom na pewno przypomina się w tym momencie obowiązkowa scena z oglądanych w dzieciństwie westernów. W naszej szarpaninie brakowało jednak ciosów pięści zdolnych powalić wołu i fruwających mebli. Wyglądaliśmy jak dwie kukły wypchane brudną bawełną i szmatami. Była to bezgłośna, miękka, bezkształtna

szamotanina w wykonaniu dwóch literatów, z których jednego całkowicie rozstroił narkotyki, drugiemu zaś krępowała ruchy przypadłość sercowa i przedawkowany dżin. Kiedy w końcu odzyskałem swą cenną broń, a scenarzystę udało się umieścić z powrotem w niskim fotelu, obaj dyszeliśmy, jak nigdy nie dyszą po walce krowiarz i owczarz.

Postanowiłem zbadać stan pistoletu - od naszego potu mogło w nim coś się popsuć - i trochę odetchnąć, nim przejdę do głównego punktu programu. Chcąc wypełnić czymś pauzę, zaproponowałem, żeby przeczytał wyrok na siebie - w poetyckiej formie, jaką mu nadałem. Określenie „sprawiedliwość poetycka” wydaje się tu najbardziej fortunne. Podałem mu schludny maszynopis.

- Tak - powiedział. - Znakomity pomysł. Pójdę tylko po okulary (spróbował wstać).

- Nie.

- Jak sobie chcesz. Mam czytać głośno?

- Tak.

- No, to jazda. Aha, więc to wiersz.

Ponieważ wykorzystałeś grzesznika
ponieważ wykorzystałeś
ponieważ
ponieważ wykorzystałeś moje upokorzenie...

- Wiesz, że to dobre. Cholernie dobre.

...gdy stałem nagi jak mnie Pan Bóg stworzył
w obliczu prawa federalnego i wszystkich jego
żądających gwiazd

- O, świetne!

...Ponieważ wykorzystałeś grzech
gdy bezbronny liniałem, wilgotny i czuły,
pełen najlepszych nadziei
śniłem o ślubie w jakimś górzystym stanie,
ależ tak, i o całej litanii małych Lolit...

- Nie bardzo rozumiem.

Ponieważ wykorzystałeś mą dogłębną
wrodzoną niewinność
ponieważ oszustwem

- Ciut monotonne, prawda? Na czym to ja stanąłem?

Ponieważ oszustwem pozbawiłeś mnie zbawienia
ponieważ wzięłeś
ją w wieku, gdy chłopcy
bawią się małym wiertniczym

- Zaczynamy świntuszyć, co?

dziewuszkę porosłą puszkami, umajoną makami,
chlustającą chrupki pośród barwnych majaków,
gdzie Indianie dla chleba muszą runąć z rumaków,
ponieważ skradłeś ją
dostojnemu opiekunowi o woskowym czole
plując mu w oko o ciężkiej powiece
drąc na nim topazową togę i skoro świt
skazując knura, niech się tarza w swej świeżej
krępacji
grozie miłości i fiołków
skruchy i rozpaczy, gdy ty
rozebrałeś na części leniwą lalkę
i precz wrzuciłeś jej głowę

za wszystkie swe czyny,
za wszystkie me zaniechania
musisz umrzeć.

- No cóż, mój panie, jest to niewątpliwie dobry wiersz. Jeśli o mnie idzie, pański najlepszy.

Złożył kartkę i oddał mi ją.

Spytałem, czy chce przed śmiercią powiedzieć coś serio. Pistolet znów gotów był do użytku osobistego. Quilty spojrział na broń i potężnie westchnął.

- Słuchaj, stary - rzekł. - Ty jesteś pijany, a ja chory. Odłóżmy sprawę na kiedy indziej. Muszę mieć trochę spokoju. Muszę poniańczyć swoją impotencję. Po południu wstąpią przyjaciele, żeby mnie zabrać na mecz. Ta farsa z chowaniem pistoletu zaczyna być okropnie nużąca. Jesteśmy światowcami, we wszystkich sferach - seksu, swobodnej wersyfikacji, strzelectwa. Jeśli masz do mnie jakieś anse, chętnie im zadośćuczynię, choćby i w całkiem nadzwyczajnym wymiarze. Nie wykluczam nawet staroświeckiej *rencontre*, na miecze albo na pistolety, w Rio czy gdziekolwiek zechcesz. Moja pamięć i elokwencja pozostawiają dziś to i owo do życzenia, ale doprawdy, drogi panie Humbert, nie byłeś idealnym ojczymem, a ja wcale nie zmuszałem twojej malej *protégée*, aby mi towarzyszyła. Sama skłoniła mnie, żebym ją zabrał do szczęśliwszego domu. Ten, w którym obecnie się znajdujemy, nie jest tak nowoczesny jak ranczo, z którego wówczas korzystaliśmy w gronie bliskich przyjaciół. Jest jednak przestronny, chłodny latem i zimą, jednym słowem, wygodny, a ponieważ zamierzam na zawsze wynieść się do Anglii lub do Florencji, proponuję, żebyś tu się wprowadził. Dom jest twój, gratis. Pod warunkiem, że przestaniesz celować we mnie z tego [tu zaklął szpetnie] pistoletu. Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy miewasz ekscentryczne zachcenia, ale gdyby tak było,

mógłbym ci ofiarować, również gratis, w charakterze domowego zwierzątka, dość interesującą potworkę, młodą damę z trojgiem piersi, z czego jedna to istne cacko, w sumie rzadki i uroczy dziw natury. *No, soyons raisonnables*. Mnie tylko ohydnie zranisz, a sam zgnijesz w więzieniu, ja natomiast wyzdrowieję w tropikalnej scenerii. Ręczę ci, Brewster, że będziesz tu szczęśliwy, z tą wspaniałą piwniczką i honorariami za moją następną sztukę - akurat w tej chwili niewiele mam w banku, ale gotów jestem dać w zastaw ostatnie futro - jak Makbet, gdy wśród cieni zniecka zaseplenił: futro, a po futrze znów futro i futro. Domowi temu nie brak też innych zalet. Nadzwyczaj oddana i przekupna sprzątaczką, niejaka pani Vibrissa - dziwne nazwisko - dwa razy w tygodniu przyjeżdża z pobliskiej wioski, niestety nie dzisiaj, otóż ma ona córki i wnuczki, a parę rzeczy, które wiem o miejscowym komendancie policji, czyni go moim niewolnikiem. Jestem dramaturgiem. Mawiają o mnie „amerykański Maeterlinck”. Maeterlinck-Schmetterling, ja im na to. No, opamiętaj się! Wszystko to jest bardzo upokarzające i wcale nie mam pewności, czy słusznie postępuję. Nigdy nie mieszaj herkulanity z rumem. A teraz bądź grzeczny i rzuć ten pistolet. Znałem przelotnie twoją kochaną żonę. Możesz korzystać z mojej garderoby. A, jeszcze jedno - co jak co, ale to ci się spodoba. Mam na piętrze absolutnie wyjątkową kolekcję sztuki erotycznej. Choćby taki okaz: luksusowe wydanie *in folio* Wyspy Bagrationa, owoc trudów Melanie Weiss, podróżniczki i psychoanalityczki w jednej osobie, niebywała kobieta, niebywałe dzieło - rzuć ten pistolet - ze zdjęciami ponad ośmiuset narządów męskich, które zbadała i zmierzyła w roku 1932, odwiedziwszy Wyspę Bagrationa na Morzu Barda, do tego nad wyraz pocuczające wykresy, sporządzone z uczuciem, pod przyjaznym niebem - rzuć pistolet - a w dodatku mogę ci załatwić

oglądanie egzekucji, nie wszyscy wiedzą, że krzesło pomalowane jest na żółto.

Feu. Tym razem trafiłem w coś twardego. Trafiłem w oparcie czarnego fotela na biegunach, trochę takiego, jak ten u Dolly Schiller - moja kula trafiła w wewnętrzną stronę oparcia i mebel natychmiast wszedł w rozkołys tak szybki i zapalczywy, że każdemu, kto akurat zajrzałby do pokoju, zaparłby dech w piersi dubeltowy cud: strwożony bujak kotyszący się całkiem samodzielnie, a obok fotel, przed chwilą wypełniony moim fioletowym celem, teraz pozbawiony żywej zawartości. Fajtając palcami w powietrzu, gospodarz błyskawicznie dźwignął odwłok i pomknął do pokoju muzycznego, a w sekundę później obaj dyszeliśmy, oddzieleni drzwiami, ciągnąc je każdy w swoją stronę, w zamku zaś tkwił klucz, który przeoczyłem. Znowu wygrałem, a Clare Nieutrafialny wykonał kolejny gwałtowny ruch, siadając do fortepianu i biorąc parę potwornie żywiołowych, na wskroś historycznych, podzwonnych akordów: trzęsły mu się fafle, szeroko rozłożone ręce sztywno młóciły w klawisze, a z nozdrzy wydobywały się prychnięcia, których zabrakło w towarzyszącej naszym zapasom ścieżce dźwiękowej. Wciąż wyśpiewując te niemożliwe tony, spórbował bez powodzenia otworzyć stopą stojący obok instrumentu kuferek, podobny do marynarskiego. Kolejna kula ugodziła go gdzieś w bok, wstał więc z krzesła i jał rosnąć wzwyż niczym stary, siwy, szalony Niżyński, niczym gejzer zwany Starowierem, niczym jakiś mój stary koszmar, i w końcu wspiął się na fenomenalną wysokość, a przynajmniej tak to wyglądało, kiedy pruł powietrze - drżące od gęstej czarnej muzyki - wyjąc z głową odrzuconą do tyłu, z jedną dłonią przyciśniętą do czoła, podczas gdy drugą trzymał się za pachę, jakby użądlił go szerszeń, aż wreszcie opadł z powrotem na pięty i odzyskawszy normalną postać człowieka w szlafroku, czmychnął do hallu.

Widzę, jak ścigam go przez hall dwójskokiem, trójskokiem, kangurzym skokiem, prosty jak struna dają na prostych nogach dwa susy jego śladem, a potem w sztywnych baletowych hopsasach pędzę, żeby odciąć mu drogę do drzwi wejściowych, które nie są porządnie zamknięte.

Z nagłym dostojeństwem, cokolwiek sposepniały, ruszył po szerokich schodach na górę, a ja przegrupowałem się, ale nie poszedłem za nim, tylko strzeliłem trzy albo cztery razy, szybką serią, raniąc go przy każdej detonacji; a ilekroć mu to robiłem, ilekroć robiłem tę straszną rzecz, twarz drgała mu w absurdalnym skurczu, jakby przerysowaną błazenadą wyrażał swój ból; zwolnił kroku, przewrócił oczami, przymykając powieki, westchnął po kobiecemu: „ach!”, a za każdym razem, gdy dosięgała go kula, drżał jak od łaskotek, za każdym razem, gdy pakowałem w niego te swoje powolne, niezdarne niewypały, mówił ledwie dosłyszalnie, z niby to brytyjskim akcentem - i przez cały czas straszliwie się wzdygał, trząsł, uśmiechał głupawo, a jednak mówił dziwnie obojętnym, a nawet życzliwym tonem: - Ach, boli, mój panie, już dość! Ach, boli przeokropnie, drogi przyjacielu. Zaklinam cię, pofolguj. Ach - bardzo to bolesne, bardzo bolesne, doprawdy... Boże! Ha! Toż to ohyda, naprawdę nie powinieneś...

Kiedy dotarł na podest, pomału zamilkł, ale szedł dalej równym krokiem, choć naszpikowałem jego obrzmiałe ciało taką masą ołowiu - a ja z konsternacją i rozpaczą pojąłem, że nie tylko go nie zabijam, lecz wstrzykuję nieszczęśnikowi porcje energii, jak gdyby pociski były kapsułkami, w których tańczy upajający eliksir.

Znowu nabiłem broń czarnymi, skrwawionymi rękami - widocznie dotknąłem czegoś, co przedtem namaścił swą gęstą juchą. Potem doścignąłem go na piętrze, a klucze złościście dźwięczały mi w kieszeni.

Wlókł się z pokoju do pokoju, krwawiąc majestatycznie, szukając otwartego okna, kręcąc głową i wciąż jeszcze usiłując odwieść mnie od morderczych zamiarów. Kiedy wycelowałem w jego głowę, udał się do jaśniepańskiej sypialni, a fontanna królewskiej purpury tryskała mu z pustego miejsca po uchu.

- Idź sobie, idź sobie stąd - rzekł, kaszląc i plując; ja zaś w koszmarnym zdumieniu zobaczyłem, że ten zbryzgany krwią, lecz nadal pełen animuszu jegomość pakuje się do łóżka i opatula bezrządną pościelą. Trafiłem go z bardzo bliska przez koce, a wtedy rozpląszczył się i wielka różowa bańka budząca infantylne skojarzenia wypetrzała mu na usta, urosła do rozmiarów dziecięcego balonika i znikła.

Mogłem na parę sekund stracić kontakt z rzeczywistością - nie, nie był to żaden „urwany film”, jaki może symulować pospolity przestępca; wręcz przeciwnie, pragnę podkreślić, że tylko ja jestem odpowiedzialny za każdą przelaną kroplę jego bańkierskiej krwi; nastąpiło jednak coś w rodzaju chwilowej podmiany, jak gdybym siedział w małżeńskiej sypialni, z Charlottą chorą w łóżku. Quilty był ciężko chory. W rękę trzymałem jego kapeć zamiast pistoletu - a na pistolecie siedziałem. Potem trochę wygodniej usadawiłem się w fotelu obok łóżka i spojrzałem na zegarek. Tykał, chociaż szkieleto się stłukło. Cała ta smutna sprawa zajęła ponad godzinę. Nareszcie się uciszył. Ja zaś nie tylko nie czułem najmniejszej ulgi, lecz brzemień jeszcze cięższe od tego, które miałem nadzieję zrzucić, przygniatało mnie, przytłaczało, obezwładniało. Nie potrafiłem się przemóc, żeby dotknąć trupa i upewnić się, czy rzeczywiście jest martwy. Na to co prawda wyglądał: bez ćwierci twarzy w asyście dwóch much, które nie posiadały się z radości, bo właśnie zaczynało im świtać, jaka to niebywała gratka. Ręce miałem w nie lepszym stanie niż on. Jako tako obmyłem się w przyległej łazience. Mogłem już odejść. Kiedy wy-

szedłem na podest, stwierdziłem ze zdumieniem, że ożywiony gwar, który od pewnego czasu ignorowałem, biorąc go za szum we własnych uszach, jest w istocie kakofonią głosów ludzkich i radiowej muzyki, a dobiega z salonu na parterze.

Zastałem tam grupę osób, które najwidoczniej dopiero co przyjechały i teraz radośnie popijały trunki Quilty'ego. W jednym z foteli siedział jakiś grubas; dwie młode piękności, ciemnowłose i blade, bez wątpienia siostry, starsza i młodsza (prawie dziecko), skromnie przycupnęły obok siebie na wersalce. Rumiany jegomość o szafirowych oczach niósł dwie szklanki z barkuchni, gdzie dwie lub trzy kobiety paplały, podzwaniając kostkami lodu. Przystanąłem na progu i oznajmiłem:

- Właśnie zabiłem Clare'a Quilty'ego.

- Brawo - odparł rumiany, podając szklankę starszej dziewczynce.

- Był już najwyższy czas - zauważył grubas.

- Co on mówi, Tony? - spytała siedząca przy barze wyblakła blondynka.

- Mówi - rzekł rumiany - że zabił Kuku.

- Chyba wszyscy powinniśmy go kiedyś wreszcie zabić - powiedział mężczyzna o nieokreślonej tożsamości, podnosząc się z kąta, w którym na chwilę przykucnął, żeby przejrzeć płyty.

- Tak czy owak - stwierdził Tony - niech wreszcie do nas zejdzie. Nie mamy czasu długo na niego czekać, jeżeli chcemy zdażyć na mecz.

- Dajcie temu gościowi się napić - wtrącił grubas.

- Chcesz piwo? - spytała kobieta w spodniach, pokazując mi z daleka butelkę.

Tylko dwie dziewczynki na wersalce - obie były ubrane na czarno, a młodsza skubała palcami jakąś błyskotkę, która owijała jej białą szyję - tylko one uśmiechały się w mil-

czeniu, takie młode, takie rozpustne. Kiedy muzyka na Moment umilkła, ze schodów dobiegł nagle jakiś hałas. Tony i ja wyszliśmy do hallu. Quilty we własnej osobie zdołał wyczołgać się na podest i tam też ujrzeliśmy, jak trzepocze się i gramoli, a potem osiada, tym razem już na zawsze: fioletowy kopiec.

- Pospiesz się, Kuku - ze śmiechem rzekł Tony. - On chyba jeszcze... - Wrócił do salonu, a muzyka zagłuszyła dalszy ciąg zdania.

I tak, powiedziałem sobie, kończy się przemyślna sztuka, którą zainscenizował dla mnie Quilty. Z ciężkim sercem wyszedłem na dwór i przez cętkowany żar słońca dotarłem do auta. Po obu stronach zaparkowano tymczasem dwa inne, więc wyostałem się z niejakim trudem.

36

Reszta jest trochę płaska i spłowiata. Wolno zjechałem ze wzgórza i wkrótce okazało się, że wciąż w tym samym leniwym tempie oddalam się od Parkington. Płaszcz zostawiłem w buduarze, a Kuma w łazience. Nie, nie był to dom, w którym chciałbym mieszkać. Dość niemrawo zadałem sobie pytanie, czy jakiś genialny chirurg nie zdołałby zmienić przebiegu własnej kariery, a może i losów ludzkości, wskrzeszając zamilkłego Quilty'ego, Clare'a Nieklarownego. Nie żeby mi zależało; w sumie wołałem zapomnieć o całej tej jatce - a kiedy się dowiedziałem, że Quilty istotnie nie żyje, jedyną satysfakcją, jaką mi to sprawiło, była ulga, iż nie muszę przez długie miesiące podążać wyobraźnią za bolesnym i obrzydliwym procesem rekonwalescencji, przerywanym najrozmaitszymi niecenzuralnymi operacjami i nawrotami, a może nawet osobistą wizytą pacjenta, podczas której niełatwo byłoby mi rozumowo ustalić, czy nie jest on aby duchem. Tomasz miał trochę racji. Dziwne, że

zmysł dotyku, nieskończenie mniej ceniony przez ludzi niż wzrok, w krytycznych chwilach tworzy główną, jeśli nie jedyną więź między nami a rzeczywistością. Cały byłem w Quiltem - w namacalnym wspomnieniu naszej szamotaniny sprzed rozlewu krwi.

Szosa biegła teraz przez pustkowie, przyszło mi więc na myśl - nie miał być to żaden protest, symbol ani nic z tych rzeczy, tylko po prostu nowe doświadczenie - że skoro już pogwałciłem wszystkie prawa ludzkości, równie dobrze mogę pogwałcić przepisy drogowe. Zjechałem więc na lewą stronę autostrady, zastanowiłem się, jakie to uczucie, i stwierdziłem, że dobre. Doznawałem miłego topnienia przepony z lekkim rozproszeniem wrażeń dotykowych, wzmożonego świadomością, że nikt nie jest bliższy przekreślenia podstawowych praw fizyki niż ten, kto z rozmysłem jedzie pod prąd. Było to poniekąd wysoce uduchowione świerzbienie. Łagodnie, marzycielsko, nie przekraczając trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, sunąłem tą dziwną lustrzaną stroną. Ruch na szosie panował niewielki. Czasem wyprzedzały mnie inne auta, jadące tą połową szosy, którą im zostawiłem, i brutalnie na mnie trąbiły. Nadjeżdżające z przeciwka wahały się i raptownie skręcały z okrzykiem trwogi. Wkrótce stwierdziłem, że zbliżam się do zaludnionych okolic. Przejazd przez skrzyżowanie na czerwonym świetle był jak łyk zakazanego burgunda w dzieciństwie. Tymczasem wyłoniły się rozmaite komplikacje. Dorobiłem się orszaku i eskorty. Potem zobaczyłem, że przede mną dwa wozy ustawiają się tak, aby całkowicie zatrasować mi drogę. Z gracją skręciłem z szosy i po dwóch czy trzech sporych wybojach wjechałem na porośniętą trawą zboczę, między zaskoczony krowy, gdzie też wyhamowałem z łagodnym kolebaniem. Ot, coś w rodzaju przemyślonej syntezy heglowskiej, łączącej dwie martwe kobiety.

Miano mnie niebawem wyjąć z auta (Serwus, melmoth, piękne dzięki, mój stary) - i trochę nawet nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie oddam się wielu rękom, nie robiąc nic, żeby im ułatwić zadanie, gdy zaczną mnie ciągnąć i nieść, rozluźniony, wygodnicki, poddam się leniwie jak pacjent, czerpiąc lekko niesamowitą radość z własnego bezwładności i z niezawodnej podpory, jaką będą mi służyć policjanci i personel karetki. Czekać, aż przybiegną do mnie na wysokie zbocze, przywołałem ostatni miraż pęfen zdumienia i beznadziei. Pewnego dnia tuż po zniknięciu Lolity atak obrzydliwych mdłości kazał mi zahamować na starej górskiej drodze, której widmo czasem biegło obok nowiutkiej szosy, a czasem ją przecinało, zaludnione astrami skąpanymi w beznamiętnym ciepłe bladobłękitnego popołudnia u schyłku lata. Kiedy już kaszel wywrócił mnie na lewą stronę, odpocząłem trochę na głazie, a pomyślawszy, że błogie powietrze może mi dobrze zrobić, przeszedłem się kawałek do niskiego kamiennego murku, który oddzielał szosę od przepaści. Małe pasikoniki przyskały ze zwiędłych przydrożnych zielsk. Leciuteńka chmurka z otwartymi rękami sunęła ku drugiej, nieco solidniejszej, przynależnej do bardziej gnuśnego, w niebie zapisanego systemu. Zbliżając się do przyjaznej otchłani, uzmysłowiłem sobie, że słyszę melodyjną jednię dźwięków wznoszących się niby opar z górniczego miasteczka leżącego u mych stóp, w zakamarku doliny. Oko rozróżniało geometrię ulic między rzędami czerwonych i szarych dachów, zielone dymki drzew, kręty strumień i bogaty, kruszczorodny połysk miejskiego wysypiska, a za miastem nitki dróg przecinające zwariowany kilim ciemnych i jasnych pól, dalej zaś wysokie lesiste góry. Lecz jeszcze jaskrawiej od tych cicho rozradowanych barw (pewne barwy i odcienie zdają się bowiem rozkoszować dobrym towarzystwem) - jaskrawiej, a zarazem bardziej onirycznie, niż owe kolory jawiły się mojemu oku - ucho

odczuwało tę parną wibrację nagromadzonych dźwięków, gdy nie milknąc ani na chwilę, wznosiła się ku granitowej wardze, na której stałem, ocierając splugawione usta. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że wszystkie te odgłosy są jednakiej natury, że prócz nich żaden dźwięk nie dobiega spomiędzy ulic przezroczystego miasta, gdzie kobiety siedzą w domach, a mężczyźni są nieobecni. Czytelniku! Słyszałem po prostu melodię dzieci pochłoniętych zabawą, nic innego, a powietrze było tak czyste, że z oparu zmieszanych głosów, majestatycznych i filigranowych, odległych i magicznie bliskich, szczerych i bosko tajemniczych, wyodrębniał się niekiedy, jakby nagle wyzwał, prawie jak słowo wyraźny tryskał żywy śmiech, uderzenie baseballowego kija, turkot wózka, wszystko to jednak działo się zbyt daleko, aby oko mogło wychwycić spośród dyskretnej rytmu ulic jakiegokolwiek ruchu. Kiedy tak stałem na wyniosłym urwisku, wsłuchany w tę muzyczną wibrację i w błyski osobnych okrzyków na tle jak gdyby skromnego szemrania, zrozumiałem nagle, że źródłem dojmującej beznadziei, która mnie przytłacza, nie jest brak Lolity u mego boku, lecz nieobecność jej głosu w tym zgodnym chórze.

Tak więc kończy się moja historia. Raz jeszcze przeczytałem ją całą. Lgną do niej grudki szpiku, krew i piękne jaskrawozielone muchy. Na niektórych jej zakrętach czuję, jak moje śliskie ja wymyka mi się, nurkując w wodach zbyt głębokich i mrocznych, abym miał ochotę je sondować. Zakamuflowałem, co tylko się dało, nie chcąc nikomu zaszkodzić. Jeśli idzie o mój pseudonim, to żonglowałem wieloma pomysłami, nim wpadł mi do głowy najbardziej stosowny. W brudnopisie występuje „Otto Otto”, „Mesmer Mesmer” i „Lambert Lambert”, ale wydaje mi się, że ten, który w końcu wybrałem, najtrafniej oddaje obecną tu podłość.

Kiedy przed pięćdziesięcioma sześcioma dniami zaczynałem pisać *Lolite*, najpierw na oddziale obserwacji psy-

chopatów, a potem w tej przyzwoicie ogrzanej, acz nieco katakumbicznej izolatce, myślałem, że w całości wykorzystam niniejsze zapiski na procesie, aby uratować - nie głowę, rzecz jasna, lecz duszę. W połowie wypracowania pojąłem jednak, że nie mogę wystawić żywej Lolity na widok publiczny. Nie wiem jeszcze, czy nie zrobię użytku z pewnych części tego pamiętnika w trakcie przesłuchań przy drzwiach zamkniętych, ale publikację należy odłożyć na później.

Z powodów wcale nie tak oczywistych, jakby się na pozór zdawało, jestem przeciwny karze śmierci; pogląd ten, ufam, podzieli sędzia ferujący wyrok. Gdybym sam miał się osądzić, ukarałbym Humberta co najmniej trzydziestoma pięcioma latami za gwałt, a resztę zarzutów bym oddalił. Ale Dolly Schiller pewnie i tak przeżyje mnie o wiele lat. Poniższemu życzeniu nadaję całą prawną skuteczność i moc testamentu opatrzonego moim podpisem: chcę, żeby pamiętnik ten opublikowano dopiero wtedy, gdy Lolity nie będzie już wśród żywych.

A zatem żadne z nas już nie żyje, kiedy czytelnik otwiera tę książkę. Lecz póki krew pulsuje w ręce, którą piszę, jesteś nie mniej niż ja cząstką błogosławionej materii i wciąż jeszcze mogę mówić do ciebie - stąd na Alaskę. Bądź wierna swojemu Dickowi. Nie pozwalaj, żeby dotykali cię inni mężczyźni. Nie rozmawiaj z nieznanymi. Mam nadzieję, że będziesz kochała swoje dziecko. Mam nadzieję, że urodzi się chłopiec. Ten twój mąż, mam nadzieję, zawrzesze będzie dla ciebie dobry, bo jeśli nie, to mój duch nadciągnie jak słup czarnego dymu, jak zidiociały olbrzym, i rozszarpie go nerw po nerwie. I nie żałuj C. Q. Trzeba było wybrać - albo on, albo H.H., a chciało się, żeby H.H. przetrwał jeszcze chociaż parę miesięcy, bo w ten sposób mógł cię ożywić w wyobraźni przyszłych pokoleń. Myślę tu o turech i aniołach, o sekretach trwałych barwników, o proro-

czych sonetach, o schronieniu w sztuce. A jest to jedyna
nieśmiertelność, jakiej możemy zaznać oboje, moja Lolito.

Vladimir Nabokov o książce pod tytułem Lolita

Skoro już zagrałem rolę uprzejmego Johna Raya, pomniejszego bohatera *Lolity*, autora Przedmowy, wszelki komentarz pochodzący wprost ode mnie może zostać uznany, a w istocie nawet ja sam mogę go uznać za próbę zagrania Vladimira Nabokova opowiadającego o własnej książce. Parę kwestii domaga się jednak omówienia; a chwyt autobiograficzny może skłonić naśladowcę i modela, żeby zrosili się w jedno.

Wykładowcy literatury chętnie wymyślają takie na przykład problemy: „Jaki cel przyświecał autorowi?” albo jeszcze gorzej: „Co ten facet usiłuje powiedzieć?”. Otóż należę do kategorii autorów, którzy rozpoczynają pracę nad książką wyłącznie po to, żeby wreszcie mieć tę książkę z głowy, a proszeni o opisanie jej źródeł i rozwoju sięgać muszą po takie starożytne określenia, jak Interakcja Inspiracji z Kombinacją - co brzmi, przyznaję, jakby magik dla objaśnienia jednej sztuczki wykonywał inną.

Pierwszy leciutki puls zwiastujący nadejście *Lolity* wstrząsnął mną pod koniec roku 1939 lub w początkach 1940, w Paryżu, kiedy leżałem powalony ciężkim atakiem neuralgii międzyżebrowej. Jeśli mnie pamięć nie myli, wstępny dreszcz inspiracji w ten czy inny sposób wywołała gazetowa wzmianka o małpie człekokształtnej z Jardin des Plantes, która to małpa po wielomiesięcznych namowach pewnego naukowca narysowała pierwszy na świecie szkic węglem sporządzony przez zwierzę: przedstawiał on kraty klatki nieszczęsnego stworzenia. Impuls, który tu odnoto-

wuję, nie miał żadnego dosłownego związku z wynikłym zeń ciągiem myśli, ich owocem stała się jednak niniejsza powieść, a raczej jej prototyp, czyli mniej więcej trzydziestostronicowa nowela. Napisałem ją po rosyjsku, w języku, w którym od roku 1924 pisywałem powieści (tych najlepszych nie przetłumaczono na angielski, a wszystkie ze względów politycznych zakazane są w Rosji). Bohater pochodził z Europy Środkowej, bezimienna nimfетка była Francuzką, akcja toczyła się w Paryżu i w Prowansji. Kazałem mu ożenić się z chorą matką małej, a gdy kobieta niebawem umarła, po daremnej próbie wykorzystania sierotki w pokoju hotelowym Artur (tak miał bowiem na imię) rzucił się pod koła ciężarówki. W pewną wojenną noc wyklejoną granatowym papierem przeczytałem to opowiadanie kilkorgu przyjaciółom - Markowi Ałdanowowi, dwóm eserom i znajomej lekarce; ale tekst mi się nie podobał, zniszczyłem go więc w jakiś czas po przeprowadzce do Ameryki w roku 1940.

Około roku 1949 w Ithace w stanie Nowy Jork pulsacja, która nigdy tak naprawdę nie ustała, znowu zaczęła mnie nękać. Kombinacja ze świeżym zapalem przyłączyła się do inspiracji i podsunęła mi nowe ujęcie tematu, tym razem w języku angielskim, którym mówiła w St. Petersburgu moja pierwsza guwernantka, panna Rachel Home, w roku mniej więcej 1903. Nimfетка, obecnie z domieszką krwi irlandzkiej, była ogólnie rzecz biorąc tą samą dziewczuszką, zachowałem też zasadniczy pomysł małżeństwa z jej matką; poza tym jednak był to zupełnie nowy tekst, któremu cichaczem wyrosły pazury i skrzydła powieści.

Książka rozwijała się wolno, z wieloma przerwami i odskokami. Wymyślenie Rosji i Europy Zachodniej zajęło mi około czterdziestu lat, teraz zaś musiałem wymyślić Amerykę. Zdobycie lokalnych ingrediencji, które pozwoliłyby mi wstrzyknąć choć odrobinę przeciętnej „rzeczywistości”

(wyraz ten jako jeden z nielicznych nic nie znaczy bez cudysłowu) w zacier osobistej fantazji, okazało się znacznie trudniejsze w wieku lat pięćdziesięciu, niż było w Europie za młodu, kiedy chłonność i pamięć osiągały szczyty automatyzmu. Wchodziły mi w paradę inne książki. Parę razy byłem o krok od tego, żeby spalić niedokończony brulion, i nawet doniosłem swoją Juanitę Dark aż do miejsca, gdzie na niewinny trawnik padał cień pochyłego piecyka, powstrzymała mnie jednak myśl, że widmo zniszczonej powieści straszyc będzie w moim archiwum, póki nie umrę.

Każdego lata żona i ja jeździmy łowić motyle. Okazy deponujemy w rozmaitych ośrodkach naukowych, na przykład w Muzeum Zoologii Porównawczej na Harvardzie albo w kolekcji Uniwersytetu Cornell. Umieszczone pod motylami tabliczki z danymi topograficznymi staną się cennym znaleziskiem dla jakiegoś naukowca z wieku dwudziestego pierwszego, amatora zapoznanych biografii. Właśnie na takich popasach, jak Telluride w Kolorado, Afton w Wyoming, Portal w Arizonie i Ashland w Oregonie, wieczorami lub w pochmurne dni wrzała praca nad Lolitą. Wiosną 1954 roku skończyłem ręcznie przepisywać ją na czysto i od razu jąłem rozglądać się za wydawcą.

Z początku, idąc za radą starego przezornego przyjaciela, potulnie zastrzegłem się, że książka ma zostać wydana anonimowo. Wątpię, czy kiedykolwiek pożałuję, iż wkrótce potem uzmysłowiłem sobie, jak bardzo prawdopodobne jest, że przywdziana maska stanie się zdrajczynią mej sprawy, i postanowiłem podpisać się pod Lolitą. Czterej amerykańscy wydawcy, W, X, Y i Z, którym kolejno zaproponowano maszynopis, dali go do przejrzenia recenzentom i doznali jeszcze większego wstrząsu, niż to przewidywał mój stary przezorny przyjaciel F. P.

Choć prawdą jest, że w starożytnej Europie i aż do późnych lat osiemnastego wieku (oczywistych przykładów

dostarcza Francja) zamierzona rozwiązłość bynajmniej nie kłóciła się z przeblyskami humoru, z żywiołową satyrą, a nawet z werwą znakomitego poety w chwilowo swawolnym nastroju, równie prawdziwe będzie stwierdzenie, iż w epoce współczesnej ze słowem „pornografia” kojarzy się przeciętność, komercja i pewne ściśle przestrzegane reguły narracji. Obscena iść muszą w parze z banałem, ponieważ wszelką uciechę estetyczną winno całkowicie zastąpić proste seksualne pobudzenie, które gwoli bezpośredniego oddziaływania na pacjenta wymaga użycia tradycyjnie przyjętych określeń. Pisarz-pornograf musi przestrzegać starych sztywnych zasad, aby jego pacjent był pewien zaspokojenia, tak jak pewni go są chociażby zwolennicy historyjek detektywistycznych, w których przez roztargnienie autora prawdziwym mordercą okazać się może - ku niezadowoleniu czytelnika - artystyczna oryginalność (bo któż by na przykład chciał czytać opowiadanie detektywistyczne bez choćby jednego dialogu?). W powieściach pornograficznych akcja musi zatem sprowadzać się do kopulacji kusz. Styl, struktura ani obrazowanie nie ma prawa odwracać uwagi odbiorcy od jego letniej chuci. Powieść stanowić musi przeplatankę epizodów seksualnych. Pojawiające się między nimi akapity mogą być co najwyżej szwami sensu, pomostami logicznymi najprostszej konstrukcji, krótkimi wprowadzeniami i objaśnieniami, które czytelnik pewnie i tak pominie, musi jednak wiedzieć, że istnieją, bo inaczej poczuje się oszukany (mentalność ta ma swe źródło w przyzwyczajeniu do „prawdziwych” baśni z dzieciństwa). Co więcej, sceny seksualne muszą tworzyć crescendo, z coraz to nowymi wariacjami, kombinacjami, płciami, przy nieustannie rosnącej liczbie uczestników (w sztuce Sade’a wzywa się w końcu ogrodnika), toteż finał książki winien bardziej niż pierwsze rozdziały ociekać sprośnymi sekretami.

Pewne techniki użyte w początkowych partiach *Lolity* (na przykład dziennik Humberta) nasunęły niektórym z moich pierwszych czytelników błędne przekonanie, iż będzie to książka sprośna. Czytelnicy ci spodziewali się narastającej sekwencji scen erotycznych; gdy ta się urwała, oni także przerwali lekturę, znudzeni i zawiedzeni. Podejrzewam, że między innymi właśnie dlatego nie wszyscy czterej wydawcy doczytali maszynopis do końca. To, czy uznali go za pornografię, nie interesowało mnie. Powodem odrzucenia książki nie było moje ujęcie tematu, lecz sam temat, co najmniej bowiem trzy tematy stanowią dla większości amerykańskich wydawców absolutne tabu. Dwa pozostałe to małżeństwo, w którym dochodzi do pomieszania rasy białej z czarną, uwieńczone pełnym i triumfalnym sukcesem, owocujące tłumem dzieci i wnuków; oraz pełny ateista, który wiezie żywot szczęśliwy i pożyteczny, a umiera we śnie, mając sto sześć lat.

Zdarzały się bardzo zabawne reakcje: pewien recenzent zasugerował, że jego firma ewentualnie wzięłaby pod Rozwagę możliwość publikacji, gdybym przerobił moją *Lolite* na dwunastoletniego chłopca, którego farmer Humbert posiadłby w stodole, w nędznej i jałowej scenerii, a całość opowiedziana byłaby w krótkich, mocnych, „realistycznych” zdaniach („To wariat. Wszyscy chyba jesteśmy wariaci. Bóg to też chyba wariat”. Itd.). Choć powinno być już powszechnie wiadome, że nie cierpię symboli i alegorii (trochę z powodu mojej zadawnionej waśni z freudowskim czarownictwem, trochę zaś dlatego, że mam wstręt do uogólnień, jakie wymyślają mitomani literaccy i socjologowie), skądinąd inteligentny recenzent przejrząwszy część pierwszą, podsumował *Lolite* jako „Uwiedzenie młodej Ameryki przez starą Europę”, podczas gdy inny przegładacz dostrzegł w niej „Uwiedzenie starej Europy przez młodą Amerykę”. Wydawca X, którego doradców tak znu-

dził Humbert, że dobrnęli tylko do strony sto osiemdziesiątej ósmej, wykazał dość naiwności, aby mi napisać, że część druga jest za długa. Natomiast wydawca Y z żalem stwierdził, iż w mojej książce nie ma ani jednego dobrego człowieka. Wydawca Z przewidywał, że gdyby opublikował *Lolite*, obaj trafilibyśmy do więzienia.

Od żadnego pisarza w wolnym kraju nie można wymagać, żeby zawracał sobie głowę tym, gdzie dokładnie leży granica między postrzeganiem zmysłowym a zmysłowością; jest to groteskowy postulat; mogę jedynie podziwiać, lecz nie naśladować precyzję osądu tych fachowców, którzy zamieszczają w czasopismach zdjęcia nadobnych młodych ssaków, tak upozowanych, że dekolt jest akurat dość głęboki i w sam raz dość płytki, aby na jego widok zachichotał dawny mistrz, a poczmistrz nie zmarszczył brwi. Mniemam, że pewnych czytelników mile łaskocze prezentacja iście ściennego słownictwa w owych beznadziejnie banalnych i grubaśnych powieściadłach, które kciukami wystukują na maszynach zdenerwowani przeciętniacy, a sprzedajny recenzent opatruje takimi epitetami, jak „mocna rzecz” i „naga prawda”. Pewne łagodne duszyczki uznać mogą *Lolite* za książkę pozbawioną znaczenia, ponieważ nie płynie z niej żadna nauka. Nie jestem czytelnikiem ani autorem prozy dydaktycznej, a za *Lolite*, wbrew twierdzeniu Johna Raya, nie wlecze się żaden morał. Utwór prozatorski istnieje dla mnie tylko o tyle, o ile daje mi coś, co bez ogródek nazwę rozkoszą estetyczną, czyli poczucie, że zdołałem jakoś, którądyś nawiązać łączność z odmiennymi stanami bytu, w których sztuka (ciekawość, czułość, dobroć, ekstaza) stanowi normę. Niewiele jest takich książek. Cała reszta to albo aktualna tandeta, albo tak zwana przez niektórych Literatura Idei, czyli w wielu wypadkach aktualna tandeta podana w formie ogromnych klocków z gipsu, pieczołowicie przekazywanych ze stulecia w stulecie, póki

ktoś nie przyjdzie z młotkiem i nie trzaśnie porządnie w Balzaca, w Gorkiego, w Manna.

Jeszcze inni czytelnicy twierdzą, że *Lolita* jest antyamerykańska. Oskarżenie to boli mnie dużo bardziej niż idiotyczny zarzut niemoralności. Wiedziony potrzebą głębi i perspektywy (podmiejski trawnik, górskie łąki) zbudowałem rozmaite północnoamerykańskie dekoracje. Musiałem stworzyć sobie rozweselające środowisko. Otóż nic tak nie rozwesela, jak filisterska wulgarność. Lecz jeśli o nią idzie, nie ma istotnej różnicy między manierami palearktycznymi a nearktycznymi. Pierwszy lepszy proletariusz z Chicago może być takim samym burżujem (w rozumieniu Flauberta), jak jakiś książę. Wybrałem amerykańskie motele zamiast szwajcarskich hoteli czy angielskich gospód wyłącznie dlatego, że staram się być pisarzem amerykańskim i domagam się dla siebie po prostu tych samych swobód, którymi cieszą się inni amerykańscy pisarze. Natomiast mój twór Humbert jest cudzoziemcem i anarchistą, ja zaś w wielu sprawach - nie tylko w sprawie nimfetek - z nim się nie zgadzam. A wszystkim moim rosyjskim czytelnikom wiadomo, że moje dawne światy - rosyjski, angielski, niemiecki, francuski - są równie fantastyczne i osobiste jak ten nowy.

Bojąc się, żeby tej krótkiej wypowiedzi nie uznano za wentyl dla zapiekłych uraz, spieszę dodać, że choć sporo niewiniątek przeczytało maszynopis *Lolity* lub wdanie Olympia Press, zastanawiając się: „Czemu on to musiał napisać?”, albo: „Za jakie grzechy mam czytać o wariatach?”, wiele osób mądrych, wrażliwych i pryncypialnych zrozumiało moją książkę dużo lepiej, niż ja sam potrafię tu objaśnić jej mechanizm.

Każdy poważny pisarz, śmiem twierdzić, czuje nieustanną kojącą obecność którejś ze swych opublikowanych książek. Świeci ona gdzieś w suterenie równym płomykiem

i wystarczy, że autor dotknie swego prywatnego termostatu, a już następuje cicha eksplozyjka znajomego ciepła. Tę obecność, ten blask bijący z łatwo dostępnej dali odczuwa się jako coś bardzo przyjaznego, a im dokładniej książka wpasowała się w przewidziany dla niej kontur i kolor, tym obfitszym i gładszym pała blaskiem. Istnieją w niej jednak punkty, boczne drogi, ulubione kotlinki, chętniej wspomniane i napawające autora tkliwszą radością niż pozostałe partie utworu. Nie czytałem *Lolity*, odkąd wiosną 1955 roku zrobiłem korektę, lecz w rozkoszny sposób odczuwam jej stałą obecność: unosi się w domu cicho jak letni dzień, o którym wiemy, że za warstwą mgły jest słoneczny. Ilekroć w ten sposób myślę o *Lolice*, wybieram pewne obrazy, żeby nimi szczególnie się ponapawać: pana Taksowicza, listę obecności ze szkoły w Ramsdale, Charlotte, gdy mówi „wodoszczelny”, Lolitę, gdy podchodzi w zwolnionym tempie do prezentów Humberta, obrazy, które zdobią stylizowane poddasze Gastona Godina, fryzjera z Kasbeam (który kosztował mnie miesiąc pracy), Lolitę, kiedy gra w tenisa, szpital w Elphinstone, bladą, ciężarną, ukochaną, nieodwołalnie zaprzepaszczoną Dolly Schiller, gdy umiera w Gray Star, Szarej Gwieździe (w stolicy książki), miejskie odgłosy, niby dźwięki dzwonek pące się z doliny górską ścieżką (na której schwytałem pierwszy znany okaz *Lycæides sublivens Nabokov*). Są to nerwy powieści. Są to tajne punkty, podświadome współrzędne, wedle których utkano fabułę - choć doskonale zdają sobie sprawę, że sceny te (oraz wiele innych) pospiesznie przeleci, przeoczy albo w ogóle do nich nie dotrze czytelnik, zaczynający lekturę w przeświadczeniu, iż jest to coś w rodzaju *Pamiętnika kurtyzany* czy *Les Amours de Milord Grosvit*. Owszem, zdarzają się w mojej powieści rozmaite aluzje do fizjologicznych popędów zboczeńca. Ale nie jesteśmy przecież dziećmi, niepiśmiennymi młodocianymi przestępcami ani chłopcami z an-

gielskich szkół publicznych, którzy po całej nocy homoseksualnych hulanki muszą znosić ten paradoks, że każde im się czytać Starożytnych w wersji ocenzurowanej.

Jest to czysta dziecinada, jeśli czytelnik zgłębia utwór literacki, żeby zasięgnąć informacji o jakimś kraju, warstwie społecznej lub o samym autorze. A jednak ktoś z grona moich bardzo nielicznych bliskich przyjaciół po przeczytaniu *Lolity* szczerze się zatroskał, że przyszło mi (właśnie mnie!) żyć „wśród tak przygnębiających typów” - choć jedyną niewygodą, jakiej rzeczywiście zaznałem, było to, że żyłem w swojej pracowni, w otoczeniu poniechanych kończyn i niedokończonych torsów.

Kiedy książka ta ukazała się w Paryżu nakładem „Olympia Press”, pewien krytyk amerykański zasugerował, iż *Lolita* opowiada o miłości, która związała mnie z powieścią romantyczną. Gdyby na miejsce „powieści romantycznej” wstawić „język angielski”, ta elegancka formułka stałaby się bliższa prawdzie. Tu jednak czuję, że głos wznosi mi się do nazbyt piskliwych rejestrów. Żaden mój amerykański znajomy nie czytał moich rosyjskich książek, toteż każda ocena oparta na tym, co napisałem po angielsku, z konieczności jest wypaczona. Moją prywatną tragedią, która nikt nie może i wręcz nawet nie powinna obchodzić, jest to, że musiałem porzucić swój naturalny idiom, swobodną, bogatą i bezgranicznie posłuszną ruszczyznę dla drugorzędnej angielszczyzny, pozbawionej całej aparatury – konfundującego lustra, czarnej aksamitnej kotary w tle, domniemyanych asocjacji i tradycji - jaką rodowity iluzjonista we fraku o rozwianych połach umie wprząc w służbę swej magii, aby własnym przemysłem wznieść się ponad zastane dziedzictwo.

12 listopada 1956

„ Patrz, patrz! - jęknąłem - patrz, co zrobiłaś, co sobie zrobiłaś, och, patrz! - Ujrzałem bowiem, przysięgam, żółtofioletowy siniak na uroczym udzie nimfetki, które masowałem włochatym łapskiem, z wolna zagarniając, a dzięki jej bagatelnej bieliźnie nic, można by sądzić, nie stało na przeszkodzie, żeby mój masykularny kciuk ukradł się w gorącą kotlinę krocza - ot tak, jak łaskocze się i pieści rozchichotane dziecko - nic ponadto - aż w końcu...

- Oj, przecież to drobiazg! - zawołała z ostrą raptem nutą w głosie i nagle się zakręciła, zawierciła, odrzuciła głowę do tyłu, zębami dotknęła lśniącej dolnej wargi i już się ode mnie odwracała, a moje usta jęku pełne, panowie sędziowie, prawie sięgały nagiej szyi nimfetki, gdy kruszyłem o jej lewy pośladek ostatni spazm najdłuższej ekstazy, jakiej kiedykolwiek zaznał człowiek lub potwór.”

Przeznaczone do sprzedaży wyłącznie z Gazetą Wyborczą.
(cena książki + cena Gazety Wyborczej)

Cena książki – 15 zł (0% VAT)

Indeks 385883

ISBN 83-89651-51-3



9 788389 651518